

KATARZYNA PUZYŃSKA



NORA

Prószyński i S-ka

W SERII UKAZAŁY SIĘ:

Motylek

Więcej czerwieni

Trzydziesta pierwsza

Z jednym wyjątkiem

Utopce

Łaskun

Dom czwarty

Czarne narcyzy

**KATARZYNA
PUZYŃSKA**

NORA

Prószyński i S-ka

Dla Uczestników i Organizatorów

Zlotu Czytelników w Lipowie

w serdecznym podziękowaniu

OSOBY (LISTA NIEPEŁNA)

Borkowska Berenika „BiBi” – uczennica w SuperSzkole, córka Hanny
Dębicka Sara – historyczka
Dębowska Jowita – pani domu, żona Harolda, matka Renaty
Dębowska Renata – uczennica w SuperSzkole, córka Jowity i Harolda
Dębowski Harold – przedsiębiorca, dziedzic fortuny Dębowskich
Grabowski Mścisław – właściciel komisów samochodowych Grabowski Auto Handel
Kołodziej Danuta – pani domu, żona Lecha
Kołodziej Lech – właściciel sieci restauracji Kołodziej, mąż Danuty
Kowalski Jan – zarządca Ośrodka Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”
Krawczyk Celina – asystentka Harolda
Krawczykowie Kazimiera i Bernard – rodzice Celiny
Majewski Wojtek – dostawca w sieci restauracji Kołodziej
Nowakowska Weronika – rozwódka z Warszawy, psycholog
Pawłowska Patrycja – lekarka, żona Chrystiana
Pawłowski Chrystian – pan domu, mąż Patrycji
Rostońska Wiera – sklepikarka w Lipowie
Sawiccy Eliza i Jerzy – rodzice Doris
Sawicka Dagmara „Doris” – uczennica w SuperSzkole
Sienkiewicz Alicja – gospodyni na plebanii w Bargowie, matka Edwarda i Jacka
Sienkiewicz Edward – proboszcz w Bargowie, syn Alicji, brat Jacka
Stępień Karina – kelnerka w klubokawiarni Przy Rynku należącej do sieci Kołodziej
Urbańska Hanna – pani domu, matka Bereniki, żona Gustawa
Urbański Gustaw – przedsiębiorca, mąż Hanny
Wilczyński Wiesiek – psychiatra
Wójcik Gabriela „Gabi” – uczennica w SuperSzkole
Wójcik Magdalena i Ireneusz – rodzice Gabi
Zakrzewski Karol – barman w klubokawiarni Przy Rynku należącej do sieci Kołodziej
Zaręba Cezary – nauczyciel w SuperSzkole, ojciec Marka
Zośka – recepcjonistka w przychodni w Nowych Horyzontach

POLICJANCI I PROKURATORZY

starsza aspirant Fijałkowska Laura

młodszy aspirant Kamiński Paweł

komisarz Kopp Klementyna (emerytowana)

aspirant Podgórski Daniel

komisarz Sienkiewicz Jacek– naczelnik wydziału kryminalnego

młodsza aspirant Strzałkowska Emilia

prokurator Więcek Ligia

sierżant sztabowy Zaręba Marek– pseudonim Młody

PROLOG

Cichy Lasek. Czwartek, 28 lipca 2016.

Godzina 17.00.

Wojtek Majewski

Wojtek Majewski chodził w tę i z powrotem. Krok za krokiem. Nerwowo. Ważył telefon w dłoni. Teraz jego wysłużony iPhone wydawał się ciężki jak cegła. Albo i cięższy. Rysy na ekranie stały się wyraźniejsze. Jakby Wojtek zyskał nagle niesamowitą ostrość widzenia. Przyglądał im się przez chwilę, chyba po to, by odwlec podjęcie decyzji.

Zadzwoić do tego policjanta czy nie? Zadzwoić do Podgórskiego czy nie?

Tak?

Nie.

Tak?

Nie.

Już wcześniej Wojtek przepisał numer Podgórskiego z wizytówki do telefonu. Tak na wszelki wypadek. A teraz brakowało mu odwagi. Dlaczego był takim tchórzem? Dlaczego? To będzie tylko krótka rozmowa. Powie, co ma do powiedzenia, i po krzyku. Czego tu się bać!

– A niech to – szepnął do siebie. Głos miał zduszony. Jakby Cichy Lasek pochłaniał wszystkie dźwięki.

Odetchnął powoli. Raz kozie śmierć, pomyślał i nacisnął zieloną słuchaweczkę na ekranie. Szybko. Żeby nie można było się wycofać. Melodia oczekiwania zagłuszyła sygnał nawiązywania połączenia. To był jakiś rockowy kawałek. Wojtek skupiał się na pędzących nutach, ale nie potrafił rozpoznać piosenki.

– Halo?

Głos policjanta był głęboki i nieco zachrypnięty. Wojtek ścisnął mocniej telefon. Dłoń mu się pociła. A właśnie miał się rozłączyć! Teraz nie było już wyjścia. Musiał porozmawiać z Podgórskim. Odetchnął jeszcze raz, aby dodać sobie otuchy.

– Halo? – powtórzył policjant.

W tle słychać było jakieś damskie głosy. Najwyraźniej Podgórski nie był sam.

– Ja... ten... – zająknął się Wojtek. – To chyba jednak nic ważnego.

Zupełnie stracił odwagę.

– Kto mówi?

– Ja... to znaczy Wojtek Majewski. Zostawił nam pan wizytówkę. Wtedy w klubokawiarni. Nie wiem, czy pan pamięta?

Wyszło nieco nieskładnie. No ale przynajmniej zaczął. To już coś. Teraz będzie łatwiej.

– Oczywiście, że pamiętam. Coś się stało, panie Wojtku?

– Chodzi o tę dziewczynę, która zniknęła...

Jakiś delikatny szmer za plecami. A więc ten Cichy Lasek był cichy jedynie z nazwy. Wojtek nawet się nie odwrócił. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– O Berenikę Borkowską? – upewnił się Podgórski. – O BiBi?

– Jo. I teraz jeszcze jedna osoba... Ja... wyszedłem sobie na spacer, żeby się trochę uspokoić. I postanowiłem zadzwonić do pana. Bo pan mówił, żeby dać znać, jeśli coś sobie przypomnimy.

– Bardzo dobrze, że pan dzwoni – zapewnił go policjant. – Proszę mi powiedzieć wszystko po kolei.

Kolejny głęboki oddech. Jakoś to pójdzie.

– Ja już nie wiem... To pewnie nieistotne.

– Wszystko może okazać się ważne.

– Po tylu latach... Ale teraz ta Berenika zapytała mnie o tę starą sprawę. Może dlatego zginęła.

I jeszcze jedna osoba... Wtedy, dwadzieścia lat temu, nikt mi nie uwierzył. Bo byłem dzieckiem i...

Nagle Wojtek poczuł ból.

Ostry i piekący.

Jakby ktoś przeciął mu ciało na pół.

Zanim zdążył się odwrócić, otrzymał kolejny cios. Kolejne cięcie.

Upuścił telefon.

AKT I

SCENA 1

Sklep Wiery w Lipowie.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 9.00.

Weronika Nowakowska

Dzwoneczki wiszące w progu zagrały melodyjnie, kiedy Weronika uchyliła drzwi. Wiera dostała kolejnego ataku kaszlu i Nowakowska chciała trochę sklep przewietrzyć. Była zdrowa, a i tak kręciło ją w nosie od mocnego aromatu ziół. Do środka wpadł lekki powiew. Zdawał się aż lepki od upału. Weronika westchnęła. To by było tyle, jeśli chodzi o wietrzenie.

Wiera znowu zakaszlała. Głośny, mokry kaszel. Niepokojący. Weronika spojrzała na przyjaciółkę z troską. Nadal nie wiedziała, co dolega sklepikarce. Już wcześniej obiecała sobie, że to z niej wyciągnie. A potem znajdzie specjalistę, który Wierę wyleczy. Na razie nic z tego nie wyszło głównie z powodu wydarzeń ostatnich dni i bardzo intensywnego śledztwa w sprawie czarnych narcyzów. Teraz będzie czas, żeby się tym zająć.

– I co? – zapytała sklepikarka.

Pytanie zabrzmiało nieco zaczepnie. Jakby Wiera domyśliła się, co właśnie postanowiła Weronika. Przyjaciółka reagowała wręcz alergicznie na wszelkie przejawy współczucia. O pomocy w podjęciu leczenia nawet nie wspominając.

– Może chociaż kupiłybyśmy dla ciebie komórkę – zaproponowała lekkim tonem. – Gdybyś się gorzej poczuła albo coś, zawsze mogłabyś do mnie zadzwonić.

Igor zajrzał do sklepu przez uchylone drzwi, głośno dysząc. Grube złote futro grzało go zapewne niemiłosiernie. Zawsze wolał zimę. Latem najchętniej chodziłby nad Bachotek albo Strażym. Godzinami mógł się moczyć w chłodnej wodzie głębokich polodowcowych jezior.

– Dam mu trochę wody – powiedziała Wiera.

Wyszła na zaplecze i po chwili wróciła z czarną ceramiczną miską. Postawiła ją przed psem. Igor zaczął łapczywie pić, rozchlapując wodę na boki.

– To jak z tą komórką? – powtórzyła Weronika.

Wiera poprawiła skołtunione ciemne włosy. Nietypowa fryzura i powłóczyście czarne suknie zapewniły jej w Lipowie przydomek wiedźmy. Niewiele sobie z tego robiła. Może dlatego, że tkwiło w tym ziarno prawdy?

– Weroniczko, wiesz dobrze, że nie używam takich rzeczy. To nie dla mnie, kochanieńka. Radzę sobie doskonale bez najnowszych technologii.

Weronika chciała zaproponować, ale Wiera natychmiast uniosła dłoń.

– A skoro już mowa o telefonach, to dostałaś jakąś nową wiadomość od tej Valentine Blue?

Valentine Blue odegrała niebanalną rolę podczas śledztwa dotyczącego czarnych narcyzów, a potem trafiła na obserwację do szpitala psychiatrycznego w Świeciu. Mimo to jakimś dziwnym sposobem wysłała wczoraj Weronice dość niepokojącą wiadomość. Jak to zrobiła, pozostawało zagadką. Pacjenci leżący na oddziale nie mieli dostępu do telefonu. Do komputera też nie.

Nowakowska wyciągnęła komórkę. Ikonka baterii wskazywała zaledwie dwadzieścia procent.

– Cholera.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Wiera.

– Nie. Tylko zapomniałam naładować telefon. Zawsze podłączam go na noc.

– No widzisz – powiedziała Wiera z wyraźną satysfakcją. Jakby fakt, że bateria w komórce może się rozładować, automatycznie przekreślał sens jej użytkowania.

Weronika uśmiechnęła się pod nosem i otworzyła okienko popularnego komunikatora, żeby raz

jeszcze zajrzeć do wiadomości od Valentine Blue.

– *Pamiętaj o Nowych Horyzontach* – przeczytała w zamyśleniu. – *Nie dopadną mnie.*

Nowakowska nie zamierzała porzucić tematu stanu zdrowia Wiery, ale musiała przyznać, że i ją mocno zastanowiła wiadomość od Valentine. *Nie dopadną mnie.* Podobno dziewczyna miała schizofrenię paranoidalną. Na domiar złego przestała brać leki. U ludzi cierpiących na tę chorobę występuje nieadekwatne postrzeganie i ocena rzeczywistości. Urojenia prześladowcze byłyby więc jak najbardziej typowym objawem. Zwłaszcza po niekontrolowanym przerwaniu leczenia.

Owszem. Valentine mogła sobie coś wymyślić. Obiektywnie rzecz biorąc, wiele mogło na to wskazywać. Tylko że w tym wypadku to nie było wcale takie oczywiste. Po pierwsze, właściwie wszystko, co Valentine mówiła podczas śledztwa w sprawie narcyzów, okazało się prawdą. Mimo że początkowo brzmiało niedorzecznie.

Po drugie, Grzesiek Wilczyński miał wątpliwości, czy Valentine nie symulowała choroby. Dziewczyna mogła więc być de facto całkowicie zdrowa. Psychiatra i ordynator jednego z oddziałów w Świeciu był dawnym znajomym Weroniki. Wierzyła w jego osąd. To znaczy osąd w kwestiach zawodowych, poprawiła się Nowakowska w duchu. O innych sprawach związanych z Grześkiem wolała zapomnieć.

Po trzecie, pomyślała, odrywając się od rozważań na temat psychiatrii, ona sama też miała dziwne przeczucia na temat Nowych Horyzontów. Wiera była pacjentką tamtejszej przychodni, dlatego obie miały okazję tam bywać. I za każdym razem Nowakowska czuła dreszcz niepokoju.

Na pierwszy rzut oka miejsce wydawało się piękne. Urocza biała willa w obsypanym kwiatami ogrodzie. Położona na obrzeżach Brodnicy, ale niezbyt daleko od ścisłego centrum. Na wzgórzu nad jeziorem Niskie Brodno. Nowe Horyzonty zupełnie nie przypominały typowych domów dla osób bezdomnych. Przynajmniej tych, do których Weronika zaglądała, kiedy jeszcze mieszkała i pracowała w Warszawie.

Wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy willi mają się doskonale. Tylko że Weronika z jakiegoś powodu miała wrażenie, że to pozory. A już na pewno nie budził jej zaufania Jan Kowalski, który tą instytucją zarządzał. Mężczyzna ubrany zawsze na biało. O wyglądzie pocziwego ascety z twarzą zastygłą w uprzejmym uśmiechu. Do tego spokojny, ujmujący głos. Ktoś taki teoretycznie powinien wzbudzać pozytywne emocje. Przecież pomagał bezdomnym i dawał im dach nad głową.

Teoretycznie. Bo było w nim coś dziwnego. Nawet imię i nazwisko... najbardziej popularne w kraju. Podawane jako przykład na wzorach dokumentów w urzędach. Jan Kowalski. Czy naprawdę tak się nazywał?

Igor trącił Weronikę nosem. Jakby chciał dać jej znać, że zagalopowała się trochę w swoich rozważaniach. Uśmiechnęła się do niego i pogłaskała po złotej głowie.

– Valentine nic więcej nie napisała od wczoraj? – odezwała się tymczasem Wiera i znowu zakaszła.

– Nie, nic.

Weronika odpisała Valentine od razu po otrzymaniu wiadomości. Pytała, o co chodzi. Do tej pory nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Komunikator wskazywał, że dziewczyna nawet nie odczytała pytań Nowakowskiej.

– Powiedziałaś Danielowi o tej wiadomości? – zapytała Wiera.

Na jej bladej twarzy pojawił się łobuzerski uśmieszek. Weronika zaczerwieniła się. Podgórski. To był temat, którego zdecydowanie wolała nie poruszać. Nawet sama ze sobą. Nawet w przydługich monologach, które czasem prowadziła z psem i końmi, kiedy sprzątała stajnię.

Oczywiście, że go nadal kochała i chciała, żeby było jak dawniej. Ale nigdy już tak nie będzie. Weronika doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Nie ma szans na to, kiedy w pobliżu jest Emilia. A skoro nie mogło być jak dawniej, to należało spróbować pójść do przodu. Choćby miało to oznaczać, że musi iść dalej tylko w towarzystwie Igora i koni.

– No to jak? Powiedziałaś mu?

– Nie – odparła krótko Weronika. Chciała dać przyjaciółce do zrozumienia, że o Danielu

rozmawiać nie będzie.

Wiera zaśmiała się głośno i śmiech przemienił się w kaszel.

– To chyba jesteśmy kwita – dodała, kiedy mogła już spokojnie mówić. – Ja nie chcę rozmawiać o telefonie, a ty o Danielu.

– A co zrobimy z Valentine Blue? – zapytała Weronika. Do tematu komórki zamierzała jeszcze wrócić.

Sklepiarka uśmiechnęła się szelmowsko.

– Może byłoby łatwiej, gdyby pomógł nam Daniel? W końcu jest policjantem.

– Wiera! – rzuciła Nowakowska ostrzegawczo.

– Skoro nie chcesz gadać z Podgórskim, kochanieńka, to może powinniśmy zacząć od samego źródła. Zawsze to powtarzam. Zacząć od źródła. Tylko wtedy można dojść do ujścia.

Weronikę rozśmieszyła ta złota myśl, szybko jednak spochmurniała. Oczywiście, że pomyślała już wcześniej, że trzeba by porozmawiać z Valentine. To nie było przecież niemożliwe.

Kiedy śledztwo w sprawie czarnych narcyzów zaczęło się komplikować, Daniel i reszta poprosili ją, żeby wykorzystwała swoje koneksje i załatwiła dojście do szpitala w Świeciu. Wtedy właśnie Weronika zadzwoniła do Grzeška. Wprawdzie nie miała na to ochoty, ale innego wyjścia nie było. Chciała pomóc Podgórskiemu.

– Może zadzwoń znowu do tego twojego psychiatry, kochanieńka – podrzuciła Wiera i znowu się rozkaszała.

Igor zrobił kilka kroków i szturchnął ją głową. Zawsze w ten sposób starał się pocieszyć tych, których uważał za w jakiś sposób poszkodowanych. Sklepiarka pogłaskała go. Dłonie miała suche i spierzchnięte. Jakby ostatnio postarzała się o wiele lat.

Dzwonki znowu zagrały, kiedy drzwi otworzyły się szerzej i do sklepu weszły dwie kobiety. Obie niosły wiklinowe kosze na zakupy.

– Zadzwoń do niego – szepnęła Wiera i odwróciła się do klientek.

Weronika słuchała jednym uchem, jak kobiety rozplęwały się nad swoimi wiklinowymi arcydziełami. Wyrabiał je niejaki Adrian Lis. Nowakowska wiedziała, o kim mówią. Wysoki chłopak w rozciągniętym dresie nie przypominał cierpliwego rzemieślnika, który wyplata kosze dla starszych pań. Pozory oczywiście mogły mylić. Weronika nieraz się o tym przekonała.

Wyszła przed sklep. Igor pobiegł za nią.

– To co radzisz? – zwróciła się do psa.

Pod wiatą przed sklepem jak zwykle siedziała grupa smakoszy piwa i innych niezbyt wyrafinowanych trunków. Odwrócili się, słysząc głos Weroniki. Może myśleli, że to ich pytała. Wyciągnęła szybko telefon, żeby uniknąć pogawędek. Trudno. Zadzwoni do Grzeška. Niech już będzie. Wiadomość Valentine Blue i Nowe Horyzonty nie dawały jej spokoju. Czują, że powinna spróbować to wyjaśnić.

Słuchała sygnału połączenia, przechadzając się po niewielkim parkingu przed sklepem. Po drugiej stronie ulicy trwało właśnie malowanie remizy ochotniczej straży pożarnej. Weronika od razu przypomniała sobie o tym, jak kiedyś tańczyła tam z Danielem. Wcześniej nigdy by nie uwierzyła, że kiedykolwiek weźmie udział w wiejskiej dyskotecie. A raczej w tańcach, jak w Lipowie mówiono. A jednak.

– Weronika?

Głos Grzeška Wilczyńskiego wyrwał ją z zamyślenia. Poczwała, że mięśnie jej tężeją. Dziwne. Kiedy rozmawiała z nim kilka dni temu, jej ciało nie zareagowało aż tak emocjonalnie.

– Cześć, Grzesiek – przywitała się. Starła się, żeby jej głos brzmiał wesoło i niezobowiązująco.

– Weronika – powtórzył psychiatra z nieoczekiwaną rezerwą.

– Przeszkadzam?

Drogą przejechał radiowóz. Marek Zaręba i Paweł Kamiński patrolowali wieś i okolice. Skinęła im głową na powitanie. Pijaczkowie spod wiaty unieśli kapelusze.

– O co chodzi? – zapytał Grzesiek zamiast odpowiedzi.

– Słuchaj, czy mógłbyś mi jeszcze raz załatwić wejście na oddział? – zapytała bez ogródek. Owijanie w bawełnę nie miało sensu, zwłaszcza że chciała jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Po co?

– Muszę jeszcze raz pogadać z Valentine Blue.

– Przecież niedawno z nią rozmawiałaś. Znowu chodzi o czarne narcyzy?

W głosie Grzeška pobrzmiewała jakaś dziwna nuta. Podejrzliwość? Może. Ale niewykluczone, że coś więcej. Chyba że znowu szukała nieistniejących znaczeń. Weronika doskonale wiedziała, że ma taką przypadłość. Doszukiwanie się drugiego dna. Wszędzie. Nawet tam, gdzie go ewidentnie nie było.

– Nie, nie – zapewniła skwapliwie. – Chodzi o zupełnie coś innego. Tamto śledztwo jest już zamknięte. To znaczy z tego, co wiem, na komendzie już zmierza do finału.

– To o co chodzi?

Tym razem psychiatra zapytał delikatniej. Niemal po ojcowsku. Pewnie bawił się teraz kucykiem z długich kasztanowych włosów, jak to miał w zwyczaju.

– Takie tam – rzuciła lekko. Na razie nie chciała wchodzić w szczegóły. Jeśli zdecyduje się Grześkowi zaufać, opowie mu wszystko później. – To jak?

Wilczyński milczał. Słyszała jego oddech po drugiej stronie linii. Wyćwiczony. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Znała ten rytm doskonale. Tego typu technik relaksacyjnych sama uczyła swoich pacjentów. Kiedy prowadziła gabinet w Warszawie.

– Pozwolisz mi z nią pogadać? – dodała, kiedy milczenie się przedłużało.

– To może być trudne.

– Dlaczego? Przecież jesteś ordynatorem.

Zabrzmiało to trochę tak, jakby Weronika była rozkapryszoną małą dziewczynką, która jest zła, że jej nie pozwolono zjeść cukierka. Odchrząknęła.

– Ostatnio wprowadziłeś mnie do niej bez problemu – przypomniła.

– Ona nie żyje.

– Valentine Blue nie żyje?!

Weronice aż zaschło w ustach. Przecież jeszcze wczoraj Valentine Blue do niej napisała: *Pamiętaj o Nowych Horyzontach. Nie dopadną mnie.* Teraz, kiedy dziewczyna nie żyła, słowa jej enigmatycznej wiadomości niebezpiecznie zyskiwały na znaczeniu.

SCENA 2

Ulica Sądowa w Brodnicy.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 9.00.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska uchyliła szybę samochodu jeszcze szerzej. Dojeżdżali już co prawda pod komendę, ale czuła, że dłużej nie wytrzyma i papierosowego dymu, i zamknięcia.

– Musisz tak dymić jak lokomotywa? – zapytała. Wyszło ostrzej, niż chciała. Może to i dobrze. Wcale nie miała ochoty, żeby Daniel wiedział, co naprawdę czuje. – Mogę chociaż to ściszyć?

Sięgnęła do pokrętła radia, zanim Podgórski zdążył odpowiedzieć, i zniżyła poziom głośności do minimum. Kiedy mocne nuty piosenki Iron Maiden ucichły, milczenie stało się jeszcze bardziej przytłaczające. Cisza potrafi nieprzyjemnie demaskować. Pogłośniła z powrotem.

Daniel patrzył na drogę przed sobą i dalej najspokojniej w świecie palił papierosa. Nie zareagował w żaden sposób na jej poczynania. To oczywiście bardziej ją rozwścieczyło. Która kobieta jest w stanie znieść taki brak reakcji podczas kłótni? Odpowiedź jest prosta. Żadna.

Emilia odetchnęła głębiej, żeby się uspokoić.

– Już ci przeszło? – zapytał Podgórski lekkim tonem, kiedy już prawie się opanowała.

Miała ochotę go uderzyć. Jeśli chciał w ten sposób rozładować sytuację, to zdecydowanie mu nie wyszło. A to, że nie wyglądał na szczególnie przejętego, było nie do zniesienia.

– Sienkiewicz powiedział ci, po co mnie wzywa? – zapytała, siląc się na spokój. – Wiesz coś na ten temat?

To, że Emilia siedziała zamknięta w zadymionym samochodzie razem z Podgórskim, nie było jej jedynym powodem do zmartwień. Miała poważniejsze kłopoty. Podczas śledztwa dotyczącego czarnych narcyzów została oskarżona o przekroczenie uprawnień służbowych. Nie wiedziała, co ostatecznie zdecydowała prokurator Więcek. Ani dlaczego naczelnik Sienkiewicz zadzwonił rano na posterunek do Lipowa i polecił, żeby przyjechała na komendę.

Miała dziś patrolować Lipowo razem z Markiem Zarębą. Zastąpił ją szef posterunku, Paweł Kamiński. Młody oczywiście był niepokieszony. Nic dziwnego. Nikt nie chciał spędzić całego dnia z Kamińskim, jeśli nie musiał. Ale co zrobić? Nie mogła odmówić Sienkiewiczowi.

– Nic nie wiem. Dziś mój pierwszy dzień, zapomniałaś? Naczelnik jeszcze ze mną nie rozmawiał.

Jakiś czas temu, po śledztwie dotyczącym domu czwartego, Podgórski został zawieszony. Ale ostatnio pojawiły się nowe dowody i Sienkiewicz wyraził zgodę, by Daniel wrócił do wydziału kryminalnego.

– Może podjęli decyzję w mojej sprawie? – zastanawiała się.

– Spokojnie. Nie zrobiłaś nic złego. Nie było innego wyjścia. Zdecydowałaś się działać. Dzięki temu uratowałaś komuś życie. Wszyscy to wiedzą.

– Media niekoniecznie tak to widzą. Uważają mnie za morderczynię.

Stanęli na światłach na skrzyżowaniu Sądowej, Zamkowej i Wiejskiej. Kierunkowskaz subaru tykał rytmicznie. Zdawał się zlewać z muzyką dochodzącą z głośników.

– Pieprzyć media, Mila. Rzecznik się tym zajmie. To nie twoje zmartwienie. Ważne, żeby Więcek nie bruździła. A z tego, co wiem, napomknęła, że nie będzie wyciągać konsekwencji. Podjęłaś dobrą decyzję. Żadnych uchybień.

Strzałkowska pokiwała głową. Prokurator Więcek się z nią nie kontaktowała i to był chyba dobry znak. Tak przynajmniej jeszcze rano zasugerował jej Łukasz. Starła się słuchać syna. Miał prawie siedemnaście lat. Ciągłe wydawało jej się, że jest jej małym chłopcem, choć wyglądał jak dorosły

mężczyzna. Jak Daniel. Podobieństwa nie dało się nie zauważyć.

– Więc spokojnie – powtórzył Podgórski. – Wszystko się ułoży.

Światła się zmieniły. Daniel podjechał kawałek, ale z prawej Sądową nadjeżdżały samochody. Zahamował płynnie. Emilia poczuła dziwną ulgę. Zyskała kilka dodatkowych sekund, zanim skręca w Zamkową, miną Kaufland i dojadą do komendy.

– Mam nadzieję – szepnęła.

Jak na złość auta z prawej zatrzymały się. Daniel przeciął skrzyżowanie. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

– No i jeszcze Marek...

Nie dokończyła. Wczoraj wieczorem Młody powiedział jej o kłopotach ojca. Nie była pewna, czy zwierzył się Podgórskiemu. Przyjaźnili się, więc to było prawdopodobne. Miała nadzieję, że nie nadużyła zaufania Zaręby.

– Co z Młodym? – zainteresował się Daniel.

Wyglądał na zaskoczonego, więc chyba o niczym nie wiedział. Przez ostatnie miesiące zapijał smutki w stróżówce ośrodka wczasowego Słoneczna Dolina. Odsunął się od wszystkich. Od Zaręby najwyraźniej też, bo jak w takim razie wytłumaczyć, że Marek zwierzył się jej, a nie Danielowi?

Wjechali na parking za komendą. Większość miejsc była zajęta. Ludzie zatrzymywali się tu, kiedy przyjeżdżali do pracy do miasta. Mimo to Podgórski znalazł jakąś lukę i zaczął manewrować, żeby błękitne subaru się tam zmieściło. Postanowiła poczekać z rewelacjami, aż skończy.

– Co z Młodym? – powtórzył, kiedy wreszcie się udało. Zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce.

Emilia spojrzała na Daniela spod oka. Nadal był blady i miał podkrążone oczy, ale chyba przyszydził nieco brodę, bo zarost wyglądał dziś na bardziej zadbane. Włosy też najwyraźniej przyczesał. Przez to zaczynał przypominać dawnego siebie, a nie zapitego menela, który walił do jej drzwi i bełkotał, że chce się widzieć z synem.

Serce zabiło jej szybciej. Odwróciła się, by Podgórski nie wyczytał nic z jej twarzy.

– Ojciec Marka ma kłopoty – wyjaśniła.

Podgórski uniósł brwi znów zaskoczony.

– Przecież Młody nie utrzymuje z ojcem kontaktów – powiedział, zapalając kolejnego papierosa. – I to od lat. Będzie już ze dwadzieścia, jeśli dobrze liczę.

– Najwyraźniej kontakt się odnowił – zauważyła. Znowu zbyt ostro. – Naprawdę przestałbyś tak kopcić.

Daniel zaciągnął się głęboko. Jakby na złość. W zasadzie mu się nie dziwiła. Szczerze mówiąc, zmieniała się w jędrę. Najgorsze, że nic nie mogła na to poradzić. To działało się jakby samo.

– Odpalasz jednego od drugiego – dorzuciła z irytacją. Skoro już miała być żoną, to na całego. – Opamiętaj się, człowieku.

– Jesteś moją matką czy co? – zaśmiał się Daniel. Znowu nie wyglądał na zbyt przejętego jej powtarzającymi się przytykami.

Zdecydowanie nie jestem, miała ochotę palnąć. Maria Podgórska była sekretarką na posterunku w Lipowie. Dumną żoną policyjnego bohatera, który stracił życie na służbie. Dostarczycielką najlepszych wypieków w całym powiecie, a może i w województwie. Emilia ewidentnie nie posiadała takich talentów.

– Zniknęła dziewczyna ojca Marka – wyjaśniła szybko, by nie wdać się w kłótnię. I tak była już spóźniona na spotkanie z naczelnikiem. Nie ma na to czasu. – Młody mówił mi, że to może być jakaś poważniejsza historia.

– Cezary zgłosił zaginięcie?

– Właśnie nie.

– A kiedy zaginęła?

– W środę, tydzień temu.

Daniel spojrzał na Emilię spod oka i znowu zaciągnął się papierosem.

- Nie ma jej od tygodnia?
- Dokładnie tak. Ojciec Marka boi się, że ona nie żyje.
- Tym bardziej powinien był to zgłosić. I to dawno.
- Marek mu to zasugerował, ale to podobno jest jakaś niejasna sytuacja.
- To znaczy?

– Ta jego dziewczyna, zdaje się Berenika, nazwiska nie pamiętam – zaczęła Emilia, ścisząc nieco głos. Siedzieli co prawda w samochodzie, ale na zewnątrz mijał ich właśnie jakiś człowiek. Skinął głową Podgórkowskiemu, więc zapewne pracował w firmie. Strzałkowska go nie rozpoznała. – Ona jest nastolatką. Cezary Zaręba był jej nauczycielem.

Daniel uniósł brwi.

- Nieletnia?

Emilia pokręciła głową.

- Całe szczęście nie. W tym roku zdawała maturę. Skończyła niedawno dziewiętnaście, więc...

Nie dokończyła. Berenika była co prawda pełnoletnia, ale czy to zmieniało cokolwiek? Uczennica i jej nauczyciel. Było w tym coś... Strzałkowska szukała odpowiedniego słowa. Nie w porządku? Taka relacja nigdy nie mogła być czysta. Przynajmniej tak jej się wydawało. Mentor zawsze występuje z pozycji władzy. Tym bardziej że stary Zaręba związał się z uczennicą jakiś rok temu. Czyli spotykali się, kiedy Berenika chodziła jeszcze do jego klasy.

– Może ta Berenika jest po prostu na gigantycie? – zastanawiał się Daniel. – Albo rozstała się z Cezarym i dlatego unika z nim kontaktu.

Wysiedli z samochodu i ruszyli do komendy. Robiło się późno.

- Skąd w ogóle pomysł, że ta dziewczyna nie żyje? – dodał.

– Zdaje się, że ojciec Młodego twierdzi, że ona nigdy by go tak nie zostawiła. Znaczy się bez słowa.

- Wiesz, że każdy tak mówi.

Daniel uśmiechnął się szeroko. Jego oczy jakby się przy tym rozjaśniły. Jak wtedy, kiedy go poznała. W szkole policyjnej wiele lat temu. Byli młodzi i naiwni, pełni ideałów. A teraz co? On z nieodłączną paczką papierosów i butelką czekającą w domu. Ona głupio zakochana szara myszka z nadbagażem kilogramów zgromadzonych w mało strategicznych okolicach bioder i ud.

– Wiem. Ale Marek z jakiegoś powodu uważa, że jego ojciec się nie myli. Poprosił, żebyśmy się tym zajęli. – Specjalnie użyła liczby mnogiej, choć Młody tylko ją prosił o pomoc. Jak bardzo jestem żałosna? – pomyślała. – Marek dał mi telefon do Cezarego – dodała szybko, starając się ukryć zakłopotanie. – Moglibyśmy do niego potem zadzwonić i dowiedzieć się, o co chodzi. Co ty na to?

- Czemu Młody sam się tym nie zajmie?

– Odniosłam wrażenie, że nie czuje się na siłach. Ty wiesz lepiej, co się działo pomiędzy nim a jego ojcem.

– Zajmiemy się tym po robocie – zdecydował Daniel. – I jak się dowiesz, czego chce od ciebie Sienkiewicz.

Weszli do budynku. Przywitani się krótko z dyżurnymi i ruszyli dalej korytarzem.

- No proszę. Jest i nasza dwójka z Lipowa – rozległo się z prawej strony.

Emilia odwróciła się. Naczelnik rozmawiał właśnie z krótkowłosą policjantką. Nazywała się Laura Fijałkowska. Strzałkowska miała okazję poznać ją przelotnie podczas śledztwa w sprawie czarnych narcyzów. Sienkiewicz przekazał Laurze jakieś papiery i kiwnął na nich.

– Trochę się spóźniliście – powiedział ni to tonem nagany, ni ironii, kiedy się przywitani. Zmarszczki wokół jego oczu bardziej się uwydatniły. Głębokie zakola i łobuzerski uśmiech sprawiały, że przypominał Emilię Bruce'a Willisa.

- Przepraszamy. Nie miałam podwózki. Zadzwoniłam do Daniela. Właśnie wyjeżdżał i...

Sienkiewicz machnął ręką, jakby nie miał ochoty słuchać żadnych wyjaśnień.

– Podobno w Świeciu mieli kłopoty z tą dziewczyną, która rozrabiała u was w Lipowie – rzucił tonem pogawędki.

– Valentine Blue? – zdziwił się Daniel.

– A no tak. Nie żyje. Ale to nie nasza sprawa. Koledzy ze Świecia wyjaśniają. My zajmujemy się swoim podwórkiem. Na dobry początek przyjmiecie zgłoszenie zaginięcia.

– My? Ale... – zaczęła Emilia.

Nadal nie rozumiała, po co ją wezwano na komendę. Tymczasem wyglądało na to, że właśnie dostała zadanie do wykonania.

– Chcę sprawdzić, jak sobie poradzisz w krymie – wyjaśnił krótko naczelnik. – Nie ukrywam, że po tych wszystkich aferach chętnie będę miał cię na oku. Jak się sprawdzisz, zostaniesz. Jak nie...

Nie dokończył. Nie była pewna, czy sugerował, że wróci do Lipowa, czy że wyleci z firmy. Woląla nie wnikać.

– Daniel, pamiętasz, jak się umawialiśmy? – zapytał Sienkiewicz, odwracając się do Podgórskiego. – Żadnego picia na służbie. Poza najlepiej też. I tak patrzą nam na ręce. Jak cię pismaki obfotografują zalanego w trupa, nie będę zadowolony.

– Oczywiście. Nie zawiodę.

– No to już. Zaginiona nazywa się Berenika Borkowska. Jej rodzice czekają. Bogata rodzina. Z roszczeniami, żeby odnaleźć dziewczynę szybko i tak dalej. Rozumiecie, o czym mówię. Zajmiecie się tym w ciągu dnia, a po południu przyjdziecie zdać mi relację. Czekam o szesnastej trzydzieści, bo potem mam jeszcze kilka innych spraw. Laura będzie was wspierać tu z komendy, jeśli będziecie czegoś potrzebowali.

Fijałkowska skrzywiła się nieznacznie, ale skinęła głową na znak aprobaty. Strzałkowska miała wrażenie, że policjantka unika jej spojrzenia.

SCENA 3

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 9.00.

Klementyna Kopp

Klementyna Kopp zatrzymała swoją małą czarną skodę na parkingu przed głównym budynkiem ośrodka Słoneczna Dolina. Byli na miejscu. Zamknęła okno, metodycznie kręcąc korbką.

– Naprawdę nie mogliśmy włączyć klimy? – zapytał Dawid Przybylski z siedzenia obok.

– Nie – odparła krótko.

– Cały jestem spocony i śmierdzą – zrzędził chłopak. – A może w tym gruchocie klima w ogóle nie działa?

Gruchot, co? Kopp spojrzała na niego spod oka. Skoda była może i brzydka. Ale! Za to zdecydowanie niezawodna. A już na pewno nie żaden gruchot. *Brzydka-ale-niezawodna*. Jak sama Klementyna. Żaden przerośnięty dryblas nie będzie jej mówił, że jest inaczej. Nawet jeżeli był synem Teresy. *Jej-Teresy*.

Nie zaszczyciła jego słów najmniejszym komentarzem. Zerknęła we wsteczne lusterko. Marta siedziała na tylnej kanapie z nogami podciągniętymi pod samą brodę. I tak przez całą drogę z Brodnicy. Nie była to najbezpieczniejsza pozycja do podróżowania. Mimo to Kopp nie zwróciła jej uwagi. Ani razu. Mimo że naprawdę przykładła wagę do bezpiecznej jazdy. Dziewczyna Dawida nie potrzebowała teraz ostrych słów ani kłótni. Nie po tym, co przeszła kilka dni temu.

– Dopiero dziewiąta, a już taki upał – marudził dalej Dawid.

Zupełnie jak rozpieszczony dzieciak, a miał już dwadzieścia lat. Do tego prawie dwa metry i bicepsy szerokości talii Klementyny. A nigdy nie przypominała osy. Nawet w młodości. Co dopiero teraz, kiedy przekroczyła sześćdziesiątkę.

– Spoko. Ale! Może już się zamknij, co? – nakazała. Najspokojniej, jak się dało. Przecież nie chciała dodatkowo niepokoić Marty.

Dawid i Marta. *Dawid-i-Marta*. Ta dwójka trafiła do niej kilka dni temu, kiedy razem z Danielem i resztą zajmowała się czarnymi narcyzami. Zdarzyło się to, można by rzec, nieoczekiwanie. Przyjęła ich pod swój dach. Bo co niby miała zrobić, co?

Dryblas był przecież synem Teresy. Kobiety, którą Klementyna kochała bardziej niż kogokolwiek. Kiedykolwiek. Teresa na pewno by chciała, żeby pomogła tej dwójce. Nawet jeśli wymagało to olbrzymich pokładów cierpliwości. A nie trzeba dodawać, że Kopp nigdy takowymi nie dysponowała. Nawet w najlepszych czasach. Z wiekiem było z tym tylko gorzej.

Co więcej, Dawid okazał się chłopkiem roztropkiem z przerostem gangsterskich ambicji. Och, jak on uwielbiał używać tego słowa. Był w gangu w Bydgoszczy. Bardziej komicznego karmienia własnego ego Kopp nie mogła sobie wyobrazić. To by było doprawdy zabawne. Tylko że niestety poczynania syna Teresy miały swoje konsekwencje.

Klementyna znowu zerknęła we wsteczne lusterko na Martę. Tragiczne konsekwencje, warto dodać. I to nie dla samego Dawida, ale dla jego dziewczyny. Kolesie z gangu postanowili odegrać się na Marcie. Mimo że nie była winna. Już poszli siedzieć. Kopp tego dopilnowała. Ale! Nie było co się łudzić, że Marta kiedykolwiek zapomni, że ją zgwałcono. Takie rzeczy zostają w kobiecie do końca życia.

To, że koleżkowie Dawida trafili za kratki, również nie pozostanie bez konsekwencji. A to dlatego, że będą sypać. Wcześniej czy później. Tacy jak oni zawsze są mocni w gębie tylko do czasu, kiedy się ich nie przyciśnie. Nawet nie trzeba było tego robić ze szczególnym zapalem. Wystarczyło od niechcenia, a już gadali jak najęci.

– Przemyślałeś, co ci mówiłam, co? Najlepszym rozwiązaniem jest pójście na współpracę z policją. Zanim twoi kolesie narobią ci kłopotów.

Sprawę komplikował fakt, że tatusiek Dawida był nie byle kim, tylko komendantem wojewódzkim w Bydgoszczy. Starego Przybylskiego znali wszyscy. I wszyscy przed nim trzęśli portkami. Łobuzy i ci tak zwani dobrzy. Zawsze postępował według litery prawa. Jak automat. Nie było mowy o żadnych ustępstwach ani układach i układzikach. Nawet jeśli chodziło o własną rodzinę. Dlatego właśnie jeśli chciała pomóc Dawidowi, trzeba było robić to z głową.

– No nie wiem – mruknął chłopak.

Klementyna na razie nie zamierzała naciskać. Jeszcze nie. Potem się zobaczy. To, że Dawid dotąd nie został zatrzymany, oznaczało, że stary Przybylski jeszcze się o niczym nie dowiedział. To z kolei mogła być kwestia najbliższych tygodni, a może nawet dni, jeśli gangsterzy okażą się bardziej gadatliwi. W pewnym momencie trzeba to będzie Dawidowi bardziej dobitnie uświadomić. Bo na razie chyba nie do końca łapał sytuację. Ale! To potem.

Na razie odwróciła się do Marty. Dziewczyna wzbudzała w niej matczyne uczucia, co było nieco przerażające. Kopp uważała się za ostatnią osobę, która mogłaby kogoś wychowywać. Może kiedyś tak. Ale! Teraz stanowczo nie.

– To idziemy na plażę, co? – zapytała.

Marta wyglądała na wielbicielkę solarium. Brązowa skóra, tipsy i takie tam. Na pewno w domu w Bydgoszczy opalała się często i długo. Dlatego Klementyna wpadła na pomysł, by przyjechać nad Bachotek.

– Okej – odpowiedziała dziewczyna.

A więc sukces. Choćby dlatego, że Marta wreszcie się odezwała. No i Klementyna mogłaby przysiąc, że na jej twarzy zamajaczył cień uśmiechu.

Wysiedli z samochodu. Z miejsca poczuli zapach jeziora i rozgrzanego palącym słońcem lasu. Zapach lata. Wplątała się w to woń frytek smażonych na starym oleju. Jak w każdym ośrodku wypoczynkowym tak i tu bez tego wakacyjnego rarytasu nikt nie mógł się obyć. Kopp od razu zrobiła się głodna. Nie jadła zbyt regularnie. Właściwie nigdy zdrowo. Frytki na śniadanie to nie byłoby nic dziwnego w jej menu. Może kupi sobie jedną porcję.

– Tam jest plaża? – zapytała Marta.

No proszę, jaka nagle gadatliwa. Przyjazd tu był naprawdę dobrym pomysłem. Kopp z miejsca porzuciła pomysł jedzenia frytek. Trzeba było kuć żelazo, póki gorące, i jak najszybciej zabrać Martę nad jezioro.

– Tak.

Z kąpieliska na dole dochodziły śmiechy i odgłosy wesołej zabawy. Wyglądało na to, że turyści dopisali. Po południu będzie jeszcze więcej ludzi, bo mieszkańcy Brodnicy też spędzali nad okolicznymi jeziorami letnie popołudnia. Słoneczna Dolina nad Bachotkiem była szczególnie często odwiedzana. Pewnie z powodu sporego kąpieliska i drewnianego pomostu, z którego młodzież lubiła skakać do wody.

Kopp zaglądała tu dosyć regularnie. Ale! Nie po to, żeby zażywać kąpiele. Na takie swawole była już zdecydowanie za stara. Przyjeżdżała tu, żeby obserwować właściciela ośrodka. Chciała, żeby Wiśniewski nie zapomniał, że ktoś ciągle ma go na oku. Zwłaszcza po tym, co się tu stało kilka lat temu podczas dochodzenia w sprawie Mordercy Dziewic.

Spojrzała na główny budynek ośrodka. Trzypiętrowy pawilon z balkonami wychodzącymi na jezioro i betonową ścianą od parkingu. Przed wejściem kilka ławek. Wiśniewski miał zwyczaj przesiadywania na pierwszej z nich i obserwowania swojego przybytku. Teraz też tam był. Rozmawiał z jakimś wychudzonym okularnikiem.

– Weźcie ręczniki, a ja pójde się przywitać z panem właścicielem – rzuciła Kopp do Dawida i Marty.

– Nie! – wyrwało się chłopakowi.

Klementyna zatrzymała się w pół kroku zaskoczona jego gwałtowną reakcją.

– Co?

– Wracajmy może do domu – bąknął Dawid nerwowo. – To chyba nie był dobry pomysł, by tu przyjechać. Marta powinna odpoczywać.

Kopp spojrzała na Dawida spod oka.

– Skąd to nagle zainteresowanie dobrostanem Marty, co? Przedtem jakoś nie było ci spieszno się przejmować.

Nie odpowiedział.

– Wolałabym zostać – odezwała się Marta. Zaczynała wykazywać inicjatywę, to był naprawdę dobry znak. – O, Dawid, a czy to Mścisław Grabowski? Tam na ławce.

Kopp odwróciła się w stronę Wiśniewskiego i jego kompana. Marta widać znała wychudzonego okularnika. Dawid ewidentnie też.

– Tak – mruknął chłopak. – Chodźmy już na plażę.

SCENA 4

Pod sklepem Wiery w Lipowie.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 9.30.

Weronika Nowakowska

Valentine Blue nie żyje? – upewniła się Weronika, przyciskając mocniej telefon do ucha.

– Tak – potwierdził Grzesiek Wilczyński.

– Jak to się stało?

Weronika usiadła na schodach do sklepu. Wielbiciele mocnych trunków kiwali głowami, żeby dołączyła do nich pod wiatą, ale ich zignorowała. Igor ułożył się na jej stopach. Może i było mu gorąco, ale najwyraźniej nie zamierzał rezygnować z ich rytuału. Pogłaskała go po złotym łbie.

– Mieliśmy tu wczoraj niezły bałagan – wyjaśnił niechętnie psychiatra. – Dyrektor szpitala zdecydował nawet, żebym wziął kilka dni wolnego. Aż sprawa ucichnie.

Mężczyźni pod wiatą zaśmiewali się z jakiegoś sprośnego dowcipu. Przycisnęła telefon mocniej do ucha, bo ledwie słyszała, co psychiatra mówi. Rzuciła stanowcze spojrzenie pijaczkom. Miała nadzieję, że wyszło stanowczo, choć nie była tego pewna. Niestety nie potrafiła być asertywna.

– Ale co się stało? – zapytała jeszcze raz.

– Wszystko wyrwało się spod kontroli. Generalnie rzecz biorąc, niefortunny splot kilku czynników – powiedział.

Śmierć Valentine to był niefortunny splot czynników? Weronika zachnęła się i ledwie się powstrzymała, by go nie ofuknąć za te słowa. Jeśli chciała się czegoś dowiedzieć, nie powinna go denerwować. Psychiatra mógł być jej jedynym źródłem informacji na temat nieoczekiwanej śmierci Valentine Blue.

Mogła oczywiście poszperać w Internecie i tam poszukać doniesień na temat wydarzeń w szpitalu w Świeciu. Tylko że takie relacje mogły być mocno okrojone albo zupełnie nieprawdziwe. Nie miała wyjścia. Musiała wyciągnąć coś jeszcze od Grzeska. A przynajmniej spróbować, nawet jeśli rozmowa z nim budziła nieprzyjemne wspomnienia sprzed lat.

– Na oddziale była akurat nowa, niedoświadczona pielęgniarka – podjął opowieść Wilczyński. – Trochę czuję się winny, bo to ja dałem Kinge nocną zmianę. Z reguły jest wtedy w szpitalu spokojniej. Nie spodziewałem się, że do czegoś takiego dojdzie.

– Ale co się stało?

Weronika nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania po raz trzeci.

– Przyjeliśmy na oddział nowego pacjenta. W czasie wstępnego badania i wywiadu zachowywał się spokojnie. Niestety wieczorem zupełnie mu odwaliło.

Kolokwialne określenie nie było zbyt precyzyjne, a Weronika oczekiwała konkretów.

– To znaczy? – zapytała więc.

– Zrobił się agresywny i rozpętał się prawdziwy armagedon – opowiadał Grzesiek. – Facet zaatakował kilka osób, między innymi tę twoją Valentine Blue i tę naszą pielęgniarkę. Kinga zabarykadowała się razem z Valentine w jednej z salek. Kinga była poturbowana, Valentine ledwie oddychała. Zanim reszta personelu zdołała unieszkodliwić furia i sprowadzić pomoc, Valentine zmarła. Kinga powoli dochodzi do siebie. Ale już żartuje, jak taka poobijana pokaże się na randce ze swoim chłopakiem. Pocieszam się, że skoro myśli o takich rzeczach, to chyba naprawdę dochodzi do siebie.

Dzwoneczki w drzwiach sklepu zadźwięczały donośnie. Panie z wiklinowymi koszykami wyszły na dwór, nadal plotkując. Wiera odprowadziła je kawałek i szybko przysiadła na schodach obok Weroniki. Znowu kaszłała.

– Psychiatra? – zapytała bezgłośnie, pokazując telefon Weroniki.

Nowakowska skinęła głową. Sklepiarka uśmiechnęła się zadowolona. Na jej bladej twarzy pojawiły się rumieńce podekscytowania. Chyba miała nadzieję, że znowu złączą prywatne śledztwo.

Weronikę nagle opanowała dziwna pewność, że to się nie może skończyć dobrze. Ładowanie się w kłopoty przez odgrywanie domorosłego detektywa było jej specjalnością. A teraz jeszcze ciągnęła za sobą chorą przyjaciółkę. Powinna się chyba mocno nad tym zastanowić.

– Ten pacjent zaatakował specjalnie Valentine? – zapytała mimo to.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Grzesiek.

Valentine Blue napisała przecież, że ktoś z Nowych Horyzontów chce ją dopaść. Kilka godzin później została brutalnie zaatakowana przez nowo przyjętego pacjenta. Przypadek? Weronice trudno było w to uwierzyć. Choć być może po raz kolejny ponosiła ją nazbyt wybujała wyobraźnia.

– Chodzi mi o to, czy to ona była celem ataku?

Wilczyński nie odpowiadał.

– Nie znam szczegółów – oznajmił w końcu. – Mówiłem już, że jestem od dziś na urlopie. Okoliczności wyjaśniają prokurator, policja i dyrekcja szpitala. Dlaczego tak bardzo cię interesuje ta Valentine Blue?

Weronika znowu poczuła, że mięśnie się napięły. Czy może Grześkowi zaufać? Powiedzieć o wiadomości od Valentine? Jakoś nie mogła się na to zdobyć. Nie dlatego, żeby uważała, że miał coś wspólnego ze śmiercią pacjentki albo z Nowymi Horyzontami. Raczej przez to, co stało się dawno temu, jeszcze w Warszawie.

– Tak po prostu – skłamała więc. – Ciekawy przypadek i tyle.

– Zgadza się – powiedział Wilczyński, ale wyraźnie było słychać, że jej nie uwierzył. – To zadanie dla policji. Lepiej się w to wszystko nie mieszaj. Rozumiesz?

SCENA 5

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 9.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Aspirant Daniel Podgórski przejrzał jeszcze raz zdjęcia. Przynieśli je rodzice zaginionej dziewczyny. A właściwie matka i ojczym. Urbańscy podkreślili to chyba z dziesięć razy, odkąd Podgórski i Strzałkowska zaczęli z nimi rozmawiać.

Hanna Urbańska była piękną, zadbaną kobietą o gęstych, długich włosach w kolorze pszenicy. Jej męża, Gustawa, Podgórski znał z widzenia. Urbański był jednym z bogatszych ludzi w mieście, przedsiębiorcą i właścicielem kilku lokali gastronomicznych. Z niewiadomego powodu oboje od pierwszej chwili wzbudzali w Danielu silną niechęć.

Skupił się na zdjęciach, żeby tego nie okazać. Zaginiona Berenika Borkowska w niczym nie przypominała swoich opiekunów. Fotografie przedstawiały ubraną na czarno nastolatkę z mocnym, ciemnym makijażem i postrzępionym hebanowym irokezem na głowie. Jedynym akcentem kolorystycznym w tym mrocznym wizerunku była tęczowa bransoletka z koralików na nadgarstku. Intensywne barwy ostro kontrastowały z czernią ubrania.

Podgórski zaczął przekładać zdjęcia. Znalazł takie, na którym bransoletka była wyraźniej widoczna. Teraz zauważył, że część koralików miała nadrukowane literki. Układały się w niezrozumiałe słowo BiBi.

– Co to znaczy BiBi? – zapytał, unosząc zdjęcie.

– Och, to ksywka mojej córki – wyjaśniła Hanna Urbańska. – Chodzi o to, że ma inicjały B.B., Berenika Borkowska. Ona i jej przyjaciółki wymawiają to z angielska, „bi-bi”. Wszystkie trzy mają takie bransoletki. To znaczy każda ze swoim pseudonimem.

– Nazwisko Berenika ma po swoim biologicznym ojcu. Ja jestem ojczymem – powtórzył Gustaw Urbański. Jedenasty raz. Widocznie bardzo zależało mu na tym, żeby Daniel i Emilia to zapamiętali.

Borkowski. Daniel miał wrażenie, że gdzieś słyszał to nazwisko. Nie potrafił jednak przypomnieć sobie gdzie. Szczerze mówiąc, trudno było mu się skupić. Próbował nie myśleć o piciu, ale im bardziej się starał, tym gorzej to wychodziło. A przecież obiecał. Nie tylko naczelnikowi Sienkiewiczowi. Przede wszystkim Łukaszowi. Nie chciał zawieść syna po raz kolejny.

Poza tym nie zamierzał wracać do stróżówki w Słonecznej Dolinie. Był gliną, nie cieciem. Praca w firmie stanowiła nie tylko rodzinną tradycję, ale też powołanie. Jakkolwiek górnolotnie by to brzmiało.

– Być może państwa córka po prostu pojechała do ojca – włączyła się do rozmowy Emilia. – Mam na myśli biologicznego ojca.

Powiedziała to z lekka ironicznie. Mimo to Urbańscy patrzyli na nią bardziej przychylnie niż na Podgórskiego. Być może dlatego, że miała na sobie mundur. Daniel, jako funkcjonariusz wydziału kryminalnego, nosił cywilne ubranie. Bojówki i czarna koszulka chyba nie wzbudzały w Urbańskich szczególnego respektu.

– Dzwonili państwo do niego? – zapytał.

– To byłoby pierwsze, co byśmy zrobili – zapewnił Gustaw.

– Byłoby? – podchwyciła Emilia, wstając.

Uchyliła okno. Gabinet na parterze był niewielki. Daniel doskonale wiedział, że Strzałkowska źle się czuje w małych pomieszczeniach.

– Mój pierwszy mąż nie żyje – wyjaśniła szybko Hanna Urbańska. – Zginął w wypadku samochodowym, zanim wyszłam za Gustawa. To było... dość makabryczne.

Nagle Daniel skojarzył nazwisko. Mężczyzna nazywał się Marcin Borkowski. Na jego samochód najechał tir prowadzony przez pijanego kierowcę. Określenie dość makabryczne nie oddawało w pełni tego, co się stało. Daniel nie zajmował się osobiście tą sprawą, ale chłopaki z ruchu sporo opowiadali swego czasu o głowie, która wyleciała z samochodu uszkodowanego i potoczyła się kilkadziesiąt metrów dalej. Obcięta w wyniku zderzenia.

– Tak więc do ojca raczej nie pojechała – dodał Gustaw Urbański z przekąsem.

– Kiedy widzieli państwo ostatnio córkę? – zapytał Podgórski.

Marek powiedział Emilii, że jego ojciec widział Berenikę w środę tydzień temu. Trzeba było ustalić, kiedy kontaktowała się z rodzicami.

Prawdę mówiąc, Daniel czuł rozgoryczenie, że Młody nie zwrócił się ze swoim problemem do niego, tylko do Strzałkowskiej. Marek był dla niego zawsze jak młodszy brat. Cóż, trudno go winić. Podgórski zawiódł w ostatnim czasie nie tylko syna. Trzeba będzie sporo cierpliwości i samozaparcia, żeby odbudować po kolei wszystkie relacje. Cierpliwości. Samozaparcia. I *nie-picia*.

– To moja córka – sprostowała natychmiast Hanna Urbańska. – Gustaw jest jej ojczymem.

Dwunasty raz, o ile Daniel się nie mylił. Podgórski zerknął w stronę Emilii. Był ciekaw, czy ona też odniosła wrażenie, że Berenika Borkowska nie była raczej ulubionym członkiem tej rodziny. I zapewne doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Skoro Urbańscy nie mieli oporów, żeby mówić o niej z przekąsem tu na komendzie, w zaciszu domowym pewnie było jeszcze gorzej.

Niestety nie zauważył u Strzałkowskiej gotowości do współpracy, gdyż odpowiedziała Danielowi gniewnym spojrzeniem. Dziś była nastawiona zdecydowanie bojowo. I chyba chciała mieć pewność, że Podgórski to zauważy.

– To kiedy widzieli ją państwo po raz ostatni? – powtórzyła jego pytanie Emilia.

Wyciągnęła notatnik, żeby wszystko zapisać. Prawdopodobnie zależało jej na tym, by dobrze wypaść przed Sienkiewiczem. Podgórski doskonale wiedział, że marzyła o pracy w krymie. A jeśli naczelnik naprawdę ją tu zatrudni, wtedy znowu będą musieli pracować razem. To mogło skomplikować i tak niełatwą sytuację.

– Miesiąc temu – przyznała Hanna Urbańska.

– Ostatnio widzieli państwo Berenikę miesiąc temu?

Trudno było powiedzieć, czy Strzałkowska tylko się upewnia, czy już sugeruje zaniedbanie. Matka zaginionej dziewczyny chyba też nie umiała tego rozstrzygnąć, bo poruszyła się niespokojnie.

– Berenika uciekła do niejakiego Cezarego Zaręby – wtrącił się Gustaw Urbański, ruszając na pomoc żonie. Na jego twarzy malował się wyraźny niesmak. – Był jej nauczycielem.

– Jest od niej starszy o prawie czterdzieści lat! – zawołała Hanna.

– Różnica wieku sama w sobie aż tak nie bulwersuje – mówił Gustaw – jak fakt, że on był nauczycielem mojej pasierbicy. Nadużył swojego stanowiska. I to w takiej placówce jak SuperSzkoła. Wydawałoby się, że to naprawdę elitarnie miejsce. Jestem bardzo zasmucony, że do tego doszło.

SuperSzkoła. Podgórski słyszał oczywiście o niedawno otworzonym elitarnym liceum ogólnokształcącym. Nazwa wydawała mu się dość pretensjonalna, ale najwyraźniej nikomu nie przeszkadzała. Ani nazwa, ani horrendalnie wysokie czesne. Placówka cieszyła się podobno dużą popularnością. Stosowano tam autorskie programy nauczania, ignorując te narzucane przez ministerstwo. Do szkoły dostać się mogli tylko starannie wyselekcjonowani uczniowie. Taka była wersja oficjalna. Nieoficjalna mówiła o tym, że wystarczyło odpowiednio dużo zapłacić.

– Nie mogliśmy jej przecież zabronić się wyprowadzić – powiedziała Hanna Urbańska. – Berenika skończyła już osiemnaście lat. W tym roku zdawała maturę. W świetle prawa jest dorosła.

Hanna mówiła z wyraźnym żalem. Daniel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że brzmiało to nieco teatralnie. Gustaw Urbański pokiwał głową i też przywołał na twarz smutny uśmiech.

– To był jeden z powodów, że zwlekaliśmy z podjęciem jakichkolwiek ruchów – powiedział.

– To znaczy? – zapytał Daniel.

Hanna Urbańska poprawiła włosy nerwowym gestem.

– Cóż... – powiedziała. Gustaw położył delikatnie dłoń na jej udzie. – Szczerze mówiąc, to nie

mieliśmy z BiBi w ogóle kontaktu w tym miesiącu. Gdyby nie jej przyjaciółki, nie wiedziałabym nawet, że zniknęła.

– Kiedy zawiadomiły nas, że Bereniki nie ma, to nas to jakoś szczególnie nie zaskoczyło – dodał Gustaw Urbański.

– Dlaczego? – zapytała Emilia.

– Bo ona wielokrotnie uciekała z domu. Jak jeszcze mieszkała z nami. Wystarczył byle pretekst, żeby ją sprowokować. Nie pozwoliliśmy jej iść na koncert, tydzień jej nie ma. Nie zgodziliśmy się na farbowanie włosów, znowu znika. I tak w kółko. Mieliśmy z nią dużo problemów wychowawczych. Bardzo mnie to smuciło. No ale co się dziwić. Moja pasierbica ma to po ojcu. Na geny człowiek nic nie poradzi. To może być niepopularna opinia, ale tak jest. Marcin Borkowski był wałkoniem i obibokiem. Jedyna jego zaleta, to że miał przodków w AK.

– Niestety – potwierdziła Hanna. Nawet powieka jej nie drgnęła na to niezbyt przychylnie określenie osoby zmarłego męża.

– Czy podczas ucieczek córka komunikowała się z panią?

– Nie raczyła. Nawet słowa, czy jest w porządku, czy nie. Ale kontaktowała się z przyjaciółkami. Teraz tego nie zrobiła. Dlatego bardzo się martwimy.

Daniel złożył zdjęcia w równy stosik i odłożył je na stół.

– A pani raczyła skomunikować się z nią? – zapytał. Starał się zachować chłodny profesjonalizm, ale trudno mu było się powstrzymać przed odrobiną sarkazmu.

– Proszę nie traktować mojej żony obcesowo – wtrącił się Gustaw Urbański. Mówił spokojnie, lecz w jego głosie czaiła się groźba. – Znam pańską historię, Podgórski. Sporo o panu czytałem w naszych lokalnych mediach. Nie radziłbym traktować nas jak pierwszych lepszych. Bo może się pan znowu pożegnać z odznaką. Nie zdziwiłbym się.

Daniel sięgnął z powrotem po zdjęcia. Zaczął je tasować. Jak karty. Musiał zająć czymś ręce. Nie dlatego, że groźba Urbańskiego jakoś go przeraziła. Każdy policjant słyszał wcześniej czy później, że ktoś *zna komendanta, jutro wylecisz* i tak dalej. Po prostu chciało mu się palić. I to bardzo.

– Czy próbowali się państwo jakoś komunikować z córką? – zapytał przesadnie grzecznym tonem. Chcieli, to mają.

– Już mówiłam, że Berenika się do nas nie odzywała.

– Nie o to pytam.

– A czy to ma jakieś znaczenie w tej chwili? – odciął się Urbański. Tym razem z wyraźną irytacją. Spokój gdzieś się ulotnił. – Berenika zniknęła. Jej przyjaciółki nie mają z nią kontaktu od tygodnia. Zawiadomiły nas i my to zgłaszamy. A pan traktuje nas jak podejrzanych. Bo mam wrażenie, że do tego to się sprowadza.

– Próbujemy tylko poznać państwa cór... – Emilia zawahała się w pół słowa. Nie chciała zaognić sytuacji i narażać się na wysłuchiwanie po raz enty, że BiBi nie była biologiczną córką Gustawa. – Próbujemy zdobyć informacje o zaginionej. To nam pomoże jej szukać. Musimy ustalić fakty.

– Ale mogą to państwo robić w bardziej ludzki sposób, prawda? – zapytał Urbański. – Czy może się mylę i policja to nadal milicja?

– Czy Berenika miała jakichś wrogów? – Emilia zignorowała pytanie.

– Jesteśmy zdania, że to ten typ coś jej zrobił – powiedziała szybko Hanna.

– Ten typ?

– Ten nauczyciel. Cezary Zaręba. Jeżeli coś jej się stało, to jest to tylko i wyłącznie jego wina.

– I on za to powinien odpowiedzieć – dodał Gustaw Urbański z mocą. – Mam nadzieję, że się rozumiemy?

SCENA 6

Ośrodek czasowy Słoneczna Dolina.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 9.30.

Klementyna Kopp

Zajęli jedną z ławek na obrzeżach kąpieliska. Stała w cieniu rosnących sosen, ale kawałek dalej można było leżeć w pełnym słońcu na rozgrzanym piasku plaży. Wszyscy zadowoleni. Kopp przyglądała się, jak Marta wprawnymi ruchami smaruje ręce olejkiem do opalania. Na jej ciele nadal widać było siniaki, gorzką pamiątkę po wydarzeniach ostatnich dni. Na ten widok w Klementynie natychmiast wezbrał gniew. Poczuli się, jakby to ona zawiodła.

– To ja pójdę rozłożyć się bliżej wody, dobrze? – zapytała Marta.

Przypominała małą zagubioną dziewczynkę pytającą o zgodę. Ale! I tak poczyniła naprawdę duży postęp w stosunku do tego, co było wcześniej. Z tego należało się cieszyć.

– Okej. No dobra – rzuciła Kopp.

To, że Marta zamierzała się oddalić, było jej nawet na rękę. Klementyna chciała porozmawiać sobie z Dawidem. Na spokojnie. Jego dziwna reakcja na widok wychudzonego okularnika, który gadał z właścicielem ośrodka, obudziła jej ciekawość.

– To kim jest ten Mściśław Grabowski, co? – zaatakowała, jak tylko Marta rozłożyła ręcznik na plaży.

– W sumie to chyba warto byłoby niedługo wracać – mruknął syn Teresy.

Kopp przesunęła się, żeby siedzieć bliżej niego. Byli teraz na tyle blisko, że czuła zapach jego mydła. Teresa używała takiego samego. Nie przejmowała się, czy jakiś produkt jest przeznaczony dla mężczyzn, czy dla kobiet. Klementyna pociągnęła nosem. To był zapach, za którym tęskniła. *Teresa*.

Zakaszła, by odrzucić te myśli. Z rozmarzenia o mało nie straciła czujności. Do tego nie mogła dopuścić.

– Marta się poopala i odpocznie, a my nie będziemy jej przeszkadzać – syknęła do Dawida. – Zrozumiano, co?

– Ale...

– Nie ma żadnego ale – przerwała mu ostro. – Co więcej, nie będziesz spuszczał z niej oka. Jeżeli zobaczysz, że czegośkolwiek potrzebuje, pomożesz jej.

Dawid zaśmiał się cierpko.

– Chyba za bardzo się wczułaś w rolę. Nie jesteś ani jej matką, ani moją.

Kopp musiała przyznać, że to zabolalo. Ciekawe, czy Dawid zdawał sobie sprawę jak bardzo. Choć oczywiście miał rację. Kim była, żeby uzurpować sobie prawo opieki nad Martą, co? Była tylko *głupią-starą-babą*. Ale niedoczekanie.

– Spoko. Ale! Teraz grzecznie powiesz mi, kim jest ten okularnik, którego widzieliśmy na górze – zażądała głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Dawid objął się ramionami, jakby było mu zimno, mimo że słońce już paliło niemiłosiernie. Na bicepsach i przedramionach miał tatuaże. Drogie. Wykonane przez profesjonalistę. Kopp zerknęła na swoje ręce. Poprawiła rękawy przykrótkiego skórzanego żakietu. Jej dziary najlepsze czasy miały za sobą. Z mijającymi latami wyblakły i jakby się rozmyły. Trzeba było wiedzieć, co początkowo przedstawiały, żeby zorientować się w mapie jej życia.

– Nie mam pojęcia, kim on jest.

– Przestań walić ściemy, co? Marta najwyraźniej go znała. I ty też. Mściśław Grabowski, o ile

się nie myślę, co?

– Marta kupiła kiedyś od niego używany samochód – przyznał zrezygnowanym tonem Dawid. – On ma sieć komisów.

Kopp była pewna, że to zaledwie część prawdy. Dawid jak zwykle nie mówił jej wszystkiego.

– Spoko. Ale! Robiłeś w gacie na jego widok, bratku – zauważyła. – Tak źle poszło to kupowanie, co?

Dawid nie odpowiedział. Wodził tylko wzrokiem po opalających się na plaży turystach. Mimo wczesnej pory kąpielisko było zatłoczone. Kopp miała wrażenie, że drewniany pomost aż się ugina od ciężaru porozkładanych na nim ludzi.

– No proszę, jaki świat jest mały – rozległo się za ich plecami.

Klementyna odwróciła się. W harmidrze panującym na kąpielisku nie usłyszała, kiedy wychudzony okularnik zmaterializował się koło nich. Zjawił się dopiero teraz? Czy stał tu już jakiś czas i słyszał całą ich rozmowę?

– No proszę – powtórzyła za nim. Nie zamierzała oczywiście pokazać Grabowskiemu, że ją zaskoczył. Co to, to nie. Wystarczy, że Dawid zaczął się obficie pocić na jego widok. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Okularnik uśmiechnął się do niej.

– Jak to miło – odparł beznamiętnie. Wyglądał na godnego przeciwnika. – Dawid wspomniał, że jesteście starymi znajomymi z Bydgoszczy?

Kopp zerknęła na syna Teresy. Wyraźnie zbladł. Wpatrywał się teraz uporczywie w taflę wody.

– Obawiam się, że chyba zapomniał o tym napomknąć – rzuciła od niechcenia.

Mściśław Grabowski poprawił okulary i zaśmiał się z pozorną serdecznością.

– Przyjeżdżam tu co roku na co najmniej dwa tygodnie – oświadczył bez związku. – I tak niezmiennie od dwudziestu lat. Przyjaciel polecił mi te strony. Bardzo mi się tu podoba. Choć jestem lokalnym patriotą i uważam, że z Bydgoszczą żadne miasto nie może się równać. No może Solec Kujawski. Stamtąd pochodzą moi świętej pamięci rodzice. Nie spodziewałem się tu ciebie, Dawidzie. No proszę, jak to zawsze znajduję się w odpowiednim miejscu, o odpowiednim czasie. Takie już mam szczęście. Ale nie twierdzą, że zasługuję na takie wyróżnienie od losu.

Syn Teresy milczał. Po czole spływały mu krople potu, mimo to nadal zaciskał muskularne ramiona, jakby marzył. Klementynie prawie zrobiło się go żal. Prawie, bo zapewne wpakował się w jakieś kłopoty z Grabowskim na własne życzenie.

– Zresztą do tego stopnia mi się tu podoba, że kupiłem ośrodek Bropol – dodał tonem pogawędki wychudzony okularnik. – To tu, kawałek dalej.

Klementyna skinęła głową. Wiedziała, o czym mówi. Bropol od lat był nieczynny. Z tego, co do niej docierało, ośrodek zdążył przez ten czas popaść w ruinę. Był położony przy drodze do Słonecznej Doliny. Z leśnej szosy trzeba było skręcić w lewo.

– Kupiłem go dobrych kilka lat temu. Za psie pieniądze – dodał Mściśław Grabowski. – Myślałem, że może coś z tym Bropolem zrobić. Będę na swoje przyjeżdżał. Ale potem uznałem, że nie warto. Tu w Słonecznej Dolinie mi dobrze. Jestem dwa tygodnie, wracam do Bydgoszczy. Po co rozkręcać tu jakiś interes i zarządzać na odległość? Jakoś nie mam na to ochoty. Dlatego doszedłem do wniosku, że sprzedam ten nieszczęsny Bropol. Bo tak to tylko się marnuje. Będę dziś rozmawiał z kilkoma ewentualnymi nabywcami. Zobaczmy, co mają mi do zaoferowania. Bo dla mnie liczą się nie pieniądze, ale idea. Jak już mówiłem, jestem lokalnym patriotą. Chcę, żeby ktoś zainwestował w nasze województwo. Jacyś ludzie z pomysłami – zakończył i poprawił okulary.

– Spoko – mruknęła Kopp.

Patrzyli sobie przez chwilę w oczy. Pojedynek spojrzeń zdecydowanie nie przystoi ludziom w ich wieku. Ale! Uświadomił jej jedno. Ten człowiek wie, co robi. Martwiło ją, że nie potrafiła go rozgryźć. Jeszcze.

Klementyna spozjrzała na opalającą się Martę. Nie chciała, żeby dziewczyna znowu musiała się borykać z jakimiś problemami tylko dlatego, że Dawid był jej chłopakiem i wręcz zawodowo pakował

się w tarapaty. Z których nie miał odwagi się potem wyplątać.

– Cóż, będę się zbierał – poinformował tymczasem Grabowski. Odwrócił się do Dawida. Pojedynek spojrzeń zakończony. – Myślę, że jeszcze się spotkamy.

Syn Teresy wzdrygnął się na te słowa.

Kopp patrzyła, jak wychudzony okularnik się oddala. Zamierzała mieć go na oku. Przynajmniej dopóki nie dowie się, co tu jest grane.

SCENA 7

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 11.00.

Weronika Nowakowska

Weronika zjechała z ulicy Wczasowej w boczną uliczkę. Była na tyle mała, że nie miała chyba nazwy. Prowadziła prosto do Nowych Horyzontów. Ośrodek pomocy dla bezdomnych znajdował się na malowniczym wzgórzu z widokiem na migoczące w letnim słońcu wody jeziora Niskie Brodno. Lokalizacja znakomita. Deweloper zapłaciłby pewnie sporo pieniędzy, żeby móc zbudować tu kompleks mieszkalny.

Zaparkowała na poboczu. W samochodzie było duszno, mimo że otworzyły z Wierą wszystkie okna. Stary džip liberty najlepsze lata miał już za sobą. Na pewno wkrótce przyda mu się generalny remont nie tylko klimatyzacji.

– No i co teraz robimy, kochanieńka? – zapytała przyjaciółka, kaszląc.

Ostrzeżenie Grzeška Wilczyńskiego, żeby się nie mieszała w sprawę Valentine Blue, podziało na Weronikę jak krwistoczerwona płachta na rozjuszonym byku. Teraz Nowakowska już na sto procent nie zamierzała odpuścić. Działaniem starała się zagłuszyć wcześniejsze przeczucie, że to prywatne śledztwo może źle się skończyć.

Po rozmowie z psychiatrą Weronika wróciła do domu, żeby oporządzić konie. Igora zostawiła na podwórzu, nie wiedziała przecież, kiedy wróci do dworku. Pies nie mógł siedzieć w zamknięciu cały dzień. Potem wsiadła w samochód, zabrała Wierę spod sklepu i tak znalazły się tutaj. Pod Nowymi Horyzontami.

– Myślę, że na początek możemy spróbować porozmawiać z Zośką – zaproponowała. – Co ty na to?

Zośka była jedną z mieszkanek Nowych Horyzontów i recepcjonistką w niewielkiej przychodni lekarskiej za willą. Leczone tam pensjonariuszy ośrodka, ale też pacjentów z zewnątrz. Takich jak Wiera. Poznały Zośkę podczas wizyt kontrolnych, a pomogła im trochę podczas śledztwa w sprawie czarnych narcyzów.

– Doskonały pomysł, kochanieńka.

Tak naprawdę to jeszcze przed wyjazdem z Lipowa uzgodniły, że zaczną właśnie od rozmowy z recepcjonistką. Nie miały innych pomysłów. Nie znały przecież w Nowych Horyzontach nikogo oprócz niej. Na razie Zośka była jedynym punktem zaczepienia.

Wparowanie głównym wejściem i rozpytywanie mieszkańców, czy wiedzą, co się stało, było bez sensu. Tym bardziej że Jan Kowalski miał swoje biurko w holu. Przesiadywał tam częściej niż w swoim gabinecie. A jeśli w Nowych Horyzontach dzieje się coś złego, ich zarządca najprawdopodobniej maczał w tym palce i o niczym im z własnej woli nie opowie.

Rozmowa z Zośką wydawała się optymalnym rozwiązaniem. Oczywiście nikt nie mógł gwarantować, że recepcjonistka z własnej woli zechce cokolwiek powiedzieć, ale i na to był sposób. Weronika odwróciła się i sięgnęła po pudełko czekoladek leżące na tylnej kanapie.

Wiera sama je robiła i sprzedawała w swoim sklepie. Nie przypominały słodyczy wyrabianych przez wielkie firmy na masową skalę. Charakteryzował je intensywny smak kakao i delikatny zapach lasu, który może brał się z tego, że sklepikarka dodawała do wszystkich wyrobów te swoje zioła. Weronika nie śmiała pytać o recepturę.

– Mam nadzieję, że tym razem też nam pomoże – stwierdziła, unosząc pudełko.

Poprzednio Zośka zrobiła się zdecydowanie bardziej rozmowna, kiedy zabrały ją do McDonalda

na Sądowej. Może czekoladki zadziałają podobnie.

Wiera zakaszłała, ale zaraz uśmiechnęła się szeroko.

– Na pewno – potwierdziła bez fałszywej skromności. Znała moc swoich produktów.

Wysiadły z samochodu i ruszyły wzdłuż muru okalającego Nowe Horyzonty. Przychodnia znajdowała się z tyłu willi. Płot był obrośnięty intensywnie zielonym bluszczem. Soczysta barwa ostro kontrastowała z bielą tynku. Mieszkańcy ośrodka musieli pnać intensywnie podlewać. Nie zżółkło mimo upału.

– Myślisz, że to oni wykończyli Valentine Blue? – zapytała Wiera, kiwając głową w stronę willi.

Weronika wolałaby, żeby przyjaciółka mówiła nieco ciszej, by nikt ich nie usłyszał. Kiedy sklepikarka znowu się rozkaszała, Nowakowska nie miała serca jej strofować za ten brak dyskrecji.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała więc tylko. – Ale sprawdzimy to.

Okrzyły posiadłość i znalazły się przed niewielkim budynkiem. Był równie zadbane i śnieżnobiały jak główna willa. W środku panował przyjemny chłód. Klimatyzacja musiała być włączona, choć nie było słyhać jej charakterystycznego pomruku.

Ruszyły długim korytarzem. Recepcja ukryta była za jego załomem, a Zośka jak zwykle siedziała na swoim posterunku. Burza ciemnych loków spływała jej po ramionach. Rękawy białego kitla nie zasłaniały w całości wytatuowanych rąk. Trochę pod tym względem przypominała Klementynę. Choć oczywiście była dużo młodsza.

– Dzień dobry – powiedziała na ich widok.

Weronika i Wiera przywitały się uprzejmie.

– Czyżby pani Wiera miała dziś wizytę? – zapytała Zośka zdziwiona. Postukała w klawiaturę. Pewnie sprawdzała zapisy. – Jeśli tak, to musiała nastąpić pomyłka. Myślałam, że wszystkich pacjentów odwołałam. Dopiero dziś doktor Pawłowska obejmuje praktykę po doktorze Jastrzębskim. Jeszcze nie przyjmuje pacjentów. Jan zaraz ją tu przyprowadzi, żeby się zorientowała, co i jak. I pewnie już od jutra zacznie.

Weronika i Wiera wymieniły spojrzenia. Jan Kowalski miał być w przychodni lada moment? W takim razie muszą się spieszyć.

– O, widzę, że nie mam numeru kontaktowego. To pewnie dlatego – mówiła dalej Zośka. – Muszą panie podać.

– Nie chodzi o wizytę lekarską – wyjaśniła Nowakowska.

Zośka spojrzała na nią spod oka.

– Tylko ten numer wpiszę – uparła się służbiście. – Musimy mieć telefon do pani Wiery.

– Nie mam telefonu – przyznała przyjaciółka.

Weronika zerknęła na nią triumfująco. Miała nadzieję, że Wiera wyciągnie wnioski z ich porannej rozmowy.

– To jak będzie z tym numerem? – nie ustępowała recepcjonistka.

Nowakowska podała swój, wyglądało bowiem na to, że bez tego żadna rozmowa z Zośką nie wchodzi w grę.

– Chcemy pomówić z tobą – dodała, kiedy recepcjonistka wklepała numer do komputera. – Masz chwilę?

– No niezbyt. Bo teraz mamy urwanie głowy z tymi zmianami – powiedziała, przyglądając się Weronice podejrzliwie.

Kiedy tu weszły, Zośka nie wydawała się szczególnie zajęta. Najwyraźniej więc nie miała ochoty z nimi rozmawiać. A może się bała, przebiegło Weronice przez myśl.

– To naprawdę nie potrwa długo – zapewniła.

Uniosła pudełko czekoladek owinięte papierem pakowym i sznurkiem. Nie wyglądało zbyt ozdobnie, za to zapach unoszący się ze środka był zachęcający. Weronika z zadowoleniem skonstatowała, że Zośce zaświeciły się oczy.

– A o czym chcecie rozmawiać? – zapytała z rezygnacją, wyciągając ręce po słodki prezent.

Zaczęła ostrożnie rozrywać papier. Zapach czekolady stał się jeszcze silniejszy. Weronika

poczekala, az Zośka wlozy sobie do ust pierwsza pralinke. Dopiero wtedy powiedziala:

– O Valentine Blue.

Recepcjonistka wyraźnie się spięła. Odsunęła pudełko od siebie.

– Przecież wszystko już powiedziałam ostatnio.

– Nie chodzi o czarne narcyzy – uspokoiła ją Weronika. – O co innego.

– A niby o co? Poza tym ona nie żyje. Rano zatelefonowali do nas z tego szpitala, gdzie ją zabrali.

Wszyscy jesteśmy w żałobie.

Zośka uchyliła poję kitla, demonstrując czarną sukienkę.

– Właściwie to chciałybyśmy porozmawiać o Nowych Horyzontach – poprawiła się Weronika.

Chyba za wcześnie wyskoczyła z tą Valentine, ale było już za późno. Zośka przypatrywała się im podejrzliwie.

– To znaczy?

Nowakowska zastanawiała się, jak właściwie sformułować pytanie. Szkoda, że nie omówiły tego dokładniej z Wierą w samochodzie, bo teraz musiała improwizować. A w tym nigdy nie była szczególnie dobra.

– Jest wam tu dobrze? – poratowała ją przyjaciółka.

Weronika spojrzała na Wierę z uznaniem. Sklepiarka mówiła niewymuszonym tonem pogawędki. Zośka chyba się uspokoiła, bo sięgnęła po kolejną czekoladkę. Zanim zdążyła otworzyć usta, w głębi korytarza trzasnęły drzwi wejściowe.

– To na pewno Jan i doktor Pawłowska – szepnęła Zośka. Zgarnęła czekoladki i schowała pod kontuarem recepcji.

Weronika i Wiera wymieniły spojrzenia. Jeśli czegoś nie wymyślą, za chwilę spotkają się z Janem. A tego chciały uniknąć. Na konfrontację było za wcześnie.

Całe szczęście Zośka też nie wydawała się zachwycona, że Jan może je tu zobaczyć.

– Wyjdziecie od tyłu – szepnęła. – Przez ogród. Dobrze?

Wyszła zza kontuaru i pociągnęła je w drugą stronę korytarza, gdzie znajdowały się przeszklone drzwi. Widać było za nimi ukwiecony ogród Nowych Horyzontów. Idealnie się składa, przebiegło Weronice przez myśl. Mogły wejść do jaskini wilka. I to niezauważone, unikając głównego wejścia. Lepiej nie mogło się zdarzyć. Nie były takie złe w te detektywistyczne klocki.

– Tylko idźcie od razu do bramy wejściowej, dobrze? – poprosiła Zośka, wypychając je do ogrodu. – Nie chcę mieć kłopotów.

– Jasne – zapewniła Weronika, chociaż nie miała najmniejszego zamiaru dotrzymać obietnicy.

SCENA 8

Dom Dagmary „Doris” Sawickiej.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 11.00.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Dom Sawickich ociekał luksusem. Dyskretnym, ale jednak. Niby nie był to ostentacyjny zbytek, ale Emilia miała jednakowoż nieodparte wrażenie, że nawet białe filiżanki, w których podano im mrożoną herbatę, kosztowały więcej, niż ona zarabiała przez miesiąc.

Nie wspominając już o całej reszcie wystroju salonu. Proste meble w skandynawskim stylu były zapewne robione na zamówienie. Może nawet sprowadzane z zagranicy. Tylko obrazy wiszące na ścianach niezbyt pasowały do całości wnętrza.

– To dzieła naszej Dagmary – pochwaliła się Sawicka.

Chyba zauważyła, że Strzałkowska przygląda się malowidłom.

– Urocze – mruknęła policjantka.

Matka Doris wyglądała na zachwyconą komplementem. Mimo że entuzjazm Emilii nie był zbyt autentyczny.

– Prawda? Córka dostała się do SuperSzkoły właśnie dzięki temu, że tak świetnie maluje.

– Naprawdę ma talent – dodał jej mąż.

Rodzice Doris, przyjaciółki zaginionej Bereniki Borkowskiej, ubrani byli w białe lniane koszule i kremowe spodnie. Metek oczywiście nie było widać, ale Strzałkowska podejrzewała, że nie są to ubrania z sieciówek.

– To pejzaże z naszego pojezierza – wyjaśniła Eliza Sawicka. – O tu na przykład jest zachód słońca nad jeziorem Bachotek. Dagmara przepięknie uchwyciła grę światła i cieni.

Emilia zerknęła na Daniela. Najwidoczniej podzielał zdanie Emilii na temat kiczowatych landszafcików. Na jego twarzy malował się wyraz powątpiewania. Zaraz jednak uśmiechnął się uprzejmie, jakby zrozumiał, że pokazał po sobie zbyt wiele.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Państwa córka zaraz tu przyjdzie? – zapytała Strzałkowska, kiedy milczenie zaczęło się przedłużać.

Czuła się jeszcze bardziej podenerwowana niż rano. Już nie tylko z powodu Daniela. Cały czas myślała o tym, co powiedział naczelnik Sienkiewicz. Miała szanse na awans, musiała tylko dać z siebie wszystko i odnaleźć BiBi. O pracy w wydziale kryminalnym oczywiście marzyła od czasu, kiedy ukończyła szkołę.

Najpierw przez kilka lat pracowała w prewencji w Warszawie. Później przeniosła się do Lipowa, gdzie została jedną z dzielnicowych. Lubiła to oczywiście, choć patrole na ulicy to nie była rzecz łatwa. Zwłaszcza dla kobiet. Nie tylko ze względu na charakter samej pracy, ale również na podejście kolegów.

Już kiedy pracowała w stolicy, koledzy często nie chcieli brać służby z nią jedynie dlatego, że była kobietą. Ktoś mógłby nazwać to szowinizmem, ale bywało, że chłopaki mieli rację. Wiele dziewczyn nie wykonywało swojej roboty należycie, a opinia reszty na tym cierpiała. Emilia była tym oburzona, bo zawsze starała się dać z siebie dwieście procent. Może wreszcie nadszedł dzień wynagrodzenia.

Było tylko jedno ale. Podgórski. Jeśli Sienkiewicz przyjmie ją do siebie do wydziału, będą musieli pracować razem. Cieszyłaby się z tego, gdyby sytuacja pomiędzy nią a Podgórskim była jasna.

– Dagmara przyjdzie za chwileczkę – zapewniła Sawicka. – Powiedzieliśmy też, żeby przyprowadziła Gabrię. Tak jak państwo prosili.

Matka i ojczym zaginionej Bereniki Borkowskiej twierdzili, że to od przyjaciółek BiBi dowiedzieli się, że córka, tudzież pasierbica, zniknęła. Po rozmowie z nimi postanowili więc porozmawiać z dziewczynami. Dopiero później mieli zamiar udać się do ojca Marka i sprawdzić, co on ma do powiedzenia. W tym czasie Laura Fijałkowska miała prowadzić działania z komendy. Po pierwsze, zdobyć od operatora billingi zaginionej. Po drugie, razem z technikami zlokalizować jej telefon.

Numer do Sawickich dostali od Hanny Urbańskiej. Matka BiBi zasugerowała, że najlepiej skontaktować się właśnie z rodzicami Doris. Nie Gabrieli. Z jej sugestii można było wyczytać, że ojciec i matka drugiej z przyjaciółek BiBi nie należeli do socjety. Mimo całej niechęci do Hanny i Gustawa Emilia i Daniel postanowili zastosować się do ich wskazówki. W ten sposób znaleźli się w tym luksusowym domu na ulicy Bieszczadzkiej.

– Dagmara wysłała mi esemesa, że będą za pięć minut – dodał Sawicki z uśmiechem. – Wyrobią się państwo z tym przesłuchaniem do jakiejś pierwszej trzydzieści? O czternastej mamy spotkanie w Słonecznej Dolinie. Właśnie nad Bachotkiem. – Głową wskazał obraz.

– Oczywiście – zapewnił Daniel. – To nie potrwa długo. Musimy ustalić kilka faktów na temat przyjaciółki państwa córki.

Sawicka pokręciła głową.

– Czyli Berenika znowu zniknęła – powiedziała z wyraźnym smutkiem. Jakby założyła, że BiBi nie żyje, przebiegło Emilii przez myśl. – A taka z niej utalentowana dziewczyna. Píše przepiękne wiersze. Tylko wszystkie o śmierci. Strasznie przygnębiające. Czasem trochę się boję, że nasza Dagmara się z nią koleguje. Ale nie chcemy córce ograniczać przyjaźni. To nie w naszym stylu.

Oboje uśmiechnęli się uprzejmie. Zdawali się serdeczni i przyjaźni, Strzałkowska miała jednak dziwne wrażenie, że wcale się nie różnili od Urbańskich. Może mieli więcej taktu i nie zachowywali się ostentacyjnie.

Trzasnęły frontowe drzwi i zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, do salonu wpadły dwie nastolatki. Całe rozchichotane. Jakby niezbyt się martwiły, że ich przyjaciółka zaginęła.

– Chyba będziesz musiała rzucić tego twojego Adriana – mówiła właśnie pulchniejsza z dziewcząt. Ubrana była w czerwoną rozkloszowaną sukienkę w stylu lat pięćdziesiątych. Ufarbowane na różowo włosy spięła w fantazyjny kok i związała bandaną.

Zatrzymała się w pół kroku, jakby zaskoczona tym, że ktoś obcy jest w salonie. Druga dziewczyna niemal na nią wpadła. Była zdecydowanie szczuplejsza. Miała na sobie krótki zielony top odsłaniający płaski brzuch i białe ortalionowe spodnie od dressu.

Obie nosiły na nadgarstkach kolorowe koraliki. Takie jak te, na które Daniel zwrócił uwagę, oglądając zdjęcia podczas rozmowy z Urbańskimi. Ta pulchniejsza z imieniem *Doris*, ta chudsza *Gabi*. Bransoletki przyjaciółek.

Emilia uśmiechnęła się pod nosem. Trudno byłoby wyobrazić sobie trzy bardziej różniące się od siebie dziewczyny. BiBi cała na czarno, Doris w stylu *pin-up girl* i Gabi dresiara. A jednak trzymały się razem. To było irracjonalne, ale Strzałkowska trochę im zazdrościła tej przyjaźni.

– O, Dagmara – powiedziała Sawicka. – Już jesteście, dziewczyny. Świetnie, bo państwo z policji na was czekają. – Gestem wskazała Emilię i Daniela.

– Dzień dobry – przywitała się gładko Doris. Dygnęła przy tym wesoło i rzuciła kokietyjny uśmiech Podgórskiemu.

Emilia przewróciła oczami. Jeżeli BiBi też była taką lolitką, to nic dziwnego, że związała się z ojcem Marka. Mężczyźni w pewnym wieku byli niezwykle wrażliwi na tego typu zaloty.

– Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska – przedstawiła się. Czas było przejść do rzeczy.

– Aspirant Daniel Podgórski – poszedł w jej ślady Daniel.

– Doris – przedstawiła się młoda Sawicka. – Znaczą Dagmara. Ale tak mówią do mnie tylko rodzice. A to Gabi.

Gabriela skinęła lekko głową. Wyglądała na nieco wycofaną. Zwłaszcza przy wygadanej *pin-up girl*. Strzałkowska zlustrowała dziewczynę od stóp do głów. BiBi pisała wiersze, Doris malowała, jaki

talent miała Gabi?

– To może my wyjdziemy, żebyście pomówili spokojnie – zaproponował ojciec Dagmary.

– Tak, to chyba dobry pomysł – zawtórowała mu żona.

Oboje uśmiechnęli się i wyszli z pokoju. Kiedy zamykali za sobą drzwi, do środka wpadł rudy kot. Miauknął przeraźliwie.

– A to tylko Arya – zaśmiała się Doris. – Ona lubi sobie tak trochę pogadać. A w ogóle to pani wygląda jak Daenerys.

Emilia spojrzała na dziewczynę zaskoczona. Zupełnie nie wiedziała, o czym ta mówi. Obie nastolatki wymieniły spojrzenia pełne niedowierzania.

– Postać z *Gry o tron*? – zapytała Doris, unosząc brwi.

– Chyba nie oglądałam.

– Pani nie wie, co traci – zaśmiała się *pin-up girl*. – Jak by się pani walnęła na platynę, toby pani była nawet całkiem podobna do Emilii Clarke. O! Nawet ma pani to samo imię. Dobrze zapamiętałam? Ma pani potencjał. Naprawdę.

Dziewczyna zaśmiała się perliście i zabrzmiało to nieco protekcjonalnie. Emilia poczuła, że znowu ogarnia ją nieprzyjemna irytacja.

– Podobno to wy poinformowałyście Hannę Urbańską, że z Bereniką nie ma kontaktu – powiedziała szybko. Nie zamierzała dać się sprowokować, jeśli ta dziewczyna z niej drwiła. Pomijając kwestię dumy, chciała się dziś dobrze spisać. Naprawdę zależało jej na tym, żeby Sienkiewicz przyjął ją do wydziału.

– BiBi – poprawiła ją Doris natychmiast. – Nigdy do niej nie mówimy Berenika. Jeśli już, to Berka. Nawet nauczyciele w szkole mówią do niej BiBi. No oprócz profesora. On czasem wyskakiwał z tą Bereniką. Może chciał, żeby było oficjalnie, żeby niby ukryć, co ich łączy. Chociaż i tak wszyscy wiedzieli.

Gabi pokiwała głową z aprobatą, ale nadal się nie odezwała. To raczej nie elokwencja była tym talentem, który pozwolił jej się dostać do SuperSzkoły, pomyślała Emilia z przekąsem. Choć patrząc na malunki Doris, różnie to mogło być.

– No więc zawiadomiłyście państwa Urbańskich, że BiBi nie ma... – przypomniał Daniel.

– Tak. To znaczy ja ich zawiadomiłam – uściśliła Doris. – Ale oczywiście Gabi mnie poparła. – Dresiara pokiwała głową. – Bo zaczęłyśmy się martwić – kontynuowała Doris. Najwyraźniej ona nie potrzebowała pytań pomocniczych. Przysiadła na oparciu fotela i założyła nogę na nogę. Rozkloszowana sukienka ułożyła się idealnie. Materiał był doskonałej jakości. – Ostatni raz widziałyśmy ją w środę, tydzień temu. A potem nic. Zupełnie nic. Zero kontaktu.

– Kiedy zniknęła wcześniej, też tak bywało? – zapytała Emilia. Hanna Urbańska twierdziła, że nie, ale należało to sprawdzić.

– No właśnie nie – pospieszyła z odpowiedzią Doris, a Gabi w te pędy kiwnęła głową dla poparcia jej słów.

Strzałkowska uświadomiła sobie, że ani razu nie słyszała jeszcze głosu dresiary. Gabi nie odezwała się, odkąd dziewczyny tu weszły.

– No właśnie nie – powtórzyła Doris. – Jak przedtem gdzieś uciekała, zawsze nam dawała znać. Albo przedtem mówiła, że chce się gdzieś zabunkrować na jakiś czas. Albo dzwoniła. Albo puszczała chociaż strzałkę. Albo wysyłała eska. Albo coś takiego. A teraz nic. Zupełna cisza. Od czasu, kiedy poszła do kibla w pubie.

– W pubie?

– Na Hallera.

Miała na myśli pub ukryty w piwnicy jednej z kamienic przy ulicy Hallera. Strzałkowska była tam tylko raz. Wpadli całą ekipą z posterunku w Lipowie. To chyba były imieniny Pawła Kamińskiego, o ile Emilia dobrze pamiętała. Zdaje się, że Kopp zaglądała do tego lokalu dość regularnie. Nic dziwnego, w końcu mieszkała bardzo blisko.

– Co tam właściwie się stało? – zapytał Podgórski.

Ruda kotka podeszła do niego i zaczęła ocierać się o jego nogi. Daniel pogłaskał ją delikatnie po głowie. Fuknęła obrażona.

– Niech się pan nie martwi, ona tak zawsze. Raczej jest nieufna.

– Jasne – zaśmiał się Daniel.

– To jak było z tym pubem? – wtrąciła się Emilia.

Znowu poczuła irracjonalną zazdrość, choć to nie lolitka była jej problemem, tylko oczywiście Weronika. Z jej długimi do nieba nogami, wielkimi niebieskimi oczami i ognistymi włosami.

– Poszłyśmy tam, bo były moje urodziny. One już obie mają dziewiętnaście. Ja jestem najmłodsza. No i trochę świętowałyśmy. Grzecznie oczywiście – zapewniła Doris ze śmiechem. Znowu puściła oko do Podgórskiego. – BiBi w pewnym momencie powiedziała, że idzie do kibla. My z Gabi zostałyśmy przy stole. Gadałyśmy i tak dalej. Dopiero po dłuższym czasie zorientowałyśmy się, że BiBi nie wróciła. Nawet walnęłam jakiś tekst, że chyba ma sraczkę czy coś. Teraz mi głupio. Bo może jej się coś stało.

Nie wyglądało na to, żeby Doris było szczególnie głupio, ale Emilia powstrzymała się od komentarza. Jeśli chciała dostać tę robotę, uwiecznić te wszystkie lata starań, to nie mogła akurat teraz dać się ponieść nerwom. Nie podczas tego śledztwa. Przez cały ten czas, od pierwszego dnia, kiedy założyła mundur, trzymała emocje na wodzy. Tak powinno pozostać.

– O której BiBi odeszła od was? – zapytała.

– Jakoś przed jedenastą – powiedziała Doris.

Zerknęła na Gabi. Ta potwierdziła głową.

– No i poszłyśmy do łazienki sprawdzić, co z nią – włączyła się nieoczekiwanie dresiara.

Miała przyjemny, niski głos. Strzałkowska spodziewała się, że będzie raczej piskliwy i irytujący.

– Ale BiBi tam nie było – dokończyła natychmiast Doris, nie pozwalając przyjaciółce powiedzieć więcej. – Wróciłyśmy do stolika, bo myślałyśmy, że się z nią minęłyśmy czy coś, ale tam też jej nie było. No to zadzwoniłam do niej.

– O której? – zapytał Daniel.

– Chwilkę, zaraz zobaczę w telefonie.

Doris sięgnęła do stanika i wydobyła spomiędzy piersi niewielką komórkę, uśmiechając się zalotnie. Emilia kolejny raz przewróciła oczami. No naprawdę?

– To było dokładnie o dwudziestej trzeciej dwanaście – oznajmiła dziewczyna po kilku kliknięciach.

– Odebrała połączenie? – zapytał Daniel.

– Yhy. Zapytałam, gdzie jest i co się dzieje, a BiBi na to, że nie ma ochoty wracać do nas.

– Nie powiedziała, gdzie jest? – uściśliła Strzałkowska.

– Właśnie nie. To było takie dziwne. Powiedziała, że nie ma ochoty do nas wracać. I tyle.

– A wyjaśniła chociaż dlaczego? – zapytała znowu Emilia.

Doris jakby zawahała się. Strzałkowska i Daniel czekali.

– No niby nie powiedziała. Ale pomyślałyśmy z Gabi, że to przez profesora.

– Masz na myśli Cezarego Zarębę? – upewnił się Podgórski.

Emilia pomyślała, że ze względu na Marka zdecydowanie wolałaby, żeby okazało się, że jego ojciec nie jest w to zniknięcie jakoś zamieszany.

– Tak. On jest jej chłopakiem. To znaczy partnerem – poprawiła się Doris. – No bo trochę jest za stary na chłopaka.

– Dlaczego pomyślałaś, że to ma związek z nim? – zapytała Strzałkowska.

Doris i Gabi wymienili spojrzenia.

– Oni mieli ostatnio kłopoty – oświadczyła w końcu *pin-up girl*. – To znaczy BiBi i profesor.

SCENA 9

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 11.30.

Weronika Nowakowska

Ale nam się poszczęściło, kochanieńka – ucieszyła się Wiera. – Jesteśmy w środku.

Weronika uśmiechnęła się do niej. Rozumiały się bez słów. Zośka kazała im iść prosto do bramy wyjściowej i nie myszkować po kątach, ale skoro chciały sprawdzić, czy w Nowych Horyzontach naprawdę dzieje się coś złego, jak sugerowała Valentine Blue, musiały zrobić dokładnie odwrotnie. Pomyszkować.

Nowakowska rozejrzała się. Znajdowały się na tyłach posiadłości. W niewielkim sadzie. Drzewa wiśni obsypane były owocami. Wśród gałęzi uwijały się pszczoły. Ich bzyczenie wydawało się nienaturalnie głośne. Weronika rozejrzała się i zobaczyła kilka uli ustawionych tuż przy murze. Sad oddzielony był od dalszej części ogrodu rozłożystymi krzewami róż. Ich kwiaty były białe. Tak jak willa i mur otaczający ogród.

– Tam ktoś chyba jest – szepnęła Wiera.

Weronika podążyła spojrzeniem tam, gdzie wskazywała przyjaciółka. Pomiędzy różami widać było grządki ogrodu warzywnego. Przy jednej z nich przykucnęła jakaś starsza kobieta. Do tej pory chyba ich nie zauważyła. Zastłaniały je krzewy, poza tym staruszka wyglądała na skupioną na swojej pracy.

– Chodźmy z nią pogadać – dodała sklepikarka i ruszyła w tamtą stronę, nie czekając na Weronikę.

– Ale... – zaczęła Nowakowska.

Nie dokończyła. I tak było już za późno na ukrywanie się, bo przyjaciółka rozkaszała się głośno. Starsza pani, słysząc to, uniosła się z klęczek z wyraźnym trudem. Patrzyła teraz prosto na nie. Nie było innego wyjścia, jak tylko podejść. Tak czy inaczej musiały z kimś porozmawiać, jeśli chciały się czegoś dowiedzieć. Może starsza pani będzie bardziej gadatliwa niż Zośka.

– Dzień dobry, kochanieńka – zagadnęła Wiera. – Pani tu mieszka?

– Ja? – zdziwiła się staruszka. Miała mlecznobiałe włosy, które idealnie pasowały do Nowych Horyzontów. Uśmiechała się dobrotliwie. – Ależ nie! Przyjechałam z synem. Jestem Alicja Sienkiewicz.

Powiedziała to tak, jakby jej imię i nazwisko miały wszystko wyjaśnić. Weronika spojrzała na kobietę zaskoczona. Znała Sienkiewicza. Jacek Sienkiewicz był naczelnikiem wydziału kryminalnego na komendzie w Brodnicy. Przyjechał tu? Jeśli tak, to by oznaczało, że naprawdę coś się tu niedobrego dzieje.

– Ten policjant? – upewniła się Weronika.

Staruszka wydawała się przez moment zdezorientowana. Potem zaśmiała się serdecznie, jakby dopiero zrozumiała.

– To mój drugi syn – wyjaśniła miękko. – Nie o niego mi chodziło. Przyjechałam tu z moim Edwardem.

Weronika nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w jej tonie czaiła się dość wyraźna sugestia, którego syna uważa za bardziej godnego uwagi. I nie był to bynajmniej ten noszący na co dzień policyjny mundur.

– On tam spowiada – dodała Alicja Sienkiewicz.

Uniosła pokrytą plamami wątrobowymi dłoń i pokazała palcem willę. Ogród warzywny też był otoczony krzewami róż, ale w oddali Weronika dostrzegła grupę ludzi zgromadzonych wokół wysokiego

księdza. Wszyscy byli ubrani na czarno. Jeśli wierzyć Zośce, to był znak żałoby po śmierci Valentine Blue.

– Mój Edward jest duchowym przewodnikiem tego miejsca – oznajmiła z wyraźną dumą staruszka. – Prowadzi tę zbłąkaną trzódkę.

– Zbłąkaną? – podchwyciła Wiera i spojrzała wymownie na Weronikę.

Przecież chciały ustalić, czy dzieje się tu coś złego. Kto lepiej niż ksiądz zna życie swoich wiernych. Oczywiście będzie zasłaniał się tajemnicą spowiedzi. Tego Weronika była pewna. Ale mogły chociaż z nim porozmawiać. Skoro Valentine nie żyła...

Nowakowska nie dokończyła myśli. Ktoś niespodziewanie położył dłoń na jej ramieniu. Poczuła zimny dreszcz.

SCENA 10

Przy ulicy Hallera w Brodnicy.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 12.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel oparł się o balustradę. Wąskie, strome schody prowadziły w dół, poniżej poziomu chodnika. Pub znajdował się w piwnicy. Policjant zapalił kolejnego papierosa i zaciągnął się głęboko. Lokal otwierał swoje podwoje dopiero o dwudziestej, ale Podgórski znał jednego z właścicieli. Tomek zgodził się przyjechać i z nimi porozmawiać.

– Nie wyglądasz najlepiej – oznajmiła Emilia.

Podgórski zaśmiał się cicho.

– Dzięki. Zawsze miło coś takiego usłyszeć.

– Mówię poważnie. Przestań chociaż tyle palić. Odpalasz jednego od drugiego, wiesz, jak wyglądają twoje płuca?

– Miła, z całym szacunkiem, ale to moja sprawa, ile palę. I... i tak dalej.

I ile piję. Tak miał powiedzieć, ale się powstrzymał. Przecież już nie pił. I nigdy nie będzie, prawda?

Strzałkowska splotła ręce na piersiach z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, choć łatwo można było odgadnąć, że poczuła się urażona. Może Daniel powinien przeprosić za nieco zbyt ostry ton, ale nie miał ochoty, zwłaszcza że niełatwo było mu stać spokojnie przed pubem. Miejscem, którego z całą pewnością powinien unikać jak ognia.

– Co sądzisz o tym, co powiedziała Doris? – zapytał szybko.

Przyjaciółka zaginionej dziewczyny zdradziła im na koniec, że BiBi i Cezary Zaręba przeżywali ostatnio problemy. Według Doris profesor, jak go nazywała, był damskim bokserem. Podobno nieraz podniósł rękę na Berenikę. Dlatego właśnie Doris i Gabi nie wykluczały, że nauczyciel mógł coś BiBi zrobić. „Coś gorszego”.

– O tym, że wyglądam jak Daenerys?

Emilia powiedziała to nieco szorstko, ale Daniel był prawie pewien, że czaiła się gdzieś tam żartobliwa nuta. Czyli można było odetchnąć z ulgą. Przynajmniej na chwilę.

– Naprawdę nie widziałas *Gry o tron*? – zaśmiał się.

Strzałkowska wzruszyła ramionami. Rozchmurzyła się.

– Łukasz to ogląda. Mnie jakoś nie wciągają takie klimaty. Nie lubię fantastyki. Wystarczy mi to, co się dzieje w realnym świecie.

– Żałuj. Nie wiesz, co tracisz.

– Tak. Jasne.

– No właśnie, widzę pewne podobieństwo – oznajmił, przyglądając się Strzałkowskiej z udawaną powagą. – Ty i Matka Smoków.

Mówiąc szczerze, faktycznie uważał, że Doris się nie myliła. Emilia miała przyjemne miękkie rysy i zdecydowanie cieszące oko kobiece kształty. Nawet mundur nie mógł tego ukryć.

– Daj spokój – mruknęła Strzałkowska. Teraz był zupełnie pewien, że faktycznie udało mu się ją trochę obłaskawić. Rzucił niedopałek papierosa na ziemię i zgniotł butem. To powinno ostatecznie załatwić sprawę. Przynajmniej na jakiś czas.

– A tak na serio, to chodziło mi raczej o to, co Doris powiedziała na koniec o Cezarym Zarębie – uściślił.

– Myślisz, że ojciec Marka naprawdę bił Berenikę? – odpowiedziała pytaniem.

– Doris tak powiedziała.

– Pytałam, jak ty uważasz.

Podgórski wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, obawiam się, że to prawdopodobne. Młody wyrzucił ojca z domu, jak tylko podrósł na tyle, żeby to zrobić.

– Dlatego że Cezary bił jego matkę?

Daniel skinął głową.

– Jo.

Westchnął. Wszyscy wiedzieli, co się dzieje w domu Zarębów. W takiej małej miejscowości jak Lipowo takich rzeczy po prostu nie da się ukryć. Problem w tym, że matka Marka zawsze broniła męża. Nigdy nie zdecydowała się zgłosić skargi na policję. Nie chciała pomocy. Młody próbował interweniować, już kiedy był dzieckiem. Daniel pamiętał to doskonale. Przyjaźnili się, mimo że był od Marka pięć lat starszy.

Pewnego dnia, mniej więcej dwadzieścia lat temu, miarka się przebrała. Rodzice Młodego obchodzili którąś z kolei rocznicę ślubu i z tej okazji wybrali się do restauracji w Nowym Mieście. Podobno nawet tam Cezary Zaręba nie potrafił powstrzymać się przed ostrym traktowaniem żony. Wtedy w Marku coś pękło. Oczywiście nadal był za mały, żeby zrobić cokolwiek samemu, dlatego zwrócił się o pomoc do starszych kolegów, synów policjantów.

Poszli we trzech. Paweł Kamiński nie był jeszcze takim kutasem, przebiegło Danielowi przez myśl. Marek miał jedenaście lat. Paweł i Daniel po szesnaście. Podgórski był już wtedy prawie tak wysoki jak teraz. Ale nawet Kamiński górował nad drobnej budowy nauczycielem.

Musieli użyć naprawdę niewielkiej siły perswazji i Cezary Zaręba spakował walizki. Szczerze mówiąc, Daniel odniósł wtedy wrażenie, że ojciec Marka w gruncie rzeczy na to czekał. Może chciał przerwać cykl przemocy, ale nie potrafił? W każdym razie od tamtego dnia Marek nie miał z ojcem kontaktu. Dlatego Podgórski tak się zdziwił, kiedy Emilia powiedziała mu rano, że Cezary zwrócił się do Młodego ze swoim problemem.

– Doris twierdziła, że BiBi zrobiła sobie zdjęcia siniaków – przypomniała Strzałkowska, wyrывая Podgórskiego z zamyślenia. – To oczywiście żaden dowód. Nawet jeżeli znajdziemy jej telefon i te zdjęcia.

Daniel skinął głową. Emilia miała rację. Zdjęcia nic im nie dawały. Nawet jeśli BiBi zdecydowałyby się zgłosić pobicie, nadal byłoby słowo przeciwko słowu. Trudno powiedzieć, czy udałoby się udowodnić, że to właśnie Cezary Zaręba tak ją potraktował. Potrzebowaliby świadków.

– Przepraszam, że czekaliście tak długo! – Daniel odwrócił się. W ich stronę zmierzał Tomek, współwłaściciel pubu. – Nie mogłem znaleźć miejsca parkingowego. O tej porze to koszmar. Stoję na Kamionce. Wchodzimy?

Tomek machnął ręką, wskazując schody prowadzące w dół do pubu. Daniel poczuł, że zaczyna się pocić. Naprawdę nie powinien tam schodzić. Jeszcze nie teraz. A przynajmniej jeśli nie było takiej konieczności.

– Nie trzeba. To nie zajmie długo – zapewnił. – Zresztą dziś niezła pogoda. Postójmy tu.

– No coś ty! Upał taki, że nie wiem. Chodźmy na dół, to się trochę ochłodzimy.

Właściciel pubu miał rację. Grube mury sprawiały, że latem w lokalu zawsze było przyjemnie chłodno. A do tego zimne piwo czy inne trunki. Daniel sięgnął po papierosa i nieco nerwowo włożył go sobie do ust.

– Wolalabym porozmawiać tu – wtrąciła się Emilia nieoczekiwanie. – Nie lubię zamkniętych przestrzeni.

Podgórski spojrzał na nią z wdzięcznością. Faktycznie miewała ataki klaustrofobii, ale był pewien, że tym razem po prostu chciała mu pomóc.

– Jasne. Nie ma problemu – zapewnił Tomek. – O co chcieliście zapytać?

– Tydzień temu była tu pewna dziewczyna.

Podgórski wyciągnął zdjęcia Bereniki, które przynieśli na komendę Urbańscy. Tomek wziął fotografie i zaczął je przeglądać. Co jakiś czas unosił nieco brwi.

– Jest charakterystyczna, więc może zwróciłeś uwagę na jej nietypową aparycję – dodał Daniel.

– Przyszła z dwiema koleżankami. Też rzucającymi się w oczy. Jedna z nich obchodziła urodziny.

Tomek pokiwał głową i oddał Danielowi zdjęcia.

– Ognia chcesz?

Podgórski dopiero teraz zorientował się, że trzyma w ustach niezapalonego papierosa. Wyciągnął zapalniczkę.

– Nie trzeba. Pamiętasz ją?

– Jo. Pamiętam. Pomyślałem sobie, że małolata wygląda jak Lisbeth Salander. Z takiego filmu o Szwecji. Zresztą zapamiętałem ją nie tylko z powodu wyglądu. Wyszedłem tu, by trochę się przewietrzyć. Ona właśnie wychodziła. Zauważyła mnie i do mnie zagadała.

Daniel i Emilia wymienili spojrzenia. Chyba właśnie zrobili jakiś krok do przodu. Mieli świadka spoza kręgu znajomych i rodziny BiBi.

– Pamiętasz, o której to było? – zapytał Podgórski.

– Koło jedenastej. Znaczący zegarek nie patrzyłem, ale z reguły wtedy wychodzę na chwilę, więc musiało być coś koło tego.

To by się zgadzało. Doris twierdziła, że BiBi poszła do łazienki jakoś tak przed dwudziestą trzecią. Rozmawiały potem przez telefon niecały kwadrans po jedenastej. Oznaczało to, że Berenika widziała się z Tomkiem już po rozstaniu z przyjaciółkami, a przed telefonem od nich.

– Zagadała do ciebie?

– Jo. Zapytała, czy klubokawiarnia należy do Lecha Kołodzieja.

– Mówisz o klubokawiarni Przy Rynku? – upewnił się Daniel.

Klubokawiarnia znajdowała się kawałek dalej przy Dużym Rynku. Również ukrywała się w piwnicach poniżej poziomu ulicy. Atmosfera obu miejsc była jednak zdecydowanie różna. Przy Rynku nie przypominało rockowego pubu, raczej elegancką restaurację ze śródziemnomorskim wystrojem i taką też kuchnią. W ten sposób oba lokale nie podkradały sobie klientów.

– Jo. Kołodziej wykupił klubokawiarnię kilka miesięcy temu i niestety wprowadza tam teraz nowe porządki.

– I Berenika pytała cię o właściciela tej klubokawiarni, tak? – upewniła się Emilia, wyciągając notatnik. – Jak on się dokładnie nazywa?

– Lech Kołodziej – powiedział, unosząc brwi. Zerknął przy tym na Daniela pytająco. – Ten, co ma od lat sieć restauracji w całym województwie.

– Emilia nie jest stąd – wyjaśnił Podgórski. Sam oczywiście doskonale wiedział, o kim mówi Tomek. – Nie miałem pojęcia, że on kupił klubokawiarnię.

– Dopiero niedawno zmienili szyld. Może dlatego.

Podgórski kojarzył logo sieci Kołodziej. To było koło drewnianego wozu. Raczej nietrudno było odgadnąć dlaczego.

– O czym jeszcze rozmawialiście? – zapytała Strzałkowska.

Tomek wzruszył ramionami.

– O niczym. Zapytała tylko, czy Kołodziej kupił Przy Rynku. Jedno pytanie. Jak potwierdziłem, podziękowała i sobie poszła.

– Wspomniała, gdzie idzie? – zapytał Daniel.

– No niby czemu ta dziewczyna miałaby mi się spowiadać? – zaśmiał się właściciel pubu. – Ale poszła w kierunku Dużego Rynku, więc zgaduję, że szła właśnie do klubokawiarni, skoro wypytywała o Kołodzieja. Mogła nawet jeszcze zdążyć, zanim zamknęli. Kołodziej przedłużył godziny pracy. Przedtem mieli do dwudziestej drugiej otwarte, a teraz do dwudziestej trzeciej. Więc nie wiem, jak to się odbije na nas. Czy nie stracimy części nocnych klientów. No nic, zobaczymy. Kołodziej to zręczny gracz i wcale się nie przejmuje takimi płótkami jak my.

Podgórski już nie słuchał narzekania Tomka. Zastanawiał się, dlaczego Berenika szukała akurat Lecha Kołodzieja. Dlaczego nie powiedziała przyjaciółkom, że do niego idzie, kiedy z nimi rozmawiała? Czy właściciel klubokawiarni miał coś wspólnego z jej zniknięciem?

SCENA 11

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 12.00.

Klementyna Kopp

Klementyna zostawiła Dawida i Martę na plaży. Uznała, że chłopak na tyle już doszedł do siebie po nieoczekiwanym spotkaniu z Mściśławem Grabowskim, że chyba można mu zaufać. Niech zajmie się swoją dziewczyną i niech młodzi mają trochę czasu dla siebie. Trzeba było przyznać, że wyglądali razem całkiem uroczko. Choć Kopp niezbyt lubiła to słowo.

Ona sama miała tymczasem coś do załatwienia. Posuwała się slalomem pomiędzy wylegającymi się na gorącym piachu turystami. Jej czarne bojówki, ciężkie wojskowe buty i skórzany żakiet niezbyt pasowały do kolorowych kostiumów bikini. Nie zamierzała się tym przejmować. O nie. Już raz popełniła kiedyś taki błąd. Nie zamierzała do tego wracać.

Rozejrzała się. Zauważyła Grabowskiego. Wychudzony okularnik minął właśnie budkę wypożyczalni kajaków i ruszył do ławek z tyłu. Do tej pory kręcił się po plaży to tu, to tam, potem przysiadł na pomoście z książką w ręku. Nie spuszczała z niego oka. A skoro teraz młodzież zajęta była sobą, mogła wreszcie zamienić z nim kilka słów na osobności. I przekonać się, kto zacz.

Z Dawida nic nie zdołała wyciągnąć. Mimo rozmaitych prób perswazji i podchodów. Syn Teresy zaciął się jak ktoś, kto bardzo się boi. Mimo ogromnego wzrostu, okazałych bicepsów i gangsterskiego zacięcia Dawid do najodważniejszych nie należał. Marta z kolei zdawała się faktycznie nie wiedzieć nic ponadto, że Grabowski był właścicielem komisów samochodowych. Kopp nie chciała jej męczyć i dalej wypytywać. Musiała więc porozmawiać z samym Mściśławem.

Kiedy dotarła do ławek za budką wypożyczalni kajaków, Grabowski witał się właśnie z jakąś parą. Facet łysawy i raczej niski. Kobieta dla odmiany wysoka, z burzą kasztanowych włosów i twarzą tak ostrzykniętą jakimiś specyfikami, że jej mimika sprowadzała się do unoszenia kącików ust. Oboje jakoś tak w wieku Kopp. Przynajmniej na oko. Klementyna się wzdrygnęła. Nie lubiła myśleć o tym, że przekroczyła sześćdziesiątkę. *Glupia-stara-baba*.

Spojrzała na nich jeszcze raz. Była prawie pewna, że zna z widzenia łysego. To był właściciel sieci restauracji. Lech Kołodziej. Zbotokсовana musiała być w takim razie jego żoną. Facet był dosyć znany w województwie. Ostatnio wykupił klubokawiarnię przy Dużym Rynku. Kopp czasem zaglądała tam, kiedy nachodziła ją ochota na zjedzenie czegoś bardziej pożywnego niż zupka instant z proszku.

Mściśław i Kołodziejowie usiedli we trójkę na ławce. Klementyna zajęła miejsce obok. Obrzucili ją zdziwionymi spojrzeniami. Ale! Tym stanowczo nie zamierzała się przejmować. Zamierzała natomiast dobrze słyszeć, o czym rozmawiają.

– No więc chcecie kupić mój ośrodek – zagadnął Grabowski.

– Tak, jesteśmy zainteresowani Bropolem – potwierdził Lech Kołodziej.

No proszę! A więc wychudzony okularnik faktycznie chciał sprzedać zrujnowany ośrodek. Przynajmniej w tej kwestii był szczerzy. Resztę Klementyna miała zamiar stopniowo ustalić.

– Jakie macie plany wobec Bropolu? – zapytał Mściśław Grabowski i poprawił okulary. Wiotkie ciało i spora wada wzroku nie nadawały mu zbyt niepokojącego wyglądu. Mimo to było w nim coś szczególnego.

– Lech planuje otworzyć tu restaurację – poinformowała Kołodziejowa, potwierdzając tym samym wcześniejsze przypuszczenia Klementyny.

Miała cienki, dziewczęcy głosik, ostro kontrastujący z zamrożonymi rysami twarzy. Niezbyt naturalny, jakby starała się udawać podlotka. Nie do końca skutecznie.

– Oczywiście pod szyldem naszej sieci – zapewnił Lech. – To będzie sukces. Jak w przypadku wszystkich moich restauracji.

W jego słowach zabrzmiała wyraźna duma. Wręcz pycha. Nie krył się z tym specjalnie.

– Chcielibyśmy z Danusią, żeby to był luksusowy lokal – dodał.

Zbotoksowana pokiwała głową. Z trudem wykonała grymas, który w zamierzeniu chyba miał być uśmiechem.

– Restauracja z widokiem na jezioro – rozmarzyła się. – A potem pewnie i hotel.

– Coś z rozmachem – podjął jej myśl Lech Kołodziej. – Mierzylibyśmy w co najmniej cztery gwiazdki.

– Wiśniewski pewnie nie będzie zadowolony z konkurencji – zaśmiała się Kopp głośno. – Oj nie będzie.

Akurat to wcale jej nie martwiło. Oczami wyobraźni już widziała gniew właściciela Słonecznej Doliny, gdyby tuż pod nosem reaktywowano mu Bropol.

– Całkiem niezła myśl – dodała jeszcze.

Trzy pary oczu zlustrowały ją dokładnie. Ani Mścisław, ani Kołodziejowie nie spodziewali się chyba, że Kopp odważy się odezwać. Uśmiechnęła się słodko.

– Zabawne, jak to się w życiu układa – powiedział powoli Grabowski, ignorując jej słowa. Spojrzał najpierw na Lecha, a potem na Danutę. – Teraz wy chcecie coś ode mnie kupić. I to ode mnie zależy, czy wam to sprzedam, czy nie. Naprawdę fortuna kołem się toczy, nieprawdaż?

– Raz na wozie, raz pod wozem – dodała Kopp, choć nie wiedziała, do czego pił Grabowski. To świadczyło jednak, że okularnik i Kołodziejowie nie spotykali się po raz pierwszy.

Mścisław Grabowski zaśmiał się cicho. Lech Kołodziej poczerwieniał lekko na twarzy. Nie był chyba przyzwyczajony do jakiegokolwiek odmowy. A tym bardziej do tego, żeby ktoś sobie żartował z jego cennego nazwiska.

– Idziemy, Danusia – oznajmił, wstając. Ruszył w kierunku schodów prowadzących na parking, nie czekając na żonę.

Kołodziejowa również się podniosła. Ale! Zmierzyła Mścisława ostrym spojrzeniem.

– Uważaj, bo ludzie mogą sobie łatwo przypomnieć, co o tobie swojego czasu mówiono – syknęła dziewczęcym głosikiem. – Ja pamiętam bardzo dobrze.

Grabowski poczerwieniał, Kopp uśmiechnęła się pod nosem. No proszę, a więc miał jednak jakiś czuły punkt.

SCENA 12

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 13.00.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Wszyscy państwo tu byli w środę wieczorem tydzień temu? – zapytała Strzałkowska.

Przyszli z Danielem do klubokawiarni zaraz po rozmowie z właścicielem pubu. Chcieli bez zbędnej zwłoki sprawdzić, czy Berenika Borkowska faktycznie tu dotarła w dzień swojego zaginięcia i dlaczego interesowała się Lechem Kołodziejem.

Tak jak mówił im Tomek, nad wejściem do restauracji wisiał baner z kołem od wozu. Emilia musiała przyznać, że logo wyglądało dość gustownie, mimo że niezbyt pasowało do nazwy lokalu. Wnętrze też było ładnie urządzone. Trochę w greckim stylu. Surowość bieli i drewna mebli łagodziły dodatki w różnych odcieniach błękitu.

– Mówię o dwudziestym lipca – uściśliła na wszelki wypadek.

Jak się okazało, Lech Kołodziej nie dotarł jeszcze do klubokawiarni. Podobno był na jakimś spotkaniu i ponoć miał się niedługo zjawić. Strzałkowska i Podgórski postanowili więc porozmawiać z pracownikami lokalu. Karina Stępień i Karol Zakrzewski zajmowali się kuchnią, barem i obsługą klientów. Wojtek Majewski był dostawcą. Pracował nie tylko w klubokawiarni, ale dowoził towary do wszystkich okolicznych restauracji należących do Lecha Kołodzieja.

– Tak – potwierdziła Karina Stępień. Najwyraźniej w imieniu swoim i kolegów. – Właściwie to non stop tu teraz jesteście. Po wprowadzeniu tych zmian.

Miała piękny czekoladowy odcień skóry i afro, które tańczyło sprężynkami wokół jej szczupłej twarzy. Kolorowa sukienka doskonale podkreślała karnację i atuty zgrabnej sylwetki. Należała do kobiet, za którymi mężczyźni się odwracali.

– Ciężko wyrobić – zgodził się Karol Zakrzewski. – Kołodziej zwolnił kilka osób i jeszcze nikogo nie zatrudnił na ich miejsce. Więc robimy tu za wszystkich. Ponad dwanaście godzin dziennie! Idzie wykitować.

Karol przypominał Strzałkowskiej Sebastiana Fabijańskiego w filmie Patryka Vegi. Patrzył podobnie na wół przymkniętymi oczami. Trudno było powiedzieć, czy to jakaś próba podrywu, czy może Karol inaczej nie umiał. Strzałkowska w każdym razie miała ochotę wsadzić mu tam zapalki, żeby podtrzymały opadające powieki. Jak w filmach animowanych.

– Nie zazdrościsz wam – włączył się do rozmowy Wojtek Majewski. – Chociaż odkąd Kołodziej was wykupił, ja też zasuwam coraz więcej. Tylko krążyć w tę i z powrotem, w tę i z powrotem.

Dostawca przypominał Emilii dawnego znajomego z przewencji na warszawskim Ursynowie. Był wysoki, kręcone czarne włosy wiązał w krótką kitkę. Kiedy się uśmiechał, cała twarz zdawała się rozjaśniać.

Daniel wyciągnął zdjęcia Bereniki Borkowskiej.

– Pamiętacie tę dziewczynę? – zapytał, pokazując im po kolei fotografie. – Mamy powody przypuszczać, że była tu w środę tydzień temu.

– Około dwudziestej trzeciej – dodała Emilia.

– No była tu taka – powiedział Wojtek Majewski.

– Weszła, jak już prawie zamykaliśmy – dodała Karina Stępień.

– Szukała Lecha Kołodzieja? – zapytała Strzałkowska.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, trzasnęły drzwi wejściowe. Emilia odwróciła się. Po schodach schodził niewysoki mężczyzna. Aparycją i spojrzeniem niebezpiecznie przypominał Jacka Nicholsona

w *Lśnieniu*. Towarzyszyła mu wysoka kobieta z burzą kasztanowych loków. Wyglądały na perukę.

– O wilku mowa – mruknął Karol Zakrzewski cicho. Nieco szerzej otworzył oczy. Biało prawego było przekrwione. Zapalenie spojówki? Może dlatego cały czas je przymykał.

– Szef – szepnął Wojtek Majewski.

Tylko Karina Stępień zdawała się zachowywać kamienny spokój na widok pracodawcy.

– Dzień dobry – powiedziała do zbliżającej się pary.

– Dzień dobry. Nie mogliśmy znaleźć miejsca do zaparkowania – oznajmił Lech Kołodziej. – Gdybyśmy nie musieli nadal jeździć tą kolubryną, toby nie było kłopotów.

– Nie przesadzaj. Dobrze, że zaproponowali auto zastępcze. Lakiernik nie zawsze daje – odparła towarzysząca mu kobieta. Jej głos przypominał nieprzyjemny falset. Otaksowała Emilię wzrokiem. – Pani z policji?

Strzałkowska skinęła głową. Była w mundurze, więc nie było wątpliwości.

– A pan? – zapytał Lech Kołodziej szorstko, odwracając się do Podgórskiego.

– Aspirant Daniel Podgórski. Z Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy.

– Nie ma pan munduru, więc prosiłbym o wylegitymowanie się – zażądał Kołodziej.

Emilia i Daniel wymienili spojrzenia. Niechęć restauratora mogła być spowodowana wieloma czynnikami, ale oczywiście budziła pewne podejrzenia. Podgórski wyciągnął blachę i uniósł ją na wysokość oczu Kołodzieja. Ten lekko kiwnął głową.

– Zaproponowaliście państwu coś do picia? – zapytał swoich pracowników.

Kelnerka dopiero teraz poruszyła się niespokojnie. Kołodziej poczerwieniał na twarzy.

– Naprawdę wiele się tu musi zmienić, jeśli ten lokal ma sprawnie funkcjonować – oświadczył. Odwrócił się do Emilii i Daniela. – Przepraszam, że sprawdziłem pana, ale różnie bywa. Ludzie się podszywają pod policję i tak dalej. W mojej branży człowiek dmucha na zimne. Napiją się państwo czegoś? Oczywiście mam na myśli świeżo wyciskany sok, lemoniadę, może kawę albo herbatę, chociaż dziś tak gorąco. Alkoholi nie proponuję, bo po pierwsze jeszcze dzień młody, a po drugie państwo na służbie. No chyba że jakieś małe piwo? Może z sokiem?

– Nie trzeba – zapewniła Strzałkowska. Chciała przejść do rzeczy, żeby Daniel nie musiał tu zbyt długo siedzieć.

– Chętnie bym się napił soku, jeśli można – powiedział nieoczekiwanie Podgórski. Był blady.

– Oczywiście – potwierdził Lech Kołodziej i skinął rozkazująco w stronę Karola Zakrzewskiego.

Barman zajął się przygotowywaniem napoju. – A to moja żona, Danuta. W czym możemy pomóc?

– Chcielibyśmy chwilę porozmawiać – wyjaśniła Strzałkowska.

– Nie ma problemu. – Teraz Lech Kołodziej zdawał się aż nadto skory do współpracy. – Może przejdźmy do mojego gabinetu na zapleczu.

Karol Zakrzewski postawił szklankę z sokiem na kontuarze. Podgórski sięgnął po napój i zaczął łapczywie pić.

– Nie trzeba. Mamy tylko kilka pytań – powiedział, kiedy skończył pić. – Tydzień temu przysłała tu do pana niejaka Berenika Borkowska, znana też jako BiBi.

– Nikogo takiego nie znam – zapewnił Lech Kołodziej.

Emilia zauważyła, że na jego twarzy pojawiła się lekka, skrzątnie skrywana ulga. Jakby spodziewał się zupełnie innego pytania.

– Danusia, a ty kojarzysz kogoś takiego? – Restaurator odwrócił się do żony.

– Borkowska? Nie. – Danuta Kołodziej pokręciła głową. – Pierwszy raz słyszę.

Daniel pokazał im zdjęcia BiBi. Przyglądali się fotografiom z wystudiowaną uwagą.

– Nie znam.

– Czyli nie rozmawiał pan z tą dziewczyną?

– Nie. Zdecydowanie nie.

Emilia spojrzała pytająco na trójkę pracowników klubokawiarni.

– To znaczy ona nie rozmawiała z szefem – pospieszył z uściśleniem Karol Zakrzewski, ale nie powiedział nic więcej.

– Co masz na myśli? – zapytał ostro Kołodziej. – Ktoś tu przyszedł do mnie i mi nie powiedzieliście? To mogło chodzić o interesy.

– Raczej nie – mruknął Karol Zakrzewski. Barman wyglądał na podenerwowanego. – To była tylko jakaś dziewczyna.

– A teraz ta dziewczyna zniknęła – powiedziała Emilia głośno i wyraźnie.

W klubokawiarni było niewielu klientów i do tej pory zajęci byli sobą. Teraz coraz więcej par oczu zaczęło im się przyglądać. Początkowo ukradkiem. Wzmianka o zaginionej dziewczynie sprawiła, że większość osób zrezygnowała z zachowywania pozorów i patrzyła na nich, z wyraźnym zainteresowaniem obserwując rozwój sytuacji.

Może to i dobrze, uznała policjantka. Jeśli ktoś coś wie, będzie miał szansę się wypowiedzieć. Poza tym – zerknęła w stronę Kołodzieja i jego świty – kłamać jest trudniej, kiedy jest się obserwowanym przez wielu ludzi.

– Możecie mi z łaski swojej wyjaśnić, o co chodzi? – zapytał ostro Kołodziej.

– Przed chwilą mówiliśmy policji, że ta dziewczyna była tu tydzień temu – wyjaśnił Karol Zakrzewski wyraźnie zrezygnowany.

– Ty ją zaprowadziłeś pod gabinet szefa – przypomniała Karina.

– Tak było – poparł koleżankę Wojtek Majewski.

Wszystkie oczy skierowały się znowu na barmana. Karol Zakrzewski skinął głową.

– No jo. Zaprowadziłem ją pod gabinet, ale szef był zajęty. Trochę tam poczekaliśmy... No i ona potem straciła zapal i sobie poszła.

– Tak po prostu? – zapytała Danuta Kołodziej sceptycznie.

Karol Zakrzewski wzruszył ramionami.

– No tak – mruknął, choć chyba nie tylko Strzałkowska miała wrażenie, że barman kłamie. A przynajmniej nie mówi wszystkiego.

– Przepraszam, że się wtrączę, ale ja tu byłem tydzień temu – odezwała się kobieta siedząca przy stoliku blisko schodów. Miała przed sobą laptopa. Do tej pory jako jedyna zdawała się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się przy barze. Cały czas stukała w klawiaturę. Może była dziennikarką albo pisarką. – Pracuję tu często i wtedy siedzę całe dni. Jest większy spokój niż przy dzieciach w domu. Jak jest wolny, to zawsze przy tym stoliku.

– I? – rzucił Karol Zakrzewski wyraźnie zniecierpliwiony.

– No i nie widziałam, żeby ta dziewczyna stąd wychodziła.

– Może już pani wyszła...

– Karol, daj spokój – wtrąciła się Karina. – Też byłem tu w głównej sali i nie widziałam, żeby wychodziła.

Barman posłał kelnerce wściekłe spojrzenie.

– O matko, wypuściłem ją przez zaplecze, dobrze? – mruknął. – Wyszła przez ogródek. Oto cała tajemnica.

Emilia zerknęła na Daniela, by się upewnić, czy on też odniósł wrażenie, że barman coś ukrywa. Podgórski przejeżdżał w zamyśleniu palcami po brodzie. Nie odwzajemnił jej spojrzenia.

– Z tyłu mamy ogródek dla klientów. Obecnie ciągle jeszcze nieużywany – wyjaśnił tymczasem Lech Kołodziej. – Pokażę państwu. Karol, idziesz z nami. Opowiesz dokładnie, jak to było. Chodźmy, Danusiu.

Właściciel restauracji wziął żonę pod ramię i ruszył na tył sali. Karol Zakrzewski wyszedł niechętnie zza baru. Przeszli na zaplecze. Stamtąd szklane drzwi prowadziły do niewielkiego ogródka ukrytego pomiędzy murami sąsiednich kamienic. Miał prostokątny kształt. Na krótszej ścianie z tyłu znajdowała się brama. Pewnie tędy dowożone było zaopatrzenie. Teraz była uchylona. Emilia widziała fragment przystanku autobusowego. To była chyba ulica Świętego Jakuba.

– Na razie nie wygląda to najlepiej – powiedział Lech Kołodziej. Nie próbował nawet ukrywać zniechęcenia stanem ogródka. – Poprzedni właściciel mocno to zapuścił, a pracownicy jeszcze się nie przyzwyczaili, że teraz panują tu inne zwyczaje. Rozbijemy to i przedłużymy żywopłot. Od razu będzie

lepiej.

Wskazał ręką niski murek, który dzielił ogródek mniej więcej na pół. Stare cegły kruszyły się i częściowo zmieniły już w gruz. Za murkiem rósł zaniedbany żywopłot, którego od dawna nikt nie przycinał. To i kilka połamanych ławeczek zupełnie nie pasowało do pięknego wystroju głównej sali.

– Tam jest wyjście na ulicę Świętego Jakuba – poinformował właściciel restauracji, wskazując bramę. – Tamtędy wyszła ta zaginiona dziewczyna, Karol?

– Jo.

– Wspomniała, gdzie idzie? – zapytał Podgórski.

– Nie.

– A widział pan chociaż, w którą stronę poszła? – wtrąciła się Emilia. Bardzo nie chciała stracić tropu. Wyglądało na to, że idzie im dobrze. Jeśli chciała dostać robotę w krymie, nie mogła się zjawić u naczelnika z niczym.

Karol Zakrzewski wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie szedłem przecież za nią.

– Mają tu państwo jakiś monitoring? – zapytała Strzałkowska. – Może coś się nagrało.

Lech Kołodziej westchnął głośno.

– Niestety. Kolejna pozostałość po poprzednim właścicielu. Jeszcze nie zdążyłem tu wszystkiego uporządkować. Nie ma kamery z tyłu. To znaczy jest i nawet działała, ale jakiś tydzień temu się zepsuła. Byłbym wdzięczny, gdybyście państwo nie rozgłaszali tej informacji. Jeszcze mi tu brakuje jakiegoś włamania.

– A mówiła chociaż, dlaczego chce się ze mną widzieć? – zapytał Kołodziej, odwracając się z powrotem do Karola Zakrzewskiego. – Bo sam jestem ciekaw.

Barman spojrzał na szefa, ale szybko odwrócił wzrok.

– Nie.

Tym razem Strzałkowska była już zupełnie pewna, że barman kłamie. Tylko dlaczego?

SCENA 13

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 13.00.

Klementyna Kopp

Kopp podejrzewała, że jest już koło pierwszej. Choć, szczerze mówiąc, straciła rachubę czasu. Od momentu, kiedy Lech Kołodziej i jego napompowana botoksem żona sobie poszli, ona i Mścisław Grabowski krążyli wokół siebie jak jakieś dzikie koty.

Krążyli. I to dosłownie. Przechadzali się tu i tam, zataczając to mniejsze, to większe koła wokół kąpieliska i placu zabaw dla dzieci. Trafili nawet na górę, na parking. Klementyna szła za okularnikiem, a on doskonale o tym wiedział. To była jakaś dziwna gra. Trudno powiedzieć, czy którekolwiek z nich znało jej zasady.

Zostawiła go tylko na moment, żeby sprawdzić, czy u Marty i Dawida wszystko w porządku. Wydawali się zajęci sobą. Jakby, mimo trudności i problemów, zapomnieli o otaczającym ich świecie. Kopp uznała, że to dobrze dla Marty, i zaraz wróciła do Grabowskiego. Czekał na nią w widocznym miejscu. Pod wielką sosną. Tuż przy schodach prowadzących do głównego budynku i parkingu. Czyli nie zamierzał się przed nią kryć.

Ruszył niespiesznym krokiem z powrotem w stronę wypożyczalni kajaków, dopiero kiedy był pewien, że go zauważyła. Zajął miejsce na tej samej ławce co wcześniej. Kopp usadowiła się obok. Nie skomentował, tylko uśmiechnął się pod nosem i poprawił okulary. Być może on również chciał się dowiedzieć, z kim ma do czynienia.

Po kilku minutach do Mścisława podeszła kolejna para. Mężczyzna miał przyprószone siwizną włosy i dyskretną opaleniznę. Był zdecydowanie zbyt pewny siebie. Kobieta, która mu towarzyszyła, wydawała się Klementynie znajoma. Na pewno już ją kiedyś widziała, ale nie mogła skojarzyć gdzie. To było wyjątkowo irytujące. Naprawdę chyba się starzała. *Głupia-stara-baba*.

– Bardzo mi zależy na kupnie Bropolu – powiedział mężczyzna, kiedy uścisnęli sobie z Grabowskim dłonie.

– Jak bardzo, panie Urbański? – zapytał Mścisław Grabowski.

Urbański, Urbański, powtarzała sobie Kopp w myślach. Nazwisko też było znajome. Znowu przyjrzała się blondynce. Kobieta delikatnie skinęła jej głową. Najwyraźniej też ją rozpoznała.

– Na tyle, że mogę podwoić stawkę proponowaną panu przez innych oferentów – odparł Urbański chętnie. Arogancja malowała się na jego twarzy. Najwyraźniej przyzwyczajony był, że świat dostosowuje się do niego.

Mścisław gwizdnął przeciągle i poprawił okulary.

– Każdą stawkę?

– Każdą – zapewnił go mężczyzna.

– Mojego męża na to stać – zawtórowała mu blondynka.

– Proszę, proszę – powiedział Mścisław Grabowski.

Tamci uśmiechnęli się na jego słowa zadowoleni. Chyba myśleli, że go przekonali. Klementyna nie znała Grabowskiego. Ale! Wyczuwała już, kiedy się z kimś bawił w kotka i myszkę. Drwił z nich tylko.

Najwyraźniej naprawdę nie zależało mu na pieniądzach. Być może miał wystarczająco dużo własnych. Jeśli tak, to doprawdy mógł być groźny. Ten, kto ma wszystko, jest równie niebezpieczny jak ten, kto nie ma nic. Łatwiej sobie poradzić z tymi, którzy tkwią pośrodku. Nie mają ani funduszy, ani wystarczającego zapалу do działania.

– A co chcieliby państwo zrobić na terenie mojego ośrodka? – zapytał swoim zwyczajem Grabowski.

– Wybudujemy dom – poinformował Urbański. – Wokół ogród. Nasz syn będzie miał dużo przestrzeni. Bardzo mnie smuci, że obecnie nie ma swojego własnego placu zabaw. Mamy dom w Brodnicy, ale ogród jest zdecydowanie za mały, żeby Gustaw Junior mógł w pełni rozwinąć swój potencjał.

Blondynka pokiwała energicznie głową.

– Przykładamy dużą wagę do rozwoju naszego syna – oświadczyła z dumą.

– Gustaw Junior ma dopiero pięć lat, ale rozwija się ponadprzeciętnie szybko. Dobre geny – kontynuował Urbański. – Na geny niewiele można poradzić. Najlepszym przykładem jest córka mojej żony z poprzedniego małżeństwa. Przez Berenikę tylko ciągle mamy kłopoty.

– Niestety – potwierdziła blondynka.

Nagle Klementyna sobie przypomniała, skąd zna tę kobietę. Urbańska zgłaszała kiedyś zaginięcie córki. To było kilka lat temu. Kiedy Kopp pracowała jeszcze w firmie. Urbańska przyszła na komendę osobiście i zgłosiła się do dyżurnego. Ten wywołał Klementynę, bo akurat miała dyżur, a z osobą zgłaszającą zaginięcie zawsze musiał porozmawiać ktoś z krymu.

Berenika. Tak właśnie się nazywała ta małolata. Znaleźli ją wtedy szybko. Okazało się, że po prostu była na gigancie. Kopp pamiętała, że dziewczyna była wyszczekana i naprawdę nie chciała wracać do matki. Cały czas gadała o jakiejś lemoniadzie i o ojcu, który zginął w wypadku. Berenika twierdziła, że to przez tę nieszczęsną lemoniadę, więc niektórzy chcieli ją wysłać od razu do Świecia. Klementyna zapałała do niej niejaką sympatią, mimo że dziewczyna wcale nie chciała wyjaśnić swojej lemoniadowej fobii. A może właśnie dlatego.

Ostatecznie Berenika wróciła do domu. Do matki. I całe szczęście. Kopp na własnej skórze przekonała się, jak to jest spędzić uroczy turnus w wariatkowie. To nie było miejsce dla wrażliwych ludzi. A już na pewno nie dla nastolatków, które całe życie miały jeszcze przed sobą.

– Co tam słychać u Bereniki, co? – rzuciła Kopp do blondyny. Chyba miała na imię Hanna.

– Nie pani sprawa – burknęła.

Klementyna uśmiechnęła się szeroko. Ilekroć ktoś jej mówił, że coś nie jest jej sprawą, zawsze okazywało się, że powinna się tym zająć. I to jak najszybciej.

SCENA 14

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 13.30.

Weronika Nowakowska

Stare drewniane krzesło skrzypnęło głośno, kiedy Weronika zmieniła pozycję. Czuli się już całkiem zdrętwiali od tego siedzenia. Wiera zakaszłała głośno. Nowakowska poczuła, jak narasta w niej gniew. Może i miały zamiar myszkować w Nowych Horyzontach, ale to, co się teraz działo, było zdecydowanie nie do zaakceptowania.

Jan Kowalski przyłapał je w ogrodzie, kiedy rozmawiały z Alicją Sienkiewicz. Podeszedł tak cicho, że Weronika zauważyła jego obecność, dopiero kiedy położył jej rękę na ramieniu. Musiał wyjść tylnymi drzwiami. Tymi samymi, którymi wyprowadziła je wcześniej recepcjonistka Zośka. Jak zwykle miał na sobie lniany, biały strój. Długa koszula przypominała krótki mnisi habit, a spodnie hipisowskie dzwony. Tylko skórzane sandały odcinały się głęboką czernią od całości ubrania.

Kowalski nie skomentował ich obecności na terenie ośrodka.

– Zapraszam na herbatę – oznajmił uprzejmie. – Skuszą się panie?

Weronika i Wiera wymieniły spojrzenia. Skoro i tak zostały przyłapanie, miały dwie możliwości. Mogły albo przyjąć zaproszenie, albo opuścić Nowe Horyzonty.

– Oczywiście – zgodziła się więc Nowakowska.

Jan zaprowadził je do swojego gabinetu w willi, który znajdował się tuż obok głównego holu, gdzie Kowalski na ogół przesiadywał.

– Niech panie chwilę poczekają – poprosił. Jego głos znowu ociekał kurtuazją. – Muszę zająć się nową lekarką. Patrycja Pawłowska przejmuje praktykę po doktorze Jastrzębskim. Pokażę jej szybko, co i jak, a potem do pań wrócę. Dobrze?

– Dobrze – odpowiedziała Weronika, bo nie bardzo wypadało odmówić gospodarzowi.

A potem zamek w drzwiach szczęknął.

– Zamknął nas tu? – zdziwiła się Wiera.

Weronika zerwała się z krzesła. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Faktycznie zamknięte. Siłowała się z klamką. Nie pierwszy raz została przez kogoś zamknięta. Nieprzyjemne wspomnienia sprzed kilku lat wracały.

– Halo! – zawołała, stukając głośno w drzwi. – Co pan robi? Halo! Niech pan nas stąd wypuści!

Bez odpowiedzi. Weronika oddychała głęboko, żeby nie pokazać po sobie, jak bardzo się boi. Nie chciała dodatkowo denerwować Wiery.

– Jan niedługo przyjdzie – rozległo się zza drzwi. – Cierpliwości.

– Zośka? – zdziwiła się Nowakowska. – To ty?

– Tak.

– Otwórz nam! – poprosiła Weronika gorączkowo.

– Jan zaraz tu przyjdzie – powiedziała Zośka przepraszącą. Jej głos dochodził z pewnej odległości. Musiała stać kilka kroków od drzwi. – Z herbatą. Cierpliwości.

– Otwórz nam – poprosiła Weronika, ale nikt jej już nie odpowiedział.

– Co robimy? – zapytała Wiera.

Nowakowska wyciągnęła telefon z kieszeni. Chyba pora zadzwonić do Daniela. Obiecała sobie, że nie będzie się z nim kontaktować, ale to była przecież wyjątkowa sytuacja. Spróbowała odblokować ekran, ale komórka się rozładowała.

– Cholera! Akurat teraz!

– I co zrobimy, kochanieńka? – zapytała znowu sklepikarka.

Weronika rozejrzała się po gabinecie. Pomieszczenie urządzone było nad wyraz ascetycznie. Drewniane biurko z grubo ciosanych desek i trzy stare krzesła. Żadnych innych mebli, obrazów, doniczek z kwiatami czy jakichkolwiek ozdób.

Nowakowska podeszła do wielkiego okna z tyłu. Na zewnątrz widać było siwowłosego księdza Edwarda i zgromadzonych wokół niego ubranych na czarno pokutników.

– Spróbujemy tędy – powiedziała. Skoro drzwi były zamknięte, okno wydawało się jedyną drogą ucieczki z pokoju. – Jesteśmy na parterze, więc...

Nie dokończyła. Siłowała się przez chwilę z klamką, ale ta była zablokowana. Weronika zrezygnowała więc z dalszych prób i zastukała mocno w szybę. Miała nadzieję, że ktoś ze spowiadających się ją usłyszy.

Niestety nikt nie spojrział nawet w stronę budynku. Naprawdę jej nie słyszeli czy ignorowali? Przecież nie stali daleko. Zastukała kolejny raz. Tym razem jedna z kobiet odwróciła głowę. Była prawie łysa. Na pomarszczoną twarz opadały pojedyncze strączki siwych włosów. Jej oczy wydawały się wielkie i nienaturalnie błękitne. Weronika podwoiła starania. Wiera też podeszła do okna i zaczęła machać rękoma. Niebieskooka kobieta przyglądała im się, potem powoli odwróciła głowę z powrotem w stronę księdza.

– I co teraz? – zapytała kolejny raz Wiera.

Weronika rozejrzała się po gabinecie Jana Kowalskiego. Szczerze mówiąc, nie wiedziała co. Wyciągnęła telefon z irracjonalną nadzieją, że tym razem się włączy. Tak się oczywiście nie stało. W samochodzie miała ładowarkę podłączaną do zapalniczki. Tylko co z tego, skoro były zamknięte tu. W Nowych Horyzontach.

– Przejrzę chociaż, co ten typ ma w biurku, skoro już tu jesteśmy – oznajmiła, jakby chciała uspokoić samą siebie.

Zaczęła otwierać szuflady biurka. Były tam co prawda jakieś papiery, ale nie znalazła nic podejrzanego. Ulotki dotyczące pracy tymczasowej dla niewykwalifikowanych pracowników, oferty kursów zawodowych, kilka rachunków. To wszystko.

Wiera usiadła na jednym z krzeseł i przyglądała się poczynaniom Weroniki bez słowa. Co jakiś czas pokasływała. Nie wyglądała najlepiej.

– Albo nie ma tu nic kompromitującego, albo wszystko jest gdzie indziej – oznajmiła Nowakowska, kiedy skończyła przeglądać ostatnią szufladę. – Wszystko jasne. Nie zamknąłby nas tu, gdybyśmy mogły tu cokolwiek znaleźć.

– O ile jest coś do znalezienia – mruknęła Wiera.

Weronika spojrzała na przyjaciółkę z niepokojem. Ten brak zapasu nie pasował do Wiery. Sklepiarka zazwyczaj potrafiła poradzić sobie w każdej, nawet najgorszej, sytuacji. Zawsze spada na cztery łapy, jak lubiła z dumą powtarzać.

– Na pewno jest. Zamknął nas – powiedziała Weronika. – Musi coś być na rzeczy. Valentine Blue coś chciała nam dać do zrozumienia.

Z całych sił pragnęła rozbudzić w sklepiarce poprzedni entuzjazm do prowadzenia tego nieoficjalnego śledztwa. Chyba się nie udało. Wiera zdawała się zupełnie zrezygnowana.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Było to dość dziwne, zważywszy na to, że były tu więźniami. Chyba że ktoś szukał Jana oczywiście.

– Kto tam? – zapytała Weronika ostrożnie, żeby wysondować sytuację.

– Jan zaraz przyjdzie. – To był znowu głos Zośki. – Bardzo przeprasza, że tak was tu trzyma, ale to konieczne.

– Bardzo przeprasza?! Konieczne? – Weronika nie doczekała się odpowiedzi. Postukała znowu w drzwi. – Zośka! Otwórz.

Oczywiście zero reakcji.

– Czasem pozostaje tylko czekać – mruknęła Wiera sentencjonalnie.

Nowakowska kiwnęła głową. Przyjaciółka miała niewątpliwie rację. Czekanie nie było jednak

mocną stroną Weroniki. Znowu podeszła do okna i zaczęła siłować się z klamką. Ponownie bez powodzenia. To samo z drzwiami.

W końcu usiadła na krześle obok Wiery niemal równie zrezygnowana jak przyjaciółka. Trwały tak dłuższy czas, aż Weronice wszystkie mięśnie zdrętwiały. Nagle szczerknął zamek w drzwiach, a ona natychmiast poderwała się z miejsca.

W progu stał Jan Kowalski. Towarzyszyła mu Zośka. Tym razem bez białego kitla, który miała na sobie w recepcji przychodni. Niosła tacę z parującą herbatą. Weronika próbowała nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Dziewczyna jednak unikała patrzenia w jej stronę. Postawiła tacę na biurku. Potem wycofała się bez słowa do drzwi.

– Możesz już iść do pokoju, Zofio – powiedział Jan. – Odpocznij. Dziś i tak przychodnia będzie zamknięta.

Słowa brzmiały dobrotliwie, ale Weronice wydawało się, że słyszy w nich naganę. Jakby Kowalski odsyłał niegrzeczną uczennicę do kąta. Zanim Nowakowska zdążyła zareagować, Zośka wyszła szybko z pokoju.

– Dlaczego pan nas tu zamknął? – zaatakowała. Nigdy nie traciła zimnej krwi, ale tym razem naprawdę się zdenerwowała.

– To wydawało mi się nieodzowne – odparł Jan nieporuszony ani trochę jej gniewem.

– Moja przyjaciółka jest chora. – Weronika skinęła głową w stronę Wiery. – Mogło jej się coś stać!

Jan uśmiechnął się delikatnie.

– Wiem, że jest chora. Leczy się przecież w naszej przychodni – powiedział spokojnie. – Naprawdę bardzo przepraszam, że musiałem się uciec aż do takich środków. Ale to naprawdę wydawało się nieodzowne.

Ile razy można powtarzać takie bzdury?! Weronika poczuła, jak narasta w niej gniew.

– Zamknięcie nas tu na dwie godziny uważał pan za nieodzowne?!

– Przyznam, że bałem się trochę o moich pensjonariuszy.

– Co ma pan na myśli?

– No cóż. Wtargnęły tu panie bez zaproszenia. Nie wiedziałem, jakie mają panie intencje.

– Pan chyba żartuje – oburzyła się Weronika.

Jan uśmiechnął się uprzejmie.

– Bardzo mi leży na sercu dobro moich podopiecznych – zapewnił. – Zdziwiłaby się pani, ile czyha na nich niebezpieczeństw. Bardzo się staram, żeby mieli tu najlepsze możliwe życie, skoro tu trafili. Zero alkoholu, narkotyków, zachowań kryminalnych i innych. Tego od nich wymagam. Dla wielu to wielkie wyrzeczenia. Tym bardziej że większość gdzieś tam się kiedyś pogubiła. W zamian daję dom. A mieć dom to w życiu najważniejsza rzecz. Choć oczywiście nie wszyscy to doceniają i niektórzy stąd odchodzą, jak Ksenia ostatnio. Za każdym razem bardzo to przeżywam.

Mówił tak, jakby bezdomni mieszkający w willi byli jego dziećmi, a on ich kochającym ojcem. Weronice nie bardzo podobał się jego ton. Czuła w nim fałsz.

– Ale proszę, napijcie się panie herbaty – zachęcił je tymczasem Jan.

Wziął dzbanek i nalał naparu do filiżanek. Wiera sięgnęła po swoją i zaczęła łapczywie pić. Nowakowska spróbowała kilku łyków, ale herbata wydawała jej się nieprzyjemnie gorzka. Odstawiła kubek na stół.

– A skoro już o intencjach mowa – podjął Jan Kowalski z uśmiechem. – Czemu zatem zawdzięczamy wizytę pań?

– Usłyszałyśmy o tragedii, o tym, co się stało z Valentine Blue – odezwała się Wiera.

Weronika posłała jej karcące spojrzenie. Nie ufała Janowi. Nie chciała zdradzać mu celu ich wizyty. Z drugiej strony niewykluczone, że Zośka już wcześniej o wszystkim mu powiedziała.

– Po prostu chciałyśmy trochę powspominać – dodała szybko na wszelki wypadek. Trzeba było przyznać, że kłamstwo nie wypadło najlepiej.

Jan nie dał po sobie poznać, co myśli o jej słowach.

– Tak – powiedział. – Wiadomość dotarła do nas dziś rano ze Świecia. Doprawdy tragiczne wieści. Valentine nie była u nas długo, ale wszyscy ją pokochaliśmy. Jak pełnoprawną członkinię naszej wspólnoty.

– Jaka ona była? – zapytała Wiera.

– Obawiam się, że nie mogę udzielać żadnych informacji. I tak powiedziałem już za dużo. Nie wydaje mi się, żeby panie były jej rodziną. A przynajmniej nie wspominała mi o paniach nigdy w tym kontekście. A ja dużo rozmawiam z moimi podopiecznymi. W związku z tym czuję się zobligowany do zachowania tajemnic, które mi powierzyła. Czy to wszystko?

Dobitniej nie dało się przekazać, że audyencja dobiegła końca. Weronika zastanawiała się gorączkowo, co zrobić. Jeśli teraz wyjdą z willi, może się okazać, że dostanie się tu z powrotem będzie co najmniej trudne. Albo wręcz niemożliwe. Jeśli Jan naprawdę coś ukrywał, na pewno zadba o to, żeby nie mogły wrócić.

– Czy mogłabym skorzystać z toalety? – zapytała. Tylko to przyszło jej do głowy.

– Nawet nie wypła pani herbaty – powiedział Jan. Tym razem się nie uśmiechał.

– Cóż, trochę kazał pan na siebie czekać. Muszę do toalety.

Wiera zakaszła.

– Ja chętnie wypiję – zapewniła, sięgając po kubek Weroniki.

Weronika miała ochotę wyrwać go przyjaciółce z dłoni. Napar wydawał się podejrzany. Choć może znowu szukała dziury w całym.

– Proszę bardzo. Toaleta jest w korytarzu – powiedział nagle ugodowo Jan. – Trzeba iść w lewo. Nie znajdzie pani napisu, ale na drzwiach namalowany jest biały kwiat. Łatwo poznać.

Nowakowska spojrzała na Wierę. Spolegliwy ton Jana wzbudził jej niepokój. Nie była pewna, czy powinna zostawiać przyjaciółkę sam na sam z tym człowiekiem. Ale przecież wyjdzie tylko na chwilę. Rozejrzy się po willi i wróci.

– Zaraz wracam – zapewniła. Chyba bardziej po to, żeby zagłuszyć własne wyrzuty sumienia.

Wyszła na korytarz i od razu wpadła na stojącą tuż przy drzwiach kobietę. Miała intensywnie niebieskie oczy i strzępki włosów na prawie łysej czaszce. To była ta sama, którą Weronika widziała wcześniej przez okno.

– Przepraszam. Nie spodziewałam się, że pani tu stoi.

Kobieta spojrzała na Weronikę szeroko otwartymi oczami, ale nic nie powiedziała. Nowakowska uśmiechnęła się jeszcze raz przepaszająco. Chciała odejść, ale tamta przytrzymała ją za rękę. Dłoń miała suchą i chłodną.

– Wszystko w porządku?

Kobieta znowu nic nie powiedziała. Wpatrywała się w Weronikę, jakby chciała coś przekazać.

– Co się tu dzieje? – szepnęła Nowakowska.

Była podekscytowana. Może wreszcie znalazła kogoś chętnego do zwierzeń. Może ta kobieta specjalnie tu na nią czekała? Stała przecież tak blisko drzwi gabinetu.

Niebieskokooka nie odpowiedziała.

– Wiem, że Jan Kowalski coś kombinuje – szepnęła Weronika. Nie lubiła za bardzo słowa „kombinować”. Brzmiało nieco infantylnie. Zwłaszcza w kontekście śmierci Valentine. Nie potrafiła jednak naprędce znaleźć żadnego lepszego.

Kobieta zadrżała.

– Zamknięty pokój – wydukała. Jakby mówienie przychodziło jej z trudem.

– Zamknięty pokój? – zdziwiła się Weronika. – Chodzi pani o to, że Jan nas tu zamknął?

Tamta pokręciła głową.

– Zamknięty pokój – powtórzyła. – Zamknięty pokój.

SCENA 15

Mieszkanie Cezarego Zaręby.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 14.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel wyjrzał przez okno. Wychodziło na Duży Rynek, prawdziwą dumę Brodnicy. Jego niepowtarzalność polegała na zupełnie nietypowym kształcie. Był trójkątny. Podobno tylko trzy miasta w Europie miały rynki zbudowane na takim planie.

Kilka dni temu odbywały się tu obchody Wojewódzkiego Święta Policji. Teraz po uroczystości nie było już śladu. Ludzie przechadzali się leniwie w letnim skwarze. Wystawiali twarze do słońca i jedli lody z pobliskiej cukierni.

– Przepraszam za bałagan. Myślałem, że może spotkamy się gdzieś na dole.

Podgórski odwrócił się od okna. W tym przypadku określenie nieład byłoby znacznym niedopowiedzeniem. Wszędzie leżały porozrzucone ubrania. Damskie w małym rozmiarze należały zapewne do Bereniki Borkowskiej. Męskie niewątpliwie do gospodarza.

Poza tym książki. Na każdej wolnej przestrzeni. W dwóch rzędach na półkach. W stosach na podłodze. Do tego papiery na biurku. Może stare sprawdziany. Niemyte kubki po kawie i pokryte okruchami talerzyki dopełniały obrazu. Cezary Zaręba zdecydowanie nie był pedantem.

Policjant spojrzął na ojca Marka. Cezary bardzo się zmienił od czasu, kiedy Daniel widział go tamtego dnia mniej więcej dwadzieścia lat temu. Wtedy Zaręba był prowincjonalnym nauczycielem w powyciąganych swetrach i spranych starych spodniach. Teraz ubierał się po miejsku. Nosił kaszkiet, kraciatą kamizelkę od garnituru i zegarek z dewizką. Lekko podwinięte nogawki odsłaniały wypastowane skórzane buty. Wszystko wydawało się drogie. Być może ojciec Marka musiał dostosować się do placówki, w której nauczał. W SuperSzkole na pewno nie było miejsca dla nikogo, kto nie spełniał pewnych standardów.

– Możemy zejść na dół i napić się czegoś na rynku – przekonywał dalej gospodarz. – Tu u mnie nie ma za bardzo warunków do spokojnej rozmowy.

Daniel odszedł od okna i zaczął przechadzać się po mieszkaniu. Czuł się zmęczony i nieco zrezygnowany. Tomek z pubu powiedział im, że tuż przed swoim zniknięciem BiBi szukała Lecha Kołodzieja. Zdawało się, że ta informacja stanowi przełom w sprawie.

Późniejsza wizyta w klubokawiarni była rozczarowująca. Nie dowiedzieli się tam zbyt wiele. Podgórski był przekonany, że Lech Kołodziej i jego pracownicy coś ukrywają. Zwłaszcza barman Karol Zakrzewski. Być może trzeba tam będzie jeszcze wrócić.

Na razie jednak uznali z Emilią, że porozmawiają z Cezarym Zarębą. Musieli to zrobić, nie tylko, by spełnić prośbę Młodego. Ojciec Marka wymieniany był przez rodzinę i znajomych zaginionej jako osoba, która mogła przyczynić się do jej zniknięcia. Nawet jeśli tak nie było, Cezary Zaręba mógł dostarczyć nowych informacji o Berenice.

– Nie trzeba – zapewniła Strzałkowska.

Podeszła do okna, kiedy tylko Daniel się od niego oddalił. Przysiadła na parapecie i oddychała szybko. Podgórski był zły na siebie, że nie pomyślał o tym wcześniej. Na pewno czuła się kiepsko w tym małym zagraconym pomieszczeniu.

– Marek dużo mi o pani mówił, pani Emilio – zapewnił Cezary. – Wspomniiał, że możecie mi pomóc.

– Na pewno nie, jeśli coś Berenice zrobiłeś – powiedział Daniel ostro. – Na to nie licz.

Nie zamierzał ani na moment zapomnieć, kim był Cezary. Minęło wiele lat, ale Podgórski wątpił,

żeby ojciec Marka się zmienił. Zwłaszcza jeśli to, co mówiły o nim Doris i Gabi, było prawdą.

Cezary to damski bokser i manipulant jakich mało. Przypomnił sobie o synu, dopiero kiedy znalazł się w tarapatkach. Daniel nie zamierzał pozwolić, żeby stary Zaręba zranił Marka. Młody był oczywiście dorosły, sam był ojcem. W niektórych sprawach pozostajemy jednak na zawsze dziećmi. Zwłaszcza w kontaktach z dysfunkcyjnymi rodzicami, przebiegło Podgórskiemu przez myśl.

Cezary Zaręba splótł ręce na piersi, ale nic nie powiedział. Pogwizdywał cicho jakąś znaną melodię. Chyba Budki Suflera. Podgórski przyglądał mu się. Mężczyzna nie uciekł wzrokiem. Patrzył mu prosto w oczy. Tak zachowują się ci, którzy nie mają nic do ukrycia, albo ci, którzy kłamią jak z nut.

– Interesuje mnie to nagłe odnowienie kontaktów po latach – powiedział Daniel. – Syn policjant w takiej sytuacji jak twoja bardzo się przydaje, prawda?

– Nie wiedziałem, do kogo się zwrócić – przyznał Cezary Zaręba. – Nie będę oszukiwać. To nie ja zerwałem kontakty. To Marek nie chciał mnie widzieć przez te wszystkie lata.

– Zdaje się nie bez powodu – mruknął Daniel. Zauważył popielniczkę na stoliku przy ścianie. – Mogę zapalić?

– Oczywiście. Nie ma problemu.

Podgórski wyciągnął paczkę papierosów i zapalniczkę. Wiedział, że Emilia będzie wściekła, ale naprawdę chciało mu się palić. Poza tym zrobił się strasznie głodny. To pogłębiało irytację.

– Dlaczego nie zgłosił pan zaginięcia? – zapytała Strzałkowska, przyglądając się niechętnie, jak Podgórski zaciąga się papierosowym dymem.

Cezary wyciągnął z kieszeni pudełko cygaretek i też zapalił. Małe pomieszczenie wkrótce wypełniło się dymem. Emilia zakaszła głośno. Dwóch palaczy w małym pokoju to było dla niej za wiele. Podgórski westchnął. Ona starała się zadbać o niego w pubie, może pora, żeby i on coś dla niej zrobił. Podszedł do popielniczki i niechętnie zgasił papierosa.

– Próbowalem to zgłosić – oznajmił Cezary Zaręba cicho.

– Próbowalesz? – zaśmiał się Daniel. – Co to znaczy?

– Już kiedy powiedziałem o tym Markowi po raz pierwszy... że Bereniki nie ma...

– Kiedy to było?

– W czwartek tydzień temu z nim rozmawiał – odpowiedziała za gospodarza Emilia. Otworzyła okno jeszcze szerzej. – Marek mi wspomniął.

Cezary Zaręba pokiwał głową.

– Tak. Martwiłem się, że BiBi nie wróciła z imprezy z koleżankami. To znaczy początkowo myślałem, że zabalowały. To były urodziny Doris. Młode dziewczyny. Trudno oczekiwać, że będą piły sam sok i tak dalej... No więc w czwartek rano myślałem, że Berenika przenocowała u Doris. Albo u Gabi. I że wróci wieczorem.

– Ale tak się nie stało – odpowiedział Daniel.

– Ale tak się nie stało – powtórzył Cezary Zaręba. – Zadzwoiłem do dziewczyn i Doris powiedziała mi, że BiBi nie została nawet do końca imprezy. Że gdzieś wyszła. I one nie wiedzą gdzie. Zmartwiłem się nie na żarty. No i wtedy pomyślałem, że zadzwonię do Marka i poproszę o pomoc. Byłem pewien, że coś się stało. Inaczej BiBi by się do mnie odezwała.

Kolejna osoba, która tak twierdzi. Jak na młodocianą uciekinierkę Berenika była zaskakująco kontaktowa.

– Nie odpowiedział pan na pytanie – odezwała się Emilia. Wyglądała przez okno. Chyba próbowała oddychać powietrzem z zewnątrz i unikać dymu z cygaretki gospodarza. – Dlaczego nie zgłosił pan jej zaginięcia? Marek mówił mi, że to właśnie panu radził.

– Próbowalem...

– To już słyszeliśmy – warknął Daniel. Szczerze powiedziawszy, nie mógł teraz wykrzesać w sobie ani odrobiny pozytywnego uczucia wobec Cezarego.

Ojciec Marka zgasił cygaretkę. Przejechał ręką po twarzy. Miał krótką, modnie przyciętą siwą brodę. Wyglądał jak rockman w sile wieku. Nic dziwnego, że podobał się Berenice, mimo że był dużo od niej starszy.

– Próbowałem to zgłosić – powtórzył po raz trzeci Zaręba. – W piątek poszedłem pod komendę. Ale tam był festyn.

Podgórski skinął głową. Rzeczywiście główne obchody Święta Policji przeniosły się z Dużego Rynku pod pałac Anny Wazówny i komendę. Był festyn i rozmaite atrakcje. To tam podeszła do Daniela nieznajoma kobieta i wplątała go w śledztwo z czarnymi narcyzami w tle.

Wtedy Podgórskiemu wydawało się, że sięgnął samego dna, a jednak udało mu się odzyskać odznakę i był tu teraz w mieszkaniu Cezarego Zaręby. Z blachą i szmatą z powrotem w kieszeni. Uśmiechnął się pod nosem. Jak życie może odmienić się przez tydzień! Gdyby ktoś mu powiedział w zeszłą środę rano, że tak to się potoczy, na pewno by nie uwierzył.

– Wszędzie było pełno policjantów – ciągnął Cezary Zaręba. – Nagle zobaczyłem Marka... Po raz pierwszy od tak dawna. Ja... Ja nie mogłem tam pójść. Po postu wróciłem do domu.

– Tak po prostu? – zapytała Emilia. – To chyba za bardzo się pan jednak nie martwił.

Daniel spuścił wzrok. Tym razem miał ochotę stanąć w obronie ojca Marka. Czasem emocje okazywały się zbyt trudne, żeby od razu sobie z nimi poradzić. Poznał to na własnej skórze.

– Próbowałem znowu dzwonić do Bereniki – bronił się Cezary Zaręba.

– No dobrze. Skupmy się na tym – wtrącił się Podgórski. – Jak do niej dzwoniłeś, to co?

– W jakim sensie?

– Rozumiem, że nie odebrała...

– Oczywiście, że nie odebrała – przerwał mu Zaręba. – Przecież gdyby odebrała, nie byłoby całej sprawy.

– Jasne. Pytam, czy był sygnał, czy włączyła się poczta głosowa i tak dalej.

– Normalny sygnał. Jakby Berenika po prostu nie odbierała. Czekałem do końca. I się rozłączało. Ona nie ma skrzynki pocztowej. Nawet teraz mogę znowu spróbować i pokazać.

Wyciągnął telefon i wybrał numer. Ustawił tryb głośnomówiący, żeby Daniel i Emilia mogli słyszeć. Rozległ się sygnał połączenia. Czekali. Nikt nie odbierał.

– No i znowu nic – powiedział Cezary. Nagle jego twarz się rozpromieniła. – Chwileczkę! To chyba dobry znak, prawda? Nie pomyślałem o tym wcześniej! Jakby coś się stało, to telefon byłby chyba głuchy. Prawda?

Ani Daniel, ani Emilia nie odpowiedzieli. Trudno było stwierdzić, co to mogło oznaczać. Laura Fijałkowska miała zająć się lokalizacją telefonu i billingami. Do tej pory nie dzwoniła, więc prawdopodobnie jeszcze się do tego nie zabrała.

– Co pan zrobił potem? – zapytała Strzałkowska.

– Tak jak powiedziałem wczoraj synowi przez telefon, nie wiem, czy przekazał... – Cezary spojrział na Emilię pytająco. Nie zareagowała. – Przez weekend rozmawiałem jeszcze z dziewczynami. To znaczy z Doris i z Gabi. Miałem zamiar skontaktować się też z Urbańskimi.

– Miałeś zamiar? – powtórzył za nim Podgórski.

Ojciec Marka westchnął głośno.

– Słuchaj, Danielu. To nie takie proste. Hanna i Gustaw są na mnie wściekli za związek z BiBi. Ale nie dajcie się zwieść. Wcale im nie chodzi o dobro Bereniki. Hanna to cyborg. Nie jest zdolna do żadnej miłości. Chodzi jej jedynie o pieniądze Urbańskiego. To interesowna suka. Za urodzenie Gustawa Juniora otrzymała niezłą premię do kieszonkowego, które dostaje co miesiąc. BiBi nic jej nie obchodziła. Gustaw Junior też nie. Choć oczywiście nigdy tego nie przyzna. Berenika często pisała o matce w swoich wierszach... Były piękne. Naprawdę. Mam tu kilka w domu. Mogę wam przeczytać.

– Na razie nie trzeba – zapewnił Podgórski. Jeśli te wiersze były równie dobre jak pejzaże Doris, to wolał sobie odpuścić.

Cezary Zaręba zapalił kolejną cygaretkę. Wyglądał na poruszonego.

– Jak chcesz... Zresztą nie rozumiem tych wszystkich pretensji. Co miałem zrobić, kiedy BiBi zjawiała mi się na progu? Wyrzucić ją? Wysłać ją do tych jej Nowych Horyzontów? Jak bezdomną? Ona uciekła od Hanny i Gustawa. Bała się matki.

– Dlaczego?

– Nie powiedziała mi.

Daniel zerknął w stronę Emilii, ale Strzałkowska nadal wyglądała przez okno. Oddychała niespokojnie. Był ciekaw, co o tym myśli. Ani Doris, ani Gabi nie wspomniały, że BiBi boi się matki. Zanotował sobie w pamięci, żeby je o to spytać. Może wiedziały o tym więcej od Cezarego. W końcu były przyjaciółkami Bereniki. Z nimi mogła być bardziej wylewna.

Podgórski odwrócił się z powrotem do Cezarego. Chociaż Doris i Gabi nie wspomniały nic o lęku BiBi przed matką, mówiły za to coś innego.

– Podobno ty i BiBi mieliście problemy – powiedział. Chyba tak to ujęła Doris.

– Ja i Berenika? Nie – zapewnił Cezary Zaręba gorąco. – Wszystko było w jak najlepszym porządku. Może trudno wam w to uwierzyć, bo to nie był standardowy związek, ale kochaliśmy się. Bardzo. To była miłość mojego życia.

– Doprawdy – sarknęła Emilia.

Przez chwilę w zagraconym pokoju panowało pełne napięcia milczenie przerywane jedynie wesołymi głosami dochodzącymi z dołu, z rynku. Strzałkowska odwróciła się w jego stronę. Spuścił wzrok. Czuł na sobie jej spojrzenie. Zaczął przeglądać stare wydanie *Ulisses* Joyce'a, które tuż obok leżało na półce. Miłość. To był niebezpieczny temat. Daniel zdążył się o tym przekonać.

– A siniaki na jej ciele? – zapytała ostro Emilia, przerywając milczenie. – Bił ją pan? Może nie bała się wcale matki, tylko teraz to pan wymyślił, żebyśmy nie skupili się na tym, co trzeba.

– Ja...

– To nie byłby pierwszy raz, kiedy uderzyłeś swoją partnerkę – wtrącił się Podgórski, odkładając książkę z powrotem na półkę. – Dobrze o tym wiemy.

Cezary Zaręba potwierdził powoli.

– To prawda, ale nie jestem już tym samym człowiekiem co wtedy, Danielu. Naprawdę. Pracowałem nad tym długo.

– Czyli nie pobiłeś jej?

– Ona po prostu lubiła ostre zabawy – mruknął ojciec Marka po namyśle.

– Doprawdy? – kpiła Emilia. – Wie pan, ilu gwałcicieli tak właśnie tłumaczy swoje postępowanie?

– Co pani sugeruje?! Nigdy jej nie zgwałciłem!

Cezary Zaręba zgasił niedopaloną do końca cygaretkę gniewnym ruchem. Kilka niedopałków wypadło z przepelnionej popielniczki. Wydawał się szczerze oburzony. Daniel widywał identyczne szczerze oburzenie na twarzach zatrzymanych. W takich sytuacjach oni wszyscy stawali się największymi niewiniątkami na świecie.

– BiBi naprawdę lubiła takie rzeczy – dodał ojciec Marka. – Ale co ja będę się tłumaczył. I tak mi nie wierzycie. Chyba nie jesteście po mojej stronie!

Podgórski zaśmiał się głośno. Cezary myślał, że poprosi o pomoc Młodego i od razu dostanie immunitet? Zabawne.

– Jesteśmy po stronie prawdy – powiedział Daniel. Zabrzmiało to patetycznie, ale przecież tak było. Przynajmniej z takim założeniem wstąpił kiedyś do policji. To, że potem sam kilka razy zblądził, niewiele zmieniało.

Zanim Cezary zdążył odpowiedzieć, rozległ się dźwięk dzwonka. Daniel wyciągnął telefon z kieszeni. Zerknął na wyświetlacz. Nieznany numer.

– Podgórski – powiedział, odbierając.

– Mówi Karina Stępień z klubokawiarni Przy Rynku. Był tu pan u nas niedawno. Nie wiem, czy mnie pan pamięta.

Dziewczyna wyraźnie się krygowała.

– Oczywiście – odpowiedział Daniel spokojnie, żeby nie wycofała się nagle. – Coś się stało?

– Mówił pan, żeby zadzwonić, jeśli coś nam wpadnie do głowy. To znaczy... Chyba coś sobie przypomniał o tej zaginionej dziewczynie. Ja i Wojtek.

1 Blacha i szmata (slang) – odznaka i legitymacja.

SCENA 16

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 14.00.

Weronika Nowakowska

Weronika szła pustym korytarzem willi. Stara drewniana podłoga trzeszczała pod jej nogami. Jakby wszystkie deski były wypaczone. Miała wrażenie, że słychać to w całych Nowych Horyzontach.

Postanowiła się tym nie przejmować. W razie czego powie, że zgubiła się w drodze do toalety. I tyle. To oczywiście bezsensowne tłumaczenie i raczej nikt by w nie nie uwierzył. A już zwłaszcza Jan Kowalski. Jednak próba skradania się po tej podłodze była chyba równie absurdalna.

Po lewej stronie korytarza znajdowały się wielkie okna, po drugiej rząd drzwi. Weronika wyjrzała na zewnątrz. Szyby zdawały się krystalicznie czyste. Jan dbał o porządek w ośrodku. W ogrodzie ludzie nadal byli zgromadzeni wokół księdza Edwarda, dlatego pewnie na korytarzu było tak pusto.

Weronika odwróciła się od okna i spojrzała na rząd drzwi. Skoro wszyscy byli na zewnątrz, mogła spróbować zajrzeć do tych pomieszczeń. Sprawdzić chociaż, co tam jest. O ile, oczywiście, nie są zamknięte. Przecież ta dziwna kobieta mówiła coś o *zamkniętych drzwiach*, a potem szybko uciekła.

Była wyraźnie przestraszona. Już samo to zdawało się Nowakowskiej niepokojące. Nawet nie biorąc pod uwagę wiadomości od Valentine Blue i jej późniejszej śmierci w tajemniczych okolicznościach.

Weronika podeszła do pierwszych drzwi, otworzyła je i zajrzała do środka. Zwyczajny pokój, wykończony równie ascetycznie jak gabinet Jana. Dwa drewniane łóżka, dwie szafki nocne i dwie niewielkie szafy na ubrania. Wszystko z litego drewna. Pościel śnieżnobiała. Żadnych prywatnych akcentów. Zdjęć, plakatów, książek. Niczego. Może pokój był niezamieszkały?

Nowakowska wróciła na korytarz i zajrzała do kolejnego pomieszczenia. To samo. Dwa kolejne bez zmian. Wysprzątane, bezosobowe pokoje. Może powinna sobie darować? Przecież Jan zapewne domyślił się już, że nie poszła do łazienki, tylko zamierza rozejrzeć się po willi. Pozwoli jej na to. Czyli zapewne nie mogła nic tu znaleźć. Albo to, czego szukała, cokolwiek to było, zostało dobrze ukryte.

Mimo to nacisnęła kolejną klamkę.

– Co ty tu robisz?! Powinnaś być u Jana!

Pokój nie był pusty. Na łóżku po lewej siedziała Zośka. Kolana podciągnęła pod brodę. Obejmowała nogi wytatuowanymi ramionami. Weronika zauważyła, że dziewczyna ma zaczerwienione oczy. Jak od płaczu.

– Co tu się dzieje? – zapytała Nowakowska zamiast odpowiedzi.

Zośka zerwała się z łóżka. Podeszła do Weroniki i wciągnęła ją do pokoju. Zamknęła za nią drzwi.

– Nic się nie dzieje – zapewniła szybko.

– Płakałaś.

– Nie płakałam! To alergia.

– Mogę pomóc!

– Nic się tu nie dzieje. Dopiero możesz mi narobić kłopotów. Po co się kręcisz po domu? Prosiłam cię, żebyś sobie poszła! Obiecałaś, że to zrobicie!

Weronika poczuła wyrzuty sumienia. Zośka miała rację. Obiecały.

– Chcę wiedzieć, co się stało Valentine – powiedziała Nowakowska przepraszająco.

– To się wydarzyło sto kilometrów stąd! – rzuciła Zośka. – Czego tu szukasz?! Tam pojedź.

– Co tu się dzieje? – powtórzyła Weronika. Starła się mówić spokojnie, żeby wzbudzić zaufanie

Zośki. Nie była pewna, czy może powiedzieć o wiadomości od Valentine Blue. – Valentine czegoś się tu bała. Czego?

– Nie mam pojęcia – warknęła recepcjonistka. – To ośrodek dla ludzi, którym się nie powiodło w życiu. Na przykład dla takich osób jak ja. Nie chcę stracić tu miejsca. Nie rozumiesz? Nie masz pojęcia, jak to jest żyć na ulicy. Spać na kartonach w witrynie sklepu, kiedy przechodnie cię mijają i nie zaszczycają nawet jednym spojrzeniem, bo jesteś po prostu śmieciem. Narkomanką, pijaczką. Tu nikt nie patrzy na mnie z obrzydzeniem. Mogłam zacząć nowe życie. Nie chcę tego stracić, bo ty masz jakąś misję uzdrawiania świata!

– Dlaczego ktoś miałby cię stąd wyrzucić? Bo rozmawiasz ze mną? Jeżeli nie ma tu nic do ukrycia, to...

– Jan nie lubi, jak kręcą się tu obcy – przerwała jej Zośka. Zrobiła się cała czerwona na twarzy.

– Ma jakiś szczególnie powód poza podejrzliwą naturą?

Weronika nie mogła powstrzymać się przed odrobiną sarkazmu.

– Nie powinnaś się tu kręcić – warknęła znowu Zośka, ale jakby z mniejszym przekonaniem.

– Szłam do toalety. Znalazłam cię przypadkiem.

– Yhy. Bo uwierzę. Masz mnie za głupią?

– Chcę tylko pomóc – szepnęła Weronika.

Zośka oddychała ciężko. Nie wyglądała na zupełnie przekonaną, ale coś jakby zaczęło się w niej łamać. Nowakowska uznała to za swoją szansę.

– Chcę tylko pomóc – powtórzyła.

Niestety z jakiegoś powodu moment minął równie szybko, jak się pojawił. Zośka splotła ręce na piersi. Jej twarz przybrała zacięty wyraz.

– Nikt tu z tobą nie będzie rozmawiał – oznajmiła twardo. – Jesteś tu spalona.

– Jan wam zakazał ze mną rozmawiać?

Zośka wzruszyła ramionami.

– A jednak ktoś ze mną rozmawiał – powiedziała Weronika. Nie zamierzała zdradzić błękitnookiej kobiety. Uznała jednak, że Zośka może będzie bardziej skora do zwierzeń, jeśli dowie się, że nie tylko ona zdecydowała się mówić.

Zośka spojrzała na Nowakowską z wyraźnym zaskoczeniem.

– Niby kto?

– Jak widzisz, nie wszyscy posłuchali Jana – odparła Weronika wymijająco.

Na korytarzu skrzypnęła podłoga. Ktoś tamtędy przeszedł. Może spowiedź się kończyła? Zośka się wzdrygnęła na ten odgłos. Naprawdę chyba się bała, że zostanie przyłapaną na rozmowie. Trzeba było działać szybko.

– Zamknięty pokój – powiedziała Nowakowska. Nie miała pojęcia, co chciała jej przekazać dziwna niebieskooka kobieta, ale to był jedyny trop, jaki miała. Oprócz wcześniejszej wiadomości od Valentine oczywiście. – Wiesz coś na ten temat?

Zośka otarła pot z czoła. Była teraz wyraźnie zdenerwowana.

– Jakies brednie – mruknęła. – Idź już sobie!

Zanim Weronika zdążyła odpowiedzieć, Zośka otworzyła drzwi i wypchnęła ją z powrotem na korytarz.

– Zostaw to w spokoju – szepnęła jeszcze.

– To? – podchwyciła Weronika. A więc jakieś to jednak było.

Zośka nie odpowiedziała. Schowała się z powrotem w pokoju.

SCENA 17

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 14.00.

Klementyna Kopp

Jerzy Sawicki. To moja żona Eliza i współnik w zbrodni, Harold Dębowski – przedstawił przybyłych blondyn w sile wieku. Zaśmiał się przy tym serdecznie, jakby powiedział jakiś fantastyczny żart. – A te młode panny to moja córka Dagmara i jej przyjaciółka Gabriela.

Kolejni potencjalni kontrahenci Mścisława Grabowskiego stanowili ciekawą grupę. Eliza i Jerzy Sawiccy byli z pewnością małżeństwem. Wyglądali niemal jak bliźnięta, a to za sprawą być może identycznych lnianych wdzianek, które mieli na sobie.

Harold Dębowski był równie wychudzony jak Mścisław. Za to wzrostem przewyższał nawet Daniela Podgórskiego. Musiał mieć powyżej dwóch metrów. Przypominał przez to długą tykę. Może młode drzewko. Brzózka. Na pewno nie dąb, jak sugerowałoby nazwisko.

Dwie małolaty to była z kolei zupełnie inna para kaloszy. Jedna wysztafirowana, z różowymi włosami i sukienką, której nie powstydziałaby się gwiazda burleski. Druga w dresie z lumpeksu z gniewną miną i mocno zaciśniętymi ustami. Trudno wyobrazić sobie dziewczyny bardziej różne od siebie.

Było jednak coś, co je łączyło. I Kopp od razu zwróciła na to uwagę. Kolorowe koraliki na przegubach dłoni. Pamiętała podobną bransoletkę u Bereniki Borkowskiej. Przed chwilą była tu jej matka i kazała Klementynie trzymać się z daleka od córki. Teraz pojawiały się przyjaciółki. Zbieg okoliczności?

– Niezłe dziary – rzuciła małolata w sukience. Widać było od razu, że jest wyszczekana.

Wszyscy odwrócili się w stronę Klementyny.

– A pani to...? – zapytał Jerzy Sawicki przyjaźnie.

Myślał chyba, że Kopp towarzyszy Mścisławowi. Cóż, do pewnego stopnia tak było, zaśmiała się w duchu. Przecież chodziła za okularnikiem cały dzień.

– Znajoma – odparł Grabowski gładko. Najwyraźniej też nie lubił tracić czasu na tłumaczenia. Im więcej się tłumaczyło, tym więcej się ujawniało. A doświadczony gracz unika odsłaniania kart aż do ostatniego momentu. – A więc są państwo zainteresowani kupnem mojego ośrodka, tak?

– Zdecydowanie – odezwał się mężczyzna przedstawiony jako Harold Dębowski.

Mimo cherlawej postury głos zdecydowanie miał jak dąb. Dudniący bas słyhać było chyba na całym kąpielisku. Kilka opalających się najbliższej kobiet odwróciło się dyskretnie w ich stronę. Harold nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi.

– A co chcieliby państwo zrobić w tym moim Bropolu? – zapytał okularnik Grabowski. – Od razu powiem, żebyśmy niepotrzebnie nie strzępili języków, że interesują mnie tylko nowatorskie idee. Chciałbym, żeby nasz region się rozwijał. Tak więc żadnych pięknych ogrodów, żeby pić kawkę o poranku, bawić świetnie rozwijające się dziecko i tak dalej.

Miał na myśli chyba ostatnich gości. Urbańscy chcieli zbudować na terenie opuszczonego ośrodka rezydencję.

– Nasza idea jest, śmiem twierdzić, dość innowacyjna – odparł Harold basem. Nie wyglądał na szczególnie zrażonego cierpkim tonem Mścisława Grabowskiego.

– A na pewno nie ma tu w naszej okolicy takiego obiektu – sprecyzował Jerzy Sawicki.

– Jakiego dokładnie? – zapytał Mścisław.

– Chcielibyśmy zrobić tu coś w rodzaju lunaparku – wtrąciła się Eliza Sawicka.

Grabowski poprawił okulary i przyjrzał im się uważniej.

– Lunaparku? – zapytał. – Tam jest stara karuzela, ale obawiam się, że to wszystko, co Bropol ma wspólnego z lunaparkami.

– Chodziłoby nam o park rozrywki – uściślił Sawicki. Jego żona pokiwała głową. – Ale nie coś takiego zwyczajnego.

– O, park strachu, można by rzec – zadudnił Harold. – Do tego escape roomy, survival i tak dalej. Teraz to jest na fali.

– Doprawdy – odpowiedział spokojnie Mścisław Grabowski. O dziwo, pomysł chyba faktycznie go zainteresował. Przynajmniej Kopp się tak zdawało.

– O tak – odezwała się cycata małolata z różowymi włosami. – To jest zajebiste!

– Dagmara – zganiała ją przyjaźnie matka. – Uważaj na słowa.

Dziewczyna niezbyt się przejęła.

– A przy okazji dla wszystkich oprócz mamy jestem Doris, tak do mnie mówcie – oznajmiła. – No w każdym razie wszyscy teraz chodzą do escape roomów. Niech pan się zgodzi! Będzie sztos. Prawda, Gabi?

Doris puściła zalotnie oko do Grabowskiego. Uśmiechnął się wyraźnie rozbawiony.

– Jo. Sztos – mruknęła dresiara. – Mój Adrian mógłby trochę przy tym pomagać.

– Doprawdy – powtórzył raz jeszcze Mścisław. Nadal wyglądał na rozbawionego entuzjazmem dziewczyn.

Różowowłosa małolata wstała z ławki i pociągnęła za sobą koleżankę.

– Chodź, Gabi. Przejdziemy się tam.

– Chyba nie zamierzacie iść do Bropolu? – zapytała Eliza Sawicka. Na jej ustach nadal malował się spokojny, przyjazny uśmiech, ale w głosie słychać było ostrzeżenie.

– A czemu nie? Pan chyba pozwoli? – Doris znowu odwróciła się do Grabowskiego i uśmiechnęła zalotnie. Okularnik uniósł nieco brwi. Rozbawienie zastąpiła chyba lekka irytacja. – Zresztą Gabi już tam była kilka razy.

– Jo. Z Adrianem.

Eliza Sawicka uśmiechnęła się szeroko.

– Pan Grabowski może i pozwoli, ale ja zdecydowanie wolałabym, żebyście nigdzie same nie chodziły. A już zwłaszcza do opuszczonego ośrodka. Ten policjant mówił przecież, że Berenika zaginęła i mogło coś jej się stać. Same twierdzicie, że tym razem to nie jest zwykła ucieczka.

Kopp spojrzała na Sawicką z nowym zainteresowaniem. No proszę! A więc Berenika Borkowska znowu zniknęła. Ciekawe.

– Ale mamo. Nie jesteśmy dziećmi – marudziła Doris. – Zresztą BiBi zniknęła w mieście, a nie tu. To nie ma nic wspólnego z Bropolem. Tu jest bezpiecznie.

Eliza Sawicka nie wyglądała na przekonaną, nic jednak nie powiedziała.

– Spoko. Ale! Co się właściwie stało Berenice, co? – włączyła się do dyskusji Klementyna. Zamierzała trochę powęszyć. W końcu *to-nie-była-jej-sprawa*, jak powiedziała Hanna Urbańska.

Wszyscy znowu odwrócili się w stronę Kopp.

– A panią co to obchodzi? – zapytała nieoczekiwanie ostro dresiara Gabi.

Zaskoczyła tym chyba nawet swoją różowowłosą przyjaciółkę.

SCENA 18

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Środa, 27 lipca 2017. Godzina 14.15.

Weronika Nowakowska

Weronika szła szybkim krokiem. Nie zwracała już w ogóle uwagi na skrzywienie podłogi w korytarzu. Myślała o tym, co powiedziała jej przed chwilą Zośka. Że Nowakowska ma to zostawić w spokoju. Weronika wiedziała, że ma sztubacką tendencję do nadinterpretowania i dopowiadania sobie różnych rzeczy. Była już jednak pewna, że coś faktycznie się tu działo. Strach tej niebieskookiej kobiety i potem Zośki nie był udawany.

Z naprzeciwwka nadchodziła grupa ubranych na czarno mieszkańców willi. Spowiedź się skończyła i wracali do swoich pokoi. Unikali patrzenia na nią, nie próbowała więc nawet do nich zagadywać. Zośka powiedziała, że Weronika jest tu spalona. Pewnie miała rację. Nowakowska postanowiła nie tracić na razie czasu.

Tym bardziej że trzeba było wrócić do gabinetu Jana Kowalskiego po Wierę. Pożegnają się i pójdą, nie wzbudzając dalszych podejrzeń. Potem, już we dwie, obmyślą plan działania. W samochodzie Weronika naładuje telefon i zadzwoni nawet do Daniela, żeby mu o wszystkim powiedzieć i zapytać o radę.

Po chwili była z powrotem pod gabinetem Jana. Zajrzała do środka, ale nikogo tam nie było. Tylko taca z kubkami i dzbankiem po gorzkiej herbacie, którą poczęstował je gospodarz, nadal stały na biurku.

– Wiera? – zawołała Weronika.

Kowalski wyszedł zza załomu korytarza. Musiał chyba siedzieć swoim zwyczajem w recepcji w holu.

– Gdzie Wiera? – zapytała Nowakowska.

Jan zmierzył ją trudnym do rozszyfrowania spojrzeniem. Uśmiechnął się przy tym. Weronikę ogarnęły złe przeczucia. Nie powinna była zostawiać przyjaciółki na pastwę tego człowieka. Na pastwę Nowych Horyzontów.

SCENA 19

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 15.30.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Tym razem usiedli w gabinecie Lecha Kołodzieja na zapleczu klubokawiarni. Pomieszczenie nie robiło najprzyjemniejszego wrażenia choćby dlatego, że nie było tu żadnych okien. To sprawiało, że Emilii od razu zrobiło się duszno, mimo że klimatyzacja pracowała pełną parą. Jakby tego było mało, pod ścianami porozkładano trofea myśliwskie. A część już nawet powieszono. Wypchane głowy jeleni, łosi i innych zwierząt wpatrywały się w nią szklanymi oczami. Zdawały się przewiercać ją na wylot.

Nabrała powietrza, żeby odegnać irracjonalny lęk. Wszystko w tym pokoju było wykończone skórą. Meble, a nawet ciężka kotara wisząca na ścianie przy biurku. Wystrój gabinetu nie pasował do jasnego, śródziemnomorskiego wnętrza głównej sali.

Wrócili do klubokawiarni po tym, jak Karina Stępień zadzwoniła do Daniela. Kelnerka powiedziała Podgórskiemu, że ona i dostawca Wojtek Majewski przypomnieli sobie coś, co dotyczyło wizyty Bereniki Borkowskiej w zeszłą środę. Według nich Karol Zakrzewski faktycznie zaprowadził BiBi pod gabinet szefa. Z tym że potem przebieg wydarzeń był nieco inny, niż zeznał to barman podczas pierwszej wizyty Emilii i Daniela w klubokawiarni.

Zakrzewski twierdził, że Berenika znudziła się czekaniem i po prostu sobie poszła. Karina Stępień i Wojtek Majewski zobaczyli jednak coś jeszcze. Kelnerka przez szklane drzwi do ogródka, a dostawca, kiedy wypakowywał towary ze swojej furgonetki zaparkowanej przed bramą przy ulicy Świętego Jakuba. Według nich Karol Zakrzewski i BiBi wyszli do ogródka, a tam z jakiegoś powodu się pokłócili. Doszło nawet do przepychanki.

Wojtek nie widział nic więcej, ponieważ odjechał do domu, jak tylko wypakował towar z samochodu. Karina z kolei zajęła się sprzątaniem głównej sali klubokawiarni i wiedziała tylko, że Karol wrócił do środka sam.

Podczas pierwszej wizyty Strzałkowskiej i Podgórskiego nie powiedzieli nic na ten temat, bo nie chcieli sypać kolegi, jak to określiła Karina. Potem sprawę przedyskutowali i uznali, że to może być ważna informacja. Wtedy kelnerka zadzwoniła do Daniela.

Emilia i Daniel kończyli właśnie niezbyt owocne przesłuchanie Cezarego Zaręby, więc zdecydowali się wrócić do klubokawiarni i pogadać z Karolem Zakrzewskim. Lech Kołodziej pozwolił im porozmawiać w swoim gabinecie. Zdecydowali się skorzystać z zaproszenia, by w spokoju porozmawiać z barmanem.

– No więc jak to było dokładnie? – zapytał Daniel, kiedy zostali w gabinecie sami.

Zakrzewski przysiadł na samym brzegu obitego skórą krzesła dla interesantów.

– Przyprowadziłem tę dziewczynę tu pod gabinet szefa. Tak jak mówiłem.

– Ale potem pominął pan chyba kilka szczegółów, prawda? – podpowiedziała Emilia.

Barman spojrzał na nią z wyraźnym niepokojem i otarł pot z czoła. Strzałkowska zrobiła to samo. Czują, że kolejna strużka spływa jej po plecach.

– Postaliśmy trochę przed drzwiami, bo szef był zajęty. Gadaliśmy. W sumie to bardziej flirtowaliśmy – przyznał z pewnym ociąganiem Karol. Nadal miał półprzymknięte oczy. Teraz Emilia widziała wyraźnie, że jedno jest zaczerwienione. – No i tyle...

– Na pewno? – zapytała. Starła się oddychać spokojnie, ale atak klaustrofobii zamiast mijać, narastał.

– Tak.

– A klótnia?

Zakrzewski nie odpowiedział.

– To może inaczej: zna pan Berenikę Borkowską?

– Nie. Pierwszy raz ją widziałem tamtej nocy tydzień temu. Ale dobrze się gadało. Myślałem, że była chętna. Dlatego do niej startowałem. Inaczej bym tego nie robił.

Emilia przewróciła oczami. Mężczyźni.

– No i co dalej? – tym razem zapytał Podgórski.

Barman westchnął.

– Zabrałem ją na tył. Po drodze wyłączyłem kamerę naszego monitoringu, żeby się nie nagrało, jakby do czegoś tam doszło. No i się spierdoliło. Znaczą kamera. Będę wdzięczny, jeżeli nie powiecie szefowi, że to ja zepsułem kamerę. Już i tak mam przerąbane u niego. Poza tym to było niechcący. Wcześniej wiele razy ją wyłączałem. Na kilka minut. Jeszcze za poprzedniego właściciela. I zawsze było dobrze.

A więc przynajmniej tajemnica zepsutej kamery rozwiązana.

– Trochę jechałem po bandzie – przyznał Karol Zakrzewski, zanim Strzałkowska i Podgórski zdążyli cokolwiek powiedzieć. – Wszystko przez moją byłą. Straszna z niej żółta. Chce mi odebrać prawo do opieki nad synem. Zabrania się widywać i tak dalej. To jęcza jest. Naprawdę. Chciałem jakoś odreagować. Taki niewinny flirt bez zobowiązań czasem pomaga, żeby się trochę odstresować. Przecież nie ma w tym nic złego, jak obie strony chcą.

– No i jak zakończył się ten niewinny flirt? – zapytała Emilia z wyraźną ironią.

– Po co pani pyta? Przecież moja koleżanka i kolega na mnie donieśli, prawda? – W głosie Zakrzewskiego słychać było wyraźny żal. – Że była przepychanka. I tak dalej.

– Chcielibyśmy usłyszeć pańską wersję – powiedział Daniel.

Zakrzewski poruszył się niespokojnie. Obite skórą krzesło zatrzeszczało.

– No więc zabrałem tę Berenikę na tył. Do ogródka. Póki nie zrobimy remontu, klienci tam nie przesiadują, więc jest spokojnie. Zresztą była noc, już zamykaliśmy. Myślałem, że to w miarę dyskretne miejsce. Tam są tylko drzwi dla klientów. I te tu.

Pokazał głową ciężką kotarę wiszącą w rogu przy biurku Kołodzieja.

– Tam są drzwi? – zapytała Strzałkowska.

– Tak, ale szef tamtędy nie wygląda. Więc nie spodziewałem się, że ktoś nakryje mnie i Berenikę na... na flircie.

Emilia podeszła i odsunęła kotarę. Faktycznie były tam drzwi. Klucz tkwił w zamku. Przekręciła go i uchyliła je nieznacznie. Do ciemnego gabinetu wpadło ostre światło letniego słońca. Szklane oczy wypchanych zwierząt błysnęły, jakby martwe stworzenia chciały uciec z powrotem na wolność. Zadrżała. To było jeszcze bardziej upiorne niż niewielka przestrzeń biura. Zamknęła drzwi szybko.

– Trochę się całowaliśmy i miałem zamiar przejść dalej – kontynuował Karol Zakrzewski. Przyglądał się teraz swoim dłoniom. Zaczął skubać skórę paznokcia lewego kciuka. – A wtedy nagle ona się spłoszyła. Jak jakaś cnotka niewydymka. Może była dziewicą. Czy coś. Tego nie wziąłem pod uwagę. Człowiek nigdy nie wie. Bo one czasem są mocne w gębie, a potem, kiedy przychodzi co do czego, to...

Przerwał. Zorientował się chyba, że powiedział za wiele. Emilia z całych sił musiała się powstrzymać, żeby tego nie skomentować.

– Co było dalej? – pogonił go Podgórski.

– No zaczęła się szarpać. Wbiła mi palec w oko. Nadal jest czerwone, jak się przyjrzeć – poskarżył się barman. – Jak szerzej otworzę, to mnie boli. Muszę cały czas mieć takie półprzymknięte. Wyglądam jak jakiś debil.

Jakby dla potwierdzenia swoich słów wytrzeszczył szeroko oczy. Zacerwienie było teraz wyraźnie widoczne.

– Potem uciekła – dodał jeszcze na koniec.

– Gdzie?

– Bramą z tyłu ogródka. Tak jak mówiłem wcześniej. To się zgadza. Przemilczałem tylko, że się trochę poszarпалиśmy. Bałem się, że możecie to opacznie zrozumieć. No ale widać Karina i Wojtek musieli się wtrącić. Po prostu musieli. A człowiek myśli, że ma w pracy dobrych znajomych.

– Widział pan, w którą stronę ulicy Świętego Jakuba pobiegła? – zapytała Emilia, ignorując jego zale.

BiBi mogła udać się albo w lewo, w kierunku ulicy Kościelnej i pizzerii da Grasso, albo w prawo, w stronę ulicy Zamkowej i Komendy Powiatowej Policji. Była też trzecia możliwość. Berenika mogła przeciąć ulicę i pójść prosto do alei Wędkarzy ciągnącej się nad Drwęcą. Stamtąd dalej parkiem nad rzeką w dowolną stronę. To było jak szukanie igły w stogu siana. Ciekawe, czy Laura Fijałkowska znajdzie coś w monitoringu. Trzeba ją poprosić. Szkoda, że Wojtek Majewski odjechał, zanim Berenika wybiegła. Mógłby więcej im powiedzieć.

– Nie widziałem – zapewnił barman. – Już mówiłem, że nic więcej nie wiem. Wróciłem do środka i poszedłem do łazienki przemyć oko. Nic tej dziewczynie nie zrobiłem. Przysięgam! Chciałem ją tylko przelecieć.

Emilia zmierzyła go długim spojrzeniem.

– Przepraszam – mruknął barman natychmiast, mimo że nic nie powiedziała. – Wiem, że to może kiepsko zabrzmiało. Ale w końcu to chyba nie jest przestępstwo z kimś się bzykać, prawda?

– A to już zależy – powiedziała policjantka. – Jeżeli zrobił to pan wbrew jej woli...

Nie dokończyła.

– Nic nie zrobiłem wbrew jej woli – zapewnił gorąco Karol Zakrzewski. – Myślałem, że ona chce. Tak się zachowywała, jak czekaliśmy tu pod gabinetem. Nawet w pewnym momencie zadzwoniła do niej jakaś kumpela. Berenika ją splawiła. Wprowadziła mnie tym ostatecznie w błąd. Już mówiłem, że wbiła mi potem palec w oko. Dobrze, że mnie nie oślepiła! Była jakaś nadwrażliwa. Naprawdę. Właściwie to ja powinienem zgłosić, że mnie zaatakowała.

– Co pan zrobił potem? – zapytał Daniel po raz kolejny. Zachowywał się, jakby opowieść barmana nie zrobiła na nim większego wrażenia. Emilia poczuła narastającą irytację. Mógłby chociaż trochę się przejąć.

– Nic jej nie zrobiłem! – zapewnił barman.

– Rozumiem – odparł spokojnie Podgórski. – Ale teraz chciałbym ustalić, co robił pan przez resztę nocy w środę.

Zakrzewski otworzył szerzej oczy.

– Pyta mnie pan o alibi? – zapytał z przestrawieniem.

– Mniej więcej.

– Ale przecież mówiliście, że ona zaginęła! A nie, że nie żyje. To po co mi alibi?

Daniel nie odpowiedział. Strzałkowska też milczała. Czasem to była najlepsza taktyka. Mało kto potrafił znieść ciszę bez próby wypełnienia jej słowami. Jedną z podstawowych zasad przesłuchania.

– No potem to pomogłem Karinie zamknąć i poszedłem do domu – odezwał się wreszcie Zakrzewski. – Nic więcej. W domu chwilę pooglądałem filmiki na YouTubie. A potem położyłem się spać. Byłem padnięty. Teraz tyle pracujemy, że człowiek nie ma na nic siły. Mam nadzieję, że Kołodziej łaskawie kogoś jeszcze zatrudni, bo jak długo tak można. To niehumanitarne.

– Ktoś może potwierdzić, że był pan w domu? – zapytała Emilia, ignorując jego narzekanie.

Może i miał rację. Jeśli pracowali po tyle godzin dziennie, jak twierdzili, faktycznie sił nie pozostawało na wiele więcej. Nie zamierzała się jednak nad nim rozczulać. Ani tym bardziej skreślać go z listy ewentualnych podejrzanych.

– Nie. Nikt tego nie potwierdzi. Już mówiłem, że jestem po rozwodzie. Mieszkam sam. Mogę podać adres jak coś. Naprawdę nic nikomu nie zrobiłem.

Strzałkowska na wszelki wypadek zapisała ulicę i numer domu. Matejki. Nie wiedziała, gdzie to jest. Mieszkała w Lipowie od trzech lat. Pracowała głównie tam, więc Brodnicy jeszcze dobrze nie poznała. Jeżeli przeniosą ją do wydziału kryminalnego na komendzie, będzie miała okazję to nadrobić.

Jeżeli ją przeniosą, dodała w duchu. Odetchnęła głębiej, żeby wzbudzić w sobie trochę animuszu.

Zamierzała zrobić wszystko, żeby się udało. Im więcej o tym myślała, tym bardziej czuła, że potrzebuje tej zmiany. To byłby krok naprzód.

– Ja naprawdę nic nie zrobiłem – powtórzył nieco spokojniej Karol Zakrzewski. – Wcześniej myślałem, że głupio tak sypać, więc milczałem. No ale skoro już wszyscy na siebie nawzajem donoszą, to równie dobrze mogę państwu powiedzieć, dlaczego ta Berenika w ogóle chciała spotkać się z szefem. Co mi szkodzi? Niech Kołodziej się potem tłumaczy.

SCENA 20

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 16.30.

Klementyna Kopp

Chyba cię kojarzę – oznajmił Mściśław Grabowski. – Bo pozwolisz, że będę mówił na ty, bez niepotrzebnych form grzecznościowych. Zauważyłem, że ty tego unikasz.

Uśmiechnął się niewinnie do Kopp. Mijały kolejne godziny, a oni kontynuowali tę dziwną grę w kotka i myszkę. Dawid i Marta zdawali się bawić coraz lepiej na plaży, więc Klementyna czuła się rozgrzeszona. Być może dobry humor młodych wynikał z tego, że trzymała Grabowskiego z dala od Dawida.

– To skąd mnie kojarzysz, co? – zapytała.

Od pół godziny siedzieli znowu na ławce przy wypożyczalni kajaków. Kolejna osoba chętna do kupna opuszczonego ośrodka miała zjawić się o szesnastej, ale nie przyszła. Mściśław nie wyglądał na szczególnie tym zdenerwowanego. Choć fakt faktem co jakiś czas zerkał wymownie na zegarek. Wielka tarcza staromodnego czasomierza sprawiała, że ręka okularnika wyglądała na jeszcze chudsza. Klementyna podejrzewała, że bez problemu by Grabowskiego podniosła. Mimo że była dużo od niego niższa. Zdawał się być delikatny jak piórko.

– Jesteś policjantką, prawda?

– Jestem cywilem – odparła z godnością. Choć nienawidziła tego słowa.

– Wszędzie niebieskich rozpoznam – zaśmiał się Grabowski. – Nie wiem, co w was jest takiego. Chodźcie chyba jakoś inaczej niż normalni ludzie.

– Inaczej niż normalni ludzie, co?

– Dokładnie tak. Jakby wszystko należało do was. Chodnik, ulica, powietrze, krzaki, drzewa. Tylko dlatego, że ktoś dał wam kawałek blaszki z numerem i gnata. Jakby to dawało prawo własności do wszystkiego. Zabawne. Doprawdy zabawne.

No proszę. Kolejny urażony.

– Spoko. Ale! Jestem cywilem – powtórzyła, choć znienawidzone słowo stawało jej w gardle za każdym razem. Jak wyjątkowo mała, irytująca oś. Ciężko było znieść przymusową emeryturę.

– Właściwie od razu mi się skojarzyły te twoje tatuaże i łysa głowa – podjął Mściśław Grabowski.

– Jesteś raczej charakterystyczna.

Klementyna przejechała ręką po ogolonej na łyso głowie. Krótkie włoski już odrastały. Będzie musiała znowu sięgnąć po maszynkę. A jeszcze lepiej po brzytwę.

– Jakież tam były z tobą aferki, prawda? – zaśmiał się Mściśław. – Strzelałaś do swoich czy coś?

Kopp nie zamierzała prostować. Ani tym bardziej mówić o tym, jak po śledztwie w Utopcach trafiła na obserwację do wariatkowa. A już na pewno nie będzie wspominać, jak jej potem powiedzieli, że i tak jest w takim wieku, że równie dobrze może oddać legitymację. Mimo że doktorkowie od głowy wypisali dobre kwity. Musiała się pogodzić z tym, że czas w firmie dla niej minął.

– A ty czym się zajmujesz, co? – zapytała od niechcienia. – Nie mówię tu o tych twoich komisach. Chyba wiesz.

O dziwo, wyglądało na to, że Mściśław zamierza odpowiedzieć. Niestety w tej samej chwili zauważył nadbiegającego od strony plaży mężczyznę. Nowo przybyły musiał przekroczyć pięćdziesiątkę, choć sylwetkę miał zdecydowanie młodzieńczą. Płomiennorude włosy i broda sprawiały, że od razu zwracał na siebie uwagę.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział na przywitanie. – Poprzednie spotkanie mi się

przedłużyło.

Nie przedstawił się, więc najwyraźniej z Grabowskim się znali. Podał rękę Mścisławowi. Dopiero potem spojrzął na Klementynę pytająco.

– Znajoma – rzucił lakonicznie okularnik.

– Pani chyba z policji. Z komendy w Brodnicy – zagadnął rudzielec wesoło. Kolejny, przebiegło Kopp przez myśl. Najwyraźniej była znaną osobą. – Jestem Chrystian Pawłowski.

Kopp skinęła tylko głową. Skoro była taka znana, nie musiała się przedstawiać, co?

– Miała tu być twoja żona – powiedział Grabowski.

– Tak, tak. Ale Patrycja musiała zostać w gabinecie. Dziś przejęła praktykę w Nowych Horyzontach. Miała się tylko rozejrzeć, ale nieoczekiwanie wpadła jej jakaś pacjentka. Patrycja musiała jej pomóc. Nigdy nie ignoruje potrzebujących. Naprawdę poważnie traktuje lekarskie powołanie.

Mścisław wzruszył ramionami. Widocznie przysięga Hipokratesa nie robiła na nim wielkiego wrażenia.

– No więc Patrycja dała mi znać, żebym ja przyjechał – kontynuował Chrystian Pawłowski. – Tyle że ja z kolei byłem u prawnika. Będziemy się procesować z sąsiadką idiotką. Nawet sobie nie wyobrażacie. Czepia się jędza o pięć centymetrów działki! Dosłownie pięć centymetrów! Nie przesadzam. Pięć! Że niby źle postawiliśmy płot. Rozumiem, gdyby chodziło o pół metra, ale kilka centymetrów?! Nie będę burzył płotu i stawiał od nowa tylko dlatego, że po drugiej stronie siatki mam wariatkę.

– Spóźniłeś się pół godziny – oznajmił Mścisław Grabowski. Widocznie problemy międzysąsiedzkie rudzielca też niezbyt go obchodziły.

– Szczęśliwi czasu nie liczą – zażartował Chrystian Pawłowski i zaśmiał się. W zamierzeniu miało być wesoło. Ale! Wyszło nerwowo.

– Ja jestem dosyć szczęśliwy i jak najbardziej liczę – powiedział spokojnie okularnik Grabowski. Uniósł lewą rękę, demonstrując zegarek.

– No ale chyba pogadamy?

Grabowski wstał z ławki. Przeciągnął się i nabrał powietrza w płuca. Kopp bezwiednie zrobiła to samo. Powietrze pachniało jeziorem, rozgrzanym lasem i wysmarowanymi olejkami ciałami plażowiczów.

– Spóźniłeś się pół godziny – powtórzył tylko Mścisław, jak wcześniej.

– Wiem, przepraszam. Tyle razy byłem twoim klientem – przypomniał Pawłowski. – Wiesz, że można mi ufać. Wypadek przy pracy. I tyle. To się nie powtórzy.

Na Grabowskim ta deklaracja też zdawała się nie robić większego wrażenia. Znowu się przeciągnął.

– Patrycji bardzo zależy na kupnie tego ośrodka – kontynuował Chrystian Pawłowski. – Chce tu zrobić klinikę. Bardzo nowoczesną.

– Niedaleko stąd jest klinika Magnolia – mruknął Grabowski. – To nie ma sensu. Wchodzilibyście sobie w drogę.

Magnolia. Klementyna pamiętała białe budyneczki przypominające architekturę grecką. Magnolia przewinęła się podczas dochodzenia w sprawie Mordercy Dziewic. Na szczęście później nie musiała tam zaglądać.

Chrystian Pawłowski zaśmiał się serdecznie.

– Nie, nie. To byłoby zupełnie co innego niż Magnolia! – zapewnił z mocą. – Patrycja od lat zajmuje się leczeniem raka. Współpracuje z koncernami farmaceutycznymi. Opracowuje nowe technologie. Chce, żeby te prace weszły na wyższy poziom. Na światowy poziom. Ludzie tu będą zjeżdżać z różnych zakątków świata. Nie tylko z całej Polski. Zobaczysz.

Rak... Klementyna zadrżała. Rak zabrał Teresę. Kobieta, którą kochała. Minęło już tyle lat, a Kopp nie potrafiła myśleć o tym spokojnie. Wątpiła, czy kiedykolwiek będzie mogła.

– No to jak? Patrycja mnie zabije, jak cię nie przekonam – zaśmiał się rudzielec. – To jak? Sprzedasz nam Bropol?

Mściław Grabowski nie odpowiedział. Odwrócił się i spojrzał w stronę placu zabaw.

– Na razie nie mam czasu na rozmowę – oznajmił.

– Ale...

– Mam gościa – uciął Grabowski.

Klementyna spojrzała tam, gdzie patrzył Mściław. Zmierzał do nich siwowłósy mężczyzna, pogwizdując cicho. Miał na sobie kaszkiet i kraciastą kamizelkę. W słońcu połyskiwał zegarek na dewizce.

SCENA 21

Przychodnia obok Nowych Horyzontów.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 16.30.

Weronika Nowakowska

No i jak? – zapytała lekarka. – W porządeczku?

Weronika nie lubiła co prawda, kiedy lekarze używali zdrobnień, ale musiała przyznać, że Patrycja Pawłowska sprawiała przyjemne wrażenie. Była niewysoką krągłą kobietą. Kiedy się uśmiechała, w jej policzkach robiły się urocze dołeczki.

– Znacznie lepiej – zapewniła Wiera.

Weronika odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję, że zajęła się pani Wierą tak szybko – powiedziała. Przyjaciółka faktycznie zdawała się powoli odzyskiwać kolory na twarzy.

– Ależ proszę nie dziękować. To był mój obowiązek! – zapewniła doktor Pawłowska. – Przybiegłam, jak tylko Jan mnie zawiadomił, że pani Wiera zasłabła.

Jan Kowalski kiwnął głową. Stał w kącie gabinetu lekarskiego i przyglądał im się z troską. Weronice zrobiło się głupio. Może niesłusznie go podejrzewała o jakieś nieczne zamiary? Może znowu poniosła ją wyobraźnia?

Pierwszą jej myślą, kiedy weszła do pustego gabinetu Jana i spojrzała na filiżanki po herbacie, było, że Kowalski otruł Wierę. Teraz to wydawało się zupełnie irracjonalne. Śmieszne wręcz. Przyjaciółka zasłabła, a ci ludzie dobrze się nią zajęli.

Zachowuję się jak jakaś nawiedzona wielbicielka teorii spiskowych, pomyślała Weronika. Była zła na samą siebie.

– Pójdę do toalety – oznajmiła sklepikarka.

– Pomóc ci? – zapytała szybko Nowakowska.

– Nie trzeba.

Wiera wstała ostrożnie z leżanki.

– Co to za choroba? – zapytała Weronika cicho, kiedy tylko sklepikarka wyszła na korytarz. Może wreszcie się czegoś dowie. Kiedy Jan ją tu przyprowadził, Wiera odzyskała już przytomność. Weronika nie miała dotychczas okazji zapytać, mimo że siedzieli tak prawie dwie godziny, czuwając wspólnie przy sklepikarce.

– W karcie wpisany jest rak płuc – wyjaśniła współczującym tonem Patrycja Pawłowska. – Tak zapisał poprzedni lekarz prowadzący.

Weronika poczuła, że się dusi. Rak? Od początku domyślała się, że choroba przyjaciółki to nie zwykła niedyspozycja, ale usłyszeć taką diagnozę... Rak? Dlaczego Wiera trzymała to w tajemnicy?

– Niech się pani nie martwi – odezwał się Kowalski pocieszająco. – Tak się składa, że doktor Pawłowska jest wybitnym specjalistą od leczenia raka. Naprawdę znakomitym. Mamy szczęście, że chce być wolontariuszem w naszym skromnym ośrodku.

Patrycja Pawłowska uśmiechnęła się i machnęła ręką, jakby chciała podkreślić, że to nic wielkiego.

– Mieszkam niedaleko. To żaden problem zajrzeć tu kilka razy w tygodniu.

Weronika przełknęła ślinę. Ciężko było jej się zebrać, żeby zapytać o to, co teraz najbardziej ją nurtowało. Chowanie głowy w piasek nic nie da. A na pewno nie spowoduje, że choroba Wiery zniknie.

– Jakie są rokowania?

Z twarzy Patrycji Pawłowskiej natychmiast zniknął uśmiech.

– Obawiam się, że nie najlepsze – powiedziała ze smutkiem. – Choroba może oczywiście różnie przebiegać, ale nowotwór płuc nie rokuje dobrze. Nigdy. Będę musiała zlecić badania, ale jeśli są przerzuty do węzłów chłonnych...

Lekarka nie dokończyła. Weronika poczuła, że napływają jej do oczu łzy.

– Rak płuc? – szepnęła. – Ale ona nawet nie pali...

– Czasem są inne powody – powiedziała lekarka i położyła Weronice dłoń na ramieniu. – Zapewniam, że zrobimy dla pani Wiery wszystko, co się da.

Nagle trzasnęły drzwi przychodni. Jan wyrzwał na korytarz.

– Pani Wiera chyba wyszła – oznajmił.

– Pójdę do niej – powiedziała szybko Weronika. – Dziękuję państwu jeszcze raz.

– Nie ma sprawy – zapewniła doktor Pawłowska.

– I proszę uważać na przyjaciółkę – dodał Jan Kowalski, kiedy Weronika mijała go w progu gabinetu lekarskiego.

Nowakowska zadrżała. Troska w jego głosie gdzieś zniknęła. Było coś w jego tonie... Ostrzeżenie? Wątpliwości co do intencji Jana na te dwie godziny gdzieś zniknęły. Teraz powróciły ze zdwojoną siłą.

SCENA 22

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 16.40.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel poprawił się na krześle. Zrobił się strasznie głodny. To było tak, jakby zmęczony kilkumiesięcznym picciem organizm zaczynał wreszcie odżywać. I domagać się zadośćuczynienia w postaci obfitego posiłku.

Chciał zjeść coś po drodze, ale Emilia cały czas go popędzała, mówiąc, że przecież mieli być u naczelnika o wpół do piątej. Wyglądała na tak zdeterminowaną, że Daniel wołał się nie sprzeciwiać. W rezultacie nic nie zjadł ani nie wypalił nawet jednej fajki. No ale fakt faktem na komendzie zjawili się na czas. Tak jak chciała Strzałkowska.

Zdawali właśnie Sienkiewiczowi szybką relację z dzisiejszych poszukiwań Bereniki Borkowskiej. A właściwie Emilia to robiła, Podgórski się nie wtrącał, aby Strzałkowska mogła się wykazać.

Mówiła o tym, co do tej pory zdziałali, z dużym przejęciem, siedząc wyprostowana, jakby połknęła kij. Daniel uśmiechnął się pod nosem. Nie dziwił się. Być może czekał ją awans, choć spodziewała się raczej problemów po tym, co się zdarzyło podczas ostatniego śledztwa.

– Karol Zakrzewski powiedział nam, po co BiBi przyszła do klubokawiarni i dlaczego szukała Lecha Kołodzieja – powiedziała Emilia na koniec relacji. – W czasie naszej pierwszej wizyty nawet się o tym nie zająknął. Podobno nie chciał donosić na innych. Ale kiedy doniesiono na niego, zmienił zdanie. Tak to chyba ujął.

– Wydaje mi się, że mówił o sypaniu – zażartował Podgórski.

Chciał, żeby Strzałkowska trochę się rozluźniła, ale ona tylko posłała mu zirytowane spojrzenie.

– No więc dlaczego Berenika poszła do klubokawiarni? – zapytał Sienkiewicz.

– Według Zakrzewskiego chciała porozmawiać z Lechem Kołodziejem o niejakej Dębickiej – poinformowała Emilia.

– Któż to taki? – chciał wiedzieć naczelnik.

– Barman uprzejmie poradził, żebyśmy zapytali Kołodzieja – zażartował znowu Daniel.

Nadmierna powaga nie prowadziła do niczego dobrego. Zwłaszcza w ich robocie. Do takich wniosków doszedł już jakiś czas temu. Naczelnik był chyba podobnego zdania, bo uśmiechnął się nieznacznie.

– Jak rozumiem, zrobiliście to? – zapytał.

– Oczywiście – zapewniła Strzałkowska szybko. – Lech Kołodziej był w klubokawiarni, kiedy przesłuchiwaaliśmy Zakrzewskiego, więc potem rozmawialiśmy z nim.

Tak. To był kolejny z powodów, dla których teraz Danielowi burczało w brzuchu.

– Dębicka ma na imię Sara i jest koleżanką żony Kołodzieja, Danuty – wyjaśniała Emilia. – Jest historyczką. Zajmuje się głównie drugą wojną światową. Ani Lech, ani Danuta nie mają pojęcia, dlaczego BiBi chciała o tej Dębickiej z nimi rozmawiać.

– No to trzeba będzie samą Dębicką zapytać – powiedział naczelnik Sienkiewicz. Znowu uśmiechnął się nieznacznie.

– Kołodziejowie podali nam numer telefonu, ale nie zdążyliśmy się jeszcze umówić, bo spieszyliśmy się, żeby tu zdążyć – odparła Emilia.

– Świetnie. Laura was umówi. Zostawcie numer. Przekażę jej.

– Ale ja mogę... – zaczęła Strzałkowska.

– Spokojnie – przerwał jej Sienkiewicz z rozbawieniem. – Laura was umówi, wy przepytacie Dębicką. Z tego, co wiem, Laura sprawdza dla was telefon tej zaginionej dziewczyny. Powinna zaraz tu przyjść. Nie wiem, czemu jej nadal nie ma. Czegoś jeszcze potrzebujecie? Chcę mieć kilka zadań dla Laury.

– Warto by było, żeby sprawdziła monitoring miejski ze Świętego Jakuba – powiedziała Emilia.
– Może uda się ustalić, gdzie poszła Berenika po wizycie w klubokawiarni. Od Zakrzewskiego wiemy, że uciekła bramą od ogrodu. Trzeba ustalić, gdzie dalej.

Sienkiewicz pokiwał głową.

– Dobrze. A teraz powiedzcie mi, jakie jest wasze zdanie. Sądzicie, że tej Berenice Borkowskiej faktycznie coś się złego stało? Może jest na gigancie? Pytam na wypadek, gdyby zwałił się nam na głowę jej ojczym. Ten Urbański.

Daniel mimowolnie się skrzywił. Hanna i Gustaw Urbańscy nie wywarli na nim najlepszego wrażenia. Co więcej, nie wyglądali na zbyt przejętych zniknięciem BiBi. Cezary Zaręba mógł być damskim bokserem, albo i gorzej, ale chyba się nie mylił, mówiąc, że Berenika bała się matki.

– Trudno powiedzieć – odezwała się Emilia. – Jej przyjaciółki, Doris i Gabi, oraz Cezary Zaręba twierdzą, że gdyby Berenika po prostu uciekła, już by się do tego czasu z nimi skontaktowała. A nie zrobiła tego. Cezary dzwonił przy nas na jej numer. Telefon jest aktywny.

– Jak Laura wreszcie przyjdzie, to może nam coś powie na ten temat. – W głosie Sienkiewicza pojawiła się nuta irytacji. Zerknął na zegarek. – Jak oceniacie Cezarego Zarębę?

Naczelnik spojrzał pytająco na Daniela, więc Podgórski poczuł się w obowiązku przejąć pałeczkę od Emilii.

– Przyjaciółki BiBi twierdzą, że ją pobił. Podobno zrobiła nawet zdjęcia obrażeń, ale w końcu nie złożyła doniesienia na policji.

– Cezary z kolei utrzymuje, że Berenika lubiła ostre zabawy – wtrąciła się Strzałkowska.

– Czyli de facto nie wypiera się, że ją pobił – wywnioskował naczelnik. – Tylko sugeruje, że na jej życzenie.

– Mniej więcej – potwierdził Daniel.

– Co oczywiście niekoniecznie oznacza, że posunął się do czegoś więcej – zastrzegła Strzałkowska.

Grając swoim zwyczajem rolę adwokata diabła, trochę się rozluźniła. Podgórski skinął głową. Cieszyło go to, bo w ten sposób mogła pokazać się Sienkiewiczowi nie tylko jako prymuska. Żonglerka myśli podczas odprawy zazwyczaj prowadziła do nowych wniosków. To z kolei mogło posunąć sprawę do przodu.

– Oczywiście – zgodził się Daniel. – Ale mógł to zrobić. Ich ostre zabawy mogły pójść za daleko. Mógł zdarzyć się wypadek. Potem Cezary pozbył się ciała i udawał zmartwionego. Tego nie możemy wykluczyć. Jeżeli zakładamy taki przebieg wydarzeń, to obraz samej Bereniki też nie jest do końca jasny. Z jednej strony Cezary Zaręba przedstawia ją niemalże jako wielbicielkę sado-maso. Z drugiej mamy zeznanie Karola Zakrzewskiego, że Berenika uciekła, kiedy tylko próbował się do niej zbliżyć.

– Jedno nie wyklucza drugiego – odpowiedziała szybko Emilia. – Jeśli założymy, że Cezary Zaręba kłamie i BiBi wcale nie lubiła ostrych zabaw, a on ją pobił albo zgwałcił, mogła doznać traumy. Po prostu zaczęła bać się mężczyzn. Dlatego uciekła przed Karolem. Jeśli oczywiście Zakrzewski mówi prawdę. Bo każdy z nich dwóch może przecież kłamać.

Daniel zgadzał się z Emilią. Poczul znajomy dreszczyk ekscytacji. Lubił te ich przepychanki słowne. Strzałkowska chyba też. Nie wyglądała już nawet na zdenerwowaną ani na obrażoną jak wcześniej.

– Jo – potwierdził. – Jedyne, co możemy w sprawie Zakrzewskiego uznać za niezbity fakt, to że poszedł z Bereniką pod gabinet szefa, a potem zabrał ją do ogródka. Na to mamy dwójkę świadków. Wojtka Majewskiego i Karinę Stępień. Tam zaczął się do niej dobierać i doszło do przepychanki. O co poszło, wiemy już tylko z relacji Zakrzewskiego. Tak samo jak tylko z relacji Cezarego Zaręby wiemy, że BiBi nie wróciła po wizycie w klubokawiarni do domu. Koleżanki nie miały już z nią kontaktu, ale

przecież nie możemy wykluczyć, że wybiegła z klubokawiarni, uciekając przed Zakrzewskim, i udała się prosto do domu na rynek, gdzie dopadł ją Zaręba.

– O ile ktokolwiek ją dopadł, bo przecież równie dobrze może być cała i zdrowa – zasugerowała Emilia. – Tego też nie możemy wykluczyć. I to oczywiście byłaby najlepsza opcja.

Sienkiewicz przenosił wzrok z Podgórskiego na Strzałkowską. Znowu wyglądał na rozbawionego.

– A nie macie innych ewentualnych podejrzanych? – zapytał. – Czy tylko tych dwóch delikwentów bierzecie pod uwagę? To oczywiście na wypadek, gdyby doszło do najgorszego.

– W grę wchodzić może jeszcze Lech Kołodziej – rzuciła natychmiast Strzałkowska. – Z jakiegoś powodu to właśnie z nim Berenika chciała rozmawiać. Może to on ma coś do ukrycia.

– Mnie się nie podobają Urbańscy – dodał Daniel.

– Nie tobie jednemu – zaśmiał się naczelnik. – Nie lubię, kiedy ktoś próbuje na mnie naciskać – dodał, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę.

Do środka zajrzała Laura Fijałkowska. Obrzuciła Daniela i Emilię niezbyt przychylnym spojrzeniem.

– Spóźniłaś się – mruknął Sienkiewicz.

– Tak. Przepraszam. Coś mi wypadło.

– Co masz?

Laura uniosła plik kartek, który trzymała w ręce.

– Wydruki z billingów telefonu Bereniki Borkowskiej. Co ciekawe, numer nadal jest aktywny.

Daniel i Emilia wymienili spojrzenia.

– Tak nam się wydawało – powiedział Podgórski.

– Ale to nie wszystko. – Laura jakby ich nie zauważała. – Z tego telefonu nadal ktoś korzysta. Billingi wykazały połączenia, i to głównie zagraniczne. Do Stanów Zjednoczonych.

– No proszę. Czyli jednak dziewczyna jest cała i zdrowa – skwitował naczelnik. – Zlokalizowaliście tę komórkę?

– Oczywiście. Od dłuższego czasu łączy się ze stacją bazową tu niedaleko. Pod Brodnicą. Zdobyłam przybliżone namiary.

SCENA 23

Obok Nowych Horyzontów.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 16.45.

Weronika Nowakowska

Weronika wyszła z przychodni i rozejrzała się. Wiery nigdzie nie było widać. Może poszła do samochodu? To było chyba najbardziej prawdopodobne. Nowakowska okrążyła budynek przychodni i szybkim krokiem poszła wzdłuż obrośniętego zielonym bluszczem muru Nowych Horyzontów. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że przyjaciółka faktycznie czeka przy dziupie.

– Wszystko w porządku? – zapytała Weronika.

Zważywszy na diagnozę, pytanie było co najmniej idiotyczne. Mimo iż Nowakowska była psychologiem, nie bardzo wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć. Po prostu zabrakło jej słów, choć zazwyczaj mogły rozmawiać godzinami.

– Tak, tak – zapewniła Wiera szybko. – Ale zobacz tam.

Weronika odwróciła się i spojrzała we wskazanym kierunku. Przed głównym wejściem do Nowych Horyzontów stał zaparkowany srebrny samochód. Chyba jakiś starszy model toyoty.

– To ksiądz – szepnęła Weronika. – Brat Sienkiewicza z komendy.

Kapłan pomagał właśnie matce wsiąść do samochodu. Alicja Sienkiewicz podwinęła spódnicę i z pewnym trudem usadowiła się w środku.

– Musimy z nim pomówić, kochanieńka – ożywiła się Wiera. – On może znać wszystkie sekrety tego miejsca. Spowiada przeciw tych ludzi.

– Zostawmy już tę sprawę. Powinnaś...

Wiera machnęła ręką zniecierpliwiona.

– Powinam, powinam – rzuciła tylko i ruszyła do księdza bez dalszych tłumaczeń. – Niech dobrodziej poczeka! Chwileczkę!

Ksiądz Sienkiewicz wsiadał właśnie do samochodu. Nie zamknął drzwi. Spoglądał teraz w ich stronę nieco zaskoczony. Weronika westchnęła i ruszyła za przyjaciółką. Wiera była niepoprawna.

– Już po spowiedzi? – zagadnęła księdza Wiera.

Mężczyzna spojrzał na nią pytająco, ale przyjaciółka nie kwapiła się tym razem z wyjaśnieniami.

– Tak. Było sporo chętnych – odparł w końcu ksiądz. – Jak zawsze. Nowe Horyzonty to niezwykle uduchowiony ośrodek. Jan bardzo dba, żeby owieczki nie zboczyły znowu z drogi na manowce.

Jan bardzo dba, żeby owieczki nie zboczyły z drogi na manowce. Jak daleko w tym dbaniu się posuwał? Nie miał oporów, żeby zamknąć Weronikę i Wierę w swoim gabinecie. Może nie tylko je tak traktował? Może właśnie to miała na myśli ta dziwna, niebieskooka kobieta. Może przetrzymuje tych ludzi wbrew ich woli?

– Są w tym ośrodku jakieś zamknięte pokoje? – zapytała Nowakowska, siląc się na lekki ton.

– Wszystko w porządku, Edwardzie? – zapytała Alicja Sienkiewicz z samochodu, zanim kapłan zdążył odpowiedzieć.

Ksiądz pochylił się i zajrzał do środka.

– Tak, już jedziemy, mam – zapewnił. Po czym odwrócił się do Weroniki. Wyglądał na zakłopotanego. – Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Jakie zamknięte pokoje? W każdych drzwiach jest zamek, więc można je zamknąć. Ale z tego, co wiem, raczej nikt tego nie robi. Nowe Horyzonty to wielka rodzina. Członkowie wspólnoty nie mają przed sobą nic do ukrycia. Wszystko jest zawsze pootwierane.

– Doprawdy – mruknęła Weronika. Oprócz gabinetu, w którym Jan własnoręcznie je zamknął, miała ochotę dodać, ale się powstrzymała.

– Musimy już jechać – oznajmił ksiądz.

Wsiadł do samochodu, zanim Weronika albo Wiera zdążyły powiedzieć coś jeszcze. Zaczął wykręcać na podjeździe. Robił to na tyle nerwowo, że musiał powtarzać manewr kilkakrotnie. Pytanie aż tak go poruszyło? Czy po prostu był nie najlepszym kierowcą?

– Zamknięty pokój? – powtórzyła Wiera.

Weronika pokiwała głową. No tak. Przecież nie zdążyła jeszcze opowiedzieć sklepikarce o swoim spotkaniu z niebieskooką.

– Pamiętasz tę łysą kobietę, która jedyna zwróciła na nas uwagę, kiedy pukałam w szybę, jak byliśmy zamknięte w gabinecie Jana? Pamiętasz?

– Jo.

– To ona mi powiedziała, że tu jest jakiś zamknięty pokój.

Weronika chciała opowiedzieć, jak do tego doszło, ale wtedy zauważyła Jana. Jego białe ubranie lśniło w promieniach słońca. Kierował się w stronę ulicy Wczasowej. Rozmawiał przez telefon. Wydawał się poruszony.

– Poczekaj tu – rzuciła Weronika do Wiery. – Sprawdzę, dokąd on idzie.

O dziwo, przyjaciółka posłuchała. Nowakowska nie słyszała za sobą jej kroków, kiedy ostrożnie ruszyła za Janem.

SCENA 24

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 16.45.

Klementyna Kopp

On naprawdę nie będzie już ze mną rozmawiał? – zapytał Chrystian Pawłowski. Przejechał nerwowo dłonią po rudej czuprynie. – Żona mnie zabije.

Oboje patrzyli, jak Mścisław i nowo przybyły mężczyzna witają się długim uściskiem.

– A niby skąd ja mam wiedzieć, czy on będzie z tobą jeszcze gadał, co? – odparła Klementyna.

– Ja muszę kupić ten Bropol – poinformował ją rudzielec rozpaczliwie. – Patrycji naprawdę zależy.

– Spoko. Ale! Ja z Bropolem nie mam nic wspólnego. Tylko tamten.

Kopp kiwnęła głową w kierunku Mścisława Grabowskiego i jego nowego kompana. Pawłowski westchnął i ruszył do mężczyzny.

– To jak będzie z tym Bropolem? – zapytał. – Mamy *deal* czy nie?

Grabowski odwrócił się do niego powoli i rzucił mu niezbyt przychylne spojrzenie. Rudzielec zdawał się tego nie widzieć. Wyciągnął rękę do towarzysza Mścisława.

– Chrystian Pawłowski – przedstawił się.

– Cezary Zaręba – odparł tamten.

Kopp uniosła brwi. Zaręba? Tak się nazywał młody policjant z Lipowa. Czyżby jakaś rodzina?

– Nie przejmuj się nim, Czarek – mruknął Grabowski, jakby Pawłowski nie stał tuż obok nich. – Mów lepiej, co z tą twoją Bereniką.

Otoczył Cezarego Zarębę ramieniem i pociągnął w stronę pola namiotowego, nie zwracając już uwagi ani na Kopp, ani na Pawłowskiego.

– Ale... – zaczął Chrystian.

– Chyba możesz sobie już darować – powiedziała Klementyna.

– Patrycja mnie zabije...

– To twój problem – mruknęła Kopp.

Patrzyła za odchodzącymi mężczyznami. Znowu Berenika. Imię nie było szczególnie popularne. Można więc chyba bezpiecznie podejrzewać, że chodzi o tę samą. Co się stało z tą dziewczyną?

SCENA 25

Ulica Wczasowa, nieopodal Nowych Horyzontów.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 17.05.

Weronika Nowakowska

Jan Kowalski szybkim krokiem zmierzał w stronę ulicy Wczasowej. Nadal rozmawiał przez telefon. Wydawał się skupiony tylko na tym. Pewnie dlatego nie zauważył dotychczas, że Weronika za nim podąża. Nie łudziła się, że jest dobra w śledzeniu. Zdarzyło jej się to robić raz czy dwa i trzeba było uczciwie dodać, że te próby za każdym razem kończyły się fiaskiem.

Dotarli do wylotu drogi dojazdowej do Nowych Horyzontów i Jan ruszył ulicą Wczasową w kierunku miasta. Chodnik oddzielony był od drogi pasem zieleni. Weronika postanowiła więc, że będzie szła ulicą. Liczyła na to, że drzewa i krzewy trochę ją zasłonią.

Kowalski nadal przyciskał telefon do ucha. Weronika była bardzo ciekawa, o czym i z kim rozmawia. Nie słyszała niestety, co mówi. Trzymała się w pewnej odległości, ale na tyle blisko, żeby nie stracić Jana z oczu, co wcale nie było trudne. Jego śnieżnobiały strój był dobrze widoczny pośród kolorowych szortów i bluzek przechodniów.

Szli tak dobre kilka minut i nic szczególnego się nie działo. W końcu Weronika zaczęła powątpiewać, czy to jej skradanie się ma jakikolwiek sens. Może znowu poniosła ją wyobraźnia? Przecież Jan mógł iść gdziekolwiek. Choćby do sklepu.

Było gorąco i Weronika czuła się coraz bardziej zmęczona. Bądź co bądź dzień był pełen wrażeń. Poza tym Wiera czekała przy samochodzie, a w domu Igor pewnie marzył o spacerze. Postanowiła zawrócić, kiedy zauważyła, że z naprzeciwka nadchodzi ubrana w wielobarwną spódnicę Mulatka. Ona też, jak Jan, rozmawiała przez telefon. Na jej widok Kowalski się rozłączył. Ona zrobiła to samo. Wyglądało na to, że to ze sobą rozmawiali przez cały czas.

Pocałowali się na powitanie. Prosto w usta, ale krótko i niezbyt namiętnie. Trudno było stwierdzić, czy to przywitanie kochanków, czy tylko przyjacielski buziak. Weronika podeszła jeszcze kilka kroków. Zatrzymali się akurat obok sporego drzewa. Chciała to wykorzystać i podkraść się na tyle blisko, żeby słyszeć ich rozmowę.

– Dlaczego? – mówił właśnie Jan.

– Zginęła ta dziewczyna. Ta Berenika od was.

Weronika nadstawiła uszu. Jaka Berenika? Czyżby chodziło o jakąś pensjonariuszkę Nowych Horyzontów?

– Zginęła? – zapytał Jan.

– To znaczy zaginęła – poprawiła się kobieta. Była posągowo piękna. Kolorowe ubranie podkreślało jej nietuzinkową urodę. – Tak mówi policja. No i tak się zastanawiałam, czy to właśnie nie ona wpadła na nas wtedy. Razem z tą Celiną Krawczyk od Harolda Dębowskiego. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam.

– To była ona?

– Tak.

– Myślisz, że ktoś nas może w to wkręcić?

– A co powiedziałaś policji?

Kobieta jakby się wahała.

– Nic szczególnego – mruknęła w końcu. – W każdym razie nic o tobie.

– Karina...

Weronika podsunęła się jeszcze bliżej. Na razie nie wiedziała, o co chodzi, ale rozmowa robiła

się coraz bardziej interesująca.

Kolejny krok.

Jeszcze jeden.

Trzask.

Nowakowska musiała stanąć na jakiejś gałęzce. Ta pękła z głośnym chrzęstem. Był środek dnia. Po ulicy Wczasowej jeździły samochody. Mimo to dźwięk zdawał się aż ranić w uszy. Jan zamilkł i odwrócił się.

SCENA 26

Przy ulicy Olsztyńskiej w Brodnicy.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 17.50.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Zjechali z ulicy Kolejowej w Olsztyńską. Tym razem Daniel nie włączył muzyki ani nie palił. Patrzył na drogę przed sobą, wyglądał na skupionego. W pewnej odległości za nimi jechał radiowóz z dwoma chłopakami z przewencji.

Laura Fijałkowska razem z szefem techników Aleksandrem Ziółkowskim zlokalizowała telefon zaginionej dziewczyny. Okazało się to niezbyt trudne, bo komórka Bereniki nadal była używana. I to przez dłuższy czas w jednym miejscu. Z mapy można było domniemywać, że w samotnym gospodarstwie przy Olsztyńskiej. W okolicy nie było innych domów, można więc było podejrzewać, że BiBi ukryła się właśnie tam.

– Wierzysz, że ona tam jest? – zapytała Emilia. – Szybko by nam poszło. Jeden dzień i po sprawie.

Już kiedy to mówiła, miała ochotę wypluć te słowa. Nie była szczególnie przesądna, ale nie lubiła kusić losu.

– Nie wiem – mruknął Podgórski. – To się okaże.

Brzęknął dzwonek esemesa. Emilia wyjęła telefon, żeby przeczytać wiadomość.

– Coś ważnego? – zapytał.

– Nie. To Laura. Napisała, że umówiła nas z Dębicką. Z tą, której BiBi podobno szukała u Kołodzieja – uściśliła Emilia i schowała telefon z powrotem do kieszeni.

– Wiem.

– Jutro na siedemnastą. W pizzerii przy Zamkowej.

– Okej.

Przez chwilę jechali w ciszy.

– Czyżbyś podejrzewał, że Berenikę tam przetrzymują siłą, skoro wzięłeś chłopaków z OPI2? – W słowach Strzałkowskiej znowu zabrzmiał ostry ton. Wcale tego nie chciała.

– Nie wiem, czego można się spodziewać – odparł spokojnie Daniel.

– Więc może powinniśmy zatrzymać się w pewnej odległości od gospodarstwa, podkraść na paluszkach i tak dalej?

Emilia była na siebie wściekła za tę niepotrzebną ironię, ale Podgórski tylko się uśmiechnął. Znowu nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Mogę stanąć chociażby tu – powiedział, kiwając głową w stronę pobocza. – Odpowiada? Potem dojdziemy.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zabrzmiało to nieco dwuznacznie.

– Podjedźmy normalnie pod dom – mruknęła zmieszana.

Gospodarstwo znajdowało się w przecięciu ulic Olsztyńskiej i Żmijewskiej. Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym. Może oprócz mocno odosobnionej lokalizacji. Wokół ciągnęły się pola. Najbliższe budynki leżały poza zasięgiem wzroku. Nie było żadnych latarni.

W nocy musiało być tu zupełnie ciemno i bardzo samotnie, przebiegło Strzałkowskiej przez myśl. Teraz dom tonął w słońcu, a na okolicznych polach trwały w najlepsze żniwa. Słysząc było wesołe pokrzykiwania pracujących rolników.

– Chodźmy – powiedział Daniel, wysiadając z samochodu.

Emilia zerknęła przez ramię. Radiowóz przewencji zatrzymał się kawałek dalej. Chłopaki

spokojnie o czymś rozmawiali. Jeden uśmiechnął się do Strzałkowskiej, jakby chciał jej w ten sposób przekazać, że nie ma się czego obawiać.

Prawdopodobnie nie miał nic złego na myśli, ale i tak poczuła się trochę urażona. Nieraz musiała radzić sobie ze znacznie większymi problemami niż on kiedykolwiek. Patrole w Warszawie to nie były przelewki, a koledzy z komisariatu nigdy nie traktowali jej ulgowo. To znaczy próbowali. Początkowo. Póki nie pokazała im, że może i jest od nich słabsza fizycznie, ale nie zamierza dać sobie w kaszę dmuchać.

Przyspieszyła kroku. Dogoniła Daniela na ganku domu. Obejście było zadbane. Na parapetach stały doniczki z czerwonymi pelargoniami, a na rabatach rosły malwy. Idylla. Berenika znalazła tu swój azyl? Czy też wręcz przeciwnie?

Emilia mimowolnie sprawdziła, czy klamka³ tkwi bezpiecznie w kaburze. Oczywiście strzelać należało w ostateczności. Zwłaszcza po tym, co się stało podczas ostatniego śledztwa.

Podgórski zapukał głośno do drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast. W progu stał mężczyzna w roboczym ubraniu. Najwyraźniej właśnie wychodził. Być może wpadł na chwilę do domu i teraz wracał do pracy w polu.

– Tak? – zapytał, mierząc ich od stóp do głów.

Pokazali blachy i przedstawili się.

– Szukamy Bereniki Borkowskiej – oznajmiła Emilia.

– Kogo?

Daniel wyciągnął zdjęcie BiBi i pokazał mężczyźnie. Rolnik zagwizdał przeciągle.

– Teraz to te dziewczuchy wyglądają jak jakieś straszdyła – mruknął, mlaszcząc z niesmakiem. – Co ona sobie zrobiła na głowie. Kto to widział! I cała na czarno, jak na jaki pogrzeb. A twarz jaka wymalowana!

– Znajdę ją tutaj? – przerwał mu Podgórski.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie! Pierwsze słyszę. Tu mieszkam tylko ja i moja małżonka. Dzieci już dawno z gniazda wyfrunęły. Syn w Holandii, a córka w Stanach.

Emilia nadstawiła uszu. Czy Laura nie wspomniała, że z telefonu Bereniki dzwoniło właśnie do Stanów Zjednoczonych? Policjantka nie była teraz pewna. Ale chyba była mowa o zagranicy.

– Możemy zajrzeć do domu? – zapytał Podgórski.

– A co to? Inwigilacja jaka? – odparował rolnik gniewnie. – Nie mam nic do ukrycia i nie życzę sobie, żeby mnie sprawdzano. Zresztą możecie być oszustami. Ten to nawet munduru nie ma.

– Jestem z wydziału kryminalnego. Już się przedstawiłem – wyjaśnił spokojnie Daniel. – Tylko się rozejrzemy. Nie musi się pan denerwować.

Rolnik zignorował jego słowa i odwrócił się do Emilii.

– Ta to niby w mundurze, ale w ogóle mi na policjantkę nie wygląda. Ani troszeczkę. Oszuści.

– A jak pańskim zdaniem wygląda policjantka? – zapytała Strzałkowska powoli.

– Miła – szepnął Daniel. – Daj spokój. Nie warto.

– I nie jest pani stąd – dodał gospodarz ze złośliwą satysfakcją. Jakby to była największa obelga. – Poznaję po tym, jak pani mówi. Mam dobre uszy, mimo wieku.

Dotknął spracowaną dłońią ucha. Było wielkie. Emilia dopiero teraz zwróciła na to uwagę.

– Co tu się dzieje? – ktoś odezwał się z domu. Chwilę później na ganek wyszła pulchna kobieta w spranych dresowych spodniach i poplamionej bluzce. – Bolek?

Rolnik odwrócił się do niej.

– Policjanty przyjechały i szukają jakiejś pannicy.

– Jakiej pannicy? – zdziwiła się kobieta.

– Anka, ja nie wiem. Jakiejś czarnej.

– Że jednej z tych napływowych? – zapytała i odwróciła się do dwójki policjantów. – Anna Zabińska jestem.

– Gdzie tam! Żadne Cygany. – Mężczyzna machnął ręką z pogardą. – Tylko ubrana na czarno.

Malunki czarne na twarzy. Włosy to już nawet nie wspomnę. Jakies krótkie i powycinane. Straszdyło po prostu. Nikogo takiego tu nie ma. To porządny dom.

Kobieta zamachała rękami, potwierdzając słowa męża.

– Jej telefon znajduje się na terenie państwa posesji – poinformowała Strzałkowska, nie kryjąc już irytacji. – Więc mamy powody podejrzewać, że ona też tu jest. Wejdziemy się rozejrzeć.

– Jej telefon? – powtórzyła powoli gospodyni. Zaczęła ocierać rękę o rękę, jakby je myła.

– Jo – potwierdził Daniel.

– Po moim trupie tu wejdzicie – oznajmił gospodarz i stanął w rozkroku w drzwiach.

Teraz z kolei to kobieta się zniecierpliwiła.

– Nie wygłupiaj się, Bolek.

– Mogą mnie nawet spałować, a nie wpuszczę!

– Oni nawet nie mają pałek.

– Ale tam stoi suka – powiedział i pokazał radiowóz zaparkowany kawałek dalej. – Przyjechali całą hałastrą. Nawet się z człowiekiem jak równy z równym nie liczą, tylko tak kilku na jednego.

– Bolek, przestań no już – mitygowała go żona. Odwróciła się do Emilii i Daniela. – Jeśli idzie o ten telefon...

Nie dokończyła.

– Wie pani coś na ten temat? – weszła jej w słowo Strzałkowska.

– Nie gadaj z nimi, Anka.

Kobieta machnęła dłonią.

– No bo ja... Bo ja go znalazłam – wyjaśniła. – Tu nie ma tej dziewczyny, co to jej szukacie.

Znaczy nie wiem, czy to jej. Ale ja znalazłam jakiś telefon i to może ten.

Rolnik spojrzał na żonę z niedowierzaniem.

– Co ty gadasz, Anka? Czemu nic mi nie powiedziałaś?

– No bo w czwartek tydzień temu poszłam na jagody aż pod Tamę Brodzką. I tam go znalazłam w lesie. W krzakach. Leżał sobie po prostu. I akurat jak przechodziłam, to zadzwonił. Inaczej bym go nawet nie zauważyła. Pomyślałam, że może kto go zgubił, jak był na grzybach. Albo tak jak ja na jagodach. No i go podniosłam. I tak sobie pomyślałam, że warto by oddać. Ale nie wiedziałam jak. No to zadzwoniłam do córki. Bo ja zawsze do Helki dzwonię, jak coś tam mi sprawia trudność. A że miałam ten telefon w ręce i pamiętam numer na pamięć, to wybrałam. A wiedziałam jak, bo taki sam model mam od lat. Ten identyczny jak mój. I tak dumałyśmy we dwie z Helką, żeby zadzwonić pod jakiś numer z listy. Z tych no... kontaktów. I ktoś się odezwie. I zapytać, czyj to telefon, i oddać. Ale potem córka mówi, że bym go sobie zostawiła. Jak kto zgubił, to jego problem. Że jakbym naładowała, to mogłabym dzwonić do niej. Póki się nie zorientują i numeru nie zablokują, to będziemy za darmo miały rozmowy. Bo to do Stanów.

– Drogo jak jasny piorun! Córka zawsze była obrotna – powiedział rolnik z zadowoleniem. – Wie, jak się urządzać.

– Czyli ukradła pani ten telefon – podsumowała spokojnie Emilia. Teraz ona odczuwała złośliwą satysfakcję. Nie było to zbyt profesjonalne podejście, ale nie mogła nic na to poradzić.

– Anka niczego nie ukradła – zaperzył się rolnik. – Chyba słyszała pani, jak żona mówiła, że znalazła. Anka, ty się nie daj pałom zastraszyć.

– No ale ona ma rację, bo nie oddałam i jeszcze dzwoniłam. Ja zwrócę za te połączenia – obiecała lekliwie kobieta. – Nie chcę iść do aresztu! Syn mojej koleżanki tam trafił po meczu, bo jest kibicem. I mówił, że straszne rzeczy się dzieją. Że katują ludzi.

Emilia przewróciła oczami na te słowa, Daniel się uśmiechnął. Naprawdę był dziś wyjątkowo opanowany.

– O ile wiem, nikogo nie katujemy – powiedział spokojnie. – Mogłaby pani przynieść ten telefon?

– Oczywiście – zapewniła kobieta i popędziła do domu.

Wróciła po chwili, niosąc jakiś stary model HTC. Emilia spojrzała na telefon zaskoczona. BiBi była pasierbicą Gustawa Urbańskiego, podobno jednego z bogatszych mieszkańców Brodnicy. Można

było się spodziewać jakiegoś nowszego typu.

– On kilka razy dzwonił. Nawet i dziś. Ale bałam się odbierać. Żeby kto się nie zorientował.

Musiało chodzić o nieodebrane połączenie, kiedy Cezary Zaręba w ich obecności zadzwonił na numer Bereniki, przebiegło Emilii przez myśl.

– Pokaże nam pani, gdzie dokładnie znalazła tę komórkę? – zapytał Podgórski.

– Oczywiście – zapewniła gorliwie kobieta. Nadal była przestraszona, że zostanie aresztowana.

– Ja źle nie chciałam.

– Czyli już się nie będziecie pchać do domu z buciorami – mruknął rolnik. – Przynajmniej tyle.

– Żona pojedzie z nami, a koledzy zajrzą potem do domu. – Daniel uśmiechnął się, machając ręką w stronę radiowozu. – Tak na wszelki wypadek.

Mężczyzna wyglądał na wściekłego.

2 OPI – ogniwo patrolowo-interwencyjne.

3 Klamka (slang) – pistolet.

SCENA 27

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 18.55.

Weronika Nowakowska

Długi korytarz Nowych Horyzontów. Tym razem Weronika przemierzała go w towarzystwie Wierzy i Jana Kowalskiego. Podłoga skrzypiała tak samo.

– I jak się pani podoba? – zapytał Jan.

Kiedy Weronika przyłapała go z tajemniczą kobietą w kolorowej sukience, Kowalski dość szybko odzyskał rezon i jakby nigdy nic zaproponował Weronice, że oprowadzi ją po Nowych Horyzontach, skoro willa i on sam tak ją interesują. Nowakowska zgodziła się oczywiście, choć wątpiła, by cokolwiek konstruktywnego z tego wynikło. Jeśli Jan coś ukrywał, nie zaprowadzi jej ot tak prosto do celu.

Przy willi dołączyła do nich Wiera, która nadal czekała na Weronikę obok dżipa. Jan pokazywał im budynek. Metodycznie. Pomieszczenie po pomieszczeniu.

– Tę część chyba pani zna? – dodał teraz.

Powiedział to zupełnie neutralnym tonem. Przytyk był jednak oczywisty. Na pewno wiedział już, że Nowakowska wcześniej się tu kręciła. Może powiedziała mu Zośka. Może ktoś z pensjonariuszy. Może nawet ta dziwna niebieskooka kobieta. Chociaż nie, ona raczej nie, uznała Weronika z nagłą pewnością. Niebieskooka naprawdę się bała i oczekiwała od Nowakowskiej pomocy.

– Wszystko pięknie zadbane – podsumowała Wiera.

Szła kilka kroków za nimi. Najwyraźniej nie odzyskała pełni sił po zasłabnięciu.

– Staramy się – powiedział Jan z zadowoleniem i odwrócił się do Weroniki. – Ale pani nic nie mówi. Podoba się pani u nas?

Nowakowska poczuła, że lekko się rumieni. Oczywiście było jej głupio, że ją przyłapał, ale nie żałowała, że go śledziła. Dowiedziała się przy okazji dwóch nowych rzeczy. Kowalski umówił się z piękną kobietą. Karina, chyba tak ją nazwał. Jan spotykał się z nią potajemnie. W przeciwnym razie zaprosiłby ją do willi. A skoro się ukrywali, to z jakiegoś powodu. Może nawet ta Karina była kluczem do wszystkiego.

I wreszcie drugi nowy fakt: jakaś Berenika przyłapała Jana i tę tajemniczą Karinę na czymś. Nie była to co prawda zbyt konkretna informacja, ale stanowiła punkt zaczepienia do dalszych poszukiwań. Trzeba było na przykład ustalić, kim były obie kobiety.

Berenika mogła być jedną z pensjonariuszek Nowych Horyzontów. Karina powiedziała przecież Janowi, że jest *od was*. Sama Mulatka była już przesłuchiwana. Kowalski chciał przecież wiedzieć, co powiedziała policjantom. Warto byłoby zadzwonić do Daniela, pomyślała już kolejny raz dzisiejszego dnia Weronika. Coś sporo jak na postanowienie, że o nim zupełnie zapomni.

– To jak, podoba się pani u nas? – powtórzył pytanie Jan.

– Tak – mruknęła Weronika dla zachowania pozorów. – Jest bardzo... białe.

Próbowała dobrać jakiegokolwiek pozytywne słowo. Biel to było pierwsze, co przyszło jej do głowy. Ten kolor dominował. Weronika bardzo lubiła jasne wnętrza w skandynawskim stylu. Tu jednak biel wywoływała dziwny niepokój.

– Biel to symbol niewinności i nowego życia – wyjaśnił Jan. – Ośrodek doskonalilem wiele lat. Mniej więcej w dziewięćdziesiątym szóstym zacząłem pozyskiwać środki. Po pewnym czasie kupiłem tę willę. Była zrujnowana, ale się nie poddałem. Chciałem tu zrobić ośrodek jedyny w swoim rodzaju. W niczym nieprzypominający obskurnych noclegowni dla bezdomnych. Wyremontowaliśmy budynek

własnoręcznie z moimi pierwszymi pensjonariuszami. Niektórzy mieszkają tu po dziś dzień. Jesteśmy jak rodzina. Zrobiłbym dla nich wszystko.

O dziwo, zabrzmiało to całkiem szczerze.

– Właściwie pokazałem paniom już wszystko – oznajmił Jan z uśmiechem, kiedy stanęli pod jakimś pomieszczeniem z szerokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami. – Została tylko świetlica. Jest tu.

W całym budynku panował spokój i cisza. Świetlica była pierwszym miejscem, które zdawało się tętnić życiem. Ze środka słychać było muzykę z radia. Telewizor chyba też był włączony.

Nagle drzwi się otworzyły. Stał w nich bardzo wysoki mężczyzna. Chude, patykowate nogi i ręce sprawiały, że przypominał nieco pająka.

– O, dzień dobry, Janie – powiedział. Głos miał tubalny, niczym basowy śpiewak operowy. Zupełnie nie pasował do jego wątłej postury.

Weronika odniosła wrażenie, że Kowalski jest zaskoczony spotkaniem.

– To Harold Dębowski – przedstawił mężczyznę. – Jeden z naszych darczyńców i zarazem wolontariuszy.

Dębowski skinął im uprzejmie głową. Weronika i Wiera odpowiedziały tym samym.

– Nie sądziłem, że nas dziś odwiedzisz, Haroldzie – powiedział Jan, potwierdzając przypuszczenia Nowakowskiej.

Po szczupłej, gładko ogolonej twarzy Dębowskiego przebiegł uśmiech.

– Daj spokój, Janie. Przecież zawsze jestem tu w środy. Tamto nie ma znaczenia. Byłbym wcześniej, jak zwykle, ale miałem spotkanie w ośrodku nad Bachotkiem. Razem z Sawickimi staramy się kupić tam grunt pod park rozrywki.

Weronika słuchała jednym uchem. Była bardziej zainteresowana tym, co właśnie zauważyła w świetlicy. Na krześle przy oknie siedziała dziwna niebieskooka kobieta, która powiedziała jej wcześniej o zamkniętym pokoju. Ich spojrzenia się spotkały. Staruszka przypatrywała się Nowakowskiej intensywnie. Weronika miała wrażenie, że usilnie próbuje jej coś przekazać. Bez słów.

W tym momencie do niebieskookiej podeszła Patrycja Pawłowska. Lekarka trzymała w dłoni sporą strzykawkę. Zrobiła kobiecie zastrzyk. Ciałem staruszki wstrząsnął dreszcz. Posłała Weronice jeszcze jedno spojrzenie. Potem jej oczy zmętniały.

Tego było za wiele. Weronika minęła Harolda Dębowskiego i zdecydowanym krokiem wkroczyła do świetlicy. Skupieni dotychczas na ekranie telewizora pensjonariusze spojrzeli na nią zaskoczeni. Nie zwracała na nich uwagi. Szła prosto do niebieskookiej.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Kiedy kobieta nie odpowiedziała, Weronika odwróciła się do doktor Pawłowskiej.

– Co pani jej podała?

– To lek na uspokojenie – wyjaśniła z uśmiechem lekarka.

Jan podszedł do nich szybkim krokiem.

– Lola miewa napady lęku – wytłumaczył. – Niech ją pani teraz zostawi w spokoju.

Lola. A więc tak się nazywała niebieskooka.

– Wszystko w porządku? – zapytała Weronika jeszcze raz. – Pani Lolu?

Kobieta milczała. Nowakowska popatrzyła w jej niebieskie oczy w poszukiwaniu odpowiedzi.

Wydawały się zupełnie puste.

– Ona jest niema – wyjaśnił Jan. – Cierpi na mutyzm.

Weronika miała wielką ochotę rzucić mu prosto w twarz, że kilka godzin wcześniej Lola z nią rozmawiała. Z trudem, bo z trudem, ale przekazała jej wiadomość o zamkniętym pokoju. Niełatwo było wprawdzie stwierdzić, co miała na myśli, ale informacja to informacja.

– Chyba już wszystko paniom pokazałem – oznajmił Kowalski. Oprowadzanie najwyraźniej dobiegło końca. – Odprowadzę panie do wyjścia.

Nowakowska wcale nie chciała teraz opuścić ośrodka, ale Wiera pociągnęła ją za ramię, jakby chciała powiedzieć, że dalsze dyskusje z Janem nie mają sensu.

– Do widzenia – zadudnił basem Harold, kiedy mijały go w drzwiach.

Jan poprowadził je do obitego białą boazerią holu.

– Miłego dnia – rzucił tylko.

Nie zaproponował, żeby zajrzały jeszcze do Nowych Horyzontów. Nic z tych rzeczy. Weronika się nie łudziła. Nie były tu mile widziane. Pożegnały się równie zdawkowo i poszły do samochodu. Wiera z trudem wsiadła do dżipa. Znowu pokasływała.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Weronika.

– Tak, tak.

Nowakowska włączyła silnik i wyciągnęła ładowarkę. Podłączyła telefon, żeby wreszcie mieć kontakt ze światem. Ekran rozświecił się dopiero po chwili. Brzęknęły powiadomienia o nieodebranych połączeniach.

Weronika poczuła, że serce bije jej szybciej. Chciała, żeby choć jedno było od Daniela. Niestety wszystkie pochodziły z jednego numeru. Grzesiek Wilczyński ze szpitala w Świeciu dzwonił do niej aż pięć razy.

SCENA 28

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 19.15.

Klementyna Kopp

Na parkingu przed głównym budynkiem ośrodka zrobiło się już dużo luźniej. Część osób, które dojechały tu z miasta na popołudniową kąpiel w jeziorze, pojechała już pewnie do domu na kolację. Środek tygodnia, więc jutro trzeba wrócić do pracy. W piątkowy wieczór siedzieliby dłużej.

Klementyna otworzyła skodę. Marta wsiadła szybko do środka bez słowa. Ale! Na jej twarzy majaczył lekki uśmiech. Dziewczyna zdawała się odpoczywać na plaży, więc Kopp nie miała serca jej stamtąd zabierać. Dlatego dopiero po dziewiętnastej zarządziła powrót do domu, mimo że tak naprawdę miała ochotę wyruszyć do Brodnicy już wcześniej.

Kiedy do Mścisława przyjechał Cezary Zaręba, Grabowski z gościem zniknęli w jednym z drewnianych domków letniskowych, nie dało się więc już podsłuchiwać rozmów chudzielca. Kopp rozważała, czy nie odpuścić sobie na razie Mścisława i nie zadzwonić do Podgórskiego, żeby zapytać, czy może on coś wie o Berenice. Wrócił przecież na służbę. Postanowiła jednak, że nie będzie zaczynać żadnych śledztw, póki nie odstawi Marty bezpiecznie do domu. Kto wie, co mogło się zdarzyć.

Wycofała skodę z parkingu i włączyła się do kolejki samochodów opuszczających Słoneczną Dolinę. Zrobił się niezły korek. W końcu jednak wjechali na leśną szosę. Powoli zbliżali się do miejsca, gdzie zaczynała piąć się w górę, by wydostać się z doliny, w której leżało jezioro, i dotrzeć do niewielkiego skrzyżowania. W prawo widać było boczną drogę, która biegła prosto do opuszczonego ośrodka Bropol.

Klementyna podjęła decyzję w jednej chwili. Przyhamowała ostro. Ktoś z tyłu na nią zatrąbił. Uniosła dłoń w przeproszającym geście i skręciła w prawo. Cały dzień słuchała ludzi, którzy za wszelką cenę chcieli kupić Bropol. Najwyższa pora przekonać się, o co tak zabiegali. Jak to sprawdzi, odwiezie Dawida i Martę do Brodnicy. Potem skontaktuje się z Danielem, żeby się dowiedzieć, co przytrafiło się tej Berenice. No! To był już jakiś plan. Uśmiechnęła się do siebie.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Dawid zdziwiony jej nagłym manewrem.

Nie odpowiedziała. Skupiała się na prowadzeniu. Koła czarnej skody podskakiwały na wybojach. Zwolniła trochę. Asfalt był tu popękany i pokryty grubą warstwą starych liści i igieł. Ciężko było dojrzeć dziury w jezdni.

Jechali przez chwilę w milczeniu. Kiedy droga skręciła, kawałek dalej zobaczyli porośniętą mchem tablicę witającą ich w ośrodku wczasowym Bropol. Farba dawno wyblakła i ledwo dało się odczytać nazwę. Pod spodem jakiś dowcipniś dorysował sprayem męskie genitalia. Jeszcze niżej znajdował się nieco bardziej romantyczny napis: *AL i GW na zawsze*. Klementyna była ciekawa, czy ta dwójka nadal była ze sobą. Życie zdążyło ją nauczyć, że nie ma czegoś takiego jak *na-zawsze*. Nawet jeżeli obie osoby szczerze się kochały.

Przejechali jeszcze kilkaset metrów i dotarli przed bramę opuszczonego ośrodka. Spod łuszczącej się zielonej farby wystawała rdza. Jedno skrzydło było wygięte, drugie zwisało bezwładnie na jednym zawiasie. Po ziemi wiły się zwały drutu kolczastego.

– Gdzie ty nas wywiozłaś? – zdumiał się Dawid. – Jakiś horror czy co?

O dziwo, syn Teresy wydawał się całkiem zadowolony. Klementyna zerknęła we wsteczne lusterko. Marta też wyglądała na zewnątrz wyraźnie zaciekawiona. Młodzież ewidentnie lubiła się bać.

– Tylko się rozejrzę – obiecała Kopp.

Zatrzymała samochód na środku drogi i jak tylko wysiadła, otoczył ją ostry zapach lasu. Żywica,

liście i co tam jeszcze. Wokół panował lekki półmrok. Letnie dni były co prawda długie i słońce miało zajść dopiero za jakąś godzinę. Ale! Tu pomiędzy drzewami jego promienie prawie już nie docierały.

Rozejrzała się. Nagle ogarnęło ją dziwne przeczucie, że coś tu jest nie w porządku. Wciągnęła powietrze jak pies na tropie. Tym przecież przez lata była. *Psem-na-tropie*. Coś tu się stało. *Bez-wątpienia*. Nie była jeszcze na razie pewna co.

Pochyliła się i zajrzała do auta.

– Poczekacie w samochodzie – rozkazała. Nie zamierzała narażać Marty na dodatkowy stres, a już na pewno na żadne niebezpieczeństwo.

– Ale... – zaczął Dawid.

– Poczekacie w samochodzie – powtórzyła Klementyna ostrzej.

Coś tu się stało. Była pewna. Ruszyła powoli w kierunku bramy. Może i była cywilem. Ale! Lata w firmie nauczyły ją wyczuwać takie rzeczy. Teraz musiała rozejrzeć się uważnie, żeby znaleźć jakieś bardziej namacalne dowody swoich przeczuc.

Trzasnęły drzwi skody. Dawid najwyraźniej nie posłuchał jej i wysiadł z samochodu. Zatrzymała się w pół kroku.

– Niezły klimat – powiedział.

Jego głos brutalnie wdarł się w ciszę. Miała mu właśnie po raz kolejny kazać zostać w samochodzie, ale wtedy jej wzrok padł na drut kolczasty leżący przy bramie. Chciała namacalnych dowodów, że coś się tu stało. No i proszę. Pierwszy chyba tam zauważyła.

SCENA 29

Zajazd Kołodziej w Tamie Brodzkiej.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 19.30.

Weronika Nowakowska

Z zewnątrz dochodziło głośne stukanie młotka i odgłosy wiercenia. Zajęli jedyny wolny stół. Znajdował się przy oknie, więc Weronika miała nieprzyjemne wrażenie, jakby robotnicy pracowali nie za ścianą, ale przy ich stole.

– Warto by chyba poczekać z takimi robotami do zamknięcia lokalu – powiedział Grzesiek Wilczyński.

Kucyk kasztanowych włosów, skórzana kurtka i kowbojki. Przed laty Weronice bardzo to imponowało. Tak jak i jego dziup wrangler. Przyciemniane szyby z tyłu, intensywna czerwień lakieru. Samochód stał na parkingu przed zajazdem. Wyglądał równie efektownie jak kiedyś. Mimo upływu lat. Grzesiek zawsze lubił przy nim majsterkować. Sam albo przy pomocy znajomych mechaników. Jej liberty, mimo że młodszy, prezentował się znacznie gorzej.

Kelnerka uśmiechnęła się przepaszająco.

– Trzeba zawiesić nowy szyld. Zostaliśmy niedawno wykupieni przez Lecha Kołodzieja – wyjaśniła, jakby to miało usprawiedliwić wszelkie niedogodności dla klientów. – To potrwa jeszcze kilka minut.

Postawiła przed nimi szklanki z sokiem. Nie zamówili nic do jedzenia. Weronika była głodna. Podejrzewała, że Wiera też. Cały dzień przecież nic nie jadły. Nie chciała jednak przedłużać tego spotkania ponad konieczność.

Oddzwoniła do Grześka, jak tylko podłączyła telefon do ładowarki w samochodzie i zobaczyła pięć nieodebranych połączeń. Powiedział, że jest w okolicy i chce pogadać. Weronika założyła, że chodzi o sprawę Valentine Blue.

Na miejsce spotkania Grzesiek zaproponował zajazd w Tamie Brodzkiej. To było Weronice na rękę. I tak musiały tędy jechać w drodze powrotnej z Brodnicy do Lipowa.

– Smacznego – dodała kelnerka. Musiała niemal krzyknąć, żeby przebić się przez odgłosy wiercenia na zewnątrz. – Proszę o cierpliwość jeszcze momencik.

Uśmiechnęła się i odeszła.

– To o czym chcesz mówić, kochanieńki? – zapytała Wiera, jakby wyczuła, że Weronika woli oddać jej inicjatywę. – Bo nam tak jakby spieszno wrócić do domu. Weroniczka ma cały zwierzyniec do oporządzenia, a ja sklep do otworzenia.

– O tej porze? – zdziwił się Grzesiek.

– A czemu nie? Otwieram, kiedy chcę. To o co chodzi?

Weronika uśmiechnęła się pod nosem. Cieszyła się, że przyjaciółka odzyskała wigor i jest taka bezpośrednia. To umożliwiło uniknięcie wstępnej gadki i przejście od razu do rzeczy.

Grzesiek odwrócił się do Weroniki.

– Wspomniałem ci rano przez telefon, że podczas tych... niefortunnych wydarzeń w szpitalu na oddziale była nowa pielęgniarka.

– Tak. Mówiłeś, że między innymi przez jej brak doświadczenia sytuacja wyrwała się spod kontroli. I że ona została ranna.

Robotnicy na zewnątrz przestali wiercić. Nowy szyld musiał więc już wisieć.

– Nareszcie – mruknął Grzesiek. – Ale wracając do rzeczy. Ta pielęgniarka Kinga była z tą twoją Valentine Blue w jej ostatnich chwilach.

Weronika upiła łyk soku. Całkiem niezły, choć prawdopodobnie z kartonu.

– Yhy – mruknęła, odstawiając szklankę.

– Jak tylko skończyliśmy rano rozmawiać, poszedłem do Kingi do szpitala, żeby dowiedzieć się, co i jak. Trochę już doszła do siebie. Jeszcze jest rozkojarzona, ale powiedziała mi coś. Dzwoniłem do ciebie, ale nie odbierałaś.

– Byłyśmy zajęte – mruknęła Weronika. Nie uważała za konieczne opowiadać mu o dzisiejszych przejściach ani o tym, jak wyładował jej się telefon. Nie jego sprawa.

– Pomyślałem więc, że się tu przejadę – podjął Grzesiek.

– Przyjechałeś tu ze Świecia specjalnie, żeby z nami porozmawiać, kochanieńki? – zapytała Wiera. – Podobno wy młodzi wszystko załatwiacie przez komórki. Nie łatwiej było zadzwonić?

Weronika wzdrygnęła się nieznacznie. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie niepokoju. Nie jestem tu sama, powtarzała sobie. Nic nie może się stać.

– A dlaczego miałbym nie przyjechać? – zaśmiał się Grzesiek lekko. – Skoro i tak mam wolne. Kiedyś bywałem w tych stronach. Ciekawiło mnie, jak tu się pozmieniało.

Nowakowska znowu sięgnęła po sok. Zaszło jej w ustach.

– Co ci powiedziała pielęgniarka? – zapytała. Nie chciała dać po sobie poznać, że jego przyjazd wyprowadził ją z równowagi.

– Wczoraj wieczorem, jeszcze zanim wybuchła cała afera, Valentine pożyczyla od Kingi telefon. Podobno chciała do kogoś napisać wiadomość.

Grzesiek popatrzył na Weronikę znacząco. Zaczerwieniła się. Rano nie powiedziała mu przecież, że Valentine Blue do niej napisała.

– Oczywiście pielęgniarka nie powinna była pożyczać telefonu, ale jak mówiłem, to młoda dziewczyna – podjął psychiatra. – Z dobrym sercem. Nie chciała źle. No ale to akurat nieważne. Ważniejsze, że chyba rano nie byłaś ze mną do końca szczerą, prawda?

Weronika nie odpowiedziała.

– Chyba teraz pora na odrobinę szczerości – dodał. – Chociaż tyle to jesteś mi winna. Pomagałem ci przy poprzedniej sprawie. Tak czy nie?

Nowakowska spojrzała na Wierę, szukając u niej pomocy. Sklepiarka wzruszyła ramionami i zakaszła głośno.

– Tak – przyznała Weronika.

– No właśnie. – Grzesiek skinął głową. – Proponuję wymianę – uśmiechnął się. – Informacja za informacją. Ty mi powiesz, co cię łączy z Valentine Blue i co do ciebie napisała, a ja ci powiem, co jeszcze powiedziała mi Kinga o wczorajszej nocy.

– A wiesz coś więcej? – zapytała Nowakowska z nadzieją.

Grzesiek znowu skinął głową. Weronika upiła jeszcze trochę soku.

– No dobrze. Valentine napisała tę wiadomość do mnie. Masz rację.

– To już wiem. Nie ukrywała tego przed Kingą. Nie wiem tylko, co napisała, bo wylogowała się z komunikatora i nie mam dostępu do jej konta.

– Valentine powiedziała tej pielęgniarce, że pisze do mnie? – zdziwiła się Weronika.

– Tak. Wymieniła twoje imię i nazwisko i dodała, że jesteś ruda.

Nowakowska poprawiła włosy. Grube loki to nie była wymarzona fryzura na letnie upały, ale i tak je lubiła.

– To co do ciebie napisała? – nalegał Grzesiek.

– *Pamiętaj o Nowych Horyzontach. Nie dopadną mnie* – wyrecytowała Weronika. Znała już tę wiadomość na pamięć. Nie musiała wyciągać telefonu. Zresztą lepiej było nie włączać wyświetlacza bez potrzeby. Komórka nie naładowała się jeszcze w pełni, a ekran zużywał najwięcej energii.

– Nowe Horyzonty? – zapytał psychiatra. – Co to takiego?

– To taki ośrodek dla bezdomnych tu u nas – włączyła się do rozmowy Wiera. – Cały dzień tam dziś siedziałyśmy.

– Co za dziwna wiadomość i co ona znaczy? – zastanawiał się Grzesiek.

Weronika wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – ucięła. – Obiecałeś informację za informację. Powiedziałam ci, co było w wiadomości od Valentine. Teraz twoja kolej. Co powiedziała ci jeszcze ta pielęgniarka?

Grzesiek nie odpowiedział od razu. Sięgnął po szklankę i napił się soku. Wziął mały łyk, jakby degustował drogie wino, a nie sok z kartonu kupiony w przydrożnym zajeździe. Weronika wyjrzała przez okno zniecierpliwiona.

Wtedy zobaczyła Daniela. I ją.

SCENA 30

Opuszczony ośrodek Bropol.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 19.30.

Klementyna Kopp

Wracaj natychmiast do auta – rozkazała Kopp twardo. – I nie wychodźcie stamtąd, póki nie powiem, że możecie.

Wpatrywała się w zwoje drutu kolczastego. W kilku miejscach pokrywały go brunatne plamy. I nie była to rdza. Trochę dalej na popękany beton podjazdu to samo. Zrobiła kilka kroków w tamtą stronę i wtedy zauważyła coś jeszcze. Na ziemi leżały rozsypane kolorowe koraliki. Wśród nich kilka białych z dwoma literami „B” i dwoma „i”.

– Możemy tam zajrzeć z Martą? – rozległo się za jej plecami. – To jest zajebista miejscówka. Naprawdę jak z horroru.

Kopp odwróciła się powoli. Dawid nadal sterczał koło samochodu. Marta wyglądała przez okno.

– Nie ma mowy. Zostaniecie tam, gdzie jesteście – poinstruowała ich znowu Klementyna. – Zrozumiano?

– Ale... – zaczął Dawid.

– Żadnych ale – przerwała mu. – To może być miejsce zbrodni. I pilnij jej.

Kopp pokazała głową w stronę Marty. Dawid nie wsiadł do skody. Ale! Też nie ruszył się z miejsca. Zawsze coś.

– Spoko – mruknęła Klementyna pod nosem.

Ostrożnie minęła koraliki i rdzawe plamy, *które-mogły-być-krwią*. To była dziedzina Ziółka i jego ekipy kryminalistyków. Niektóre zasady można było łamać. Innych stanowczo nie.

Przecisnęła się ostrożnie pomiędzy zardzewiałymi skrzydłami starej bramy i znalazła się na terenie Bropolu.

SCENA 31

Tama Brodzka. Środa, 27 lipca 2016.

Godzina 19.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Możemy przejrzeć telefon, zanim ty się nim zajmiesz? – zapytał Podgórski.

Szef techników Aleksander Ziółkowski kiwnął głową. Był łysiejącym mężczyzną o niezbyt przyjemnej aparycji. Z reguły na jego twarzy malował się wyraz skrajnego niezadowolenia. Dziś nie było w tej kwestii wyjątku.

– Ale tylko w rękawiczkach – powiedział, jakby to był ich pierwszy dzień w robocie. – Niepotrzebnie mnie tu ściągałeś, Daniel. To jak szukanie igły w stogu siana. Mam inne sprawy na głowie.

Anna Żabińska pokazała Danielowi i Emilii miejsce, gdzie znalazła telefon zaginionej Bereniki Borkowskiej. Za zajazdem w Tamie Brodzkiej trzeba było skręcić w lewo, w leśną drogę prowadzącą wzdłuż jeziora Bachotek. Telefon leżał nieopodal w leśnym runie.

– Z tego, co mówicie, dziewczynę widziano ostatni raz tydzień temu i mniej więcej wtedy ta baba z gospodarstwa znalazła telefon, tak? – zapytał Ziółek.

Podgórski uśmiechnął się pod nosem i zapalił papierosa. Baby całe szczęście już tu nie było. Raczej nie byłaby zadowolona z takiego określenia. A jej porywczy mąż tym bardziej. Daniel zdążył odwiedzić ją już na Olsztyńską i wrócić. Chłopaki sprawdzali teraz na wszelki wypadek dom.

– Następnego dnia – wyjaśniła Emilia. – BiBi zniknęła w środę. Anna Żabińska znalazła ten telefon w czwartek.

Ziółkowski prychnął z satysfakcją.

– No właśnie. Dziś mamy środę. Kolejną środę – uściślił. – A więc minął tydzień. Jesteśmy co prawda na leśnej drodze, ale nie w jakiejś głuszy.

Jakby na zawołanie minął ich samochód. Mieszkańcy Lipowa i okolic czasem skracali sobie tędy drogę z Brodnicy do wsi. Tędy albo przez kolonię Żabie Doły. Obie drogi, mimo że gruntowe, były dosyć często uczęszczane.

– Tu ciągle ktoś jeździ, chodzi. Do tego jest sezon i turyści – ciągnął technik z wyrazem narastającej irytacji na twarzy. – Mogę znaleźć mnóstwo śladów traseologicznych. Tylko obawiam się, że to nic nie pomoże. Po prostu minęło zbyt wiele czasu.

– Zrób, co się da – powiedział Podgórski, żeby go trochę udobruchać. – A my w tym czasie przejrzymy telefon.

Uniósł zapakowany w plastikową torebkę stary model HTC.

– Chodźmy – szepnął do Emilii. – Najlepiej zniknijmy Ziółkowi z oczu. Chociaż na chwilę.

Strzałkowska wzruszyła ramionami. Podeszli prawie do szosy na Olsztyn. Samochody śmigały na pewno dużo szybciej niż z dozwoloną na tym odcinku prędkością.

– Nic dziwnego, że w tej okolicy jest tyle wypadków – zauważyła Emilia. – Ludzie czasem zupełnie nie mają wyobraźni.

A czasem aż nadto, pomyślał Podgórski.

– To co? – zapytał. – Przejrzymy ten telefon?

– Jasne.

Emilia się uśmiechnęła. Nieco nerwowo. Podgórski też poczuł się dziwnie spięty. Może dlatego, że nagle zostali sami. Choć przecież nie pierwszy raz tego dnia. Tylko że tym razem miał wrażenie, że w jej oczach pojawił się jakiś dziwny wyraz. Może determinacji. To mogło zwiastować poważną rozmowę. Nie był pewien, czy jest na to gotowy właśnie teraz.

Podał Strzałkowskiej komórkę BiBi. Koniecznie musiał zapalić.

– Przejrzyj to, a ja w tym czasie...

Nie dokończył. Uniósł paczkę papierosów.

– Za dużo palisz – skomentowała. – Ogarnij się trochę.

Teraz jej ton był raczej przyjacielski. Chyba. Ręce drżały mu delikatnie, kiedy zapalał papierosa.

– Zaczniemy może od zdjęć – zaproponowała, odblokowując ekran. Całe szczęście działał, mimo że Strzałkowska włożyła lateksowe rękawiczki. – Zobaczymy, czy faktycznie są zdjęcia siniaków i tak dalej. Może to nie potwierdzi jednoznacznie winy Cezarego Zaręby, ale przynajmniej będziemy wiedzieć, czy faktycznie ktoś BiBi pobił.

Stali tuż obok siebie pochyleni nad komórką Bereniki. Zdjęcia były kiepskiej jakości jak na dzisiejsze standardy. Aparat w starym modelu telefonu nie dorównywał obecnym. Były nieostre i nieco rozmazane, ale i tak nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. BiBi od kogoś oberwała. I to mocno. To nie były drobne siniaki.

Według jej przyjaciółek tym kimś był Cezary Zaręba. Nie było raczej powodu wątpić w ich słowa. Daniel poczuł, jak ogarnia go gniew. Ojciec Marka nic się nie zmienił, a teraz jeszcze próbował wykorzystać Młodego, żeby uratować dupę z kłopotów.

– Ktoś, kto tak ją pobił, mógł być zdolny do zrobienia więcej – podsumowała Emilia cicho.

– Jo.

– Myślisz, że to sprawka ojca Marka?

Daniel zaciągnął się głęboko. Kiwnął głową.

– Dobrze by było, gdyby za to odpowiedział. Tylko że Marek... – Urwała w pół zdania.

– Myślę, że Młody też by wołał, żeby jego ojciec już nikogo nie uderzył – dopowiedział Podgórski. – Przecież go znasz.

Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało. Milczenie stawało się kłopotliwe. Strzałkowska chyba też to poczuła, bo dodała szybko:

– Zajrzę do esemesów.

Daniel zgasił papierosa w piasku. Patrzył, jak Emilia jeździła palcem po ekranie. Na jej twarzy malowało się skupienie. Nie mógł teraz oprzeć się wrażeniu, że na swój sposób była bardzo piękna. Nie tak spektakularna jak Weronika oczywiście. Ale za to swojska i znajoma. Kobieta, przy której człowiek nie musiał cały czas się przejmować, jak wypadnie. Mimo to...

– Tu jest coś interesującego – odezwała się Strzałkowska, wrywając go z zamyślenia. Była wyraźnie podekscytowana. – To może być ważne. Wiadomość została wysłana w dniu zaginięcia Bereniki. Tylko że rano. Dokładnie czternaście po dziesiątej z tego, co tu widzę.

– Przeczytaj.

– *Mogłabym dziś do pana wpaść? Chciałabym porozmawiać o jednej sprawie. Chodzi o Jana. BiBi.* Choć to może nic nie znaczyć – zastrzegła się Strzałkowska, jakby nagle zrobiło jej się głupio, że wcześniej była tak rozentuzjasmowana. – Ale odpowiedź brzmi: *Tak. Bądź w południe.* Czyli tego dnia widziała się jeszcze z kimś. Może to da nam jakiś nowy trop.

– Do kogo to wysłała? – zapytał.

– Kontakt jest wpisany pod nazwą *Harold Dębowski* – wyjaśniła Emilia. Poprawiła kosmyk włosów, który wypadł jej z kucyka. Letnie słońce zdążyło trochę je rozjaśnić. Była teraz prawie blondynką. – Musimy z tym Haroldem koniecznie pomówić.

Po szosie znowu przejechał jakiś pirat drogowy. Podmuch wiatru sprawił, że niesforny kosmyk znowu opadł Strzałkowskiej na twarz. Daniel patrzył ze zdziwieniem, jak jego własna ręka unosi się, żeby go odsunąć. Co właściwie robił? Przecież podjął już decyzję. Chciał być z Weroniką. Cofnął dłoń.

– Chodźmy do zajazdu popytać, czy ktoś nie widział tu BiBi w środę w nocy – zaproponował szybko. Taka pierwsza myśl przysłała mu do głowy. Wyszło całkiem naturalnie i, co najważniejsze, miało sens. Przecież i tak powinni to zrobić. – Tam jest przystanek pekaesu. Berenika mogła się tu dostać autobusem. Trzeba popytać...

– Daniel... – przerwała mu Strzałkowska.

Nie dokończyła. Podeszła do Daniela i przyciągnęła go do siebie. Poczł ciepłó jej ust na swoich, ale nie odwzajemnił pocałunku. Nie mógł. To i tak zaszło za daleko. Przecież obiecał sobie, że nie będzie dalej komplikował życia ani sobie, ani tym bardziej Emilii i Weronice. I nie będzie już nikogo ranił. Związek z dwoma kobietami jednocześnie zdecydowanie znajdował się w kategorii spraw do unikania za wszelką cenę. Zwłaszcza jeżeli obie były dla niego ważne.

– Miła, ja...

Po twarzy Emilii przebiegł grymas, wyglądała, jakby miała się rozplakać. Zaraz jednak się opanowała. Odsunęła się od Daniela gwałtownie i poprawiła mundur.

– Daruj sobie – oznajmiła z wyrazem determinacji na twarzy.

Daruj sobie? Pomyśleć, że chciał być w porządku.

– Ja... – zaczął Podgórski jeszcze raz.

– Patrz lepiej tam – pokazała palcem w kierunku zajazdu.

SCENA 32

Opuszczony ośrodek Bropol.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 19.40.

Klementyna Kopp

Kopp posuwała się ostrożnie betonową alejką. Spomiędzy popękanych płyt wyrastały wysokie trawy. Chodnik ciągnął się pomiędzy zrujnowanymi domkami. Rozejrzała się po Bropolu. Wnętrza rozpadających się budynków tonęły w ciemnościach. Ze ścian obłaziła farba, a szyby dawno ktoś powybił. Szkło chrzęściło pod jej ciężkimi buciorami.

Wbrew sobie poczuła pewien niepokój. Irracjonalny, bo irracjonalny. Ale! Jednak niepokój. Jakby z każdego z ciemnych okien ktoś mógł ją obserwować. Coś trzasnęło. Odwróciła się gwałtownie. Żałowała, że nie ma służbowej broni. Teraz nawet stary CZAK4 by się przydał. Niestety była cywilem. Chętnie splunęłaby tym słowem.

W tym momencie zauważyła kolejną rdzawą plamę. Nieco dalej na popękanej betonowej alejce. Już miała ruszyć w tym kierunku, kiedy wiatr zawiał od jeziora. Wtedy to poczuła. *Zapach-śmierci*. Mdlący od nieprzyjemnej słodyczy. Nie było mowy o pomyłce.

Odwróciła się w tamtą stronę. Jak pies, który zwęszył trop. Pomiędzy zrujnowanymi domkami zobaczyła większy budynek. Zapewne dawna świetlica, sala jadalna albo główny hotel. Zeszła z betonowego chodnika i ruszyła w tym samym kierunku na przełaj.

W miarę jak się zbliżała, smród robił się coraz silniejszy. Niemal duszący. Szła dalej równym tempem. Nie za szybko. Nie za wolno. Nie chciała dać się ponieść emocjom. Trzeba było uważać, żeby niczego nie przeoczyć.

Kolejny raz coś trzasnęło. Szła dalej, ale jeszcze ostrożniej. Nie miała zamiaru dać się zaskoczyć. Przecież nie mogła wykluczyć, że ktoś tu był.

Wyszła spomiędzy domków na wybetonowany plac. Pośrodku stała metalowa karuzela. Farba obłaziła z pomalowanych niegdyś na jaskrawo koników. Zdawały się wpatrywać w nią pustymi oczodołami.

Znowu usłyszała trzask. Dopiero teraz zauważyła, że obok karuzeli rośnie drzewo. Na wpół złamane. Być może efekt ostatniej letniej burzy. Kiedy od jeziora wiał wiatr, jedna z jego gałęzi uderzała w nieczynną karuzelę. To był odgłos, który usłyszała wcześniej. Czyli niepotrzebnie się denerwowała. Prawdopodobnie nikogo tu nie było.

Wtedy spojrzała w dół.

U stóp drzewa ktoś leżał. Znowu zawiało. Gałąź trzasnęła, kiedy Kopp sięgnęła po telefon.

4 CZAK – pistolet P-64.

SCENA 33

Tama Brodzka. Środa, 27 lipca 2016.

Godzina 19.40.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Patrz lepiej tam – powiedziała Emilia.

Wystawiła rękę, ale szybko ją cofnęła. Dłoń jej drżała. Nie chciała, żeby Daniel to widział. Spróbowała go pocałować. Zaryzykowała i została odrzucona. Czuła się jak idiotka.

– Co? – zapytał Podgórski.

Głos miał nieco zduszony. Najwyraźniej czuł się równie źle jak ona. Emilia żałowała trochę, że nie pozwoliła mu dokończyć tego, co chciał powiedzieć. Przynajmniej miałyby jasność. No ale za późno. Była zbyt dumna, żeby prosić o to teraz.

– Ten zajazd – wyjaśniła. – Robotnicy zmieniają szyld. Zobacz, co tam jest teraz napisane.

– *Zajazd Kołodziej* – przeczytał Daniel. – No proszę. Czyli Lech Kołodziej musiał i ten lokal wykupić. Myślisz, że dlatego Berenika tu przyjechała? Byłoby dziwne, skoro rozmawiała z nim wcześniej w klubokawiarni...

– Nie wiemy nawet, czy w ogóle tu była – przerwała mu Emilia. – Wiemy tylko, że Żabińska znalazła jej telefon niedaleko stąd. Równie dobrze ktoś mógł go tu podrzucić.

Grała rolę adwokata diabła, jak zwykle, kiedy pracowali wspólnie nad sprawą. Poczuli się nieco lepiej na znajomym terytorium. Skupianie się na Berenice i jej zniknięciu było lepsze niż rozpamiętywanie tego, co stało się pomiędzy nią a Danielem przed momentem.

– Jo – zgodził się Podgórski. – Niczego nie możemy zakładać z góry. Natomiast telefon na pewno znalazł się tu już po wizycie BiBi w klubokawiarni. Tam jeszcze go używała. Rozmawiała z Doris.

Emilia skinęła głową.

– To akurat racja. Słuchaj, a teraz tak pomyślałam... Ta Dębicka, której BiBi szukała w klubokawiarni, ona jest historyczką, prawda? Zajmuje się drugą wojną światową?

– Chyba jo. A dlaczego pytasz?

Emilia pokazała palcem bunkier po drugiej stronie szosy. Dłoń już jej nie drżała. Dobre i to. Schron otoczony był siatką i nieco zarośnięty. Chyba przez to w pierwszej chwili w ogóle go nie zauważyła, skupiając się na zajeździe.

– To nie jest przypadkiem z czasów drugiej wojny?

– Raczej tak.

– Nadal nie ustaliliśmy, dlaczego BiBi szukała Dębickiej. A jednak jej szukała. A tu mamy bunkier z okresu, którego Dębicka jest znawczynią.

– No nie wiem. Chyba wyciągasz zbyt daleko idące wnioski – mruknął Daniel. – Wyraźniejszy wydaje się związek z samym Kołodziejem. BiBi najpierw była w jego klubokawiarni. Potem w pobliżu jego zajazdu. To chyba nie przypadek.

– Może, ale przecież BiBi szukała Dębickiej – odparowała Strzałkowska. – Jakiś powód miała.

– Jutro ją wypytamy... – zaczął mówić Daniel, ale w tym momencie zadzwoniła jego komórka.

Emilia zerknęła mu przez ramię na wyświetlacz. Była niemal pewna, że to Weronika. Myliła się. Dzwoniła Klementyna.

– Cześć – przywitał się Podgórski. – Coś się stało?

Rzucił okiem na Emilię. Tym razem nie odwróciła wzroku. Była ciekawa, o czym mówi Kopp, dolatywały do niej tylko strzępki słów.

– To nastolatka? Byłaby drobnej budowy, czarne włosy... Jesteś pewna, że nie? Zostań tam.

Dzwonię do dyżurnego i jadę tam do ciebie z Miłą.

Daniel się rozłączył.

– Trup? – zapytała Strzałkowska, zanim zdążył wybrać numer na komendę.

– Jo. Ale raczej nie Berenika.

A więc bilans był następujący: jedna zaginiona i jeden trup. Może dobrze, że dzień zmierzał już ku końcowi.

SCENA 34

Dworek Weroniki w Lipowie.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 21.00.

Weronika Nowakowska

Weronika i Grzesiek usiedli na schodach ganku. Rozgrzane po upalnym dniu kamienie posadzki wolno oddawały ciepło. Drzewa szumiały kojąco, rozsiewając wokół ostry zapach suchego lasu. Igor ułożył się u stóp Nowakowskiej. Patrzył uważnie na pasące się na padoku konie.

– Idylla – stwierdził Grzesiek.

Nowakowska przytaknęła powoli. Lipowo nie okazało się co prawda taką oazą spokoju, jak się tego spodziewała, kiedy przyjechała tu kilka lat temu z Warszawy. Mimo to nie wyobrażała sobie powrotu do stolicy, jej zgiełku, pędu i ciężkiego powietrza.

– Zdradzisz mi wreszcie, co powiedziała ci ta pielęgniarka? – zapytała Weronika.

Starła się nie myśleć o tym, co zobaczyła przez okno zajazdu. Daniel i Emilia stali po drugiej stronie szosy. Najpierw o czymś rozmawiali. Potem się pocałowali. Potem już nie patrzyła. Grzesiek mówił właśnie, że pielęgniarka Kinga zdradziła mu coś jeszcze. Nowakowska nie mogła skupić się na opowieści. Cały czas korciło ją, żeby znowu wyjrzeć przez okno. Upewnić się, że dobrze widziała.

Tymczasem Wiera rozkaszała się na dobre. Musiała naprawdę źle się poczuć, bo poprosiła, żeby odwieźć ją do domu. Kiedy wyszli przed zajazd, Weronika zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie tam, gdzie wcześniej widziała Daniela i Emilię, ale już ich nie było.

Odwiozła przyjaciółkę do sklepu. Grzesiek jechał za nimi. Już w Lipowie mieli dokończyć przerwana rozmowę. Wiera czuła się jednak tak słabo, że poszła do swojego mieszkania nad sklepem. Weronice i Grześkowi nie pozostało więc nic innego, jak pojechać do Nowakowskiej. Zwłaszcza że musiała zająć się końmi i Igorem.

W ten sposób znaleźli się z Grześkiem na ganku dworku. Sami. Weronika zadrżała. Dom stał na wzgórzu tuż przy ścianie lasu nie za blisko wsi. Gdyby krzyczała, przebiegło jej przez myśl, nikt by jej nie usłyszał.

Odetchnęła głębiej, żeby odegnąć niepokój. Niezbyt to pomogło. Tym bardziej że za obrońców miała tylko Lancelota i Kofiego, obecnie zajętych powolnym skubaniem trawy. No i oczywiście Igora, który warknął może ze dwa razy w swoim dziesięcioletnim życiu. To był najmniej agresywny pies, jakiego widziała. Bardzo to w nim lubiła. Choć akurat dziś czułaby się pewniej przy nieco bardziej bojowym czworonogu.

Nagle usłyszeli wycie syreny. Spojrzeli w kierunku szosy. Radiowóz na sygnale pojechał szybko w kierunku jeziora i zniknął pomiędzy drzewami, kiedy szosa zagłębiła się w lesie. Chwilę później przejechał drugi. Coś musiało się tam stać! Powinna zadzwonić do Daniela i zapytać? Dotknęła dłonią kieszeni, ale zaraz ją cofnęła. To był zamknięty rozdział. Nie będzie do niego dzwoniła. Przynajmniej póki on nie wykona jakiegoś kroku.

– Ruch jak na Marszałkowskiej – zaśmiał się Grzesiek. – A pamiętasz, jak szliśmy wtedy na Hożą i...

– Pamiętam – przerwała mu szybko.

Nie chciała wdawać się we wspominki z dawnych czasów. Wołała nie pamiętać, że kiedyś, jeszcze w Warszawie, jeszcze zanim wyszła za Mariusza, ona i Grzesiek byli parą. Że ich związek wydawał się idealny. To znaczy do momentu, kiedy Wilczyńskiemu... odbiło.

Zerknęła na Grześka. Przyglądał się jej ze spokojnym uśmiechem. Ciekawe, czy miał świadomość, o czym Weronika właśnie myśli. Może on też starał się wyprzeć z pamięci tamte

wydarzenia? Nikt przecież nie chce uważać siebie za potwora.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, tak. Zastanawiałam się tylko, co się tam stało, że pojechała policja... – Weronika skinęła głową w stronę szosy. – Powiedz mi, co mówiła ta pielęgniarka. Przypominam, że miała być informacja za informacją. Teraz twoja kolej.

Gdyby nie to, że naprawdę bardzo była ciekawa, nie zaprosiłaby go tutaj.

– Dobrze, ale obawiam się, że niewiele da się z tego wywnioskować.

Przedtem Grzesiek sugerował, że jego informacje mogą być ważne. Ta nagła zmiana tonu niezbyt się Weronice podobała. Poglaskała Igora. Mimo wszystko czuła się bezpieczniej, kiedy pies był blisko. Nawet jeżeli tylko radośnie dyszał w ciepłe letniej nocy.

– Pozwolisz, że i tak spróbuję? – powiedziała chłodno. Skoro Grzesiek już tu był, nie miała innego wyjścia.

Wilczyński bawił się kucykiem kasztanowych włosów.

– Kinga zabarykadowała się w jednej z sal razem z Valentine – powiedział w końcu. – Już ci chyba wspominałem. Obie były ranne. Choć Valentine zdecydowanie bardziej. Umierała. Kinga próbowała z nią rozmawiać, żeby nie straciła przytomności. Miała nadzieję, że jeszcze da się ją uratować. Cóż, myliła się.

– I? – ponagliła go Weronika.

– Valentine bredziła coś o jakimś zamkniętym pokoju.

Weronika natychmiast nadstawiła uszu. Zamknięty pokój. Kolejny raz słyszała dziś to określenie.

– I co dalej? – zapytała gorączkowo.

Psychiatra uśmiechnął się, widząc jej nagły zapal.

– I jeszcze że: *Lola powiedziała, że czterdziesty dziewiąty.*

– Co?

– *Lola powiedziała, że czterdziesty dziewiąty* – powtórzył Grzesiek, przyglądając się Weronice uważnie. – Rozumiesz coś z tego?

Lola! Niebieskooka kobieta, która odezwała się do Weroniki w Nowych Horyzontach, a potem dostała od doktor Pawłowskiej, zapewne na zlecenie Jana Kowalskiego, zastrzyk uspokajający.

– Czterdziesty dziewiąty? – upewniła się Nowakowska zamiast odpowiedzi.

– Tak mówiła Kinga. Tylko pamiętaj, że Valentine Blue umierała. To mogło być jakieś majaczenie.

Czterdziesty dziewiąty co? Pokój?, zastanawiała się Weronika. Pokój czterdziesty dziewiąty? Był taki w Nowych Horyzontach? Licząc z której strony? Skojarzyło jej się to z dochodzeniem w sprawie domu czwartego. Tam też pojawiła się taka liczbowa łamigłówka.

– Nie wiem, kim jest ta Lola – mówił dalej Grzesiek. – U nas na oddziale w każdym razie nikogo takiego nie ma i nie było.

– Ja wiem, kim ona jest – powiedziała Weronika, zapominając o ostrożności.

Zresztą może przesadzała z tymi obawami wobec Grześka. Wydawał się zupełnie innym człowiekiem niż kiedyś. Poza tym komuś w końcu musiała zaufać, a psychiatra był przecież człowiekiem z zewnątrz. Raczej nie miał żadnych związków z Janem Kowalskim. Wydawał się idealnym słuchaczem.

Wilczyński spojrzał na nią pytająco.

– Lola to jedna z pensjonariuszek Nowych Horyzontów – wyjaśniła Weronika.

– Tej noclegowni, o której pisała ci w wiadomości Valentine Blue?

– Tak. Tylko że to nie jest noclegownia. To schronisko dla bezdomnych. I to nie byle jakie. Ludzie z socjety pompują w nie pieniądze i ośrodek wygląda jak ekskluzywna willa. Samowystarczalna. Z tyłu jest ogród warzywny i sad. Pensjonariusze mają własne warzywa i owoce.

– To po co im pieniądze od tych bogaczy? – zaśmiał się Grzesiek. – Skoro jedzą owoce własnej pracy?

Weronika spojrzała na psychiatrę zaskoczona. Wilczyński najwyraźniej sobie żartował, ale przez to skierował jej uwagę na coś, o czym wcześniej zupełnie nie pomyślała.

O ile dobrze zrozumiała opowieści Zośki jeszcze z czasów poprzedniego śledztwa, mieszkańcy Nowych Horyzontów właściwie utrzymują się sami. Uprawiają rolę, dostają ubrania w darze od ludzi dobrej woli i tak dalej. A jednocześnie lokalni bogacze wspomagali ośrodek hojnymi darowiznami. Tak twierdził Jan. Co się w takim razie działo z tymi pieniędzmi? Na co je wydawano? Skoro Nowe Horyzonty były teoretycznie samowystarczalne.

Czy Valentine Blue odkryła jakieś przekręty? Lubiła przecież wsadzać nos w nie swoje sprawy, podsłuchiwać i tak dalej. Może tym razem posunęła się o krok za daleko, zadarła z osobami, z którymi nie powinna, i ktoś zdecydował się ją ostatecznie uciszyć. Na przykład wysyłając na szpitalny oddział człowieka, który miał ją zabić.

– Ten pacjent, ten agresywny – uściśliła Weronika – on zaatakował Valentine specjalnie? Pytam, czy nie chodziło mu właśnie o nią.

Grzesiek wzruszył ramionami.

– Już mówiłem. Nie byłem przy tym, więc nie wiem. Personel i pacjenci opowiadają o tym raczej chaotycznie. Trwa śledztwo, więc coś tam się w końcu wyjaśni. Ale szczerze mówiąc, chyba snujesz jakieś teorie spiskowe. Bo rozumiem, że uważasz go za jakiegoś płatnego zabójcę.

Nowakowska znowu pogłaskała Igora po głowie.

– Nie śmiej się. Po prostu się zastanawiałam. Z treści wiadomości Valentine wynikałoby, że ktoś w Nowych Horyzontach chciał ją dopaść. Chwilę później ona nie żyje. Trudno to uznać za przypadek.

Wilczyński wzruszył ramionami. Zrobiło się już niemal zupełnie ciemno. Jego twarz ginęła w mroku.

– On raczej wpadł w szal – powiedział. – Nie zapominaj, że zaatakował również tę nieszczęsną Kingę. Szkoda mi dziewczyny, bo dopiero zaczęła pracę i od razu ma takie przeżycia. Oddział psychiatryczny to nie jest oczywiście piaskownica, bywają jednak spokojne dni, kiedy nic właściwie się nie dzieje. A nowa dziewczyna przychodzi i od razu taka historia.

Weronika wstała i kiedy zapaliła światło na ganku, zaczęły zlatywać się komary i ćmy, ale nie chciała siedzieć z Grzeskiem w ciemnościach.

– Czy możliwe, że ten pacjent był podstawiony? – zapytała.

– To znaczy?

– Że symulował objawy, żeby dostać się do was na oddział i...

I zabić Valentine, dokończyła w myślach.

– Wszystko jest możliwe – przyznał Grzesiek. – Sama wiesz, że w latach siedemdziesiątych prowadzono badania na ten temat. Każdy student psychiatrii i psychologii je zna. Ludzie dostawali się na oddział, symulując schizofrenię. To jest choroba worek. I to bez dna. Najłatwiej było ją udawać. Tyle rozmaitych symptomów, które można symulować.

Weronika pamiętała. Jeden z badaczy postanowił sprawdzić, czy pracownicy szpitali psychiatrycznych są w stanie odróżnić osoby zdrowe od chorych. Metodologia została później poddana ostrej krytyce i wywołała gorącą polemikę.

Otóż współpracownicy eksperymentatora zgłaszali się do szpitali, twierdząc, że słyszą głosy. Kiedy zostawali przyjęci na oddział, przestawali udawać symptomy choroby. Czekali, aż ktoś z personelu zorientuje się, że ma do czynienia z osobą zdrową. Autor badania z przerażeniem stwierdził, że wszystkie zachowania rzekomych pacjentów były interpretowane jako oznaki choroby. Chociażby to, że współnicy badacza prowadzili rozległe notatki na temat pracy oddziału albo próbowali przekonać lekarzy, że są zdrowi.

Krytycy badania wytykali wiele błędów metodologicznych w podjętym eksperymencie. Choćby to, że ciężko winić przyjmujących na oddział, że nie wykryli spisku. Kto mógłby się spodziewać, że zdrowy psychicznie człowiek na siłę chce zostać zamknięty w szpitalu psychiatrycznym? Do tego twierdząc, że słyszy głosy. To raczej nie jest normalne zachowanie.

– Ten agresywny pacjent został przyjęty z diagnozą schizofrenii? – zapytała Weronika.

– Tak.

– Valentine Blue miała taką samą diagnozę. Mówiłeś, że nie jesteś pewny, czy ona nie symuluje.

– Bo nie byłem. Nie zdążyłem sprawdzić. Musiałbym spędzić z nią więcej czasu. Jak wiemy, teraz to już jest niemożliwe.

Weronika zamyśliła się.

– Tylko jak dostał się na ten właśnie oddział? – zastanawiała się głośno. – Musiał trafić dokładnie tam, gdzie Valentine, żeby ją zabić. W Świeciu macie przecież kilka oddziałów. To duża placówka.

Znowu rozległ się sygnał syreny. Teraz szosą w kierunku jeziora przejechała karetka. Co tam się działo? Weronika ponownie zdusiła chęć zadzwonienia do Daniela.

– Naprawdę macie tu ruch – skomentował żartobliwie Grzesiek. Zerknął na zegarek. – No nic. Czas już chyba na mnie. Zrobiło się późno. Dzięki za miłe spotkanie.

Zamierzał tak po prostu odjechać? Weronika poczuła, że kamień spada jej z serca. Niepotrzebnie się martwiła. Najwyraźniej naprawdę był już teraz innym człowiekiem.

– Dzięki za wszystkie informacje – zrewanżowała się.

Ruszyli do jego samochodu.

– No – powiedział, otwierając drzwi wranglera. – To do zobaczenia w przyszłości.

– Do zobaczenia – powiedziała, ale myślami była już w dworku. Chciała usiąść spokojnie w kuchni i dokładnie przeanalizować wydarzenia dzisiejszego dnia. Przedtem musiała oporządzić konie i pójść przynajmniej na krótki spacer z Igozem. Zrobiło się już zupełnie ciemno, ale mogła przecież przejść się drogą wśród pól. Tam nie ryzykowała natknięcia się na jakąś leśną zwierzynę.

Grzesiek wsiadł do samochodu i uśmiechnął się. Siedział tak przez chwilę. Chyba kręcił kluczykiem. Wrangler nie odpalił.

– Oj, zdaje się będę cię musiał prosić o nocleg... – powiedział Wilczyński, wysiadając. – Samochód mi się rozkraczył. O tej porze nic się nie da zrobić.

5 Dla zainteresowanych między innymi: Rosenhan, D.L. (1973). *On being sane in insane places*. „Science”, 179, 250–258. Polemikę można znaleźć między innymi w: Spitzer, R.L. (1975). *On pseudoscience in science, logic in remission, and psychiatric diagnosis: a critique of Rosenhan's „On Being Sane in Insane Places”*. „Journal of Abnormal Psychology”, 84(5), 442–452. Oraz: Weiner, B. (1975). *On Being Sane in Insane Places: A Process (Attributional) Analysis and Critique*. „Journal of Abnormal Psychology”, 84(5), 433–441.

SCENA 35

Opuszczony ośrodek Bropol.

Środa, 27 lipca 2016. Godzina 21.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Bropol był nieczynny już dobrych kilkanaście lat. Może nawet ze dwadzieścia? Podgórski pamiętał, że jako dziecko przychodził tu czasem z rodzicami pojeździć na karuzeli z konikami. Teraz straszyla zardzewiałymi metalowymi prętami i na wpeł złuszczonej farbą. W świetle reflektorów, które ustawił tu Ziółkowski i jego ekipa, wyglądała jeszcze gorzej niż za dnia. Drzewo rosnące obok poruszało się na wietrze jak widmo z innego świata. Co jakiś czas gałęzie ocierały się o metal, wydając dziwne, jęczące dźwięki.

Sam Ziółkowski o dziwo wyglądał na całkiem zadowolonego. Z jego twarzy zniknął typowy grymas. Był chyba zadowolony z tego, że ma porządną robotę.

– Czas zgonu? – zapytała prokurator Ligia Więcek.

Przyjechali do Bropolu od razu po telefonie od Klementyny. W drodze na miejsce Daniel zawiadomił dyżurnego. Ten z kolei skontaktował się z zakładem medycyny sądowej i z prokuraturą.

Ligia Więcek przyjechała ostatnia. Była starszą panią w dużych, grubych okularach. Na pierwszy rzut oka zupełnie nie pasowała do jakiegokolwiek miejsca zbrodni. Wyglądała bardziej na pocziwą przedszkolankę.

Pozory myliły. Kierowała tutejszą prokuraturą żelazną ręką i oględziny miejsca zbrodni nie robiły na niej większego wrażenia. Kiedy Leon Gawroński zdecydował się na wyjazd z Brodnicy, pewnie będzie więcej okazji, żeby współpracować z jego szefową. I dobrze, uznał Podgórski, zerkając na Emilię. Przynajmniej o jedną komplikację mniej.

– Wypowiem się po sekcji – powiedział swoim zwyczajem doktor Koterski.

Wstał z klęczek i zdjął rękawiczki. Z uśmiechem. Jego aparycja też wymykała się stereotypom zawodu, który wykonywał. Medyk sądowy był pulchnym mężczyzną o wiecznie roześmianej twarzy i burzy kasztanowych loków.

– Jakież przypuszczenia? – zapytał Daniel.

Mieli to przećwiczone. Koterski za każdym razem zasłaniał się sekcją, ale w końcu ulegał i dawał pierwsze informacje już przy trupie. Daniel zerknął na martwą kobietę. Ciało było w kiepskim stanie. Pokryte zeschniętą krwią, poszarpane przez zwierzęta i zmalretowane przez sprawcę.

Na wysokości brzucha ziała spora dziura. Z pierwszych oględzin wynikało, że kobieta została chyba przebita na wylot. Rozkład był daleko posunięty, czemu zdecydowanie sprzyjało lato. Ciało miejscami mocno nabrzmiało. Z dłoni i stóp łuszczyła się skóra. Mimo to wokół szyi widać było fragment tatuażu. Jakiś napis.

– Myślę, że zginęła jakiś tydzień temu. To tylko *off the record*, jak to się mówi w serialach – oznajmił patolog, puszczając oko. – Pamiętajcie, że ewentualnie potwierdzę to dopiero podczas autopsji.

– Czyli w środę – powiedziała Emilia zamyślona. – Znowu środa.

Klementyna Kopp zaśmiała się pod nosem. Strzałkowska spojrzała na nią spod oka. Ich relacje zawsze były napięte. Nie tylko po tym, co spotkało byłą komisarz po śledztwie w Utopcach.

– Coś ci się nie podoba, Kopp? – Emilia przewróciła oczami swoim zwyczajem. – Po prostu mamy zaginioną dziewczynę, którą widziano ostatnio tydzień temu. I teraz tę martwą kobietę, która nie żyje od tygodnia. Próbuję połączyć fakty.

– Spoko. To ci się chwali.

Trudno było powiedzieć, czy Kopp ironizuje, czy też mówi poważnie. Kiedy przyjechali na

miejsce, towarzyszącym jej Dawidowi i Marcie kazała czekać w samochodzie, a sama kręciła się przy śledczych. Stanowczo odmówiła opuszczenia ośrodka. Argumentowała to tym, że to ona znalazła ciało i: *Spoko. Ale! Nie zamierzam nigdzie się stąd ruszać.* Daniel uśmiechnął się na to wspomnienie. Jak zwykle wypływała słowa z prędkością karabinu maszynowego, więc potrzeba było mocno się skupić, żeby ją zrozumieć.

– Skoro znalazłaś bransoletkę Bereniki przy bramie, to chyba wszystko się jakoś łączy – powiedziała Emilia, rzucając Klementynie kolejne niechętnie spojrzenie. – Nieprawdaż?

– Być może prawdaż – mruknęła Kopp.

Emilia kolejny raz przewróciła oczami wyraźnie zirytowana. Daniel nie miał nic przeciwko temu, żeby Kopp z nimi została. Bywała trudna, ale nie znał lepszej policjantki od niej. Kilka razy udało im się rozwiązać bardzo skomplikowane sprawy mimo dość niekonwencjonalnego podejścia Klementyny do przestrzegania wszelkich reguł. A może właśnie dzięki temu.

Prokurator Więcek również nie protestowała. Mruknęła coś pro forma o tym, że Kopp jest świadkiem, i nie drążyła dalej tematu. Pewnie dlatego, że znały się jak łyse konie. Obie od lat pilnowały porządku w Brodnicy.

– Trzeba oczywiście najpierw ustalić, kim jest ta kobieta – odezwała się spokojnie Ligia Więcek.

– Z tym chyba nie będzie problemu, pani prokurator – poinformował Ziółkowski. Tym razem technik prawie się uśmiechał.

– To znaczy?

Ziółek pokazał palcem w stronę starej świetlicy. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. Czerń ziejąca z powybijanych okien zdawała się jeszcze głębsza niż mrok, który zapadł w lesie za płotem opuszczonego ośrodka.

– Za tym budynkiem chłopaki znaleźli rower z sakwami, pani prokurator. W środku jest trochę ubrań, komórka, ładowarka do telefonu i kilka innych rzeczy. Oprócz tego dokumenty i portfel. Dowód osobisty, prawo jazdy i karta kredytowa i tak dalej. Wszystko wystawione na niejaką Celinę Krawczyk.

Jakby dla potwierdzenia swoich słów uniósł torebkę na dowody. W środku był plastikowy kartonik. Dowód osobisty.

– Wspaniale. Ale musimy się upewnić, że Celina Krawczyk to ona – powiedziała prokurator Więcek, biorąc od niego torebeczkę. Poprawiła okulary i przyjrzała się zdjęciu. – Warkocze by się zgadzały.

Daniel zerknął na trupa. Włosy, choć potargane i posklejane krwią, nadal splecione były w dwa grube warkocze.

– Dziara też zapewne pomoże – mruknęła Kopp.

Przejechała wytatuowaną dłonią po szyi, pokazując miejsce, gdzie u martwej kobiety widniał zrobiony napis.

– Z dowodu wynika, że Celina Krawczyk jest zameldowana w Bargowie – powiedziała Ligia Więcek. – To na północ od Brodnicy. W stronę Jabłonowa Pomorskiego. Niezbyt daleko. Zajmiecie się tym jutro z samego rana.

– Oczywiście – zapewniła Emilia.

Znowu chciała wypaść dobrze. Tym razem pewnie nie tylko, by dostać pracę w krymie, ale z powodu tego, jak się zachowała w trakcie dochodzenia w sprawie czarnych narcyzów. Decyzja w dużej mierze zależała od prokurator Więcek.

– Właściciel terenu czeka przy bramie.

Wszyscy się odwrócili. Z ciemności pomiędzy opuszczonymi domkami wyłonił się Marek Zaręba. Podszedł do nich niemal bezszelestnie. Bropol znajdował się na terenie jurysdykcji posterunku w Lipowie, więc Paweł Kamiński zjawił się na miejscu razem z Młodym niemal od razu. Kopp zdążyła właśnie opowiedzieć Podgórskiemu o Mściślawie Grabowskim. Daniel poprosił więc kolegów, żeby go przywieźli ze Słonecznej Doliny. Uznał, że warto było Grabowskiego przesłuchać na miejscu. Przynajmniej wstępnie.

– Dobrze. Podejźmy do niego – zdecydowała Ligia Więcek. – Nie chcę, żeby kręcił się tu przy

ciele.

Ruszyli betonową, popękaną alejką do bramy. Szkło z powybijanych okien chrzęściło pod butami. Marek Zaręba trzymał się nieco z boku. Podgórski miał wrażenie, że Młody unika jego i Emilii, jak tylko może, odkąd przyjechał tu z Kamińskim. Pewnie nie był jeszcze gotowy rozmawiać o ojcu i jego ewentualnym udziale w zniknięciu Bereniki.

Dotarli do bramy. Była jasno oświetlona. Tu też technicy postawili mocne lampy. Na ziemi przy bramie leżał drut kolczasty. Prawdopodobnie odczepił się od płotu. Widać było na nim brunatne ślady. Być może krew. Ofiara mogła się w niego zaplątać. Albo sprawca. Tego też przecież nie mogli wykluczyć.

Kamiński stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i typową dla siebie miną władcy absolutnego. Obok niego przestępował z nogi na nogę niski, wychudzony mężczyzna w okularach.

– Mściśław Grabowski – przedstawił się, kiedy podeszli.

– Czyli to pański ośrodek? – zapytała prokurator Więcek.

– Tak, ale zamierzam go sprzedać. Co tu się stało? Ci panowie mi nie wyjaśnili.

Skinął głową w stronę Kamińskiego.

– Znalazłam trupa – wystrzeżona Kopp. – Wiesz coś o tym, co?

Kamiński przysunął się do Podgórskiego.

– Kurwa, już się zaczyna – szepnął z rozbawieniem. – Nic się lesba nie zmienia.

Daniel zignorował jego słowa.

– Byłaś ze mną cały dzień. Chyba nie sugerujesz, że się tu teleportowałam i kogoś zabiłam – oświadczył Mściśław Grabowski z uśmiechem. – A jeśli już o tym mowa, to od dawna nie wchodziłem na teren ośrodka. Wczoraj wieczorem przyjechałem do Słonecznej Doliny. Dziś od rana byłem umówiony na spotkania z ewentualnymi kupcami. Nie miałem jeszcze czasu tu zajrzeć.

– To kiedy był pan tutaj ostatnio? – zapytała Emilia.

– Rok temu. Byłem wtedy na wakacjach w Słonecznej Dolinie. Przyjeżdżam co roku. Zawsze na dwa tygodnie. Z reguły na przełomie lipca i sierpnia.

– Mówi coś panu nazwisko Celina Krawczyk? – zapytała Ligia Więcek.

– To ona nie żyje?

– Nie o to pytałam.

Mściśław Grabowski uśmiechnął się spokojnie.

– Kojarzę to nazwisko. To znaczy zwłaszcza imię. Jest charakterystyczne. Jak w piosence. A na takie zwracam zawsze uwagę – wyjaśnił. – To asystentka jednego z moich potencjalnych nabywców.

– Czeka. Stop. Którego z nich, co? – wtrąciła się Kopp.

– Harolda Dębowskiego.

– Tego, co tu chciał zrobić park makabreski razem z rodzicami małolat, co? Tego chudzielca, co mówi basem?

– Dokładnie. Masz dobrą pamięć – zaśmiał się chłodno Mściśław Grabowski.

– To niezłą makabreskę sobie tu kurwa zrobił – skomentował Paweł Kamiński. – Ciało wygląda jak kurwa nie wiem co. Lepszej reklamy nie mógł sobie urządzić. Ludzie to pierdolone żadne krwi stado bydląt. Będą tu Ignęli jak kurwa mucha do lepu. Albo i lepiej. Jak się tylko dowiedzą, że tu był prawdziwy trup.

Prokurator Więcek odchrząknęła i poprawiła okulary, ale nie skomentowała słów Kamińskiego.

– Z całym szacunkiem dla państwa władzy – powiedział Grabowski z wyraźnym przekąsem – ale chyba Harold Dębowski nie zamordował swojej asystentki po to, żeby zrobić tu park rozrywki z prawdziwym trupem. Widziałem różne rzeczy w życiu, ale mimo wszystko to raczej byłaby przesada. Nie uważają państwo?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Jestem jeszcze potrzebny? – dodał więc.

– Dziękujemy na razie – powiedziała Ligia Więcek. – Rozumiem, że jest pan dostępny na terenie

ośrodka Słoneczna Dolina?

– Oczywiście – zapewnił Grabowski. – Będę tu dwa tygodnie. Już mówiłem.

Prokurator Więcek zwróciła się do Marka Zaręby.

– Odwieźcie pana.

– Odwieźcie pana, odwieźcie pana. Kurwa – mruknął pod nosem Kamiński, ale poszedł z Młodym do radiowozu.

Grabowski rzucił Danielowi trudne do rozszyfrowania spojrzenie i ruszył za nimi. W tym momencie z ciemności wybiegł Igor. Żółty pies pocwałował prosto do Daniela i zaczął się witać. Podgórski poklepał go po głowie.

– Zabierzcie stąd tego psa – powiedziała po raz pierwszy ostrym tonem prokurator Więcek. – Może zniszczyć ważne dowody.

Daniel przytrzymał Igora za obrozę. Oddychał szybko. I on, i pies. Jeśli golden tu był, to musiało oznaczać...

– Przepraszam, już go zabieram. – Z ciemności wyłoniła się Weronika. Długie rude loki zdawały się błyszczeć mimo mroku. – Przechodziliśmy i...

– Powinna go pani prowadzić na smyczy – mruknęła prokurator Więcek. Daniel zaczynał podejrzewać, że nie chodziło tylko o ewentualne zniszczenie śladów, ale o to, że Ligia zwyczajnie się bała Igora.

– Przepraszam – powtórzyła Nowakowska, podchodząc do Daniela, żeby zabrać psa.

Podgórski odetchnął głębiej. Przy niej zawsze czuł się jak uczeń, a nie dorosły mężczyzna.

– Dzięki – powiedziała cicho i zapięła Igorowi smycz.

– Nie ma sprawy.

– Co się tu stało? – Niespodziewanie z ciemności wyłoniła się jeszcze jedna osoba. Mężczyzna miał długie włosy i kowbojki. – Wszystko w porządku, Weronika?

– Prowadzimy czynności – oznajmiła prokurator Więcek. – Proszę stąd odejść.

Nadal przyglądała się Igorowi z niechęcią.

– Przepraszamy – powiedziała Weronika jeszcze raz. Rzuciła ostatnie spojrzenie na Daniela i wycofała się w ciemność. Razem z mężczyzną w kowbojkach.

Zapadła cisza.

– To wszystko musi być powiązane – odezwała się Strzałkowska w końcu. Wydawała się spięta. – Niedawno znaleźliśmy z Danielem esemesa w telefonie Bereniki Borkowskiej, wysłanego do Harolda Dębowskiego. Mieli się z Bereniką spotkać w środę. Bereniki nadal nie ma, za to mamy ciało asystentki Dębowskiego.

– I pękniętą bransoletkę Bereniki – przypomniała Kopp. Daniel miał wrażenie, że Klementyna mu się przygląda. – Leżała dokładnie tu.

Kopp pokazała czubkiem wojskowego buta wgłębienie w popękany beton przed bramą.

– Może powinniśmy spojrzeć na tę sprawę od innej strony – powiedział Podgórski powoli. Starał się nie myśleć o Weronice. A zwłaszcza o tym, że towarzyszył jej jakiś mężczyzna.

– Co ma pan na myśli, Danielu? – zapytała prokurator Więcek.

– Cały dzień szukaliśmy BiBi. To znaczy Bereniki – poprawił się. – Założyliśmy, że coś jej się stało. A co, jeśli to ona jest sprawczynią? Jeśli to ona brała udział w zabójstwie Celiny Krawczyk?

ANTRAKT

SCENA 1

Cichy Lasek. Czwartek,

28 lipca 2016. Godzina 19.00.

Wojtek Majewski

Wojtek nie wiedział, jak długo już tu leży. Wydawało się, że latami. Ledwo mógł złapać powietrze. Nie tylko dlatego, że każdy oddech przynosił niewypowiedziany ból. Otaczał go przerażający smród rozkładu i wzbudzał atawistyczny lęk.

To i ta lepka miękkość. Wojtek bał się nawet spróbować otworzyć oczy.

– Pomocy! – krzyknął. Głos poszybował echem w górę. – Pomocy! Pomocy!

Krew sączyła mu się z ust. Bulgotała chyba gdzieś w płucach. Zamilkł i jeszcze mocniej zacisnął powieki, żeby nie widzieć tego, co było wokoło. Oprócz powiek i ust całe ciało miał jakby sparaliżowane. Nie był pewien, czy ze strachu, z bólu, czy też może coś zostało nieodwracalnie uszkodzone. W wyniku upadku albo ran, które mu zadano.

Tak bardzo nie chciał umierać.

Tak bardzo się bał.

Mimo to uchylił w końcu powieki.

Widział teraz nad sobą okrągły wylot studni. Zdawał się nieskończenie odległy. Jakby dotykał nieba. Świetlisty okrąg daleko, daleko nad nim. Kilometry nad nim. Przeżył upadek z takiej wysokości? Najwidoczniej. Czuł jednak, że koniec jest blisko. A może już był w piekle? Albo w jego przedsionku? Oświetlony pojedynczym reflektorem wylotu studni.

Nagle na tle letniego nieba zobaczył trzy postaci. Jedna wyraźnie mniejsza. Kobieta? A może wszystko mu się mieszało.

Próbował znowu wołać o pomoc, ale z ust wydobywało się już tylko charczenie.

AKT II

SCENA 1

Dom Celiny Krawczyk w Bargowie.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 8.15.

Aspirant Daniel Podgórski

Dzień wstał pochmurny, choć nadal było gorąco. Daniel nie był w najlepszym nastroju. Nie spał przez większą część nocy. Jak tylko wrócił do domu po wezwaniu do Bropolu i odwiezieniu Emilii, miał ochotę z powrotem wsiaść w samochód i pojechać na stację benzynową. Po butelkę czegoś mocniejszego oczywiście.

To wydawało się idealnym rozwiązaniem. Przynajmniej przez chwilę nie musiałby się zastanawiać, jak rozwiązać tę skomplikowaną sytuację, w którą się wpakował. Ani kim był facet z kucykiem, który przyszedł pod Bropol razem z Weroniką.

Wystarczyłoby wypić odrobinę, a życie stałoby się bardziej znośne. Do rana zdążyłby wytrzeźwieć. Nikt nawet by nie zauważył. Myśli kłębiły mu się nieznośnie w głowie, kiedy tak siedział z tłącym się papierosem w ustach i wpatrywał w puste szafki. Tam kiedyś gromadził zapasowe butelki. Dlaczego to wszystko powylewał? Kogo oszukiwał?

Zmęczenie zmogło go dopiero nad ranem. Niestety już o szóstej trzydzieści obudził go telefon od Klementyny. Chciał go zignorować, ale dzwonek wytrwale wygrywał swoją melodię. Kiedy odebrał, Kopp stanowczo zażądała, żeby ją wzięli ze sobą do rodziców Celiny Krawczyk. Cały czas powtarzała, że to ona znalazła ciało. Podawała też inne powody, ale Daniel nie słuchał. Nie musiał. Decyzję i tak już podjął. Łyknął kilka tabletek od bólu głowy, popił wodą z kranu i obiecał, że wpadną po Klementynę w drodze do Bargowa.

To oczywiście było wbrew wszelkim zasadom, ale tego ranka zasady miał głęboko w dupie. Twierdzenie, że atmosfera pomiędzy nim a Emilią po wczorajszej scenie w Tamie Brodzkiej stała się napięta, było mocnym niedopowiedzeniem. Dziś nie byłby chyba w stanie znieść pełnego napięcia milczenia. A na szczerą rozmowę, ku wściekłości na samego siebie, nie był jeszcze gotów. Obecność Kopp mogła więc być wybawieniem od kolejnych niezręcznych sytuacji. Poza tym mógł się przecież tłumaczyć naczelnikowi, że prokurator Więcek nie miała wczoraj obiekcji, by Klementyna była w Bropolu.

W ten sposób znaleźli się w Bargowie we trójkę. Podgórski zaparkował subaru przed drewnianym domem jednorodzinny zbudowanym w skandynawskim stylu. Czerwień faluńską ścian przełamowały białe elementy wykończenia. To tu według dowodu osobistego znalezione w sakwie rowerowej zameldowana była Celina Krawczyk. Właściwie powinni byli zawiadomić jej rodzinę już wczoraj, ale prokurator Więcek wołała, żeby zostali w Bropolu.

– Całkiem ładna okolica, co? – powiedziała Klementyna.

Daniel zerknął na Kopp we wstecznym lusterku. To nie był komentarz, którego by się po niej spodziewał, ale słowa zabrzmiały szczerze. Wyglądała z zainteresowaniem na zewnątrz i zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi ani na niego, ani na Emilię.

– Chociaż ten drugi dom to już trochę na wyrost – dodała Kopp tonem pogawędki.

Sąsiedni budynek był zdecydowanie większy i stanowczo bardziej strojny. Widać było, że właściciele włożyli w niego sporo funduszy. Szkoda, że nie zatrzymali się w tej skłonności do dekorowania gdzieś w połowie drogi. Gzymsy, rzeźby, kwiaty, sztuczne fontanny. Trochę tego wszystkiego tam było.

– Ale! My tu gadu-gadu, a chyba czas do pracy, co?

Kopp wysiadła z samochodu, nie czekając, aż któreś z nich odpowie.

– Chodźmy – rzuciła Emilia i też wysiadła.

Daniel wyciągnął paczkę papierosów i zapalił. Przez całą drogę się powstrzymywał. Nie chciał prowokować dodatkowych awantur. Kopp zastukała w szybę, żeby go ponaglić.

– Ktoś tu chyba komuś podpadł – oznajmiła, kiedy do nich dołączył.

– To znaczy? – zapytał Podgórski z głupia frant. Miała na myśli jego i Emilię?

Klementyna kiwnęła głową w stronę samochodu zaparkowanego przed domem rodzinnym Celine Krawczyk. To było stare srebrne bmw serii 3. Na oko gdzieś z przełomu stuleci. Może z 2001 roku. Podgórski lubił tę markę, choć pozostawał wierny subaru.

Na drzwiach samochodu ktoś wydrapał spory napis. Litery były koślawe. Jedne większe, drugie mniejsze. Przekaz łatwo dało się jednak odczytać. *PoŻałUjesZ sUko*. Bez znaków interpunkcyjnych.

– No i pożałowała, skoro nie żyje – mruknęła Emilia i bez dalszego komentarza ruszyła w kierunku wejścia do domu.

– Ty też komuś podpadłeś, co? – zapytała Kopp z krzywym uśmiechem.

– Chodźmy – mruknął Podgórski zrezygnowanym tonem.

Przy furtce zaciągnął się raz jeszcze papierosem i zgasił go na chodniku. Drzwi otworzyły się, kiedy akurat wszedł na ganek. Na progu stał starszy mężczyzna. Miał siwe, rzędzące na skroniach włosy i fałdy luźnej skóry w okolicy podbródka. Wyglądało na to, że dopiero się obudził. Ubrany był w szlafrok, a na policzkach miał cień wczorajszego zarostu.

– Tak? – zapytał mężczyzna ostrożnie. Zerknął na Emilię. Jako jedyna ubrana była w mundur. Zapewne nie chciała przychodzić do roboty w cywilkach, póki nie była jeszcze pewna awansu. – Państwo z policji? Coś się stało?

Daniel wyciągnął blachę.

– Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy. Wydział kryminalny – wyjaśnił szybko. Miał nadzieję, że mężczyzna nie zacznie pytać o szczegóły. Ciężko byłoby wówczas wyjaśnić obecność Klementyny. – Możemy porozmawiać?

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz niepokoju.

– Coś się stało? – powtórzył wcześniejsze pytanie.

– Chodzi o Celinę Krawczyk – odezwała się Emilia. – Mieszka tu?

– Tak. To moja córka – powiedział mężczyzna, poprawiając szlafrok. – Dopiero wstaliśmy i...

Ostatnia spokojna noc, przemknęło Danielowi przez myśl. Jak powiedzą temu człowiekowi, co się stało, Krawczyk będzie żałował, że nie pamięta, co mu się dziś śniło. A pamiętać nie będzie. Wszystko stanie się jedną wielką pustką.

Daniel tak to odczuwał. Kiedy umarła jego córeczka, żadna noc nie była już taka sama, a on usilnie próbował sobie przypomnieć każdy szczegół dni, kiedy Justynka jeszcze żyła. Nie potrafił. Potem z kolei próbował zapomnieć, co się stało, posiłkując się płynnymi procentami. Poszło zdecydowanie skuteczniej, pomyślał z goryczą.

– Zastaliśmy ją?

Daniel wolałby, żeby Strzałkowska nie zadawała tego pytania. Przynajmniej nie w ten sposób. Byli przecież na sto procent pewni, że to ciało Celine Krawczyk Kopp znalazła wczoraj w Bropolu. Zaraz będą musieli to oznajmić ojcu. Można było mu oszczędzić pytania, czy jego córka jest w domu.

– Nie. Ona wyjechała.

– Możemy wejść na chwilę? – zapytał Podgórski delikatnie, widząc coraz większe zdenerwowanie na twarzy mężczyzny.

– Kazia! – zawołał gospodarz. – Kazia!

Na ganku pojawiła się starsza kobieta z włosami nawiniętymi na grube wałki. Na ramiona narzuciła szlafrok, choć była już ubrana w letnią sukienkę.

– Co się stało?

– Ci państwo są z policji.

Kobieta odwróciła się w ich stronę, jakby dopiero teraz odnotowała, że drzwi na dwór są otwarte.

– Co się stało? – zapytała jak wcześniej mąż.

– Chyba coś z Celinką.

Głos mężczyzny się załamał. Kobieta otoczyła go ramieniem. Jakby był małym chłopcem, a ona jego matką.

– No już, Bernard, już – powiedziała pocieszająco. – Niech państwo wejdą. Ja jestem Kazimiera Krawczyk, matka Celiny.

Zaprowadziła ich do salonu na tyłach domu. Podgórski spodziewał się bieli i mebli z Ikei, ale wnętrze nie było utrzymane w podobnym stylu co fasada. Dominowały ciężkie drewniane sprzęty dające nieco przytłaczające wrażenie.

– Proszę usiąść. – Kazimiera wskazała szeroką, wysłużoną kanapę. – Mogę zaproponować coś do picia?

Chciała chyba podtrzymać iluzję zwyczajnej wizyty. Podgórski widział to wiele razy. Usiadł na kanapie z ciężkim sercem. Informowanie o śmierci kogoś bliskiego nigdy nie było łatwe. Do tego nie dało się przyzwyczaić. Zwłaszcza jeśli chodziło o dziecko. Nawet dorosłe dziecko, przebiegło mu przez myśl.

– Co się stało? – zapytał Bernard, zanim którekolwiek z ich trójki zdążyło odpowiedzieć na propozycję gospodyni.

Oboje patrzyli teraz wyczekująco. Oczekiwali wyjaśnienia. To było zrozumiałe.

Daniel wyciągnął zdjęcia, które zrobił wczoraj w Bropolu Ziółkowski. Krawczykowie będą musieli zidentyfikować ciało w prosektorium, ale trzeba było zacząć od fotografii. Już miał podać je gospodarzom, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Bernardowi drżała broda. Kazimiera miała zaciśnięte usta. Przypominały cieniutką, czerwoną kreseczkę.

– Czy państwa córka miała jakieś znaki charakterystyczne? – zapytał.

Wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał pokazać im zdjęcia zmasakrowanego ciała córki, ale chciał ten moment odsunąć jak najdalej. Niech mają jeszcze choć chwilę. Chwilę bez pierdolonej pustki, która nastąpi potem.

– Tatuaze – powiedział Bernard Krawczyk i spojrzał na Klementynę. – Ale zdecydowanie mniej niż pani.

– Na przykład miała jeden na szyi. To był napis. *Take only pictures, leave only footsteps* – dopowiedziała Kazimiera.

Wymówiła angielski cytat z nieoczekiwaną płynnością. Podgórski spojrzał na nią zaskoczony. Po starszej pani spodziewałby się raczej mocnego polskiego akcentu.

– Córka uwielbiała eksplorować opuszczone budynki i inne takie miejsca. To się nazywa *urban exploration* – mówiła dalej Kazimiera Krawczyk. Ostatnie słowa znowu wymówiła z perfekcyjnym brytyjskim akcentem. – Ten cytat to motto ludzi, którzy się tym zajmują. Że nie wolno nic z danego miejsca zabierać. Tylko robić zdjęcia. Nie wolno też nic zostawiać. Wizyta powinna nie pozostawiać śladów. Córka tłumaczyła mi to wielokrotnie.

– Po prostu pokaż państwu zdjęcia – powiedziała sucho Emilia.

Podgórski westchnął. Zabrzmiało to oziębło, ale Strzałkowska miała rację. Nie dało się tego uniknąć. Podał fotografie Kazimierze, bo matka Celiny Krawczyk wydawała się mocniejsza od męża. Być może lepiej to zniesie. Po twarzy kobiety popłynęły łzy, choć z ust nie wydobył się ani jeden szloch. Podała zdjęcia mężowi. Bernard rozplakał się głośno.

– Dlaczego ona tak wygląda? – zapytał przez łzy.

– Ciało leżało na dworze przez dłuższy czas – wyjaśnił Daniel oględnie.

Kazimiera wyjęła zdjęcia z rąk męża i oddała je Podgórskiemu. Podziękował jej skinieniem głowy.

– Rozpoczęły się procesy gnilne – powiedziała Emilia beznamietnie. Podgórski rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Jeżeli chciała się na kimś wyżywać, niech robi to raczej na nim, a rodziców Celiny niech zostawi w spokoju. – A zwierzęta...

– Rozpoznają państwo córkę? – przerwał Strzałkowskiej.

Krawczykowie pokiwali głowami w milczeniu. Bernard sięgnął po ramkę ze zdjęciem stojącą na

stoliku obok kanapy i podał Danielowi. Fotografia przedstawiała wysoką kobietę z dwoma grubymi warkoczami w przygaszonym ceglasm kolorze. Wczoraj w ciemności wydawały się po prostu brunatne. Nie zauważył, że są rude.

– Córka nienawidziła tych swoich rudych włosów – poinformowała głucho Kazimiera, jakby odgadła, o czym właśnie pomyślał. – Jak była mała, to zawsze mówiła, że się będzie farbować. Potem jej minęło. Zaczęła się czesać jak Pippi Pończoszanka.

Nagle z głębi domu rozległ się tupot. Do salonu wbiegł chłopiec. Mógł mieć siedem, może osiem lat. Na twarzy miał rozradowany uśmiech.

– Babciu, mówiłem, że wstanę przed dziewiątą, mimo że są wakacje! Mówiłem – zawołał. – Sama widzisz!

Na twarzy Kazimierzy natychmiast pojawił się uspokajający uśmiech. Najwyraźniej była przyzwyczajona do panowania nad sytuacją. Bernard obtarł łzy, ale jego broda nadal drżała.

– To nasz wnuk – wyjaśniła gospodyni. – Witek, leć jeszcze do pokoju. Babcia musi omówić ważne sprawy z państwem, dobrze?

Chłopiec odwrócił się do nich. Daniel miał wrażenie, że mały Witek kogoś mu przypomina. Nie mógł sobie jednak uzmysłowić kogo.

– A państwo są policjantami? – zapytał chłopiec zaciekawiony.

– Tak – odpowiedziała Emilia tym razem delikatniej. Chyba nawet jej gniew miękł przy dziecku.

– Macie prawdziwe pistolety? – pytał chłopiec rzeczowo.

– Witek, na górę – rozkazała Kazimiera. Ton był stanowczy, szybko złagodziła go uśmiechem. – Potem porozmawiamy, dobrze?

– No dobra! – zawołał chłopiec i dom znowu wypełnił się tupotem. Jakby pędziła cała zgraja dzieci, a nie jeden chłopiec.

– Okej – odezwała się dotychczas milcząca Kopp. – A to auto przed domem to czyje, co?

– Córki – powiedział Bernard. Kiedy wnuk zniknął na górę, przestał się powstrzymywać i znowu płakał.

– A ten napis, co? Ten, że ona pożałuje.

– Ktoś go córce wydrapał.

– Spoko. Ale! Jakies podejrzenia, kto to zrobił, co?

– Myśli pani, że to ona ją zabiła? – włączyła się do rozmowy Kazimiera Krawczyk.

– Ona? – podchwyciła Strzałkowska, wyciągając notes.

– To znaczy nie wiemy dokładnie – zastrzegła matka Celiny. – Ale mamy podejrzenia, kto to zrobił. To znaczy córka jest... była prawie pewna.

– Celinka mówiła, że to jakies tam głupoty – załkał Bernard Krawczyk. – A teraz państwo mówią...

– Czekał. Stop. Nic nie mówimy – przerwała mu Klementyna. – Po prostu pytałam. No więc kto to zrobił, co?

– Celina potrafiła być trudna – powiedziała Kazimiera zamiast odpowiedzi.

Czekali, by dodała coś więcej, ale milczała.

– To znaczy? – zapytała Strzałkowska.

Matka Celiny westchnęła.

– Często wdawała się w konflikty. Właściwie z każdym po kolei. Była gniewna. Zupełnie jak pani.

Emilia poczerwieniała na twarzy.

– Tak naprawdę była wrażliwa – wydusił Bernard.

– Kochanie, nie oszukujmy się. Nasza córka była suką.

W salonie zapadło pełne konsternacji milczenie. Daniel zerknął na Emilię. Strzałkowska uniosła brwi. Tylko Kopp nie wydawała się zaskoczona tym ostrym określeniem charakteru Celiny wygłoszonym przez jej matkę.

Bernard załkał.

– Przepraszam, że tak mówię – tłumaczyła się Kazimiera – ale taka była smutna prawda. Córka nie żyje. Chciałabym, żeby temu komuś, kto jej to zrobił, nie uszło na sucho. W tym celu muszą mieć państwo wszystkie informacje. Tak ja to widzę. Nawet te niewygodne. A prawda jest taka, że moja córka umiała każdemu zaleźć za skórę – dodała gospodyni. – Każdemu.

– Tobie też, co? – zapytała Kopp z krzywym uśmiechem.

– Niejednokrotnie, ale nigdy nie skrzywdziłabym własnej córki.

– Słodko. Ale! Nie ty jedna tak mówisz. Gdzie byłaś w zeszłą środę wieczorem i w nocy, co?

– W zeszłą środę? Ale... Ona wtedy dopiero wyjechała... – Kazimiera po raz pierwszy wydawała się wyprowadzona z równowagi. Przełknęła głośno ślinę. – Dopiero co.

– Spoko. Ale! Do tego przejdziemy potem. Pytałam, gdzie byłaś wtedy ty i tatusiek.

Klementyna wskazała głową Bernarda. Znowu płakał. Teraz jego zachowanie nagle zdało się Danielowi nieco teatralne. Może Kopp miała rację, że pytała ich o alibi. Kazimiera Krawczyk odchrząknęła.

– Poszliśmy do znajomych na grilla – wyjaśniła. – Wszyscy nas widzieli. Mogę dać numer, żeby państwo sprawdzili.

– Bardzo wygodnie – zaśmiała się Klementyna. – Tak zwane idealne alibi...

– Ale... – zaczęła matka Celiny.

Kopp nie pozwoliła jej dokończyć.

– Okej. No dobra. Zostawmy to, co? Tamci i tak sprawdzą. – Machnęła ręką w stronę Daniela. – Lepiej powiedz, komu ta wasza Celina zalazła za skórę na tyle, żeby podrapał jej samochód, co?

– To była jakaś klientka od tego samego fryzjera, gdzie chodziła Celina. Ta kobieta zabrała jej termin strzyżenia. Po prostu zapłaciła więcej, żeby zostać przyjęta poza kolejką. Wtedy Celina podrapała jej samochód. Za karę. Jak się okazało, że bmw jest podrapane, to córka podejrzewała, że tamta po prostu się zrewanżowała. Widocznie również była w gorącej wodzie kąpana.

– Wiedzą państwo, jak nazywała się ta klientka? – zapytała Strzałkowska.

– Nie. Celina nie mówiła.

– Mogą państwo podać nam nazwisko fryzjera? Albo chociaż nazwę zakładu. Spróbujemy popytać.

Nieoczekiwanie Kazimiera wyrecytowała z pamięci nie tylko nazwę salonu, ale również numer telefonu do fryzjerki, która czesała Celinę.

– Często umawiałam córkę – powiedziała tonem wyjaśnienia. Zauważyła chyba zdziwienie na ich twarzach. – Mam głowę do numerów. Teraz ludzie się rozleniwiają i wszystko zapisują w komórkach. Mózg się nie ćwiczy. Człowiek zapomina. Zapiszę państwu na kartce.

Emilia podała jej notes.

– Po rozwodzie córka zrobiła się jeszcze gorsza – podjęła Kazimiera Krawczyk, oddając Strzałkowskiej notatnik. – Była sfrustrowana. Tłumaczyłam jej, że nie powinna uzależniać swojego życia i szczęścia od mężczyzny. Przytakiwała, ale nie potrafiła zapomnieć o byłym mężu. Szczerze mówiąc, chciała się na nim zemścić. W każdym razie, wracając do tego napisu na samochodzie, to Celina niezbyt się tym przejęła. Wymyśla tylko dokładnie auto, bo mówiła, że nie chce mieć paluchów tamtej na swojej własności.

Ziółkowski na pewno nie będzie zadowolony, przeszło Podgórskiemu przez myśl. Duża część potencjalnie istotnych śladów mogła zostać w ten sposób zatarta.

– Do lakiernika miała oddać po powrocie z wyprawy – wtrącił się Bernard Krawczyk. – Celinka naprawdę uważała, że to drobnostka. Śmiała się z tego. Pomyśleć, że to nie była żadna drobnostka, lecz ostrzeżenie zabójcy.

Znowu zapłakał. Kazimiera objęła męża gestem pocieszenia.

– Spokojnie, Bernardzie. Przecież nie możemy nawet być pewni, że to tamta kobieta jej to zrobiła. Zapadła cisza.

– Kiedy widzieli państwo Celinę po raz ostatni? – zapytał Daniel, przerywając milczenie.

– Właśnie w środę tydzień temu – odpowiedziała bez namysłu Kazimiera. – Tak jak

wspomniałam przed chwilą.

– Córka pojechała na wyprawę życia – uściślił Bernard ze smutkiem. – Miała wyruszyć rano, ale auto się popsuło. Hamulce padły. Więc po powrocie miała je oddać do generalnego remontu. A na wyprawę wzięła rower.

– Była tym podekscytowana – przyznała Kazimiera. – Ten rower wydawał jej się nawet lepszym pomysłem. Ale zanim się przepakowała, to trochę potrwało. Mówiłam jej nawet, żeby dała spokój albo wyruszyła w czwartek, ale się uparła. Powiedziała, że nie straci ani jednego dnia. Miała zacząć od opuszczonego ośrodka nad jeziorem Bachotek i tam przenocować. Nie wiem, czy państwo znają? Nazywa się Bropol.

Daniel dopiero sobie uświadomił, że nie poinformowali rodziców Celiny, że to właśnie tam znaleziono ciało ich córki. Teraz okazało się, że to był pierwszy przystanek na zaplanowanej trasie.

– Potem chciała udać się na północ. Jak najdalej się da – kontynuowała Kazimiera. – Nazywała to podróżą życia, jak już wspomniał mój mąż.

– Spoko. Wszystko pięknie. Ale! Nie zdziwiliście się, że Celina nie dawała znaku życia przez tydzień, co? – zapytała Kopp.

Kazimiera pokręciła głową.

– Córka powiedziała nam, że nie będzie dzwonić przez cały czas wyprawy. Wzięła telefon, ale chciała się zupełnie odciąć, wszystko przemyśleć. Popierałam to. Czasem człowiek potrzebuje odosobnienia, żeby dojść do siebie. Zwłaszcza po takiej traumie jak rozwód.

– Okej. No dobra. To kto wiedział o tej wyprawie, co? – zapytała Kopp.

To było dobre pytanie. Roweru, telefonu, pieniędzy i dokumentów nie skradziono, czyli Celina nie została napadnięta w celach rabunkowych. Czy oznaczało to w takim razie, że ktoś, kto wiedział o jej planowanym zatrzymaniu się w Bropolu, zaczął się tam na nią? Czy naprawdę jednym ze sprawców była Berenika Borkowska, jak to wczoraj przyszło Danielowi do głowy?

– My oczywiście wiedzieliśmy – powiedziała Kazimiera. – Oprócz tego jej szef, bo musiał dać jej wolne. No i ojciec Witka, bo wnuk miał nocować u taty. Ale nie chciał i ostatecznie został u nas.

– Z tego, co wiemy, szef Celiny to niejaki Harold Dębowski. Tak? – upewnił się Daniel.

– Tak jest.

– Jakie miała Celina relacje z szefem?

Kazimiera uśmiechnęła się niemal czule.

– Harold jest jedyną osobą, z którą córka dobrze się dogaduje... Dogadywała. Przyjaźnili się. Będzie trzeba go zawiadomić...

– Łączyło ich coś więcej? – zapytała Strzałkowska. Przeglądała teraz notes, jakby nie chciała już na nikogo patrzeć.

– Nie mieli romansu, jeśli o to pani pyta – powiedziała z godnością Kazimiera.

Bernard znowu załkał. Żona pogłaskała go po ramieniu.

– Oni się tylko przyjaźnili – zapewniła znowu. – Harold to porządny człowiek. Ma żonę. Nigdy by...

– To nic nie znaczy – mruknęła Emilia.

– Dla niektórych znaczy – powiedział Bernard i uśmiechnął się do żony.

Kazimiera odpowiedziała tym samym. Należeli chyba do par, które kochały się z taką samą żarliwością mimo mijających lat.

– Dla innych nie – powiedziała Strzałkowska.

Jej słowa aż ociekały goryczą. Daniel poczuł lekką irytację. Jeśli ktoś mógł mówić coś takiego, to chyba Weronika. Podgórski miał z nią wziąć ślub, kiedy on i Emilia... cóż. Kiedy dali się ponieść temu, co łączyło ich wiele lat wcześniej. Można więc zaryzykować, że to Strzałkowska była tą trzecią. O co w takim razie miała pretensje?

– Dopiero ostatnio coś się między nimi popsuło – dodała po chwili Kazimiera. – To znaczy pomiędzy Celiną a panem Haroldem. Córka bardzo to przeżywała. Między innymi to chciała sobie przemyśleć na wyprawie.

– Dlaczego ich relacje się popsuły? – zapytał Daniel.

– Nie wiem. Córka mi nie powiedziała. A tobie?

Kazimiera odwróciła się do Bernarda. Ojciec Celiny Krawczyk pokręcił głową i otarł łzy.

– A ten jej eksmężulek, co? – zapytała Kopp. – Dla niego Celina też była suką?

– Już mówiłam, że bardzo przeżywała rozwód – powiedziała Kazimiera.

– Możemy prosić o jego dane? – zapytała Emilia.

Podgórski kiwnął głową, kiedy Kazimiera wymieniła nazwisko. Już wiedział, dlaczego twarz małego Witka wydawała mu się znajoma. Zdążyli już przecież poznać ojca chłopca.

SCENA 2

Dworek Weroniki w Lipowie.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 8.40.

Weronika Nowakowska

Weronika otworzyła lodówkę, wyciągnęła sok pomarańczowy i z głośnym stuknięciem postawiła karton na stole. Czowała się co najmniej niekomfortowo.

Obudziły ją odgłosy na dole. Kiedy zeszła, Grzesiek zajęty był właśnie przygotowaniem śniadania. Krzątał się po jej kuchni, jakby był u siebie.

– *Pancakes* – powiedział, kiedy zobaczył ją w drzwiach. – Nadal je lubisz?

Nowakowska zadrżała. Naleśniki w amerykańskim stylu to była jego specjalność. Kiedyś zawsze przygotowywał je dla niej na śniadanie. Naprawdę nie chciała wracać, nawet myślami, do czasów, kiedy byli parą.

– Tak – powiedziała mimo to.

Zawsze czowała się niezręcznie, kiedy była dla kogoś niegrzeczna. To nie było w jej stylu. Dlatego nawet nie próbowała dawać mu do zrozumienia, że wołałaby, żeby już się zbierał. Jeszcze nie próbowała.

Oczywiście chciała, żeby odjechał jak najszybciej, miała przecież sporo rzeczy do zrobienia. Najpierw konie do oporządzenia. Potem planowała pójść do Wiery, by sprawdzić, jak dziś się czuje przyjaciółka. Chciała omówić z nią to, co przekazał jej wczoraj Grzesiek.

– Świetnie – uśmiechnął się. – Masz coś do picia czy zrobić herbatę?

– Mam sok w lodówce.

– No to dawaj!

Weronika znowu zadrżała. Postanowiła jednak, że nie da po sobie nic poznać.

– Niezłe zamieszanie było wczoraj tam w lesie – zagadnął, kiedy postawiła karton soku pomarańczowego na stole.

Skinęła głową. Kiedy się okazało, że samochodu Grzeška nie da się uruchomić i Wilczyński musi zostać w dworku na noc, postanowili wybrać się na spacer z Igorem. Po pierwsze, Weronika była ciekawa, co się stało nad jeziorem. Po drugie, nie miała ochoty spędzić wieczoru z Grzešką w dworku. Już wołała spacer po lesie. Nawet w nocy. To dawało przynajmniej iluzję, że w razie czego można uciekać.

– To co? – zapytał Grzesiek. – Siadamy?

Rozłożył talerze. Kuchnia pachniała przyjemnie zapachem słodkiego ciasta. To przywoływało kolejne wspomnienia. Weronika poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma.

– Może zadzwonię do mechanika? – zaproponowała. – Tu w Lipowie jest całkiem dobry.

Grzesiek zaśmiał się wesoło.

– Już mnie wyganiaasz? Nawet jeszcze nie zjedliśmy śniadania.

Weronika zaczerwieniła się.

– Spokojnie – dodał psychiatra z uśmiechem. – Nie chcę ci się narzucać. Jak tylko zjemy, zadzwonię po holowanie. Mam wykupione w ubezpieczeniu. Wreszcie się na coś przyda, że tyle płacę.

– Aż dziwne, że się tak nagle zepsuł – powiedziała Weronika nieco uspokojona. Jak zwykle niepotrzebnie panikowała. Grzesiek zaraz sobie pojedzie. – Chociaż tak o niego dbasz.

Nasypała Igorowi karmy do miski. Pies rzucił się na jedzenie, jakby głodował co najmniej kilka dni. Zawsze miał taki apetyt.

– I najlepszego dopadnie – zaśmiał się psychiatra. – A wrangler ma już swoje lata.

Przełożył naleśniki na talerze. Odsunął krzesło dla Weroniki. Usiadła sztywno.

– Często się – dodał.

To było irytujące. Znowu zachowywał się tak, jakby to on był gospodarzem w jej własnym domu. Wbiła widelec w naleśnik. Psychiatra chciał chyba coś jeszcze powiedzieć, ale w tym momencie zadzwoniła jego komórka.

– Przepraszam. Sprawdzę tylko, kto to... – mruknął. – O, no proszę, to Kinga.

– Ta młoda pielęgniarka? – upewniła się Weronika.

– Tak. Może przypomniała sobie coś jeszcze o Valentine. – Grzesiek uśmiechnął się szeroko. – To co, mam odebrać czy może wolisz, żebym dzwonił do mechanika?

– Odbierz – poprosiła Nowakowska.

Grzesiek uśmiechnął się znowu z zadowoleniem.

SCENA 3

Dom Celiny Krawczyk w Bargowie.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 8.40.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Karol Zakrzewski jest mężem Celiny? – zapytała Strzałkowska. – Barman z klubokawiarni Przy Rynku?

Była zaskoczona. Musiała się upewnić.

– Byłem mężem – uściśliła Kazimiera Krawczyk. – Już mówiłam, że oni są po rozwodzie.

Emilia przypomniała sobie, że faktycznie Karol Zakrzewski wspominał coś o byłej żonie, która chce mu odebrać dziecko. Wczoraj w klubokawiarni policjantce wydawało się to nieistotnym szczegółem, ale teraz stawiało to barmana w zupełnie nowym świetle. Wyglądało na to, że tkwi pośrodku tej historii. Był nie tylko byłym mężem ofiary, ale również jedną z ostatnich osób, które widziały Berenikę Borkowską przed jej zniknięciem.

– Znają go państwo? – zdziwił się Bernard Krawczyk.

Ojciec Celiny otarł już twarz z łez, ale policzki nadal miał zaczerwienione. Zdawał się już nieco spokojniejszy. Może powoli godził się z sytuacją. A może wręcz przeciwnie, udawał sam przed sobą, że nic się nie stało.

– Mieliśmy okazję go poznać – włączył się do rozmowy Podgórski.

Emilia nie chciała patrzeć w jego stronę. Była na siebie wściekła, że nie potrafi zapanować nad emocjami. Tak długo je w sobie tłumiła. Całe dorosłe życie starała się być silna. Musiała. Samotnie wychowywała syna i pracowała w zawodzie, który wymagał maksymalnego wtopienia się w męski świat. Nie mogła być rozhisteryzowaną kobietką. Nikt by jej nie szanował.

Wielokrotnie widziała, jak mężczyźni pękali. Załamywali się. Bali. Panikowali. Nawet płakali po szczególnie trudnej interwencji albo kiedy coś poszło nie tak. Nikt im z tego powodu nie robił wyrzutów. Koledzy poklepywali po ramieniu i mówili, że *każdy w takiej sytuacji ma prawo do gorszej chwili*. Otóż nie każdy. Nie ona.

Raz płakała na służbie. Z bezsilności. Dziecko umierało na jej rękach, a ona nie mogła zrobić nic, tylko czekać na karetkę. To było na Romera, niedaleko ursynowskiego komisariatu, gdzie wtedy służyła.

Karetka nadjeżdżała od strony Herbsta. Słychać już było syrenę. Wtedy właśnie chłopiec umarł. W jednej chwili żył, a w drugiej już nie. Zakatowany na śmierć przez ojca. Matka alkoholiczka siedziała obok zalana w trupa. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, co właściwie się dzieje.

Emilia płakała. Nie mogła się powstrzymać. I wtedy usłyszała ten komentarz: *No tak, baba*. Nie wiedziała dokładnie, kto to powiedział. Chyba taki jeden Waldek. Piętnaście lat służby z hakiem. Typ, który był pewien, że pozjadał wszystkie rozumy. Kutas jakich mało. Mimo to widziała w oczach pozostałych kolegów nieme potwierdzenie. Wtedy postanowiła, że będzie twardsza niż inni.

Udało jej się wytrwać. Do teraz. Za to właśnie była wściekła. I na siebie, i na Podgórskiego.

– Okej. Spoko. Czyli stosunki Celiny i jej mężulka nie były najlepsze, co? – podsumowała Klementyna, wyrывая Strzałkowską z zamyślenia.

Emilia musiała wziąć się w garść. Zawiedziona miłość to przecież nie koniec świata. Otwierały się przed nią nowe drogi. Chociażby upragniona praca w wydziale kryminalnym. Trzeba było znaleźć w sobie jeszcze trochę siły i pokazać naczelnikowi Sienkiewiczowi.

– Niezbyt dobre, to prawda – potwierdziła Kazimiera.

Bernard Krawczyk poruszył się niespokojnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał go Daniel.

Ojciec Celiny najpierw pokiwał głową, potem pokręcił, jakby nagle zmienił zdanie.

– Czyli teraz uważają państwo, że to nie ta kobieta, która podrapała samochód, zabiła moją córkę, tylko Karol? – zapytał powoli.

– Rozważamy różne możliwości – poinformowała Strzałkowska. – Na razie nie możemy wykluczyć nikogo. Sami państwo mówili, że zięć wiedział o tym, że Celina będzie nocowała w Bropolu, więc...

– Wiedział, że Celinka ma zamiar jechać na wyprawę życia – uściślił Bernard. – Nie znał szczegółów. Nie sądzę, żeby córka mu się zwierzała.

Teraz to Kazimiera Krawczyk pokręciła głową.

– Nie broń go tak, Bernardzie – upomniała męża. – Nie możemy go tak od razu wykluczyć. Pamiętaj o tym. Pamiętaj, że Celina mówiła o nim same złe rzeczy.

– Ona o wszystkich mówiła złe rzeczy – szepnęła Bernard. – Nie zabieraj Witkowi ojca, Kaziu. Nie teraz.

Kazimiera chciała chyba coś powiedzieć, ale ostatecznie wstała z kanapy i podeszła bez słowa do okna. Było otwarte. Do środka wpadał zapach rozgrzanej łąki.

– A Karolek nie zasłużył sobie przypadkiem na to negatywne nastawienie, co? – chciała wiedzieć Kopp. – Dlaczego w ogóle się rozstali?

– Karol jest niezbyt odpowiedzialnym człowiekiem – pospieszyła z wyjaśnieniem matka Celiny. – To lekkoduch.

– To nie taki znów grzech – wtrącił się Bernard. Znowu mówił cicho. Jakby bał się reakcji żony.

– Najwyraźniej dla Celiny był – oznajmiła Kazimiera.

– I to było powodem rozstania? – zapytała Emilia.

– Po prostu się nie dogadali.

– Chyba miłość się wypaliła i tyle – dodał Bernard. – To bardzo smutne.

Kazimiera Krawczyk uśmiechnęła się półgębkiem.

– Mój mąż jest wielkim romantykiem. Prawdopodobnie dlatego wytrzymaliśmy razem pięćdziesiąt lat. Ale czasem trzeba myśleć o codzienności. Od tego jestem ja. Celina też miała takie praktyczne podejście. Wszystko było na jej głowie. Karol nic nie robił. Pracuje co prawda w klubokawiarni, ale niezbyt się przykłada. Poprzedni właściciel jakoś to tolerował, ale teraz podobno jest ktoś inny.

– Lech Kołodziej – podsunęła Strzałkowska.

– Możliwe. No i on podobno już kilka razy ostrzegał Karola, że może wylecieć. Zięć niezbyt się przejął. Taki już jest. Celina z kolei jest... – Krawczykowa zatrzymała się przy tym słowie na kilka sekund – była... bardzo porządna i sumienna. Wszystko robiła przed terminem. Teraz to się nazywa *deadline*. Ona i Karol nie pasowali do siebie. Mieli też inną wizję wychowania Witka. A to może rozbić małżeństwo na dobre. Mimo wszystko córka naprawdę przeżyła rozstanie. Gdzieś tam głęboko pewnie uważała to za swoją porażkę.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Zza otwartego okna dochodził śpiew ptaków.

– Bardziej chyba właśnie o tę porażkę chodziło niż o to, że go kochała – dodała Kazimiera, przerywając milczenie.

– Córka nastawiała Witka przeciwko Karolowi – poinformował nieoczekiwanie ojciec zamordowanej.

– Bernardzie!

Ojciec Celiny odwrócił się do żony.

– Ale tak było. Dlatego Witek nie chciał z nim zostać, jak ona wyjechała. Kocham moją córkę. – Bernard najwyraźniej nie mógł zdobyć się na użycie czasu przeszłego, jak to zrobiła przed chwilą jego żona. – Ale uważam, że dziecko nigdy nie powinno być elementem gry pomiędzy małżonkami. Żadne dziecko na to nie zasłużyło.

Emilia zgadzała się z nim. Ojciec Celiny miał rację. Mimo to doskonale wiedziała, jak trudno czasem powstrzymać się przed podjęciem niektórych decyzji. Jak po prostu wydaje się, że to najlepsze

wyjście. Matki kochają dziecko bezwarunkowo i na zawsze, ale nie są nieomyłne. O tym też trzeba było pamiętać.

Sama powiedziała Podgórskiemu o Łukaszu, dopiero kiedy syn był nastolatkiem. Być może popełniła błąd. Prawdopodobnie tak. Ale czasu nie dało się cofnąć.

– Spoko. To mamy Karola. Z kim jeszcze była skłócona ta wasza córeczka, co? – zapytała Kopp.

– Już mówiłam, że właściwie ze wszystkimi po kolei – przypomniała Kazimiera.

– Okej. No dobra. Ale! Konkretniej. Na przykład z kim, co?

– Nawet w najprostszych sytuacjach potrafiła znaleźć okazję do kłótni – powiedziała matka Celiny z westchnieniem. – Nawet jak kupowała to auto, pokłóciła się z właścicielem komis, bo nie powiedział jej o jakiejś małej usterce. To było...

– Czekaj. Stop. Jaki to był komis, co? – przerwała jej Klementyna.

– Taki jeden pod Bydgoszczą – wtrącił się Bernard. – Pojechaliśmy z Celinką. Ten facet ma sieć komisów. Imię dosyć charakterystyczne...

– Mścisław, co? – podzuciła Kopp.

– Tak. Mścisław Grabowski. Jego też państwo znają?

– Mieliśmy okazję poznać – powiedział Daniel. – Czego dotyczyła ta kłótnia w komisie?

– To nie było nic ważnego – podjęła Kazimiera. – Powiedziałam o tym tylko, żeby państwu pokazać, jaka była Celina.

– Po prostu gdzieś tam była jakaś stłuczka, którą ten człowiek z komis, przemilczał – wyjaśnił Bernard Krawczyk.

– To potem wyszło na jaw i córka robiła mu awantury – mówiła matka zamordowanej. – Przez jakiś czas Celina jeździła tam codziennie i odstraszała mu klientów. Mówiła, że to oszust i tak dalej. Nawet jak jej zwrócił część pieniędzy. Dopiero niedawno jej się znudziło. Miała inne sprawy na głowie. Przeżywała tę kłótnię z Haroldem, rozwód z Karolem i tak dalej.

Emilia nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na Daniela. Była ciekawa, czy pomyślał o tym samym. Mścisław Grabowski powiedział im wczoraj, że kojarzy Celinę Krawczyk, bo była asystentką jednego z jego potencjalnych kupców Bropolu. Nie zająknął się nawet słowem, że znał Celinę wcześniej i że założyła mu za skórę.

– No i z kim jeszcze wasza córka miała na pieńku, co? – zapytała Klementyna, uśmiechając się krzywo. Zmarszczki wokół jej wąskich ust jakby się przez to pogłębiły.

– No chociażby z tutejszym proboszczem – poinformował Bernard. – Nazywa się Edward Sienkiewicz.

Tym razem to Strzałkowska poczuła na sobie spojrzenie Daniela. Sienkiewicz? Jak naczelnik? Miała nadzieję, że to tylko nic nieznacząca zbieżność nazwisk. Bo jeśli to była rodzina naczelnika, to zapewne trzeba będzie z nimi postępować jak z jajkiem. Żeby go nie zdenerwować.

– Tak. Córka była zdeklarowaną ateistką. Nie wiem, po kim to miała, bo ja i mąż co niedzielę jesteśmy w kościele – zapewniła Kazimiera gorąco. – Celina cały czas wchodziła w konflikt z proboszczem. A kiedy matka księdza Edwarda, pani Alicja, zaproponowała postawienie pomnika przed kościołem, wybuchła jeszcze większa afera.

Matka Celiny nie sprecyzowała, o jaki pomnik chodzi. Można się było jednak łatwo domyślić, że o taki, który dzielił obecnie kraj na dwa obozy.

– Celinka walczyła jak lwica, mimo że próbowałem ją przekonać do tego pomysłu – powiedział Bernard, wdychając. – Z pomnika zrezygnowano. Pani Alicja miała to naszej córce bardzo za złe. Ksiądz Edward chyba też, choć on jest bardziej powściągliwy w okazywaniu tego typu uczuć. Przedtem była jeszcze afera z krzyżem w naszej szkole podstawowej. Tu w Bargowie.

– Celina walczyła, żeby krzyże nie wisiały w salach lekcyjnych – wyjaśniła Kazimiera. – Uważała, że szkoła powinna być świecka. Tak to argumentowała. Naprawdę nie wiem, po kim był w niej taki gniew.

– Może po dziadku Czesławie? – zastanawiał się Bernard. – Mój ojciec zawsze był porywczy.

– Co to, to prawda – zgodziła się jego żona.

Objęli się. Emilia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ta ich miłość jest jakaś teatralna. Na pokaz. Czy to możliwe, że udawali, bo coś ukrywali? Na przykład to, że zabili córkę?

Podobno mieli niepodważalne alibi w postaci grilla u znajomych. Podobno widziało ich kilkanaście osób, które brało udział w imprezie. Trzeba poprosić Laurę, żeby to sprawdziła. Jeśli to się potwierdzi, trzeba będzie ich wykluczyć. Jaki mogliby mieć motyw? Czyżby córka także im zalaża za skórę? Ale co mogłoby ich łączyć z BiBi?

– Znają państwo Berenikę Borkowską? – zapytała Emilia, werbalizując swoje myśli.

– Pierwszy raz słyszę – zapewniła Kazimiera.

Odrobinę za szybko? Czy Strzałkowskiej tylko się wydawało?

– Ja również – powiedział Bernard.

– Choć nazwisko zdaje się jakby trochę znajome... – dodała matka Celiny. – Chyba był taki wypadek kilka lat temu, kiedy mężczyźnie ucięło głowę podczas zderzenia samochodu osobowego z ciężarówką?

Bernard się uśmiechnął.

– Żona ma doskonałą pamięć.

– Po prostu interesują mnie lokalne wydarzenia. Czemu państwo pytają o tę osobę?

– Przychodzi państwu do głowy jeszcze ktoś, kto mógłby źle życzyć państwa córce? – zapytał Podgórski zamiast odpowiedzi.

Strzałkowska była zła, że Daniel tak szybko porzucił temat związków pomiędzy BiBi a Krawczykami. Pewnie nie chciał za wiele ujawniać, ale przecież to mógł być obiecujący trop. Jej zdaniem warto było tu jeszcze podrażnić. Nie chciała się jednak kłócić podczas przesłuchania. Jeśli miała dostać robotę w krymie, musi zachowywać się profesjonalnie.

– Córka bardzo się kłóciła z naszymi sąsiadami – poinformowała Kazimiera. – Z państwem Pawłowskimi.

– Ona jest lekarką, a on siedzi w domu – uściślił Bernard. – Trochę tak jak ja. Też całe życie zajmowałem się domem, kiedy żona pracowała zawodowo. Ot tacy jesteśmy nietypowi.

Kazimiera skinęła głową.

– W naszej rodzinie to kobiety są silne – oznajmiła z dumą.

– Spoko. Ale! O co poszło z sąsiadami, co? – zapytała Kopp.

Jak na siebie i tak była dziwnie spokojna. Może chodziło o Dawida i Martę? Emilia była zaskoczona, widząc, z jaką czułością Kopp odnosiła się do tej dziewczyny wczoraj w Bropolu.

– Poszło o tak zwaną miedzę – wyjaśnił Bernard ze smutnym uśmiechem. – Ja bym w ogóle nie zwrócił uwagi, ale Celinka się dopatrzyła na planach, że oni źle postawili płot. Częściowo na naszej działce. Chciała się z nimi o to procesować. Ja namawiałem do ugody, pani Patrycja, czyli ta lekarka, też. Ale pan Chrystian się zaperzył zupełnie jak moja córka. Teraz lata po prawnikach.

– Chrystian Pawłowski – powiedziała Klementyna jakby do siebie. – Rude włosy, ruda broda, co?

– Tak.

Emilia spojrzała na Kopp pytająco. Klementyna skinęła głową. Już wczoraj w Bropolu opowiedziała im po kolei o wszystkich wizytach, które miał w ciągu dnia Mściśław Grabowski. Chrystian Pawłowski i jego żona lekarka byli jednymi z klientów, którzy chcieli kupić opuszczony ośrodek. Ośrodek, w którym potem Kopp znalazła trupa sąsiadki, z którą wojowali. Przypadek? Na razie trudno było stwierdzić.

– No i jeszcze ta koleżanka ze szkoły podstawowej – dodała Kazimiera Krawczyk. – Przyjechała tu w przeddzień wyjazdu córki.

– Czyli we wtorek tydzień temu, tak? – upewnił się Daniel.

– Tak. Kłóciły się.

– O co? – zapytała Emilia.

– Trudno mi powiedzieć, o co poszło. Widziałam to przez okno. Potem pytałam córkę, ale nie chciała mi powiedzieć. To było dziwne, bo zawsze mi się zwierzała. Z większości spraw. Ty coś wiesz,

Bernardzie?

Ojciec Celiny pokręcił głową.

– Nic a nic.

– Byłam zaskoczona, bo wydawało mi się, że Celina nie miała z tą dziewczyną kontaktu od szkoły podstawowej. Może jakiś sporadyczny. Córka wspomniała na przykład, że jakiś czas temu na siebie wpadły w mieście. To możliwe, przecież Brodnica nie jest duża. A tu nagle ona zjawia się u nas i się kłóca.

– Jak się nazywa ta koleżanka? – zapytała Emilia.

Otworzyła notes gotowa zapisać kolejne nazwisko. Jak się okazało, wcale nie musiała. Doskonale je już знаła.

SCENA 4

Dworek Weroniki w Lipowie.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 9.35.

Weronika Nowakowska

Weronika wypuściła Lancelota i Kofiego na padok. Zamknęła za nimi drewnianą bramę. Konie popędziły radosnym galopem na drugi koniec wybiegu. Lancelot zaczął energicznie uderzać trawę przednim kopytem. Nieuchronnie zwiastowało to, że ma zamiar się wytarzać. Kofi szybko poszedł w jego ślady. Wkrótce z padoku dało się słyszeć pełne lubości postękiwanie zadowolonych koni. Igor biegał wokół nich, poszczekując. Chyba chciał zachęcić większych kolegów do zabawy. Zrezygnował, kiedy Lancelot stanął z powrotem na nogi i posłał mu długie spojrzenie. Pies wycofał się pełen szacunku dla wielkości karego konia.

Tuż za padokiem szumiał las. Za gospodarstwem Weroniki droga prowadziła już tylko przez las w dół nad jezioro Bachotek. Z drugiej strony biegła ścieżka do brzoźowego młodniaka. Można się nią było dostać na skróty do leśniczówki oraz do wielkiej, ekskluzywnej rezydencji rodziny Kojarskich. A dalej nad jezioro Strażym.

Weronika odetchnęła głębiej pachnącym lasem, rozgrzanym powietrzem. Przeciągnęła się. Uwielbiała Lipowo. To była cudowna odmiana po ścisiku i zgiełku Warszawy. Odosobnienie miało oczywiście swoje minusy. Na przykład zimą, kiedy trzeba było odśnieżać szutrową drogę prowadzącą do szosy.

– No już jestem.

Odwróciła się. Była tak skupiona na podziwianiu swoich zwierzaków i przyrody wokoło, że nie usłyszała, kiedy Grzesiek Wilczyński do niej podszedł. Stanął tuż obok i oparł się o płot ogradzający padok.

– Przepraszam, że trwało to tak długo – powiedział. – Nie liczą się z tym, że jestem na urlopie, i chcą konsultować ze mną przypadki pacjentów.

Kiedy kończyli jeść śniadanie, do Grzeska znowu zadzwoniła Kinga. Pielęgniarka, która spędziła ostatnie chwile z Valentine Blue. Przez całą rozmowę Wilczyński robił zafrasowane, poważne miny.

Kiedy skończył pogawędkę z pielęgniarką, zadzwoniono ponownie ze szpitala. Rozmowa się przedłużała, więc Weronika uznała, że pójdzie oporządzić konie. Całe szczęście, że się tym zajęła, bo Grzesiek długo rozmawiał. Zdążyła nawet wypastować siodła.

– To co powiedziała ta twoja Kinga? – zapytała Weronika.

Letni wiatr rozwiał jej włosy. Związała je szybko w niedbały kok na czubku głowy. Dla burzy loków często była to najlepsza fryzura.

– Już nie chcesz, żebym sobie pojechał? – zażartował Grzesiek. Kiwnął głową, wskazując swój samochód. – Już nie wzywamy lawety? Ani mechanika?

Weronice nie podobał się jego ton. Wcale a wcale.

– Najpierw mi powiedz, po co dzwoniła ta pielęgniarka – odparła, siląc się na spokój. – Faktycznie przypomniała sobie coś jeszcze?

– Wczoraj, kiedy rozmawiałem z Kingą, była jeszcze trochę otumaniona. Dziś przypomniała sobie jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, Valentine powiedziała, że *oni ich tam wożą*.

– Oni? – podchwyciła Weronika.

Grzesiek pokiwał głową.

– Valentine nie sprecyzowała kto. Przecież wiemy, że była w okropnym stanie.

– *Oni ich tam wożą* – powtórzyła Weronika w zamyśleniu.

Czy to w takim razie możliwe, że zamknięty pokój nie znajdował się na terenie Nowych Horyzontów? To by się zgadzało. To dlatego Jan Kowalski zdecydował się oprowadzić ją i Wierę po willi. Po prostu tam nie było nic do ukrycia. Czegokolwiek szukały, znajdowało się to zupełnie gdzie indziej. Tylko gdzie?

Igor podbiegł do Nowakowskiej w radosnych podskokach, niosąc jakiś kij. Rzuciła mu go najdalej, jak umiała. Jak zwykle nie poleciał zbyt daleko. Daniel zawsze się z niej śmiał, że nie umie rzucać.

– A ta druga rzecz, którą przypomniła sobie pielęgniarka? – zapytała Weronika. Nie chciała teraz myśleć o Podgórskim.

– A to jest jeszcze ciekawsze – zapewnił Grzesiek. – Zobaczymy, czy coś z tego zrozumiesz.

SCENA 5

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 9.35.

Klementyna Kopp

Kopp patrzyła, jak po twarzy mysiej policjantki spływają krople potu. Nie trzeba było mieć klaustrofobii, żeby nie czuć się tu dobrze. Klementynie też zrobiło się gorąco. Siedzieli w magazynku na tyłach klubokawiarni. Kartony z towarami, narzędziami, zastawami zajmowały większość pomieszczenia. We czwórkę ledwo się tu wcisnęli.

– Szef jest u siebie w gabinecie, więc niestety musimy porozmawiać tu – poinformował ich Karol Zakrzewski.

Klementyna przyjrzała się krytycznie barmanowi. Były mąż Celiny Krawczyk wyglądał na mniej niż trzydzieści kilka lat, które podobno przekroczył. Uroda szczupłego, blondwłosego kupidyna zapewne zostanie mu na lata. Niektórzy tak mieli. Tylko pozazdrościć. Choć Kopp zdecydowanie nie podobało się spojrzenie barmana. Powłóczyście, spod na wpół przymkniętych powiek.

– Nic nie szkodzi – zapewnił Daniel.

Stał zabawnie przechylony na bok. Był z nich najwyższy i najszerszy w barach, więc on się w tej klitce najbardziej męczył.

– Uchylę drzwi – powiedziała zduszonym głosem Strzałkowska.

Nikt nie zaprotestował.

Przyjechali do klubokawiarni prosto od Krawczyków, by przesłuchać Karola Zakrzewskiego, byłego męża Celiny, a także niejaką Karinę Stępień. Rodzice truposzki z Bropolu poinformowali ich, że na dzień przed wyjazdem na wyprawę życia do Celiny nieoczekiwanie przyjechała koleżanka ze szkolnej ławy. Klóciły się o coś, choć Kazimiera i Bernard nie wiedzieli o co. Znali natomiast nazwisko dawnej przyjaciółki córki. Karina Stępień. Kelnerka w klubokawiarni.

Na pierwszy ogień poszedł były mężulek Celiny i tak znaleźli się w tej klitce na szczotki.

– A ty nie powinienesz teraz zająć się synem, co? – zaatakowała Kopp. – Bo zakładam, że teściowie już zadzwonili dać ci znać, że była żonka nie żyje, a my tu jedziemy pogadać, co?

Kopp nie zamierzała nawet ukrywać sama przed sobą, że pierwsze pytanie wynikało z wyrzutów sumienia. Zostawiła dziś Dawida i, przede wszystkim, Martę samych sobie. Wczoraj też kazała im czekać obok Bropolu, kiedy sama robiła wszystko, żeby brać udział w dochodzeniu.

Z drugiej strony byli chyba na tyle dorośli, że sobie poradzą, pocieszyła się Kopp. Syn Teresy zajmie się swoją dziewczyną. Tak obiecał. Klementyna miała nadzieję, że może Dawidowi w tej kwestii zaufać. Choć do tej pory nie wykazał się zbyt wielką odpowiedzialnością wobec Marty.

Może i Klementyna była samolubna. Ale! Nie chciała porzucić tropu, który wczoraj złapała. Za bardzo brakowało jej pracy w firmie, żeby nie skorzystać z okazji. Cokolwiek zaszło pomiędzy Danielem a mysią policjantką, działało na jej korzyść. Potrzebowali przyzwoitki. Mogła zagrać tę rolę. Spoko. O ile tylko chociaż przez chwilę nie będzie *cywilem*. Miała już tego dosyć.

– Oczywiście, że się zajmę! Ale muszę zostać tu do końca zmiany – odciął się Karol Zakrzewski.

– Potem będę miał więcej wolnego. Jeśli szef się zgodzi, rzecz jasna... Zresztą Witek wcale za mną nie tęskni. Celina już o to zadbała. Nakręca syna przeciwko mnie przy każdej okazji.

– Nakręcała – uściśliła Kopp. – Taka nadgnita to już raczej niezbyt kogokolwiek może nakręcić do czegokolwiek.

Karol spojrział na Klementynę spod półprzymkniętych powiek najwyraźniej urażony jej komentarzem.

– Chciała mi odebrać prawa rodzicielskie – poskarżył się.

Jak małe dziecko.

– Świetny motyw – rzuciła Kopp lekko. – Motyw, żeby się byłej żonki pozbyć, oczywiście. Teraz już nikt nie będzie chciał ci zabrać synka. Jak wygodnie. Jak dobrze się składa. Ta małolata ci pomogła to przeprowadzić, co?

– Jaka małolata? – krzyknął niemal barman. Drzwi magazynku były otwarte, więc pewnie słyhać go było aż w głównej sali.

Klementyna zerknęła na Daniela. Stał przy ścianie na w półzgiętych nogach, żeby nie walić głową o półki powieszony wyżej. Emilia ustawiła się przy samych drzwiach. Nie wyglądała najlepiej. Żadne z nich nie protestowało przeciwko temu, że Kopp przejęła inicjatywę.

– Doskonale wiesz – powiedziała więc do Karola. – Ale! Mogę też ci odświeżyć pamięć. Nie ma problemu. Berenika Borkowska. Choć mówiono również na nią BiBi. Pomogła ci zabić żonkę, co?

Relacje tej dwójki nie były całkiem jasne. Berenika przyszła w środę tydzień temu do klubokawiarni, do Lecha Kołodzieja. Podobno chciała go pytać o Sarę Dębicką, koleżankę żony restauratora. Podobno. Bo przecież usłyszeli to tylko z ust Karola Zakrzewskiego. Nikt inny nie mógł tego potwierdzić.

– To jak, co? – zapytała Kopp nieco ostrzej, przyglądając się Zakrzewskiemu. – Zrobiliście to z BiBi we dwójkę?

Barman poruszył się niespokojnie.

– Oczywiście, że nie. Nie znałem tej dziewczyny. Pierwszy raz ją widziałem tydzień temu, jak tu przyszła do szefa. W niczym mi nie pomagała. A już na pewno nie w zabiciu mojej byłej. Nic Celinie nie zrobiłem! Ani z tą dziewczyną, o którą mnie wypytujecie, ani z nikim innym. Ani sam!

Klementyna zerknęła znowu na Daniela i Emilię. Mysia policjantka wyglądała, jakby za chwilę miała zasłabnąć. Daniel przyglądał się jej z niepokojem. Kopp uśmiechnęła się pod nosem. A więc są zajęci sobą. Czyli mogła pytać dalej.

– Spoko. Ale! Gdzie byłeś w środę wieczorem, co?

Karol Zakrzewski skinął głową w stronę Podgórskiego i Strzałkowskiej.

– Już im wczoraj mówiłem, że wróciłem do domu i poszedłem spać! To znaczy, zanim poszedłem spać, oglądałem jeszcze filmiki na YouTubie – prawie warknął. – To chyba nie jest przestępstwo. Nic nikomu nie zrobiłem.

Emilia sapnęła głośno. Naprawdę się pociła.

– Wszystko w porządku, Miła? – zapytał Daniel.

Mysia policjantka przytaknęła. Ale! Niemal od razu nogi się pod nią ugięły. Podgórski zdążył chwycić ją, zanim upadła. Pomógł jej wyjść na korytarz. Klementyna nie miała nic przeciwko temu. Niech sobie zakochane ptaszki ćwierkają. Ona nie zamierzała dalej tu tracić czasu. Karol Zakrzewski nic więcej nie powie.

Minęła ich, ignorując zaskoczonego barmana, i ruszyła do głównej sali klubokawiarni. Teraz chciała pogadać sobie z Kariną Stępień. Koleżaneczką, która zjawiła się u Celinie Krawczyk na dzień przed jej śmiercią.

– To co? Kłóciłaś się z Celiną, co? – powiedziała, pociągając kelnerkę za ramię.

Karina Stępień o mało nie wypuściła tacy z rąk. Obrzuciła Kopp wściekłym spojrzeniem.

– Nie widzi pani, że obsługuję gości? – syknęła.

– Spoko. Ale! Nie mam czasu na bzdety. Dlaczego kłóciłaś się z Celiną, co?

Kelnerka uśmiechnęła się do zdezorientowanych klientów.

– Bardzo państwa przepraszam – powiedziała uprzejmie.

Postawiła przed nimi filiżaneczki espresso i szklanki z wodą. Woda i kawa? Po co? Kopp nigdy nie była wielbicielek kawy. Nie znała się na tych wszystkich szczegółach.

– No więc? – zapytała znowu.

Na posągowo pięknej twarzy kelnerki pojawił się grymas niezadowolenia. Pociągnęła Klementynę w stronę baru. Miała zadziwiająco silne ręce, zważywszy na szczupłą budowę.

– Porozmawiajmy tu – powiedziała, kiedy oddaliły się od gości.

Tymczasem od strony zaplecza zbliżali się Daniel i Emilia. Mysia policjantka opierała się na ramieniu Podgórskiego. Usadził ją przy stoliku blisko baru.

– Mogę prosić o coś do picia dla koleżanki? – zapytał.

Karina Stępień weszła za kontuar i nalała trochę wody do szklanki. Z kranu.

– Może być? – rzuciła sarkastycznie.

Wyglądało na to, że nie była zbyt przychylnie nastawiona. Kopp nie zamierzała się tym przejmować. Karina może i przypomina czekoladkę. Ale! Taka słodka to wcale nie jest. Coś tam za uszami mogła mieć.

Podgórski chyba chciał zareagować.

– Dziękuję – ucięła szybko Emilia, biorąc szklankę od Kariny. – To nic takiego. Po prostu zrobiło mi się słabo. Tam było strasznie gorąco.

– Spoko. Ale! Może byśmy tak wrócili do rzeczy, co? Zanim pojawią się nowi klienci. – Kopp uśmiechnęła się przymilnie do kelnerki.

Karina Stępień odwzajemniła przesłodzony uśmiech.

– Pojechałam do Celiny, bo chciałam pomóc Karolowi – poinformowała bez namysłu.

– A to ciekawe. W zabiciu żonki, co?

Kelnerka pokręciła głową wyraźnie zniesmaczona uwagą Klementyny. Milcząc, zajęła się przecieraniem tacy. Może chciała zyskać na czasie.

– Muszę powiedzieć Wojtkowi, żeby przywiózł więcej mleka i soku pomarańczowego – powiedziała jakby do siebie. – Jest za mało.

– Spoko. Ale! Naprawdę niezbyt mnie interesuje zaopatrzenie tego waszego przybytku. Całkiem przyjemnego, przyznaję. – Kopp rozejrzała się po głównej sali klubokawiarni. Całość utrzymana była w śródziemnomorskim, niewymuszonym stylu. Naprawdę jej się podobało, choć estetyką przecież nie była. – Mów lepiej, w jaki niby sposób chciałaś pomóc Karolowi, co?

– Celina chciała mu zabrać dziecko. Pojechałam tam, żeby z nią pogadać.

– Wzruszające. Ale! Jesteś z Karolem tak blisko, że aż taką pomoc mu oferujesz, co?

– Karol to mój kolega. Celina to zdzira – powiedziała niemal szeptem Karina Stępień. – Już samo napsucie jej trochę krwi było miłe.

– Często się pani spotykały? – zapytał Daniel.

– Nie.

– To czemu tak pani zależało, żeby *napsuć jej krwi*? – Podgórski zrobił palcami znak cudzysłowu w powietrzu. – Jakiś zatarg sprzed lat?

Zabrzmiało to nieco sarkastycznie. Chyba Daniel zaczynał odzyskiwać formę. Może to krótkie przytulanie z mysia policjantką tak na niego wpłynęło.

Karina odwróciła się do Kopp.

– Ona też miała tatuaże – oświadczyła, jakby to miało cokolwiek wspólnego z czymkolwiek. – W tym jesteście podobne. I podobny paskudny charakter.

Klementyna uśmiechnęła się słodko. Weszła za bar i stanęła obok Kariny. Stępień cofnęła się o krok. Kopp zrobiła więc kolejny w jej stronę. Kelnerka chciała cofać się dalej, ale nie było już miejsca. Wcisnęła się więc w kontuar, jak tylko się dało. Klementyna podejrzewała, że mogło to być całkiem bolesne. Tym lepiej.

– Słyszałam kilka razy, że da się mnie lubić – powiedziała do Kariny. – Ale! Powiedz ty mi lepiej, gdzie byłaś w środę tydzień temu, co?

– Tu w pracy.

– A potem?

– Skończyłam późno, wczoraj mówiłam. Byłam tu do końca. O dwudziestej trzeciej mniej więcej zamykaliśmy. Potem jeszcze sprzątanie. Klienci czasem zamarudzą. Trochę to zawsze trwa, zanim się wyjdzie.

– To nie jest odpowiedź. Co zrobiłaś potem, co?

– Potem poszłam do domu – poinformowała kelnerka zmęczonym tonem.

– Czyli równie dobrze mogłaś tę naszą Celinę wykończyć, co? Może do spółki z Karolem Zakrzewskim i Bereniką?

Kopp miała raczej pozytywne odczucia wobec Bereniki Borkowskiej. Już kilka lat temu, kiedy jej szukała po raz pierwszy. Nie oznaczało to jednak, że zamierza tracić obiektywizm. BiBi musiała być w to jakoś zamieszana.

– Celina została zabita w środę wieczorem? – zapytała Karina Stępień.

– Nie udawaj zdziwienia, co?

Stępień odwróciła się do Daniela i Emilii.

– Chodzi mi o to, że wczoraj wypytywali państwo o tę dziewczynę. Że ona zniknęła tydzień temu. To wszystko stało się tego samego dnia?

– Nie interesuj się – ucięła Kopp. Chwilowo nie planowała wracać do kwestii BiBi. Chciała skupić się na Celinie Krawczyk. – A o tej wyprawie rowerowej Celiny to wiedziałaś, co?

Klementyna nie zamierzała wchodzić w szczegóły. Chciała tylko zobaczyć reakcję kelnerki.

– Jakiej wyprawie rowerowej? – zdziwiła się Stępień.

Kopp pochyliła się w jej stronę. Tak blisko, że niemal się przytulały. Zważywszy na urodę Kariny, to było całkiem znośne.

– Klementyna – rzucił Daniel ostrzegawczo. – Wystarczy.

– Gdybyś była lepszą kłamczuchą, to może nawet bym ci uwierzyła – szepnęła Kopp do Kariny i cofnęła się kilka kroków. Nie będzie przesadzać. Mimo wszystko. Testowanie cierpliwości Podgórskiego było raczej niewskazane, jeśli nie chciała zostać odsunięta od sprawy.

– No dobrze. Wiem o tej wyprawie. Ale tydzień temu nie wiedziałam. Po prostu Karol mi dziś o tym powiedział – wyjaśniła Karina wyniośle. – Że Celinę zamordowano, jak pojechała na wyprawę.

– Ej, co tu się dzieje? – rozległo się od strony zaplecza.

– O wilku mowa – mruknęła Kopp.

Karol Zakrzewski wszedł do sali, niosąc jakiś karton. Za nim szedł wysoki szczupły chłopak z szerokim uśmiechem na ustach. Zapewne dostawca Wojtek Majewski.

– Co wy jej robicie? – zapytał barman. – Nie przesadzacie trochę z tymi przesłuchaniami?

Klienci chyba byli podobnego zdania, bo ktoś sięgnął po telefon i zaczął nagrywać. Kopp westchnęła. Wyszła zza baru.

– Jakby była pani trochę miłsza, tobym powiedziała, co widziałam, jak tam pojechałam do Celiny tydzień temu – rzuciła Karina Stępień. Z satysfakcją osoby, która ma ważne informacje i zastanawia się, czy ich udzielić. – Bo to pewnie by was zainteresowało, skoro ona nie żyje.

SCENA 6

Dworek Weroniki w Lipowie.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 9.45.

Weronika Nowakowska

Weronika czekała, co Wilczyński powie, ale psychiatra zapatrzył się na konie dokazujące w oddali na padoku. Kofi gonił właśnie Lancelota. Kary chciał spokojnie skubać sobie trawę, ale kasztan nie dawał mu spokoju. Podgryzał go i zachęcał do zabawy. W końcu Lancelot wspiał się na tylne nogi – w tej pozycji wyglądał naprawdę imponująco – po czym opadł na ziemię i pogalopował przed siebie. Kofiego nie trzeba było zachęcać. Był młodszy i miał zawiadziacki charakter. Zaraz ruszył za starszym kolegą. Zaczęli gonić się wzdłuż płotu przy akompaniamencie głuchych uderzeń kopyt o trawę.

Weronika przywołała Igora. Nie chciała, żeby plątał się pomiędzy bawiącymi się końmi. To mogło być niebezpieczne. Pies nie wyglądał na zadowolonego. Chyba też chciał pobiegać, mimo że znowu zrobił się upał.

– No więc? – zapytała Weronika. Denerwowało ją, że wszystkie informacje musiała z Grześka wydzierać. Nie mógł jej po prostu powiedzieć?

– No więc tam, gdzie ich wożą, jest *głęboko i nad czymś na literę F* – wreszcie przemówił.

– Głęboko i nad czymś na F? – zdziwiła się Weronika.

– Tak. Coś takiego powiedziała Valentine. Mówiłem ci, że to będzie trudno zrozumieć. Valentine mogła bredzić. Te słowa mogą w ogóle nie mieć sensu, a tym bardziej związku z tymi twoimi Nowymi Horyzontami.

– To nie są moje Nowe Horyzonty – zaperzyła się Weronika. Nie chciała mieć z Janem Kowalskim nic wspólnego. Nawet w żartach.

Grzesiek zaśmiał się głośno.

– Kinga nie wie, co to jest to coś na F. Valentine szepnęła jakieś słowo. Kinga go nie rozumiała. Usłyszała tylko, że zaczynało się na literę F. Potem to był już tylko bełkot. Valentine umierała.

Weronika pogłaskała Igora w zamyśleniu.

– Zamknięty pokój. Numer czterdzieści dziewięć. Wożą ich tam. To jest głęboko i nad czymś na literę F – podsumowała.

Nic z tego nie rozumiała. Bardzo chciała pójść do Wiery i omówić te rewelacje z przyjaciółką. Tymczasem była skazana na Grześka.

Chyba że wymyśli wreszcie, jak się go pozbyć. Skoro przekazał jej już wszystko, najwyższa pora, by się wyniósł. Przerazał ją, mimo że próbowała sobie wmówić, że jest inaczej.

– Mniej więcej tyle przypomniała sobie Kinga – przyznał Wilczyński. Bawił się kucykiem długich kasztanowych włosów.

– Głęboko... – powiedziała Nowakowska do siebie. – Może chodzi o jakąś piwnicę? Jaskinię? Jamę? Norę?

– Ale to coś, co jest głęboko, jednocześnie jest nad czymś na literę F – przypomniał Grzesiek. – Czyli pod tą piwnicą czy norą musiałoby znajdować się coś jeszcze. Jeszcze głębiej. Coś na F.

– Jakież pomieszczenie? Kilka poziomów piwnic? – zastanawiała się na głos. – Jakież podziemia? Nie słyszałam, żeby coś takiego było tu w okolicy. Chociaż jest tu sporo zamków krzyżackich. Może chodzi o któryś z nich?

Grzesiek uśmiechnął się znowu. Tym razem ostrożnie. Jakby uważał, że Weronikę poniosła nieco wyobraźnia. Zaczerwieniła się.

– Choć Kinga przypuszcza, że to coś na literę F to jest raczej jakaś nazwa – przyznał Wilczyński.

Nad czymś na F, nad czymś na F, powtarzała w myślach Weronika, głaszcząc Igora. Skoro miała teraz więcej informacji, postanowiła wrócić do Nowych Horyzontów i podjąć kolejną próbę porozmawiania z Zośką. Może recepcjonistka coś jednak zdecyduje się powiedzieć.

Nad czymś na F. Nad czymś na F.

– Zaraz! – zawołała Weronika. Nagle wpadła na pomysł, o czym mogła mówić Valentine.

SCENA 7

Przed domami Krawczyków i Pawłowskich w Bargowie.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 10.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel wyczołgał się spod samochodu Celiny Krawczyk z niejakim trudem. Otrzepał spodnie i bluzę, ale to niewiele pomogło. Wyglądał, jakby się wytarzał w piasku.

– I co, dodzwoniłaś się? – zapytał Strzałkowską.

Emilia i Klementyna stały kawałek dalej. Strzałkowska nadal trzymała w dłoni telefon. Kiedy on sprawdzał samochód, ona miała zadzwonić do fryzjerki, do której chodziła Celina. Dowiedzieć się, która z klientek naraziła się Celinie i mogła wydrapać obraźliwy napis na aucie zamordowanej.

– Nie, ale wysłałam jej esemesa z pytaniem. A ty co masz?

Podgórski jeszcze raz otrzepał spodnie. Kręciło mu się w głowie. Pewnie z niewyspania i ogólnej frustracji. Poza tym był głodny, a przez to jeszcze bardziej zirytowany. Wyciągnął paczkę papierosów i zapalił.

– Przewody hamulcowe zostały przecięte – poinformował. Zignorował karcące spojrzenie Emilii.

– Czyli to nie była zwykła awaria, jak sądziła Celina i jej rodzice.

Wychodziło na to, że dziś krążyli w tę i z powrotem pomiędzy Brodnicą a Bargowem. Wrócili pod dom Krawczyków, kiedy Karina Stępień ostatecznie zdecydowała się puścić w zapomnienie zachowanie Klementyny i opowiedzieć, co widziała, kiedy przyjechała tydzień temu do Celiny. Nie zdradziła przyczyny kłótni, jednak to, co powiedziała o samochodzie Celiny, nie miało się z prawdą.

Idąc do domu dawnej koleżanki, Karina Stępień zobaczyła mężczyznę wyczołgującego się spod samochodu zaparkowanego obok posesji Krawczyków. Tak jak zrobił to Daniel przed chwilą. Mężczyzna wyglądał na przestraszonego, że został przyłapany. Tak to odebrała kelnerka. Uważała, że miał złe intencje. Wydawało jej się też, że za samochodem chowała się jakaś kobieta. Karina jej nie widziała, ale słyszała damski głos.

– Kelnereczka twierdziła, że facet miał dużą rudą brodę. To pasuje idealnie do mężulka lekarki Pawłowskiej – powiedziała Kopp, wskazując głową strojny dom Pawłowskich. – A przecież pomiędzy Celiną Krawczyk a Chrystianem Pawłowskim był zatarg o płot, o ile dobrze pamiętam, co?

– Jo.

– Trudno jest przeciąć przewody hamulcowe? – zapytała Strzałkowska.

Atmosfera pomiędzy nimi była jakby nieco mniej napięta niż wcześniej. Być może dlatego, że Daniel pomógł Emilii, kiedy prawie zemdląca.

– Nie – powiedział, kręcąc głową. – Raczej nie.

– Chodźmy pogadać z rudzielcem Pawłowskim – zarządziła Klementyna, jakby to ona tu dowodziła. Gdyby jeszcze była w firmie, faktycznie byłaby najwyższą stopniem. Przyzwyczajenie zostawało. – Może jest u siebie.

Na podjeździe przed domem Pawłowskich stał srebrny mercedes klasy E. Świeżo wymyty lśnił w letnim słońcu, a chromowane elementy były w oczy.

– Samochód jest, to może i właściciele w domu. Niezłe auto – pochwaliła Emilia. – Spodobałoby się Leonowi.

Daniel poczuł lekkie ukłucie zazdrości, kiedy wspomniała prokuratora. Leon Gawroński faktycznie gustował w mercedesach. Sam jeździł prawie trzydziestoletnim odrestaurowanym autem tej marki.

Klementyna uśmiechnęła się krzywo.

– Spoko – rzuciła. – Wy tu sobie gadajcie, dzieciaki, a ja idę prowadzić przesłuchanie.

Pomaszerowała do drzwi i zapukała głośno. Podgórski zauważył, że w pokoju na piętrze poruszyła się firanka. Czyli faktycznie ktoś był w domu. Zaciągnął się papierosem po raz ostatni i rzucił niedopałek na ziemię. Pora do pracy.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich rudowłosy mężczyzna z długą, równie płomienną brodą. Widać było, że jest wypielęgnowana przez profesjonalnego barbera. Nic tu nie było przypadkowe. Podgórski dotknął swojego zarostu. Starał się go doprowadzić do porządku, ale jego broda nadal była w nieładzie. Będzie musiał się wziąć za siebie, jak wszystko się uspokoi.

Kiedy Chrystian Pawłowski zobaczył Klementynę, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Grabowski panią przysłał? – zapytał szybko. – Zdecydował się sprzedać Bropol właśnie nam? Cudownie! Patrycja będzie zachwycona, że może zacząć planować tę swoją klinikę. Naprawdę Grabowski się zdecydował?

– Nie wiem, czy pan wie, ale w Bropolu znaleziono wczoraj ciało – poinformowała rzeczowym tonem Emilia, zanim Kopp zdążyła się odezwać. Minęła Daniela i wdrapała się na ganek. Poszedł za nią. – To pańska sąsiadka.

Na twarzy Chrystiana Pawłowskiego pojawił się trudny do zinterpretowania wyraz. Ni to ulga, ni to przestach.

– Celina? W Bropolu? To znaczy słyszałem, że nie żyje. W Bargowie wszyscy o tym mówią. Pan Bernard rozpacza. To znaczy nic dziwnego. Stracił dziecko. My z Patrycją dzieci nie mamy, ale wyobrażam sobie, że musi być mu bardzo ciężko.

Nie, nie wyobrażasz sobie, pomyślał Podgórski. Tego się nie da pojąć, póki to człowieka nie spotka. Daniel odetchnął głębiej. Żaden rodzic nie powinien przeżyć swojego dziecka. Ileż razy słyszał coś takiego. Zrozumiał, dopiero kiedy przytrafiło się to jemu. Kiedy umarła Justynka.

Podgórski spojrzał na Emilię. Jej twarz nawet nie drgnęła, ale był pewien, że pomyślała o tym samym.

– Jesteśmy z wydziału kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy – poinformował Daniel, wyciągając blachę. Skupić się na pracy. To powinien zrobić. – Możemy z panem porozmawiać? Chrystian Pawłowski energicznie pokiwał głową.

– Ależ oczywiście. Choć nie wiem, co mógłbym powiedzieć. Nic nie wiem.

– Czekaj. Stop. A mnie się wydaje, że coś tam jednak wiesz, co? – wtrąciła się Kopp.

Pawłowski rozłożył ręce w geście bezradności.

– Nie wiem, co pani sugeruje. Naprawdę chętnie bym pomógł, ale...

– Ponoć był pomiędzy państwem zatarg – podpowiedział Daniel, kiedy tamten nie dokończył.

Rudowłosy mężczyzna zaśmiał się nerwowo. Przejechał ręką po brodzie, jakby teraz on sprawdzał, czy jest dobrze ułożona.

– Zatarg? – zapytał.

– Podobno poszło o płot – włączyła się do rozmowy Emilia.

Chrystian Pawłowski znowu zaśmiał się nerwowo.

– Aaaa! Ależ to zupełnie głupstwo! – machnął ręką. – Nic ważnego.

Klementyna skrzyżowała wytatuowane ręce na piersi.

– Czekaj. Stop. Wczoraj mówiłeś Grabowskiemu, że byłeś u papugi, żeby się poradzić – powiedziała. – W takim razie to chyba trochę więcej niż tylko mała sprzeczka, co?

Pawłowski po raz kolejny zaśmiał się nerwowo. Skórę miał jasną, ale teraz jeszcze bardziej pobladł. Wyraźnie się denerwował i nie potrafił tego w żaden sposób ukryć.

– Przezorny zawsze ubezpieczony. Tak powtarzał mój ojciec i tego się trzymam. Ale to naprawdę nie było nic strasznego. Po prostu Celina chciała nas zmusić do wyburzenia płotu i przesunięcia go o kawałek. To naprawdę było czepianie się, bo chodziło dosłownie o kilka centymetrów. Ale... Dajmy spokój, to naprawdę nie jest powód, żeby kogokolwiek zabijać. Chyba tego państwo nawet nie sugerują? To nic poważnego. Naprawdę.

– Okej. No dobra. Ale! Chyba to było coś na tyle poważnego, że zepsułeś jej hamulce, co?

Pawłowski aż zbiełał na twarzy. Kontrastowała teraz ostro z ceglastymi włosami i brodą.

– Ja... – Nie dokończył. Wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać.

– Był pan widziany przy samochodzie denatki, jak pan tam coś majstrował. Hamulce są przecięte – zaatakowała Emilia.

– Ja...

– Postanowiłeś wykorzystać okazję, że Celina wybierała się na wycieczkę, co? – dokończyła za Pawłowskiego Kopp. – Wiedziałeś, że następnego dnia na pewno wsiądziesz do samochodu. Odpali, hamulce nie zadziałają i...

Klementyna uderzyła pięścią o otwartą dłoń. Chrystian Pawłowski aż podskoczył przestraszony.

– Ja... ja... – jąkał się. – Ja...

– Tak było? – zapytała ostro Emilia.

Danielowi prawie się zrobiło żal męża lekarki. Zmasowany atak Kopp i Strzałkowskiej to nie było nic przyjemnego. Pawłowski znowu przejechał ręką po wypięlegnowanej brodzie.

– Ja... Celina miała się od razu zorientować, że hamulce nie działają i...

Rudzielec nie dokończył. Podgórski skinął delikatnie głową. Celina Krawczyk rzeczywiście od razu się zorientowała. Zamiast auta wzięła na wyprawę rower. Miała naprawić bmw po powrocie, wtedy też lakiernik miał ukryć wydrapany na drzwiach auta napis: *Pożałujesz suko*.

– Kolega... – dodał Pawłowski – kolega... mi powiedział, że ona mogła ryzykować co najwyżej drobną stłuczkę.

– Czekaj. Stop – przerwała mu Kopp. – Tak dla ścisłości, bo ja lubię konkrety. Ten kolega to Mścisław Grabowski, co?

– Nie... Grabowski nic nie wiedział. Tylko go zapytałem, jak przeciąć hamulce. Nie znam się na tym. On nic nie... – Pawłowski zaczynał wpadać w panikę. – Naprawdę chcieliśmy ją tylko nastraszyć! – krzyknął w końcu.

– Pan i Mścisław Grabowski? – upewnił się Daniel.

– Nie! Grabowski w ogóle nie brał w tym udziału! Przecież mówię, że tylko go zapytałem, jak to zrobić!

– Czyli pan i pańska żona, tak? – uściśliła Emilia. – Świadek zeznał, że była z panem kobieta, kiedy uszkodził pan hamulce. Podobno kryła się za samochodem.

– Moja żona? – pytaniu towarzyszył histeryczny śmiech. – Nie. Nie. Nie. Patrycja też nie ma z tym nic wspólnego. Uszkodzenie hamulców to był akurat pomysł kogoś zupełnie innego. Naprawdę!

Podgórski był skłonny uwierzyć, że Pawłowski faktycznie mówi prawdę.

– Czyj to był w takim razie pomysł?

SCENA 8

Sklep Wiery w Lipowie.

Czwartek, 28 czerwca 2016. Godzina 10.50.

Weronika Nowakowska

No i biorąc pod uwagę, ile tu jest jezior, to wydaje mi się, że to coś na literę F to może być jezioro, a nie jakieś pomieszczenie – zasugerowała Weronika. Wiera przysłuchiwała jej się uważnie. – Skoro Valentine Blue powiedziała pielęgniarce, że to miejsce jest nad F... Nad jakimś jeziorem, które nazywa się na F. To by pasowało, prawda?

– Ja nie jestem do końca pewien – powiedział Grzesiek nadal nieco sceptycznie. – Zamknięty pokój nad jeziorem? Bo ja wiem.

Nowakowska wpadła na ten pomysł nagle, kiedy powtarzała sobie jak mantrę słowa pielęgniarki. Zaczęła recytować nazwy okolicznych jezior. Niestety nie знаła żadnego na literę F. Grzesiek nie był zbyt pomocny. Twierdził, że zna trochę okolicę, ale nie aż tak dobrze.

W końcu Weronika wyciągnęła telefon, żeby poszukać odpowiedzi w Internecie. Niestety to też niewiele dało. Mapa w wyszukiwarce pokazywała tylko nazwy największych jezior, a te Nowakowska znała. Żadne nie zaczynało się na literę F. Ale było tu sporo mniejszych akwenów, jak to na terenach polodowcowych.

Grzesiek zasugerował wtedy, że warto by spytać kogoś z miejscowych. Weronika pomyślała o Danielu, ale odrzuciła chęć zadzwonienia do niego. Przecież obiecała sobie, na razie niezbyt skutecznie, że nie będzie o nim myślała.

Była za to Wiera. Ona na pewno zna nazwy wszystkich okolicznych jezior. I tych większych, i tych mniejszych. A ponieważ Nowakowska i tak chciała się wybrać do sklepikarki, wzięła Igora i poszli z Grzeskiem do sklepu Wiery na piechotę.

Przyjaciółka piła właśnie jeden ze swoich naparów. Nie kaszłała. To był chyba dobry znak.

– Według mnie brzmi to sensownie – zgodziła się z Nowakowską, kiedy Weronika skończyła mówić.

– Pokój nad jeziorem? – upierał się Grzesiek, rozglądając się po sklepie wyraźnie zaintrygowany. Pewnie pierwszy raz widział coś takiego. – To chyba byłby raczej dom, nie pokój.

Wiera zignorowała jego słowa. Rzuciła za to Igorowi kawałek jakiegoś smakołyku. Zawsze chowała coś dla niego pod ladą.

– Tylko że tu chyba nie ma jezior na F – powiedziała Weronika. – To znaczy ja nie kojarzę. Na mapie też nic nie mogłam znaleźć.

– Jak to nie ma, kochanieńka? – zaśmiała się sklepikarka. – Nawet całkiem blisko stąd jest Fuluszek. Tuż obok Zbiczna. Tam jest taki stary gród. Znany z turniejów rycerskich, rekonstrukcji historycznych i tak dalej. Aż dziwne, że jeszcze nie odwiedziłaś. Powinnaś!

– A to ciekawe. Może kiedyś zajrzemy? – zaproponował Grzesiek.

Zajrzemy? Weronika aż zadrżała. Nie miała w planach podróży z Wilczyńskim. I tak był w Lipowie za długo.

– Chociaż nie jestem do końca pewna, czy to jeziorko obok nazywa się Fuluszek, czy tylko gród ma taką nazwę. Może ono jednak nazywa się inaczej?

Wiera poprawiła skołtunione włosy i zakaszłała.

– Są jeszcze jakieś inne na F czy tylko to jedno? – zapytała Weronika.

– No jeszcze przychodzi mi do głowy Forbin – przypomniała sobie przyjaciółka po chwili zastanowienia. – Nieopodal wsi Wielki Głębocek.

– Wielki Głębocek? – powtórzyła Nowakowska.

– No proszę – powiedział psychiatra. – Chyba jesteśmy na tropie.

Najwyraźniej oboje z Wilczyńskim pomyśleli o tym samym. Tylko Wiera wyglądała na zdziwioną.

– Podobno Valentine mówiła, że ten zamknięty pokój jest głęboko – pospieszyła z wyjaśnieniami Nowakowska. Nieco chaotycznie, bo była bardzo podekscytowana. – Może Kinga źle zrozumiała i chodziło właśnie o Głębocek! Skoro blisko jeziora Forbin.

Wiera się ożywiła.

– Tam w Głębocku jest hotel, skoro była mowa o pokoju numer czterdzieści dziewięć – powiedziała. Też zdawała się uradowana, że wszystkie elementy zaczynają się składać w jedną całość. – Może to tam? To luksusowy hotel. Z tych lepszych, co to za noc płaci się tyle, ile niektórzy zarabiają przez pół miesiąca.

– Musimy tam pojechać! – wykrzyknęła Weronika rozemocjonowana.

– Ja zostanę – powiedziała Wiera nieoczekiwanie.

Nowakowska spojrzała na przyjaciółkę zaskoczona. Była pewna, że Wiera podchwyci pomysł. Zawsze była przecież chętna do wszelkich prywatnych śledstw.

– Nadal źle się czujesz? – zapytała Weronika zmartwiona.

– Nie, nie. Znacznie lepiej – zapewniła przyjaciółka.

– To dlaczego nie chcesz jechać?

Wiera zdawała się nieco zakłopotana.

– Po prostu mam coś do zrobienia – powiedziała wymijająco.

Nowakowska spojrzała pytająco, sklepikarka nie uznała jednak za stosowne niczego wyjaśnić.

– No to chyba zostaje ci moje towarzystwo, Weronika – oznajmił Grzesiek z uśmiechem. – Ja chętnie się z tobą tam wybiorę.

SCENA 9

Plebania w Bargowie.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 10.50.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Emilia rozejrzała się po saloniku. Plebania w Bargowie była nowocześnie urządzona. Żadnych bibelotów, wyszywanych serwetek, których by się tu spodziewała. Zamiast tego stał i chromowane powierzchnie. Do tego paleta szarości, czerni i pojedyncze plamy koloru.

– Napiją się państwo czegoś? – zapytała Alicja Sienkiewicz.

O ile meble i wyposażenie salonu odbiegały od stereotypu, o tyle starsza pani jak najbardziej pasowała Strzałkowskiej do roli gospodyni księdza. Siwe włosy kręcone na papiloty, długa spódnica i wyprasowana w kant bluzka. Zimą nosiła pewnie moherowy beret i pasujący do niego płaszcz.

– Nie trzeba – zapewnił Podgórski. – Proszę sobie nie robić kłopotu.

– Ależ to żaden kłopot! Upiekłam ciasto. Może państwo się poczęstują.

– W takim razie chętnie – odparł Daniel.

– Wspaniale.

Alicja Sienkiewicz wyszła z saloniku z uśmiechem zadowolenia na poranej zmarszczkami twarzy. Przypominała Marię Podgórską, która najszcześniejsza była, kiedy mogła kogoś nakarmić. Obie wydawały się całkiem nieszkodliwe. Pozory mogły mylić.

Przyszli na plebanię po rozmowie z Chrystianem Pawłowskim. Mąż lekarki twierdził, że to właśnie Alicja Sienkiewicz towarzyszyła mu przy samochodzie Celiny Krawczyk i że przecięcie hamulców było pomysłem matki księdza. Pawłowskiemu pozostała tylko realizacja.

Jakkolwiek absurdalnie zabrzmiało to stwierdzenie, musieli porozmawiać ze starszą panią. Tym bardziej że i tak planowali przesłuchać zarówno ją, jak i proboszcza. Oboje znaleźli się na liście osób, z którymi Celina Krawczyk miała na pieńku.

– Mój brat nie przyjdzie? – zapytał ksiądz Edward Sienkiewicz.

Rozmawiali o tym w drodze na plebanię. Kopp była oczywiście przeciwna zawiadomianiu Sienkiewicza o czymkolwiek. To zrozumiałe. Przecież uczestniczyła w przesłuchaniach zupełnie nielegalnie. Daniel się zgodził z Klementyną. Powiedział, że poinformują Sienkiewicza potem.

Emilia nie chciała, żeby naczelnik poczuł się urażony, że przesłuchują jego rodzinę bez jego wiedzy. Została przegłosowana, więc nie pozostało jej nic innego, jak tylko mieć nadzieję, że nie będzie afery.

– Na razie porozmawia pan z nami – odpowiedział Daniel wymijająco.

Ksiądz tylko skinął głową. Na oko był starszy od naczelnika, ale podobieństwo od razu rzuciło się w oczy. Ta sama wyprostowana, nieco wojskowa postawa, podłużna twarz i niewielkie usta. Naczelnik golił głowę krótko, ksiądz miał dość bujną, zwłaszcza jak na swoje lata, siwiejącą czuprynę.

– Bardzo proszę! – Alicja Sienkiewicz wróciła do saloniku. Niosła półmisek z murzynkiem.

– Dziękuję – powiedział z zapalem Daniel. Nałożył sobie duży kawałek ciasta i zaczął szybko jeść.

Alicja Sienkiewicz spojrzała zachęcająco na Emilię i Klementynę. Strzałkowska pokręciła głową. W przeciwieństwie do Podgórskiego zupełnie straciła apetyt. Kopp wyjęła z plecaka butelkę coca-coli i zaczęła pić długimi łykami. Nie spojrzała nawet w stronę gospodyni.

– Panie na pewno nie wezmą ani kawałeczka? – zapytała Alicja wyraźnie zawiedziona.

– Mamo, ci państwo są z policji... – zaczął ksiądz Edward.

– To co, na służbie nie można jeść? – przerwała mu matka.

– Chodzi o to, że pewnie chcieliby przejść do rzeczy – odparł spokojnie proboszcz. – Może się mylę?

Odwrócił się i spojrzał na nich z zaciekawieniem. Trzeba było przyznać, że stanowili osobliwą trójkę. Wysoki mężczyzna o zmęczonej twarzy, myszowata pulchna kobieta w nieco przyciasnym mundurze i ogolona na łyso sześćdziesięciolatka pokryta starymi tatuażami.

– Podobno byli państwo skłóceni z Celiną Krawczyk – zagadnęła Emilia.

Daniel zajęty był jedzeniem, więc uznała, że to na niej spoczywa konieczność rozpoczęcia przesłuchania. Obiecała sobie, że podejdzie do tego jak najbardziej profesjonalnie. Jeśli ksiądz Edward i jego matka zadzwonią do naczelnika, żeby się poskarżyć, że zostali przesłuchani, zamierzała zachowywać się tak, żeby jej nie można było nic zarzucić.

– To okropne, co ją spotkało – powiedział proboszcz cicho i przeżegnał się dyskretnie. – Pan Bernard mnie zawiadomił.

– Spoko. Ale! Nie odpowiedziałeś na pytanie – włączyła się Kopp. – Kłóciliście się, co?

Zabrzmiało to nieoczekiwanie ostro. Emilia posłała Klementynie zirytowane spojrzenie. Takie tony były zupełnie niepotrzebne. Zwłaszcza na tym etapie. Nie przeszli jeszcze nawet do rzeczy.

– Cóż, przyznaję się do własnej słabości – odparł ksiądz. – Zdarzało nam się kłócić z panią Celiną. Pewnie państwo Krawczykowie już zdążyli to państwu opowiedzieć, więc nie ma sensu ukrywać. Zresztą wszyscy w parafii o tym wiedzieli. Mieliśmy inne zdanie w kwestiach religijnych i ideologicznych. Nie zawsze udawało nam się utrzymać dyskusję na właściwym poziomie. Jak już mówiłem, winię za to moją własną słabość.

– Spoko. Ale! Generalnie nie ma sensu nic ukrywać, księżulu – mruknęła Klementyna, powtarzając jego słowa. – O ile jej nie zabiłeś, oczywiście. Ty albo twoja mamuśka. Co z tym samochodem Celiny, co?

Alicja Sienkiewicz przeżegnała się szybko na te słowa, ale się nie odezwała.

– Z samochodem? – zdziwił się Edward. – Myślałem, że Celina została zamordowana. Miała wypadek?

– Twoja mamuśka bardzo chciała, żeby miała wypadek – powiedziała Kopp, zanim Emilia zdążyła włączyć się do dyskusji i powstrzymać Klementynę.

– Nie wiem, o czym pani mówi – powiedział ksiądz.

Strzałkowska miała wrażenie, że proboszcz nie kłamie. Czyżby to Chrystian Pawłowski ich oszukał i Alicja Sienkiewicz jednak nie miała z uszkodzeniem hamulców nic wspólnego?

– Doprawdy – warknęła Kopp niezrażona.

– On naprawdę nic nie wie – odezwała się matka księdza z westchnieniem.

Usiadła na kanapie i położyła ręce na kolanach. Zamarła w bezruchu, wyglądała jak rzeźba.

– O czym ty mówisz, mamó? – zapytał proboszcz. Tym razem jego ton był równie ostry jak wcześniej Klementyny.

– Chcieliśmy ją nastraszyć.

– Chcieliście ją nastraszyć? Kto? O czym ty mówisz?!

– Ja z panem Chrystianem – uściśliła Alicja. – Zobaczyłam to w jednym filmie sensacyjnym, co to je lubię czasem obejrzeć w telewizorze. Oczywiście sama nigdy bym nie dała rady tego przeprowadzić. Ciebie nie chciałam prosić, bo wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Nigdy byś czegoś takiego nie zrobił. Raczej nadstawił drugi policzek.

Alicja uśmiechnęła się do syna czule. Proboszcz nie odpowiedział. Miał zaciśnięte usta.

– Tak sobie myślałam, do kogo się z tym zwrócić, i w końcu wymyśliłam, że do pana Chrystiana – podjęła opowieść matka naczelnika. – Poszłam do niego, bo przecież ta cała Krawczyk jemu też zalaża za skórę. Tak jak i nam.

– Mamó... Przecież mogło coś się stać!

Ksiądz Edward był teraz zupełnie blady.

– Ale nic się nie stało – ucięła Alicja Sienkiewicz.

– Przecież pani Celina nie żyje!

– Ale nie przez to, co zrobiliśmy razem z panem Chrystianem. Nie przez te hamulce. Czy może się myłę?

Emilia spojrzała na Alicję Sienkiewicz zaskoczona. Teraz matka księdza mówiła rzeczowo i bez zbędnych emocji. Jakby przestała grać dobrotliwą starszą panią i pokazała swoje prawdziwe oblicze.

– Faktycznie zepsucie hamulca nie miało wpływu na śmierć Celiny Krawczyk – przyznał Daniel, nakładając sobie jeszcze kawałek ciasta.

Strzałkowska zerknęła na niego spod oka. Po miesiącach picia był wychudzony i ubranie na nim wisiało. Jeśli nadal będzie tyle jadł, szybko wróci do swojej dawnej misiwatej postury.

– Całe szczęście – powiedział z wyraźną ulgą ksiądz Edward. Odwrócił się do Alicji. – Mamo, skąd taki pomysł przyszedł ci do głowy? Przecież wszystko można załatwić w dialogu. Rozmową!

– Już mówiłam, że w jednym filmie zobaczyłam. A dialogu z tą diablicą miałam już dosyć. Z nią nie było żadnego dialogu! Sam przed chwilą mówiłeś. Ta Celina to było szatańskie nasienie, a nie kobieta. Siedlisko grzechu.

– Mamo, przestań już...

Alicja machnęła ręką.

– Ty jesteś za dobry, synku. Na nikogo złego słowa nie powiesz. Prędzej na siebie przyjmiesz winę. A ja mówię, jaka była ta diablica.

Proboszcz uśmiechnął się przeproszająco.

– Państwo wybaczą mojej mamie. Bardzo przeżywała, że pani Celina tak nas...

Przerwał, jakby nie potrafił znaleźć dobrego słowa.

– Dręczyła – dokończyła za niego Alicja Sienkiewicz. – Nie bój się tego powiedzieć, synku. Cały czas chciałeś dobrze dla parafii. A ona torpedowała wszystkie projekty. Wszystkie! Była nie do wytrzymania!

Zapadło milczenie. Daniel odsunął talerz i przetarł usta ręką.

– Gdzie państwo byli w zeszłą środę wieczorem? – zapytał.

– Dużą część dnia spędziliśmy w Nowych Horyzontach. W środy zazwyczaj spowiadam tamtejszych mieszkańców – wyjaśnił ksiądz Edward. – Potem wróciliśmy tu na plebanie. To była najzwyczajniejsza środa. Nic szczególnego się nie działo.

– Czekał. Stop. Czyli siedzieliście tu sobie we dwójkę, co? – wtrąciła się Kopp. – Samiuteńcy?

Proboszcz pokiwał głową.

– Tak. Pan Bernard Krawczyk powiedział mi, że Celina zginęła w środę wieczorem, więc pewnie pani sugeruje, że tak naprawdę nie mamy alibi. Możemy z mamą kryć się nawzajem.

Zanim Kopp zdążyła odpowiedzieć, telefon Strzałkowskiej brzęknął głośno. Emilia wyciągnęła komórkę z kieszeni i odblokowała ekran. Miała rację. Dostała wiadomość od fryzjerki, do której chodziła Celina Krawczyk. Odpowiedź na pytanie o nazwisko klientki, która mogła wydrapać obraźliwy napis na samochodzie zamordowanej.

SCENA 10

Dworek Weroniki w Lipowie.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 12.10.

Weronika Nowakowska

Zostawili Wierę w sklepie i wrócili do dworku Weroniki. Przyjaciółka nie chciała jechać do Wielkiego Głębozcka. Nowakowska musiała więc poradzić sobie sama i z wyjazdem, i z pozbyciem się Grześka.

Przez całą drogę powrotną ze sklepu zachowywał się, jakby to było oczywiste, że będzie brał udział w dalszym samodzielnym śledztwie. Trzeba było wybić mu to z głowy jak najszybciej. Weronika nie miała najmniejszej ochoty spędzić z nim reszty dnia.

– Może teraz zadzwonimy po lawetę – zaproponowała, kiedy wspinali się na wzgórze, do dworku. Starła się mówić uprzejmie, ale też dać wyraźną sugestię, że nie chce jego pomocy.

Igor pobiegł przodem. Szli teraz z Grześkiem polną drogą tylko we dwoje. To wcale nie było miłe towarzystwo. Bała się go.

– Jasne, że zadzwonię – zapewnił. – Jak tylko wrócimy z hotelu w Głębozcku.

Nowakowska nabrała powietrza w płuca. Miała dosyć uników i owijania w bawełnę.

– Wołałabym pojechać sama – mruknęła. Szkoda, że nie wyszło to bardziej zdecydowanie, ale dobre i to. – Przyznam, że czuję się trochę niezręcznie.

– Dlaczego? – zdziwił się. Pytanie zabrzmiało niewinnie, jakby nic się między nimi nie stało. Jakby nic jej nie zrobił. Tego było za wiele.

– Grzesiek, przecież wiesz, że... To, co zaszło w Warszawie...

Wilczyński zatrzymał się w pół kroku. Skrzyżował ręce na piersi. Wyglądał na urażonego.

– To ci jakoś nie przeszkadzało zadzwonić do mnie i prosić o przysługę – powiedział oschłym tonem. – Nie przeszkadzało ci też korzystać z informacji, które ci dostarczyłem.

Tak. Miał rację. Niepotrzebnie do niego zadzwoniła, kiedy trwało śledztwo w sprawie czarnych narcyzów. Tylko że wszyscy nalegali. I myślała, że do czegoś się przyda. Niepotrzebnie zadzwoniła do niego teraz. Co prawda bez niego nie uzyskaby ważnych informacji, ale nie powinna była.

– Weronika, ja stałem się zupełnie innym człowiekiem – powiedział. Tym razem bardzo spokojnie, jakby tłumaczył coś małemu dziecku. – Jestem ordynatorem na oddziale w dużym, ważnym szpitalu. Poradziłem sobie z dawnymi demonami. Przeszedłem terapię. Wszystko jest w porządku. Traktujesz mnie tak, jakbym nie zasługiwał na nic więcej tylko na oddawanie ci przysług, kiedy tobie to pasuje. To nie w porządku. Wysyłasz sprzeczne sygnały.

Oczywiście przesadzał, bo Weronika nie kontaktowała się z nim przez długie lata. Zwróciła się do niego dopiero teraz. A on przedstawiał to tak, jakby dzwoniła do niego co tydzień i o coś prosiła. Mimo wszystko poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Może faktycznie potraktowała go zbyt obcesowo.

– Ja... Przepraszam.

Wspięli się na wzgórze w milczeniu. Igor nadbiegł od dworku i zaszczekał, jakby denerwował się, że tak wolno idą. Konie w najlepsze zajadały trawę na padoku. Wszystko było jak zwykle. To Weronikę trochę uspokoiło.

– No ale skoro nie chcesz, żebym z tobą jechał, to nie będę tracił czasu – odezwał się Grzesiek. Nadal wyglądał na zranionego. – Jak już powiedziałem, mam teraz wolne. Wrócę do domu do Świecia. Nadrobię zaległości czytelnicze i tak dalej. Nie muszę tu z tobą siedzieć.

– Dzięki wielkie za pomoc – poczuła się w obowiązku powiedzieć Weronika. Jeżeli oczekiwał, że będzie go zatrzymywała, to się mylił. – Zadzwonimy po mechanika, żeby obejrzał twój samochód,

i potem pojadę.

– Nie trzeba. Naprawdę. Poradzę sobie. Sam zadzwonię po lawetę. Już mówiłem, że mam to wliczone w ubezpieczenie. Ty już jedź. Było miło się spotkać. Dzięki, że mnie przenocowałaś.

Uściskał jej rękę i ruszył do swojego wranglera.

– Tylko zamknij bramę, jak będziesz wyjeżdżał – poprosiła. – Żeby Igor nie wyszedł na drogę.

Pies znowu musiał zostać sam. Wolała nie ryzykować, że nie wpuszczą jej do hotelu.

– Taaa – rzucił Grzesiek i wsiadł do samochodu.

Weronika westchnęła. Znowu ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nie lubiła się kłócić. Czuła jednak ulgę, że wreszcie się go pozbędzie. Wsiadając do swojego liberty, zerknęła jeszcze w stronę auta Wilczyńskiego. Zaczął coś wystukiwać w telefonie. Pewnie wybierał numer ubezpieczyciela. Znowu poczuła ulgę. Jak wróci z Głębozka, to Grześka już tu nie będzie. Cudowna perspektywa.

Przekręciła kluczyk. Cisza. Spróbowała jeszcze raz. Samochód nie odpalał.

– Cholera – mruknęła i uderzyła ręką w kierownicę. – Jakaś epidemia? Nie miałaś kiedy się zepsuć?

Spróbowała po raz kolejny. Nic z tego.

– Cholera!

Zobaczyła kątem oka, że Grzesiek wysiada z wranglera i idzie w jej stronę.

– Wszystko okej? – zapytał, stukając w okno.

Otworzyła drzwi niechętnie.

– Chyba akumulator się wyładował – powiedziała. – Najpierw klimatyzacja. Teraz to. Wszystko jest do wymiany.

– Wygląda na to, że to ty powinnaś skontaktować się z mechanikiem.

– Powinam.

Weronika jeszcze raz przekręciła kluczyk. Nic!

– To może spróbujemy moim? – zaproponował Grzesiek spokojnie.

– Przecież twój też nie odpala. Jakaś plaga.

– Spróbujmy. Może od wczoraj coś się zmieniło.

Nowakowska miała ochotę dodać, że raczej w to wątpi, ale mimo to poszła za Grześkiem do wranglera. Psychiatra wsiadł do auta i przekręcił kluczyk. Silnik zabułgotał gotowy do wyprawy. Weronika spojrzała zaskoczona na Wilczyńskiego. Grzesiek wzruszył ramionami.

– Jak widać, wszystko się może zdarzyć – zażartował chłodno. – To co? Jedziemy moim?

Weronika walczyła ze sobą. Mogła oczywiście zadzwonić do mechanika. Naładowałby jej akumulator albo zrobił co tam było trzeba. Tylko że wtedy musiałyby poczekać z wyprawą do Głębozka do jutra.

Westchnęła. Cierpliwość nie należała do jej najmocniejszych stron. Naprawdę chciała się przekonać, czy nowy trop coś przyniesie. Dlatego postanowiła zignorować dziwny uśmiech na twarzy Grześka i wsiadła do jego samochodu.

SCENA 11

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 12.10.

Klementyna Kopp

No i znowu byli w klubokawiarni. Kopp rozejrzała się po gabinecie Lecha Kołodziej. Może i nie była estetką. Ale! Głowy wypchanych zwierząt raczej straszyły, niż dodawały temu miejscu uroku. Zdawały się wodzić za człowiekiem oczami. Trochę jej się to kojarzyło z domem rodzinnym w Złocinach i galerią obrazów w korytarzu. Odegnęła szybko te myśli. Nie tęskniła za Drozdami. Ani trochę. Wystarczyło, że musiała tam wrócić podczas śledztwa w sprawie domu czwartego. Nie skończyło się to najlepiej. Wołała trzymać się Brodnicy.

– Znała pani Celinę Krawczyk? – zapytał Daniel.

Klementyna spojrzała na Danutę Kołodziej. Tym razem przyjechali tu specjalnie dla niej. Fryzjerka Celiny napisała do mysiej policjantki esemesa z wiadomością, że to żonka restauratora była klientką, z którą pokłóciła się Krawczyk. I to ona prawdopodobnie wydrapała denatce przyjemny napisik na samochodzie. *Pożałujesz suko*. Bardzo ciekawe. Zwłaszcza w obliczu tego, co się stało potem z Celiną.

Danuta Kołodziej odwzajemniła spojrzenie Kopp. Z jej twarzy trudno było wyczytać jakieś emocje. Była zupełnie nieruchoma od wypełniaczy, botoksów i innych odmładzających wymysłów.

– Nie kojarzę – poinformowała gładko.

Nadal mówiła piskliwym falsetem, jak małolata.

– Świadek twierdzi, że byliście panie klientkami tego samego salonu fryzjerskiego – wtrąciła się Emilia. Znowu nie wyglądała dobrze. Choć lepiej niż podczas przesłuchiwania barmana w magazynku.
– To prawda?

– Możliwe – przyznała Kołodziejowa spokojnie. – Teraz, jak o tym myślę, to zdaje mi się, że to żona jednego z pracowników mojego męża. Karola Zakrzewskiego. Naszego barmana.

– To ta, która została zabita? – zapytał Lech Kołodziej. Uparł się, że będzie towarzyszyć żonce w przesłuchaniu. – Karol mi coś wspomniał. Prosił o wolne, żeby pojechać do dzieciaka.

Restaurator mówił takim tonem, jakby chodziło o zwykłą niedogodność, a nie o czyjąś śmierć.

– Tak, to ta – potwierdził Daniel.

Danuta Kołodziej rozsiadła się wygodniej w skórzanym fotelu stojącym obok biurka. Nie wyglądała na w najmniejszym stopniu poruszoną całą sytuacją. Siedziała rozparta w fotelu jak królowa. Kopp uznała więc, że trzeba co nieco podkręcić atmosferę i sprawdzić, jak to wpłynie na wybotkowaną. Może zmusi ją do jakiejś reakcji. Czas więc było na drobniutki blef. Oby tylko dwójka młodych niczego nie prostowała.

– Okej. No dobra. Ale! Przejdźmy do konkretów – powiedziała Kopp. – Świadek widział, jak wydrapałaś na samochodzie Celiny Krawczyk bardzo uroczy napisik. O ile dobrze pamiętam, to było *Pożałujesz, suko*. Mam rację, co?

Fryzjerka powiedziała tylko, że to możliwe. Niczego nie widziała. Ale! To był drobny szczegół. Danuta nie odpowiedziała.

– A nie, przepraszam, tam nie było przecinka – dodała Klementyna ze słodkim uśmiechem. Całe szczęście młodzi mieli na tyle rozumu w głowie, żeby nie interweniować.

– Niczego nie wydrapałam – odparła Kołodziejowa. Równie spokojnie jak wcześniej. Żadnych nerwowych ruchów.

– Jesteś zupełnie pewna, co?

– Najzupełniej.

– Dlaczego moja żona miałaby robić coś takiego? – zapytał Lech Kołodziej z wyrazem pogardy na twarzy. – Danusia nie zniżyłaby się do poziomu jakiejś ulicznicy.

Kopp spojrzała znowu na Danutę. Kobieta poprawiła burzę kasztanowych włosów i znowu odwzajemniła jej spojrzenie. Jakby rzucała wyzwanie. Klementyna pokiwała głową. Była pewna, że Kołodziejowa byłaby zdolna nie tylko do wydrapania napisu, ale także do morderstwa. To baba z krwi i kości, nie delikatna kobietka.

– Zaczniemy może od początku – zaproponowała Strzałkowska. – Świadek zeznał, że pańska żona i Celina Krawczyk pokłóciły się o termin u fryzjera. To prawda?

Lech Kołodziej spojrzał pytająco na żonę.

– Mogło tak być – odparła Danuta.

– Pani dostała ten termin, a Celina podrapała pani samochód ze złości, tak? – pytała dalej mysia policjantka.

– A Danuśka odplaciła jej tym samym – wtrąciła się Kopp szybko.

– To śmieszne – obruszył się Lech Kołodziej. – Już mówiłem, że moja żona nie zniżyłaby się do czegoś takiego.

– Ale potwierdzają państwo, że państwa samochód jest u lakiernika? – zapytał Daniel. – Zdaje się, że nawet wspominał pan o tym wczoraj. Że musicie jeździć autem zastępczym.

Kołodziejowa założyła nogę na nogę. Teraz całą swoją uwagę skupiła na Danielu. Chyba próbowała być zalotna. Klementyna uśmiechnęła się pod nosem. Danuśka nie wiedziała, że Podgórski miał dwie baby na głowie. Kopp wątpiła, żeby obecnie zwracał uwagę na jakąkolwiek inną.

– Nawet jeżeli ona podrapała mi auto, to nie znaczy, że ja podrapałam jej – skonstatowała Danuta w końcu. – Fryzjerka mówiła mi, że Celina to furiatka. Nigdy bym nie wchodziła w zatarg z kimś takim. Po co sobie robić problemy?

– Czyli nic pani nie zrobiła? – zapytał sceptycznie Podgórski. – Nie zażądała pani nawet zwrotu kosztów naprawy?

Kołodziejowa zaśmiała się i zatoczyła ręką po pomieszczeniu.

– Panie Danielu... bo dobrze pamiętam imię, prawda? – upewniła się.

– Jo.

– Panie Danielu, czy my wyglądamy na ludzi, których nie stać na drobną naprawę lakierniczą? Mój mąż jest właścicielem sieci restauracji. Gdybym miała wyklócać się z tą Krawczyk o kilka złotych, tobym więcej nerwów sobie napsuła niż to warto. Postanowiłam, że nic nie zrobię. A już zdecydowanie niczego jej na samochodzie nie wydrapałam.

– Karol ciągle narzeka, że chciała mu odebrać dziecko – powiedział Lech Kołodziej. – Jeżeli to prawda, że była taka kłótniwa, to na pewno macie w kim wybierać. Każdy mógł wydrapać napis na jej samochodzie.

Klementyna zaśmiała się głośno. Teraz pora na kolejny blef.

– Spoko. Ale! Mamy dowód, że to zrobiła twoja żonka.

– Doprawdy. – Teraz zaśmiała się Danuta. – A ja myślę, że niczego nie macie. Żadnego dowodu. Zupełnie nic.

– Bo co? Zabdałaś o to, żebyśmy nie mieli nic, co? – zapytała Kopp, porzucając blefowanie. To nie była dobra taktyka w przypadku tej kobiety.

– Niczego nikomu nigdy na niczym nie wydrapałam. – Danuta Kołodziej cedziła powoli słowa, bawiąc się kasztanowym lokiem. – Rozumiemy się?

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział Lech Kołodziej.

Do środka zajrzał wysoki uśmiechnięty chłopak. Dostawca towarów. Wojtek Majewski, o ile Kopp dobrze pamiętała nazwisko.

– O, przepraszam, szefie. Myślałem, że państwo już pojechali.

– Pojechaliśmy, wróciliśmy i tak znowu – mruknęła Kopp. – W koło Macieju.

Wojtek popatrzył na nią nieco speszony.

– No tak... To wrócę później.

– Żywopłot w ogródku przycięty? – zapytał Lech Kołodziej nieoczekiwanie ostro, jakby nagle zapomniał o udawaniu razem z żonką spokoju ducha.

– No nie – przyznał Majewski.

Kołodziej wstał zza biurka i skrzyżował ręce na piersi.

– Nie? – jego głos aż ociekał żółcią.

Wojtek jakby skulił się w sobie.

– Nie, bo robotnicy jeszcze nie zabrali gruzu i...

Klementyna, Daniel i Emilia wymienili spojrzenia.

– Nie obchodzi mnie to, cholera jasna! – warknął Lech Kołodziej, zupełnie nie zwracając uwagi na ich obecność w gabinecie. – Czy wy nie rozumiecie jeden z drugim, że ten ogródek ma służyć klientom? Jeżeli nie zaczniemy działać sprawniej, to to się nigdy nie uda. A ja bardzo, ale to bardzo nie lubię źle zainwestowanych pieniędzy. Bardzo. Nie zamierzam pozwolić, żeby ta klubokawiarnia była straconą inwestycją. Rozumiemy się?

– Tak, szefie...

– Dobrze. Tak więc zarówno ty, jak Karol i Karina będziecie pracować zdecydowanie bardziej efektywnie. Zrozumiano?

– Tak...

– Powtórzysz im to w tej chwili.

– Oczywiście.

– To na co jeszcze czekasz, jeśli mogę wiedzieć?

Wojtek Majewski wycofał się z gabinetu. Zamknął drzwi ostrożnie, jakby nie chciał wydać przy tym najmniejszego odgłosu, żeby nie prowokować Kołodzieja do dalszego wybuchu. Restaurator poprawił rzadkie włosy. Był teraz cały czerwony na twarzy.

– No – powiedział.

– Kochanie, nie denerwuj się tak – poradziła Danuta. – Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Lech poczerwieniał jeszcze bardziej. Kopp nie była pewna, czy Kołodziejowa zrobiła to celowo, czy tak wyszło przez przypadek. W końcu uspokajanie zdenerwowanej osoby słowami *Tylko spokojnie* najczęściej przynosiło odwrotny skutek.

– Taki jeden z drugim myśli, że sobie tu będzie balować – warknął restaurator.

Jakiegolwiek były intencje Danuśki, mąż jeszcze bardziej się rozjuszył. Wstał i podszedł do kotary z boku pomieszczenia. Odsunął ją gwałtownie, odsłaniając drzwi. Przekreślił klucz i otworzył. W gabinecie zrobiło się jasno.

– Jeden chce wolne na dziecko, drugi chce wolne na coś tam, trzecia ma jakieś spotkania czy inne cuda – powiedział, wyglądając do ogródka. – Jak to wygląda! Wszystko zarośnięte! Jeżeli chcą mieć pracę, to muszą się przyłożyć. Ja się nigdy nie objąłem i dlatego jestem tu, gdzie jestem. Nie akceptuję ludzi, którzy nie wykonują dobrze swojej pracy. Po prostu nie akceptuję.

Lech Kołodziej oddychał głośno.

– Czy oni są na tyle głupi, że naprawdę nie rozumieją? – dodał jeszcze. – Musimy uporządkować ten ogródek jak najszybciej. Klienci nie chcą się kisić w zamkniętych podziemiach, kiedy na dworze jest lato. Główna sala jest dobra na jesień i zimę. Normalnie ich wszystkich pozabijam, jak tak dalej pójdzie. Pozabijam.

SCENA 12

Lipowo.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 13.50.

Weronika Nowakowska

Grzesiek zakończył połączenie i odłożył telefon. W końcu, pomyślała Weronika z rosnącą irytacją. Kiedy zdecydowała się pojechać z Wilczyńskim do Głębozka, miała nadzieję, że załatwią to szybko i będzie po wszystkim. I tak przecież nie była pewna, czy robi dobrze, korzystając z jego pomocy.

Tymczasem psychiatra musiał udzielać kolejnych telefonicznych konsultacji. Trwały tak długo, że Weronika zdążyła nakarmić konie i sama coś szybko przekąsić. Grzesiek nadal gadał. W tym czasie zdążyłaby zadzwonić do mechanika, żeby wpadł i obejrzał jej samochód! Tyle że wydawało się, że Wilczyński już kończy rozmowę. Cholera.

– Przepraszam, że tak długo to trwało – powiedział, kiedy wsiedli do jego samochodu. – Teraz już naprawę jedziemy i działamy. Po prostu...

Wyjechali z polnej drogi na szosę.

– Tak, wiem – przerwała mu Weronika. – Masz wolne, ale nie mogą sobie poradzić bez ciebie na oddziale.

Grzesiek się zaśmiał.

– Mniej więcej. Puścimy sobie jakąś muzykę?

Zanim Weronika zdążyła odpowiedzieć, Wilczyński włączył radio. Zabrzmiały pierwsze takty *I Don't Want to Miss a Thing*.

– Lubisz jeszcze Aerosmith? – zapytał z uśmiechem.

Owszem. Lubiała. Ale nie zamierzała się do tego przyznawać. Nie dlatego, że się wstydziła. Zwyczajnie nie czuła się komfortowo z tym, że Wilczyński tak dużo o niej wiedział.

– Włączę nawigację w telefonie – zaproponowała zamiast odpowiedzi. – Mniej więcej wiem, gdzie jechać, ale...

– Nie potrzeba. Włączę swoją.

Weronika wzruszyła ramionami. Niech robi, jak chce.

– To naprawdę blisko stąd – poinformował Grzesiek, naciskając na kolejne przyciski. – Mapa pokazuje dziesięć kilometrów.

– Wiem – mruknęła Weronika oschłym tonem.

– W porządku – odparł z pewną rezerwą.

Znów ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że tak go nieuprzejmie traktuje. Przecież Grzesiek chciał jej pomagać. Minęło sporo lat, odkąd... Odkąd zrobił to, co zrobił. Może naprawdę był już zupełnie inną osobą, tak jak się zarzekał przed chwilą. Może wtedy go poniosło? Może ona jak zwykle przesadzała?

Spotykali się jakiś czas w Warszawie. Weronika była wtedy na drugim roku psychologii. On, świeżo upieczony doktor psychiatrii, prowadził jedno z warsztatów. Imponował jej wiedzą, ale też rockowym, niewymuszonym sznytem. Szczerze mówiąc, większość studentek się w nim podkochiwała. Doktor Wilczyński to, doktor Wilczyński tamto – rozmowy cały czas kręciły się wokół niego. Ale zwrócił uwagę właśnie na nią. Ależ Weronika była szczęśliwa!

– Mogę otworzyć okno? – zapytała.

Na samo wspomnienie zrobiło jej się gorąco. Niepotrzebnie w ogóle sobie to wszystko przypominała.

– Jasne. Mogę też włączyć klimatyzację – zapewnił usłużnie Grzesiek. – Jak wolisz?

Weronika zaśmiała się nerwowo i uchyliła szybę.

– Nie trzeba. Chciałabym poczuć wiatr na twarzy.

Minęli sklep Wiery. Nowakowska zauważyła, że przyjaciółka właśnie zamyka drzwi. Wybierała się gdzieś. Weronika pochyliła się lekko, żeby w bocznym lusterku widzieć Wierę jeszcze przez chwilę. Może uda się dostrzec, w którą stronę sklepikarka poszła.

Nagle Nowakowska zobaczyła, że pod sklep podjeżdża srebrny samochód. Wyjechał z za budynku ochotniczej straży pożarnej. Wiera wsiadła do środka. Kiedy powiedziała, że nie chce jechać z Weroniką do Głębozka, Nowakowska spodziewała się, że przyjaciółka pójdzie do lasu zbierać zioła albo robić to, co tam w leśnym gąszczu zazwyczaj robiła. Ale wyjazd? Gdzie jechała? Z kim? Dlaczego to ukrywała?

SCENA 13

Dom Harolda Dębowskiego.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 13.15.

Aspirant Daniel Podgórski

Po niezbyt owocnej wizycie w klubokawiarni Strzałkowska chciała wracać na komendę, żeby tam omówić dalszy plan działania. Kopp ze zrozumiałych przyczyn była temu przeciwna. Pomędzy kobietami nastąpiło drobne spięcie. Podgórski wziął więc sprawy w swoje ręce. Zarządził, że pojedą do McDonalda na Sądowej coś zjeść i tam zdecydują, co dalej. To wydawało się idealnym rozwiązaniem. Tym bardziej że mimo ciasta zjedzonego na plebanii w Bargowie nadal był strasznie głodny.

W restauracji szybko pochłonął podwójną porcję frytek i BigMaca. Kopp jak zwykle sączyła coca-colę. Emilia siedziała przy stoliku z nienaturalnie wyprostowanymi plecami. Znowu jakby kij połknęła. Nie zamówiła niczego. Rozmowa niezbyt się kleiła. Udało im się jednak ustalić, że nadszedł moment, żeby porozmawiać z Haroldem Dębowskim. Zamknęli wszystkie wątki, które wynikły dzisiaj. Mogli wrócić do tego, co było wczoraj.

Berenika Borkowska nadal nie dawała znaku życia. Mieli za to trupa Celiny Krawczyk w opuszczonym ośrodku Bropol i bransoletkę BiBi przy bramie. Znali też treść esemesa, którego Berenika wysłała rano do Harolda Dębowskiego, pracodawcy Celiny. Wiadomość dotyczyła jakiegoś Jana, ale nie mogli przecież wykluczyć, że ta dwójka rozmawiała na spotkaniu również o czymś innym. O pozbyciu się Celiny na przykład. Nie wydawało się to wcale nierealne. Przecież rodzice Krawczyk zeznali, że w ostatnim czasie relacje ich córki z szefem, początkowo bardzo przyjazne, uległy znacznemu pogorszeniu.

I dlatego po posiłku pojechali do rezydencji Dębowskich. Harold i jego rodzina mieszkali na północnych obrzeżach miasta. Z McDonalda nie było tam daleko.

– Przepraszam za bałagan – powiedział tubalnym głosem Harold.

Wprowadził ich przez hol do obszernego salonu. Dokoła stały walizki. Chyba to miał na myśli, mówiąc o bałaganie, bo poza tym wszędzie panowała wzorowa wręcz czystość i porządek.

– Żona i córka wyjeżdżają na wakacje – wyjaśnił Dębowski. – Niedaleko, bo tylko do Głębozka. Ale bagaże i tak muszą być. I to całe tony. Nie wiem, jak zmieścimy się z nimi w samochodzie. Za każdym razem muszę stawać na głowie.

Harold zaśmiał się cicho. Był nieco niższy od Daniela, ale za to zdecydowanie chudszy. I bardziej elegancko ubrany. Podgórski otrzepał spodnie. Daremny trud. Ślady czołgania się pod samochodem Celiny Krawczyk nadal były doskonale widoczne na czarnych bojówkach.

– Domyślam się, że przyjechali państwo w sprawie Celinki – mówił dalej Harold. – Pan Bernard do mnie zadzwonił z wieściami. To naprawdę straszne!

Dębowski zaprosił ich gestem, żeby usiedli na kanapie w salonie. Sam podszedł do sekretarzyka stojącego z boku i sięgnął do ozdobnego pudełka z chusteczkami. Wyciągnął jedną i głośno wytarł nos. Takie zachowanie niezbyt pasowało do jego eleganckiego ubrania i domu. Być może naprawdę przeżywał to, co się stało, i dlatego się nie kontrolował. Albo, zastanawiał się Daniel, może Harold udawał, że przeżywa, i dlatego jego gesty były przesadzone.

– Najpierw mój ojciec, a teraz ona – powiedział Dębowski, jeszcze raz wydmuchując nos.

– Pański ojciec? – zapytał Daniel.

– Zmarł. Pogrzeb był dwa tygodnie temu.

– Spoko. Wielka szkoda i tak dalej. Ale! Może wróćmy do tematu, co? – wtrąciła się Kopp. Jak zwykle za nic miała wszelkie konwenanse. – Ciało Celiny znalazłam w Bropolu. W ośrodku, który tak

bardzo chciałeś wczoraj kupić. Ty i rodzice tamtej małolaty, co to wygląda jak tancerka z burleski. Tej Doris. Chcieliście zdaje się przerobić Bropol na makabryczny park rozrywki. Nie myślę się, co?

Harold Dębowski pokręcił głową.

– Nie chodzi o makabryczny park rozrywki, tylko...

– Mniejsza o to – przerwała mu Klementyna, machając niecierpliwie ręką. Jako jedyna nie usiadła, tylko przechadzała się po salonie wolnym krokiem. – Ważniejsze, że Celina została znaleziona właśnie tam.

– A czy to ma jakieś znaczenie gdzie? – zapytał Harold. Znowu wytarł głośno nos. – Celinka nie żyje. Nic jej nie wróci.

– Wszystko ma jakieś znaczenie – odezwała się Emilia.

Dębowski się zastanowił.

– Pewnie ma pani rację. Cóż... Celinka uwielbiała takie miejsca. Wprost uwielbiała – niemal przeliterował ostatnie słowo. – Była zachwycona, że razem z Sawickimi chcemy zainwestować w ośrodek. To były jej klimaty. Ciągle zwiedzała jakieś opuszczone domy i tak dalej.

– Podobno był pan jedną z nielicznych osób, z którymi potrafiła się dogadać – powiedział Daniel. Było to wkurzające, ale znowu był głodny. Burczało mu w brzuchu. I bardzo chciało mu się palić. Próbował się skupić na przesłuchaniu, ale nie było łatwo.

– Celinka była bardzo wrażliwą osobą. Nie wszyscy to rozumieli i potrafili dostrzec. Źle ją odbierali.

Harold był pierwszą osobą, która pozytywnie wypowiadała się o Celinie Krawczyk. Wszyscy pozostali podkreślali, jak trudny miała charakter. Co to mogło oznaczać? Czyżby Dębowski jako jedyny naprawdę ją znał? A może bał się mówić o niej źle, żeby nie uznali go za podejrzanego? Podgórski nie mógł go na razie rozszyfrować.

Klementyna prychnęła głośno.

– Może odbierali ją jako sukę, co? – zapytała.

Harold skrzywił się na to określenie.

– Może. Ale ona taka wcale nie była – zapewnił gorąco. – Nie znam nikogo bardziej empatycznego niż Celinka. To znaczy... nie znałem. To straszne. To naprawdę straszne, że jej już nie ma...

Dębowski znowu sięgnął po chusteczkę i otarł nią spływające po policzkach łzy. Nie wyglądał na ani trochę zakłopotanego tym, że płacze. Grał czy taki miał charakter?

– Jak blisko byli państwo ze sobą? – zapytała Emilia cicho.

Gdzieś u góry rozległy się głosy dwóch kobiet. Zapewne żony i córki Dębowskiego. Jeżeli Strzałkowska chciała zapytać, czy Harold miał romans ze swoją asystentką, to wybrała najgorszy możliwy moment.

Po chwili faktycznie zastukały obcasy na posadzce i zaszurały kolejne walizki. W holu pojawiła się przeraźliwie chuda nastolatka w wysokich szpilkach. Towarzyszyła jej krótkowłosa kobieta w letnim lnianym garniturze.

– Jowita Dębowska – przedstawiła się starsza.

– Państwo są z policji – wyjaśnił Harold. – Przyszli zapytać o Celinę.

Tym razem nie zdrobnił imienia. Daniel spojrzał na Emilię. Zmarszczyła brwi. Najwyraźniej również zwróciła na to uwagę. A może tylko znowu była wściekła na Podgórskiego. Obie możliwości były równie prawdopodobne.

– Och, to naprawdę straszne, co się stało – powiedziała Jowita Dębowska. – Aż strach pomyśleć!

– Naprawdę ją zamordowali? – zapytała nastolatka.

– To Renata – przedstawił córkę Harold.

Nie byli do siebie ani trochę podobni. Może tylko o tyle, że oboje byli aż nazbyt szczupli. Podgórski znowu pomyślał o Justynce. Jaka byłaby jego córka, gdyby dane jej było dożyć pełnoletności? Podobna do niego czy do Emilii? A może zupełnie inna?

– Naprawdę ją zamordowali? – powtórzyła nastolatka.

– Tak, niestety to prawda – przyznał Harold.

– Długo to przesłuchanie potrwa? – zapytała Jowita i zaraz uśmiechnęła się przeproszająco. – To znaczy nie chciałam, żeby tak bezceremonialnie to zabrzmiało. Przepraszam. Źle się wyraziłam. Po prostu mieliśmy już wychodzić i nie wiem, jak to wszystko zaplanować.

– Postaramy się załatwić sprawę szybko – obiecał Daniel.

– To pójdziemy na górę dopakować kilka rzeczy – zarządziła pani domu. – Chodź, Renata, nie będziemy państwu przeszkadzać.

Poszły na górę przy akompaniamencie stukania szpilek nastolatki.

– One naprawdę jadą do Głębozca? – Daniel nie mógł się powstrzymać przed tym pytaniem. Ilość bagażu była doprawdy oszałamiająca jak na wyprawę piętnaście kilometrów od domu.

Harold pokiwał głową.

– Tak. Tam jest spa – powiedział w formie wyjaśnienia. – Zostaną kilka dni. Wynajęłam dla nich apartament w Vine Resort and SPA. Mam nadzieję, że będą zadowolone. Za granicę jedziemy dopiero pod koniec miesiąca.

– No więc jak blisko pan był z Celiną? – powtórzyła pytanie Emilia. Mimo że głosy Jowity i Renaty nadal było słyhać z góry.

Być może stały gdzieś przy schodach i podsłuchiwały. Elegancja elegancją, ale ciekawość jest uczuciem uniwersalnym. Zwłaszcza jeśli Jowita podejrzewała, że mąż ją zdradza z asystentką. Albo jeśli pomagała mu się jej pozbyć, przebiegło Podgórskiemu przez myśl. Tylko jeżeli tak, to jaka była w tym wszystkim rola Bereniki Borkowskiej? O jej bransoletce przy bramie opuszczonego ośrodka nie można było przecież zapomnieć.

– Przyjaźniliśmy się – powiedział zwięźle Harold. Po raz pierwszy nieco mniej tubalnie.

– Było coś więcej? – nie ustępowała Strzałkowska.

– Ależ nie! – zaprzeczył natychmiast Dębowski. – Przyjaźniliśmy się.

– Przyjaźniliśmy się, przyjaźniliśmy się – zaczęła go przedrzeźniać Klementyna. Podeszła do kanapy i usiadła ciężko. – Spoko. Ale! Podobno ostatnio z tą przyjaźnią nie było już tak dobrze, co? O co wam poszło?

Harold znowu wytarł nos w chusteczkę.

– Nie zgadzaliśmy się w sprawie wspierania Nowych Horyzontów – przyznał od razu. – Celinka uważała, że daję tam za dużo pieniędzy. Jestem jednym ze sponsorów. Ale podejrzewałem, że chodziło raczej o tego księdza, który tam spowiada, a nie o moje datki.

– O Edwarda Sienkiewicza? – upewnił się Podgórski. – Proboszcza z Bargowa?

Wcześniej czy później trzeba będzie poinformować naczelnika, że przesłuchali jego rodzinę. W tej kwestii Emilia zdecydowanie miała rację. Jeśli dotychczas Sienkiewicz nie zadzwonił, to o dziwo albo nie miał nic przeciwko temu, co zrobili, albo brat i matka nie poinformowali go jeszcze o przesłuchaniu. Obie możliwości wydawały się dosyć zaskakujące.

– Tak. O niego. Celinka nie za bardzo go lubiła. Ksiądz Edward zaczął spowiadać w Nowych Horyzontach i wtedy ona zaczęła mieć wątpliwości, czy to dobrze, że wspieram Jana i inwestuję w to miejsce. Wcześniej nie wyrażała takich obiekcji. Dlatego podejrzewam, że to o to chodziło. Ten ksiądz mieszka w tej samej miejscowości co Celinka. W Bargowie. Nie lubili się. Ja z kolei nie zamierzałem rezygnować z mojej działalności charytatywnej tylko dlatego, że Celinka nie lubiła człowieka, który też Nowe Horyzonty na swój własny sposób wspomagał. Uznałem, że to przesada. Dochodziło pomiędzy nami do sporów na tym tle. Jeśli mam być szczery, to cieszyłem się, że Celinka wyjedzie i trochę ochłonie. I że ja też będę miał okazję się uspokoić. Nie chciałem, żeby nasza przyjaźń ucierpiała. Nie spodziewałem się, że coś jej się stanie. – Po policzkach Harolda spłynęły łzy. – To naprawdę straszne – dodał płaczliwie. – Naprawdę nie wyobrażam sobie, co ja teraz zrobię. Bardzo się przyjaźniliśmy.

– Wspomniał pan o Janie – zagaiła Emilia. Pewnie chciała podpytać trochę o esemesa od Bereniki Borkowskiej.

– Tak. Jan Kowalski. Właściciel Nowych Horyzontów. Może nie właściciel... Nie wiem, jak to nazwać. On uważa to miejsce za wspólnotę i bardzo nie lubi, kiedy ktoś go nazywa właścicielem. Więc

może lepiej powiedzieć zarządca albo lider.

– Przyszliśmy tu do pana porozmawiać nie tylko o Celinie – kontynuowała Strzałkowska, kiwając głową.

– A o czym jeszcze? – zdziwił się Harold Dębowski.

Albo się Danielowi zdawało, albo na piętrze zapadła nagle cisza. Być może Jowita i Renata naprawdę podsłuchiwały, co dzieje się w salonie, i teraz nie chciały uronić ani słowa.

– Chodzi o niejaką Berenikę Borkowską – poinformowała Emilia. – Niektórzy nazywali ją BiBi. Zna ją pan?

Harold spojrzął na policjantkę zdziwiony.

– Znam ją. Dlaczego pani o nią pyta?

– Skąd pan ją zna? – włączył się do rozmowy Daniel.

– Chodzi... to znaczy chodziła do klasy z moją Renatą. Bo dziewczyny są już po maturze – uściślił Harold. – Ależ ten czas leci. Poza tym Berenika jest wolontariuszką w Nowych Horyzontach. Chciałem namówić na to Renatę, ale nie zdecydowała się. Mówi, że bezdomni nie są dla niej. Berenika za to pomagała z dużym zapalem. Ale dlaczego chcą państwo rozmawiać właśnie o niej?

– Berenika Borkowska napisała do pana esemesa. W środę tydzień temu – ciągnęła Strzałkowska. Wyciągnęła notes. – Przeczytam treść tej wiadomości, żeby trochę odświeżyć panu pamięć: *Mogłabym do pana wpaść? Chciałabym porozmawiać o jednej sprawie. Chodzi o Jana. Esemes wysłany o dziesiątej czternaście. W środę dwudziestego lipca dwa tysiące szesnaście. Pamięta pan?*

Harold pokiwał głową.

– Pan odpisał, żeby przyszła w południe.

– Tak. Faktycznie. Ale co to ma do rzeczy?

Dębowski wydawał się naprawdę zdziwiony.

– Czy esemes dotyczył właśnie Jana Kowalskiego z Nowych Horyzontów? – zapytał Podgórski. Naprawdę bardzo chciało mu się palić. I jeść. I jak najszybciej pragnął stąd wyjść.

– Tak.

– A konkretnie?

Harold przetarł oczy. Przez chwilę nic nie mówił. Czekali. Danielowi znowu zaburzało w brzuchu. Miał nadzieję, że nie było tego słychać.

– Berenika chciała kupić prezent dla Jana – powiedział w końcu Dębowski. – Bardzo go lubiła. Chciała mu zrobić niespodziankę. Jan ma urodziny na początku sierpnia.

– Spoko. Wszystko świetnie. Ale! Dlaczego chciała rozmawiać o tym z tobą, co?

Harold spojrzął na Kopp. Znowu nie odpowiedział od razu. Jakby potrzebował czasu do namysłu.

– Po prostu nie wiedziała, co mu kupić – wyjaśnił po chwili. – Jan jest skryty. Jesteśmy w podobnym wieku. To z tego wynikało. Myślała, że jej doradzę, bo go lepiej rozumiem niż ona.

Kopp uśmiechnęła się krzywo.

– Spoko. Ale! Z tego, co wiemy, BiBi była związana z facetem w twoim wieku. Dlaczego akurat napisała do ciebie? Nie mogła spytać jego, co?

– Podejrzewam, że zwróciła się z tym do mnie, bo mnie znała nie tylko z Nowych Horyzontów, ale również przez Renatę. Poza tym ja znam Jana, więc może dlatego ja, a nie Cezary Zaręba. Swoją drogą niezła historia z tą dwójką...

– Czyli rozumiem, że do środowego spotkania pomiędzy panem a BiBi doszło, tak? – zapytała Emilia.

– Jak najbardziej.

– Jak ona się zachowywała podczas tego spotkania? – zapytał Daniel.

– Zupełnie normalnie. Przyszła tu do mnie, rozmawialiśmy, a potem poszła. Chodzi państwu o to, że znowu jej nie ma, prawda? Sawiccy mi powiedzieli. Dlatego państwo o nią pytają?

– Szukamy jej. – Daniel nie wdawał się w szczegóły. – Czyli rozmawiał pan z nią tylko o prezencie dla Jana?

– Tak. A o czym by jeszcze.

O Celinie na przykład, przebiegło Danielowi przez myśl.

– Czy BiBi i Celina Krawczyk się znały? – zapytał. – Orientuje się pan?

– Nie wiem. Nie znałem Bereniki aż tak dobrze. W każdym razie Celinka chyba nigdy o niej nie wspominała. Ale może spotkały się w Nowych Horyzontach? Celinka czasem jeździła tam załatwiać formalności związane z przelewem pieniędzy. Zaraz! Sugerują państwo, że pomiędzy zniknięciem Bereniki a śmiercią Celinki jest jakiś związek?

– Imponująca dedukcja – mruknęła Kopp.

Harold Dębowski spojrział na Klementynę szeroko otwartymi oczami i odłożył kolejną zużytą chusteczkę na sekretarzyk. Zebrał się tam już spory stosik.

W tym momencie znowu rozległo się stukanie obcasów. Z piętra zeszły Jowita i Renata. Nastolatka niosła teraz dwie sporej wielkości maczety. Wyglądało to dość surrealistycznie. Jowita chyba zauważyła ich zdziwienie, bo powiedziała:

– Och, to tylko rekwizyty do występów Renaty. Tańczy z ostrą bronią. Ma wielki talent. Między innymi dlatego dostała się do SuperSzkoły. Jesteśmy bardzo dumni, chociaż zawsze istnieje obawa, że coś może się złego stać podczas występu.

Nastolatka uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem. Zrzuciła szpilki i wykonała kilka zamachów. Danielowi niezbyt przypominało to taniec. Powstrzymał się jednak od komentarza.

– Zabieram je na wyjazd, żeby ćwiczyć – oznajmiła Renata na koniec krótkiego pokazu swoich umiejętności.

Harold Dębowski odchrząknął z lekkim zakłopotaniem.

– Rozmawiamy właśnie o zniknięciu Bereniki Borkowskiej – wyjaśnił. Jakby czuł potrzebę, żeby się wytłumaczyć. – Tej z twojej klasy.

– O – mruknęła nastolatka. – Może Gabi ją w końcu dopadła.

– Gabi? – podchwycił natychmiast Daniel. To był przecież skrót imienia, którego używała jedna z przyjaciółek BiBi, Gabriela Wójcik.

– Jo – potwierdziła nastolatka. Założyła z powrotem szpilki i położyła maczety na jednej z walizek.

– Renata! Prosiłam cię, żebyś tak nie mówiła – upomniała ją matka. – Mówi się „tak”. Nie chcemy, żeby córka miała naleciałości...

– Jo – odparł z całkowitym spokojem Daniel.

On się żadnymi naleciałościami nie przejmował. Teraz już nie. Kiedyś starał się nie nadużywać tego gwarowego słówka. Dał sobie spokój. Teraz był wręcz dumny z tego, że mówi, jak mówi. Stąd pochodził, więc mówił jak człowiek stąd. Nie zamierzał się tego wypierać.

Jowita Dębowska obrzuciła go krótkim spojrzeniem. Wyglądała na zakłopotaną, że być może uraziła policjanta. Renata uśmiechnęła się za to do Daniela szeroko. Była tak przeraźliwie chuda, że jej kości policzkowe wyglądały, jakby miały zaraz przebić skórę.

– Z tego, co wiem, Gabi, Doris i BiBi się przyjaźniły – powiedział Podgórski, żeby zachęcić dziewczynę do mówienia.

Renata zaśmiała się głośno.

– Przyjaźniły? Może kiedyś – rzuciła niedbale. – Ale teraz to już wątpię.

– To znaczy? – zainteresowała się Emilia.

– To znaczy, że teraz Gabi nienawidziła BiBi – odpowiedziała Renata Dębowska.

SCENA 14

W drodze do hotelu Głębozec Vine Resort & SPA.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 14.35.

Weronika Nowakowska

Skręcili w prawo z szosy na Olsztyn. Wkrótce minęli sporą stadninę. Weronika nawet nie wiedziała, że taki obiekt jest w okolicy. Rzadko jeździła w stronę Nowego Miasta. Wszystkie potrzebne rzeczy załatwiała w Brodnicy.

Kiedy minęli stajnię, nawigacja Grzeška poinformowała ich, że mają skręcić w lewo, choć naprawdę trudno byłoby przeoczyć zjazd do hotelu, nawet gdyby nie włączyli GPS-u. Wielką bramę i sztyld widać było z daleka.

– Malowniczo – odezwał się psychiatra, kiedy jechali długą aleją w górę wzgórza.

Weronika po prostu przytaknęła. Po obu stronach brukowanej drogi ciągnęły się pola i łąki, które stopniowo przechodziły w rozległą winnicę. Na szczycie wzgórza trafili na szlaban. Grzesiek zatrzymał się, żeby pobrać bilet wjazdowy. Weronika rozglądała się dookoła. Rozpościerał się stąd niesamowity widok na okoliczne jeziora. Były dużo mniejsze niż te w pobliżu Lipowa, ale i tak robiły wrażenie.

Szlaban podniósł się i wjechali do środka. Wzdłuż brukowanej alei przygotowano miejsca parkingowe. Sam hotel składał się z kilku budynków utrzymanych w nieco rustykalnym stylu. Wszędzie pełno było kwiatów.

Grzesiek zatrzymał się nieopodal wejścia do recepcji.

– To jesteśmy na miejscu – powiedział, wyłączając silnik.

Zapanowała cisza. Weronika nadal rozglądała się dookoła, jakby już sam budynek hotelu mógł cokolwiek zdradzić.

– To co teraz? – zapytał Wilczyński. – Chyba nie będziemy siedzieć w samochodzie, skoro już tu dojechaliśmy? Jaki mamy plan?

Mamy? Weronika znowu poczuła się nieswojo, słysząc tę liczbę mnogą. Co prawda bała się Grzeška, ale, chcąc nie chcąc, przyjechała do Głębozka razem z nim. Musi z Wilczyńskim współpracować. Teraz było za późno, żeby się wycofać.

To znaczy oczywiście mogła. Dałaby radę wrócić stąd na piechotę, gdyby się uparła. Ale czy chciała komplikować sytuację? Raczej nie. Bardzo jej przecież zależało, żeby odnaleźć pokój numer czterdzieści dziewięć, o którym wspomniała Valentine Blue. Teraz. Bez dalszej zwłoki.

– Nie wiem. – Starła się, żeby jej głos przybrał lekki ton. – Może po prostu pójdziemy do recepcji i spróbujemy wynająć pokój czterdzieści dziewięć.

– To nie jest miejsce, gdzie pokoje wynajmuje się na godziny – zażartował psychiatra. – Hotel ma chyba co najmniej cztery gwiazdki. Więc zapewne trzeba mieć rezerwację. No i jest środek sezonu. Wątpię, żeby mieli coś wolnego. A już marna szansa, że akurat ten konkretny pokój.

Weronika nie odpowiedziała.

– To co chcesz zrobić, jak będzie zajęty? – zapytał Grzesiek wobec braku reakcji z jej strony.

Wzruszyła ramionami.

– No nie wiem... Wynajmiemy jakikolwiek pokój na terenie hotelu. Jak już będziemy tu jako goście, nikt się nie będzie dziwił, że chodzimy po obiekcie. Potem znajdziemy czterdziestkędziewiątkę.

– I?

No właśnie, pomyślała Weronika. Znajdą pokój czterdzieści dziewięć i co dalej? Postanowiła, że tym teraz nie będzie się martwić. Od czegoś trzeba zacząć.

Otworzyła drzwi bez słowa i wysiadła z samochodu. Poczuła na twarzy delikatny powiew

letniego wiatru znad okolicznych pól i jeziora Forbin w dole. Skoro nie miała planu, zamierzała improwizować.

Ruszyła w kierunku budynku z napisem „Recepcja”. Cokolwiek chcieli zrobić, tam trzeba było zacząć. Grzesiek zamknął samochód i poszedł za nią. Nowakowska słyszała jego kroki na kamykach, którymi wysypane były miejsca parkingowe.

– Weronika! – zawołał za nią.

Zatrzymała się i poczekała, aż Wilczyński do niej podejdzie.

– Jeszcze jedno – szepnęła i wzięła ją pod rękę. Weronika chciała cofnąć dłoń, ale przytrzymał ją mocno. – Poczekaj i posłuchaj. Jesteśmy tu pod przykrywką. Jeśli coś złego się tu dzieje, to nie uważasz, że będzie naturalniej, jeśli zaprezentujemy się jako para? Dajmy na to małżeństwo z Warszawy? A nie jak dwójka szpiegów?

Małżeństwo z Warszawy? Ileż razy jako studentka marzyła, że właśnie Grzesiek będzie jej mężem. Ileż planów snuła, kiedy już zaczęli się spotykać! A potem mu odbiło. Weronika zadrżała mimowolnie. Z trudem się powstrzymała, żeby nie wyszarpnąć ręki z jego uścisku.

– To co ty na to? – dopytywał się.

– Dobrze – odparła krótko. Nie mogli przecież stać pośrodku podjazdu i dyskutować w nieskończoność. To mogło wydać się podejrzane, jeśli ktoś ich obserwował.

Ruszyli do recepcji, trzymając się za ręce. Grzesiek przepuścił ją w drzwiach jak prawdziwy dżentelmen. Foyer było bardzo eleganckie. Również utrzymane w rustykalnym stylu. Po prawej znajdował się kontuar recepcji. Kawalek dalej po lewej pysznił się komplet wypoczynkowy ustawiony przed wielkim kominkiem. Siedziały tam trzy osoby. Weronika nie widziała ich twarzy. Mieli mnóstwo walizek. Na jednej z toreb leżały dwa wielkie noże. Coś w rodzaju dużego tasaka. Maczety? Weronika nie mogła oderwać oczu od imponujących ostrzy. Wyglądały naprawdę groźnie.

– Dzień dobry – powitał ich recepcjonista, wyrwijąc Nowakowską z zamyślenia. – W czym mogę pomóc?

Grzesiek uśmiechnął się. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zachowywał się jak właściwy człowiek na właściwym miejscu. Zupełnie nie był speszony luksusem, który go otaczał.

– Chcielibyśmy wynająć pokój – oznajmił.

– Mają państwo rezerwację?

Grzesiek odpowiedział kolejnym uśmiechem.

– Niestety nie – przyznał. – Byliśmy z żoną w okolicy i pomyśleliśmy, że tu się zatrzymamy. Do odważnych świat należy! Kiedyś u państwa byliśmy i bardzo dobrze wspominamy ten czas. Piękny okres w naszym życiu. To było zaraz po ślubie.

Grzesiek przytulił Weronikę i pocałował ją delikatnie w czoło. Był od niej nieco niższy, więc musiał zadrzeć głowę.

Pracownik hotelu zaczął coś sprawdzać w komputerze.

– Bardzo by nam zależało na pokoju czterdzieści dziewięć – mówił dalej Grzesiek. – Wtedy właśnie tam się zatrzymaliśmy.

Trzeba było przyznać, że wypadło to bardzo naturalnie.

– Byłoby cudownie – dodała Weronika z entuzjazmem, by wczuć się w rolę. Nie może stać jak ślup soli i nic nie mówić, jeśli chcą coś tu zdziałać.

– Już sprawdzam – zapewnił recepcjonista uprzejmie.

– Nie trzeba – rozległ się głos od kominka. – My mamy czterdzieści dziewięć.

Weronika spojrzała w stronę kąpki wypoczynkowej. Trójka siedzących tam gości właśnie się podnosiła. Przyszedł boy hotelowy, żeby pomóc im zabrać bagaże.

– My mamy czterdzieści dziewięć – powtórzyła bardzo chuda nastolatka w niebotycznie wysokich szpilkach. Nie pozwoliła boyowi dotknąć noży. Chwyciła je szybko. Ścisnęła je teraz w obu dłoniach i wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Chodźmy, Renata – powiedziała kobieta z krótkimi włosami.

Towarzyszący kobietom wysoki chudy mężczyzna skinął Weronice głową. Dopiero po chwili

zorientowała się, że widziała go wczoraj w Nowych Horyzontach. Wyszedł ze świetlicy, kiedy Jan Kowalski oprowadzał ją i Wierę po willi. Podobno był jednym z darczyńców i wolontariuszy w ośrodku. Nowakowska nie pamiętała, jak się nazywał. Nazwisko chyba było związane z drzewami. A imię dosyć rzadkie. W starym stylu. Niestety nie potrafiła przypomnieć sobie nic więcej.

– Tak. Bardzo mi przykro, apartament jest już zajęty – oznajmił recepcjonista, wyrywając ją z zamyślenia. – Ale mamy wolny pokój numer siedemdziesiąt. To w drugim budynku, ale zapewniam, że jest tam równie wygodnie jak w tym. Z tym że od jutra pokój jest już zarezerwowany. Więc mogą państwo zostać tylko na jedną noc.

– Bierzemy – powiedziała szybko Weronika.

Nadal nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywał ten wysoki mężczyzna, ale przecież nie było to najważniejsze. Był wczoraj w Nowych Horyzontach. Dziś jest w Głębozku. I to właśnie w pokoju numer czterdzieści dziewięć.

Czy to mógł być zbieg okoliczności? Raczej w to wątpiła.

SCENA 15

Mieszkanie Wójcików.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 14.35.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Gabriela „Gabi” Wójcik mieszkała razem z rodzicami w sporym, ale raczej biednie urządzonej lokalu przy ulicy Paderewskiego. Mieszkanie krańcowo odbiegało od standardów, które widzieli wcześniej w domu rodzinnym Doris Sawickiej i potem u Harolda Dębowskiego. Meble były stare. Na ścianach wisiały spłowiałe plakaty z gwiazdami piłkarskimi i różnymi symbolami narodowymi.

W rogu pokoju leżała sterta drewnianych figurek. Zupełnie nie pasowały do reszty wystroju. Były misternie wykonane i naprawdę piękne. Strzałkowska z trudem się powstrzymywała, żeby nie podejść i nie obejrzeć ich z bliska.

– Córka zaraz przyjdzie – wyjaśniła Magdalena Wójcik. – Wysłałam ją akurat do sklepu.

Matka Gabi zachowywała się nieco sztywno. Mięsiła cały czas w dłoniach róg koszulki ze znakiem Polski Walczącej. Jej mąż stał obok z wyrazem zaciekłości na twarzy. Miał na sobie podobny T-shirt. Widać było wielki, ale niezbyt dobrze wykonany tatuaż z orłem i polską flagą na imponującym bicepsie.

– Po co chcecie z nią gadać? – warknął. Nie uznał za stosowne się przedstawić, kiedy tu przyszli, więc Emilia nie wiedziała, jak ma na imię.

– Pewnie chodzi im o zniknięcie Bereniki – wyjaśniła mężowi Magdalena Wójcik. – Wyluzuj, stary. Nie chcę, żeby cię znowu wsadzili, rozumiemy się? Już cię nie będę z dołka odbierała, kurwa. Za dużo roboty mam.

Wójcikowie nie wyglądali na ludzi, którzy wysłaliby córkę do prywatnej szkoły. Przypominali raczej parę nieco podstarzałych kiboli. Strzałkowska miała do czynienia z takimi typami, kiedy pracowała w Warszawie i co jakiś czas musiała brać udział w zabezpieczeniach meczów na stadionie. Zawsze mierziło ją, jak nadużywali symboli narodowych.

– Żeby mnie wsadzić, to musieliby mieć za co – zaśmiał się Wójcik. – A ja kurwa porządny obywatel jestem. Chociaż ZOMO pierdolone może człowieka zgarnąć za chuj. Też prawda. Zwłaszcza ten.

Mężczyzna obrzucił wrogim spojrzeniem Podgórskiego. Daniel uśmiechnął się pod nosem, ale nie zareagował. Przez całą drogę z domu Dębowskich palił jak smok. Ubranie miał przesiąknięte dymem. Emilia czuła to nawet teraz. Mimo że stali w pewnej odległości od siebie.

Nienawidziła zapachu papierosów, choć oczywiście do niego przywykła. W tej robocie nie dało się inaczej. Większość jej kolegów paliła. Ona sama próbowała kilka razy, kiedy zaczynała pracę w firmie. Potem uznała, że nie będzie się zmuszać. Nigdy jej to nie pasowało.

– Trochę żeśmy się tam popstrykali za młodych lat – zaśmiał się ojciec Gabi. – Tylko że ty kurwa miałeś kask i pałę. Taki to wasz honor. Psy w dupę jebane.

– Irek, się kurwa zamknij. Bo ja ci zajebię zaraz – ostrzegła Magdalena Wójcik. – Już ci coś chyba powiedziałam, nie?

Mężczyzna uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Siła wyższa – zażartował, zerkając w jej stronę. Nagle mówił niemal przyjacielskim tonem. – Magda, a wiesz, że ja kojarzę starą tej Bereniki. Tę jak jej tam...

– Hanke – odpowiedziała mu żona.

– A jo. Hanke. Ze szkoły ją znam.

Magdalena Wójcik pokręciła głową z głośnym westchnieniem.

– Łeb masz już zlasowany jakiś. Za wiele razy ci chyba przypierdolili. Niby jak mam nie wiedzieć? Z wami chodziłam do budy. Jakież tam mi pierdoliłeś dyrdymały o miłości. W kiblu nawet inicjały wydrapałeś. Taki to był z ciebie romantyk. Nie pamiętasz?

– Znaczący Hanka wtedy nazywała się jeszcze Lewandowska. Jak Robert – kontynuował mężczyzna, ignorując jej słowa. – Potem Borkowska. A teraz Urbańska. Marcin Borkowski to był w porządku koleś. Tylko ucięło mu głowę. Kurwa, smutna sprawa to była. Żal człowieka.

– Jakby tobie ucięło, toby kurwa nie było różnicy.

Matka Gabi zaczęła się głośno śmiać z własnego wątpliwej jakości żartu.

– Potem Hanka się chajtnęła z tym cwelem Urbańskim – dodał jeszcze jej mąż.

– Jo. I teraz się wywyższa – powiedziała Magdalena, przestając się wreszcie śmiać. – Ludziom nie mówi dzień dobry na ulicy. Jakby nie pamiętała, skąd się wywodzi. Brzydę się jej kasą kurwa. Niech się nią udusi.

– Spoko. Ale! Córeczkę to do drogiej szkoły posłaliście, co? – wtrąciła się dotychczas milcząca Kopp. Na jej twarzy malował się krzywy uśmieszek. – Pieniądze na to skąd były, co?

– Nie będziesz mi tu kurwa jakichś insy... insynuacji robiła – warknął Irek Wójcik. – Że niby co? Moja córka nie ma prawa kurwa do pierdolonej szkoły dla bogatych chodzić? Że gorsza jest?

– Za te jej rzeźby ją wzięli – poinformowała Magdalena i pokazała niedbale głową sterty drewnianych figurek w rogu pokoju.

– Stypę jej dali – pochwalił się Wójcik.

Jego żona znowu zaśmiała się głośno.

– Nie stypę kurwa. Stypendium to się nazywa. Stypendium. Stypa to jak kogoś zajebią i jest obiad.

Irek Wójcik wzruszył umięśnionymi ramionami.

– Wszystko jedno. I tak człowiek sobie żyły wypruwał, żeby dołożyć, co tam chcieli. A to na jakieś narzędzia do rzeźbienia, a to książki jakieś, a to ubrania. No ale papier przynajmniej kurwa będzie. Start jakiś w życiu. Tylko teraz to badziewie trzeba wywalić, co się córa nastrugała. Bo nie wiadomo, co z tym kurwa robić.

Emilia spojrzała na rzeźby. Chcieli je tak po prostu wyrzucić? Poczowała żal. Były takie piękne. W przeciwieństwie do Doris Sawickiej i Renaty Dębowskiej Gabi naprawdę miała talent.

– Szkoda byłoby wyrzucać – wyrwało się Strzałkowskiej. Nie mogła się powstrzymać.

– A tam szkoda – Magdalena Wójcik machnęła ręką. – Nastruga więcej, jak będzie chciała. Choć teraz czas za porządną robotę się wziąć.

W tym momencie szcęknął klucz w drzwiach wejściowych.

– To pewnie Gabi – dodała beznamyślnie kobieta. – Chodź, Irek. Niech se pogadają, zanim ty coś odpierdolisz.

Wójcik wzruszył ramionami i posłusznie poszedł za żoną. Chwilę później do pokoju weszła Gabi. Miała na sobie te same białe dresowe spodnie i zielony kusy top co wczoraj. Towarzyszył jej wysoki, również ubrany na sportowo chłopak. Emilia kojarzyła go z Lipowa. Jeden z tych, z którymi czasem zadawał się Łukasz. Nie była z tego powodu zadowolona, ale dawno już minęły czasy, kiedy mogła dobrać synowi kolegów.

– Ale Adrian zostaje ze mną – zastrzegła na wstępie Gabi. – Sama z wami nie będę.

– Spoko – rzuciła Kopp.

Jakby to ona była tu szefem. Emilia zastanawiała się, czy to skomentować. Zrezygnowała jednak, nie było czasu na wdawanie się w niepotrzebne dyskusje.

– To o czym chcą państwo rozmawiać? – rzuciła Gabi.

Strzałkowska nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zabrzmiało to jak wyzwanie. Zupełnie nie przypominała teraz zamkniętej w sobie nieśmiałej dziewczyny, którą wydawała się wczoraj. Może obecność wygadanej Doris ją hamowała. Albo na odwrót, to Adrian ją ośmielał. Albo fakt, że była teraz na swoim terenie? Może to i to.

– Podobno pokłóciłyście się z BiBi – zaczął Daniel.

– Ponoć powiedziałaś jej, że jej nienawidzisz i że ją zabijesz – wtrąciła się Kopp.

Tak zeznała niedawno Renata Dębowska. Pojechali rozmawiać z Haroldem, a przez przypadek dowiedzieli się więcej na temat relacji pomiędzy przyjaciółkami.

– Niby skąd pani to wie? – zapytała Gabi opryskliwie.

– Od twojej koleżanki – poinformowała z całym spokojem Kopp, mimo że nie ustalili wcześniej, czy ujawnią Gabi, skąd o tym wiedzą.

Emilia posłała Klementynie pełne irytacji spojrzenie. Kopp nie wyglądała na zbyt przejętą. Daniel westchnął.

– To prawda? – zapytał.

Wyglądało na to, że Gabi znowu chce powiedzieć coś aroganckiego, ale przytuliła się tylko do Adriana. Chłopak otoczył ją opiekuńczo ramieniem. Emilia nie miała wątpliwości, że nastolatka się boi. Czupurne zachowanie być może było tylko pozą.

– To jak? – zapytała Strzałkowska. Teraz delikatniej. Jeśli Gabi na ataki reagowała agresją, warto spróbować innej metody.

– Może coś takiego powiedziałam – przyznała nastolatka.

– Może? – zaśmiała się Kopp.

Gabi natychmiast zacisnęła usta w wąską czerwoną linię. Emilia zgromiła Klementynę spojrzeniem. Znowu bez rezultatu. Kopp zupełnie się nie przejmowała.

– Ty chyba robisz te koszyki, co teraz je wszyscy mają w Lipowie – zagadnęła Strzałkowska Adriana. – Mój syn mi mówił.

Adrian skinął głową.

– Łukasz jest wporzo.

Gabi nieco się rozchmurzyła, jakby to, że syn Emilii zna jej chłopaka, sprawiło, że była do Strzałkowskiej nieco bardziej pozytywnie nastawiona.

– To, co ja tu mówię, jest objęte tajemnicą? – zapytała. Patrzyła na Emilię wyczekująco. Daniela i Klementynę omijała wzrokiem.

Strzałkowska rozważała, co ma odpowiedzieć. W końcu uznała, że najlepiej prawdę. Jak się raz zawiedzie zaufanie nastolatka, ciężko jest je odzyskać.

– To zależy, czego to dotyczy – przyznała więc. – Powiedz mniej więcej...

– Chodzi o to, że nie chcę, żebyście donieśli moim starym, że oblałam maturę – przerwała jej w pół zdania Gabi. – Ojciec mnie normalnie zajebie, jak się dowie. Nigdy się nie przyzna, ale mu staje normalnie na myśl, że mogłam skończyć tę zasraną SuperSzkołę. SS jebane, jak u Niemców. Ojciec ma tylko podstawówkę. Pierdolonych ambicji mu się zachciało. Wszystkim wciska, że mu to wisi, ale to nieprawda. Jak zostajemy sami, to ciągle tylko nawijka, że zajdę dalej niż on i matka. Ile można! Nie może się dowiedzieć, że oblałam. Obiecuje pani?

Gabi wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Tego akurat nie musimy donosić twoim rodzicom – powiedziała Emilia szybko. – Ale w końcu tak czy inaczej będziesz musiała...

– Oni też nie powiedzą? – przerwała jej Gabi, zerkając w stronę Daniela i Klementyny.

– Nie powiemy, ale w zamian musisz być z nami szczerą we wszystkich kwestiach – powiedział Podgórski. – To jak?

Nastolatka skinęła głową.

– Masz fajkę? – rzuciła do Adriana.

Chłopak wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Podał jej. Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Zapaliła. Przez chwilę bawiła się bransoletką z kolorowych koralików. Te białe z literkami układały się w napis *Gabi*.

– Starzy mnie zabiją, jak się dowiedzą o tej maturze – powiedziała znowu. – Oni myślą, że dostanę wyniki dopiero potem. Skłamałam im, że we wrześniu. Że w tej szkole inaczej niż w innych i bla bla bla. I mi kurwa uwierzyli. Ja pierdołę.

Podgórski podszedł do okna. Przysiadł na parapecie obok Gabi. Też wyciągnął papierosa

i zapalił. Strzałkowska uznała, że to może być dobra metoda pozyskania zaufania dziewczyny.

– No i jak to było z tobą i BiBi? – zapytał policjant tonem pogawędki. – Powiesz mi?

Wyglądali teraz na tym parapecie jak dwójka znajomych.

– Po prostu się porznęliśmy o to, że ona miała coś dla mnie zrobić. Ale ja jej nic nie zrobiłam, jeśli o to chodzi! W sensie nic złego jej nie zrobiłam! Nie wiem, gdzie ona jest.

– Co takiego miała zrobić dla ciebie? – zapytał Daniel, zaciągając się głęboko. – Opowiesz?

– Bo BiBi kręciła z profesorem Zarębą.

– Jo. To już wiemy.

– W SS jest tak, że nauczyciele robią z przedmiotu test na koniec. Taki egzamin. Nie ma ocen w trakcie semestru jak w normalnej szkole. Można olewać wszystko, nie przychodzić, cokolwiek się chce. Tylko na koniec trzeba zakuć i zdać. No i mi się nie chciało na ten polski nic robić, ani czytać tych lektur, ani nic z tych rzeczy. W ogóle mnie to nie kręci. Zresztą robiłam te głupie figurki na zajęcia z talentu. Umówiliśmy się z BiBi, że ona dla mnie ukradnie test końcowy od profesora. Przecież mogła to zrobić, skoro ją rznął. No i ona na to, że spoko. Żebym nic się nie martwiła, ona mi to przyniesie. Przejrzę odpowiedzi i zdam bez problemu. Normalnie przysięgała, że to zrobi. Na wszystko. A ja jej głupia uwierzyłam. Kurwa. Potem przyszedł dzień testu, a ona mi mówi, że sorry, ale nie mogła. Ale znałam ją dobrze i wiem, że po prostu zapomniała. Mimo że ze sto razy jej mówiłam.

– Suka – mruknął Adrian.

On też przysiadł na parapecie i wyciągnął papierosa. Trzech palaczy sprawiło, że pokój wypełnił się dymem, mimo że okno było otwarte na oścież. Emilia zakaszłała.

– No więc powiedziałaś BiBi do słuchu i tyle. Że jej nienawidzę i takie tam – przyznała Gabi. – Bo jak nie zdałam tego testu, to profesor Zaręba mnie nie dopuścił w ogóle do matury.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Okej. No dobra. Czyli jak to było, co? – odezwała się w końcu Klementyna. – Od końca roku szkolnego jej nienawidziłaś. Ale! Spotykałyście się normalnie. Na przykład na tych urodzinach tydzień temu w pubie. I potem...

Kopp zrobiła gest ręką, jakby podrzynała sobie gardło.

– Co?! – Gabi otworzyła szeroko oczy. – Nieee. To zupełnie nie tak.

– To jak, co?

– Nic jej nie zrobiłam. Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Pewnie znowu się gdzieś przyczaiła jak to ona.

– Czyli uważasz, że nic jej się nie stało? – zapytała Emilia. Nadal przecież nie wiedzieli, czy traktować Berenikę jako ofiarę, czy sprawczynię.

Gabi wzruszyła ramionami.

– Przedtem ty i Doris mówiłyście, że BiBi mogło spotkać coś złego – przypomniał Daniel.

– To Doris się upierała. Ja tam nie wiem. BiBi była dziwna. Równie dobrze mogła zniknąć na długo i mieć focha na nas wszystkich. To też byłoby do niej podobne. Doris się strasznie upierała, że powinniśmy to zgłosić. Może miała wyrzuty sumienia, że się tak wściekła na BiBi w tę środę.

– Doris wściekła się na BiBi? – podchwyciła Emilia.

Po raz pierwszy Gabi i Doris nie trzymały wspólnego frontu. Najwyraźniej popełnili błąd i przyjaciółki trzeba było od razu przesłuchiwać oddzielnie.

Gabi wyrzuciła niedopałek papierosa za okno. Ściągnęła kolorową bransoletkę z nadgarstka. Miała taką minę, jakby ją też chciała wyrzucić. Powstrzymała się jednak i położyła ozdobę na parapecie.

– No siedziałyśmy we trzy i BiBi poszła do kibla. Potem nie wróciła. Poszłam sprawdzić, ale jej tam nie było. Jak wróciłam do stolika, to Doris już siedziała nabuzowana.

– Czyli sama poszłaś do łazienki szukać BiBi? – upewnił się Daniel.

To było dobre pytanie. Przedtem przyjaciółki zeznały, że poszły we dwie.

– Jo. Doris została przy stole.

– Mogła w tym czasie gdzieś pójść? – zapytała Emilia.

Gabi pokręciła głową.

– Nie zajęło mi to aż tak długo. Mały kibel – zaśmiała się. – Ale poszła potem. Żeby zadzwonić. Tam na dole w pubie nie ma zasięgu. Ja zostałam, żeby pilnować stolika. A ona poszła na górę z telefonem.

– Czyli nie byłaś przy rozmowie Doris z BiBi? – podchwyciła znowu Strzałkowska.

– Nie. No i Doris potem zeszła na dół, wzięła torebkę i powiedziała, że spada. Że nie ma ochoty siedzieć dłużej.

Emilia zerknęła na Daniela. Podgórski skinął delikatnie głową. Na chwilę wszystkie spory poszły w zapomnienie. Trafili przecież na potencjalnie istotny element układanki. Podczas pierwszego przesłuchania Doris i Gabi twierdziły, że zadzwoniły do BiBi po tym, jak zorientowały się, że zniknęła. Berenika miała im powiedzieć, że nie ma już ochoty wracać do pubu. Nie wyjaśniła przyczyny, ale zdaniem Doris była zmartwiona.

Teraz okazywało się, że Gabi nie słyszała wymiany zdań pomiędzy przyjaciółkami. Doris i BiBi mogły więc mówić o czymkolwiek. Na przykład umówić się na spotkanie, pomyślała Emilia. Nie można było wykluczyć, że BiBi powiedziała Doris, że wybiera się do klubokawiarni. Skoro *pin-up girl* wyszła z pubu wcześniej, może umówiła się z Bereniką po jej wizycie u Kołodzieja. Może wiedziała znacznie więcej o dalszych losach Bereniki, niż początkowo przyznała. Na przykład skąd się wziął telefon zaginionej w Tamie Brodzkiej i jej bransoletka przed Bropolem.

– Ja zostałam – zakończyła opowieść Gabi. – Zadzwoniłam do Adriana i do mnie przyjechał.

Chłopak potwierdził.

– Spoko. Ale! To kiedy Doris wyszła, co? – włączyła się znowu do rozmowy Kopp. Może pomyślała o tym samym, co Emilia przed chwilą.

– Nie wiem, o której. Nie patrzyłam na zegarek. Ale tak jakoś po jedenastej. To na pewno.

– Ja dotarłem do pubu przed północą – powiedział Adrian. – W nocy z Lipowa to maks dwadzieścia minut. Zapytajcie właścicieli. Oni potwierdzą, że Gabi tam była. Znają mnie. Ma alibi.

Emilia przypomniała sobie, że kiedy rozmawiali z właścicielem pubu, nie wspomnieli nic o Gabi i Doris. Ale też go o to nie pytali. Byli wtedy zainteresowani wyłącznie Bereniką i jej poczynaniami.

– Doris mówiła, gdzie idzie? – zapytała Strzałkowska.

Gabi pokręciła głową energicznie.

– Nie. Ale ja nie pytałam. Też byłam trochę wściekła, bo mnie obie wystawiły. Dobrze, że Adrian przyjechał.

Nastolatka przytuliła się do chłopaka. Odwzajemnił się tym samym. Wyglądali niemal słodko. Emilia natychmiast się odwróciła. Nie miała ochoty na to patrzeć.

– Czy Doris mogła coś zrobić Berenice? – zapytała.

– Była na nią wściekła, że tak sobie poszła w jej urodziny. Chodziło też o profesora Zarębę.

– To znaczy? – zapytał Podgórski.

– Bo Doris go urabiała przez pół semestru, a potem BiBi pierwsza z nim poszła do łóżka.

– Jak są dwie baby i jeden facet, to trzeba uważać – powiedział sentencjonalnie Adrian.

Strzałkowska starała się nie patrzeć na Podgórskiego.

– Wspomniatyście, że Cezary Zaręba pobił BiBi – powiedział Daniel nieco sztywno. – To prawda czy nie?

– No to akurat jo.

– Czekaj. Stop – wtrąciła się znowu Klementyna. – A dlaczego mówisz to wszystko o Doris dopiero teraz, co? Ale! Z tego, co oni mi powiedzieli, inaczej śpiewałaś we wszystkich tych sprawach.

– Mówiłam, co kazała mi Doris – przyznała Gabi.

– Dlaczego?

Nastolatka uniosła bransoletkę i pomachała nią.

– Bo jesteśmy przyjaciółkami? – powiedziała szyderczo.

– Spoko. Ale! Dziś już nie jesteście, co?

– Bo to ona wam na mnie nagadała, nie? Że nienawidziłam BiBi i tak dalej?

Nastolatka spojrzała na Emilię pytająco. Znowu tylko u niej szukała pomocy. Strzałkowska

westchnęła cicho. Kopp powiedziała, że wiedzą to wszystko od koleżanki Gabi. Dziewczyna musiała uznać, że chodzi o Doris.

Nagle Gabi jakby zrozumiała swój błąd.

– To nie Doris wam powiedziała?! Oszukaliście mnie! Kurwa. A ojciec zawsze mówi, żeby nie ufać pałom. Wypierdalać!

Krzyknęła tak głośno, że chyba słyhać ją było na ulicy. Drzwi pokoju otworzyły się natychmiast.

– Co tu się kurwa odpierdala? – warknął Wójcik.

SCENA 16

Hotel Głębozec Vine Resort & SPA.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 15.00.

Weronika Nowakowska

Pokój numer siedemdziesiąt znajdował się w drugim budynku. Na samym szczycie urokliwego wzgórza. Przeszli długim korytarzem ozdobionym etykietami z beczek po winie. Tabliczki z numerami pokoi ukryto dyskretnie na podłodze, więc Weronice i Grzeskowi chwilę zajęło odszukanie ich numeru.

Pokój okazał się równie pięknie wykończony jak całość obiektu. Dominowało drewno, co nadawało pomieszczeniu przytulny charakter. Weronika podeszła do okna. Wychodziło na niewielki sad.

– Kim był ten mężczyzna w lobby? – zapytał Grzesiek.

Albo była przewrażliwiona, albo w jego głosie czaiła się teraz jakaś oskarżycielska nuta. Miała ochotę odpowiedzieć, że nie powinno go to obchodzić, ale powstrzymała się. Odeszła od okna i usiadła na łóżku. Było idealne. Na pewno świetnie by się tu spało.

– Nie pamiętam, jak on się nazywa – wyjaśniła. – Widziałam go w Nowych Horyzontach. Jest tam sponsorem, darczyńcą czy kimś tam. Oprócz tego jest też wolontariuszem. Nie wiem dokładnie, na czym ten wolontariat polega, ale to chyba jest niezbyt ważne. Ważne, że wczoraj był tam, a dziś jest tu. W pokoju czterdziestym dziewiątym.

– Spokojnie, dziewczyno – zaśmiał się Grzesiek.

Weronika odetchnęła. Rzeczywiście była rozemocjonowana. Powinna trochę przystopować. Wszystko lepiej wychodzi, kiedy człowiek nadmiernie się nie ekscytuje. Naraz coś przyszło jej do głowy.

– Ta Lola! – zawołała. – Zaraz potem, jak ten facet wyszedł ze świetlicy, lekarka podała jej lek. Lola była po tym jak warzywo. Najpierw myślałam, że to Jan tak kazał. Ale może to ten facet ma z tym coś wspólnego?

Grzesiek podeszedł do okna i je uchylił. Do środka wpadł słodki zapach sadu i delikatne brzęczenie pszczół.

– Sama wiesz, jakie są te leki – powiedział spokojnie. – Może ta Lola naprawdę ich potrzebowała. Nie twórzmy teorii spiskowych. A przynajmniej zanim nie zbierzemy wszystkich faktów. Dobrze?

– Sam fakt, że jesteśmy w tym hotelu, chyba oznacza, że trochę oboje wierzymy w te teorie spiskowe, nie uważasz? – powiedziała Weronika z przekąsem. Nie lubiła być pouczana. – Widziałam, co widziałam. Podali Loli coś, co ją otumaniło. A przedtem ona jedyna chciała ze mną rozmawiać. Jan twierdził, że Lola jest niemową. Faktycznie miała trudności z mówieniem, ale usilnie chciała mi przekazać coś o *zamkniętym pokoju*. Potem okazało się, że Valentine Blue też mówiła tej twojej Kindze o zamkniętym pokoju. To nie może być przypadek, prawda?

– To nie jest moja Kinga – uściślił Grzesiek. – To tylko pielęgniarka w szpitalu, gdzie pracuję.

Weronika machnęła ręką.

– Nieważne. Chodzi o to, że teraz ten człowiek tu jest... O! Harold – przypomniała sobie nagle. – Takie ma imię. Harold. A nazwisko jakieś związane z drzewami. Z dębem. Dębicki, Dębowski albo jakoś tak. On i jego rodzina mają czterdziestkędziesiątkę. Chodźmy tam!

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Grzesiek przysiadł na parapecie i wyglądało na to, że się zastanawia.

– Weronika, trzeba działać z rozwagą – powiedział w końcu. – Najpierw do nich zagadać. Przygotować grunt. Zyskać ich zaufanie. Tych Dębowskich czy Dębickich. Dopiero potem działać.

– No dobrze, a jeśli w tym ich pokoju dzieje się coś niedobrego? Być może Valentine Blue

zginęła właśnie dlatego, że o tym wiedziała. Lola wyglądała na przestraszoną, kiedy mi to powiedziała.

– Jak w tym pokoju faktycznie dzieje się coś niedobrego, to nie wpuszczą nas tam tak po prostu i nie ujawnią swoich ciemnych sprawek, prawda? Powtarzam, trzeba działać po kolei – dodał.

– A co? Stałeś się nagle dochodzeniowcem, że tak się na tym znasz? – zapytała zgryźliwie. Mimo wszystko nie mogła się powstrzymać.

Wilczyński nie odpowiedział. Wyglądał teraz przez okno z zainteresowaniem.

– No i proszę – powiedział. – Chyba mamy szczęście. Jeżeli chcesz to zrobić po mojemu, to idziemy.

SCENA 17

Dom rodziny Sawickich.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 15.00.

Klementyna Kopp

Rodzice Dagmary „Doris” Sawickiej siedzieli po obu stronach córki. Jak dwójka ochroniarzy, przebiegło Klementynie przez myśl. Tym bardziej że znowu byli tak samo ubrani w błękitne koszule i białe spodnie. Jak jakieś bliźniaki, a nie małżeństwo.

Kiedy Sawiccy dowiedzieli się, że ich córka może być podejrzana, nie chcieli zostawić Doris samej ani na moment. Na nic zdały się trafne argumenty Kopp, że dziewczę jest już pełnoletnie, więc powinni się wynosić.

– Spokojnie, dam sobie radę – zapewniła rodziców dziewczyna.

Dziś Doris ubrana była w zieloną sukienkę. Góra opinała bujny biust, a dół był rozkloszowany na modłę lat pięćdziesiątych. Różowe włosy związała niebieską bandanką. Wydawała się równie pewna siebie jak wczoraj w Słonecznej Dolinie.

– Na sto procent? – upewnił się Sawicki. – Mogę zadzwonić do naszego prawnika i...

– Tato, nie potrzebuję żadnego prawnika – przerwała mu Doris. – Nic nie zrobiłam. To zwykła rozmowa o BiBi. Przecież już raz z nimi rozmawiałam i wszystko jest okej.

– Ale teraz podobno Gabriela coś im na ciebie doniosła – włączyła się do rozmowy Sawicka. – Państwu. Przepraszam. Gabriela coś państwu na ciebie doniosła.

– Oj mamoo, wiesz, jaka jest Gabi – zaśmiała się Doris. – Idźcie na kawę, a ja z państwem porozmawiam.

Rodzice nastolatki wyglądali na niezdecydowanych. Zwlekali jeszcze chwilę. W końcu wstali z kanapy.

– Ale gdybyś nas potrzebowała, to od razu wołaj – powiedziała jeszcze w drzwiach Sawicka.

– Okej. No dobra – rzuciła Kopp do Doris, kiedy nadopiekuńczy rodzice wreszcie wyszli. – To teraz mów. Jak to było w tę środę tydzień temu, co?

– Nic BiBi nie zrobiłam – zapewniła *pin-up girl* spokojnie. – Trochę przykro, że Gabi nasłała was na mnie, ale cóż. Rozmawiałam z nią przez telefon. Rozumiem, że chciała się bronić i spanikowała. Nie wiem, kto wam to zdradził, ale nie powinniście byli oszukiwać Gabi, że to ja. To naprawdę cios poniżej pasa.

– To było raczej niedopowiedzenie – mruknęła Kopp z uśmiechem.

Strzałkowska przewróciła oczami swoim zwyczajem. W drodze do Sawickich miała trochę do powiedzenia na ten temat. Oczywiście czepiała się Klementyny, że nie powinna była kłamać. Że przez to Gabriela wpadła we wściekłość, zawołała ojca i potem nie było już sensu brnąć dalej w przesłuchanie. A nawet nie zapytali o ewentualne powiązania pomiędzy BiBi a Celiną Krawczyk.

– Uważasz, że Gabi mogła coś zrobić Berenice? – zapytała Emilia. Rzuciła przy tym Klementynie kolejne zirytowane spojrzenie. Kopp lubiła ją taką. Zdawała się wtedy mniej myśla.

Doris pokręciła głową.

– Nieee – powiedziała. Wydłużyła samogłoskę do granic możliwości. – Nie ma opcji. Gabi to dobra dziewczyna. Mocno nieśmiała i z bagażem, ale dobra. Tak naprawdę z nas wszystkich to ona jedna ma jakiś talent. Nie oszukujmy się, te moje obrazeczki są śmieszne.

Pokazała wiszące na ścianach pejzaże.

– Zwłaszcza w porównaniu z jej rzeźbami. To nie jej wina, że pochodzi z rodziny, z jakiej pochodzi. Wybaczam jej, że wam na mnie doniosła.

– Złoty człowiek z ciebie, co? – zaśmiała się Kopp.

– Chyba raczej różowy – odparła Doris, pokazując na włosy. Wyglądało na to, że nie rozumiała ironii. Kopp nie chciała tracić czasu, żeby jej tłumaczyć, co to sarkazm. – Po prostu się przyjaźnimy i tyle.

Podniosła rękę, żeby zademonstrować kolorową bransoletkę na nadgarstku.

– *Best friends forever* – poinformowała z dumą.

Kopp skinęła głową. A skoro mowa o bransoletkach, warto było zrobić to, czego nie udało się zdziałać u Gabi. Ustalić powiązanie pomiędzy Bereniką a truposzką z Bropolu. Niech mysia policjantka się cieszy.

– Spoko. Ale! Nazwisko Celina Krawczyk coś ci mówi, co? – zapytała Klementyna.

– Kojarzę. To ją znaleźliście w Bropolu, prawda? Pan Harold dzwoni do mojego ojca. Są współnikami, więc mu się wypląkał w rękaw. To była jego asystentka. Miała spoko dziary. Nie tak dużo jak pani, ale i tak.

– BiBi ją znała? – zapytała Strzałkowska.

Doris odwróciła się do mysiej policjantki.

– A ja nadal uważam, że pani powinna się walnąć na platynę. Jest pani mega podobna do Daenerys z *Gry o tron*. Niech pani chociaż spróbuje. Oni mi każą malować te badziewia – znowu pokazała ścianę i obrazki – a ja mam zupełnie inne powołanie. Powinnam być fryzjerką. Skoro i tak zapłacili, żebym poszła do SuperSzkoly, to mogli mi chociaż wybrać talent, który faktycznie mam. Znam się na rzeczy, jeśli chodzi o włosy. Oczywiście rodzice nigdy się na to nie zgodzą. Oni są po studiach i tak dalej. Uważają, że powinnam mieć jakąś godną pracę. Ewentualnie bogato wyjść za męża. Niby mi na wszystko pozwalają, ale to tylko pozory. Delikatne sugestie tu i tam, żebym wiedziała, gdzie moje miejsce.

– Nie odpowiedziałas na pytanie – przywołała ją do porządku Emilia. Wyglądała na mocno zirytowaną.

– A jakie było? – zapytała Doris niewinnym tonem.

Kopp uśmiechnęła się pod nosem. Zaczynała ją lubić.

– Czy Berenika znała Celinę Krawczyk? – powtórzyła Strzałkowska ze złością.

– No raczej tak. To znaczy Celina czasem przyjeżdżała do szkoły odebrać Renatę. A tydzień temu w sobotę ją podwoziła.

– Podwoziła? – podchwycił Daniel. – Celina podwoziła BiBi?

Doris pokiwała głową.

– Tak. Byłyśmy umówione we trzy. Ja i Gabi czekałyśmy na BiBi na rynku. Ona przedtem była na tym swoim wolontariacie w tym domu dla bezdomnych. Mówiła, że może się spóźnić. I faktycznie się spóźniła, więc siedziałyśmy z Gabi na rynku i jadłyśmy lody. No i w końcu podjeżdża samochód. To była beema Celiny. Przywiozła BiBi z Nowych Horyzontów. Coś tam załatwiała i się zgadały, że BiBi musi się dostać na rynek.

Kopp zauważyła, że Daniel i Emilia są poruszeni. Faktycznie, to była nowa informacja. I wreszcie jakiś związek pomiędzy zaginioną dziewczyną a Celiną Krawczyk.

– To było w zeszłą sobotę, tak? – upewnił się Podgórski. Zerknął do kalendarza w telefonie. – Szesnasty lipca?

– Daty nie pamiętam, ale nie ten weekend, tylko poprzedni. W ten weekend BiBi już nie było – przypomniała Doris. – Mówiłam wczoraj.

– Ale wczoraj nie byłaś z nami tak do końca szczerza we wszystkich sprawach, prawda? – zapytała Strzałkowska. – Mam tu na myśli to, co powiedziała nam dziś Gabi.

– Po tym, jak wam zaufała, a wy ją oszukaliście – uściśliła beznamiętnie nastolatka.

– Zwał, jak zwał – rzuciła Kopp szybko. Nie chciała, żeby mysia policjantka wdała się w dyskusję z *pin-up girl*. Po co tracić czas. – Lepiej gadaj, czemu kłamałaś wczoraj, co?

– Nie kłamałam. Po prostu nie powiedziałam wszystkiego.

– Na jedno wychodzi – mruknęła Emilia.

– Nie – uparła się Doris. Kopp przyznała jej w duchu rację. Na głos nie zamierzała. – Poza tym to były zupełnie nieistotne sprawy. Co z tego, że wyszłam pogadać z BiBi przez telefon, i co z tego, że nie siedziałam w pubie do zamknięcia, tylko poszłam do domu. To nie zmienia faktu, że BiBi nie ma i powinniście ją znaleźć. To moja przyjaciółka. A przyjaciółką się jest do śmierci.

– Interesujący dobór słów – odparła Kopp z uśmiechem.

Doris machnęła ręką.

– Nic jej nie zrobiłam. Nie mam pojęcia, gdzie jest BiBi, i bardzo się martwię.

Kopp musiała przyznać, że zabrzmiało szczerze.

– Tylko dlatego poszłam do jej matki – dodała dziewczyna, poprawiając różowe włosy. – Już mówiłam, że przeczytałam w necie, że to rodzina musi zgłosić zaginięcie. Nie wiem, czy tak jest, ale nie chciałam, żeby mnie zlali na komendzie. W przeciwnym razie w ogóle do Urbańskiej bym nie poszła. Co to, to nie.

Doris mówiła teraz z wyraźną wrogością. Kopp też Hanna Urbańska niezbyt się podobała. Kazała się Klementynie trzymać z daleka od jej córki.

– Dlaczego? – zapytał Podgórski.

– BiBi miała z matką na pieńku – wyjaśniła Doris. – Między innymi dlatego się wyprowadziła do profesora.

– Berenika i jej matka się pokłóciły? – zapytała Strzałkowska.

Doris spojrzała na nią z uniesionymi brwiami.

– Poznała pani Urbańskich?!

– Przecież sama poszłaś do Hanny Urbańskiej, żeby zgłosiła zaginięcie – przypomniała mysia policjantka. – Nawet jeśli zrobiłaś to w ostateczności, jak twierdzisz. Teraz z kolei sugerujesz, że... Właściwie to co chcesz sugerować?

Doris westchnęła teatralnie.

– Opieram się na tym, co mówiła mi BiBi – zastrzegła. – Nie wiem, ile w tym prawdy, bo ona czasem lubi wymyślać różne takie historie. Mówi na przykład, że się zabije. I w tych swoich wierszach ciągle gada o śmierci i takie tam. Czasem mam wrażenie, że ona tak mówi tylko po to, żebyśmy się wszyscy o nią martwili. W sumie nic dziwnego, skoro po śmierci taty właściwie była równo zlewana u Urbańskich. A jak się urodził Gustaw Junior, to już w ogóle.

– Co właściwie mówiła ci BiBi na temat Hanny Urbańskiej? – zapytał Podgórski.

Doris przejechała ręką po twarzy. Starannie omijała oczy i brwi. Pewnie nie chciała zepsuć kociego makijażu.

– Że Hanna już raz kogoś zabiła, więc nie zawaha się, żeby zabić ją, znaczy BiBi, kiedy przyjdzie pora. To mi właśnie powiedziała Berenika.

SCENA 18

Hotel Głębozec Vine Resort & SPA.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 15.30.

Weronika Nowakowska

Zamknęli pokój numer siedemdziesiąt i ruszyli długim korytarzem do wyjścia. Kiedy znaleźli się przed budynkiem, Grzesiek wziął Weronikę za rękę. Zanim zdążyła zaprotestować, pociągnął ją w kierunku sadu. Nie tłumaczył niczego.

Dopiero po chwili zauważyła, że piaszczystą alejką pomiędzy drzewami idą żona i córka Harolda. Obie ubrane były teraz w klapki i białe szlafroki. Grzesiek musiał zobaczyć je przez okno, kiedy zastanawiali się, co dalej mają robić.

– Najwyraźniej idą na przystań – powiedział cicho.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Weronika.

Pokazał głową drewniany znak w kształcie strzałki. Napis głosił wszem wobec: *Do przystani*. No tak. Weronika zaczerwieniła się. Głupie pytanie.

– To może być nasza szansa – kontynuował psychiatra. – Ufasz mi?

Weronika bardzo chciała powiedzieć, że nie, ale skinęła głową. Szli ostrożnie za dwiema kobietami. Nie spieszyły się, więc i oni musieli zwolnić, żeby ich nie zauważyły. Nowakowska podejrzewała, że Grzesiek planuje udawać przypadkowe spotkanie na przystani.

W żółtym tempie pokonali dość stromą ścieżkę prowadzącą w dół wzgórza i dotarli na plażę. Była niewielka i dobrze ukryta wśród drzew. Miejsca do kąpieli nie było wiele. Właściciele hotelu zakładali chyba, że goście będą raczej siedzieć w basenie na górze. Tu na dole główną atrakcją stanowiły kajaki, rowery wodne i spora tratwa z daszkiem, przymocowana do drewnianego pomostu.

– Teraz mamy szansę – szepnął Grzesiek, kiedy wychodzili spomiędzy drzew.

Faktycznie na plaży nie było nikogo oprócz nich i dwóch kobiet. Trzeba to było wykorzystać.

– Państwo też przyszli obejrzeć stare kąty? – zagadnęła żona Harolda. Miała krótkie włosy. Obcięte w pazurki, jak to kiedyś było modne. – My z córką zawsze tak robimy. Jestem Jowita Dębowska. Spotkaliśmy się w recepcji.

– A tak, oczywiście! – wykrzyknął Grzesiek z szerokim uśmiechem. – Przepraszam. Nie poznałem pań w pierwszym momencie.

Weronika musiała przyznać, że grał swoją rolę wprost idealnie. Gdyby nie wiedziała, jaka jest prawda, uwierzyłaby w każde jego słowo.

– Mąż panią rozpoznał w recepcji – powiedziała Jowita, odwracając się do Nowakowskiej. – Wspomniał mi, że pani też pomaga w Nowych Horyzontach. Dobrze zrozumiałam?

– Ja... Tak. Zobaczymy.

Weronika starała się, żeby zabrzmiało to neutralnie, a przede wszystkim ogólnie. Dawanie konkretnej odpowiedzi uznała za zły pomysł. Nie była przecież pewna, jak dużo Jowita wie. Lepiej nie ryzykować.

– Renaty nie da się namówić! – zaśmiała się żona Harolda.

Weronika wyczuła od niej delikatną nutkę alkoholu. Oczy miała nieco szkliste. Możliwe, że Jowita trochę wypija, zanim zeszły tu z córką. Tym lepiej. Będzie mniej się kontrolować.

– Nie będę zajmować się jakimiś bezdomnymi – prychnęła nastolatka.

Weronika nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Renata jest podobna do Jana Kowalskiego. Też trudno było cokolwiek wyczytać z jej twarzy.

– Piękne to jezioro Forbin? – zagadnęła znowu Jowita. Najwyraźniej miała ochotę na pogawędkę

albo po prostu ich sprawdzała. Trudno było orzec.

Nagle Grzesiek chwycił Weronikę w pól i pocałował namiętnie. W pierwszym odruchu chciała się wyrwać, ale potem przypomniała sobie, że na to się umówili. Odwzajemniła pocałunek. To było dziwne uczucie. Ostatnim mężczyzną, którego całowała, był Daniel. Minęło trochę czasu. Sporo czasu.

Zupełnie nieoczekiwanie dała się ponieść. Nie zastanawiała się nad niczym. To było przyjemne, niemal wyzwalające uczucie.

– Naprawdę tu pięknie – powiedział Grzesiek, kiedy ich usta się rozłączyły. – A pamiętasz nasz pierwszy wieczór tu? Tuż po ślubie?

Weronika pokiwała sztywno głową. Mimo namiętności, która ją porwała, nie potrafiła wykrzesać z siebie większego entuzjazmu.

– Ile lat jesteście po ślubie? – zapytała Jowita z ciekawości. Płynnie zrezygnowała z grzecznościowej formy, jakby w gronie hotelowych gości byli wszyscy dobrymi znajomymi.

– Ile to już jest, kochanie? Pięć, sześć lat?

Grzesiek zaśmiał się łobuzersko. Jak mąż, który wiecznie się przekomarza, że nie pamięta daty ślubu, podczas gdy nigdy nie zapomina o kwiatkach i prezencie z okazji rocznicy.

– Sześć – skłamała Nowakowska. Miała nadzieję, że wyszło gładko. Chyba zaczynała wczuwać się w rolę.

Wilczyński znowu ją pocałował.

– A nadal cię kocham jak pierwszego dnia – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Na te słowa poczuła się nieswojo. Cała zeszytniała. *Nadal cię kocham jak pierwszego dnia*. Czy nie tak do niej mówił wtedy? Powtarzał to codziennie, a ona pragnęła uciec. Nie była pewna, czy Grzesiek użył tych słów celowo, żeby przypomnieć jej o tym, co było. Grał z nią? Zachowywał się normalnie tylko po to, żeby uspić jej czujność?

Wyswobodziła się z jego objęć. Dał jej zawadiackiego kuksańca.

– Aż przyjemnie popatrzeć! – zawołała Jowita wyraźnie zachwycona. – Taka namiętność! My z Haroldem nigdy takiej nie przeżywalismy.

Tym razem w jej głosie pobrzmiwała wyraźna gorycz.

– Mamo!

Jowita obróciła się do córki i uśmiechnęła filuternie.

– No co, kochanie? – zapytała. – Nie bądź taką cnotką. Ogień w związku jest bardzo ważny. My co prawda jesteśmy z Haroldem znacznie dłużej po ślubie, ale u nas nigdy tego nie było. Nigdy! Nawet na początku. Cóż, musiałam się tym zadowolić.

– O matko, mamo. – Renata skrzyżowała ręce na wychudzonej piersi. Obojczyki wyglądały, jakby zaraz miały przebić skórę. – Przestań już. To jest obleśne.

– Małżeństwo nie może się ograniczać do tego, że mąż podwozi cię do spa i zostawia samą – rozgadała się Jowita, nie zwracając uwagi na słowa córki. Już nie ukrywała gorycz. – Nie na tym polega małżeństwo.

– Tata ma jakieś spotkanie o siedemnastej. Czy o szesnastej trzydzieści. Już nie pamiętam. Musiał jechać.

– No i co z tego, że ma spotkanie? Nawet nie zaproponował, że potem tu do nas przyjedzie!

– O matko, mamo. Jego spa w ogóle nie interesuje. Tylko by nam sterczał nad głową i truł, że się nudzi. Jaki jest sens wyjeżdżać z domu, żeby tu siedzieć razem na kupie.

Jowita machnęła ręką, jakby nie zgadzała się z córką. Ruszyła w kierunku pomostu. Poszli za nią.

– Mąż kiedyś wynajął tę tratwę i zjedliśmy kolację przy świecach – poinformowała, kiedy weszli na niewielkie moło. – To był szczyt jego romantyzmu. To i kolacja przy świecach w restauracji w Brodnicy, kiedy Renata była jeszcze mała. Zginął nasz kot i... Byłam tym wszystkim przygnębiona. Zaprosił mnie wtedy.

Nastolatka przewróciła oczami.

– Mnie się wydaje, że kolacja na jeziorze jest bardzo romantyczna – zauważył Grzesiek. – I taka przy świecach w restauracji też.

Jowita się rozpromieniła.

– A wy? – odwróciła się do Weroniki i Grzeška rozochociona. – Dlaczego tak chcieliście ten nasz pokój?

– Miłe wspomnienia – powiedział Wilczyński, puszczając do niej oko. Potem znowu pocałował Weronikę, żeby nie było wątpliwości, do czego się odnosi.

Jowita zaśmiała się zachwycona.

– Uwielbiam was – powiedziała. Naprawdę wydawała się wstawiona. – Po prostu uwielbiam!

Wyciągnęła z kieszeni kartę do otwierania hotelowych drzwi. Podała ją Grześkowi.

– Macie. Idźcie do czterdziestkidziewiątki dbać o ogień w związku. Nawet się jeszcze nie rozpakowałyśmy, więc wszystko do waszej dyspozycji. Zwłaszcza łóżko! A potem przynieście mi klucz z powrotem. Będziemy tu albo na basenie na górze.

Weronika prawie jej nie słuchała. Dopiero teraz zauważyła, że po drugiej stronie wąskiego jeziora jest przystań ukryta wśród trzciny i tataraku. Na drewnianym pomoście stał ktoś, kogo zupełnie się tam nie spodziewała.

SCENA 19

Park im. Jana Pawła II w Brodnicy.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 16.20.

Aspirant Daniel Podgórski

Po rozmowie z Doris Sawicką zadzwonili do Hanny Urbańskiej. To, co opowiedziała im przyjaciółka BiBi, wydawało się dość naciągane, ale nie mogli tego zignorować. Matka zaginionej dziewczyny była akurat na spacerze w parku pod wieżą krzyżacką.

Składało się wprost idealnie. Laura Fijałkowska umówiła ich już wczoraj na spotkanie z Sarą Dębicką. Kobieta, o której BiBi chciała rozmawiać z Lechem Kołodziejem. Przyjaciółką jego żony. Spotkanie miało odbyć się o siedemnastej w pizzerii przy Zamkowej. Dosłownie kawałek od parku. Była więc duża szansa, że zdążą przedtem porozmawiać z Hanną i nawet się nie spóźnią. A po rozmowie z Dębicką mieli udać się na odprawę na komendę.

Spotkali Hannę przy alei Wędkarzy. Malowniczy deptak ciągnął się wzdłuż Drwęcy.

– Może usiądziemy – zaproponowała Emilia.

– No dobrze – odpowiedziała matka zaginionej nieco nerwowo.

Dziś miała na sobie bardzo obcisłe dżinsy i koronkową białą bluzkę. Pszeniczne blond włosy ściągnęła w wysoki koński ogon. Była bez makijażu, przez co wyglądała o wiele młodziej niż wczoraj. Niemal jak nastolatka.

Patrząc teraz na Urbańską, naprawdę trudno było uwierzyć w to, co powiedziała im Doris. Że podobno Berenika obawiała się, że matka chce ją zabić. Co więcej, twierdziła, że kiedyś Hanna przyczyniła się do czyjejś śmierci.

Doris zapytała ją oczywiście, kogo ma na myśli. Wtedy BiBi powiedziała jej, że śmierć Marcina Borkowskiego to nie był wypadek. Ojciec co prawda zginął w zderzeniu samochodu z tirem prowadzonym przez pijanego kierowcę, ale zdaniem Bereniki nie doszłoby do tego, gdyby Borkowski nie został najpierw podtruty przez Hannę. Jej zdaniem trucizna zaczynała działać i dlatego ojciec nie panował nad autem.

Podobno Hanna chwaliła się tym, że podała mu lemoniadę doprawioną trucizną. Cytryna i cukier miały zabić smak goryczy. To samo zamierzała ponoć podać Berenice, dlatego nastolatka wyprowadziła się od Urbańskich i zamieszkała z Cezarym Zarębą. Z deszczu pod rynnę, pomyślał Podgórski, bo przecież ojciec Marka dotkliwie pobił BiBi.

– Zna pani niejaką Celinę Krawczyk? – zapytał Daniel.

Chciał zacząć od ustalenia ewentualnych powiązań pomiędzy Hanną Urbańską a ofiarą z Bropolu. Dopiero później przejdzie do oskarżeń. Tym bardziej że teraz, kiedy patrzył na matkę zaginionej, wydawały się naprawdę niedorzeczne. Nawet sama Doris nie była pewna, czy przyjaciółka nie zmyśliła tego, bo była skłócona z matką.

– Nie – odparła Urbańska, kręcąc głową. – Nie kojarzę nikogo takiego.

– A gdzie byłeś w zeszłą środę wieczorem, co? – zapytała Kopp ostro.

Daniel westchnął. Klementyna jak zwykle nie zamierzała bawić się w podchody.

– Dlaczego pani pyta?

– Odpowiedz, zamiast kombinować – rozkazała Kopp.

– Nie kombinuję...

Daniel zauważył, że Emilia przewróciła oczami.

– Niech pani po prostu odpowie. Inaczej się nie odczepi.

Strzałkowska kiwnęła w stronę Klementyny. Kopp uśmiechnęła się krzywo. Hanna Urbańska

przelknęła ślinę. Zaciskała nerwowo torebkę.

– Byłam w domu. Z mężem i Gustawem Juniorem.

– Lemoniadę popijaliście, co?

– Słucham?

Urbańska wyglądała, jakby nie wiedziała, o co Kopp chodzi. Czyżby BiBi wszystko zmyśliła? Marcin Borkowski zginął sześć lat temu. Ciekawe, czy gdyby ekshumować jego ciało, ewentualną truciznę nadal dałoby się wykryć? Trzeba będzie koniecznie zapytać Koterskiego, postanowił Daniel. Jeśli medyk przeprowadził już sekcję zwłok Celiny Krawczyk, to na pewno będzie obecny na dzisiejszej odprawie.

Nikt nie podejrzewał, że Borkowski mógł zostać otruty, ale przecież nie można było niczego wykluczyć. Obcięta głowa była raczej jasną przyczyną zgonu, więc nie wykonano zapewne pełnej toksykologii. Tym bardziej że kierowca tira był pijany i uznano go za winnego. U Borkowskiego przypuszczalnie sprawdzono poziom alkoholu we krwi i tyle. Nie było potrzeby sprawdzać niczego więcej.

– Podobno pani córka uważała, że otruła pani swojego poprzedniego męża, żeby wyjść za Gustawa Urbańskiego – poinformowała ją Emilia.

Hanna Urbańska poruszyła się niespokojnie.

– To jakieś brednie.

– Czyli BiBi nie oskarżała pani o to? Nie było pomiędzy paniami spięć?

– Już wczoraj mówiłam, że spięcia były. Moja córka jest zbuntowana i lubi koloryzować. Marcin zginął w wypadku. Nie otrułam go. Szkoda, że nie ma tu mojego męża. Nie traktowałibyście mnie w ten sposób. Nie powinnam się zgodzić na to spotkanie.

Kopp zaśmiała się głośno.

– No mężulka nie ma i musisz sobie sama poradzić. Biedactwo.

– Dlaczego się mnie czepiacie? Przecież nie skrzywdziłam Bereniki. Sama zgłosiłam zaginięcie! I to nie pierwszy raz. Pani powinna pamiętać, że to zdarzało się już wcześniej. Gdybym coś jej zrobiła, tobym tu nie przyszła i nie bała się, że coś jej się stało.

– Spoko. Ale! Muszę cię zmartwić, będziesz miała spory kłopot, żeby przekonać nas, że to się wyklucza. A przynajmniej mnie, bo nie wiem jak ich.

Klementyna zerknęła rozbawiona na Daniela. Podgórski odwzajemnił uśmiech. Lubił z Klementyną pracować, mimo jej mocno niestandardowego zachowania. Oczywiście miała rację. To, że Hanna zgłosiła zaginięcie córki, nie oznaczało, że jest niewinna.

– To niedorzeczne! – mruknęła Urbańska wyraźnie zdenerwowana.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Mówiłam wam wczoraj, że powinniście zainteresować się Cezarym Zarębą! – dodała Hanna w końcu. Nagle jej twarz się rozjaśniła, jakby coś sobie uświadomiła. – Albo jeszcze jedną osobą! Dopiero teraz to sobie uświadomiłam!

SCENA 20

Hotel Głębozec Vine Resort & SPA.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 16.20.

Weronika Nowakowska

Co za napalona baba z tej Jowity – szepnął Grzesiek z rozbawieniem, kiedy wspinali się z powrotem na wzgórze.

Teraz droga na przystań wydawała się bardziej stroma, niż kiedy schodzili nią wcześniej na plażę. Może to upał utrudniał wspinaczkę. Oboje oddychali ciężko.

– No ale bądź co bądź odnieśliśmy sukces – dodał Wilczyński po chwili. – Zaraz wejdziemy do pokoju czterdzieści dziewięć i będziemy mogli się przekonać, co tam się dzieje. Powiedziałbym wręcz, że to pełny sukces, prawda?

Weronika nie odpowiedziała. Cały czas myślała o tym, kogo zobaczyła na przystani po drugiej stronie wąskiego jeziora. Była pewna, że się nie pomyliła. To była Wiera. To musiała być ona. Nowakowska nie widziała co prawda twarzy, ale skołtunione włosy, powłóczysta czarna sukienka... Niewiele osób tak się ubierało.

Co przyjaciółka robiła nad jeziorem Forbin? Wsiadła do srebrnego samochodu. Ten ktoś musiał ją tu przywieźć. Dlaczego o tym nie wspomniała, skoro wiedziała, że Weronika chce tu przyjechać? Przecież mogła ją podwieźć.

Odpowiedź była jedna. Wiera nie chciała, żeby Nowakowska wiedziała o jej przyjeździe do Głębozca. Dlaczego?

– Jesteś zadowolona? – dopytywał się tymczasem Grzesiek.

– Tak, tak – mruknęła Weronika machinalnie.

Nadal chciała oczywiście sprawdzić pokój czterdzieści dziewięć, ale to Wiera nie dawała jej spokoju. Dlaczego przyjaciółka coś przed nią ukrywała?

Weszli do głównego budynku. Kiedy znaleźli się w foyer, Grzesiek podszedł do recepcji.

– Słucham państwa – powitał ich pracownik hotelu. Inny niż przedtem. Może tamten skończył na dziś pracę.

– Znajomi poprosili, żebyśmy zajrzeli do ich pokoju. Apartament numer czterdzieści dziewięć – poinformował pewnym tonem Grzesiek. – Może nam pan powiedzieć, gdzie to jest? My mieszkamy w drugim budynku i się nie orientuję.

To, że mieli do czynienia z innym recepcjonistą, ułatwiało sprawę. Poprzedniemu się zwierzyli, że byli w hotelu już wcześniej. Choć Nowakowska nie wątpiła, że Grzesiek i z tego kłamstwa jakoś by wybrnął.

Zgodnie z instrukcją pracownika hotelu poszli głównym korytarzem. Po drodze nikogo nie spotkali. Być może goście wygrzewali się na basenie albo delektowali się obiadem w restauracji. Wspięli się na półpiętro. W korytarzu panowała idealna cisza. Gruba wykładzina tłumiła odgłosy kroków.

Apartament znajdował się na antresoli. Dach robił się tu skośny. Numer pokoju wyświetlany był obok drzwi. Coś jakby z niewielkiego rzutnika.

– No to jesteśmy. – Grzesiek otworzył szybko drzwi.

– Tak – powiedziała Weronika, zaglądając zaciekawiona do pokoju. Wreszcie miała się dowiedzieć, o czym mówiła Valentine Blue.

SCENA 21

Ulica Zamkowa.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 17.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Szli szybkim krokiem ulicą Zamkową w kierunku skrzyżowania z Sądową. Byli już spóźnieni na rozmowę z Sarą Dębicką, ale do pizzerii było już niedaleko. Dotrą tam w kilka minut. Choć Laura Fijałkowska chyba w to nie wierzyła. Dzwoniła kilkakrotnie, żeby im przypomnieć o spotkaniu. Może czuła się odpowiedzialna, bo to ona ich umawiała.

– Co myślicie o tym, co powiedziała matka Bereniki? – zapytał Daniel w nadziei, że Emilia i Klementyna okażą się rozmowne. Męczyło go to milczenie.

Przystanął, żeby zapalić papierosa. Strzałkowska spojrzała na niego spod oka. Pomyślał, że zaraz usłyszy kolejny komentarz.

– No i znowu pojawia się Harold Dębowski – zaskoczyła go Emilia, kiedy ruszyli dalej.

Hanna Urbańska oczywiście wypierała się jakiegokolwiek udziału w zniknięciu Bereniki. Zaprzeczała też, jakoby chciała córkę otruć albo że podtruła swojego poprzedniego męża. Natomiast zeznała, że przychodzi jej do głowy ktoś jeszcze oprócz Cezarego Zaręby, kto mógłby źle życzyć BiBi. Jej zdaniem był to właśnie Harold Dębowski.

– Harold jest pracodawcą Celiny Krawczyk. BiBi widziała się z nim w dzień swojego zniknięcia – podsumowała Emilia.

– Spoko. Ale! Mnie historia, którą nas uraczyła Hanka, wydaje się naciągana – wtrąciła się Kopp. – Nie uważacie, co?

Na pytanie, dlaczego oskarża akurat Harolda, Hanna Urbańska zaczęła się płatać. Opowiedziała im, jak pewnego dnia jakiś czas temu jedli obiad i jej mąż wypowiadał się o Dębowskim w samych superlatywach i że to człowiek przejrzysty, bez tajemnic. Wtedy Berenika mruknęła, że nie wiedzą o Haroldzie wszystkiego, ona za to swoje wie.

– To prawda – przyznał Daniel. Miał lekką zadyszkę. Musi znowu zacząć dbać o formę. Palenie nie poprawiało kondycji. Oglądanie dna butelki też nie.

– To trochę mało, żeby oskarżać go o morderstwo – zauważyła Emilia oschle. – Choć nie możemy też tego ignorować. Nie uważacie, co?

Ostatnie pytanie zadała tak, jakby udawała Kopp. Klementyna się uśmiechnęła.

– To jest nowa informacja – ciągnęła Emilia. – Do tej pory wiedzieliśmy co prawda, że BiBi i Harold się znali, ale sądziliśmy, że przelotnie. A teraz nagle się okazuje, że być może BiBi posiadała jakąś niewygodną informację na jego temat. To może być motyw.

– O ile ona nie żyje – przypomniała Kopp.

– To prawda – zgodziła się Strzałkowska. – O ile nie żyje, a nie jest sprawczynią.

Kiedy minęli parking obok komendy, kilku chłopaków z prewencji kiwnęło im głowami. Pewnie zbierali się na nockę. Daniel odpowiedział pozdrowieniem.

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Rzucił niedopałek papierosa na ziemię i wyciągnął komórkę. Nieznany numer.

– Halo? – powiedział.

Po drugiej stronie linii rozległo się jakieś mamrotanie.

– Kto to? – zapytała Emilia.

– Halo? – powtórzył Podgórski, ignorując na razie jej pytanie. Przecież nie wiedział.

– Ja... ten... To chyba jednak nic ważnego – usłyszał w odpowiedzi.

– Kto mówi? – zapytał Daniel. Głos wydawał się znajomy, ale nadal nie mógł go skojarzyć z twarzą.

– Ja... to znaczy Wojtek Majewski. Zostawił nam pan wizytówkę. Wtedy w klubokawiarni. Nie wiem, czy pan pamięta?

No jasne. To był ten dostawca od Lecha Kołodzieja i całej ferajny z klubokawiarni.

– Oczywiście, że pamiętam – zapewnił Daniel. – Coś się stało, panie Wojtku?

– Chodzi o tę dziewczynę, która zniknęła...

Podgórski zatrzymał się natychmiast. Kopp i Strzałkowska zrobiły to samo. Patrzyły na niego zaciekawione.

– O Berenikę Borkowską? – upewnił się Podgórski. – O BiBi?

– Jo. I teraz jeszcze jedna osoba... Ja... wyszedłem sobie na spacer, żeby się trochę uspokoić. I postanowiłem zadzwonić do pana. Bo pan mówił, żeby zadzwonić, jeśli coś sobie przypomnimy.

Brzmiało to, jakby dostawca się usprawiedliwiał, że zajmuje mu czas.

– Bardzo dobrze, że pan dzwoni – zapewnił go policjant. – Proszę mi powiedzieć wszystko po kolei.

– Ja już nie wiem... To pewnie nieistotne.

– Wszystko może okazać się ważne.

Na linii coś trzeszczało. Majewski musiał być w miejscu, gdzie zasięg nie był najlepszy.

– Po tylu latach... – usłyszał Daniel. – Ale teraz ta Berenika zapytała mnie o tę starą sprawę. Może dlatego zaginęła. I jeszcze jedna osoba... Wtedy, dwadzieścia lat temu, nikt mi nie uwierzył, bo byłem dzieckiem i...

Wojtek urwał w pół słowa. Po drugiej stronie linii słychać teraz było coś jakby stęknienia. Zasięg chyba naprawdę był kiepski.

– Halo? – zawołał Podgórski. – Panie Wojtku?

Majewski się nie odezwał.

SCENA 22

Głębocek Vine Resort & SPA.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 17.00.

Weronika Nowakowska

Czyżbyś straciła zapal? – zagadnął Grzesiek.

Weronika przysiadła na fioletowej kanapie w części wypoczynkowej apartamentu i wpatrywała się w wyłączony telewizor. Oczywiście, że straciła zapal. Nie było wątpliwości, że pokój numer czterdzieści dziewięć nie kryje żadnych mrocznych tajemnic. Był co prawda większy niż siedemdziesiątka, którą dostali, udając zakochane małżeństwo, ale nie na tyle, żeby przeszukanie zajęło dużo czasu.

Z korytarza wchodziło się bezpośrednio do części wypoczynkowej. Z tego pomieszczenia prowadziły drzwi do łazienki. Naprzeciwko łazienki ustawiono szerokie łóżko. Leżąc na nim, można było wyglądać przez przeszklone drzwi balkonowe na zewnątrz. Widok był przepiękny. Na jezioro Forbin i pole golfowe, a dalej na winnicę.

Tylko że co z tego? Żadnych tajemnic! Nowakowska nie potrafiła ukryć zawodu. Rozczarowana znowu zaczęła krążyć myślami wokół Wierę. Co przyjaciółka robiła na przystani po drugiej stronie jeziora?

– Przejrzałem walizki Jowity i Renaty – oznajmił Grzesiek wobec braku reakcji ze strony Weroniki. – Oprócz czarnych stringów i kilku skrętów u tej młodej nie ma tam nic szczególnie ciekawego. No i są jeszcze dwie maczety. Idealne narzędzie zbrodni. Ale nie wiem, czy to jest jakiś trop. Jak uważasz?

Nowakowska milczała.

– Weronika? Powiedz wreszcie, o co chodzi – zażądał Grzesiek.

Usiadł na kanapie obok niej. Całkiem blisko. Przesunęła się trochę. On zrobił to samo. Weronika odsunęła się jeszcze. Była teraz niemal wbita w poręcz. Jeżeli Grzesiek się jeszcze zbliży, będzie musiała wstać.

– Po prostu zobaczyłam Wierę – powiedziała szybko.

– Gdzie?

– Na przystani po drugiej stronie jeziora. Kiedy rozmawialiśmy z Jowitą i Renatą.

– I?

– Nic... Nie spodziewałam się jej tam... I mam jakieś złe przeczucia – przyznała Weronika. – Nie wiem... może przesadzam.

Grzesiek klepnął się otwartymi dłońmi w kolana i wstał.

– Chodź. Darujmy sobie ten pokój. Zapytamy w recepcji, jak się dostać na drugą stronę jeziora, i sprawdzimy, co z Wierą. Dobrze?

Mówił delikatnie i opiekuńczo. Weronice niezbyt podobał się ten ton. Za bardzo przypominał to, co było kiedyś. Wzdrygnęła się mimowolnie. Nie ma co się bać, powtarzała sobie. Grzesiek nie mógł jej nic zrobić. Nic! Nie mógł jej znowu uwięzić!

Była taka szczęśliwa, kiedy zostali parą. Początkowo trzymali to w tajemnicy, mimo że semestr zimowy się skończył i Grzesiek nie prowadził już żadnych zajęć z grupą Weroniki. Dopiero w połowie letniego półrocza zdradziła koleżankom swój sekret. Zzieleniały z zazdrości.

Ale mniej więcej wtedy zaczęło dziać się coś niedobrego. To musiało narastać stopniowo. Weronika nie zauważyła nawet, kiedy Grzesiek zrobił się bardziej zazdrosny i bardziej opiekuńczy. Kiedy zaczęły się trzymiesięczne uniwersyteckie wakacje, codziennie powtarzał jej, że najchętniej

ukryłby ją przed całym światem. Otoczył ją bańką bezpieczeństwa, chyba tak to nazywał.

Traktowała to jako słowa niegroźne, a nawet słodkie. Ignorowała sygnały, które mogły wskazywać, że w ich związku dzieje się coś niedobrego. Wakacje to przecież piękny czas. Zwłaszcza kiedy jest się zakochaną studentką.

Tamtej nocy mieli wybrać się do restauracji, ale Grzesiek upierał się, że lepiej, żeby zjedli w domu. Weronika bardzo pragnęła wyjść. Poczuc zapach lata, posiedzieć przy stoliku na dworze. Uderzył ją. Potem kolejny raz. Straciła przytomność.

Obudziła się w sypialni. Było ciemno, bo rolety antywłamaniowe zostały zasunięte. Światło sączyło się spod drzwi. Wstała z łóżka. Ledwo mogła poruszać lewą ręką. Cała była obolała.

– Grzesiek? – zawołała.

Żadnej odpowiedzi. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Zamknięte. Poczula nieprzyjemny dreszcz na całym ciele. Wołała go. Waliła w drzwi. Próbowwała otworzyć okno, ale rolety skutecznie uniemożliwiały ucieczkę. Próbowwała w nie walić. Wtedy usłyszała przekręcanie klucza.

– Nie radziłbym robić nic głupiego – powiedział.

Pamiętała, jak ją bił. Umilkła przestraszona. Potem zaczął mówić, jak otoczy ją swoją miłością i ochroni przed światem zewnętrznym. Jak bardzo ją kocha. Jak będą już zawsze razem. Tylko we dwoje.

Tkwiała tak zamknięta w jego domu przez trzy dni. Dowiedziała się tego potem, bo w ciemnej sypialni zupełnie straciła poczucie czasu. Zdawało jej się, że jest tam całą wieczność. Tamtego przerażenia Weronika nie zapomni nigdy. Czuła się jak pisarz w *Misery* Stephena Kinga. Zamknięta w zaborczej miłości.

Po trzech dniach przyszła policja. Wezwała ją najbliższa przyjaciółka Weroniki. Magda była zmartwiona, że Nowakowska nie daje znaku życia. Pierwszą osobą, którą zobaczyła w otwartych drzwiach ciemnej sypialni, był Mariusz. Policjant ze stołecznej komendy, potem głównej. Jej późniejszy mąż. Teraz już eksmąż.

Grześka akurat nie było, kiedy wkroczyła policja. Wyszedł po zakupy. Wrócił do mieszkania z siatkami pełnymi produktów na romantyczną w jego mniemaniu kolację, kiedy Mariusz właśnie wyprowadzał ją z sypialni.

– Weronika? Co tu się dzieje?

Wilczyński mówił zatroskanym tonem. Potem grzecznie wytłumaczył policjantom, że nic się nie stało. Potrafił być bardzo przekonujący. Mieli właśnie jeść kolację, mówił. Weronika położyła się na chwilę spać. Zawsze się zamykała w sypialni, kiedy on wychodził. W tej okolicy było kilka włamań. Jest strachliwa. Nie dzwoniła do rodziny i przyjaciół? Cóż, Weronika i Grzesiek kochają się i stracili poczucie czasu. Zaraz podzwonią, żeby dać wszystkim znać, że jest w porządku.

Wilczyński kłamał jak z nut. A ona potakiwała. Czuła się, jakby zawiniła. Ona, nie on. Tym bardziej że nie zatrzymywał jej i pozwolił odejść. Potem przeproszał. Mówił, że go poniosło. Że przecież i tak by ją wypuścił, nawet gdyby nie przyszła policja. Że i tak już go nie zobaczy, bo dostał propozycję pracy w Świeciu. Chyba nie chce mu zniszczyć życia?

Weronika nie wniosła oskarżenia, mimo że Mariusz namawiał ją, by to zrobiła. Widział przecież ofiary przemocy domowej wielokrotnie. Nie uległa, ale zaczęli się spotykać. Pozornie po to, żeby przedyskutować sprawę. Potem po prostu dobrze im się rozmawiało.

Grzesiek nie próbował już się do niej zbliżyć. Wkrótce faktycznie wyprowadził się z Warszawy i objął stanowisko w Świeciu. Od czasu do czasu pisał do Weroniki. Ona tymczasem wyszła za mąż za Mariusza, a ten zdradzał ją z tyloma kobietami, że nawet nie próbowała już potem liczyć. Człowiek, któremu zaufała, który ją uratował, okazał się kimś zupełnie innym, niż sądziła. Zupełnie jak Wilczyński.

Mariusz miał pieniądze. Pochodził z bogatej rodziny. Przy rozwodzie dał jej sporą sumę, za którą kupiła dworek w Lipowie i wyremontowała stajnię. Wtedy poznała Daniela. Kłopot był tylko w tym, że Podgórski również ją zawiódł. Na miesiąc przed ślubem wylądował w łóżku z Emilią, swoją dawną dziewczyną. Strzałkowska zaszła w ciążę. Ich córka urodziła się przedwcześnie. Zmarła w wyniku powikłań. Relacje ich trójki, już i tak skomplikowane, zagmatwały się jeszcze bardziej.

Weronika westchnęła. Trudno jej było wybaczyć Danielowi, ale nadal go kochała. Mimo

wszystko.

– To jak? – powtórzył Grzesiek, wrywając ją ze wspomnień. – Darujemy sobie dalsze poszukiwania tu i idziemy sprawdzić, co z Wierą?

Wyciągnął rękę, żeby pomóc Weronice wstać z kanapy. Zignorowała ją. Wystarczyło, że udawali małżeństwo przed recepcjonistą i hotelowymi gośćmi. Nie zamierzała kontynuować tej gry, kiedy byli sami.

Wyszła na korytarz. Słyszała delikatne trzaśnięcie drzwi, kiedy psychiatra zamykał za nimi mityczny pokój numer czterdzieści dziewięć. Pokój, który nic ciekawego nie krył. Valentine Blue musiała chyba bredzić.

Zeszli do recepcji.

– Chodzi nam o tę przystań po drugiej stronie jeziora – zagadnął recepcjonistę Grzesiek.

– Jak możemy się tam dostać? – zapytała Weronika. Tym razem nie chciała, żeby Wilczyński przejął inicjatywę. Już mu na to nie pozwoli.

– Najbliżej będzie na piechotę – wyjaśnił pracownik hotelu. – Z naszej plaży odchodzi niewielka ścieżka. Trzeba nią pójść i na rozwidleniu w lesie skręcić w prawo. Tam jest mostek nad rzeczką. Potem dojdą państwo do szerszej drogi i ona prowadzi już do tego domu, do którego należy ten pomost. Tylko że...

Recepcjonista spojrzał na nich spod oka.

– Tylko że? – podchwyciła Weronika.

– Dlaczego państwo chcą tam pójść? – zapytał mężczyzna.

– A to już nie pańska sprawa – powiedział Grzesiek. Mówił takim tonem, że o dziwo nie wyszło to niegrzecznie.

Pracownik hotelu skinął głową, jakby przeproszał, że pozwolił sobie na zbyt wiele.

– Po prostu tam jest wszystko... – mężczyzna zawahał się, jakby szukał odpowiedniego słowa – zamknięte.

SCENA 23

Pizzeria na Zamkowej.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 17.20.

Klementyna Kopp

Kopp wyciągnęła butelkę coli z plecaka i upiła długi łyk. W pizzerii było gorąco. Klimatyzacja pracowała pełną parą, ale upał na dworze i piece, w których przygotowywano pizzę, nie pozwalały uzyskać znośnej temperatury.

– Napoje można kupić u nas – powiedział dobitnie kelner.

Postawił właśnie na stole przed nimi wielką pizzę.

– Spoko – mruknęła Klementyna i uniosła butelkę. – Ale! Nie trzeba. Mam swoją colę.

Kelner zrobił grymas, nie skomentował jednak jej słów. Kopp posłała mu w zamian słodki uśmiech i uniosła butelkę napoju jak w toaście. Odszedł czym prędzej.

– Bardzo przepraszamy za spóźnienie – powiedział tymczasem Daniel. – Byliśmy na przesłuchaniu, a potem dostałem ważny telefon.

Klementyna potwierdziła powoli głową. Telefon od Wojtka Majewskiego wydawał się potencjalnie interesujący. Jakaś sprawa z przeszłości, o którą BiBi go wypytywała, choć nie wspomniał o tym w klubokawiarni. To mógł być kolejny trop. Niestety połączenie zostało przerwane.

Podgórski próbował oddzwonić. Majewski nie odbierał. Uzgodnili więc, że kiedy Daniel i Emilia pójdą na odprawę do Sienkiewicza, Kopp pojedzie z powrotem do klubokawiarni i porozmawia z dostawcą w cztery oczy, żeby wyjaśnić, o co mu chodziło.

– Nie szkodzi – zapewniła Sara Dębicka. – Zamówiłam przez ten czas pizzę. Znowu zaczęłam biegać, więc mam nadzieję, że to spalę.

Zaśmiała się. Dębicka. To jej zaginiona Berenika Borkowska szukała u Lecha Kołodzieja. Musiała mieć jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Była piękną kobietą o naturalnej urodzie. Zupełnym przeciwieństwem swojej przyjaciółki, Danuty Kołodziej, z napompowanymi wypełniaczami ustami i twarzą usztywnioną botoksem. Sara każdą zmarszczkę wydawała się nosić z dumą. Długie włosy siwiały, ale ich nie farbowała.

Kopp musiała przyznać, że Sara jej się podoba, choć rzadko gustowała w kobietach w swoim wieku. Ale! Czuła też, że Dębicka coś ukrywa. Mimo że nie zaczęli jeszcze nawet rozmawiać. Może chodziło o nieco wymuszony luz w zachowaniu? Jakby Sara za wszelką cenę chciała dać do zrozumienia, że spotkanie z policją zupełnie jej nie stresuje i absolutnie nie ma nic do ukrycia. Kopp zdążyła się już nieraz przekonać, że takie osoby z reguły chowały jakiś szkielet w szafie.

– Proszę się częstować, jeśli są państwo głodni – dodała Dębicka.

– Nie trzeba... – zaczęła mówić Strzałkowska, ale Podgórski już sięgnął po kawałek pizzy i bez skrupowania zaczął jeść.

Dębicka uśmiechnęła się z aprobatą. Podwinęła rękawy zwiewnej hipisowskiej sukienki i poszła w jego ślady.

– Dlaczego BiBi szukała cię w klubokawiarni, co? – zapytała Kopp.

Nie chciała tracić czasu na wstępy. Po co? Przecież Danuta przyjaźniła się z Sarą i Kołodziejowie na pewno powiedzieli Dębickiej, dlaczego policja chciała się z nią widzieć.

– Nie mam pojęcia dlaczego – przyznała kobieta pomiędzy kęsami.

Kopp spojrzała jej w oczy. Dębicka nie odwróciła głowy. Jakby znowu zależało jej, żeby pokazać, że nie kłamie.

– Doprawdy? – odezwała się Emilia.

Najwyraźniej myślała policjantka wyczuła to samo. Na Daniela nie można było obecnie liczyć. Zajmował się pochłanianiem kolejnego kawałka pizzy. Jak wygłodniały wilk. Nie patrzył nawet w ich stronę.

– A kojarzy pani Celinę Krawczyk? – dodała Strzałkowska.

Sara Dębicka pokręciła głową.

– Pierwsze słyszę.

Zapadło milczenie. W tle cicho grała muzyka, którą raczyli swoich klientów właściciele lokalu. To musiał być jakiś popularny kawałek. Kopp pamiętała melodię, choć radia słuchała jedynie w samochodzie. I to rzadko.

– Dobrze mi się wydaje, że jest pani z zawodu historykiem? – odezwał się Podgórski. A więc jednak skupiał się nie tylko na jedzeniu.

Dębicka skinęła głową.

– Specjalizuję się w drugiej wojnie światowej. Dlaczego pan pyta?

– Interesowała się pani kiedyś bunkrem w Tamie Brodzkiej? – zapytał Daniel zamiast odpowiedzi. Komórkę BiBi znaleziono tuż obok. Pewnie do tego pił.

– Nie bezpośrednio. Oczywiście interesował mnie, ale nigdy nie prowadziłam tam żadnych badań. Skąd to pytanie?

Kopp wypięła do końca czołę i zgmiotła butelkę z głośnym trzaskiem. Kilka osób spojrzało w jej stronę. Kelner się skrzywił.

– Naprawdę nie wiesz, czemu ta małolata cię szukała u Kołodzieja, co? – zapytała. – Będziesz się upierać, że cię nie znała, co?

Przez chwilę znowu patrzyły sobie w oczy.

– Nie sądzę – powiedziała Sara.

Sięgnęła z wystudiowanym spokojem po kolejny kawałek pizzy. Daniel zrobił to samo. Gdyby byli tu jeszcze Dawid i Marta, przebiegło Klementynie przez myśl, pizza już dawno zostałaby zjedzona. Na myśl o młodych poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Nie było jej cały dzień. A przecież obiecała sobie, że zaopiekuje się Martą. Mieszkanie było po drodze do klubokawiarni. Postanowiła, że zajrzy do nich przed pójściem na rozmowę z Wojtkiem Majewskim. Poczucie winy co nieco zmalowało.

– Nie sądzi pani? – powtórzyła za Dębicką Emilia.

– Nie wiem, czy ona mnie znała – powiedziała Sara powoli.

– Czeka. Stop – wtrąciła się Kopp. – Co masz na myśli, co? Mówisz, że Berenika cię nie znała.

Ale! Ty ją znałaś czy co?

Historyczka kiwnęła głową.

– Można tak powiedzieć.

SCENA 24

Las nad jeziorem Forbin.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 18.00.

Weronika Nowakowska

Weronika przedzierała się przez krzaki. Komary i niewielkie muszki zorientowały się już, że czeka je posiłek. Zleciała się ich cała chmara. Próbowwała je odganiać, ale nawet na machanie ręką nie było za dużo miejsca. Czuła, że coś chodzi jej po szyi. Strąciła szybko owada. A przynajmniej miała nadzieję, że jej się udało. Wołała nie myśleć nawet, że to kleszcz. Nienawidziła ich.

– Może powinniśmy zawrócić? – zasugerował Grzesiek.

Oddali klucz od pokoju Jowicie i jej córce. Potem zeszli w dół wzgórza. Na drugim końcu plaży znaleźli ścieżkę, o której mówił recepcjonista. Na początku dróżka była całkiem szeroka. Dopiero kiedy skręcili w prawo na rozwidleniu, jak kazał im pracownik hotelu, ścieżka zdawała się mało uczęszczana i wkrótce przechadzka bardziej przypominała przedzieranie się przez chaszczę niż spacer.

– Nie – odpowiedziała krótko Weronika.

Nie zamierzała zrezygnować ze sprawdzenia, po co Wiera przyjechała nad jezioro. Jej przecucie, że przyjaciółkę może spotkać coś złego, mogło wydawać się nieracjonalne, ale musiała to sprawdzić. Tym bardziej że trop związany z pokojem hotelowym okazał się niewypałem.

Grzesiek pociągnął Weronikę za rękę. Odwróciła się do niego. Oddychała ciężko. Nie tylko dlatego, że w leśnej gęstwinie było gorąco.

– Zostaw mnie – warknęła.

Psychiatra spojrzał na nią zdziwiony. Długie włosy zwisały mu w nieładzie. Nowakowska zastanawiała się, czy wygląda tak samo. Dotknęła ręką głowy. Pomiedzy lokami wymacała liście, igły i kawałki patyków. Nieważne. To, jak wyglądała, było teraz najmniej istotne.

– Chodziło mi tylko o to, żebyśmy zawrócili po samochód – wyjaśnił Grzesiek. Mówił powoli, jakby tłumaczył coś małemu dziecku. – Podjedziemy tam szosą od drugiej strony. Tylko tyle. Jeśli tam jest dom, to musi być dojazd dla samochodów. Nie będziemy się przedzierać przez krzaki bez sensu. Powinniśmy byli tak zrobić od razu.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – zawołała Weronika i zrobiło jej się głupio, że tak wybuchła.

– To ty mnie poprosiłaś o pomoc – odparował Grzesiek teraz już z wyraźną irytacją. – Wyjašnjmy sobie coś, dobrze? Domyślam się, że chodzi ci o to, co było kiedyś...

– Jak mam o tym zapomnieć? – przerwała mu Weronika. – Przetrzywywałeś mnie w swoim domu! A teraz... a teraz udawałeś, że twój samochód jest niesprawny! Bo co, nagle tak wziął i odpalił? Uważasz mnie za głupią?

Dziwiła się, że nie przyszło jej to do głowy wcześniej. Nie znała się na autach tak jak on, ale żadne nie naprawiało się magicznym sposobem przez noc. Samo. Żeby to wiedzieć, nie trzeba być ekspertem od motoryzacji.

Oskarżenie zawisło w ciężkim powietrzu gęstego lasu.

– To prawda – powiedział Grzesiek powoli. – Udawałem wczoraj, że mój samochód nie odpala. Co więcej, zepsułem twój – dodał.

– Co?!

Weronika miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Zepsuł jej dzipa? Mógł to oczywiście zrobić. Znał się przecież na samochodach.

– Tak. To znaczy nie zepsułem. Za mocne słowo. Odłączyłem po prostu akumulator. Zrobiłem to w nocy, kiedy spałaś. Ale nie martw się. Chciałem tylko, żeby nie ruszył. Załatwię to w try miga.

Nowakowska sięgnęła do kieszeni po telefon. Musiała zadzwonić po pomoc. Nie da się drugi raz zamknąć. Nie pozwoli na coś jeszcze gorszego... Grzesiek przytrzymał jej rękę. Mocno. Próbowwała się wyrwać, ale jej nie pozwolił.

– Posłuchaj mnie z łaski swojej – rozkazał. – Przeprosiłem cię już kilka razy za tamto, co było. Doskonale wiesz, że chciałem dobrze. Chciałem cię chronić. Wiem, że to wiesz. W przeciwnym razie powiedziałabyś o wszystkim temu swojemu policjantowi.

Weronika w pierwszej chwili myślała, że chodzi mu o Daniela. Dopiero potem zrozumiała, że Grzesiek mówi o Mariuszu. Tak. Owszem. Nie powiedziała całej prawdy byłemu mężowi. Tak jak nikomu innemu. Sama nie wiedziała dlaczego. Może się wstydziła? Może się bała?

– Wiesz, że cię kochałem. Że nadal cię Kocham. Wiesz to?

Teraz tym bardziej chciała uciekać, ale Grzesiek jej nie puszczał.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknęła.

– Chcę dla ciebie tylko dobrze. Rozumiesz to, prawda? – zapytał znowu. Tym razem bardzo delikatnie. – Naprawdę chcę, żebyś była szczęśliwa. I spokojnie. Wiem, że wtedy przesadziłem. Byłem zbyt zaborczy.

– Zbyt zaborczy? Zamknąłeś mnie! – przypomniała Nowakowska. – Przetrzymywałeś mnie jak więźnia. Gdyby moja przyjaciółka nie wezwała policji, kto wie, jak długo bym tam siedziała.

– Już wtedy mówiłem, że i tak bym cię wypuścił. Miałem to zrobić właśnie tamtego dnia, kiedy przyszła policja. Dlatego szykowałem kolację. Zresztą nieważne. Teraz jestem zupełnie innym człowiekiem. Mówiłem ci to już wcześniej. Możesz mi ufać. Naprawdę.

Jakby na potwierdzenie swoich słów Grzesiek puścił jej rękę. Weronika nie czekała, od razu rzuciła się do ucieczki. Cienkie gałązki smagały ją po twarzy boleśnie. Z trudem torowała sobie drogę przez krzaki, ale starała się biec jak najszybciej. Nie było czasu, żeby dzwonić po pomoc.

– Weronika! Na litość! Poczekaj!

Nie zamierzała się zatrzymać.

– Poczekaj!

Słyszała jego przyspieszony oddech za plecami. Gonił ją. Pędziła przed siebie z jeszcze większą energią. Dlaczego poprosiła Grześka o pomoc?! Kto teraz jej pomoże?!

SCENA 25

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 18.05.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Na odprawę spóźnili się tylko kilka minut. Całe szczęście, że pizzeria była tak blisko komendy. Spotkali się w salce konferencyjnej na piętrze. Naczelnik Sienkiewicz zajął miejsce przy okrągłym stole. Skinął głową na pozostałych, żeby zrobili to samo.

Oprócz Emilii i Daniela przyszli szef techników Aleksander Ziółkowski i medyk sądowy, doktor Koterski. Była też Laura Fijałkowska, która koordynowała działania grupy z komendy. Policjantka rzuciła Strzałkowskiej niezbyt przychylnie spojrzenia.

Podgórski odsunął krzesło i gestem zaprosił Emilię, żeby usiadła. Sam zajął miejsce po jej prawej stronie. Miała wrażenie, że to szarmanckie zachowanie podyktowane jest wyrzutami sumienia za wczoraj. Kolejny znak, że tak naprawdę chce ją odsunąć.

– Poproszę o krótkie zapoznanie nas z tym, co zrobiliście – zwrócił się Sienkiewicz do Strzałkowskiej i Podgórskiego.

Pozostali odwrócili się w ich stronę. Strzałkowska odetchnęła głębiej. Czuli się jak na cenzurowanym. Jakby dopiero co ukończyła szkołę policyjną. Jeśli chciała dostać robotę w krymie, musiała dobrze wypaść. Musiała. Oby naczelnik nie był wściekły, że przesłuchali jego brata i matkę bez porozumienia z nim. Na razie trudno było cokolwiek z jego twarzy wyczytać.

– Zaczęliśmy dzień od wizyty u Krawczyków w Bargowie – poinformował Daniel. – To rodzice ofiary z Bropolu.

Podgórski opowiedział pokrótce o tym, jak przebiegło przesłuchanie Bernarda i Kazimierzy Krawczyków. Naczelnik Sienkiewicz spokojnie kiwał głową.

– Czyli zdaniem rodziców Celiny – upewnił się, kiedy Daniel skończył – jako potencjalnego sprawcę powinniśmy brać pod uwagę sąsiadów, Chrystiana Pawłowskiego i jego żonę Patrycję, oraz klientkę tej samej fryzjerki...

– Prawdopodobnie ta klientka to żona szefa restauracji, Danuta Kołodziej – wtrąciła się Emilia. Czuli potrzebę, żeby jakoś się wykazać. – Choć ona oczywiście zaprzecza.

– Oprócz tego mój brat i matka – powiedział Sienkiewicz. Głos nawet mu nie zadrżał, kiedy o tym mówił. – Tak?

– Postanowiliśmy od razu ich przesłuchać – odparł Daniel jakby pytająco.

Emilia czuła, że serce bije jej coraz szybciej. W napięciu czekała na reakcję Sienkiewicza.

– I bardzo dobrze – orzekł naczelnik z zaskakującym spokojem.

Strzałkowska zerknęła na Daniela. Odwzajemnił spojrzenie. Chyba też spodziewał się jakiegoś komentarza ze strony Sienkiewicza. Tymczasem wyglądało na to, że naczelnik nie jest zupełnie poruszony sprawą ewentualnej winy swojego brata i matki.

– Pani Alicja przyznała, że pomagała Chrystianowi Pawłowskiemu przeciąć hamulce w samochodzie Celiny Krawczyk – poinformowała ostrożnie Emilia. – Natomiast ksiądz Edward prawdopodobnie nic o tym nie wiedział.

– Nie dziwi mnie to – powiedział naczelnik. – Moja matka lubi brać sprawy w swoje ręce.

– Chrystian Pawłowski poprosił Mściława Grabowskiego, żeby mu doradził, jak przeciąć hamulce – wyjaśnił Podgórski.

– Myślisz, że Grabowski ma z tym coś wspólnego?

– Trudno powiedzieć – odezwała się Strzałkowska. – Jest właścicielem Bropolu, a tam przecież

leżało ciało Celiny. To akurat niczego nie przesądza, ale nie zapominajmy, że z Mściśławem Grabowskim Celina Krawczyk też miała zatarg. Przez długi czas jeździła do jego komisju i odstraszała mu klientu.

– Sam Grabowski to też interesująca persona – dodał Daniel.

– Co masz na myśli? – zapytał naczelnik.

– Klementyna go poznała – przyznał Podgórski. – Podobno, jak niektórzy sugerują, jego interesy nie są do końca czyste. Może coś tu jest na rzeczy.

Sienkiewicz skinął głową. Nie skomentował udziału Kopp w sprawie.

– Sprawdziliście auto ofiary? – zapytał, odwracając się do Ziółkowskiego.

– Tak – potwierdził szef techników. – Hamulce faktycznie zostały przecięte. Nic więcej nie mamy.

– A ten napis wydrapany na karoserii? Jak on dokładnie brzmiał?

– *Pożalujesz suko* – podsunęła Emilia.

– Ziółek, mamy tu jakiś punkt zaczepienia? – zapytał Sienkiewicz.

Szef techników skrzywił się swoim zwyczajem.

– Niestety nic szczególnego. Prawdopodobnie został wydrapany śrubokrętem albo podobnym narzędziem. Z tego, co słyszałem, samochód został umyty zaraz po tym, jak Celina Krawczyk zobaczyła napis?

– Jo – potwierdził Daniel.

Ziółkowski znowu się skrzywił.

– Dla nas to fatalnie. Obawiam się, że nie potwierdzimy winy pani Kołodziej. Paluchy co prawda są. Nawet sporo. Jak na wszystkim. Możemy próbować porównywać, ale to trochę potrwa.

– Zostawmy to na razie – zdecydował naczelnik. – Nie będziemy na to tracić czasu, skoro i tak nie mamy innych przesłanek, że Danuta Kołodziej zabiła Celinę. Wydrapanie napisu jeszcze nic nie znaczy.

– Ale... – zaczęła Emilia.

Sienkiewicz spojrział w jej stronę. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Spokojnie. W swoim czasie się tym zajmiemy – zapewnił. – Na razie bardziej mnie interesuje, kto Krawczyk zabił, a nie kto wydrapał jej napis na samochodzie.

– To jest zdecydowanie ważniejsze – poparła przełożonego Laura.

Wyrwała się z tym jak pilna uczennica. Zerknęła wyczekująco na Sienkiewicza, jakby oczekiwała, że szef poklepie ją po plecach. Strzałkowska poczuła narastającą irytację. Fijałkowska niezbyt ją lubiła, ale ta niechęć była odwzajemniona.

– Jedno z drugim może być powiązane – upierała się Emilia.

– Jasne – zgodził się naczelnik. – A macie coś jeszcze przeciwko Danucie Kołodziej? Oprócz tego napisu na samochodzie.

– To, że Berenika poszła w noc swojego zniknięcia do klubokawiarni, szukała tam Sary Dębickiej, przyjaciółki Danuty. Poza tym Kołodziejowie chcą kupić Bropol.

– Tak jak i pozostali – orzekł Sienkiewicz. – Jak znajdziecie wyraźniejszy motyw, to zajmiemy się potwierdzaniem, czy to Kołodziejowa wydrapała napis na samochodzie Celiny. Teraz skupiamy się na pozostałych osobach i nie tracimy czasu na bzdety.

Strzałkowska miała ochotę powiedzieć, że takie bzdety bywają bardzo istotne, ale się powstrzymała. Dyskusje z przełożonymi czasami nie miały sensu. Najczęściej nie miały.

– Nie podoba mi się Lech Kołodziej – odezwał się Daniel. – Lech naskoczył dziś na jednego ze swoich pracowników. Z zupełnie błażej przyczyny.

– To znaczy?

– Chodziło o jakieś porządki w ogródku restauracji. Kołodziej wyglądał na wściekłego. Zupełnie niewspółmiernie do sytuacji.

Emilia potwierdziła. Była podobnego zdania.

– Ten pracownik potem do mnie zadzwonił – dodał Podgórski. – To też wydaje się interesujące.

– Dzwonił, żeby oskarżyć Kołodzieja o napaść czy jak? – zapytał Sienkiewicz.

– Nie. Chodziło o jakąś starą sprawę sprzed dwudziestu lat. BiBi, to znaczy zaginiona Berenika Borkowska, go o nią zapytała. Potem podobno jeszcze ktoś, ale nie powiedział niestety kto. W każdym razie ten Majewski mówił, że nikt mu wtedy nie wierzył, bo był dzieckiem. Chyba tak to ujął.

Naczelnik uniósł brwi.

– O jakiej konkretnie sprawie była mowa? – zapytał z zainteresowaniem.

– Nie wiem – przyznał Podgórski. – Połączenie zostało przerwane, zanim mi powiedział.

– Spróbujemy to ustalić jeszcze dziś – zapewniła Emilia. Nie wspomniała oczywiście, że Klementyna wybierała się właśnie do klubokawiarni, żeby tym się zająć. – Na razie nie zdążyliśmy, bo byliśmy umówieni z Sarą Dębicką.

Sienkiewicz pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

– To ta, której Berenika Borkowska szukała w zeszłą środę w klubokawiarni – wyrwała się znowu Laura Fijałkowska. – Mam nadzieję, że się nie spóźniliście. Czego się dowiedzieliście?

Policjantka mówiła takim tonem, jakby to ona tu dowodziła. Naczelnik nie zareagował. Wyglądał na zamyślonego.

– Dębicka twierdzi, że nie ma pojęcia, dlaczego Berenika jej szukała – powiedział Podgórski.

– Wierzycie jej?

Emilia wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć – przyznała. – To specyficzna osoba. Na koniec rozmowy twierdziła na przykład, że BiBi jej nie znała, ale ona ją tak.

– To znaczy? – zaśmiał się doktor Koterski.

– Nigdy się nie spotkały, ale Dębicka kojarzyła BiBi – wyjaśnił Daniel. – Dlatego że kiedyś rozmawiała z jej ojcem.

– Z Gustawem Urbańskim? – zapytała Laura Fijałkowska.

– To jej ojczym – poprawiła ją z pewną satysfakcją Strzałkowska. – Biologiczny ojciec to Marcin Borkowski. Zginął w wypadku samochodowym jakiś czas temu. Jego ojciec czy dziadek brał udział w walkach z hitlerowcami podczas drugiej wojny światowej. Dębicka spotkała się z nim, żeby poznać jakieś fakty, kiedy zbierała materiały do artykułu. Wspomnił wtedy, że ma córkę. To jest jedyne powiązanie. Przynajmniej jedyne, do którego Dębicka się przyznała. Ale pamiętajmy, że telefon BiBi znaleźliśmy niedaleko Tamy Brodzkiej. A tam z kolei jest bunkier z okresu drugiej wojny światowej.

– No i zajazd. Teraz wykupiony przez Lecha Kołodzieja – dodał Daniel. – Czyli kolejny raz wyskakują Kołodziejowie.

Sienkiewicz kiwnął głową nadal zamyślony.

– Co dalej? – zapytał.

– Dalej mamy barmana z klubokawiarni, Karola Zakrzewskiego – podjął relację Podgórski. – To były mąż Celine Krawczyk. Kłócili się o syna. Chciała mu odebrać prawo do opieki, w związku z tym ich relacje nie były najlepsze. W klubokawiarni rozmawialiśmy jeszcze z kelnerką, Kariną Stępień. Ona z kolei jest dawną koleżanką Celine. Jeszcze z podstawówki. Na dzień przed wyjazdem Celine na wyprawę pokłócili się. To kelnerka powiedziała nam o Chrystianie Pawłowskim i pani Alicji. Że majstrowali przy samochodzie.

Podgórski zrobił palcami znak cudzysłowu w powietrzu.

– O co się kłóciły Stępień i Krawczyk? – zapytała Laura Fijałkowska.

– Kelnerka twierdzi, że chciała pomóc Zakrzewskiemu – poinformowała sucho Strzałkowska. – Przemówić jej do rozumu, żeby Celina nie odbierała mu syna. Wydaje mi się, że Karina Stępień kłamie.

– Oni są parą? – zapytała Laura.

Strzałkowska miała irracjonalne wrażenie, że policjantka pyta o nią i o Podgórskiego. Dopiero po chwili zrozumiała, że chodzi jej o Karola i Karinę.

– Podobno nie.

– Podobno – mruknęła Laura, jakby chciała pokazać, że ona lepiej by sobie poradziła z przesłuchaniem i z miejsca odkryłaby prawdę.

– Rodzice ofiary zwrócili uwagę na to, że właściwie jedyną osobą, z którą Celina nie miała na pieńku, jest jej pracodawca, Harold Dębowski – zabrał głos Daniel. Zdawał się zupełnie niewzruszony zachowaniem Laury. Strzałkowska zazdrościła mu tego spokoju. Ją Fijałkowska wyprowadzała z równowagi.

– Z tym że ostatnio ich relacje się pogorszyły – odpowiedziała, siląc się na neutralny ton.

– Dlaczego? – zainteresował się Sienkiewicz.

– Harold Dębowski twierdzi, że chodziło o Nowe Horyzonty. Celina podobno miała mu za złe, że dawał tam za dużo pieniędzy. Podobno Harold i Celina nie byli kochankami. Podobno.

Ostatnie słowo Emilia powiedziała z naciskiem, przyglądając się Laurze. Co prawda obiecała sobie, że wzorem Podgórskiego nie da się sprowokować, nie mogła się jednak powstrzymać. Doktor Koterski zaśmiał się cicho pod nosem, jakby tylko on zrozumiał, co właśnie zrobiła.

– Harold tłumaczył nam, że chodziło o twojego brata, księdza Edwarda – dodał Podgórski, odwracając się w stronę naczelnika. – Że głównie to on i jego zaangażowanie w ośrodku były powodem, dla którego Celina nie chciała, żeby Harold wspierał Nowe Horyzonty. Podobno miała na tym punkcie obsesję. Była walczącą ateistką. Tak ją przedstawili i rodzice, i twoja rodzina.

– Moja matka zawsze była wierząca – mruknął Sienkiewicz.

– Jeśli chodzi o Celinę Krawczyk, to właściwie tylko jej rodzice mają alibi na środę wieczorem, kiedy zginęła – powiedział Daniel i odwrócił się do Koterskiego. – Bo czas zgonu bez zmian, tak?

Koterski uśmiechnął się.

– Tak. Celina Krawczyk została zabita w środę. Tydzień temu. Najprawdopodobniej w nocy.

– No więc jej rodzice byli wówczas u znajomych na grillu – wyjaśnił Daniel. – Laura, potwierdziłaś to?

– Tak.

Daniel skinął głową w podziękowaniu.

– Świetnie. Czyli poza Bernardem i Kazimierą Krawczykami pozostałe osoby były albo same, albo ze swoimi partnerami, a więc mogła to zrobić każda z nich. No i teraz rodzi się pytanie, czy śmierć Celine Krawczyk i zniknięcie Bereniki Borkowskiej są ze sobą związane. Bransoletka przy wjeździe do ośrodka Bropolu wskazywałaby na to, że są i że BiBi tam była owej nocy. Tylko co tam robiła?

– Wy przecież nawet nie wiecie, czy ona żyje, czy nie – mruknęła Laura oskarżycielsko.

– To prawda – odparł spokojnie Daniel. – Nadal nie wiemy, jaka jest jej rola w sprawie. Czy jest ofiarą, czy wręcz przeciwnie i może brała udział w morderstwie Celine Krawczyk. Natomiast ustaliliśmy ewentualny związek pomiędzy BiBi a Celiną. Berenika była wolontariuszką w Nowych Horyzontach. Celina załatwiała tam rozmaite sprawy w imieniu Harolda, między innymi wpłaty. Przyjaciółka BiBi wspomniała nam, że w sobotę tydzień temu obie były w ośrodku i Celina podwoziła BiBi do miasta. Szesnastego lipca.

– Czyli Berenika i Celina się znały – podsumowała Emilia. – Warto też przypomnieć, że rozmawialiśmy dziś jeszcze raz z Hanną Urbańską. I ona też wspomniała nam o Haroldzie. Co prawda być może żeby bronić siebie, ale sugerowała, że BiBi mogła zdobyć jakieś informacje na temat Harolda. Urbańska odniosła wrażenie, że to może być coś kompromitującego.

– Czyli zarówno Harold Dębowski, jak i Kołodziejowie pojawiają się nam tu i tam kilkakrotnie – podsumował Daniel.

Sienkiewicz znowu tylko skinął głową.

– A co macie do powiedzenia o ojcu tego waszego kolegi z posterunku? – zapytała z naciskiem Laura.

Tym razem Fijałkowska chciała chyba podkreślić, że Daniel i Emilia są tu w komendzie tymczasowo, a ich właściwe miejsce jest w Lipowie. Tak odebrała to Strzałkowska. Jej irytacja na Laurę jeszcze się wzmogła.

– Na razie nic nowego – odpowiedział Daniel z całym spokojem. – Przyjaciółki Bereniki twierdziły wczoraj, że Cezary Zaręba mógł bić BiBi. W jej telefonie faktycznie były zdjęcia siniaków, ale nie wiemy, kto ją pobił. Natomiast zarówno Cezary, jak i dziewczyny dzisiaj mówili o trudnej relacji

BiBi z matką. Doris powiedziała nawet, że Berenika bała się o swoje życie. Dlatego dzisiaj znowu spotkaliśmy się z Hanną. Chcieliśmy to wyjaśnić.

– To znaczy? – zapytał Sienkiewicz, który wreszcie wyrwał się z zadumy.

– Podobno BiBi twierdziła, że matka chce ją otruć – wyjaśniła Strzałkowska. – Tak jak Marcina Borkowskiego.

– Właśnie. – Daniel odwrócił się do doktora Koterskiego i zapytał: – Dałoby się sprawdzić, czy Borkowski został otruty? Zginął sześć lat temu w wypadku. To była głośna sprawa, bo odcięło mu głowę. Sprawcą był pijany kierowca tira, więc podejrzewam, że u Borkowskiego nie robiono wtedy szczegółowej toksykologii. Z tego, co pamiętam, nie było mowy o otruciu. Dopiero teraz to wypływa.

– Kojarzę tę sprawę – powiedział patolog. – Chociaż ja się tym nie zajmowałem. Musiałbym zajrzeć do dokumentacji. Chciałbyś ekshumować ciało? Pamiętaj, że to dość skomplikowane.

Emilia od razu pomyślała o pewnym wieczorze w małych, ukrytych wśród lasów Utopcach, kiedy ekshumowali ciało. Zadrzała. Nie miała zbyt wielkiej ochoty na powtórkę z tej wątpliwej rozrywki.

Daniel wzruszył ramionami.

– Jo. Ale jeśli będzie trzeba. Dałoby się teraz cokolwiek wykryć?

– Wszystko zależy od rodzaju trucizny i...

– Chwileczkę. Znowu chyba się zagalopowaliśmy – przerwał im Sienkiewicz. – Na razie nie będziemy nikogo wykopywali. Dopiero kiedy to będzie absolutnie konieczne. Skupmy się na tym śledztwie. I żadnych ale.

Ostatnie słowa naczelnik wyraźnie skierował do Emilii, mimo że tym razem nic nie powiedziała.

– Laura, a ty co zrobiłaś? – zwrócił się do Fijałkowskiej.

Laura odchrząknęła.

– Sprawdziłam billingi Celiny Krawczyk. Niestety nie znalazłam nic godnego uwagi – przyznała.

– Potwierdziłam alibi Krawczyków, ale o tym już było. No i rozpytywałam trochę w Tamie Brodzkiej. W zajeździe. Bo wy to pominęliście.

– Jechaliśmy do trupa Celiny Krawczyk – przypomniała sucho Emilia. – Nie było kiedy.

Poczuła gniew na samo wspomnienie tamtej chwili, kiedy pocałowała Daniela, a on ją odsunął. Mimowolnie odchyliła się w lewo, żeby być teraz jak najdalej od niego.

Laura wzruszyła ramionami, jakby wezwanie do trupa było czymś zupełnie nieważnym.

– No więc co takiego odkryłaś? – zapytała zirytowana Strzałkowska.

Szybko pożałowała, że znowu dała się ponieść emocjom. Przecież nie byli w Lipowie, tylko na komendzie. Powinna bardziej się pilnować i zachowywać profesjonalnie. Zwłaszcza jeśli chciała tu zostać dłużej.

– Niestety nic szczególnego – przyznała Fijałkowska. Na jej twarzy malował się złośliwy uśmiešek. Najwyraźniej była zadowolona, że wyprowadziła Emilię z równowagi. – Zastanawialiście się, czy Berenika mogła tam dojechać autobusem. Po pierwsze sprawdziłam, czy w ogóle jest jakieś nocne połączenie.

– I? – zapytał krótko Sienkiewicz.

– W wakacje kursuje tamtędy nocny autobus. Żeby turyści mogli dojechać z powrotem z miasta nad jezioro. Odjeżdża z dworca tuż obok Kauflandu. Berenika mogła bez problemu zdążyć na ostatni. Z klubokawiarni to jest niedaleko. Zwłaszcza jeśli poszłaby przez park.

– Rozmawiałaś z kierowcą? – chciał wiedzieć Daniel.

– Tak.

– I? – zapytał znowu naczelnik.

Laura Fijałkowska wzruszyła ramionami.

– Niewiele. Mówi, że nie zwracał uwagi. Jechała jakaś pijana grupa. Wsiadali i wysiadali na każdym przystanku. Dla zabawy. Był wściekły. W każdym razie kłębili się i robili hałas. Nie zwrócił uwagi, czy w tym czasie była tam Berenika. Było za dużo ludzi.

– Znalazłaś ich?

Fijałkowska uśmiechnęła się zadowolona z siebie.

– Tak. Ale oni w ogóle nic nie kojarzą.

– Czyli nie możemy zakładać, że jechała tym autobusem? – zapytał Sienkiewicz.

– Nie, ale też nie możemy tego wykluczyć – podkreśliła Fijałkowska. – A skoro mowa o tym, jak Berenika mogła dotrzeć ewentualnie do tego autobusu, to sprawdziłam też monitoring z zaplecza klubokawiarni. Mówiliście, że po kłótni z barmanem BiBi wyszła bramą na zapleczu. Czyli na Świętego Jakuba.

– Jo – potwierdził Daniel.

– Problem polega na tym, że mamy do dyspozycji tylko kamery u wylotu Świętego Jakuba. Jedną od strony Kościelnej, a drugą tu od naszej. Żadna nie obejmuje zaplecza klubokawiarni. Jedyne, co mogłam sprawdzić, to że Berenika nie wyszła ani na Kościelną, ani na Zamkową. Mogła oczywiście pójść prosto nad Drwęcę i w ten sposób uniknąć okolicznych kamer. Ale wtedy szukamy igły w stogu siana. Trzeba by przejrzeć kamery z pozostałych ulic. Ciężko byłoby to ogarnąć. To znaczy potrzebowałabym więcej czasu.

Teraz Laura wyraźnie próbowała się tłumaczyć.

– Natomiast to by się zgadzało z tym, że szła na dworzec – dodała. – Tak jak wspomniałam, droga zajęłaby jej kilka minut.

– A monitoring na dworcu? Może tam dałoby się sprawdzić, czy wsiadła do autobusu – wtrącił się doktor Koterski. – To znaczy przepraszam, że się mieszam w nie swój rewir, ale tak mi przyszło do głowy.

– Zaczęłam przeglądać taśmy. Ale jej tam nie zauważyłam – odpowiedziała Laura. – Tylko że jeżeli na przykład przyszła dużo za wcześnie, mogła pójść piechotą do kolejnego przystanku. Żeby nie czekać. Ja tak czasem robię. Miałam za mało czasu i nie zdążyłam przejrzeć kamer z całego miasta!

Fijałkowska zrobiła się czerwona na twarzy.

– Spokojnie – zaśmiał się Koterski. – Na pewno nikt tego od pani nie oczekuje.

Naczelnik Sienkiewicz odwrócił się do Ziółkowskiego.

– No dobrze, a co wy macie? – zapytał, nie komentując słów patologa ani nie patrząc w stronę Fijałkowskiej.

– Jeśli chodzi o samochód Celiny Krawczyk, potwierdziliśmy, że hamulce zostały przecięte – powiedział technik. – W Bropolu mamy dużo roboty. Jak wiecie, w takich sytuacjach trudno jednoznacznie odseparować ślady dla nas ważne od tych zupełnie przypadkowych. Ośrodek jest opuszczony, ale kręcą się tam ludzie. Jak mówiłem wcześniej, analizując ślady krwi na ziemi, zaryzykowałbym twierdzenie, że Celina Krawczyk została zaatakowana przy bramie. W każdym razie poraniła się drutem kolczastym. Może sprawca ją pchnął albo sama się potknęła. Potem uciekała w głąb ośrodka, zostawiając kolejne ślady. Aż do miejsca, gdzie pani Kopp znalazła ciało.

Emilia uśmiechnęła się pod nosem. Dobrze, że nie było tu Klementyny. Nienawidziła, jak Ziółek nazywał ją *panią Kopp*. Na pewno by mu się odcięła.

– Jesteśmy pewni, że na drucie kolczastym jest jej krew? – zapytał Daniel.

Szef techników skrzywił się niechętnie.

– Analizy porównawczej DNA jeszcze nie mamy, ale grupa krwi zgadza się z grupą krwi ofiary, więc możemy roboczo założyć, że to była jej krew. Sprawdzamy ubrania ofiary pod kątem ewentualnych mikrośladów sprawcy. Jak coś będę miał, dam wam od razu znać.

– Bezpośrednia przyczyna zgonu? – zapytał Sienkiewicz, odwracając się teraz do doktora Koterskiego. – Słyszałem, że miała pokaźną ranę w brzuchu.

Ciało faktycznie wyglądało makabrycznie. Spuchnięte, naruszone częściowo przez zwierzęta i z dziurą ziejącą w brzuchu. Emilia wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

– Jeśli chodzi o drut kolczasty, to faktycznie na ciele są ślady, które pasowałyby do tej teorii – przyznał Koterski. – To oczywiście nie jest bezpośrednia przyczyna śmierci. Jest nią właśnie ta wielka rana w brzuchu, którą widzieliście. Sprawca dosłownie przebił Celinę na wylot. Potem wykonał narzędziem kilka, kilkanaście okrężnych ruchów, jakby chciał jeszcze pogłębić ranę. Coś jakby mieszał herbatę, że pozwolę sobie użyć takiego porównania.

Patolog zaśmiał się. Nikt mu nie zawtórował. Zapadła cisza.

– O jakim narzędziu zbrodni mówimy? – zapytał Sienkiewicz, przerywając milczenie.

– Ze względu na charakter obrażeń trudno jest stwierdzić. Brzegi rany są zniekształcone. Poza tym mamy tu ślady zwierząt. Stawiałbym na coś, co może przebić człowieka. Ma dość ostry czubek, ale brzegi tępe. Coś takiego jak grot włóczni, lanca, oszczep...

– A maczeta? – przerwała mu Emilia. Przecież niedawno widzieli nawet dwie. I to całkiem imponujące.

SCENA 26

Nad jeziorem Forbin.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 18.05.

Weronika Nowakowska

Nowakowska wybiegła z gąszczy. Stało się to tak nagle, że zupełnie się tego nie spodziewała. W jednej chwili przedzierała się przez krzaki w panicznej próbie ucieczki, w drugiej wybiegła na utwardzoną drogę gruntową. To musiała być ta, która prowadziła do domu nad przystanią.

– Weronika! – usłyszała wołanie Grzeška za plecami. – Poczekaj!

Niepotrzebnie się zatrzymała. Był całkiem blisko. Trzeba było szybko podjąć decyzję. Pobiec w prawo czy w lewo? Były dwie możliwości, albo dobiegnie do domu z przystanią, albo do szosy. Dom wydawał się lepszym wyborem. Skoro była tam Wiera, to może był tam ktoś jeszcze. Ktoś, kto obroni Weronikę przed Grzeškiem. Szosa wydawała się mniej pewnym rozwiązaniem. Przecież niekoniecznie ktoś musiał akurat tamtędy przejeżdżać i jej pomóc.

Ruszyła w prawo. Wydawało jej się, że teren lekko się obniża, więc droga pewnie prowadziła w kierunku jeziora. Letnie buty nie nadawały się do biegania, ale starała się przyspieszyć kroku.

Wtedy się potknęła.

To musiał być kamień. Może korzeń. W każdym razie gruchnęła jak długa na ziemię. Niemal od razu usłyszała ciężki oddech Grzeška tuż za sobą. Odwróciła się natychmiast na bok. Leżała na piachu. To nie była idealna pozycja do obrony. Ale Nowakowska chciała przynajmniej widzieć napastnika.

– Nic ci nie jest? – zawołał psychiatra, dobiegając do niej.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknęła rozpaczliwie. Oby ktoś ją usłyszał. – Pomocy!

– Weronika, na miłość boską. Przestań krzyczeć. Chcę ci pomóc wstać z ziemi.

Jakby na potwierdzenie swoich słów Grzesiek wyciągnął do niej rękę. Nie zamierzała podawać mu swojej. Sama spróbowała wstać. Nie szło to najlepiej. Wszystko ją bolało. Upadła z impetem i była mocno poobijana. Zwłaszcza lewa ręka. Prawie nie mogła nią ruszać ani się podeprzeć. Łuk brwiowy chyba zaczął krwawić.

– Przestań już się wygłupiać – rozkazał Grzesiek. – Nie histeryzuj. Nie chcę cię skrzywdzić. Jeszcze raz przepraszam za to, co było kilka lat temu. Teraz pozwól, że ci pomogę wstać, i idziemy sprawdzić ten dom nad jeziorem. Tak jak chciałaś.

Weronika podniosła się powoli, opierając się na jego rękę. Ramię rwało ją boleśnie.

– W porządku? – zapytał Grzesiek. – Zraniłaś się w twarz. Pozwól mi...

– Nie!

Wilczyński uniósł rękę w górę, jakby się poddawał. Przypatrywał się Weronice zmartwiony. Rzeczywiście nie wyglądało na to, by miał złe zamiary.

– Jak chcesz – powiedział. – Dasz radę iść?

– Tak – zapewniła szybko. Kręciło jej się w głowie od uderzenia i z bólu, który rozsadzał ramię. Nie zamierzała jednak ujawnić swojej słabości. Tak na wszelki wypadek. – Chodźmy już.

Ruszyli w dół drogi. Starła się dotrzymać mu kroku.

– Na pewno ci nie pomóc? – zapytał.

– Nie – ucieła.

Całe szczęście za kolejnym zakrętem zobaczyli wysoki mur. Wjazdu pilnowała wielka ciężka brama. W jej metalowych skrzydłach nie było najmniejszego prześwitu.

– Po drugiej stronie chyba jest wyjście na przystań – zaczęła mówić Weronika. – Wydaje mi się, że widziałam furtkę. Może spróbujemy tamtędy. Trzeba by okrążyć...

– Widzisz numer posesji? – przerwał jej Grzesiek. W jego głosie pobrzmiwała delikatna ekscytacja. – Myślisz, że to przypadek?

Dopiero teraz zwróciła uwagę na dyskretną tabliczkę zamontowaną przy bramie.

– Numer czterdzieści dziewięć – przeczytała. W jednej chwili zapomniała o lęku przed Grześkiem. – Czterdzieści dziewięć!

Może się pomylili i nie chodziło wcale o apartament w luksusowym hotelu Głębocek Vine Resort & SPA, jak początkowo im się wydawało, ale o jakieś pomieszczenie w tym samotnym, otoczonym murem budynku. Przecież on też znajdował się nad jeziorem Forbin. Opis pasował równie dobrze. Tylko co tu mogła robić Wiera?

– Tu jest domofon – powiedział Grzesiek, podchodząc do bramy.

Weronika spojrzała na Wilczyńskiego zdziwiona.

– Chcesz tak po prostu zadzwonić?

– I tak pewnie już wiedzą, że tu jesteśmy.

Nowakowska podążyła za jego spojrzeniem. Nieco z boku bramy przymocowana była niewielka kamera. Poruszyła się i jej oko było teraz skierowane prosto na nich. Faktycznie za późno na ukrywanie się. Ktokolwiek był w środku, patrzył teraz prosto na nich.

Weronika podeszła do domofonu zdecydowanym krokiem. Zadzwoniła. Żadnej reakcji.

– Spróbuj jeszcze raz – poradził Grzesiek.

Nacisnęła przycisk i przytrzymała. Wydawało jej się, że usłyszała ciche kliknięcie. Jakby ktoś po drugiej stronie muru podniósł słuchawkę domofonu.

– Dzień dob...

Zanim Weronika skończyła mówić, brama zaczęła się powoli rozsuwać. Nowakowska zajrzała do środka zaciekawiona. Podjazd przed domem chyba niedawno rozszerzono. Część kostki nadal pokryta była piaskiem. Świeżo ją położono. Dalej zobaczyła trawnik, drewnianą ławkę przy murze i kilka ozdobnych krzewów. Tuż przy drzwiach garażowych stał srebrny mercedes. Weronika nie dałaby sobie ręki uciąć, ale to mógł być ten samochód, do którego wsiadła Wiera koło sklepu.

Nagle drzwi domu otworzyły się z trzaskiem. Weronika zupełnie nie spodziewała się osoby, którą zobaczyła na ganku.

SCENA 27

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 19.10.

Aspirant Daniel Podgórski

A maczeta? – zapytała Strzałkowska. – Czy to możliwe, że Celina została przebita maczetą?

– To zależałoby od modelu – odpowiedział Koterski. – Choć uważam, że nie. Maczety mają przynajmniej jeden ostry brzeg. Tu raczej chodzi o coś tępego po bokach i ze szpicem na końcu. A skąd to pytanie o maczetę?

– Renata Dębowska, córka Harolda, posiada nawet dwie – wyjaśnił Daniel. – Podobno z nimi tańczy.

– Może mimo wszystko warto byłoby je sprawdzić? – zasugerowała Strzałkowska. – Tym bardziej że Harold miał do nich dostęp. Nie tylko jego córka.

– Zajmę się tym – zgłosiła się natychmiast Laura Fijałkowska.

Daniel zauważył, że Emilia posłała jej niechętnie spojrzenie. No tak, najpierw konflikt z Klementyną, a teraz z Fijałkowską.

– Świetnie – powiedział Sienkiewicz. Zerknął na zegarek. – Na dziś kończymy. Jest po siódmej. Jutro działacie dalej. Czekam na relacje.

Odprawa dobiegła końca.

– Daniel, Emilia, zaczekajcie chwilę – poprosił naczelnik.

– Coś się stało? – zapytał Podgórski, kiedy pozostali wyszli.

Naczelnik wyglądał na zafrasowanego, czyli zapewne nie miał dobrych wieści. Może jednak szykowała się pogadanka o przesłuchaniu księdza Edwarda i pani Alicji? A może chodziło o coś jeszcze innego? Podgórski pomyślał o swojej nieprzespanej nocy i walce, którą stoczył sam ze sobą. Dopadło go irracjonalne przekonanie, że naczelnik wie, że chciał się napić. A przecież nie uległ. Nie wypił ani kropli. Nawet piwa.

– Ten Majewski powiedział wam o starej sprawie, tak? – zapytał Sienkiewicz ku uldze Podgórskiego. A więc chodziło tylko o dochodzenie. – Sprzed dwudziestu lat?

– Jo. Będziemy to sprawdzali.

– To by był dziewięćdziesiąty szósty rok, prawda? – upewnił się naczelnik. – Dobrze liczę?

Podgórski potwierdził.

– A co? – zapytał.

– Wydaje mi się, że wiem, o co może chodzić – oznajmił Sienkiewicz. – To znaczy o jakiej sprawie mówił ten Wojtek Majewski.

Naczelnik sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał: powiedzieć więcej czy raczej zostawić to dla siebie. Daniel nie zamierzał go pospieszać. Po pierwsze dlatego, że Sienkiewicz był jego szefem, więc wolał nie igrać z ogniem. Po drugie i ważniejsze, odrobina cierpliwości przynosi w takich sytuacjach lepszy skutek.

– O jaką sprawę chodzi? – nie wytrzymała Strzałkowska. Zupełnie niepomna intencji Podgórskiego.

Naczelnik odwrócił się do niej. Wyglądał na zmęczonego.

– O śmierć mojej żony i Michałka – powiedział powoli.

Daniel spojrział na przełożonego kompletnie zaskoczony. Zawsze myślał, że Sienkiewicz jest samotny. Naczelnik nigdy nie wspominał, że miał kiedyś żonę. I syna. Podgórski z całych sił starał się nie skupiać na myśleniu o śmierci dziecka. Znowu. Znowu. Znowu.

– To się stało prawie równo dwadzieścia lat temu – dodał naczelnik. – W nocy z piątku na sobotę. Z dwunastego na trzynasty lipca dziewięćdziesiątego szóstego roku.

SCENA 28

Obrzeża Lipowa od strony jeziora Bachotek.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 19.20.

Klementyna Kopp

Kopp zatrzymała swoją małą czarną skodę przed niewielkim gospodarstwem. Stało samotnie na skraju pól otaczających Lipowo i lasu porastającego brzegi jeziora Bachotek. Samotnie. Nie licząc drugiego niewielkiego domu. Oprócz tych dwóch zabudowań nie było tu nic innego.

– Co za odludzie – prychnął Dawid z mieszaniną lekkiego niesmaku i znacznie wyraźniejszej fascynacji.

Po przesłuchaniu Sary Dębickiej Klementyna udała się do klubokawiarni, by poszukać Wojtka Majewskiego. Zgodnie z umową miała go wypytać o tę starą sprawę, o której powiedział Danielowi przez telefon. Najpierw obiecała sobie, że przedtem zajrzy do Dawida i Marty. Ale! Potem zmieniła zdanie. Uznała, że najpierw przesłucha dostawcę, a potem spokojnie spędzi czas z młodzieżą.

Tyle że dostawcy nie przesłuchała. Jak się okazało, Wojtka Majewskiego nie było już w pracy. Skończył dziś koło piętnastej i pojechał do domu. Adres udało się uzyskać bez większego problemu. Karina Stępień nie wahała się go zdradzić, byle jak najszybciej pozbyć się Klementyny z klubokawiarni.

Kiedy okazało się, że dostawca mieszka na obrzeżach Lipowa, Kopp rozważała przez chwilę, czy nie poczekać na Daniela i mysią policjantkę. W końcu uznała, że nie będzie tracić czasu. Pogaduszki na komendzie lubiły się przedłużać. Nie wiadomo, kiedy skończy się narada.

Klementyna wróciła do domu po samochód. No i żeby zabrać ze sobą Dawida i Martę, uznała bowiem, że krótka przejażdżka do Lipowa dobrze im zrobi. Przecież Marta była wczoraj taka zadowolona ze spędzenia czasu w Słonecznej Dolinie.

I właśnie dlatego znaleźli się przy dwóch samotnych gospodarstwach.

– Można by tu kogoś zamordować i nikt nawet nie usłyszałby krzyków – mówił z zadowoleniem Dawid. – Sztosik lokalizacja.

– No – potwierdziła Marta. – W filmach w takich miejscach zawsze coś się dzieje.

Kopp nie skomentowała ich niezdrowej fascynacji horrorami i innymi okropnościami. Cieszyła się, że dziewczyna wygląda lepiej. Choć Klementyna nie lubiła cieszyć się przedwcześnie.

Wysiedli z samochodu. Otoczył ich słodki zapach pól. Typowa polska wieś. *Sielska-i-anielska*. Klementyna otworzyła drewnianą furtkę pierwszego domu i podeszła do drzwi. Nie było numerów. Ale! Na podjeździe stała niewielka furgonetka z logo sieci restauracji Kołodziej, więc to tu musiał mieszkać Wojtek Majewski.

Zapukała głośno. Nikt nie otwierał.

– Chyba go nie ma – zauważył Dawid i podrapał się po wytatuowanej ręce. – Kurwa, ale komary żrą.

Klementyna zesza z ganku i podeszła do okna. Było czyste. Bez problemu mogła zajrzeć do środka. Zobaczyła zwyczajną izbę, raczej schludną. Urządzoną w starym stylu. Żadnych znaków świadczących o tym, że mieszka tu młody mężczyzna. Widać Wojtek nie przywiązywał wielkiej wagi do wystroju.

– A wy to co tam robicie, za przeproszeniem? – z drugiego domu dobiegł ich skrzekliwy głos. – Bo naśle na was psy!

Kopp odwróciła się. Przy płocie stał zgarbiony mężczyzna. Na dłoniach i twarzy widać było liczne starcze plamy i przebarwienia. Policzki pokryte miał nierówno ogoloną siwą szczeciną i brudami zmarszczek. Jedno oko wydawało się zupełnie białe.

Dawid zaśmiał się głośno.

– Sorry, ale to ona jest psem – powiedział, wskazując Klementynę. – Policjantka.

Starzec skinął głową ze zrozumieniem. Patrzył teraz na Kopp z wyraźną podejrzliwością.

– Gdzie jest Wojtek Majewski, co? – zapytała.

– A co macie do niego niby za interes?

– Mamy interes do niego, nie do ciebie – uściśliła Klementyna. – Więc się nie interesuj, bo kociej mordy dostaniesz. Gdzie on jest, co?

Staruch zaśmiał się głośno. Brzmiało to zgrzytliwie.

– Nie rozmawiam z zomowcami. Taką mam zasadę, odkąd mnie spałowano w osiemdziesiątym.

– Ona taka nie jest – odezwała się z nieoczekiwaną mocą Marta. – Ona jest ta dobra.

Ona-jest-ta-dobra. Było w tych słowach sporo czułości. Kopp odchrząknęła i odwróciła się szybko. Nie zamierzała pokazać im, że coś jej chyba wpadło do oka. Bez przesady.

– Podejź no tu, panienko – poprosił staruch.

Marta ruszyła do płotu. Oparła się o drewniane szczebelki. Jej długie różowe tipsy odcinały się od szarości niepomalowanego starego drewna. Kopp dopiero teraz zwróciła na nie uwagę. Marta musiała dziś pójść na manicure. Naprawdę dobry znak, chyba znacznie lepiej się czuła.

– Mówisz, że można ufać tej tam? – zapytał Marty staruch. Pokazał głową Kopp. Strzyknęło mu głośno w karku.

– Pomogła mnie. I mojemu chłopakowi.

Dziewczyna spojrzała na Dawida. Syn Teresy wzruszył ramionami. Ale! Nie zaprzeczył.

– Hm, hm – zamruczał stary. Najwyraźniej rozważał, czy z nimi rozmawiać.

Kopp powstrzymała się od komentarza. Mimo wszystko czasem warto.

– Wojtek poszedł na zakupy do wsi – oznajmił w końcu staruch.

– Kiedy wróci, co?

– A bo ja wiem. Poszedł na skróty przez pole.

Sąsiad Majewskiego uniósł z trudem sękatą dłoń i pokazał w stronę Lipowa. Pomiedzy samotnymi domami a wsią roztaczały się wielkie pałacie pól. Te najbliższe porośnięte były wysoką kukurydzą. Na horyzoncie majaczyła plama wyrosłego pośrodku niw zagajnika. Klementyna wiedziała od Daniela, że miejscowi nazywali to miejsce Cichym Laskiem. Podgórski prowadził tam jakiś czas temu sprawę Trzydziestej Pierwszej.

– Poszedł przez kukurydzę? – zdziwił się Dawid.

Staruch zaśmiał się skrzekliwie.

– A no tak jest najszybciej – wyjaśnił. – Stary Jakubowski się wścika, że mu tak łązimy, ale co tam. Zresztą jak się idzie uważnie, to się nic nie niszczy. Tu jest droga, ale na piechotę to by nadłożył trasy. Nie opłaca się. Samochodem to owszem, ale na nogach to nie.

Mężczyzna machnął ręką w stronę drogi, którą tu przyjechali. Prowadziła od szosy na Olsztyn, obok ośrodka UMK i dalej się rozwidlała. W prawo do Lipowa, w lewo wzdłuż jeziora Bachotek docierała do leśnej szosy i ośrodka Słoneczna Dolina oraz opuszczonego Bropolu.

– Okej. No dobra. Ale! Jak dawno Majewski wyszedł, co?

– No jakoś po czwartej. Bliżej piątej.

Dostawca zadzwonił do Daniela około siedemnastej, czyli maszerował wtedy do wsi. To by się zgadzało. Podgórski wspomniął przecież, że Majewski mówił coś o spacerze. Kopp zerknęła na zegarek. Teraz było prawie wpół do ósmej. Chyba dość długo jak na wyprawę do sklepu i z powrotem. Nawet jak się idzie na piechotę.

– Czasem gramy z Wojtkiem w szachy – oznajmił tymczasem staruch tonem zwierzenia. Zupełnie bez związku. – Chłopak jest na mnie skazany, bo odkąd mi żona pomarła, to jesteśmy tu tylko we dwóch. Jak mu zrobicie problemy, to pożałujecie. Odkąd się tu wprowadził, to prawie jak syn jest dla mnie.

Kopp podrapała się po głowie. Lepiej czekać, aż Majewski wróci, czy iść za nim?

– Idziemy – zarządziła w końcu i ruszyła w stronę kukurydzy. – Może złapiemy go gdzieś po

drodze, jak będzie wracał.

Szczerze mówiąc, korciło ją sprawdzić, jak się idzie przez kukurydzę. Ze zwykłej ludzkiej ciekawości. Po prostu.

– Poczekajcie na mnie – zacharczał starzec.

– Chce pan iść z nami? – zapytał Dawid z wyraźnym brakiem przekonania.

– A co niby mam robić? Nudzi mi się.

Klementyna uznała, że nie będzie tracić czasu na dyskusje. Jeżeli staruch zamierza iść za nimi, niech se lezie.

– Spoko. Ale! Nie będę na ciebie czekać – rzuciła tylko, żeby nie było nieścisłości. – Zrozumiano, co?

Weszła pomiędzy wysokie krzaki kukurydzy, nie czekając na odpowiedź starucha. Krzaki kukurydzy? Tyczki? Nawet nie była pewna, jak je nazwać. Im dalej wchodziła w gąszcz, tym bardziej miała wrażenie, że znalazła się w jakimś dziwnym labiryncie. Była raczej niska, rośliny znacznie ją przewyższały.

I nie tylko ją. Kiedy odwróciła się do Dawida i Marty, zobaczyła, że kukurydza góruje nawet nad roslącym synem Teresy. Nie mówiąc już o tym starym dziadzie. Sąsiad Majewskiego człapał wytrwale za nimi, pokrzykując co chwila swoje skrzekliwe: *Poczekajcie*.

Kukurydzę posadzono w równych rzędach, tworzyła więc wąskie alejki. Kopp wybrała jedną z nich i zaczęła iść w stronę, gdzie ostatnio widziała na horyzoncie Lipowo. Wydawało jej się, że zauważyła na ziemi ślady buta. Być może tędy właśnie szedł wcześniej Wojtek Majewski. Pozostali ustawili się za nią. Szli tak gęsiego przez kilka minut, otoczeni szumem kukurydzy i charczeniem sąsiada Majewskiego.

– W horrorach zawsze tak jest, że w kukurydzy coś się czai – oznajmił w pewnym momencie Dawid, przerywając milczenie. – Słyszycie?

Kopp mimowolnie nadstawiła uszu. Wydawało jej się, że szelest kukurydzianych liści faktycznie narasta gdzieś w oddali.

– Słyszycie? – powtórzył Dawid.

Syn Teresy przybrał teraz dramatyczny ton. Kopp prychnęła pod nosem. Jakby brali udział w jakimś nocnym seansie spirytystycznym. Tymczasem był dzień, choć chylił się już powoli ku końcowi. Powietrze pachniało wsią. To nie była scenografia z horroru, tylko *wieś-sielska-i-anielska*.

– Albo obcy, którzy zostawiają znaki na polu – ciągnął Dawid prześmiewczo. – Zaraz ich spotkamy.

– Daruj już sobie te wyglupy, co? – warknęła Kopp.

– Ale ja też coś usłyszałam – powiedziała cicho Marta. – Nie mów, że ty nie słyszysz!

Kopp nie zamierzała dać się wciągnąć w te ich gierki. Skoro maolaty chcą się wzajemnie straszyć, niech im będzie. Ona zamierzała zlokalizować Wojtka Majewskiego i wypytać go o starą sprawę, z którą dzwonił do Daniela. Tyle.

– Poczekajcie! – rozległo się za nimi. Staruch musiał zamarudzić dobre kilkadziesiąt metrów z tyłu.

– Może nie powinniśmy tak go zostawiać? – zastanowił się głośno Dawid.

Mimo swojego wzrostu i postawy amerykańskiego wrestlera wyglądał teraz na nieco przestraszonego. Chyba sam uwierzył w te swoje gadki o kosmitach.

– Skoro chciał za nami leżeć, to niech tam człapie – mruknęła Kopp. – Nic mu nie będzie. Zna te pola lepiej od nas.

– Ale przecież ktoś zabił kobietę w tym opuszczonym ośrodku – przypomniała Marta. – A jak ten morderca teraz się tu gdzieś czai?

– Spoko. Ale! Morderca to czai się w kukurydzy w filmach. Jak sami wspomnieliście już z jakiś milion razy – burknęła Kopp zniecierpliwiona. – W prawdziwym życiu nikt nie siedzi bez sensu w krzakach, czekając nie wiadomo na co. Zwykła strata czasu.

Zapadło milczenie, a wtedy szelest liści jakby się nasilił. Kopp też to wyraźnie słyszała. Tak

jakby ktoś przedzierał się przez kukurydziany gąszcz zupełnie na oślep. Nie szedł. Biegł. Torując sobie drogę. Nie zważając na równe wąskie alejki. Łamiąc łodygi.

– Nie mów, że tego nie słyszysz – szepnął Dawid z wyrzutem.

– To pewnie jakieś zwierzę – odpowiedziała cicho Klementyna, choć doskonale wiedziała, że to nie sarna. – Kawałek dalej jest las.

– Boję się – szepnęła Marta.

Dłoń Klementyny sama powędrowała do szczęśliwego tatuażu. Zawsze pocierała go, kiedy zaczynała śledztwo. Ilekroć tego nie zrobiła, wszystko źle się kończyło. Czy wczoraj o tym przypadkiem nie zapomniała, co? Chyba tak. *Stara-głupia-baba*.

– Tam ktoś jest! – krzyknęła nagle Marta.

SCENA 29

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 19.20.

Aspirant Daniel Podgórski

To się stało prawie równo dwadzieścia lat temu – powiedział Sienkiewicz cicho. – W nocy z piątku na sobotę. Z dwunastego na trzynasty lipca dziewięćdziesiątego szóstego roku. Nikt wtedy Wojtkowi Majewskiemu nie uwierzył.

W głosie naczelnika pobrzmiwała dziwna nuta. Może skrucha? Jakkolwiek było, zapowiadało się na dłuższą opowieść. Daniel usiadł z powrotem przy okrągłym stole salki konferencyjnej. Emilia poszła w jego ślady. Tym razem Podgórski nie odsunął jej krzesła. Był na siebie zły, że zrobił to wcześniej. Próbował dać jej do zrozumienia, że wybrał Weronikę, a potem ogarniały go wyrzuty sumienia i wykonywał gesty, które zupełnie...

– Śmierć mojej żony uznano za wypadek – poinformował naczelnik, przerywając ponure rozmyślenia Daniela. – To stało się na drodze pomiędzy Zbiczmem a Sumowem. Nie wiem, czy znacie?

Podgórski pokiwał głową. Droga pomiędzy wsiami Zbiczno i Sumowo biegła przez las wzdłuż jeziora Sosno. Na niektórych odcinkach przypominała trochę górską serpentynę. Wiła się, zakręcała nieoczekiwanie, wznosiła i opadała ni stąd, ni zowąd. W co bardziej niebezpiecznych miejscach postawiono białe płotki. Miał chyba chronić samochody przed ewentualnym wypadnięciem z trasy i wylądowaniem w toni jeziora.

– Dwadzieścia lat – powiedział w zamyśleniu naczelnik. – Aż trudno uwierzyć, że to tak dawno. Że tyle czasu już upłynęło.

Zamilkł.

– Co się wtedy stało? – zapytała Strzałkowska delikatnie.

– Pojechałem na szkolenie. Pracowałem już w firmie. Wstąpiłem w dziewięćdziesiątym pierwszym. Przedtem byłem księdzem. Jak mój brat.

Sienkiewicz przerwał, jakby oczekiwał jakiegoś komentarza po tym wyznaniu. Podgórski nie wiedział, co wypadało powiedzieć, więc milczał. Po pierwsze, zupełnie się nie spodziewał, że przełożony miał żonę i syna. A tym bardziej że przedtem był duchownym. Sporo tych rewelacji na raz.

– Zostawiłem Kościół dla Michałka i Nory... To znaczy Eleonory. Nienawidziła tego zdrobnienia – szepnął naczelnik. – Michałek miał prawie rok, kiedy zostałem policjantem. We wrześniu dziewięćdziesiątego szóstego miałby sześć. Tyle że nie dożył.

Te słowa sprawiły, że Podgórski znowu pomyślał o córeczce. Powietrze w salce konferencyjnej jakby zgęstniało. Poczul, że się poci. Odetchnął głębiej, ale to niewiele pomogło. Emilia wyciągnęła do niego rękę pod stołem. Nie odtrącił jej. Być może to był kolejny błąd.

– Pojechałem na to cholerne szkolenie – podjął Sienkiewicz, nie patrząc na nich. – Już nawet nie pamiętam, czego dotyczyło. Dlatego moja żona nie miała z kim zostawić Michałka. Dlatego zabrała go na to pieprzone przyjęcie.

Znowu zapadła cisza.

– Co to było za przyjęcie? – zapytał Podgórski powoli. Czuł, że musi coś powiedzieć, żeby skupić się na sprawie, a nie myśleć o zmarłej córeczce.

– U Lecha Kołodzieja.

– U tego Lecha Kołodzieja? – upewniła się Emilia. – Właściciela klubokawiarni, zajazdu i tak dalej?

Puściła dłoń Daniela i zabrała rękę. Szybko. Jakby wraz z kolejnymi wypowiedzianymi słowami

prysł jakiś czar.

– Tego samego – potwierdził naczelnik, kiwając głową, i znowu zamilkł.

– No więc twoja żona jechała na przyjęcie – podsunął Daniel. Nie mógł teraz znieść ciszy.

– Tak. Eleonora zaczęła pracować u Kołodzieja, kiedy Michałek skończył rok. Najpierw w małej restauracyjce. I to daleko od domu. Prawie pod Bydgoszczą. Te dojazdy to... Nieważne. Potem awansowała. Ostatecznie dostała do prowadzenia restaurację w Nowym Mieście i miała szansę na więcej. Mogła zostać dyrektorem regionalnym sieci. Sieć Kołodzieja prężnie się wtedy rozwijała. Kraj wychodził z komunizmu. Lech zawsze był człowiekiem obrotnym. Jeden z pierwszych tak pełnych inicjatywy biznesmenów w naszym województwie. W każdym razie Nora... Eleonora miała dostać awans. To znaczy albo ona, albo Chrystian Pawłowski. Na tym przyjęciu mieli się dowiedzieć.

– Chrystian Pawłowski? – podchwycił Daniel. – Mąż lekarki z Nowych Horyzontów?

Sienkiewicz potwierdził.

– Myślałam, że on nie pracuje – wtrąciła się Emilia. – Tylko siedzi w domu. Chyba Bernard Krawczyk o tym wspominał.

– Wtedy pracował.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Naczelnik westchnął głośno.

– Pewnie się zastanawiacie, dlaczego nie wspomniałem wcześniej, że znam tych ludzi... Po prostu nie wiązałem tych rzeczy ze sobą, póki nie powiedzieliście o telefonie od Wojtka. Wojtek Majewski. Jest już tak dużo punktów stycznych, że trudno tego nie zauważyć. Dlatego wam to wszystko opowiadam.

Sienkiewicz znowu zamilkł. Podgórski po raz pierwszy widział go w takim stanie. To był stary, doświadczony glina, który widział niejedno. A jednak głos mu drżał, kiedy wracał teraz do faktów z przeszłości.

– Na przyjęciu mieli świętować sukces kolejnej otwartej restauracji – podjął w końcu Sienkiewicz. Nie zważał na to, że się powtarzał. Najwyraźniej takie porządkowanie opowieści trochę go uspokajało. – Potem Kołodziej miał ogłosić, kto zostanie dyrektorem regionu. Moja żona czy Pawłowski? Podejrzewam, że alkohol lał się strumieniami. Badania wykazały potem, że Nora miała go sporo we krwi. Musiała być jeśli nie pijana, to co najmniej mocno podchmielona. Wracała nocą. Droga kręta, ona pijana. Dziecko na tylnym siedzeniu. Może zasnęła? Będąc na rauszu, może miała opóźnioną reakcję i nie zauważyła zakrętu? Tamta droga jest naprawdę zdradliwa. Wtedy jeszcze nie było tych białych płótków, które są tam teraz.

Znowu zapadła cisza.

– Pewnie Nora myślała, że da radę – odezwał się z widocznym trudem naczelnik. – Mieszkaliśmy w Sumowie, Kołodziejowie w Zbicznie. Z tej strony od jeziora Sosno, nie od Lipowa. Więc do naszego domu było niedaleko. Tylko tak mogę sobie wytłumaczyć to, że Eleonora zdecydowała się jechać, mimo że wypila. Nie wiem, jaki mogłaby mieć inny powód, żeby zrobić coś tak nieodpowiedzialnego. I to wioząc dziecko.

– Wspomniałeś o Wojtku Majewskim – przypomniał Daniel, przelitykając ślinę. Miał wrażenie, że wszystkie siły z niego uchodzą. Jeszcze chwilę porozmawiają o martwych dzieciach, a wracając do domu, wstąpi do monopolowego. – On mówił, że nikt mu nie wierzył.

– Tak... wszystko wskazywało na to, że to był wypadek. Tylko jedna osoba twierdziła inaczej. Wojtek Majewski właśnie. Tylko że wtedy miał dziesięć, może jedenaście lat. On nocami jeździł na rowerze po Zbicznie i okolicach. Rodzice się na niego wściekali, ale i tak to robił. No i tamtej nocy też wyszedł sobie pojeździć. Powiedział, że widział, co się stało. Chłopaki, którzy prowadzili dochodzenie, uznali, że jest niewiarygodnym świadkiem. Ja oczywiście nie prowadziłem sprawy. Przecież chodziło o moją rodzinę...

– Dlaczego mu nie uwierzyli? – zapytała Emilia. – W takim wieku to...

– Po prostu wszystko mu się mieszało – przerwał jej naczelnik. – Opowiadał nieskładnie. Raz mówił, że gonił ją samochód, innym razem, że samochód zajechał jej drogę. Raz to był samochód biały, raz srebrny. Dlatego chłopaki uznali, że Wojtek zmyśla, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale...

Daniel zerknął na Emilię. Czy zbliżali się do sedna całej sprawy? Czy Wojtkowi, kiedy zadzwonił do Podgórskiego, chodziło o wypadek żony Sienkiewicza? Istniało duże prawdopodobieństwo, że tak. Być może faktycznie widział jakiś samochód tamtej nocy. A jeżeli tak, to...

– Jeżeli to nie był wypadek... – powiedziała Emilia, przerywając rozmyślenia Daniela. – Jeżeli to nie był wypadek i pana żonę ktoś zabił, to może teraz ten ktoś chce uciszyć tych, którzy się tym interesują. Wojtek Majewski wspomniał, że BiBi o to wypytywała. Jak wiemy, zaginęła. Trudno powiedzieć, jak ma się do tego Celina Krawczyk, ale Majewski mówił, że ktoś jeszcze go o tę starą sprawę zapytał. Prawda, Daniel? Może właśnie ona?

Podgórski skinął głową. Miał nadzieję, że Klementyna już rozmawia z Wojtkiem. Jeśli w dziewięćdziesiątym szóstym ktoś faktycznie zamordował Eleonorę i teraz z jakiegoś powodu kończył swoje dzieło, Majewski mógł się znaleźć w niebezpieczeństwie. Jako jedyny widział, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy.

SCENA 30

Cichy Lasek. Czwartek, 28 lipca 2016.

Godzina 19.45.

Klementyna Kopp

A więc Cichy Lasek. Kopp zatrzymała się na skraju zagajnika. Faktycznie było tu niesamowicie cicho. Nawet ich przyspieszone oddechy wydawały się przytłumione. Jakby nikły pomiędzy rozpadającymi się zabudowaniami domostw starej sekty.

– Gdzie ta studnia, co? – zapytała.

Cezary Zaręba gniótł w rękach kaszkiet, jakby niezdolny do wyduszenia z siebie choć słowa. Jego panika wydawała się Klementynie co najmniej teatralna.

Zaręba wybiegł spomiędzy kukurydzy i prawie wpadł na starucha, który włókł się za nimi z tyłu. Bełkotał coś bez sensu o jakiejś studni. Wtedy nieoczekiwanie przydał się sąsiad Wojtka Majewskiego. To on zasugerował, że to może być w Cichym Lasku.

W ten sposób dotarli do zagajnika.

– Ja wam pokażę, gdzie to – powiedział staruch chrapliwie. – Chodźmy. To zaraz tu. Na skraju. Od naszej strony.

Ruszył powolnym krokiem pomiędzy rozpadającymi się chatami. Klementyna go wyprzedziła. Widziała już pomiędzy starymi budynkami miejsce, do którego ich prowadził. Studnia znajdowała się z tyłu jednego z domostw na czymś w rodzaju wydeptanego podwórza.

– Stójcie – rozkazała. Istne déjà vu. Zupełnie jak wczoraj.

– Co się dzieje? – zdziwił się Dawid.

– Tu jest pełno krwi! – zduszonym głosem powiedziała Marta.

– Zabierz ją stąd – rozkazała Dawidowi Kopp. Nie chciała, żeby dziewczyna znowu musiała oglądać jakieś okropności. Klementyna miała ją przecież przed tym chronić.

O dziwo, syn Teresy posłuchał. Otoczył Martę ramieniem i wycofał się razem z nią powoli z powrotem między chałupy.

– Rzeźnia – mruknął staruch, cmokając.

Miał rację. Podwórce było zbroczone krwią. Wszędzie pełno było śladów butów. Wyglądało na to, że ktoś tu walczył. Może w ruch poszły noże i ktoś kogoś ranił. Powiało. Wtedy Kopp to poczuła. Odór śmierci i rozkładu. Ślady walki wydawały się świeże. Ale! Gdzieś tu musiał znajdować się też porządny, gnijący trup.

– Studnia – wydusił Cezary Zaręba. Szedł za Klementyną i staruchem, jakby uważał, że go obronią.

Na cembrowinie przysiadło wielkie czarne ptaszysko. Może kruk. Pewnie zwabił go zapach. Ptak wydał krótki okrzyk. Zagajnik zdawał się teraz pulsować. W końcu dźwięk ucichł. Kopp machnęła ręką lekceważąco. Głównie po to, żeby dodać sobie animuszu. Takie tam zabobony. Ale! Tu bardzo łatwo było w nie uwierzyć.

– Poczekajcie tu – rozkazała znowu. – Im mniej ingerencji w ślady, tym lepiej.

Zacząła ostrożnie iść w stronę studni. Tak naprawdę lepiej byłoby tego nie robić. Chciała jednak upewnić się, że w środku jest to, co podejrzewała. Potem zatelefonuje.

– On... – zaczął Cezary.

Zatrzymała się w pół kroku.

– Co on?

– On może jeszcze żyje...

– Sądząc po smrodzie, raczej nie – rzuciła Kopp i ruszyła dalej do studni.

Była stara. Z niskim kamiennym murkiem. Cały był pokruszony. Zaprawa w wielu miejscach się rozsypała. Aż dziwne, że nikt tego nie zabezpieczył. Jakby przywoływał nieszczęście. Zajrzała ostrożnie do środka. Studnia była chyba wyschnięta. A na dole... Dno niknęło częściowo w cieniu, więc nie mogła mieć pewności. Wyciągnęła telefon i włączyła aplikację latarki.

W tym momencie komórka zaczęła dzwonić. Klementyna o mało nie wypuściła jej z dłoni.

– Halo? – warknęła, odbierając. Jeszcze tego by brakowało, żeby telefon wyładował na trupie.

A właściwie trupach, bo miała wrażenie, że zobaczyła tam więcej sylwetek.

– Gdzie jesteś?

To dzwonił Daniel.

– A gdzie mam być, co? W Cichym Lasku.

– Co tam robisz? – zapytał Podgórski wyraźnie zaskoczony. – Miałś iść do klubokawiarni i znaleźć Wojtka Majewskiego.

– No i znalazłam.

ANTRAKT

SCENA 1

Zbiczno.

Piątek, 12 lipca 1996. Godzina 23.59.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Prawie nic nie widziała. Nie tylko dlatego, że światła wysłużonego cinquecento ledwo oświetlały drogę. Łzy płynęły jej po twarzy. Nie potrafiła ich powstrzymać. Nawet już nie próbowała. To niedaleko, powtarzała sobie w duchu, zaciskając spocone dłonie na kierownicy. Zaraz będzie w domu. Sumowo jest o rzut beretem. Poradzi sobie.

Droga przed nią ostro skręciła. W ostatniej chwili zauważyła wiraż. Zaklęła głośno. Serce biło jej tak szybko, że miała wrażenie, że zaraz wyskoczy jej z piersi. Odetchnęła głębiej, żeby się uspokoić. Czemu ta cholerna droga musi tak się wić? Czemu chmury zakryły księżyc i gwiazdy? Czemu jest tak ciemno? No i wreszcie najważniejsze: czemu wszystko poszło nie tak? Czemu?!

– Dlaczego już wracamy do domu? – zapytał sennie Michaś z tylnego siedzenia. Zerknęła we wsteczne lustro. Syn był zaspany i marudny. – Mamooo.

– Cicho bądź!

Chyba po raz pierwszy w życiu tak na niego naskoczyła, ale rozpraszał ją tymi ciągłymi pytaniami. A ona nie miała siły wymyślać odpowiedzi. A już na pewno nie takie, które zadowolilyby sześciolatka. Przynajmniej nie teraz. Teraz musiała skupić się na drodze.

Znowu zerknęła we wsteczne lustro. Michaś zdawał się zaskoczony jej wybuchem. Chyba zaraz będzie płakał. Jak ona. Nie powinna była tak na niego krzyczeć.

– Już dobrze, synku – powiedziała przez łzy.

To wszystko było bez sensu! To miał być jej wieczór. Jej noc. A tymczasem wszystko się skończyło. Wszystko. Tak po prostu. Nie mogła się z tym pogodzić. Nie mogła!

Dotychczas jechała wolno, ale teraz przyspieszyła. Naprawdę chciała być już w domu. Położyć Michasia do łóżka. I mieć spokój. Żeby sobie popłakać i to wszystko przemyśleć. Zarówno dzisiejszy wieczór, jak i ostatnie dni. Byłe dotrzeć już do domu. Błagam. Byłe już być w domu.

Przyspieszyła, mimo że prawie nie widziała, gdzie jedzie. Co mogło się stać?! Przecież знаła tę drogę tak dobrze.

Wtedy właśnie zobaczyła...

Nie ma czasu na myślenie!

Wciska pedał hamulca.

Z całej siły.

Odbija kierownicą w prawo.

W stronę jeziora. Trzeba uniknąć uderzenia.

Przez chwilę w samochodzie zaległa martwa cisza.

– Lecimy – mówi Michaś. – Mamooo, lecimy.

Czas zdawał się zwalniać. Jakby mijały lata, a nie sekundy. Eleonora puściła kierownicę i zrobiła znak krzyża na piersi. To, co jej pozostało po dawnej religijności. Takie rzeczy podobno wracają do człowieka. W ostatnich chwilach. Ci, co tak mówili, mieli rację. Modliła się. Modliła się żarliwie.

Żeby chociaż Michaś przeżył.

Żeby chociaż jej synek przeżył.

Tylko o to prosiła.

AKT III

SCENA 1

Dom Emilii Strzałkowskiej w Lipowie.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 10.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel otworzył oczy. Leżał w łóżku i patrzył w sufit. W pierwszym momencie zupełnie nie wiedział, gdzie jest. Z pewnością nie w swoim mieszkaniu w suterenie domu matki. Tego był najzupełniej pewien, mimo że głowa mu pękała, bo było tu zdecydowanie za jasno. Zmrużył oczy. Słońce raziło go nieprzyjemnie.

– To co? Obudziłeś się już, tato?

Dopiero teraz zauważył, że obok łóżka stoi Łukasz. Syn skrzyżował ręce na piersi. Wyglądał na rozjuszonego.

– Ojej... Głowa może boli? Rzygać się chce? – szydził chłopak. – Nie czujemy się najlepiej, prawda?

Podgórski uniósł się na łokciu. Spróbował skupić wzrok na pomieszczeniu. Sypialnia w domu Emilii.

Kurwa. Kurwa. Kurwa!!!

– Może zbawczego klinika? – drwił dalej syn.

– Łukasz, ja...

– Zamknij się! – krzyknął chłopak. – Obiecałeś coś chyba, prawda?

Zanim Daniel zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Łukasz wypadł z sypialni, trzaskając drzwiami. Podgórski miał wrażenie, że głowa pęknie mu na pół, kiedy uderzyły o framugę.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Usiadł na łóżku. Niemal od razu go zemdlilo. Trwał w bezruchu, żeby się uspokoić. Przypatrywał się swoim bosym stopom, jakby to mogło cokolwiek pomóc.

– Ja pierdolę – powiedział do siebie.

Wspomnienia wczorajszej nocy zaczynały powoli wracać. To wszystko stało się naprawdę? Jak mógł być taki kurwa głupi? Czy zawsze musiał wszystko spierdolić? Uderzył pięścią w materac. Zaraz pożałował nagłego ruchu. Znowu zrobiło mu się niedobrze.

Odetchnął głębiej. Trzeba sobie to wszystko ułożyć w głowie. Po pierwsze, Klementyna znalazła ciała w Cichym Lasku. Daniel akurat wyszedł z odprawy po wysłuchaniu opowieści Sienkiewicza i zadzwonił do niej, żeby dowiedzieć się, czy znalazła Wojtka Majewskiego. Okazało się, że tak. Tyle że nie w klubokawiarni. Stało się najgorsze. Majewski został zamordowany. Jego ciało spoczywało w studni w Cichym Lasku. Razem z dwoma innymi.

Jak tylko Kopp zdała relację, od razu pojechali z Emilią i grupą z komendy do Lipowa. Nawet Sienkiewicz postanowił wziąć udział w czynnościach. Wyciąganie ciał ze studni zajęło sporo czasu. Siedzieli w zagajniku do późna. Naczelnik zarządził więc, że następnego dnia Daniel i Emilia zaczną pracę dopiero w południe. Od oficjalnego przesłuchania Cezarego Zaręby na komendzie.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Podgórski spróbował wstać. Musiał się ubrać. Znaleźć Łukasza. Pogadać z nim. Potem z Emilią. I z Weroniką. A przede wszystkim dotrzeć na czas na komendę. Nie mógł stracić pracy. Naczelnik wyraził się jasno, że więcej szans nie będzie.

Rozejrzał się po pokoju. Jego ubrania leżały porozrzucane niedbale po podłodze. Wciągnął powoli bojówki. Sięgnął do kieszeni po telefon. Nie było go. Zgubił? Kurwa! Zajrzał szybko do drugiej. Odetchnął z ulgą. Komórka tam była, ściśnięta z paczką papierosów. Widocznie wczoraj włożył ją do

złej kieszeni.

Odblokował ekran i sprawdził godzinę. Było kilka minut po wpół do jedenastej. Znowu odetchnął. Całe szczęście. Miał półtorej godziny, żeby wrócić do domu, umyć się i przebrać, a potem dojechać na komendę. Powinno się udać. Guma do żucia, płyn do płukania ust, dezodorant i tak dalej. To miejmy nadzieję załatwi sprawę.

Kurwa. Kurwa. Kurwa. Jak mógł być taki głupi, przeszło mu znowu przez myśl, kiedy wkładał pogniecioną koszulkę. Śmierdziała potem i alkoholem. Dopadło go chyba, kiedy naczelnik opowiadał o sprawie z dziewięćdziesiątego szóstego roku. Rozmowa o śmierci dziecka sprawiła, że Daniel zaczął się sypać. Potem kilka męczących godzin w Cichym Lasku. I zbawienna, zdawałoby się, informacja, że zaczynają pracę dopiero w południe.

Kurwa! Początkowo wcale nie było tak źle. Jak tylko skończyli, odwiózł Emilię do domu. Tak jak ostatnio w drodze nie zamienili ani jednego słowa. Potem Daniel wrócił do siebie. Miał nadzieję, że zaśnie, ale sen znowu nie przychodził jak wczoraj w nocy. Przewracał się z boku na bok. Myślał tylko o alkoholu i jego zbawiennej mocy zapomnienia. O tym, że gdyby wypił choć odrobinę, na pewno sen by przyszedł. A on mógłby zapomnieć. Odpocząć. Jedno piwo. Komu zaszkodzi jedno piwo?

Wyskoczył z łóżka i ubrał się szybko, żeby rozsądek nie zdążył podpowiedzieć mu, że robi głupotę. Wyszedł na dwór. Wieś pogrążona była we śnie. Mogła być druga. Coś koło tego. Nic nie zakłócało nocnej ciszy. Wsiadł do samochodu i pojechał na stację benzynową. O tej porze sklepy były zamknięte.

Najpierw dotarł do Nowego Miasta. Potem do Jabłońskich w Jajkowie. I wreszcie do Brodnicy. Dobrze znana trasa. Od jednej stacji do kolejnej, od jednego sklepu do drugiego, od baru do baru. W ostatnich miesiącach opanował trasę na tyle, że dałby radę przebyć ją z zamkniętymi oczami. Kupował trochę tu, trochę tam. Wtedy nikt nie patrzył na człowieka jak na pijaka. Potrzebował tylko odrobiny zapomnienia, a ludzie potrafili wyciągać mylne wnioski. Po co to komu?

Wrócił do domu koło trzeciej i postawił siatki z butelkami na stole w kuchni. Zabrzęczały głośno. Już sam dźwięk sprawił, że po całym jego ciele przeszedł dreszcz znajomego podniecenia pomieszanego z pogardą dla siebie samego. Otworzył pierwszą butelkę z taką zachłannością, że niemal wylał połowę.

Wypił długimi łykami. Nie czuł szczególnej ulgi. Weronika. Emilia. Zmarła córeczka. Trupy ze studni. Mężczyzna w kowbojkach, który był z Nowakowską w Bropolu. Sienkiewicz i jego ultimatum. To wszystko nadal zdawało się tańczyć Podgórskiemu przed oczami. Otworzył więc kolejną butelkę. I kolejną.

Następną rzeczą, którą pamiętał, były drzwi dworku Weroniki. Opierał się o nie i pukał. A właściwie nie pukał, walił w nie z całej siły. W tamtej chwili czuł, że musi koniecznie z nią pomówić. Koniecznie. Nie mógł się kurwa zalać w trupa i leżeć w suterenie domu matki do rana? Musiał wyjść? Naprawdę musiał?

Otworzyła mu zaspana i zaskoczona. Była taka piękna. Rude loki okalały zarumienione policzki. Chciał ją teraz. Tu.

– Dlaczego ty mnie zdradzasz z tym kowbojem? – wybełkotał.

Patrzyła na niego ze smutkiem.

– Daniel, jesteś pijany.

– Nie jestem – bełkotał dalej. – Dlaczego ty mnie zdradzasz? No dlaczego? Ty, piękna jedna, co? Chciał jej dotknąć, ale odtrąciła jego rękę. Chyba płakała. Nie był pewien.

– Zadzwońię po Marka – powiedziała, wycierając oczy. – Niech cię odwiezie do domu. Mój samochód jest zepsuty.

– Nie. Nie. Nie.

– Dasz radę wrócić do domu sam?

– Mogę zostać?

Popatrzyła na niego. Znowu płakała.

– Porozmawiamy, jak wytrzeźwiejesz, okej? – zapytała w końcu.

– Moooooogę zostać?

- Przykro mi, ale nie.
- On tu jest? Śpicie razem?
- Kto?
- Ten twój kowboj, a kto?

Wyglądała na zdezorientowaną.

– Co? Jaki kowboj? Grzesiek? Nie!

– Mogę w takim razie zostać? Co? Taka piękna jesteś, wiesz?

Pochylił się, żeby ją pocałować. O mało nie upadł. W ostatniej chwili przytrzymał się framugi drzwi.

– Nie chcę tak. Jestem tym zmęczona, zrozum.

– Ale Weroniczkaaaa...

Igor szedł zaspany po schodach. Chciał podejść do Daniela, ale Nowakowska przywołała go do siebie.

– Proszę cię, wracaj do domu. Bo zadzwonię po Marka.

– Ale...

Zamknęła drzwi. Daniel uderzył w nie pięścią. Nie otworzyła. Zszedł z ganku. Miał przynajmniej tyle rozsądku, żeby nie dobijać się dalej. Szkoda, że później mu tego rozsądku zabrakło.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Daniel nie pamiętał za dobrze, jak szedł przez wieś. Doskonale natomiast sobie przypominał, jak pijackie rozgoryczenie kazało mu skręcić nie tam, gdzie trzeba, i zamiast do domu matki poszedł prosto do Strzałkowskiej.

Zapukał do drzwi. Tym razem delikatniej, żeby nie usłyszało go pół wsi. Emilia otworzyła szybko. Może też nie mogła spać. Kurwa, czemu mu otworzyła? Czemu do niej poszedł? Zaprowadziła go do sypialni. Był na tyle pijany, że upadł prosto na łóżko. Opowiadał jej chyba, jak Weronika go nie chciała. Płakał pijacko.

Doszło do czegoś?!

Kurwa. Kurwa. Kurwa. Nie chciał nawet o tym myśleć. Włożył szybko skarpetki i buty.

– Ja pierdołę – powiedział do siebie, wychodząc na korytarz.

Dom Strzałkowskiej przypominał tramwaj. Hol był wąski i długi. Biegł wzdłuż pozostałych pomieszczeń. Podgórski ruszył powoli do kuchni. Wolałby wyjść niepostrzeżenie, ale uznał, że tego zrobić nie może. Już wystarczająco długo zwlekał z rozmową. Powie Emilii, że to był błąd. Powie jej, że to nie powinno się stać.

W kuchni był tylko Łukasz. Pił właśnie mleko z kartonu.

– Jest Miła? – zapytał Daniel.

Nie próbował nawet syna przeproszać. Łukasz był tak nabuzowany, że to nie miało teraz sensu. Jak kac minie i emocje opadną, porozmawia z nim, jak trzeba.

Chłopak spojrzał na Podgórskiego z wyrazem czystej nienawiści na twarzy.

– Mamy nie ma.

– A gdzie jest?

– Pojechała do Brodnicy.

– Jak? – zdziwił się Daniel. Strzałkowska nie miała auta. Dlatego ciągle z nim jeździła.

– Pekaesem, a jak?

– Kiedy?

– Jakoś koło ósmej.

– Już? Przecież dziś zaczynamy dopiero o...

– Chciała coś załatwić – uciął Łukasz. – Ja pierdołę. Jaki chuj jest z ciebie, wiesz, tato? Mnie możesz wciskać kit, że nie będziesz już chlał, ale po co robisz to wszystko mamie? Dlaczego ją tak kurwa traktujesz? Wypierdalaj stąd!

Chłopak ruszył na Daniela. Intencje miał dosyć wyraźne, mimo to Podgórski nawet nie drgnął. Łukasz uderzył z całej siły. Daniel przytrzymał go za rękę. Ale wtedy chłopak zaatakował drugą.

Szamotali się, w końcu syn odskoczył od niego.

– Wypierdalaj stąd! – wrzasnął. Po jego twarzy płynęły łzy.

SCENA 2

Dworek Weroniki w Lipowie.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 10.50.

Weronika Nowakowska

Weronika obudziła się cała złana potem i obolała. Do sypialni wpadało ostre dzienne światło, musiało więc być już późno. Usiadła na łóżku. Igor leżał obok niej na kołdrze zupełnie niezrażony upałem. Ziewnął przeciągle, ale nie uniósł nawet głowy. Pogłaskała go za uchem.

– Oj, piesku, piesku – mruknęła.

Próbowała nie myśleć o dzisiejszej nocy. Po pijackiej wizycie Daniela długo leżała na łóżku i nie mogła spać. Płakała albo przeklinała swoją słabość. W końcu zasnęła i obudziła się dopiero teraz. Która właściwie była godzina?

Rozejrzała się w poszukiwaniu telefonu. Leżał na poduszce obok. Odblokowała wyświetlacz. Jedna nowa wiadomość. Od Daniela. Zabiło jej serce.

– *Przepraszam za to, co w nocy* – przeczytała na głos. – *Między nami nic już nie ma. Nie chcę do tego wracać. Bądźmy przyjaciółmi.*

Przyjaciółmi? A więc miała rację. Łzy napłynęły jej do oczu. Otarła je wierzchem dłoni. Jeszcze raz odczytała esemesa. Wiadomość została wysłana o wpół do ósmej rano, czyli Podgórski musiał już sobie to i owo przemyśleć po nocnej wizycie. Może nawet trochę wytrzeźwiał i wtedy do niej napisał. Po policzku spłynęła kolejna łza. Sama nie wiedziała, dlaczego płacze. Może dlatego, że przedtem gdzieś tam nadal czaiła się głupia nadzieja.

Ważyla przez chwilę telefon w dłoni. Zastanawiała się, czy powinna Danielowi odpisać, czy nie. Jego wiadomość wydawała się nieprzyjemnie oschła. Powinien chyba powiedzieć jej coś takiego w cztery oczy, a nie pisać. Może nie miał odwagi?

– *Nie przejmuj się tym, co w nocy. Bądźmy przyjaciółmi* – wystukała, naśladując jego styl. Nie chciała, żeby wiedział, jak bardzo cierpi. Miała swój honor. Skoro on grał w taką grę, ona też musiała.

Igor znowu ziewnął przeciągle i spojrzał na nią pytająco.

– *Między nami nic nie ma* – dopisała jeszcze i szybko kliknęła wyślij. Nie chciała się rozmyślić. Za minutę mogła już nie mieć tyle samozaparć co teraz.

Przytuliła się do Igora. Płakała w ciszy. Pies dawał minimalne poczucie, że nie jest zupełnie sama. Całe szczęście, że nie było tu Grześka. Po wczorajszych wydarzeniach ostatecznie zdecydował się nocować w Głębozku. W pokoju, który wynajęli, udając małżeństwo.

W końcu wstała z łóżka i poszła do łazienki przemyć twarz. Spojrzała na siebie w lustrze. Miała spuchnięte powieki, na lewej skroni wykwitł siniak. Pewnie po wczorajszym upadku, kiedy potknęła się, bezsensownie uciekając przed Grześkiem. Plusem było to, że ręka bolała ją już zdecydowanie mniej. Zawsze coś.

Nagle usłyszała głośne pukanie do drzwi. Serce znowu zabiło jej szybciej. Może to Daniel przyjechał, żeby wszystko odwołać? Zdawała sobie sprawę, że to marzenie naiwnej nastolatki, ale i tak narzuciła szlafrok i zbiegła szybko ze schodów. Igor pędził za nią, poszczekując. Myślał chyba, że to jakaś zabawa.

Otworzyła drzwi z rozmachem. Na progu stali Marek Zaręba i Paweł Kamiński. Obaj w mundurach, więc byli tu służbowo.

– Dzień dobry – powiedział Kamiński z uśmiechem.

Był przystojny i na kobietach potrafił zrobić duże wrażenie. Zwłaszcza jeśli się postarał. Wydawał się wtedy godny zaufania. Jeśli się go nie znało, oczywiście, i nie wiedziało, jak traktował

swoją żonę.

– Chyba się wyspałaś, co? – zażartował, lustrując jej szlafrok. – Tak sobie spać do jedenastej. Też bym tak chciał.

Weronika wzruszyła ramionami. Starła się coś wyczytać z twarzy policjantów. Czyżby ktoś widział, jak Daniel tu w nocy do niej szedł? Mieszkała na uboczu, więc raczej nikt nie słyszał, jak się dobijał. Wolałaby, żeby tak było.

– Cześć, Weronika – rzucił Marek.

Mówił lekkim tonem. Odetchnęła. Prawdopodobnie nic nie wiedział. Gdyby było inaczej, pewnie patrzyłby na nią zafrasowany. Zawsze przejmował się problemami innych i starał się im pomóc.

– Wszystko w porządku? – zapytała mimo to. Miała nadzieję, że nie widać, że przed chwilą płakała.

– Niezbyt. Znowu mamy tu pieprzone trupy, kurwa – wyjaśnił Kamiński. Nie powstrzymał się przed przeklinaniem. Pewnie uważał, że przy niej nie musi. – I to znowu w tym jebanym Cichym Lasku.

Weronika spojrzała na policjantów zdziwiona. Przez to, że całe wczorajsze popołudnie i wieczór spędziła nad jeziorem Forbin, nic o tym nie wiedziała. W nocy oczywiście nie było okazji, żeby porozmawiać o tym z Podgórskim.

– To ma jakiś związek z tym, co się stało w środę w Bropolu? – zapytała.

– Tajemnica śledztwa – powiedział Kamiński wyraźnie zadowolony z siebie.

– Mój ojciec wczoraj znalazł w lasku trzy ciała – wtrącił się szybko Marek Zaręba. – Były w studni i...

– Te, Młody, może byś tak nie zdradzał szczegółów śledztwa, co? – przerwał mu Kamiński.

– Przecież Weronice...

Kamiński machnął ręką.

– Bo nas ci z komendy zajebią, że mamy za długi język – zaśmiał się. – Kurwa! Panoszą się, jakby to był ich teren. Wczoraj, jak wszyscy się zjechali wydobywać truposzy... Nawet kurwa sam naczelnik kryminalnych nas zaszczycił.

– Jedno z ciał to był Harold Dębowski – wyjaśnił Weronice Marek.

– Młody! – rzuci ostrzegawczo Kamiński.

– No chyba to akurat musiałem powiedzieć – odparł defensywnie Marek. – Po to tu jesteśmy!

– Harold Dębowski nie żyje? – przerwała im zaskoczona Weronika. – Widziałam go wczoraj w hotelu w Głębozku. Przywiózł żonę i córkę.

– My właśnie w tej sprawie – wyjaśnił Marek. – Ponieważ on nie żyje, musimy wykluczyć, że one go zabiły. A one twierdzą, że ty i twój mąż spędziliście z nimi część popołudnia. Poproszono nas, żebyśmy sprawdzili, czy mówią prawdę. Twój mąż powiedział, że jesteś u siebie, mimo że on nocuje w hotelu.

Marek wyraźnie podkreślił słowa *twój mąż*. I to za każdym razem. W jego głosie brzmiała przy tym wyraźna nagana. Teraz patrzył na Weronikę pytająco. Oczekiwał odpowiedzi. I to chyba raczej w kwestii Grześka, a nie alibi Jowity i Renaty.

Przez chwilę miała ochotę wytłumaczyć, że Grzesiek i ona tylko udawali, ale potem przypomniała sobie dzisiejszą oschłą wiadomość od Daniela. Zaciśnęła usta. Miała prawo spotykać się, z kim chciała. Nie musi z niczego się spowiadać. Nie byli z Podgórskim parą.

Kamiński zaśmiał się głośno.

– Życie nie znosi próżni – powiedział ze sprośnym uśmiechem. – Tylko jak ci się udało utrzymać to w tajemnicy? U nas w Lipowie? Ślub w tajemnicy? Powiem ci, że jestem pod kurwa wrażeniem. No chyba że byłaś jego żonką przez cały czas, jak tu mieszkałaś. A myśmy wszyscy myśleli, że taka biedna rozwódka.

Grzesiek nie sprostował, że tylko udawali? Weronika znowu miała ochotę się tłumaczyć, ale po raz kolejny pomyślała o porannej wiadomości od Daniela.

– Tak, widziałam je obie – ucięła bez dalszych wyjaśnień. – Coś jeszcze? Bo wybieram się do

Wiery.

Chciała, żeby już poszli. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek i płakała, ale tego oczywiście nie mogła im powiedzieć. Zresztą nie było to kłamstwo. Jak tylko oporządzi konie, musi pójść do przyjaciółki. Porozmawiać o tym, co działo się w domu numer czterdzieści dziewięć nad jeziorem Forbin.

– Tak do siedemnastej je widziałaś? – zapytał Kamiński. – Bo podobno mniej więcej wtedy zginął Harold.

– Tak, tak – mruknęła.

Nie była wcale pewna, o której widziała Jowitę i Renatę. Może do siedemnastej? A może nie. Może wtedy była już z Grześkiem w apartamencie i prowadzili bezowocne przeszukania pokoju numer czterdzieści dziewięć? Ale co to miało za znaczenie. Nie dostałyby się w tym czasie do Cichego Lasku, żeby zamordować Harolda, prawda? Nie zdążyłyby. Weronika poczuła się uspokojona. Nie zamierzała prostować. Miała i tak za dużo swoich problemów. Przede wszystkim musiała porozmawiać z Wierą.

SCENA 3

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 12.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel siedział przy metalowym stole w pokoju przesłuchań. Zdążył dotrzeć na komendę dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy przyszedł, Strzałkowska akurat była w toalecie. Może i dobrze. Chciał co prawda z nią porozmawiać, ale w pracy nie było warunków. No i nie był teraz w nastroju. Głównie przez esemesa, którego dostał od Weroniki.

Wiadomość pogłębiała tylko absolutnie już chujowy nastrój. *Nie przejmuj się tym, co w nocy. Bądźmy przyjaciółmi. Między nami nic nie ma.* Tak napisała. Czyli bilans był następujący: spierdolił relacje z synem, przespał się zapewne z Emilią, znowu pił – zaraz być może wywalą go przez to z roboty. Zajebiście. Naprawdę. A do tego kobieta, którą kochał, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. *Bądźmy przyjaciółmi.* Tego przecież nie należało rozumieć dosłownie.

– Dzień dobry – powiedziała prokurator Ligia Więcek cicho i usiadła obok Daniela.

Nie było jej wczoraj w Cichym Lasku. To miało być jej pierwsze przesłuchanie Cezarego Zaręby. Podgórski i Strzałkowska trochę go już wczoraj rozpytywali. Dziś to miało być oficjalne przesłuchanie.

– A więc to pan znalazł ciała – zaczęła prokurator Więcek, kiedy Cezary Zaręba został wprowadzony do pokoju przesłuchań. Mówiła spokojnym, niemal opiekuńczym tonem.

Podgórski spojrzał na Cezarego. Myślał o tym, jak dwadzieścia lat temu poszli z Pawłem pomóc Markowi wyrzucić ojca z domu. Wypierdalaj. Tak mu chyba powiedział wtedy Młody. Zupełnie to samo, co Daniel usłyszał od własnego syna. Wypierdalaj.

Cezary Zaręba odwzajemnił jego spojrzenie. Trudno było je rozszyfrować. Wyzwanie czy prośba o pomoc? Ojciec Marka stał się pierwszym podejrzanym, kiedy zniknęła Berenika Borkowska. Potem wyszło na jaw, że prawdopodobnie był wobec dziewczyny agresywny. Teraz z kolei znalazł ciała. W Cichym Lasku, gdzie właściwie nikt nigdy nie zaglądał. Co stary Zaręba tam robił? Przecież nie utrzymywał kontaktów z synem i w ogóle nie zaglądał do Lipowa. Tak nagle przechadzał się po obrzeżach wsi? Wczoraj, kiedy go o to pytali, nie potrafił odpowiedzieć. Wyraźnie coś ukrywał.

– Tak, proszę pani. Ja je znalazłem.

W studni były trzy ciała. Wojtka Majewskiego, Harolda Dębowskiego i Bereniki Borkowskiej. Doktor Koterski oceniał na oko, że o ile Majewski i Dębowski zginęli niedługo przed odnalezieniem ich przez Zarębę, o tyle Berenika nie żyła już od dłuższego czasu. Bardzo możliwe, że zginęła tego samego dnia, kiedy zniknęła, czyli w środę tydzień temu. Pewnie patolog potwierdzi to dziś podczas odprawy. Miała odbyć się po przesłuchaniu Zaręby.

– Może dziś nam powiesz, jak do tego doszło? – zapytał Daniel. Starał się, żeby nie brzmiało to zbyt ostro, ale chyba mu nie wyszło, bo był sfrustrowany i wściekły na siebie.

– Ja... Po prostu poszedłem się tam przejść.

Ta sama śpiewka co wczoraj.

– Co robiłeś w Lipowie? – zapytał więc Daniel. Tym razem nawet nie starał się mówić delikatnie.

– Z tego, co wiem, raczej do nas nie przyjeżdżasz na przechadzki.

Cezary Zaręba sięgnął do włosów, jakby chciał zdjąć kaszkiet. Wyglądał na zdziwionego, że nie ma nic na głowie.

– Byłem w odwiedzinach u przyjaciela – wyjaśnił, kładąc dłonie na blacie stalowego stołu.

– Mścisława Grabowskiego? – upewnił się Daniel. Klementyna mówiła, że ojciec Marka był u Grabowskiego w Słonecznej Dolinie.

– Tak.

– No dobrze, czyli był pan w ośrodku wczasowym. Zastanawia mnie jednak, jak to się stało, że znalazł się pan w tym lasku na polach? – zapytała prokurator Więcek. – Nie znam tych okolic za dobrze, ale wydaje mi się, że to kawałek drogi od ośrodka.

– Nie, jeżeli pójdzie się drogą przez las – wyjaśnił Cezary Zaręba.

Ligia Więcek spojrzała pytająco na Daniela. Potwierdził. Ojciec Marka miał rację. Jeśli szło się drogą przez las, ze Słonecznej Doliny do Cichego Lasku wcale nie było tak daleko. Leśnictwo ostatnio wykarczowało ten szlak i maszerowało się tamtędy bardzo dobrze. Przedtem ścieżka była mocno zarośnięta.

– I tak po prostu poszedłeś się przejść do lasku? – zapytał Podgórski. – Dlaczego akurat tam?

– Ja... Po prostu chciałem zobaczyć to miejsce.

– Doprawdy?

Cezary Zaręba westchnął.

– Słyszałem, że ty, Danielu, razem z moim synem prowadziliście tam dochodzenie. Chciałem się przekonać, jak wygląda ten teren. Bo ja śledzę poczynania Marka, mimo że on nie chce mieć nic wspólnego ze mną.

Taaa, pomyślał Daniel drwiąco. Młodego Cezary mógł brać na litość. Na niego to nie działało.

– Mówisz o sprawie Trzydziestej Pierwszej? – upewnił się.

– Tak.

– To było kilka lat temu, kiedy się tym zajmowaliśmy. Ot tak zdecydowałeś się obejrzeć Cichy Lasek właśnie teraz? I akurat natknąłeś się na trzy trupy w studni?

– Nie wiedziałem, że tam będą trupy! – niemal krzyknął ojciec Marka. – Nie spodziewałem się niczego takiego!

Daniel musiał przyznać, że zabrzmiało to dosyć przekonująco. Klementyna mówiła wczoraj, że stary Zaręba był przerażony, kiedy wybiegł na nich pomiędzy kukurydzy. Ale mógł udawać. Nie można było tego wykluczyć.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– A więc ustaliliśmy, że udał się pan do Cichego Lasku – zagadnęła po chwili Ligia Więcek. Uśmiechnęła się niczym dobrotliwa starsza pani i poprawiła grube jak dno słoików okulary.

– Tak – potwierdził Cezary Zaręba.

– I?

Ojciec Marka spojrzał na prokurator Więcek, jakby nie rozumiał.

– Co było dalej – podsunął Daniel.

– Ja... Usłyszałem jakieś jęki. Początkowo nie wiedziałem, skąd dochodzą. Zacząłem chodzić po osadzie sekty, żeby zorientować się, co i jak. Aż w końcu byłem pewien, że skądś z tyłu. Znalazłem studnię... Podbiegłem tam natychmiast. Wszędzie były ślady walki i krwi, ale nie zwracałem na to uwagi.

– Czyżby? – mruknął Daniel.

Zastanawiał się, czy Cezary Zaręba walczył przy studni ze swoimi ofiarami. Wiedział, że będą tam jego ślady. Udawał więc spanikowanego i wiedzionego chęcią pomocy. Może liczył, że ślady, które zostawił na miejscu, zostaną uznane za efekt jego późniejszej gorliwości w chęci niesienia pomocy, a nie udziału w zabójstwach.

– Tak. Podbiegłem do studni i ich zobaczyłem. To znaczy jego.

Chodziło zapewne o Wojtka Majewskiego. Jego ciało leżało najwyżej. Na trupie Bereniki Borkowskiej i Harolda Dębowskiego.

– Wydawało mi się, że on się jeszcze rusza – dodał ojciec Marka cicho.

– Zobaczyłeś ich od razu, jak zajrzałeś? – zapytał Daniel powoli.

– Ja... tak.

Kopp mówiła wczoraj, że musiała zapalić latarkę w telefonie, żeby dojrzeć, co było na dnie studni. Tymczasem wychodziło na to, że stary Zaręba widział w ciemności.

– Bo jeżeli dobrze wczoraj zrozumiałem, to nie miałeś ze sobą telefonu, tak?

Cezary zeznał im wczoraj wieczorem, że pobiegł przez kukurydzę po pomoc, bo nie mógł zadzwonić. Zapomniał komórki.

– Nie miałem. Zostawiłem w samochodzie. A samochód zaparkowałem obok Słonecznej Doliny.

– No dobrze. Czyli idziesz się przejść po Cichym Lasku. Słyszysz jakieś jęki. Znajdujesz studnię. Wydaje ci się, że Majewski jeszcze żyje. Nie masz telefonu, więc biegniesz przez kukurydzę po pomoc. Dobrze wszystko zrozumiałem?

– Tak.

– Świetnie – powiedział Daniel, kiwając głową. – To jeszcze interesuje mnie, dlaczego pobiegłeś po tę pomoc w kierunku jeziora, a nie do wsi?

Klementyna i jej świta nadchodzili od południa, od strony pól. Tam natknął się na nich ojciec Marka. Jeżeli chciał wezwać pomoc, dlaczego nie pobiegł w drugą stronę, na północ. Do wsi. Przecież nie mógł się spodziewać, że akurat na polu kogoś spotka. Większa szansa na uzyskanie wsparcia była w samym Lipowie.

– Ja... Nie zastanawiałem się. Po prostu studnia była od tej strony... Spanikowałem. Nie wiedziałem, co robię. Tam umierał człowiek. W tej studni. Byłem sam. Nie wiedziałem, co zrobić! Chciałem pomóc. Przysięgam.

Z jakiegoś powodu Daniel był pewny, że Cezary Zaręba kłamie.

SCENA 4

Sklep Wiery w Lipowie.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 12.30.

Weronika Nowakowska

Podobno Daniel był u ciebie w nocy – zagadnęła Wiera.

Kiedy Marek i Paweł odjechali, Weronika nakarmiła konie, założyła Igorowi smycz i poszła do sklepu przyjaciółki. Chciała z nią porozmawiać o tym, co się działo wczoraj w domu numer czterdzieści dziewięć nad jeziorem Forbin. Miała też nadzieję, że wizyta choć trochę podniesie ją na duchu.

– Widzę, że wieści szybko się rozeszły – mruknęła.

– Korczakowa widziała, jak się gramolił w tamtą stronę.

Weronika zaśmiała się smutno.

– Pewnie cała wieś już wie...

– O dziwo, chyba nie. – Wiera zakaszła głośno. – Korczakowa ma migrenę. Zajrzała tylko po bułki i miała się położyć. Chyba jeszcze nie rozgadała. Powiesz mi, co się stało?

Nowakowska już miała zacząć opowiadać o pijackiej wizycie Podgórskiego i o jego porannym esemesie, ale z jakiegoś powodu nie mogła.

– Lepiej ty mi powiedz, co z tym leczeniem? – zapytała.

Wczoraj, kiedy brama zamkniętego domu się otworzyła, Weronika i Grzesiek zobaczyli na progu osobę, której Nowakowska zupełnie się tam nie spodziewała. To była ta miła lekarka z Nowych Horyzontów, Patrycja Pawłowska. Miała na sobie kitel i stetoskop, jakby dosłownie chwilę wcześniej kogoś badała.

Pawłowska nie pytała o nic. Uśmiechnęła się tylko. Potem przywołała Weronikę i Grześka gestem ręki. Zaprowadziła ich na tył budynku. Okazało się, że miała tam laboratorium. Sąsiadowało z pokojem zabiegowym.

Drzwi do pomieszczenia były zamknięte na klucz. Weronika od razu zwróciła na to uwagę. Zamknięty pokój na posesji numer czterdzieści dziewięć nad jeziorem Forbin w Głębocku. Wszystko się zgadzało. Czyżby więc o tym miejscu mówiły Valentine Blue i Lola? Dlaczego tak się go bały?

Kiedy lekarka otworzyła drzwi, oczom Weroniki i Grześka ukazało się przyjemnie urządzone pomieszczenie. Nie wyglądało przerażająco. Ciepłe kolory i miękkie meble tworzyły przytulną, kameralną atmosferę. Wiera siedziała na jednym z foteli. Miała podłączoną kroplówkę. Sprawiała wrażenie zmęczonej, ale na jej bladej twarzy malował się uśmiech. A co najważniejsze, nie kaszłała.

– Cześć, kochanieńka – przywitała ją po swojemu.

Weronika z miejsca zapomniała o palącym bólu ręki po upadku i o strachu przed Grześkiem. Poczula, że łyzy napływają jej do oczu. Mimo uśmiechu i wesołego tonu przyjaciółka zdawała się taka słaba.

– Co tu się dzieje? – zapytał psychiatra.

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponowała Patrycja Pawłowska. – Żeby nie przeszkadzać chorej.

Wyszli przed dom. Przy srebrnym mercedesie stał teraz rudowłosy mężczyzna z długą brodą w równie ognistym odcieniu.

– To mój mąż – wyjaśniła lekarka.

– Chrystian – przedstawił się mężczyzna z uśmiechem i wyciągnął rękę do Weroniki.

– Weronika Nowakowska.

– Wszystko w porządku? Zraniła się pani w twarz.

– Upadłam – powiedziała Weronika. Nie zamierzała wdawać się w szczegóły ani opisywać

swojej histerycznej ucieczki przed Grześkiem. Było jej głupio.

– Co tu się dzieje? – ponowił swoje pytanie psychiatra, nie zważając na grzecznościowe formułki. Weronika cieszyła się, że z nią był. Zadawał rzeczowe pytania i nie dawał się ponieść emocjom jak ona.

Lekarka westchnęła.

– Leczymy panią Wierę – wyjaśnił jej mąż.

Grzesiek nawet nie spojrział na niego. Cały czas odwrócony był do Patrycji.

– Prowadzimy tu badanie kliniczne – powiedziała lekarka.

– Jakie konkretnie? – drążył Grzesiek.

– Nowa terapia leczenia raka – wytłumaczyła Patrycja Pawłowska. Głową pokazała zamknięty pokój zabiegowy. – Między innymi raka płuc.

Zaczęła opowiadać o nowym leku, który tu testowali. Przyniosła gruby plik dokumentacji. Wyglądała na podekscytowaną. Weronika niewiele rozumiała z jej relacji. Miała nadzieję, że Grzesiek jej to potem wytłumaczy. Był psychiatrą, a więc lekarzem. Na pewno miał większe kwalifikacje, żeby te informacje jakoś ogarnąć. A już na pewno wiedział o lekach znacznie więcej niż ona.

– Oglądałam kartę z wynikami pani Wiery. Głęboko wierzę, że nasz nowy lek może jej pomóc – zakończyła Pawłowska. – Dlatego zakwalifikowałam ją do udziału w tym badaniu klinicznym.

– Niedługo skończymy podawanie leku – dodał Chrystian Pawłowski. – Będą państwo mogli odwiedzić panią Wierę do domu. Choć oczywiście ja mogę to zrobić. Tak jak ją tu przywiozłem. Nie ma problemu.

– My to zrobimy – powiedziała Weronika, mimo że ona sama była zależna od Grześka. Przyjechali do Głębozka jego samochodem.

Psychiatra nie oponował, więc Nowakowska została z Wierą, a on poszedł z powrotem do hotelu po wranglera. Odwiózł je do Lipowa. Weronika była mu na tyle wdzięczna, że zaproponowała nocleg. Odmówił, tłumacząc, że skoro mają wynajęty pokój w Głębozku, nie będzie jej się narzucać.

Może i dobrze się stało, pomyślała Weronika, bo kto wie, jak by to się skończyło, gdyby pijany Daniel natknął się na niego w nocy.

– Cóż mogę powiedzieć – odezwała się Wiera, przerywając rozmyślenia Nowakowskiej. Swoim zwyczajem rzuciła Igorowi smakołyk zza lady. – Tak jak mówiła wczoraj doktor Pawłowska, zostałam zakwalifikowana do badania klinicznego. Mają nowy lek, który niedługo będzie wprowadzony na rynek. Mam szansę wyzdrowieć. Już czuję się lepiej.

Nowakowska przyjrzała się Wierze uważnie. Przyjaciółka faktycznie mniej kaszlała. Chyba tylko raz od czasu, kiedy Weronika weszła do sklepu.

– Zostawmy to – zarządziła Wiera. – Powiedz mi lepiej, co z Danielem.

Zanim Weronika zdążyła odpowiedzieć, zadźwięczały dzwonki w progu. Drzwi się otworzyły i do sklepu wszedł Grzesiek.

– O! – powiedział tylko na widok Weroniki. Wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Przyjechałem sprawdzić, czy wszystko w porządku, i uruchomić twój samochód. W końcu to ja go zepsułem. Pomyślałem, że po drodze wpadnę do sklepu i... – nie dokończył. – Dobra – dodał nagle, jakby podjął jakąś decyzję. – Nie będę owijać w bawełnę. Chciałem oczywiście pomóc ci, ale przyjechałem głównie porozmawiać z panią.

Spojrzał na Wierę. Sklepiarka milczała. Weronika poczuła, że ogarnia ją niepokój.

– Co się stało? – zapytała. – Dlaczego chcesz rozmawiać z Wierą?

Grzesiek odchrząknął głośno.

– Wykonałem kilka telefonów. Wyciągnąłem z tych rozmów dość niepokojące wnioski.

– Na jaki temat? – pytała dalej Weronika.

– Na temat tego, co dzieje się w tym domu w Głębozku.

– Co masz na myśli?

– Mam podejrzenia, że to nie są żadne badania kliniczne, jak twierdziła wczoraj, bardzo

przekonująco zresztą, Pawłowska. To jakieś partyzanckie, zupełnie nielegalne testowanie leków na ludziach. Nikt na to nie wyraził zgody. Czegoś takiego pod żadnym pozorem nie wolno robić. Jako lekarz zdecydowanie się na to nie godzę.

Weronika odwróciła się do Wierę.

– Testowanie leków na ludziach? Jak...

– Doktor Pawłowska ma dobre intencje – przerwała jej przyjaciółka.

– Wiedziałaś, że to nie jest jakoś... – Nowakowska szukała dobrego słowa – usankcjonowane?

– Doktor Pawłowska wyjaśniła mi wszystko wczoraj – powiedziała nieco wymijająco Wiera. – W Nowych Horyzontach, kiedy ty chodziłaś po willi, a mnie zabrano do gabinetu.

Nowakowska poczuła wyrzuty sumienia. Ona kręciła się po willi, szukając nie wiadomo czego, tymczasem doktor Patrycja Pawłowska nakłaniała Wierę do udziału w jakimś nielegalnym badaniu.

Nielegalne badania, przebiegło Weronice przez myśl. Bardzo możliwe, że Valentine Blue dowiedziała się o nich. Może dlatego zginęła?

– Doktor Pawłowska chce dobrze – powtórzyła Wiera. – Na razie działa w tym małym laboratorium, ale chce zbudować kompleks zdrowotny tu w Bropolu. Nad Bachotkiem. Jej działalność będzie wtedy legalna i pod kontrolą. Ale to nie zmienia faktu, że teraz też jest dobrze. Trzeba tylko nieco obejść procedury. Ale tylko na jakiś czas.

– Nie przeczę, że Pawłowska może mieć dobre intencje – powiedział Grzesiek. Wyglądało na to, że hamuje gniew. – Tyle że takie działania mogą mieć tragiczne skutki. Wprowadzanie na rynek nowych leków to nie jest jakaś samowolka. Obowiązują restrykcyjne przepisy. Nie można tego tak po prostu przeprowadzić w jakimś zaimprovizowanym laboratorium. Nie można tego przyspieszyć. Każda faza musi trwać odpowiednią ilość czasu. Lek należy badać na zwierzętach, później na szczegółowo wyselekcjonowanych zdrowych ludziach, potem dopiero na cierpiących na dane schorzenie. Choć akurat w przypadku leków na raka etap badań na ludziach zdrowych się pomija. Te leki są zbyt inwazyjne...

– Sam widzisz, kochanieńki – wtrąciła się szybko Wiera. – Dlatego ja muszę brać w tym udział. Jestem idealną kandydatką.

Grzesiek pokręcił głową.

– To tak w skrócie – powiedział, ignorując jej słowa. – Wstępne badania mogą trwać latami. Wszystko musi być dokładnie sprawdzone. A z tego, co mówili mi znajomi, to nikt nie usankcjonował tego, co robi Pawłowska. Ba! Nikt nawet o tym nie wiedział, a to przeczy etyce zawodowej lekarza. To wielkie ryzyko przyjmować zupełnie niesprawdzoną substancję. Nie wiem, czy zdaje sobie pani z tego sprawę.

Wiera uderzyła pięścią o drewniany kontuar. Stara kasa brzęknęła głośno. To było tak nieoczekiwane, że Igor aż podskoczył. Weronika też się przestraszyła. Pierwszy raz widziała przyjaciółkę tak rozeźloną.

– A co ja ryzykuję?! – warknęła sklepikarka. – Powiedzcie mi łaskawie, moi drodzy, co ja ryzykuję?! Przecież ja umieram! Nie ma leku na mojego raka. A ona daje mi jakąś szansę. Nie rozumiecie? Mam szansę!

Nagle Wiera się rozplakała. Weronika objęła ją i przytuliła. Ciałem przyjaciółki wstrząsnął szloch.

– Tak bardzo się boję – wydusiła sklepikarka. – Proszę... Nie zgłaszajcie tego nigdzie. Zamkną laboratorium i stracę ostatnią szansę. Nie chcę umierać.

Weronika zupełnie nie wiedziała, co robić. Zerknęła nad ramieniem Wierę na Grześka. On też był poruszony.

– Błagam – szlochała przyjaciółka. – Pozwólcie mi chociaż przejść całą terapię. Nie zostało tego wiele. To może być moja jedyna szansa. Doktor Pawłowska nic nikomu nie zrobiła.

– Ale Valentine... – zaczęła Weronika.

– Valentine została zabita przez jakiegoś oszalałego pacjenta – przerwała jej Wiera. – Prawda?

Odsunęła Weronikę i spojrzała wyczekująco na Grześka. Psychiatra odchrząknął, jakby zakłopotany, i skinął powoli głową.

– Faktycznie nie chciałbym popadać w teorie spiskowe, że Valentine Blue została u nas na oddziale zamordowana – przypomniał. – To raczej był wypadek, ale...

– No widzisz – rzuciła szybko sklepikarka do Weroniki.

– Ale – podjął Grzesiek niezrażony tym, że mu przerwano – to nie znaczy, że to, co robi Pawłowska, jest czymś dobrym. To wbrew wszelkiej etyce lekarskiej.

– Błagam – zaszlochała Wiera.

Zadzwoił telefon Nowakowskiej. Weronika zignorowała go. To nie był czas na pogawędki. Dzwonek rozległ się znowu. Komuś bardzo zależało na kontakcie. Postanowiła odebrać.

– Halo?

– Weronika?

Szept był na tyle cichy, że Nowakowska ledwo usłyszała swoje imię. Mocniej przycisnęła telefon do ucha.

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Jest kolejny trup – wyszeptała osoba po drugiej stronie linii. Tym razem nieco głośniej. Nowakowska wreszcie rozpoznała głos. Wiedziała już, z kim rozmawia.

SCENA 5

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 12.45.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

No i proszę, Kopp, to ty znalazłaś wszystkie ciała. Może ciebie powinniśmy podejrzewać. Jak uważasz?

Naczelnik Sienkiewicz mówił nieco żartobliwym tonem, ale Emilia wyczuwała w jego głosie napięcie. Przypuszczała, że to z powodu tej starej sprawy, o której opowiadał im wczoraj. Zapewne odsunięte gdzieś na bok wspomnienia z dziewięćdziesiątego szóstego roku znowu zrobiły się bolesne. Przypuszczalnie dlatego pojechał wczoraj z nimi do Cichego Lasku. Czuł, że w dochodzeniu musi uczestniczyć osobiście.

– Spoko. Ale! Może skupimy się na sprawie, co?

Klementyna powiodła wzrokiem po wszystkich zebranych w salce konferencyjnej na pierwszym piętrze komendy. Na odprawę przyszli szef techników Aleksander Ziółkowski i patolog doktor Koterski. Laura Fijałkowska usadowiła się obok Sienkiewicza. Zaciskała ręce na jakiejś teczce z dokumentami. Prokurator Ligia Więcek siedziała z dłońmi złożonymi na blacie stołu, jakby się modliła. Podgórski zajął miejsce obok Emilii, tak jak ostatnio. Czuła ostry zapach dezodorantu, którym próbował zamaskować wybryki ostatniej nocy.

Tylko Kopp stała. Opierała się o krzesło, które zostało przewidziane dla niej. Strzałkowskiej wydawało się, że Klementyna świdruje ją wzrokiem. Może chodziło o nową fryzurę? Na pewno. Bo przecież Kopp nie mogła wiedzieć, co Strzałkowska zrobiła rano.

Emilia odetchnęła głębiej. Opanowały ją palące wyrzuty sumienia. Starła się zdusić je w zarodku. Zrobiła, co zrobiła, i teraz było za późno na żale. Mogła oczywiście powiedzieć prawdę. Pytanie tylko, czy chciała. Odpowiedź była prosta. Nie. Nie chciała. Być może wszystko i tak wyjdzie na jaw, ale tym będzie się martwiła potem.

– Nie zapominaj, że jesteś tu w drodze wyjątku, Kopp – przypomniał Klementynie naczelnik. – Zaprosiliśmy cię tu z Ligią, bo znalazłaś wszystkie ciała i łatwiej nam to będzie ogarnąć. Nie dostajesz z powrotem odznaki. Rozumiemy się, prawda?

Ostry ton zdecydowanie do niego nie pasował. Sienkiewicz był osobą z rodzaju tych, które nie muszą podnosić głosu, żeby go słuchano. Miał autorytet starego gliny i wszyscy w komendzie go poważali. Dziś najwyraźniej to mu nie wystarczało.

Odwrócił się do Ziółkowskiego i Koterskiego, zanim Kopp zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Może nawet nie chciała. Cały czas wpatrywała się w Emilię z dziwną miną. Strzałkowska nie zamierzała spuszczać wzroku. Ani tym bardziej tłumaczyć się ze swojej metamorfozy.

Ta noc to było istne szaleństwo. Kiedy skończyli działania w Cichym Lasku, Daniel odwiózł ją do domu. Była przygnębiona. Starła się nie dać tego po sobie poznać, ale chyba mało skutecznie. Łukasz od razu ją przejrzał.

Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Nie była świadoma, jak długo leży pogrążona w ponurych rozważaniach o Danielu. Wtedy usłyszała pukanie. To było już nad ranem. Poszła do drzwi. Podgórski stał na progu. Był kompletnie pijany. Bełkotał coś o tym, że Weronika go nie chce. I tak dalej, i tak dalej.

Strzałkowska wpuściła go do środka. Nie chciała, żeby Łukasz zobaczył Daniela w tym stanie, więc od razu zaprowadziła go do sypialni. A może zwyczajnie liczyła na coś więcej? Wcale nie chodziło o seks. Podgórski był tak narąbany, że raczej trudno było oczekiwać, żeby do czegokolwiek mogło dojść.

A więc nie seks. To co? Tak naprawdę Emilia nie była pewna, czego właściwie oczekiwała. Niestety kolejne słowa, który płynęły z ust Daniela, tylko ją raniły. Bo ile można słuchać o kobiecie, której tak naprawdę się nienawidzi? Jaka Weronika jest wspaniała. Jaka piękna. Jak on ją kocha. Jaki jest bez niej nieszczęśliwy.

Kiedy Daniel zasnął, Emilia była na skraju wybuchu. Nigdy nie przypuszczała, że może odczuwać tyle negatywnych emocji naraz. Złość, gniew, nienawiść, zazdrość, frustracja. Miała wrażenie, że dosłownie pęknie od tego wszystkiego.

Wtedy zrobiła to, co zrobiła, ale przecież Kopp nie mogła o tym wiedzieć. To był impuls. Na chwilę poczuła ulgę. Na chwilę. Potem emocje znowu zaczęły buzować. Choć pojawił się też desperacki cień nadziei, że to może przynieść coś dobrego.

Po tym, co zrobiła, nie chciała czekać, aż Daniel się obudzi. Była pewna, że jak wytrzeźwieje, zdecyduje się na jakąś rozmowę. Choć ciągle zwlekał. Strzałkowska natomiast nie miała na to najmniejszej ochoty. Zwłaszcza po tym, co zrobiła. Potrzebowała więcej czasu, jeśli plan miał się powieść.

Nieoczekiwanie przypomniała sobie słowa Doris, przyjaciółki BiBi. Jeśli rozjaśni włosy, będzie wyglądać całkiem niezłe. Jak Daenerys Targaryen z *Gry o tron*. Podjęła decyzję natychmiast. Ubrała się, spakowała mundur i pobiegła na przystanek pekaesu.

Z autobusu zadzwoniła do fryzjerki, która strzygła Celinę Krawczyk. Mogła oczywiście poprosić żonę Marka, Ewelinę, która miała salon w Lipowie. Tylko że wtedy Emilia ryzykowałaby przedwczesne spotkanie z Danielem. A tak była już w Brodnicy. Poza tym mogła też wmówić sobie, że podczas farbowania porozmawia o sprawie. Dwa w jednym.

Od fryzjerki Celinę Krawczyk i Danuty Kołodziej nie dowiedziała się niczego nowego oprócz tego, co wiedziała już z wcześniejszego esemesa. Krawczyk i Kołodziej były skłócone. Jedna podrapała samochód drugiej. Tak więc rewelacji nie było. Za to twarz, która patrzyła na Emilię z lustra już po skończonym zabiegu koloryzacji, była zupełnie obca. Platynowy blond wyostrzył jej zaokrąglone rysy, a ostrzejsze cięcie dodało sznytu.

W drodze na komendę Emilia wstąpiła jeszcze do drogerii w galerii Dekada. Kupiła tusz do rzęs i pomadkę. Od dawna nie starała się zadbać o siebie. Próbowwała wtopić się w męski świat i nie okazać żadnej słabości. Miała wrażenie, że wpadła przez to w jakąś pułapkę. Od dziś zamierzała to zmienić.

Na komendzie zjawiła się na czas. A nawet była przed dwunastą. Daniel miał prowadzić przesłuchanie razem z Ligią Więcek, a ona obserwować przebieg rozmowy z pokoju za weneckim lustrem razem z pozostałymi. Zanim Podgórski przyszedł, Strzałkowska wyłgała się koniecznością pójścia do toalety i przebrania w mundur. W ten sposób znowu uniknęła spotkania. Nie będzie żadnych rozmów na palące tematy.

– Co dzisiaj macie? – zapytał naczelnik, wrywając Emilię z zamyślenia. Trzeba się było skupić na tu i teraz, upomniała się w duchu. Na odprawie, a nie na sprawach prywatnych.

– Po pierwsze, pięknie pani wygląda, pani Emilio – powiedział doktor Koterski z promiennym uśmiechem. – Proszę wybaczyć, ale musiałem o tym wspomnieć.

– Dziękuję.

Strzałkowska starała się mówić pewnym tonem. Nie pamiętała, kiedy ostatnio usłyszała taki komplement. Nie zamierzała dać tego po sobie poznać. Była teraz inną kobietą. Niebezpieczną. Zamierzała zawalczyć o swoje. Za wszelką cenę. Jeśli inni mogli iść po trupach do celu, to ona też.

– Spoko. Ale! Może tak przejdziemy jednak do rzeczy, co? – mruknęła Kopp.

Nadal przypatrywała się Emilii spod oka. Strzałkowska odpowiedziała tym samym. Nie zamierzała dać się zwariować. Kopp nie mogła o niczym wiedzieć.

Szef techników odchrząknął.

– Moim zdaniem Cezary Zaręba kłamie – oznajmił. – Przynajmniej w jednej kwestii.

On również słuchał przesłuchania z pomieszczenia za weneckim lustrem. Emilia była ciekawa, co takiego zauważył. Co prawda ona też miała wrażenie, że ojciec Marka kombinuje, ale wyglądało na to, że Ziółkowski ma na myśli coś konkretnego.

– W jakiej kwestii? – zapytał Sienkiewicz.

– Na koniec powiedział, że był w lasku sam. Dlatego spanikował i pobiegł przez kukurydzę nie w tę stronę, którą nakazywałyby logika. Znalazłem jego ślady wokół studni. Z łatwością dopasowałem buty. Mają charakterystyczne podeszwy. Znalazłem też ślady butów Wojtka Majewskiego i Harolda Dębowskiego. No i pani Kopp.

Szef techników skinął głową w stronę Klementyny. Skrzywiła się na te słowa. Zmarszczki wokół jej ust zrobiły się jeszcze bardziej widoczne.

– Musiałam podejść, żeby zobaczyć, czy w środku są truposze, czy co innego – mruknęła. Tłumaczyła się. To do niej nie pasowało. Musiało jej jednak zależeć, żeby jej stąd nie wyproszono.

– To nie jest takie ważne – powiedział wspaniałomyślnie Ziółkowski. – Ważne jest to, że znalazłem tam ślady dwóch innych osób.

– Innych osób? – powtórzyła Laura Fijałkowska.

– Tak. Czyli oprócz ofiar, Cezarego Zaręby i pani Kopp jeszcze co najmniej dwie osoby podchodziły wczorajszego popołudnia do studni. Ślady były świeże. Niezatarłe. Dlatego uważam, że Cezary Zaręba kłamie. Ktoś tam z nim był.

– Czy to niemożliwe, żeby te osoby przyszły, zanim on się tam znalazł? – zapytał Podgórski. – A on zjawił się tam już po nich? I nie wiedział, że ktoś tam był?

– Możliwe oczywiście – przyznał Ziółkowski. – Głupio z mojej strony. Nie pomyślałem.

– Po śladach nie da się tego stwierdzić? – zapytał Sienkiewicz.

– Na tym placyku przy studni niby jest piasek, ale dość ubity. Ciężko stwierdzić cokolwiek z całą pewnością. Kto walczył z kim, kto kiedy się tam zjawił i tak dalej. Natomiast sądząc po ilości krwi, mogę być pewien, że atak na ofiary nastąpił właśnie tam.

– Choć wydaje się, że dosyć łatwo ustalić czas – powiedział naczelnik i spojrzał na Daniela. – Wojtek Majewski zadzwonił do ciebie koło siedemnastej, tak?

– Jo.

– Czyli wiemy, że wtedy na pewno jeszcze żył – wtrącił się Koterski. – Harold w każdym razie zginął mniej więcej koło piątej. Nieco wcześniej niż Majewski. Majewski mógł pożyć godzinę, nawet dwie dłużej. Choć oczywiście trudno stwierdzić z dokładnością co do minuty.

– Czekaj. Stop. Pamiętajmy, że stary Zaręba twierdził, że słyszał jęki – przypomniała Klementyna. – To w ogóle możliwe, co? Czy ściema na całej linii?

Doktor Koterski pokiwał głową.

– Możliwe, ale oczywiście może też kłamać.

– Klementyna natknęła się na Cezarego Zarębę około wpół do ósmej, prawda? Dwie i pół godziny po telefonie Wojtka. Czyli wychodziłoby na to, że mamy dwie możliwości – wyciągnął wniosek Sienkiewicz. – Te dwie nieznane osoby zabiły Majewskiego i Dębowskiego pomiędzy siedemnastą a dziewiętnastą. Potem się ulotniły, zanim zjawił się Cezary Zaręba i znalazł ciała. Albo druga możliwość: przyszli tam we trójkę, Zaręba i dwójka NN. I razem zabili Majewskiego i Dębowskiego.

– Porozmawiam sobie z Zarębą na temat tej nieznanej dwójki. Może ja coś z niego wyciągnę – zaproponowała Laura Fijałkowska. – Oczywiście jeśli pan naczelnik pozwoli.

Sienkiewicz zerknął na nią w zamyśleniu, jakby zastanawiał się, czy dać jej tę szansę.

– Nie zaszkodzi – powiedział i odwrócił się do Ziółkowskiego. – Wiemy coś więcej o tej dwójce NN na podstawie ich śladów?

– Jedne ślady są większe, drugie mniejsze – wyjaśnił szef techników. – Te większe to mniej więcej rozmiar czterdzieści pięć. Mniejsze jakieś trzydzieści osiem. Pokusiłbym się więc o robocze twierdzenie, że to byli mężczyzna i kobieta. Oboje nosili sportowe obuwie.

– Zapytam o to Zarębę – obiecała Laura tonem wzorowej uczennicy.

– A co z narzędziem zbrodni? – zapytała prokurator Więcek.

– Chyba je mamy – powiedział Ziółkowski. Z jego twarzy zniknął na chwilę grymas. Prawie się uśmiechnął. – W studni oprócz ciał był też sekator. Taki w typie dużych nożyc. Państwo widzieli wczoraj.

Emilia skinęła powoli głową. Faktycznie razem z ciałami ze studni udało się wydobyć rozmaite przedmioty, śmieci, liście i tak dalej. Z czasem sporo się tego zebrało na dnie. Był tam też sekator do cięcia żywopłotu. Zakrwawiony. Od razu nasuwało się więc przypuszczenie, że mógł posłużyć sprawcy czy też sprawcom do dokonania zbrodni.

– O ile dobrze pamiętam, to miało być coś w rodzaju lancy – powiedziała Ligia Więcek i poprawiła grube okulary. – Albo maczeta.

– Skonfiskowałam już wczoraj wieczorem maczety należące do Renaty Dębowskiej – wtrąciła się Laura Fijałkowska. – Kiedy wy byliście w tym lasku.

Znowu ton najlepszej uczennicy w klasie. Strzałkowska poczuła, że Laura działa jej na nerwy.

– Zabrałam je, mimo że dostałam telefon z Lipowa, że tamtejszy szef posterunku sprawdził ich alibi, matki i córki, na czas śmierci Dębowskiego. Dokładności nigdy za wiele. Jowita i Renata były razem w Głębozku. Z Weroniką Nowakowską i jej partnerem, niejakim Grzegorzem Wilczyńskim.

Strzałkowska z trudem powstrzymała uśmiech. Weronika Nowakowska ze swoim partnerem. Tym razem Emilia poczuła niemal sympatię do Laury. Zerknęła na Daniela. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać, ale ziarno niepokoju chyba zostało zasiane.

– Oczywiście sprawdzimy te maczety – zapewnił Ziółkowski. – Z tym że...

– Mówiłem o narzędziu z ostrym czubkiem, ale tępymi bokami. Bez ostrzy z boków – przypomniał doktor Koterski, przerywając mu. – Darujcie sobie maczety. Ten sekator ze studni pasuje wprost idealnie.

– Może pan z łaski swojej wyjaśnić dlaczego? – poprosiła Ligia Więcek.

Doktor Koterski uśmiechnął się przyjaźnie.

– Z największą przyjemnością, pani prokurator. Pomijam już nawet to, że grupa krwi ofiar zgadza się z tą na sekatorze. Choć oczywiście czeka nas jeszcze analiza porównawcza DNA. Na to sobie poczekamy w kolejce. Jak pamiętacie, Celina Krawczyk miała wielką ranę w brzuchu. Była niemal przebita na wylot. Moim zdaniem sprawca wbił jej ten sekator. Narzędzie było zamknięte. Innymi słowy nie ciał, ale użył sekatora, jakby przebijał Celinę Krawczyk oszczepem. Potem pogłębił ranę, wykonując okrężne ruchy. Dlatego jest taka duża.

Wszyscy słuchali w milczeniu. Emilia znowu miała przed oczami gnijące, spuchnięte ciało Celiny porzucone obok zardzewiałej karuzeli w Bropolu. Trupy znalezione w studni wyglądały dużo lepiej. Głównie dlatego, że zarówno ciało Harolda Dębowskiego, jak i Wojtka Majewskiego zostały odnalezione tego samego dnia, kiedy zginęli. Tylko Berenika Borkowska leżała tam dłużej.

– A ofiary ze studni? – zapytała prokurator Więcek. – Też zostali... nadziani na ten sekator?

– Mam nadzieję, że doceniacie, że tak szybko zacząłem robić te sekcje – zażartował patolog. – Znowu mamy najazd studentów, więc jakoś to idzie.

Zaśmiał się wesoło.

– Oczywiście, że bardzo nam na rękę, jeśli już ma pan wstępne ustalenia – powiedziała dobrotliwie Ligia Więcek. – Może nam pan w takim razie opowiedzieć, co i jak?

– No więc mamy w sumie cztery ofiary. Celinę Krawczyk, Wojtka Majewskiego, Harolda Dębowskiego i Berenikę Borkowską – podsumował Koterski. – Narzędzie zbrodni było prawdopodobnie to samo. Ale tylko w przypadku trzech ofiar.

– A czwarta?

– Berenika jako jedyna nie została zaatakowana sekatorem.

SCENA 6

Niedaleko Nowych Horyzontów. Ulica Wczasowa w Brodnicy.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 14.00.

Weronika Nowakowska

Ufasz tej dziewczynie? – zapytał Grzesiek.

Nie ufam tobie, miała ochotę powiedzieć Weronika, ale się powstrzymała. Może naprawdę powinna przestać oceniać Wilczyńskiego przez pryzmat dawnych czasów i tego, że kiedyś ją skrzywdził. Teraz wydawał się zaangażowany zarówno w sprawę leczenia Wiery, jak i śmierci Valentine Blue. Czyli zachowywał się całkiem normalnie.

Ale zepsuł samochód Weroniki i udawał, że jego własny też nie odpala, pomyślała. Wszystko zapewne po to, żeby mieć pretekst do nocowania u niej pierwszego dnia. Ale tej nocy nocował przecież w hotelu, powiedziała sobie w duchu Nowakowska. Uznała, że najwyższy czas przestać się zamartwiać na zapas. Miała przecież inne rzeczy na głowie.

– Ufasz tej dziewczynie? – zapytał jeszcze raz Wilczyński.

– Zośka powiedziała mi, że chce porozmawiać.

Grzesiek przykręcił trochę klimatyzację. W samochodzie zrobiło się chłodno. Aż trudno było uwierzyć, że na zewnątrz panuje letni skwar. Gdyby klimatyzacja w aucie Weroniki pracowała choć w połowie tak dobrze, byłoby pięknie.

– Wiem, co powiedziała. Nie o to pytałem. Pytałem, czy jej ufasz.

Kiedy byli u Wiery, zadzwonił telefon Weroniki. Początkowo nie rozpoznała, z kim rozmawia. Dopiero po chwili zrozumiała, że to Zośka z Nowych Horyzontów. Recepcjonistka wzięła numer Nowakowskiej z karty Wiery.

– Powiedziała mi, że być może jest kolejny trup – przypomniała Weronika. – Nie wiem, czy miała na myśli tych w Cichym Lasku, czy jakichś jeszcze innych.

Zośka nie chciała mówić więcej przez telefon. Poprosiła o spotkanie. Wtedy miała wszystko wyjaśnić.

– To znowu nie jest odpowiedź na moje pytanie – upierał się Grzesiek.

– Nie wiem, czy jej ufam – westchnęła głośno Weronika. – Ale po co by dzwoniła do mnie? Wydaje mi się, że ona się bała i nie chciała, żeby ktoś ją podsłuchał. Takie odniosłam wrażenie. Moim zdaniem mówiła prawdę.

Psychiatra milczał. Przyjechali tu jego samochodem od razu po telefonie Zośki. Tak było najszybciej. Igor został z Wierą w sklepie.

– Dlaczego w takim razie nie przychodzi? – przerwał milczenie psychiatra.

To było bardzo dobre pytanie. Czekali w umówionym miejscu, ale Zośka się nie zjawiała. Weronika czuła coraz większy niepokój.

– Boję się, że coś jej się stało – szepnęła.

Odblokowała ekran telefonu, żeby upewnić się, czy Zośka nie zadzwoniła znowu. Nic.

– Może po prostu nie może na razie wyjść. Może czeka na odpowiedni moment.

– Może – mruknęła Weronika.

Naprawdę miała złe przeczucia. Zerknęła na zegarek. Było kilka minut po czternastej. Jeżeli Zośka nie zjawi się w ciągu pół godziny, Nowakowska zamierzała zadzwonić do Daniela. Schowa dumę do kieszeni. Naprawdę mogło coś się stać.

SCENA 7

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 14.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Berenika jako jedyna nie została zaatakowana sekatorem – powiedział doktor Koterski. – Zginęła zupełnie inaczej. I jeszcze jedno. W przypadku pozostałych ofiar narzędziem zbrodni wprawdzie był sekator, ale inaczej użyty.

– Może po kolei, co? – wtrąciła się Kopp.

– Najpierw Celina Krawczyk – zaczął patolog. – Jak już mówiłem, ona została dźgnięta zamkniętym sekatorem. Potem ranę pogłębiono kolistymi ruchami. Ofiara numer dwa, Harold Dębowski, też została dźgnięta. Tym razem jednak sprawca nie pogłębiał rany.

– Ale czy właśnie ta rana była bezpośrednią przyczyną zgonu? – zapytał Sienkiewicz.

Doktor Koterski pokręcił głową.

– Właśnie nie. Bardzo możliwe, że ta rana nie byłaby śmiertelna. Dębowski zmarł w wyniku krwotoku z narządów wewnętrznych po upadku z wysokości na dno wyschniętej studni. Śmierć była praktycznie natychmiastowa.

– Dlaczego tym razem nie pogłębiono rany? – zastanawiała się Emilia.

Doktor Koterski wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Może było mniej czasu?

– Może sprawca myślał, że Harolda zabił – zastanawiał się Daniel głośno. O dziwo, fizycznie czuł się już całkiem nieźle. Jakby adrenalina poranka spowodowała, że kac minął. – Albo sprawcy. Nadal nie jesteśmy przecież pewni, czy nie było ich dwoje. Wrzucili ciało do studni, żeby je ukryć. No i de facto wyszło na to samo, bo Dębowski umarł w wyniku upadku.

Medyk sądowy potwierdził:

– Mogło tak być.

– Powiedział pan, że atak sekatorem nie zawsze przebiegał tak samo – przypomniała Ligia Więcek. – Miał pan na myśli właśnie to, że rana nie została pogłębiona?

– Nie tylko. Wojtka Majewskiego zaatakowano w jeszcze inny sposób. On nie został dźgnięty jak Harold i Celina. Tym razem sekatora użyto jak nożyc. Innymi słowy cięto go.

– To była przyczyna zgonu? – zapytał Sienkiewicz. – Czy znów upadek, jak w przypadku Harolda?

– Dzieła dopełnił upadek z wysokości – przyznał doktor Koterski. – Tylko że Wojtek Majewski nie miał tyle szczęścia, czy też nieszczęścia, co Harold. Jak już powiedzieliśmy wcześniej, żył jeszcze jakiś czas. Leżał na dnie studni i być może patrzył w górę. Wykrwawiał się. Gdyby pomoc przyszła wcześniej, może nawet udałoby się go uratować.

Zapadła cisza. Daniel podejrzewał, że wszyscy myśleli o tym samym. Gdyby Wojtek przeżył, mógłby wskazać mordercę. Teraz mogli liczyć tylko na siebie.

– Mamy jeszcze Berenikę Borkowską – odezwała się prokurator Więcek. Ona nie widziała wczoraj ciała i nie słyszała wstępnych wniosków Koterskiego. – Powiedział pan, że ta dziewczyna jedyna nie została zaatakowana sekatorem.

Medyk sądowy znowu skinął głową.

– Tak właśnie.

– To jak zginęła?

– Berenika została uduszona. Widać typowe wybroczyny krwawe w obrębie otrzewnej

i nasierdzia. Obrażenia zewnętrzne wskazują, że sprawca przytrzymał ją własnym ciałem. Uważam, że klęczał na niej. Na jej klatce piersiowej.

– I zaciskał jej ręce na szyi? – zapytała Emilia.

Daniel zerknął na Strzałkowską. W nowej fryzurze i makijażu wyglądała dziwnie obco. Tylko granatowy mundur pozostał ten sam.

– Raczej doszło do zamknięcia otworów nosowych i ust – wyjaśnił Koterski.

– To znaczy?

– Być może miała na przykład worek foliowy na głowie. Wtedy nie występują wybroczyny w obrębie twardek i spojówek. Nie ma też przekrwienia twarzy. Tak podejrzewam.

– Czekaj. Stop. Tak czy inaczej do tego potrzeba sporo siły, co? – wtrąciła się milcząca od jakiegoś czasu Kopp. – Chyba że BiBi była związana.

Koterski pokręcił głową.

– Nic nie wskazuje na to, żeby ktoś ją związał. Brak śladów na nadgarstkach czy kostkach.

– Broniła się? – zapytała Emilia.

– Prawdopodobnie tak – powiedział patolog. – Ale niestety nie podrapała napastnika, jeśli o to pytasz. Nie ma naskórka pod paznokciami.

– Spoko. Ale! Potrzeba było do tego siły, co? – przerwała mu Kopp, upierając się przy swoim poprzednim pytaniu. – Chodzi mi o to, czy w grę w ogóle wchodzi kobieta jako sprawca? Czy bierzemy pod uwagę tylko mężczyzn, co?

– Trochę siły było potrzeba, tak. Myślę, że to prawdopodobnie mężczyzna ją udusił. Choć oczywiście musimy pamiętać, że Berenika była drobnej budowy, więc nie możemy do końca wykluczyć kobiet. Zwłaszcza silnych.

– A kto mógł atakować sekatorem? – zapytał Podgórski. – Też raczej mężczyzna?

– Do tego też potrzeba było trochę siły – przyznał doktor Koterski. – Zwłaszcza żeby zadać taką ranę, jaką miała Celina Krawczyk. Ale nie wykluczałbym jeszcze na tym etapie kobiety.

– Pamiętajmy, że mamy tę nieznaną dwójkę – wtrącił się Ziółkowski. – Możliwe więc, że sprawców jest dwoje. A nawet troje, póki państwo nie wykluczą Cezarego Zaręby.

– Pomyśl, że jest kilku sprawców, pasowałby do zmiennego *modus operandi* – odezwała się Laura Fijałkowska. – Mam na myśli, że raz dźgano sekatorem, raz nim cięto. No i jest jeszcze uduszenie. To by mogło wskazywać na trzy osoby. Każdy zabił na swój sposób.

– Spoko. Ale! Nie musi to też na nic wskazywać – mruknęła Kopp. – Równie dobrze możemy mieć jednego sprawcę, któremu tak było wygodnie i już.

Laura poczerwieniała na twarzy.

– Oczywiście, że nie musi to na nic wskazywać. Ale może, prawda?

– Sprawdzaliście paluchy na sekatorze? – zapytał Sienkiewicz. – Może to by pomogło rozstrzygnąć spór.

Ziółkowski skrzywił się.

– Oczywiście, panie naczelniku. Niewiele nam to niestety dało. Na narzędziu jest sporo odcisków różnych osób. Mieliśmy za mało czasu, żeby zrobić porównanie. No i niech państwo pamiętają, że sprawca lub sprawcy mogli działać w rękawiczkach. Teraz to typowe. Każdy chyba ogląda seriale kryminalne i wie, że na odciskach można najłatwiej wpaść. Nie liczyłbym na cud. Choć oczywiście sprawdzimy to z całą starannością. Jak zwykle.

Ostatnie zdanie szef techników dodał z wyraźnym naciskiem.

– Spróbuję ustalić, gdzie można kupić taki sekator – wyrwała się znowu Laura Fijałkowska. – Może to nam coś da. Sprzedawca może pamiętać, kto go kupował.

– Narzędzie nie jest nowe – powiedział Ziółkowski. – Widać na nim ślady użytkowania. Równie dobrze mogło zostać wyciągnięte z czyjejsz szopy, a być kupione kilka lat temu. Zresztą rozpytywanie o sekator latem to szukanie igły w stogu siana. Wszyscy teraz coś przycinają, sadzą i tak dalej.

– Nie traciłbym na to na razie czasu – uznał Sienkiewicz. – A jest sporo innych rzeczy do sprawdzenia, Lauro.

– Czekaj. Stop! – odezwała się Klementyna. – Skoro już mowa o przycinaniu.

Kopp zerknęła w stronę Strzałkowskiej, jakby chodziło o jej nową fryzurę.

– Co masz na myśli? – zapytała Emilia nieco gniewnie.

– Na pewno nie to, jak się wystafirowałaś – odparła Klementyna z krzywym uśmiechem. – Chodziło mi raczej o tę klubokawiarnię. Tam jest z tyłu ogródek. Żywopłot i tak dalej. Chcą go wyszykować dla klientów. Kołodziej gadał o tym w koło Macieju, jak tam byliśmy. Nie pamiętacie, co?

Daniel oczywiście pamiętał. Przecież właśnie o ogródek Lech Kołodziej wściekł się na Wojtka Majewskiego.

– Sugerujesz, że to ktoś stamtąd? – zapytał.

Klementyna wzruszyła ramionami.

– Ostatnio jeździmy tam ciągle. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Czyli temat klubokawiarni ciągle wraca. Berenika była tam w dniu swojego zniknięcia. Majewski tam pracował. Celina była ekszonką kelnera stamtąd. Tylko Harold mniej tu pasuje. Nie widać szczególnych powiązań pomiędzy nim a klubokawiarnią.

– Tak. Ale pamiętaj, że Nowe Horyzonty również pojawiają nam się kilkakrotnie – skontrowała Emilia. – BiBi wysłała do Harolda esemesa w dniu swojego zniknięcia. Czy też śmierci, jak już teraz wiemy. Harold twierdził, że chodziło o rozmowę na temat prezentu dla Jana Kowalskiego. Ale może Harold nie powiedział nam wszystkiego. Może rozmawiali o czymś jeszcze? Dziwne jest, że się spotkali, a teraz oboje nie żyją, prawda? Pamiętajmy, że oboje byli wolontariuszami w Nowych Horyzontach. Celina też bywała w tej willi. Tylko...

– Tylko teraz z kolei Wojtek Majewski jakby mniej pasuje, co? – przerwała jej Kopp. – Nie wykryliśmy związków pomiędzy nim a Nowymi Horyzontami. Przynajmniej dotychczas. Ale! Bardziej mnie interesuje co innego.

– Co? – zapytał Sienkiewicz.

– Bropol – odparła krótko Kopp. – I bransoletka Bereniki, którą tam znalazłam. Jak to się stało, że BiBi była w ośrodku, a potem jej ciało odnajdujemy w studni w Cichym Lasku, co? Celina Krawczyk została w Bropolu zabita. Tam sprawca czy też sprawcy zostawili jej ciało. To samo z Haroldem Dębowskim i Wojtkiem Majewskim. Zginęli w Cichym Lasku i tam zostały ciała.

– To by sugerowało, że Berenika też zginęła w Cichym Lasku – powiedział Daniel powoli. Nie pomyślał o tym dotąd. – Co robiła wcześniej w Bropolu? Była tam, kiedy zginęła Celina? A potem sama została zabita?

– Jeszcze wcześniej musiała być w Tamie Brodzkiej – dodała Strzałkowska. – Tam znaleźliśmy jej telefon. A właściwie Żabińska znalazła.

Podgórski pokiwał głową.

– Choć akurat Tama Brodzka jest po drodze do Bropolu – uściślił.

– Czekaj. Stop – przerwała im Klementyna. – Mówicie wcześniej i wcześniej. A nie wiemy, jak to było w czasie.

– Co masz na myśli? – zapytał Podgórski.

– Które miejsce odwiedziła najpierw.

– No raczej martwa nie udała się z Cichego Lasku do Bropolu – zakpiła Emilia. – To nie *The Walking Dead*, znane u nas jako *Żywe trupy*.

Daniel uśmiechnął się pod nosem. A więc jednak Strzałkowska oglądała jakieś seriale.

– Spoko. Ale! Bransoletka mogła zostać podrzucona pod Bropol, żeby nas zmylić. To wzięłaś pod uwagę, co? Albo ten telefon do Tamy Brodzkiej. Albo obie rzeczy.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Może Berenika była jednym ze sprawców – zasugerowała Laura, przerywając milczenie. – Pokłócili się, albo coś takiego, i pozostali ją zabili. Da się stwierdzić, czy stało się to w Cichym Lasku?

Fijałkowska odwróciła się do szefa techników.

– Będzie ciężko to określić. Minęło sporo czasu od jej śmierci. Poza tym ciało leżało tam i stąd mamy na nim sporo śladów pochodzących z lasku. Nie możemy jednak wykluczyć, że została zabita

gdzie indziej. Nadal badamy jej ubranie. Dopiero od pół dnia mamy jej ciało. I to nie jest jedyna sprawa, którą się zajmujemy.

Ziółkowski znowu się skrzywił.

– Tak czy inaczej pozostaje pytanie, dlaczego poszli do Cichego Lasku – powiedział Daniel. – Miejscowi omijają to miejsce szerokim łukiem. U nas w Lipowie mówi się, że laszek jest nawiedzony. Zwłaszcza po sprawie Trzydziestej Pierwszej kilka lat temu. Ludzie tam rzadko chodzą. Dlaczego oni tam poszli?

Podgórski przejechał w zamyśleniu ręką po brodzie. Teraz nie klubokawiarnia i nie Nowe Horyzonty, ale właśnie Cichy Lasek znalazł się w centrum wydarzeń.

– Na to nie umiem odpowiedzieć – włączył się do dyskusji doktor Koterski. – Mogę tylko dodać, że Berenika już nie żyła, kiedy jej ciało wrzucono do studni. Najpierw ją uduszono.

Daniel pokiwał głową. Czuł znajomą ekscytację prowadzonym śledztwem. Wszystko inne zeszło na dalszy plan.

– Zastanawialiśmy się, kto mógł wiedzieć o wyprawie Celiny Krawczyk i dlatego zdecydował się zaatakować ją właśnie w Bropolu – przypomniał. – Wojtek powiedział mi przez telefon, że wybiera się na spacer. Później okazało się, że szedł do sklepu na skróty przez pola. Ktoś wiedział, że będzie przechodził przez Cichy Lasek, i dlatego się tam na niego zaczął? Kto mógł to wiedzieć?

– Na pewno wiedział ten staruch – podpowiedziała Kopp. – Sąsiad. I pewnie mogli wiedzieć inni ludzie. Na przykład od was ze wsi.

– Przesłucham tego sąsiada – zgłosiła się znowu Laura. – I sprawdzę billingi Wojtka Majewskiego. Może rozmawiał nie tylko z Danielem. Może komuś powiedział, że tamtędy idzie.

– Zgoda, zrób to – powiedział powoli Sienkiewicz. – Zastanawia mnie z kolei, skąd się tam wziął Harold Dębowski. Załóżmy, że faktycznie ktoś wiedział, że Wojtek będzie tamtędy szedł. Tak jak ten ktoś czy też kilka osób wiedziało, że Celina Krawczyk będzie nocowała w Bropolu. Wojtek szedł do sklepu, był u siebie. Co tam robił Harold? Przecież on nie mieszka w Lipowie. Przyjechał tam specjalnie.

– Tak. Jego samochód stał zaparkowany przy szosie – przypomniał Ziółkowski.

Daniel potwierdził. Znaleźli samochód bez trudu. Dębowski zostawił go przy wjeździe na polną drogę. Może bał się ryzykować jazdę po wertepach i resztę drogi do Cichego Lasku pokonał na piechotę. Niestety odnalezienie samochodu niewiele dawało.

– Wiemy, że Harold wcześniej zawiózł żonę i córkę do hotelu. Tam widziała ich Weronika Nowakowska ze swoim partnerem – przypomniała Emilia. Podgórski od razu zobaczył Weronikę i mężczyznę w kowbojkach. Odegnął ten obraz szybko. – Najwyraźniej zaraz potem Dębowski pojechał do Lipowa. Dlaczego? Dlaczego do Cichego Lasku?

– Jowita i Renata zeznały, że Harold był tego dnia z kimś umówiony – powiedziała Laura. – Może właśnie w Cichym Lasku?

– Dlaczego akurat tam i z kim? – zapytała Strzałkowska.

– A może z Wojtkiem? – zastanawiał się głośno Sienkiewicz. – Majewski powiedział Danielowi, że Berenika wypytywała go o tę starą sprawę i że ktoś jeszcze to robił. Tak?

– Jo – potwierdził Podgórski. – Wojtek nie powiedział niestety kto.

– Harold by pasował – rozważał naczelnik. – On był bratem Nory... Eleonory. Jej śmierć mogła go interesować.

– Tylko dlaczego umówili się na spotkanie w lasku? – zapytała Ligia Więcek. – Przecież Harold mógł podjechać do Majewskiego do domu albo mogli spotkać się przy sklepie.

– Może istnieje jakiś związek pomiędzy sprawą z dziewięćdziesiątego szóstego a Cichym Laskiem? – zapytał Daniel. – Może tu tkwi odpowiedź.

– Ja nic o tym nie wiem – powiedział Sienkiewicz.

Wszyscy pokiwali głowami oprócz Klementyny.

– Spoko. Ale! Powiem to, co mówiłam na początku tego przemilego spotkania – rzuciła. Znowu wypluwała słowa jak z karabinu maszynowego. Wycelowała palec w Sienkiewicza. – Ty też jesteś pośrodku tego wszystkiego. Ty i twoja rodzinka. W końcu twój braciszek księżulek i mamusia gosposia

też znajdują się w kręgu podejrzanych. Chociaż jakby o tym zapomnieliśmy. Mówisz, że ja jestem tu warunkowo, co? A może ty w ogóle nie powinieneś tu być? Przecież możesz coś mieszać i mataczyć. To jak to jest, co?

Wszyscy odwrócili się do naczelnika. Czekali w napięciu na jego odpowiedź. Jakby to była rozgrywka szachowa albo mecz tenisowy. Po względnym spokoju na początku odprawy Kopp znowu zachowywała się... no cóż, zachowywała się jak to ona. I zupełnie nie zważała na to, że może zostać w każdej chwili wyproszona.

Sienkiewicz uśmiechnął się pod nosem.

– Między innymi dlatego tu jesteś, droga Klementyno. Zawsze masz świeże spojrzenie na wszystko – oznajmił. – I dlatego też jest tu Laura.

Fijałkowska pokiwała z zapalem głową. Uniosła teczkę, którą ze sobą przyniosła na odprawę.

– Pan naczelnik poprosił mnie, żebym przejrzała dokumentację sprawy z dziewięćdziesiątego szóstego – wyjaśniła. – Żeby nie było żadnych niedomówień.

– Spoko. Ale! Ty mi nie wyglądasz na najbardziej obiektywną osobę pod słońcem – zaśmiała się Kopp. – Raczej liżesz dupkę szefusiowi, co?

Sienkiewicz znów się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Laura za to wyglądała na wściekłą.

– Nikomu nie liżę dupy – oznajmiła z godnością. – Jestem tu, gdzie jestem, bo sobie na to zasłużyłam.

Teraz z kolei Daniel zaśmiał się cicho. Nieraz słyszał plotki, że Laura dostawała kolejne awanse nieco szybciej niż pozostali. Głównie dlatego, że zbliżyła się do kogo trzeba. Bardzo zbliżyła. Trudno powiedzieć, ile w tych plotkach było prawdy. Fakt faktem, że dosłużyła się już stopnia starszego aspiranta, a była w firmie krócej niż Podgórski.

– Okej. No dobra. To co tam wyszperałaś w tych papierzyskach, co? – zapytała Kopp, przypatrując się Fijałkowskiej uważnie. – Skoro taka z ciebie wzorowa funkcjonariuszka.

Laura poprawiła bluzkę i odchrząknęła. Streściła pokrótce to, co powiedział im wczoraj Sienkiewicz.

– Śmierć Eleonory i Michała uznano za wypadek – zakończyła opowieść. – Spowodowany jazdą po pijanemu. Jedyną osobą, która się nie zgadzała z tym orzeczeniem, była jedna z naszych ofiar, czyli Wojtek Majewski. Wtedy jedenastoletni chłopiec. Kłopot polegał na tym, że raz twierdził, że jakiś samochód gonił Eleonorę, a raz, że zajechał jej drogę i zepchnął ją z szosy. Raz mówił o białym samochodzie, a raz o srebrnym.

– Mnie to akurat nie dziwi – włączył się do rozmowy doktor Koterski. Wyglądało na to, że dobrze się bawi, biorąc udział w odprawie. – Przy marnym świetle łatwo się pomylić. Rozumiem, że sprawdzono, kto z uczestników przyjęcia miał jasne auto?

– Pawłowscy mieli srebrnego mercedesa – powiedział Sienkiewicz, jakby recytował z pamięci.

– Nadal są wierni marce – wtrąciła Emilia.

Miała rację. Faktycznie na podjeździe przed domem lekarki widzieli srebrnego mercedesa. Choć oczywiście to nie mógł być ten sam co w dziewięćdziesiątym szóstym. Model był nowy. Miał najwyżej rok.

– I jedynie Chrystiana Pawłowskiego brano pod uwagę jako ewentualnego podejrzanego – kontynuowała Laura. – Nie tylko ze względu na samochód, ale również na to, że to on awansował na dyrektora regionalnego zamiast pani Eleonory.

– Pani Eleonory – zaśmiała się Klementyna, przedrzeźniając ją. – Znowu liżemy dupkę, co? Smaczna?

– Kopp – upomniął ją Sienkiewicz. Tym razem w jego głosie pobrzmiwała ostrzegawcza nuta.

– Ale nikt nie podejrzewał Pawłowskiego poważnie – dodała Laura. Wyraźnie walczyła ze sobą, żeby nie skomentować słów Klementyny. – Jak już powiedziałam, uznano, że to był wypadek. Jak tylko stwierdzono alkohol we krwi pani Eleonory, wszystko wydawało się jasne. Nawet Pawłowskiego nie przesłuchano.

– Może to był błąd – powiedział Daniel. – Pojawia się przecież jako podejrzany również teraz.

Przynajmniej jeśli chodzi o Celinę Krawczyk. Był przecież skłócony z sąsiadką.

– Ale z jakiego powodu zabiłby BiBi i Harolda? – zapytała Emilia. – O ile Wojtka mógł zabić, żeby go uciszyć, o tyle BiBi i Harold...

– Mógł na przykład znać oboje z Nowych Horyzontów. Przecież jego żona jest tam lekarką. Być może bywa w willi razem z nią. Ale co ważniejsze, Berenika i Harold mogli usłyszeć jakąś tajną informację i stać się niewygodni. Przecież Wojtek Majewski powiedział mi przez telefon, że BiBi pytała go o tę sprawę. Ustaliliśmy właśnie, że Harold mógł być tą drugą osobą, która też się tym interesowała. Może oboje zaczęli naciskać na Pawłowskiego.

– Ale dlaczego teraz? – zapytała Strzałkowska. – Dlaczego akurat teraz?

Kopp uśmiechnęła się. Tym razem z wyraźną aprobatą.

– Może to jest właśnie klucz do wszystkiego – powiedziała. Dla odmiany powoli. Niemal z namaszczeniem. – Może przedtem nie zadawaliśmy odpowiednich pytań. Dlaczego akurat teraz, co? Może to jest to pytanie, na które powinniśmy odpowiedzieć i wszystko stanie się jasne.

W salce konferencyjnej znowu zapadło milczenie. Wszyscy najwyraźniej rozważali jej słowa.

– Był jeszcze jeden ewentualny podejrzany – powiedziała Laura Fijałkowska, przerywając ciszę. Znowu uniosła teczkę ze starymi aktami. – Choć widziałam tylko jedną wzmiankę na jego temat, więc to raczej...

– Kto? – przerwał jej Daniel.

– Mściśław Grabowski.

– No proszę, no proszę – rzuciła Kopp. – A dlaczego go podejrzewano, co?

– Stare dzieje. Grabowski też swojego czasu pracował w sieci restauracji Kołodzieja – wyjaśnił Sienkiewicz. – Ale krótko. W tej samej restauracji co Nora na początku. Pod Bydgoszczą. Doszło pomiędzy nimi do śpięcia. Potem on wyleciał, a moja żona awansowała i została przeniesiona bliżej domu.

– Czekaj. Stop. Jakie śpięcie, co? Kiedy?

– Kilka lat przed wypadkiem. Może w dziewięćdziesiątym pierwszym. Może w dziewięćdziesiątym drugim. Coś koło tego.

– O co poszło? – zainteresował się Daniel.

Sienkiewicz wzruszył ramionami.

– To była zwyczajna kłótnia. Nic wielkiego. Eleonora wspomniała mi coś o tym, ale nie wyglądała na bardzo przejętą. Potem nie mieli już z Mściśławem kontaktu. Poza tym Grabowski na pewno nie był na tamtym przyjęciu u Kołodzieja w dziewięćdziesiątym szóstym, więc raczej Nory nie zabił. Eleonory.

– Na przyjęciu wcale nie musiał być – powiedział Podgórski. – Wystarczyło, że wiedział, że twoja żona tam będzie, i czekał gdzieś na zewnątrz.

Naczelnik pokręcił głową sceptycznie.

– Nie sędzę. Tak jak powiedziałem, oni nie mieli kontaktu przez te kilka lat.

– No dobrze, a Lech Kołodziej i jego żona? – zapytała prokurator Więcek. – Czy oni znaleźli się w kręgu podejrzanych w sprawie Eleonory? Przecież to przyjęcie w dziewięćdziesiątym szóstym było zorganizowane u nich. Skoro w Cichym Lasku mamy dwójkę NN, najprawdopodobniej mężczyznę i kobietę, to mogliby być oni.

– Nie – powiedziała Laura Fijałkowska. – To znaczy nikt ich nie brał pod uwagę. Nie mieli motywu.

– Okej. No dobra. A ty to co? – zapytała Kopp, celując palcem w naczelnika. – Przecież byłeś jej mężem. Nie przeświecono cię, co?

– Pan naczelnik nie był podejrzany ani przez chwilę – oznajmiła Laura wyniośle. – Państwo Sienkiewiczowie byli normalnym, zgodnym małżeństwem.

Klementyna rzuciła jej krzywy uśmiech.

– Lizanie dupy nie popłaca. Pamiętaj, co? Młoda jesteś, to jeszcze się wiele powinnaś nauczyć. Zresztą pierwszy raz słyszę o czymś takim jak normalne małżeństwo. Za długo żyję, żeby wierzyć

w takie bajeczki. Zawsze coś tam jest. Zawsze.

Daniel pokiwał głową w zamyśleniu. Cóż... Kopp miała może i rację. Zwłaszcza że akurat jeśli chodzi o naczelnika, określenie *normalne małżeństwo* nie było do końca trafne. Przynajmniej nie standardowe. Może tak lepiej to ująć. Przecież zanim Sienkiewicz ożenił się z Eleonorą, był księdzem.

Ciekawe, jakie były relacje pomiędzy małżonkami, zastanawiał się Podgórski. Skoro naczelnik zostawił Kościół dla żony, musiał ją chyba bardzo kochać. Nawet jeśli Eleonora zaszła w ciążę, poczucie obowiązku nie byłoby chyba wystarczającym bodźcem, żeby posunąć się do porzucenia kapłaństwa. To powodowało wiele komplikacji. W różnych dziedzinach życia.

– Nikogo nie prześwietlano – wtrącił się Sienkiewicz, podkreślając ostatnie słowo. – Jak już mówiliśmy, wszystko wskazywało na wypadek i sprawę szybko zamknięto. Nikt nie uznał za konieczne kogokolwiek prześwietlać. Szczerze mówiąc, ja też nie miałem wątpliwości, że to był wypadek. Pojawiły się dopiero teraz, kiedy ta czwórka zginęła.

– Czy ktoś jeszcze z obecnych podejrzanych pojawił się w kontekście sprawy z dziewięćdziesiątego szóstego? – zapytała prokurator Więcek.

– Nie – powiedziała Laura, kręcąc głową. – Niczego takiego nie znalazłam w dokumentacji.

Spojrzała pytająco na naczelnika, ale on tylko wzruszył ramionami. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Dlaczego akurat teraz, co? – rzuciła Kopp, wracając do pytania, które wcześniej tak jej się spodobało. – Dlaczego Berenika Borkowska i Harold Dębowski zaczęli wypytywać Wojtka o tę sprawę, co? Dlaczego teraz?

– I dlaczego właśnie Berenika tak się tym zainteresowała? – wtrąciła się Emilia. Mówiła nieco gniewnie. Jakby zirytowało ją, że Kopp zadaje pytanie, na które to ona wpadła. – To, że Harold wypytywał Wojtka, ma sens. To już ustaliliśmy. Przecież zginęła wtedy jego siostra i siostrzeniec. Ale BiBi nie było jeszcze na świecie w dziewięćdziesiątym szóstym. Dlaczego ją interesowała ta sprawa? Nastolatki są raczej skupione na tu i teraz.

– A jej rodzice? – podsunął Daniel. – Może oni byli jakoś związani z Eleonorą. Albo ojczym. Ten Gustaw Urbański. Przecież wobec nich też mamy trochę podejrzeń, prawda? Chociażby to, co mówiły o Hannie przyjaciółki BiBi. Że otruła pierwszego męża i chciała to samo zrobić z Bereniką.

Podgórski nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo telefon zaczął mu dzwonić w kieszeni. Nie wyłączył dźwięku. Wyjął komórkę z przepaszającym uśmiechem. Zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła Weronika.

ANTRAKT

SCENA 1

Plebania w Bargowie.

Niedziela, 24 grudnia 1989. Godzina 10.00.

Eleonora „Nora” Dębowska

Eleonora zatrzymała się przed wejściem na plebanię. Poprawiła włosy. Twarz miała zarumienioną od mrozu, a dłonie zgrabiły jej z zimna. Buty zupełnie przemokły od śniegu. Mimo to dzielnie niosła półmisek z ciastem przez całą wieś. Mazurek co prawda niezupełnie pasował do okazji, ale wiedziała, że młody proboszcz się ucieszy. Uwielbiał to ciasto. Bez względu na porę roku i to, jakie właśnie były święta.

Zapukała do drzwi. Miała nadzieję, że nie otworzy pani Alicja ani brat proboszcza. Ten cały Jacek był strasznie ponury. Zupełnie niepodobny do wesołego, wygadanego Edwarda. Liczyła na to, że wreszcie będą mieli z proboszczem okazję znowu pobyć ze sobą sam na sam. Po to tu przecież przyszła. Ciasto było tylko pretekstem.

Drzwi otworzyły się szeroko. Serce zabiło jej szybciej. To był on. Edward.

– Przyniosłam mazurek – powiedziała, zapominając z wrażenia o powitalnej formule.

Z całych sił starała się, żeby w jej tonie pobrzmiwała zalotna nuta. Nie miała w tych sprawach zbyt dużego doświadczenia, ale wiedziała za to, co czuje. I była pewna, że proboszcz czuje to samo. A to było najważniejsze. Mieli siebie.

Ostatnie miesiące nauczyły ją, że życie czasem się komplikowało. Wbrew temu, co zawsze powtarzał ojciec, nie było jednoznaczne. Ani czarne, ani białe. Raczej pełne odcieni szarości.

– Och, jak miło. – Proboszcz się uśmiechnął.

Odpowiedziała tym samym. Gdyby tylko ojciec wiedział, że Eleonora od kilku miesięcy sypia z księdzem... Pewnie dostałby ataku serca albo udaru. Nie zamierzała się tym przejmować. Po raz pierwszy w życiu. Zawsze słuchała rodziców. Zawsze. Ale nie tym razem.

– Niech pani wejdzie – zaprosił ksiądz, przepuszczając ją w drzwiach. – Straszny dzisiaj ziąb. Cała pani jest w śniegu.

Na zewnątrz pozory. I jeszcze raz pozory. Ale kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, Edward wyrwał jej półmisek i odstawił na kredens stojący w korytarzu. Chwilę później była już w jego ramionach. Całowali się chciwie. Zachłannie.

Tak było za każdym razem. Bo przecież każde spotkanie mogło być tym ostatnim. Przecież on był księdzem, a ona córką jednego z najbardziej religijnych ludzi w powiecie. A przynajmniej w Bargowie. Gdyby ktoś się dowiedział, na pewno zrobiłaby się z tego niezła afera. A już na pewno ojciec chciałby ich rozdzielić. Może nawet by ją wydziedziczył.

– Nora – wymruczał ksiądz Edward. Tak cicho, że była skłonna mu to wybaczyć.

Nora. Nienawidziła skrótu swojego imienia, a mimo to wszyscy ją tak nazywali. Tak się utarło od dzieciństwa. Mogła powtarzać i powtarzać, że woli być Eleonorą. Nie trafiało do nikogo. Nora. Przecież to brzmiało okropnie! Kojarzyło się z ciemną jamą wykopaną przez jakieś zwierzę albo z jakimś zakazanym lokalem. Speluną. Nie to, żeby Eleonora takie miejsca знаła. Prawie nie opuszczała Bargowa. Tu wszystko było poukładane i czyste.

Objęła księdza i przycisnęła go mocniej do siebie. Przejechała dłonią po jego przystrzyżonych krótko włosach. Już samo to ją podniecało. Był pierwszym mężczyzną, z którym kiedykolwiek była. Wydawał jej się cudotwórcą. Nigdy nie przypuszczała, że można czuć coś takiego. Taką radość, kiedy widziało się tę drugą osobę, i tęsknotę, kiedy akurat nie mogli być razem. Miłość. Czytała o niej w romansach, które zapełniały jej półki, ale nie sądziła, że coś takiego istnieje naprawdę.

Zbliżyli się do siebie podczas przygotowań do ślubu jej siostry. Helena była młodsza i nie szczędziła Eleonorze przytyków w stylu *stara panna*. Na każdym kroku podkreślała, że to ona pierwsza wychodzi za mąż.

Trudno było zachować kamienną twarz i udawać, że to nie rani. Ale Eleonorze się udało. Oszukała rodziców, siostrę. A nawet Harolda, mimo że z bratem zawsze była blisko i znał ją doskonale. Jediną osobą, która od razu zauważyła jej udrękę, był młody proboszcz. Zaczęli rozmawiać i tak to się zaczęło.

– Wesołych świąt – wyszeptła, całując go w ucho.

– Będziesz mi życzyła wieczorem – odpowiedział Edward równie cicho.

W korytarzu rozległy się kroki. Oskoczyli od siebie natychmiast. Z kuchni wyszedł ksiądz Jacek. Młodszy brat Edwarda był zawsze mrukiwy. Eleonora jeszcze nie widziała go chyba uśmiechniętego. Chodził po Bargowie z Biblią pod pachą, cały czas się rozglądając. Jakby czegoś szukał. Może powołania? Bo złośliwi mówili, że to pani Alicja zmusiła Jacka do wstąpienia do seminarium, a on sam chciał pójść zupełnie gdzie indziej. Do milicji.

– Dzień dobry – powiedział na jej widok. Zawsze używał świeckiej formy.

– Dzień dobry – odpowiedziała. Była pewna, że się rumieni. Przecież Jacek musiał zorientować się, co tu właśnie robili z proboszczem.

– O, Jacek – powiedział Edward wesoło i jakby nigdy nic poprawił sutannę. – Myślałem, że posłżycie z mamą do sklepu. Pani Nora wpadła z ciastem.

Pokazał palcem stojący na kredensie półmisek z mazurkiem.

– Tak – wydukała Eleonora.

Ksiądz Jacek nie zaszczycił ich odpowiedzią. Przyglądał się to bratu, to jej z wyraźną dezaprobatą.

– No to jesteśmy – rozległo się nagle.

Gdyby Eleonora przeklinała, na pewno teraz w duchu wymyślałaby pani Alicji od najgorszych. To było niechrześcijańskie, wiadomo, ale nienawidziła matki Edwarda z całego serca. Chyba z wzajemnością.

– O, pani Nora – powiedziała matka obu księży, wyłaniając się z kuchni. Musieli z Jackiem wejść tylnymi drzwiami. Tak było bliżej do sklepu.

– Przyniosłam ciasto – powiedziała Eleonora raz jeszcze.

– To niezwykle miło z pani strony. Na pewno jest pyszne.

Słowa pani Alicji ociekały wręcz fałszem. Eleonora była pewna, że nie tylko brat Edwarda domyśla się wszystkiego. Jego matka na pewno też wiedziała swoje.

SCENA 2

Plebania w Bargowie.

Niedziela, 25 marca 1990. Godzina 15.00.

Eleonora „Nora” Dębowska

Musimy się wspólnie zastanowić, co z tym zrobimy – powiedziała Alicja Sienkiewicz.

Z tym. Eleonora poruszyła się niespokojnie. Z tym. Jakby chodziło o jakąś rzecz. Spojrzała na Edwarda, ale ksiądz wzrok miał wbity w kolorową ceratę. Siedzieli przy stole na plebanii. We czwórce. Eleonora, Edward, Alicja i Jacek. Trójka Sienkiewiczów i ona. Sama.

– Nie zamierzam usuwać dziecka – oświadczyła głucho. Mimo że wiosna robiła się już na dobre, zadrżała z zimna.

Alicja Sienkiewicz zaśmiała się ostro.

– Moja droga, nikt tu nie mówi o usuwaniu – powiedziała ociekającym pogardą tonem. Jakby Eleonora sama siebie zapłodniła. Jakby Edward nie brał w tym udziału. – To by było morderstwo. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Nikt z nas tu zebranych mordercą nie jest.

Eleonora położyła rękę na brzuchu. Chciała osłonić dziecko. Uratować je. Musiało być jeszcze takie maleńkie. To były dopiero pierwsze miesiące. Brzucha jeszcze nie było widać. Ojciec w każdym razie nie zauważył. Matka i siostra też nie. Tylko Harold coś tam podejrzewał, ale nie pytał. Brat był na to zbyt wrażliwy. Zresztą miał swoje problemy.

– Ale musimy ustalić jakiś plan działania – kontynuowała Alicja z naciskiem. – Mój Edward jest tu proboszczem. To ważne stanowisko. Jest drogowskazem dla wiernych. Nie może mieć na barkach takiego ciężaru. On wyznacza drogę tyłu zbłąkanym owieczkom.

– Może gdyby nie wsadzał fiuta, gdzie nie trzeba, tylko trzymał się przysięgi, którą złożył...

Młody ksiądz Jacek mówił bardzo cicho. Tak cicho, że Eleonorze zdawało się, że się przesłyszała. Spojrzała w jego stronę. Po raz pierwszy poczuła do niego odrobinę sympatii.

– Nie bluźnij, Jacku – warknęła Alicja.

– Ja? – zaśmiał się młody Sienkiewicz. – Nie ja złamałem przysięgę celibatu. Nie ja zrobiłem jej dziecko.

Eleonora spojrzała na proboszcza. Edward nadal nic nie mówił, tylko wpatrywał się w ceratę. Jakby ta sytuacja nie jego dotyczyła. Miała ochotę uderzyć go w twarz, żeby wyszedł wreszcie z tego stuporu.

Zachowywał się tak, odkąd mu powiedziała, że jest w ciąży. To było wczoraj wieczorem. Głupia, miała nadzieję, że on się ucieszy. Przecież tyle razy jej powtarzał, że ją kocha, że myśli o ich wspólnym życiu, o opuszczeniu Kościoła. Głupoty i kłamstwa, powiedziała sobie w duchu. Teraz już to wiedziała. Nigdy nie miał takich planów.

– Mam pomysł, jak to rozwiązać – oznajmiła tymczasem pani Alicja. – Tylko musimy to zrobić wspólnie. Dla dobra naszej parafii.

Jacek Sienkiewicz zaśmiał się pod nosem.

– Dla dobra naszej parafii – powtórzył. Znów tak cicho, że ledwo było go słyszeć. – Dobrze.

Alicja odwróciła się w jego stronę.

– Tak – powiedziała głośno i wyraźnie. – Co więcej, ty masz do spełnienia bardzo znaczącą rolę, Jacku.

– Niby jaką? – zapytał oschle.

– Nigdy nie chciałeś być księdzem.

Alicja Sienkiewicz powiedziała to z takim wyrzutem, że Eleonorze niemal zrobiło się Jacka żal.

- Co w związku z tym?
- Nigdy nie miałeś takiego powołania jak Edward.
- Tak. I w odróżnieniu od niego nigdy nie sypiałem z żadną kobietą – dodał młody Sienkiewicz

przekornie.

Matka spiorunowała go wzrokiem. Potem odwróciła się do Eleonory. Jej spojrzenie było chłodne i pozbawione wszelkiego współczucia.

– Zrobimy tak – poinformowała, jakby nie dopuszczała żadnego sprzeciwu. – Powiemy, że Jacek jest ojcem dziecka. Wszyscy w Bargowie i tak wiedzą, że do niczego się nie nadajesz... Przynajmniej jeśli chodzi o bycie księdzem.

Jacek milczał. Eleonora spojrzała na Edwarda. Proboszcz nadal wpatrywał się w ceratę. Jakby kolorowy wzór był nadzwyczaj ciekawy.

– Weźmiecie ślub – podjęła Alicja. – Będziecie razem wychowywać to dziecko. Jako jego matka i ojciec. Nikt nigdy się nie dowie o roli Edwarda w tej historii. Oczywiście coś za coś, Jacku. Edward ma znajomego oficera. On cię wkręci tam, gdzie zawsze chciałeś być. Będziesz nosił mundur. Wszyscy będą zadowoleni.

– Na pewno wszyscy? – zapytała Eleonora powoli. Tego było już za wiele. Miała brać udział w jakiejś dziwnej mistyfikacji. Nie tak to wszystko sobie wyobrażała.

– Owszem, Noro – powiedziała Alicja. – Wszyscy. Ty też, bo na więcej liczyć nie możesz. Lepszej oferty nie będzie. Znam twojego ojca. Możesz zgodzić się na to, co proponuję, i żyć w dostatku z Jackiem. Albo możesz klepać biedę sama z dzieckiem. Ojciec cię przecież z powrotem nie przyjmie, jak się dowie. A ja potrafię szepnąć mu słówko i przedstawić sprawę w odpowiednim świetle, żeby jeszcze bardziej utwierdzić go w przekonaniu, jak grzeszna jesteś. Tak kusić księdza. Sprowadzać go z wyznaczonej ścieżki. Wchodzić pomiędzy niego a jego wiernych. Niszczyć wszystko!

Eleonora odwróciła się do Edwarda.

– Nic nie powiesz? – zapytała. – Mielibyśmy żyć razem. Tak mi obiecywałeś.

Przez chwilę proboszcz jakby się wahał.

– Mama ma rację – oznajmił jednak w końcu. – Nigdy nie opuszczę Kościoła. Nie mogę. Mam jeszcze wiele dobrego do zrobienia.

Eleonora poczuła, jak ostatecznie coś w niej pęka. Nikt jej tak nigdy nie zranił. Nikt. Nawet ojciec. A zrobił to przecież niejednokrotnie. Miała wrażenie, że cała zamarza i zmienia się w lód. Mimo że za oknem tańczyły promienie słońca.

– A co ja będę z tego miała? – zapytała zimno. Skoro miała być królową śniegu, to nią będzie. Dla dobra swojego i dla dziecka.

Alicja spojrzała na nią spod oka zaskoczona chyba jej postawą.

– Co masz na myśli?

– Pieniądze – oznajmiła Eleonora wprost. – Mamy żyć z pensji milicjanta?

Wyglądało na to, że Alicja rozważa tę sprawę.

– Edward ma dzięki swojej posłudze szerokie znajomości – powiedziała w końcu, jakby proboszcz sam już nie potrafił mówić.

Eleonora poczuła, że gardzi Edwardem. Całe wcześniejsze uczucie fascynacji gdzieś uleciało. Jak w ogóle mogła go pożądać? Tego tchórza!

– Coś ci załatwi – dodała Alicja Sienkiewicz w imieniu syna. – Jakąś dobrą pracę. Z przyszłością. Może u Lecha Kołodzieja. Jego restauracje rozwijają się tak dynamicznie. Za kilka lat będzie potentatem. Zapamiętaj moje słowa.

– Lepiej, żeby tak było – syknęła Eleonora.

Miała nadzieję, że usłyszeli groźbę w jej głosie. Nie zamierzała dać się zrobić w konia.

SCENA 3

Rezydencja Dębowskich w Bargowie.

Czwartek, 5 kwietnia 1990. Godzina 16.00.

Eleonora „Nora” Dębowska

Ojciec splótł palce na wydatnym brzuchu. W swoim ulubionym fotelu wyglądał jak król na tronie. Oto też pewnie mu chodziło.

– Nie jesteś godna nosić nasze nazwisko – oznajmił tonem, którego kiedyś tak bardzo się bała. – Podczas ślubu wyrzekniesz się naszego nazwiska i przyjmiesz nazwisko Jacka. Nie próbuj nawet się sprzeciwiać.

Teraz już nie robił na niej wrażenia. Miała poczucie, że nie boi się już niczego. Nie była pewna, czy to dziecko dodaje jej sił, czy poczucie wściekłości na Edwarda i jego rodzinę. A może zmienione w lód serce.

– Tato, to nie średniowiecze – wtrącił się Harold.

Starszy brat rzadko ważył się przeciwstawiać ojcu. Kiedyś zapewne Eleonora spojrzęłaby na Harolda z wdzięcznością. Teraz było jej wszystko jedno. Wiedziała, że ojciec wykluczy ją z rodziny. To było nieuniknione. Żadne błagania nie pomogą.

– Bardzo zgrzeszyłaś, Noro – powiedziała matka drżącym głosem.

Eleonora nawet nie odwróciła się w jej stronę. Bo po co? Wiedziała przecież, że tak to się skończy. Szkoda tylko, że Helena ze swoim mężem pojechała akurat na wycieczkę nad morze. Eleonora pożegnałaby się z całą rodziną za jednym zamachem. A tak będzie musiała tu jeszcze zajrzeć.

– Zamierzam zmienić testament – oznajmił ojciec. – Helena i Harold dostaną po równo po śmierci mojej i mamy. Ty nic. Ani złotówki z mojego majątku. A jak wiesz, nie jest on mały.

Zaśmiała się cicho.

– Uważasz, że to żart?! – ryknął ojciec.

Znowu się zaśmiała. Szczerze mówiąc, cieszyło ją, że tak go to denerwuje. Mogła się śmiać. Nie miała już nic do stracenia. To też było wyzwalające uczucie. Wreszcie przestać przed nim drzeć. Przestać zastanawiać się, co go zdenerwuje albo co on zaaprobuje. Liczyła na to, że Alicja Sienkiewicz i Edward dotrzymają słowa i załatwią jej dobrą pracę. Wtedy poradzi sobie bez ojca tyrana.

– Uważasz, że to żart?! – zaryczał ojciec znowu.

Kolejny raz się zaśmiała. To go jeszcze bardziej rozsierdziło. Poderwał swoje potężne cielsko z krzesła. Może nawet by ją uderzył, gdyby nie to, że zadzwonił telefon. Potrzebował chwili, żeby zmienić trajektorię ruchu. W końcu jednak ruszył w stronę aparatu.

Żadne z nich się nie odezwało. Czekali, aż ojciec skończy rozmawiać.

– Dostałem właśnie informację, że Helena i jej mąż mieli wypadek – oznajmił, odkładając słuchawkę.

– O mój Boże! – zawołała matka. – Co z nimi?

– Wasza siostra i jej mąż nie żyją – oznajmił ojciec, patrząc na Harolda i Eleonorę.

Eleonora próbowała znaleźć w sobie choć odrobinę żalu. Powinna przecież rozpaczać po stracie siostry. Po jej twarzy nie popłynęła ani jedna łza.

– Wygląda na to, że wszystko dostaniesz ty – powiedział ojciec do Harolda. – Kiedy nas już zabraknie.

Eleonora mogłaby przysiąc, że na twarzy brata zamajaczył uśmiech. Musiała się chyba mylić. Przecież Haroldowi nigdy nie zależało na pieniądzach.

SCENA 4

Restauracja Poziomka w Solcu Kujawskim.

Piątek, 16 sierpnia 1991. Godzina 12.00.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Eleonora przechadzała się po Poziomce. Restauracyjka była maleńka. Ot, lokalik dla mam z dziećmi. Lody, ciastka i inne słodczyce. Nie byłoby to nic szczególnego, gdyby nie to, że właśnie została tu szefową. Udało się! Rozpierała ją duma. Chyba jeszcze większa, niż kiedy jedenaście miesięcy temu urodziła Michasia.

Wszystko ułożyło się według planu Alicji. Eleonora wyszła za Jacka. Nie zrezygnowała co prawda ze swojego nazwiska, głównie żeby denerwować ojca, ale dodała do niego drugi człon. Dębowska-Sienkiewicz nie brzmiało najlepiej, ale się nie przejmowała. I tak najczęściej używała panińskiego.

Sienkiewiczowie faktycznie załatwili jej pracę u Lecha Kołodzieja. Spodziewała się co prawda czegoś lepszego niż kelnerowanie w odległej o dwie godziny drogi maleńkiej restauracji. Buntowała się.

Ale wtedy poznała Lecha. Kołodziej od razu ją zaciekał. Dobrze im się rozmawiało. Obiecał, że u niego droga zawsze wiedzie od zera do milionera. Oczywiście dla tych, którzy na to zasługują. Eleonora miała zacząć od podstaw i, jeśli się wykaże, mieć szansę dojść na sam szczyt.

Podjęła wyzwanie. No i okazało się, że słusznie. Z kelnerki szybko awansowała na szefową Poziomki. A satysfakcja z osiągniętego celu była znacznie większa niż przyjemność z dostawiania pieniędzy od ojca. Niech Harold będzie sobie jedynym spadkobiercą. Proszę bardzo. Nie był jednak takim bezinteresownym braciszkiem, za jakiego chciał uchodzić. Niech się udławi.

– Podejdz do tej kobiety z dwójką dzieci – poleciała kelnerce, porzucając rozważania.

Olka była opieszala. Pewnie trzeba będzie ją zwolnić, uznała Eleonora. Teraz czuła się silna. Miała władzę nad tymi ludźmi. Już nie była jedną z nich. Była szefową.

Kelnerka skinęła głową i ruszyła natychmiast do wskazanego stolika. Jeszcze będzie tu wszystko chodzić jak w zegarku, obiecała sobie Eleonora. Tak jak chciał Lech. Lubiła go. Naprawdę go lubiła. Wydawał się bratnią duszą.

– Noro.

Kucharz zawsze tak się do niej zwracał. Był jakimś starym znajomym ojca. Czy służącym. Już nie wiedziała. Świat okazał się mały i musiała się natknąć akurat na niego. Nawet daleko od domu. Dlatego tu wszyscy nazywali ją znieawidzonym zdrobnieniem. Teraz postanowiła to zmienić. Skoro jest szefową, może dyktować warunki. No i tego kucharza też zwolni. Wprawdzie dobrze gotował, ale nikt nie jest niezastąpiony.

– Mówiłam ci milion razy, żebyś mnie tak nie nazywał – upomniała go oschle.

– Pani Eleonoro – poprawił się kucharz natychmiast.

Kiwnęła głową z aprobatą. Szybko się uczył. Może jednak będzie tu dla niego miejsce.

– Skoro to ustaliliśmy, to powiedz, co się stało.

– Na zapleczu czeka Mścisław.

Eleonora spojrzała na kucharza zaskoczona.

– Mścisław? A niby co on tu robi? Dawno wyleciał.

Sama się do tego przyczyniła. Wiedziała, że Grabowski jako jedyny z pracowników Poziomki mógł jej zagrozić. Przejąc jej stanowisko, czyli zostać tu szefem. Wtedy byłyby nici z *od zera do milionera*. Na to nie mogła pozwolić. Dlatego wyeliminowała go, kiedy tylko okazało się to możliwe.

– Chce z tobą... z panią porozmawiać. Radziłbym do niego wyjść – dodał kucharz ciszej. – On

jest gotowy wejść od przodu i... może zrobić się dym.

Dym? Skrzywiła się. Nie lubiła ulegać, ale uznała, że to zbyt piękny dzień, żeby psuć go jakimiś awanturami. Nie w jej idealnym lokalu. Jeśli pokaże Lechowi, jak doskonale sobie radzi, Kołodziej przeniesie ją do którejś z restauracji bliżej Brodnicy. A może kiedyś nawet zrobi z niej dyrektora regionalnego całej sieci. Wszystko było przecież możliwe. A otwierał swoich lokali coraz więcej. Wszystkie pod szyldem drewnianego koła. Nawet tu w Poziomce.

Przeszła przez kuchnię. Pachniało słodko ciastkami. Sama nigdy sobie na nie nie pozwalała, ale klienci je uwielbiali.

– No i co, kurwo jedna?

Mściśław stał tuż za drzwiami na zaplecze. Eleonora na niego wpadła, kiedy je otwierała.

– Uważaj na język, bo wezwę policję.

– To nie jest rewir twojego mężulka, więc raczej ci nie pomogą.

Jacek wystąpił z Kościoła. Tak jak to zaplanowała Alicja. Obecnie pracował na komendzie w Brodnicy. Lubiła się tym chwalić, kiedy było to potrzebne. Mściśław musiał zapamiętać.

– A myślisz, że pomogą tobie? – odparowała. – Pedofilu jeden!

Oskarżenie jakby zawisło w powietrzu. Na chudej twarzy Grabowskiego pojawił się wyraz dziwnej zaciętości. Przemknęło jej przez myśl, że chyba tym razem przesadziła.

– Właśnie o tym przyszedłem porozmawiać – oznajmił. – Właśnie o tym. Dobrze, że wspomniałaś.

Splotła ręce na piersi.

– O czym tu gadać?

– Wiem, że to ty rozpuściłaś te plotki o mnie. Że niby dymam dzieci. To ohydne. Ohydne!

– Cóż – mruknęła, wzruszając ramionami.

Oczywiście, że ohydne. Właśnie dlatego to wymyśliła. Miało być mocne, obleśne i przede wszystkim miało być skuteczne. Rzuciła różne sugestie tu i ówdzie, a potem patrzyła, jak plotka zaczyna żyć własnym życiem. Ponieważ Poziomka była lokalem rodzinnym, Lech Kołodziej nie mógł ryzykować i z miejsca Mściśława wyrzucił. Dzięki temu Eleonora pozbyła się największego konkurenta. Potem bez przeszkód wyprzedziła pozostałych i objęła stery nad lokalem. Czasem cel uświęca środki.

– Przyszedłem cię ostrzec – powiedział Grabowski.

– Ostrzec mnie?

Zaśmiała się. Miała nadzieję, że zabrzmiało to, jakby zupełnie się nie przejmowała. A bała się. To oczywiste. W Mściśławie było coś niepokojącego. Z dziwnym spojrzeniem zza wielkich okularów wyglądał jak psychopata.

– Nie wiodło mi się przez te kilka miesięcy najlepiej – powiedział nagle tonem pogawędki. Jakby zupełnie się już uspokoił. – Ale teraz jest inaczej. Wszedłem w biznesy z groźnymi ludźmi, wiesz? Sporo się od nich uczę. Jestem pojętnym uczniem.

Miał rację, musiała mu to przyznać. Dlatego przecież się go pozbyła.

– I powiem ci jedno – ciągnął Grabowski. – Ja mam dobrą pamięć. Nigdy nie zapominam. Nigdy. Poczekam na odpowiedni moment. Wtedy wyrównamy rachunki. Zapamiętaj sobie dobrze moje słowa.

Odwrócił się i odszedł. Zadrzała.

AKT IV

SCENA 1

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 15.15.

Aspirant Daniel Podgórski

No i teraz nie przyszła na spotkanie – zakończyła swoją opowieść Weronika. – Martwię się, że coś mogło się stać. Zwłaszcza jeśli... Jeśli dzieje się tu w Nowych Horyzontach coś podejrzanego...

Nowakowska zadzwoniła do Daniela, kiedy kończyła się odprawa. Mruknął coś nieskładnego o tym, że to ważne połączenie, i wyszedł z salki konferencyjnej na korytarz. Nie miał pojęcia, dlaczego Weronika dzwoni, ale chciał odebrać. Gdzieś tam chyba miał nadzieję, że może zmieniła zdanie i chce odwołać to, co napisała mu rano w esemesie.

Nacisnął zieloną słuchaweczkę z bijącym sercem. Chciał przeproszać. Zrobić cokolwiek, byle Weronika zmieniła zdanie. Nie dopuściła go do głosu. Jak tylko odebrał, zaczęła opowiadać, że Zośka z Nowych Horyzontów zniknęła. I że jest kolejny trup. Podgórski słyszał w tle męski głos, który coś tam dopowiadał. A więc nie była sama. Zapewne towarzyszył jej facet w kowbojkach, który był z nią wtedy w Bropolu.

Po skończonej rozmowie Podgórski wrócił na odprawę i przekazał wszystkim wiadomość od Nowakowskiej. Ponieważ Nowe Horyzonty pojawiły się w prowadzonym dochodzeniu kilkakrotnie, Sienkiewicz wysłał ich do willi, żeby to sprawdzili. Daniel odetchnął z ulgą. Oczekiwał, że naczelnik tak postąpi. Zyskał też pretekst, by jechać jak na sygnale.

– Faktycznie czekamy tu już dość długo – powiedział facet w kowbojkach.

Jak się okazało, to był Grzesiek Wilczyński. Psychiatra, z którym Weronika kontaktowała się podczas śledztwa dotyczącego czarnych narcyzów. Nie wyjaśniła wtedy, skąd się znają, ale skoro Wilczyński u niej nocował, musiało łączyć ich coś więcej. Być może to wyjaśniało ten poranny esemes.

Daniel wyciągnął paczkę papierosów. Był wkurwiony. Na siebie. Nie na nią. Oczywiście zwlekał za długo. Wszystko musiał spieprzyć. Po co właściwie ma próbować nie pić, skoro i tak rozpierdala sobie życie. Co to za różnica. Dziś wieczorem nie będzie się nawet starać. Kurwa. Najebie się do nieprzytomności i tyle.

Walczył przez chwilę z zapalniczką. Ręka mu drżała z wściekłości.

– Może pomóc? – zapytał Wilczyński.

Podgórski miał ochotę mu przypierdolić. Ciekawe, czy na twarzy psychiatry pozostałby wtedy ten milusiński uśmieszek.

– Dzięki – rzucił tylko, powstrzymując się z całej siły przed wprowadzeniem swojego planu w życie. – Jakoś sobie radzę.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Wydmuchał dym prosto w stronę psychiatry. Wilczyński nadal uśmiechał się uprzejmie, jakby niczego nie zauważył. To Daniela jeszcze bardziej wkurwiło.

– Oczywiście powinniśmy to sprawdzić – odezwała się Emilia.

Kiedy Sienkiewicz uznał, że mają tu przyjechać, Daniel ucieszył się z jeszcze jednego powodu. Postanowił, że w drodze porozmawia ze Strzałkowską. Jednak zupełnie nieoczekiwanie Emilia zapytała naczelnika, czy może z nimi pojechać Kopp.

Klementyna też wydawała się tym zaskoczona, ale nie oponowała. Wręcz przeciwnie. Szybko wykorzystwała sytuację i powtórzyła wcześniejsze słowa Sienkiewicza o jej obiektywnym spojrzeniu na sprawę. Naczelnik zgodził się, żeby działała dalej jako ich niezależny doradca. Ligia Więcek nie miała nic przeciwko. Znała skuteczność Kopp.

Normalnie Podgórski by się ucieszył, ale tym razem naprawdę mu zależało, żeby ustalić relacje ze Strzałkowską raz na zawsze. Nie chciał tego robić przy Kopp.

– To jak? – dodała Emilia.

Weronika opowiedziała im pobieżnie o wydarzeniach ostatnich dni. O enigmatycznej wiadomości od Valentine Blue dotyczącej Nowych Horyzontów, wizycie w laboratorium nad jeziorem Forbin u Pawłowskich i o telefonie Zośki, i że recepcjonistka nie przyszła na umówione spotkanie.

Grzesiek Wilczyński cały czas potakiwał. Stał tuż obok Nowakowskiej, jakby chciał pokazać, że ma do tego prawo. Daniel znowu poczuł gniew. Atawistyczne uczucie w czystej postaci. Co by było, gdyby tak sięgnął do kabury po kłamię i strzelił psychiatrze prosto w jaja? To by dopiero był kurwa niezły ubaw.

– Spoko. Ale! Zagłądaliście w ogóle do tej przychodni, co? – zapytała Kopp, wrywając Daniela z pełnych rozsierzonego sarkazmu rozważań.

– Nie – przyznała Weronika. – Czekaliśmy tu, gdzie prosiła. A potem uznałam, że zadzwonię i poczekamy na was. Bo... No bo chyba wystarczy już tych śledztw na własną rękę. Dlatego.

Głos jej lekko drżał. Nie patrzyła na Daniela.

– Chodźmy – zarządziła Emilia krótko.

Ruszyli wzdłuż białego muru na tyły Nowych Horyzontów. Tam mieściła się przychodnia. Daniel zgasił papierosa w wielkiej popielnicy obok drzwi. Prawie ją przy tym przewrócił.

Weszli do środka. W korytarzu czuć było słodką woń kwiatów. Ani śladu zapachu środków do dezynfekcji albo leków.

– W czym mogę pomóc?

– Pani Alicja? – zapytała Nowakowska zdziwiona.

Za kontuarem w recepcji siedziała matka Sienkiewicz. Uśmiechnęła się do Weroniki. Daniela, Emilię i Klementynę omijała wzrokiem. Jakby ich w ogóle tu nie było. Być może miała żal za wczorajsze przesłuchanie na plebanii.

– W czym mogę pomóc?

– Zastaliśmy Zośkę, co? – wtrąciła się Kopp.

Na twarzy Alicji Sienkiewicz pojawił się grymas niezadowolenia. Pokręciła głową.

– Nie! Wyobrażają sobie państwo, ona sobie tak po prostu poszła. – W jej głosie pobrzmiwała złość. – Co za nieodpowiedzialność. Jan zaufał tej dziewczynie i powierzył jej odpowiedzialną funkcję, a ona po prostu zupełnie nie wywiązała się ze swoich obowiązków. Kiedy tylko się dowiedziałam, że tak się zachowała, postanowiłam pomóc i usiadłam tu w recepcji. Mój syn i tak teraz spowiada w ogrodzie, więc to żaden problem. Zresztą pani doktor już wyszła. Odbieram tylko telefony i zaraz będziemy zamykać.

– A gdzie poszła Zośka? – zapytał Podgórski.

Alicja Sienkiewicz zmierzyła go niechętnym spojrzeniem.

– Jan mi nie powiedział. Sam pewnie nie wie. On tak się poświęca dla tych ludzi, a oni tak mu odpłacają! Mój Edward mówi, że to zagubione dusze, ale ja nie widzę żadnego usprawiedliwienia dla takiego zachowania. Jeśli ktoś pomaga i się poświęca, powinno się mu odpłacić tym samym. Prawda?

Nikt jej nie odpowiedział.

– Prawda? – nalegała.

– Gdzie znajdziemy Jana Kowalskiego? – zapytał Podgórski.

– Jest w willi. On właściwie nigdzie nie wychodzi. Tak bardzo się poświęca.

– Ja widziałam co innego – mruknęła Weronika. – Spotyka się z pięknymi kobietami na zewnątrz, więc...

Teraz Alicja i na nią spojrziała z niechęcią. Nic jednak nie powiedziała.

– Chodźmy porozmawiać z Janem – zarządził Daniel. – Może on nam powie, co się dzieje z tą Zośką.

Wyszedł na zewnątrz, nie żegnając się z Alicją Sienkiewicz. Tak, to było niezbyt kulturalne zachowanie, ale skoro Kopp mogła tak ciągle robić, to on ten jeden raz też może. W tej chwili nie miał

cierpliwości do jakichkolwiek kurtuazji.

– Jan nie będzie chciał z nami rozmawiać – powiedziała Weronika, kiedy posuwali się wzdłuż muru do głównego wejścia. – Zwłaszcza jeśli sam coś jej zrobił.

– Mimo to spróbujemy – powiedział Daniel i przyspieszył kroku.

Niemal wbiegł po schodach do willi. Drzwi były uchylone. Wszedł do wyłożonego białymi panelami holu. Wzdłuż ścian stały ławy. Siedziało tam kilka kobiet, wszystkie ubrane w takie same czarne sukienki. Naprzeciwko wejścia przy biurku siedział mężczyzna w białym, lnianym stroju. Podgórski wyciągnął blachę i uniósł tak, żeby tamten na pewno zobaczył. Wyszło to nieco teatralnie, ale nic go to nie obchodziło.

– Porozmawiamy sobie chwilę – oznajmił. Nie zamierzał oczywiście pytać, czy to Kowalskiemu pasuje.

Tymczasem do holu wkroczyła cała reszta. Ich ubrania wydawały się dziwnie kolorowe w tej mieszaninie czerni i bieli.

– No proszę! – zawołała Kopp i zagwizdała. – Niezła stylówka. Nie powiem. Jak z wariatkowa. Tylko kłamki powinniście usunąć.

– Gdzie jest Zośka? – krzyknęła niemal Weronika. W tym otoczeniu jej rude włosy wydawały się jeszcze bardziej ogniste.

– Państwo zdaje się nie są jej rodziną ani... – zaczął Jan Kowalski.

– Czekaj. Stop. Ale! Daruj sobie te brednie, co? – powiedziała Kopp z nieoczekiwaną słodyczą.

– Przejdźmy do konkretów, bo nie wiem, jak pozostali. Ale! Ja nie mam czasu do stracenia. Za stara jestem.

– Nie mam pojęcia, gdzie ona jest – powiedział spokojnie Jan. – Po prostu stąd odeszła. Widocznie nie spełnialiśmy jej oczekiwań.

– Kłamstwo! – zawołała Weronika.

Wilczyński podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Chyba chciał ją uspokoić. Daniel z trudem się powstrzymywał, żeby go nie odepchnąć.

– Troszkę się tu rozejrzemy, dobrze? – bardziej oznajmiła, niż zapytała Strzałkowska.

Stanął na szeroko rozstawionych nogach i splótł ręce na piersi. Wyglądała jak policjantka z amerykańskich filmów. Nastrój ogólnego napięcia chyba i jej się udzielił.

– A mają państwo nakaz? – zapytał Jan. Mówił spokojnie, ale słyhać było w jego głosie lekkie drżenie.

– Jestem cywilem – oznajmiła Kopp, niemal literując to słowo. – Więc mogę się mylić. Ale! Coś mi się tam kołacze, że jest takie coś jak Kodeks postępowania karnego. A konkretniej rozdział dwudziesty piąty, artykuł dwieście dwudziesty, paragraf trzeci. Widziałeś legitymację, to nie możesz narzekać. Sprawa niecierpiąca zwłoki. Nakazik dostarczymy, a właściwie tamci dostarczą w ciągu siedmiu dni.

Daniel uśmiechnął się pod nosem. Faktycznie chroniło ich prawo. Jeżeli uznali przeszukanie za konieczne, mogli wkroczyć bez postanowienia sądu lub prokuratora. Należało je zdobyć później i okazać osobie przeszukiwanej. Podgórski nie wątpił, że Ligia Więcek podpisze im, co trzeba.

– Nie zgadzam się – powiedział Jan Kowalski, wstając. – To prywatna posesja. Sanktuarium dla osób pogwałconych przez świat. Nie chcę, żebyście burzyli spokój tego miejsca. Poza tym Zośki tu nie ma. Nie wiem, gdzie jest.

– A ja myślę, że doskonale wiesz.

Wszyscy odwrócili się w stronę kobiety, która właśnie podniosła się z ławy. Broda jej drżała ze zdenerwowania. Pozostałe mieszkanki willi zaczęły rozglądać się po sobie. Jakby jedna szukała aprobaty u drugiej.

– Czy pani wie, gdzie jest Zośka? – zapytała Weronika, podchodząc do kobiety.

– Nie wiem, ale on wie – powiedziała tamta i oskarżycielsko wycelowała palec w Jana. Wydawał się tym zaskoczony. – Prawda?

Odwróciła się do pozostałych kobiet. Potwierdziły głowami natychmiast.

– Może zrobili z nią to samo co z Lolą – szepnęła któraś. – I z Ksenią.

Jej słowa podziałały jak mała śnieżka wywołująca lawinę. Nagle pomieszczenie wypełniło się głosami. Jakby mieszkanki Nowych Horyzontów nie mogły się już dłużej powstrzymać od mówienia.

SCENA 2

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 16.00.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Jan Kowalski zaprowadził Emilię i Klementynę do swojego gabinetu. Biurko i dwa drewniane krzesła stanowiły cały jego wystrój. Gospodarz usiadł ciężko. Wyglądał, jakby się skurczył w sobie. Najwyraźniej to, że pensjonariusze ośrodka zwrócili się przeciwko niemu, zupełnie go rozstroiło.

Kiedy jedna kobieta wymieniła imiona Loli i Kseni, pozostałe zaczęły się przekrzykiwać.

– Na pewno już nie żyją! – zawołała jedna.

– Lola nigdy by stąd sama nie odeszła – poparła ją inna. – Nie z własnej woli.

– Ani Zośka.

– Ani Zośka! – zawołały chórem.

Do holu zaczęli zbiegać pozostali mieszkańcy willi. Wkrótce korytarz pełen był ubranych na czarno zdenerwowanych ludzi. Chwilę później wszedł Edward Sienkiewicz.

– Co tu się dzieje? – zapytał. – Przecież nie skończyliśmy jeszcze spowie...

Zamilkł w pół słowa, kiedy ujrzał Emilię, Daniela i Klementynę.

– Tacy dobrodzieje! – zawołał któryś z mieszkańców. – A nas trują! Ten lek! Czuję się po nim jak ścierwo! Jak zwykle ścierwo!

– Czy chodzi o lek, który podaje doktor Pawłowska? – zapytała Weronika.

Uwijała się jak w ukropie. Biegała od jednej osoby do drugiej i wypytywała. Emilia starała się nie patrzeć w jej stronę. Ani na Daniela. Wydawało jej się, że ją przejrzą, jeśli tylko pozwoli im spojrzeć w swoją twarz. Że domyślą się, co zrobiła. Do tej pory jeszcze tego nie odkryli. W przeciwnym razie ktoś z nich by jakoś zareagował.

– Zośka wcale nie odeszła! Pozbyli się jej! – ktoś krzyknął. W wyłożonym białą boazerią holu zrobił się nieopisany harmider. – Jan był przy tym, jak ją wepchnęli do samochodu. Widziałam przez okno! A potem za nią posadzili w recepcji panią Alicję. Wynieśli Zośkę z przychodni. Wynieśli!!! Może już nie żyła!

– Oni są z policji. Ten wysoki ma odznakę! – krzyknął ktoś inny. – Mogą nam pomóc! Niech ktoś nam pomoże!

Na te słowa mieszkańcy Nowych Horyzontów stłoczyli się wokół nich. Krzyczeli jeden przez drugiego. Naprawdę nie można było rozróżnić poszczególnych słów. Emilia czuła, że robi jej się duszno. Bardzo duszno. Hol zaczął wirować wokół.

– Bardzo proszę o spokój! – huknął Daniel.

Nieoczekiwanie wszyscy ucichli.

– Gdzie jest Zośka? – zapytał Podgórski głośno i wyraźnie.

– Zabrali ją do laboratorium – odpowiedział Jan bardzo cicho.

– Musimy po nią jechać! – gorączkowała się Nowakowska. – Nie możemy pozwolić, żeby coś jej się stało!

– Zostaniesz tu razem z Klementyną i przesłuchacie Kowalskiego – rzucił Daniel w stronę Emilii. – Ja jadę do tego laboratorium. Weronika pokaże mi, gdzie to jest. Daj znać dyżurnemu, żeby wysłał tam radiowóz. Może być potrzebne wsparcie.

Emilia uznała, że nie ma co się sprzeciwiać. Nie chciała, by Daniel i Weronika zostali sami. Tylko że to nie był czas na zazdrość i strach, że wyda się to, co zrobiła rano. Zośka faktycznie mogła być w niebezpieczeństwie. Przecież zginęły już cztery osoby. Trzeba było działać.

– A ja? – zapytał Grzesiek.

– Będzie szybciej, jeśli pojedę z Danielem – oznajmiła Nowakowska z przeproszącą miną i pobiegła za Podgórskim do drzwi.

Psychiatra wyglądał teraz jak zbity pies. Emilii zrobiło się go szkoda. Ona doskonale wiedziała, jak musiał się teraz czuć. Piąte koło u wozu. Na żadne pocieszenie oczywiście nie było czasu. Należało działać i opanować sytuację.

Emilia zadzwoniła na komendę, żeby wezwać posiłki. Nie tylko dla Daniela, ale też dla siebie. Zośka może i była w laboratorium nad jeziorem Forbin, ale na wszelki wypadek należało przeszukać całą willę. Byli tu jeszcze Edward i Alicja Sienkiewicz. Tym razem Strzałkowska nie zamierzała ryzykować przesłuchiwania ich bez wiedzy naczelnika. Za bardzo jej zależało na robocie w krymie. Przez całą odprawę Laura brylowała, najwyższa pora, by ona sama też zabłysła.

– Gdzie możemy porozmawiać spokojnie? – zapytała Jana Kowalskiego, przekrzykując tłum.

– U mnie.

I tak właśnie znalazły się razem z Kopp w jego gabinecie. Wilczyński został w holu. Nie mógł uczestniczyć w przesłuchaniu.

– Okej. No dobra. To chyba czas, żebyś nam powiedział, co tu się właściwie dzieje, co? – zapytała Kopp ostro.

Szczerze mówiąc, Strzałkowska wolałaby być tu sama. Chciała zabrać Klementynę tylko po to, żeby nie być z Danielem sam na sam. Była pewna, że chciał porozmawiać. A na to nie była jeszcze przygotowana. Potrzebowała więcej czasu.

Choć i tak być może wszystko rozsypie się jak domek z kart i wyjdzie na jaw, co zrobiła. Daniel i Weronika jadą teraz we dwójkę i będą rozmawiać. Może któreś z nich wspomni o esemesie. Wtedy się domyślą, że to Emilia go wysłała.

A to był impuls. Po tym, jak przez pół nocy musiała wysłuchiwać pijackich wynurzeń Daniela, była nabuzowana emocjami. Musiały znaleźć jakieś ujście. Pomysł wpadł Strzałkowskiej do głowy zupełnie nagle, kiedy Daniel zasnął.

Wzięła jego telefon. Napisała do Weroniki kilka słów. Że to koniec. Że będą tylko przyjaciółmi i coś tam jeszcze. Starła się, żeby zabrzmiało to tak, jakby Podgórski pisał to rano po przemyśleniu sprawy. Nacisnęła wyslij i było już za późno na anulowanie wpisu. Potem wykasowała wiadomość ze skrzynki nadawczej, żeby Daniel nie zorientował się, co zaszło.

Przy odrobinie szczęścia plan miał szansę wypalić. Weronika miałaby czarno na białym, że Daniel jej nie chce. Nie próbowałaby więc do niego startować. On mógłby odczytać to jako odrzucenie. W tym czasie Emilia robiłaby swoje. Pocieszała go. Z czasem mogłoby się okazać, że stała się dla niego ważniejsza niż Nowakowska. Że zrozumiał nareszcie, że to ją kocha. Tak jak ona jego kochała.

Tymczasem wszystko musiało się skomplikować. I to już dzisiaj. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie będą rozmawiali na ten temat w drodze. Że skupią się na ratowaniu Zośki. Może jeszcze nie wszystko stracone.

– Chciałem dobrze – szepnął Jan Kowalski, wrywając Emilię z ponurych myśli.

– Spoko. Ale! Tak to może się tłumaczyć dziecko, a nie taki stary cap jak ty – warknęła Klementyna. Może jednak dobrze, że tu była. Strzałkowska zupełnie nie mogła się teraz skupić. – Więc dosyć tych bzdur. Tylko fakty, fakty i jeszcze raz fakty. Dobrze, co?

– Ja...

Jan przerwał nagle, jakby nie mógł złapać oddechu.

– Że ty, to już wiemy – warknęła Kopp.

Była agresywna, ale Emilia uznała, że nie będzie jej powstrzymywać. Strategia zdawała się dobra, bo Jan przetarł twarz rękawem białej lnianej koszuli i szepnął:

– Ja... wszedłem w układ z doktor Pawłowską i jej firmą farmaceutyczną. Nikt o tym nie wiedział. Oprócz księdza Edwarda. To on ją tu sprowadził. Znaczący się Patrycję Pawłowską.

– Księżula na razie zostawmy, co?

– Kiedy to on mnie poznał z Pawłowską! – zawołał Jan. Znowu histerycznie. – Są z tej samej

wsi. Edward tu u nas spowiada już od jakiegoś czasu. Przewodnictwo duchowe dla tych zagubionych ludzi jest bardzo ważne...

– Fakty! – przerwała mu Kopp. Podeszła do biurka i usiadła ciężko na blacie. Jan się wzdrygnął.

– Fakty. Fakty. Fakty. Nie jakieś biadolenie. Co to był za układ z Pawłowską, co?

Jan zaczął się pocić. Wielkie krople spływały mu po czole i w dół policzków. Nie wytarł ich.

– Miała robić badania kliniczne nowego leku na raka – wyjaśnił. – Ja... moi pensjonariusze... na nich testowano ten lek. W zamian dostawaliśmy za darmo wiele innych medykamentów. Takich, które są już dostępne na rynku. Oprócz tego pewne wynagrodzenie, które szło na potrzeby naszego ośrodka. Ja... myślałem, że to dobry układ. Nie przypuszczałem, że cokolwiek się... Pawłowska przekonywała mnie, że nic się nie stanie! Że ten lek jest bezpieczny. Skąd mogłem wiedzieć?

– Twoi pensjonariusze krzyczeli coś o Loli i Kseni – wtrąciła się Emilia. – Co mieli na myśli?

Jan przejechał ręką po twarzy. Skórę na dłoniach miał zadbaną i delikatną. Może był młodszy, niż Strzałkowska początkowo sądziła.

– Najpierw zginęła Ksenia – szepnęła. – Ale wtedy jeszcze nie przypuszczałem, że coś się niedobrego dzieje... To znaczy niektórzy narzekali na to, że źle się czują po tym leku. Ale uznałem, że tak ma być.

– To lek na raka – powiedziała powoli Kopp. Emilia miała wrażenie, że w głosie Klementyny słyhać ból. – Dawaliście chemię zdrowym ludziom, co? Takie rzeczy zupełnie wyniszczają organizm. Nie trzeba być geniuszem medycyny, żeby to wiedzieć.

– Ja nie wiem, jaki jest skład tego leku – usprawiedliwił się Jan. – Naprawdę! Nawet nie wiem, czy to chemia, czy coś innego.

Kopp pochyliła się i przyciągnęła go za lnianą koszulę do siebie. Ich twarze były teraz blisko siebie.

– No ziółka to to nie są, jeśli ma działać – warknęła. – A podobno tak ci na tych ludziach zależy, co?

– Zależy mi! – zawołał Jan. – Chciałem tylko zapewnić im godny byt!

– Trując ich? – zapytała Emilia. Nie siliła się na spokój. Jeśli doktor Pawłowska prowadziła nielegalne eksperymenty na ludziach, natychmiast trzeba będzie się tym zająć. – Co się stało z Ksenią i z Lolą? Co z tą Zośką?

Ciałem Jana wstrząsnęły łkania, ale jego oczy były zupełnie suche.

– Wożą ich tam pojedynczo. Do tego laboratorium. Moi pensjonariusze nazywają to miejsce zamkniętym pokojem. Tak się przyjęło, bo Pawłowska zawsze zamyka pokój na czas podawania leku. Zakazałem im o tym rozmawiać, ale oczywiście niektórzy nie wytrzymali. Mimo że do udziału w badaniu wybrałem tylko tych, którzy byli tu od dawna i którym ufałem. Uczestniczyli dobrowolnie. Dla dobra naszej społeczności.

– Dobrowolnie, co? – zaatakowała znowu Kopp. – Żadnego nacisku, prawda? Tyle tylko, że jak nie będą uczestniczyć, to ich wypieprzysz na bruk, co?

– To nie tak...

Tym razem po policzkach Jana popłynęły łzy.

– To jak? – zapytała Emilia.

– Pawłowski przyjechał i zabrał Ksenię na jej turę leczenia.

– Leczenia – prychnęła Kopp, słysząc ostatnie słowo. – Dobrze sobie.

– Klementyna, skupmy się – upomniała ją Emilia. Tym razem Kopp dawała się ponieść emocjom i zapominała, że potrzebują faktów. Mimo że przedtem sama tak bardzo na to naciskała.

– Ksenia umarła podczas podawania leku. Tam w laboratorium – wydusił Jan. – Doktor Pawłowska przyjechała, żeby mi o tym powiedzieć. Tłumaczyła, że to nie musiało być z powodu leku. Mówiła, że to mógł być przypadek. Ksenia kiedyś była narkomanką, więc mogło dojść do interakcji...

Kopp chciała coś powiedzieć. Emilia posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. O dziwo, Klementyna posłuchała. Jej usta zacisnęły się w wąską kreskę, ale nic nie powiedziała.

– Pawłowska mnie szantażowała – powiedział już nieco spokojniej Kowalski. – Chciałem

zawiadomić policję o śmierci Kseni, ale powiedziała, że muszę współpracować. Że ja przecież dostarczam pacjentów. Że to moja wina.

– I nic nie zrobiłeś – warknęła Kopp.

– Drzwi były uchylone, kiedy rozmawialiśmy – ciągnął Jan, jakby jej nie słyszał. – Mieszkała tu wtedy niejaka Valentine Blue. Uwielbiała wtykać nos w nie swoje sprawy. Taka była. Wtedy też podsłuchiwała pod drzwiami.

– Słyszała, jak rozmawiałeś z Pawłowską o śmierci tej Kseni? – upewniła się Emilia.

– Tak. I o tym leczeniu też. Pawłowska jej nie zauważyła. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że Valentine komuś powie. Liczyłem na to.

No i faktycznie powiedziała, przebiegło Strzałkowskiej przez myśl. Valentine Blue wysłała przecież wiadomość do Weroniki.

– Liczyłeś, że ktoś odwali to za ciebie, co? – rzuciła Kopp.

– A teraz Valentine Blue nie żyje – wtrąciła się Emilia. – Zamordowaliście ją?

– Ja nic nie zrobiłem! Dostałem tylko w środę wiadomość, że ona została zabita w Świeciu przez jakiegoś pacjenta. Nie wiem, co się stało. W każdym razie ja nie mam z tym nic wspólnego! Przysięgam! Ale nie zdziwiłbym się, gdyby Pawłowscy się do tego przyczynili! Są zdolni do wszystkiego!

W korytarzu powstało jakieś poruszenie. Emilia usłyszała hasło *Policja*, więc prawdopodobnie przyjechało wsparcie, o które prosiła naczelnika.

– Pawłowska kazała mi wmówić wszystkim, że Ksenia po prostu odeszła z Nowych Horyzontów – podjął Jan. – Zrobiłem to. Pensjonariusze mi uwierzyli. Nigdy ich nie zawiodłem... Tylko że niektórzy byli podejrzliwi. Na przykład Lola. Ona przyjaźniła się z Ksenią. No i co gorsza... wczoraj zmarła Lola. Też podczas leczenia. Ale teraz już nikt nie chciał mi wierzyć, że ona odeszła. Mieszkała u nas od lat. Mówienie, że odeszła... To było tak niewiarygodne, że nawet nie wiem, czemu próbowałem ich oszukiwać. Ludzie się wystraszyli. Nie powinienem był ich oszukiwać. Ale się bałem... zwyczajnie się bałem.

– Czego?

– Że Chrystian i Patrycja Pawłowscy mnie też zabiją! – zawołał Jan. – Nie sądzę, żeby cofnęli się przed czymkolwiek!

– Spoko. Ale! Co z tą Zośką, co? – zapytała Kopp. Teraz już spokojniej. Bardziej rzeczowo.

– Jak się zorientowała, że Lola nie wróciła... zadzwoniła do tej rudowłosej kobiety. Do tej Nowakowskiej. Tyle że przez głupotę zadzwoniła z recepcji. Doktor Pawłowska była wtedy w gabinecie i usłyszała tę rozmowę. Z miejsca mnie zawiadomiła i...

– I Zośkę też zabiliście – dokończyła za niego Kopp.

– Ja niczego nie zrobiłem! Pawłowska podała jej... Uśpiła ją... Podała jej jakiś lek z gabinetu... Ja... nie wiem. Potem zadzwoniła po Chrystiana, żeby zabrał Zośkę do laboratorium. Pewnie tam chcą ją uśmiercić. Wynieśliśmy ją do samochodu. Wszystko szło dobrze, ale przyszła pani Alicja. Na szczęście nic nie zauważyła. Zobaczyła tylko, że recepcja jest pusta. Musiałem więc powiedzieć, że Zośka odeszła, bo nie chciało jej się pracować. Pani Alicja uwierzyła. Usiadła w recepcji. Chrystian pojechał ze śpiącą Zośką do Głębozka. A doktor Pawłowska chwilę posiedziała i ruszyła za nim swoim samochodem. Ja zostałem tu. Jeśli wasi znajomi się nie pospieszają, to ją tam zabiją. Jestem tego pewny. Pawłowscy naprawdę są zdolni do wszystkiego!

SCENA 3

Nad jeziorem Forbin.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 16.15.

Weronika Nowakowska

Daniel zahamował gwałtownie przed bramą zamkniętego domu pod numerem czterdzieści dziewięć. Weronika przytrzymała się fotela. Gdyby nie pas, poleciałaby do przodu.

– Przepraszam – mruknął Podgórski.

– Nie szkodzi.

Przez całą drogę do Głębozka milczeli. Jakby po tym, co się stało rano, nie zostało już nic do powiedzenia. Bo czy miała pytać Podgórskiego, dlaczego najpierw zjawia się pijany i oskarża ją o zdradę, a kilka godzin później wysyła jej oschłego esemesa? Miała mu tłumaczyć, że odpisała równie oschle, bo czuła się zraniona? Jeśli jej nie chciał, to przecież i tak nie było o czym rozmawiać.

Teraz najważniejsze, żeby udało im się dotrzeć do laboratorium i uratować Zośkę. Weronika nie chciała dopuścić, żeby kolejna dziewczyna, która jej zaufała i poprosiła o pomoc, umarła.

– Zaraz powinni być tu chłopaki z plutonu – powiedział Daniel, wysiadając z samochodu. – Mam nadzieję, że Emilia od razu po nich zadzwoniła.

Podeszli do muru otaczającego posesję.

– Jak się dostaniemy do środka? – zapytała Weronika. Spojrzała prosto w oko kamery nad bramą.

– Wczoraj, jak byłam tu z Grześkiem, to po prostu zadzwoniliśmy. Teraz raczej nam nie otworzą.

Nagle zza muru dobiegł przejmujący krzyk. Męski głos. Czyli to nie mogła być Zośka.

– Co tam się dzieje? – przeraziła się Weronika.

Daniel spróbował dosięgnąć szczytu muru. Chyba chciał się na niego podciągnąć. Niestety mur był za wysoki.

– Kurwa – zaklął. Spróbował jeszcze raz, ale z tym samym skutkiem.

Nagle zupełnie nieoczekiwanie brama zaczęła się otwierać. Podgórski wyciągnął broń z kabury i ruszył do środka.

– Nie powinniśmy poczekać na wsparcie?! – zawołała Weronika, biegnąc za nim.

Głos rozsądku. Żadne z nich nie zamierzało go oczywiście słuchać. Mimo że gdzieś w głębi Nowakowska czuła, że tego pożąduje.

SCENA 4

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 16.20.

Klementyna Kopp

Kopp nienawidziła krętaczy. A tacy, którzy uważali, że kogokolwiek nabiorą krokodylimi łzami, jeszcze bardziej ją irytowali.

– Uważaj, bo jeszcze uwierzmy, że naprawdę się przejmujesz – warknęła. – Tak samo się przejmujesz tą nieszczęsną Zośką jak Bereniką Borkowską, Celiną Krawczyk, Haroldem Dębowskim i Wojtkiem Majewskim, co? Ich też wykończyliście?

– Co? Nie! Przysięgam!

Jan położył rękę na sercu. Zaśmiała się.

– Jak słodko. Słowo harcerzyka, co?

Drzwi do gabinetu otworzyły się, zanim Kowalski zdążył odpowiedzieć. W progu stanął Sienkiewicz. Najwyraźniej przyjechał razem ze wsparciem, które wezwała wcześniej Strzałkowska.

– Emilio, ja dokończę przesłuchania – oznajmił bez wstępów. – Ty pojedziesz na komendę.

– Ale jeszcze tu nie skończyliśmy...

Klementynie podobało się, że Strzałkowska użyła liczby mnogiej. Choć ta nagła przyjaźń ze strony mysiej policjantki wydawała jej się co nieco podejrzana.

– Proszę was na korytarz – powiedział naczelnik. – A pan niech tu czeka.

Nie wyglądało na to, żeby Kowalski miał ochotę cokolwiek kombinować. Siedział kompletnie zrezygnowany.

Na korytarzu zrobiło się już nieco spokojniej. Dwóch mundurowych usadzało właśnie zdenerwowanych mieszkańców na ławach. Księżulo chodził to tu, to tam, pomagając im. Może braciszek go o to poprosił.

– Emilio – zaczął Sienkiewicz. – Tu może chodzić o morderstwo, poza tym ja dopiero przyjechałem. Zostanę tu i poprowadzę to dalej.

– Wszystko pięknie – wtrąciła się Kopp. Nie obchodziło jej, że Sienkiewicz zwracał się do Strzałkowskiej, a nie do niej. – Ale! Nie chcesz może przypadkiem zatuszować różnych sprawek mamuśki i braciszka, co?

Naczelnik przyjrzał się Klementynie.

– Daj już spokój, Kopp. Nie na jednej akcji byliśmy razem. Doskonale wiesz, że to nie w moim stylu.

Klementyna oparła dłonie na biodrach.

– Spoko. Ale! Sam doskonale wiesz, że różne rzeczy się robi, jak człowieka przyciśnie.

– Nic takiego nie ma tu miejsca – odparł spokojnie Sienkiewicz. Znowu odwrócił się do Strzałkowskiej. – Emilio, to nie jest tak, że ja cię odsuwam od sprawy. Wręcz przeciwnie. Na komendzie masz ważną robotę.

– Co takiego?

– Laura rozmawiała z Cezarym Zarębą. Zeznał właśnie, kto był z nim wczoraj w Cichym Lasku. Czyli możemy zaraz poznać tożsamość tej dwójki NN. Chcę, żebyś była podczas jego przesłuchania. Jesteś w tej sprawie od początku. Cenię twoje umiejętności.

SCENA 5

Nad jeziorem Forbin.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 16.20.

Aspirant Daniel Podgórski

Brama zaczęła się otwierać. Daniel wyciągnął klamkę z kabury i ruszył do przodu. Przed chwilą ktoś krzyczał, trzeba było działać szybko. Ale oczywiście rozważnie.

Podgórski wyrzwał na teren posesji, żeby upewnić się, że droga wolna. Na podjeździe nikogo nie było. Stały tam tylko dwa samochody. Srebrny mercedes, którego widzieli już wcześniej pod domem Pawłowskich, i mniejszy model tej samej marki w kolorze zgaszonej czerwieni.

– Wracaj na zewnątrz – szepnął Daniel do Weroniki.

Wbiegła za nim na posesję. Wolał, żeby poczekała w samochodzie. Tak byłoby zdecydowanie bezpieczniej. Musiałby martwić się tylko i wyłącznie o siebie, a nie myśleć o tym, że musi chronić także ją.

– Pomocy! – ktoś krzyknął w budynku.

Daniel spojrział w tamtą stronę. Drzwi do domu były uchylone. W tym momencie na próg wybiegł Chrystian Pawłowski. Najwyraźniej to on przed chwilą krzyczał. Teraz oddychał ciężko. Kiedy tylko zobaczył Weronikę i Daniela, ruszył w ich kierunku.

– Stój! – zawołał Podgórski i wycelował w niego broń.

Mężczyzna wyglądał na przerażonego, ale trudno było stwierdzić, jakie ma intencje. Znowu zrobił kilka kroków. Był już w połowie podjazdu.

– Stój, bo strzelam! – ostrzegł Daniel głośno i wyraźnie.

Mąż lekarki zatrzymał się w pół kroku. Teraz z domu wypadła pulchna długowłosa kobieta w kitlu. To musiała być Patrycja Pawłowska. Podgórski widział ją po raz pierwszy. Wydawała się dobrotliwa i zupełnie niegroźna.

– To ona! – krzyknął Pawłowski rozpaczliwie. Twarz miał teraz niemal równie czerwoną jak brodę i włosy.

Lekarka włożyła ręce do kieszeni kitla, jakby chciała pokazać, że nie ma złych zamiarów i w ogóle ta sytuacja jej nie stresuje.

– Chrystian, uspokój się – powiedziała. – Wszystko będzie dobrze.

– Nie zbliżaj się! – zawył histerycznie Pawłowski. – Ona chce mnie zabić!

Lekarka odwróciła się do Podgórskiego i Nowakowskiej. Uśmiechnęła się smutno.

– Mąż czasem tak ma. To ataki hysterii, dlatego nie może pracować. Wszystko w porządku.

– Nic nie jest kurwa w porządku! – zawył znowu Pawłowski. – Chcesz mnie zabić! Jak te kobiety!

– Mąż zaraz się uspokoi – tłumaczyła dalej lekarka, ignorując krzyki Chrystiana.

– To ona – charczał Pawłowski. – Ona właśnie zabiła tę dziewczynę! Przed chwilą! To, co ona robi z tymi ciałami, to jest...

Chrystian przerwał nagle, jakby nie mógł już złapać tchu. Nieoczekiwanie właśnie w tym momencie Patrycja Pawłowska rzuciła się do ucieczki. Zaczęła biec na tyły domu w kierunku jeziora.

Niewiele myśląc, Daniel ruszył za nią. Słyszał już odgłos silnika zza muru. Pewnie przyjechali chłopaki z patrolu. Tym lepiej.

– Stój! – zawołał. – Stój, bo strzelam.

Wolał raz jeszcze ostrzec. Na wszelki wypadek, żeby uniknąć kłopotów, których ostatnio mieli i tak za dużo. Pawłowska nie przejęła się ostrzeżeniem. Nadal biegła przez ostrzyżony równo trawnik

wprost do wąskiej furtki z tyłu posesji. Była uchylona. Na zewnątrz widać było drewniany pomost niewielkiej przystani.

Podgórski przyspieszył. Był już bardzo blisko. Uznał więc, że poradzi sobie bez oddawania strzału.

Jeszcze kilka kroków i...

Chwycił Pawłowską za ramię. Jednym ruchem powalił ją na ziemię. Wtedy Pawłowska sięgnęła do kieszeni kitla. Wyciągnęła coś.

Nie od razu zorientował się, że to strzykawka.

Delikatne ukłucie.

ANTRAKT

SCENA 1

Dom Sienkiewiczów w Sumowie.

Wtorek, 9 lipca 1996. Godzina 7.00.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi? – warknął Jacek.

Rzadko widziała go tak wściekłego. Zazwyczaj miał na twarzy posępny uśmiech. I tyle. Choć trzeba przyznać, że właściwie męża nie znała. Mało czasu spędzali razem. Tyle, ile naprawdę było konieczne. I ani chwili dłużej.

– O jakie pieniądze chodzi? – zapytał jeszcze raz ostro, kiedy nie odpowiedziała.

Siedzieli właśnie przy śniadaniu. Służbę rozpoczynał dziś później, więc musieli zjeść razem. Najczęściej wychodził, zanim wstała. To ją oczywiście bardzo cieszyło. Jego chyba też.

– Obudzisz Michasia – syknęła.

Synek jeszcze spał. O dziwo, bo często budził się wcześniej. Lubił żegnać się z Jackiem. Z tatusiem, jak mówił. Nie wiedział przecież, że jego prawdziwym ojcem jest Edward.

– O jakie pieniądze chodzi? – powtórzył Jacek, ignorując jej słowa. – Matka wczoraj wieczorem przyszła do mnie i powiedziała, że to koniec wypłat i że nie dadzą ani grosza więcej. O jakie pieniądze chodzi, Nora?

Jacek jako jedyny nigdy tak do niej się nie zwracał. Nazywał ją Eleonorą, jak go o to poprosiła w dzień ich przymusowego ślubu. Umówili się wtedy, że nie będą sobie wchodzić w drogę, i tego się trzymali.

Teraz musiał być wściekły i nazwał ją tak specjalnie. Wiedział, że w ten sposób ją zdenerwuje.

– Edward daje mi trochę pieniędzy – przyznała. – Od czasu do czasu.

Jacek poczerwieniał. Właściwie nie kontaktował się z rodziną od czasu, kiedy wzięli ślub. Przeprowadzili się do Sumowa i oboje omijali Bargowo szerokim łukiem. Jacek był tam wyklęty jako ksiądz, który odszedł z Kościoła. Jako ten, który złamał przysięgę. Ona z kolei jako jawnogrzesznica. Po co mieli jeździć do Bargowa i się denerwować?

To znaczy ona pojechała jakiś czas temu, żeby porozmawiać sobie z Edwardem.

– Dlaczego?! – zawołał Jacek ze złością.

Eleonora wzruszyła ramionami.

– W końcu to jego syn. Alimenty i te sprawy. Normalna rzecz.

Pięła się po szczeblach kariery w sieci Lecha Kołodzieja. Zarabiała całkiem dobrze. Ale musiała przyznać, że ciągle było jej mało. Ojciec przyzwyczaił ją do pewnego standardu. W którymś momencie uznała, że Edward nie zbiednieje, jeśli dołoży kilka groszy do rodzinnego budżetu. No i stał za nim cały Kościół. Nie było bogatszej instytucji. Dlatego zaczęła go szantażować.

– Nie potrzebujemy jego pieniędzy – powiedział Jacek z rosnącą irytacją.

– Owszem. Potrzebujemy. Z twojej pensji krawężnika raczej się nie utrzymamy.

Jacek stał przez chwilę bez słowa. Potem uderzył ją w twarz. Szeroko otwartą dłonią. Palił ją cały policzek. Wiedziała, że te słowa go zabolą. Był bardzo czuły na punkcie swojej pracy. Nie spodziewała się jednak aż takiej reakcji. Nigdy wcześniej jej nie uderzył.

– Przepraszasz?! – krzyknęła. – Przepraszasz chociaż?!

Wtedy zamachnął się jeszcze raz. Poczuela, jak krew zaczyna buzować jej w żyłach. Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami.

– Policja, milicja. Jeden chuj. Niby stróż prawa, a żonę tłuczesz.

Zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy.

– A wiesz, o czym to świadczy? Że jesteś słaby! Słaby i żaloszny! Bo jak inaczej wytłumaczysz, że się zgodziłeś na plan mamuśki?! Że tak naprawdę to ja ciebie utrzymuję! Co z ciebie za mężczyzna?! Żaden! Powinieneś nadal łązić po Bargowie z Biblią pod pachą i... i szukać swoich jaj, damski bokserze.

Ostatnie zdanie krzyknęła tak głośno, że być może nawet sąsiedzi słyszeli. W głębi domu rozległy się kroki. Obudzili Michasia.

– W czwartek wyjeżdżam na szkolenie – oznajmił Jacek, jakby przed chwilą zupełnie nic się nie stało. – Wracam w poniedziałek.

– Co?! Przecież ci mówiłam, że w piątek mam ważną imprezę u Lecha Kołodzieja. Albo ja, albo Chrystian Pawłowski zostanie dyrektorem regionalnym sieci! Miałeś zostać z Michasiem. Przecież się umawialiśmy! Cholera jasna!

Jacek poprawił koszulę.

– Mam szkolenie – powiedział tylko i ruszył do wyjścia.

W drzwiach w jego ramiona wpadł Michaś. Miał już prawie sześć lat i był coraz bardziej podobny do Edwarda. Pewnie z czasem to stanie się jeszcze bardziej widoczne. Wystarczy przyjechać z synkiem do Bargowa i wszystkie wierne owieczki się dowiedzą, co z proboszcza za ziółko, przebiegło Eleonorze przez myśl. Jeśli Alicja Sienkiewicz myśli, że Edward przestanie dawać pieniądze, to się grubo myli. Tu chodzi o zasadę, powiedziała sobie Eleonora. Nawet nie o to, że brakowało jej pieniędzy.

– Miałeś zostać z Michasiem – powtórzyła, nie zwracając uwagi na to, że syn wszystko słyszy. Przecież nie wiedział nawet, o co chodzi.

– To przecież nie mój problem – mruknął Jacek wymownie, stawiając chłopca z powrotem na ziemi. – Prawda?

SCENA 2

Rezydencja Dębowskich w Bargowie.

Środa, 10 lipca 1996. Godzina 16.00.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

No i proszę. Zawitała do Bargowa wcześniej, niż sądziła. Tyle że bez syna. Zupełnie nieoczekiwanie zadzwonił do niej ojciec. Nie wiedziała nawet, skąd miał jej numer. Musiał pewnie wykorzystać swoje liczne znajomości i go zdobyć. Wezwał ją na spotkanie rodzinne, choć nie rozmawiali od lat.

Eleonora kontaktowała się tylko od czasu do czasu z Haroldem. Brat był namiastką jej dawnej rodziny, bo siostra przecież nie żyła, a matka we wszystkim ulegała woli ojca i nie śmiała sprzeciwić mu się w żadnej kwestii.

– Gdzie Harold? – zapytała, kiedy usiedli z matką i ojcem przy stole.

Dom praktycznie się nie zmienił. Matka też. Tylko ojciec był jeszcze grubszy niż dawniej. Ledwo mieścił się w tym swoim krześle tronie.

– Nie zaprosiliśmy go – oznajmił pan i władca.

– Dlaczego?

Ojciec westchnął głośno. Podwójny podbródek zafalował.

– Według nas dopuścił się jeszcze gorszego grzechu niż ty, Noro.

Eleonora spojrzała na matkę. Ta siedziała wpatrzona w blat dębowego stołu. Zupełnie jak kiedyś Edward. Jak tchórz. Osoba, która umywa ręce i nie potrafi ponieść konsekwencji swoich działań. Matka całe życie podporządkowywała się ojcu, tak jak i Edward podporządkowywał się Alicji.

Akurat pod tym względem Jacek był znacznie lepszy, przebiegło Eleonorze przez myśl. Mimo że policzek nadal piekł ją od wczorajszego uderzenia. On przynajmniej miał swoje zdanie.

– Harold zrobił coś gorszego niż dziecko z księdzem? – zadrwiła.

Ojciec zgromił ją wzrokiem.

– Tak. Chodzi o grzech znany z Sodomy.

Mówił takim tonem, że Eleonora po prostu nie mogła się nie zaśmiać. Grzech sodomii. Dobre sobie. Od lat wiedziała, że jej brat ma kochankę, a kobiety go brzydzą. Nigdy jej to nie przeszkadzało. Ojcu, jak widać, wręcz przeciwnie.

– Jowita nam powiedziała, że on jest pedałem – dodał jeszcze ojciec. Z wyraźnym niesmakiem.

– Jowita jest teraz żoną Harolda – wyjaśniła cicho matka. Wyciągnęła z kieszeni jakąś kartkę. – Tu masz wszystkie telefony i adresy. Skoro znowu jesteś w rodzinie.

Eleonora wzięła od niej zapisany starannym pismem skrawek papieru.

– Żona? – wyrwało jej się.

Podczas ich nielicznych kontaktów brat nigdy nie wspomniał, że wreszcie się ożenił. Pewnie rodzice go zmusili do zalegalizowania związku. Nie było innej możliwości.

Ojciec pokiwał głową.

– Wezwałem cię tu, Noro, po to, żeby ci zakomunikować, iż jeśli twój brat nie zmieni swojego postępowania i nie spłodzi potomka z Jowitą, to go wydziedziczę.

Eleonora znowu się zaśmiała.

– Niezłe masz hobby – zadrwiła. – Ciągłe wydziedziczanie swoich dzieci.

Ojciec znowu spojrzał na nią z wściekłością. To bawiło ją jeszcze bardziej.

– Nie łudź się, nie wybaczyłem ci – oznajmił wyniośle. – Ale nie chcę oddawać moich pieniędzy obcym ludziom. Helena umarła. Zostaliście tylko wy dwoje. Brzydzą się zarówno tobą, jak i Haroldem.

– Ale nim bardziej – szydziła dalej Eleonora.

Nie była już tą dawną zastraszoną dziewczyną. Była kobietą sukcesu w zmieniającym się świecie. Zarządzała dużą restauracją w Nowym Mieście. A teraz miała szansę na jeszcze większy awans. Zrobiła wszystko, żeby zostać dyrektorem regionalnym. Wszystko. Jutro być może spełni się jej marzenie. Nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Ojciec zaś był tylko żalonym grubasem na fotelu udającym tron. Już się go nie bała.

– To wszystko – oznajmił, jakby faktycznie był królem i ją odprawiał.

Uśmiechnęła się pod nosem i wstała od stołu. Nie było sensu siedzieć tu dłużej. Jeśli chciał umieścić ją z powrotem w testamencie, to tym lepiej. Pieniądze zawsze się przydadzą. Choć i tak nie zamierzała odpuścić Sienkiewiczom. Chodziło o zasady.

– A więc to tak! – usłyszała, kiedy tylko znalazła się przed domem.

Harold stał koło jej samochodu. Opierał się o wysłużone cinquecento. Było nowe, ale jeździła nim tak dużo, że zdawało się o wiele starsze. Lubiła je. Łatwo się parkowało, a technologia była zdecydowanie lepsza niż w maluchu, którego przedtem miała.

– Jesteś zadowolona?! – zaatakował brat znowu.

Najwyraźniej na nią czekał. Oczy miał zaczerwienione. Chyba przed chwilą płakał.

– O czym ty mówisz?

– Poinformowali cię przecież, prawda? Że dziedziczysz wszystko?

Skinęła głową.

– Musiałś im powiedzieć o mnie, tak?! – zawołał Harold dudniącym basem. – Musiałś zniszczyć mi życie i pozbawić mnie wszystkich środków?!

– Nic takiego nie zrobiłam.

– Nie? A niby kto?! Zaufałem ci! Tylko ty jedna wiedziałaś, że ja i...

– Nie ja jedna, jak widać – przerwała mu, zanim zacznie rozplęwać się nad swoim kochankiem, jak to miał w zwyczaju.

– To znaczy? Niby kto jeszcze?

– Na pewno twoja żona. To ona pożaliła się starym.

– Ona nie wie. Jowita nie wie.

– Widocznie jednak wie. Zrobisz jej dziecko, to tatuś ci wybaczy. Więc się mnie nie czepiaj, tylko do roboty.

Harold zatrząśł się, jakby miał atak epilepsji. Podbiegła do niego natychmiast, żeby mu pomóc. Odtrącił ją gniewnie.

– Nie wierzę ci, Nora. To ty mu powiedziałaś! Chciałaś dostać te pieniądze!

W jego ustach to oskarżenie naprawdę zabolalo. Zaśmiała się gniewnie.

– Myślisz, że próbowałabym ci odebrać tę cholerną kasę? Niepotrzebne mi już pieniądze ojca! Sama zarabiam. W piątek może dostanę awans i będę zarabiała jeszcze więcej. Nie czepiaj się mnie. Ja tu jestem pierwszy raz od lat. Nigdy nie kablowałam na ciebie. Ani wcześniej. Ani tym bardziej teraz.

Harold zmierzył ją wściekłym spojrzeniem. Nie przypominał teraz jej delikatnego brata, mimo że nadal był wiotki jak brzoza witka.

– Nie wierzę ci – przeliterował niemal te słowa. – Te pieniądze miały nieść pomoc ludziom. Nie rozumiesz? A ty im to wszystko odbierzesz. Nienawidzę cię.

SCENA 3

Restauracja Kołodziej w Nowym Mieście Lubawskim.

Czwartek, 11 lipca 1996. Godzina 14.00.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Raz jeszcze przeszła się po głównej sali restauracji. Od roku nią zarządzała. Pasowało jej to, bo wreszcie nie musiała nigdzie daleko dojeżdżać. Nowe Miasto dzieliło od Sumowa jakieś trzydzieści kilometrów. Nie mogła sobie teraz wyobrazić, jak to było, kiedy musiała dojeżdżać dwie godziny do Solca. Prawie pod samą Bydgoszcz. A i lokal zdecydowanie różnił się od maleńkiej Poziomki, gdzie zaczynała. Faktycznie pięła się po szczeblach kariery.

A jutro miała szansę znaleźć się prawie na samym szczycie. Miała szansę zostać dyrektorem regionalnym. Jeśli Lech zdecyduje się powierzyć jej to stanowisko. Rozejrzała się po lokalu, który był teraz jej dumą. Wszystko funkcjonowało tu jak w szwajcarskim zegarku. Dopilnowała tego. Czuła się usatysfakcjonowana. Mimo goryczy, którą pozostawiła wczorajsza kłótnia z bratem. I kilku innych kwestii, których wołała teraz nie roztrząsać.

– Co się dzieje przy stoliku numer trzy? – zapytała, podchodząc do kelnerki obsługującej tę część sali.

Przy stoliku siedział samotny chłopiec. Na oko jedenastoletni. Chyba pochlipywał.

– Stolik jest zarezerwowany na nazwisko „Zaręba” – poinformowała kelnerka.

Nazwisko zdawało się Eleonorze znajome.

– No i? – zapytała zniecierpliwiona.

– Rodzice poszli chyba do łazienki – odpowiedziała dziewczyna przestraszona.

– Chyba? – warknęła Eleonora.

Kelnerka cofnęła się o krok.

– No tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się? Nie możemy mieć płaczącego dzieciaka samotnie siedzącego przy stoliku. Nie rozumiesz tego?

Kelnerka skinęła głową posłusznie. Trzeba będzie ją wyrzucić. Była głupia jak but.

– Wracaj do klientów. Ja to sprawdzę.

Eleonora poszła korytarzem w kierunku łazienek. Naprawdę wszystko chodziło tu jak w zegarku i nie zamierzała dopuścić, żeby było inaczej.

Już z końca korytarza usłyszała jakieś poruszenie w damskiej toalecie. Przyspieszyła kroku. Otworzyła drzwi. Mężczyzna zatrzymał się w połowie ruchu. Miał właśnie uderzyć. Przerażona kobieta opierała się o kran. Nie było miejsca, żeby mogła cofnąć się dalej.

Eleonora poczuła gniew. Ten sam, który pojawił się, kiedy Jacek podniósł na nią rękę we wtorek rano. Nie będzie tego tolerować.

– Co pan robi?

Rozpoznała mężczyznę. Był nauczycielem w Lipowie. Michaś miał iść niedługo do szkoły, więc rozpytywała, gdzie najlepiej go wysłać. Koleżanka powiedziała jej, że w Lipowie dobrze uczą. To było całkiem niedaleko od Sumowa. Bez problemu mogła podwozić syna samochodem. Człowiek, który miał właśnie pobić swoją żonę, uczył podobno języka polskiego. Skojarzyła teraz nazwisko. Faktycznie nazywał się Zaręba. Czesław? A może Cezary? W każdym razie jakoś na „C”.

– Nie pani interes – odpowiedział Zaręba, ale opuścił rękę.

Eleonora odwróciła się do przerażonej kobiety.

– To pani mąż?

– Jo.

– Zrobił coś pani?

Kobieta nie odpowiedziała.

– Zrobił coś pani czy nie? Mój mąż pracuje w policji. Mogę po niego zadzwonić.

Oczywiście nie zamierzała tego robić. Poradzi sobie sama. Ale postraszyć było warto. Na Cezarego czy też Czesława chyba to podziałało, bo opuścił rękę.

– Idziemy – powiedział do żony i szarpnął ją w stronę drzwi.

– Mój Marek czeka przy stoliku – powiedziała kobieta przepraszająco, kiedy mijali Eleonorę. Jakby potrzebowała usprawiedliwienia.

– No właśnie – dodał nauczyciel. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Reputację ci zniszczę, damski bokserze – szepnęła do niego Eleonora.

Doskonale wiedziała, jak się do czegoś takiego zabrać. Wystarczy szepnąć kilka słów tu i tam. Przecież już raz się udało. Z Mścisławem Grabowskim. Może to powtórzyć. Będzie łatwiej, bo tym razem plotka będzie prawdziwa.

– A tylko spróbuj – syknął Zaręba w odpowiedzi. – Tylko spróbuj.

AKT V

SCENA 1

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 17.10.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Emilia przysunęła krzesło do stalowego stołu. Zaskrzybiało nieprzyjemnie. Cezary Zaręba wzdrygnął się. Laura Fijałkowska też zrobiła minę. Jej pewnie nie chodziło o dźwięk, ale o to, że musi znosić towarzystwo Strzałkowskiej podczas przesłuchania.

Kiedy Emilia i Klementyna zostały podwiezione na komendę przez jednego z policjantów prewencji, Laura od razu zastrzegła, że nie zamierza wpuścić na przesłuchanie Kopp (nie było wyraźnego pozwolenia komendanta). Po drugie, najchętniej uniknęłyby też współpracy ze Strzałkowską (gdyby nie wyraźne polecenie komendanta).

Kopp uparła się, że zostanie na dole i poczeka na Emilię, by dowiedzieć się, co zezna stary Zaręba. Strzałkowska się zgodziła. Głównie dlatego, że Fijałkowska wyglądała na wściekłą z tego powodu. Ileż to człowiek potrafił czasem znaleźć w sobie przekory.

– Zeznał pan mnie – powiedziała Laura, najwyraźniej podkreślając, czyja to zasługa, a zapominając trochę o gramatyce – że nie był pan w Cichym Lasku sam.

Cezary Zaręba potwierdził.

– Spotkałem się tam z niejakim Adrianem Lisem. Była z nim moja uczennica, Gabriela Wójcik.

Emilia spojrzała na ojca Marka zaskoczona. Gabi? I ten chłopak, który wyrabia kosze? Sportowe buty. Ślady większe i mniejsze. Mężczyzna i kobieta. A raczej chłopak i dziewczyna. To by się zgadzało. Tylko dlaczego Cezary Zaręba spotkał się z nimi w lasku? To oni zabijali?

– Dlaczego? – zapytała krótko.

Ojciec Marka głośno westchnął.

– Dlaczego? – powtórzyła Emilia cierpliwie.

– Wolałbym nie mówić – powiedział w końcu Cezary. – Przysięgam, że to nie ma związku ze śmiercią tych ludzi. Naprawdę.

– My zdecydujemy, co ma związek, a co nie – warknęła Laura Fijałkowska.

Pochyliła się przez stół w stronę Cezarego Zaręby. Emilia przewróciła oczami. Fijałkowska chciała chyba grać złego glinę. Nie musiała nawet udawać.

– To naprawdę nie ma związku z morderstwami – zapewnił ojciec Marka.

– Pójdzie pan siedzieć za morderstwo, to zrobi się pan bardziej rozmowny – rzuciła Laura. – Podejrzewam, że pani prokurator Więcek nie będzie się wstrzymywać przed podjęciem odpowiednich kroków.

Ligia Więcek była w pokoju obok sali przesłuchań i wszystkiemu się przyglądała przez weneckie lustro. Ciekawe, co sobie o nich teraz myślała.

– Ale... – zaczął Zaręba.

– Lepiej niech pan powie – poprosiła Emilia. – Zwłaszcza jeśli naprawdę nie jest pan winny. Dobrze radzę.

Cezary wahał się. W końcu odetchnął głęboko.

– Przyjaciel mnie poprosił, żebym tam poszedł się z nimi spotkać i...

– O którym przyjacielu mówimy? – przerwała mu Laura.

Zupełnie nie w porę. Emilia znowu przewróciła oczami. Laura przypominała jej trochę Pawła Kamińskiego. Oboje zachowywali się jak słonie w składzie porcelany. Pewnie dobrze by się dogadali, uznała z pewnym rozbawieniem.

– O Młcisławie Grabowskim – wyjaśnił niechętnie Cezary Zaręba. – To on mnie poprosił, żebym poszedł do Cichego Lasku i spotkał się tam z Adrianem Lisem. Nie wiedziałem, że będzie z nim Gabi. Nawet nie wiedziałem, że ci młodzi są parą. Nie znam tego całego Lisa.

– Po co mieliście się w takim razie spotkać? – zapytała Emilia.

Wyglądało na to, że Cezary znowu się waha.

– Naprawdę lepiej jest mówić szczerze – poradziła znowu Strzałkowska. – Wszystkim wyjdzie to na dobre.

– Miałem odebrać część samochodową – szepnął Zaręba. – Nie znam się na tym za dobrze. To był jakiś element zawieszenia do mercedesa. Moduł powietrzny czy coś takiego. Ale może coś pomyliłem. Nie mam pojęcia o samochodach.

– Dlaczego akurat tam? – włączyła się znowu do rozmowy Laura.

– Ten Adrian mieszka za Cichym Laskiem. W jednym z tych domów wśród pól. Tak było po prostu wygodnie. Dla niego blisko, a ja i tak miałem się przejść. Nie kłamałem w tej kwestii, kiedy mnie pytaliście wcześniej. Odebranie tego czegoś to nie był dla mnie żaden kłopot. Miałem to zrobić przy okazji.

Strzałkowska przyjrzała się ojcu Marka podejrzliwie. Zdaniem Kopp Młcisław Grabowski mógł mieć niejedno na sumieniu. Przekazywanie części samochodowych w dość ustronnym miejscu, jakim był Cichy Lasek, mogło na przykład sugerować, że interes nie był do końca legalny.

– Na pewno nie chodziło o to, żeby nikt was nie widział?

Cezary Zaręba ukrył twarz w dłoniach, jakby miał zaraz się rozpłakać.

– Może trochę – przyznał.

– Może trochę? – powtórzyła za nim Fijałkowska.

Emilia znowu przewróciła oczami. Laura naprawdę ją irytowała.

– Tak. Nie chcieliśmy, żeby ktoś nas widział – powiedział Cezary Zaręba już spokojniej. Poprawił kraciastą kamizelkę i wyprostował się na krześle. – Ale niech panie nie pytają, co i jak, bo po prostu nie wiem. Przyjaciel mnie poprosił, żebym to zrobił, to poszedłem. Naprawdę.

Strzałkowska skinęła głową. Chyba nie było sensu drążyć teraz tego tematu. Laura na pewno potem przesłucha Młcisława Grabowskiego i Adriana Lisa.

– Co się stało dalej? – zapytała Emilia, żeby przejść do meritum. Ją przecież interesowało przede wszystkim poczwórne morderstwo.

– Weszliśmy do Cichego Lasku mniej więcej w tym samym czasie.

– Kto? – wtrąciła się Fijałkowska.

Cezary Zaręba zerknął na nią spod oka.

– No ja i młodzi. Byliśmy umówieni tam z tyłu. Właśnie niedaleko tej studni. Rozmawialiśmy chwilę, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach. I nagle usłyszeliśmy jakieś jęki. Jakby ktoś próbował wołać o pomoc. To wszystko prawda – zapewnił gorąco ojciec Marka. Naprawdę chyba mu zależało, żeby wydać się wiarygodnym. – Pobiegliśmy w tamtą stronę. Wokół studni było pełno krwi, ale żadnych ludzi. W tym czasie te głosy już ucichły. Ktoś zasugerował, żeby sprawdzić studnię. Może Gabi. Może ja. Może ten Adrian. Już sam nie wiem. Podbiegliśmy tam, a w środku trupy. Musiałem wyciągnąć telefon, żeby sobie poświecić...

– Podobno zapomniał pan telefonu z samochodu – wtrąciła się znowu Laura. – I dlatego nie wezwał pan pomocy, tylko biegł przez pole.

Cezary Zaręba zerknął na Emilię, jakby szukał u niej wsparcia. Strzałkowska starała się zachować neutralny wyraz twarzy. Nie lubiła Laury, ale w tym momencie tworzyły jeden front. One dwie. Nie Emilia i Cezary Zaręba. One dwie.

– Kiedy mnie pytaliście wcześniej, to akurat w tej kwestii skłamałem – zaczął tłumaczyć ojciec Marka. – Miałem ze sobą telefon, kiedy poszedłem do Cichego Lasku. Nie mogłem wcześniej się do tego przyznać, bo musiałbym powiedzieć, że spotkałem się z Adrianem, a tego nie chciałem.

– To znaczy? – zapytała Fijałkowska. Znowu bardzo gorliwie.

– Zaraz powiem. Jeśli można – dodał Cezary Zaręba. – No więc poświeciłem do środka tej studni.

Zobaczyliśmy trupy. Chciałem zadzwonić po policję. A Adrian na to, że chyba oszalałem i że będziemy mieli kłopoty. Wnioskuje, że chodziło o tę część samochodową. Ja mu na to, że tu w grę wchodzi ludzkie życie. A on tylko wyrwał mi komórkę, żebym nie mógł zadzwonić pod sto dwanaście. Powiedział mi też, że pożałuję, jeśli będę próbował zrobić coś głupiego. Albo jeśli w ogóle powiem, że on tam był. Groził mi. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Potem poszli z Gabi w stronę Lipowa. Dlatego ja pobiegłem w drugim kierunku, przez pole kukurydzy. Nie mogłem przecież biec za nimi, bo Adrian by mnie zatrzymał. A chciałem kogoś znaleźć. W ten sposób wpadłem na waszych ludzi.

Na waszych ludzi. Emilia uśmiechnęła się pod nosem. Ciekawe, czy Kopp byłaby zadowolona z tego określenia.

– Czy sądzi pan, że Adrian Lis i Gabi mogą być jakoś zamieszani w te morderstwa? – zapytała.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że nie. Oboje sprawiali wrażenie równie zaskoczonych jak ja, kiedy zobaczyliśmy, co jest w studni.

Nagle drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się. Do środka zajrzał jeden z dyżurnych.

– Są kłopoty w Głębocku – poinformował. Spojrzał prosto na Strzałkowską. – Karetka zabrała Podgórskiego. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

Emilia zerwała się z krzesła. Upadło na podłogę z głośnym trzaskiem.

SCENA 2

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 17.10.

Komisarz Jacek Sienkiewicz

Komisarz Jacek Sienkiewicz patrzył na brata spod oka. Nie mógł powstrzymać gniewu. Więcej. Czuł, jak furia narasta i narasta. Wyprowadzał go z równowagi ten dobrotliwy uśmiech znad koloratki. Wkurzały go rozbiegane oczy. Wkurzała go ta pewność siebie.

No i matka. Matka wiecznie wpatrzona w brata jak w obrazek. Edward, jej złoty chłopiec bez wad. Naczelnik nie mógł tego znieść. Cokolwiek by robił, zawsze był tym gorszym synem. Zawsze.

– Będziesz nas przesłuchiwać? – rzuciła Alicja zaczepnie.

Matka mocno się zestarzała. Sienkiewicz nie widział jej dobre kilka lat. Ostatnio chyba w dwa tysiące dwunastym, mignęła mu gdzieś w mieście. Zauważyła go, ale nie zamienili nawet słowa. Po raz ostatni rozmawiali na pogrzebie Eleonory. Dwadzieścia lat temu. Nie był gotowy, żeby to zmienić.

– Powinienem – odpowiedział cierpko.

Naprawdę powinien. Kiedy odesłał Strzałkowską i Kopp na komendę, przesłuchał raz jeszcze Jana Kowalskiego. Chciał osobiście rozeznaczyć się w sytuacji. I opóźnić ile się da rozmowę z bratem i matką. Ale dłużej się nie dało z tym zwlekać.

– Naprawdę aż tak jesteście głupi, żeby sprowadzić tu tę Pawłowską? – dodał. Mówił otwarcie. Zamknęli się w gabinecie Kowalskiego, by nikt ich nie podsłuchał. – Teraz tkwicie w środku tego wszystkiego. Znowu.

– Znowu? – odparowała matka. – Niby co masz na myśli?

Nie odpowiedział. Nagle zupełnie stracił ochotę na kontynuowanie tej rozmowy. A przecież dlatego odesłał stąd Emilię i Klementynę. Nie potrzebował teraz nadgorliwej policjantki, która ma nadzieję na awans, ani starej wygi, która żadnych nadziei już nie ma. Obie równie niebezpieczne, kiedy człowiek chciał rozegrać wszystko po swojemu.

– Jedźcie do domu. Pogadamy kiedy indziej – mruknął. – Tylko wyjdźcie stąd dyskretnie. Nie chcę, żeby ludzie gadali, że was stąd puściłem.

Opuszczenie Nowych Horyzontów ukradkiem było raczej niemożliwe. Po korytarzach kręcili się rozhisteryzowani pensjonariusze. Kilku funkcjonariuszy przeszukiwało budynek. Wszędzie ktoś był. Co tu mówić o dyskrekcji.

Matka wyglądała, jakby chciała coś dodać. Edward położył jej rękę na ramieniu.

– Chodźmy, mamó – powiedział. – Wyjdziemy przez ogród.

Sienkiewicz skinął głową. Przynajmniej do tego Edward się przyda. Zna zakamarki tej willi. Wyszedł z nimi na korytarz, żeby upewnić się, że wyszli. Patrzył, jak się oddalają szybkim krokiem.

– Puścił ich pan?

Naczelnik odwrócił się. Za nim stał mężczyzna w kowbojskich butach. Bawił się kucykiem długich brązowych włosów i przyglądał się Sienkiewiczowi świdrującym wzrokiem.

– Przesłucham ich potem.

Naczelnik zaklął w duchu. Nie wyszło to najlepiej. Jakby się tłumaczył. A tłumaczą się tylko winni. Na twarzy mężczyzny pojawił się sceptyczny uśmiech. Jakby pomyślał dokładnie o tym samym.

– Doprawdy? – rzucił pozornie lekkim tonem.

Sienkiewicz już chciał odpowiedzieć, kiedy zadzwoniła jego komórka. Idealnie się składało. Mógł spławić typa.

– Przepraszam – rzucił do faceta w kowbojkach i wyszedł szybko przed budynek, żeby odebrać

połączenie.

Dzwonił dyżurny z komendy. Najpierw poinformował o ataku Patrycji Pawłowskiej na Podgórskiego. Potem zrelacjonował, co zastali chłopaki z patrolu, kiedy zaczęli się rozglądać po laboratorium po tym, jak karetka zabrała Daniela.

– Obawiam się, że będziemy tam potrzebowali nie tylko doktora Koterskiego, ale też biegłego antropologa sądowego – zakończył relację dyżurny.

SCENA 3

Szpital w Brodnicy.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 18.05.

Weronika Nowakowska

Napijesz się czegoś? – zapytał Grzesiek. – Tam jest automat. Mógłbym kupić ci jakiś sok albo coś innego. Chyba są też ciepłe napoje. Herbata, kawa...

Weronika pokręciła głową.

– Nie, dziękuję.

Z całych sił próbowała powstrzymać łzy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Grzesiek, przyglądając jej się z niepokojem.

– W porządku? – powtórzyła powoli. – Co ty mówisz?! Pawłowska wstrzyknęła Danielowi ten swój lek! Wielką dawkę! Przez to... to coś już dwie kobiety nie żyją! Jemu też może się coś stać! Jak ma być w porządku?!

Weronika oddychała ciężko. Daniel pobiegł za Pawłowską. Nie wiedział, że miała w kieszeni strzykawkę z lekiem. Może faktycznie chciała zaatakować Chrystiana tak, jak ten twierdził.

Początkowo nie działo się nic szczególnego. Daniel zdołał przewrócić lekarzkę, a nawet ją obezwładnić i odebrać jej strzykawkę. Potem nadbiegli policjanci, którzy przyjechali do Głębozca jako wsparcie. Kiedy mieli zacząć przeszukiwać dom, Podgórski po prostu upadł na ziemię.

Pawłowska powiedziała wtedy, żeby jak najszybciej wezwali karetkę. Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. Mieli wielkie szczęście, bo karetka akurat wracała właśnie do Brodnicy po wezwaniu do jakiegoś niezbyt groźnego, jak się okazało, przypadku. Od razu przyjechali po Daniela.

Ratownicy medyczni znali Podgórskiego dosyć dobrze. Pewnie dlatego, w drodze wyjątku, pozwolili Weronice pojechać karetką razem z nimi. Jeden z policjantów jechał za nimi radiowozem. Wiózł Patrycję Pawłowską, by powiedziała lekarzom w szpitalu, co wstrzyknęła Danielowi. Drugi z funkcjonariuszy został w Głęboczku z Chrystianem Pawłowskim. Miał czekać na wsparcie. To wszystko były niestandardowe rozwiązania, ale uznali, że życie kolegi jest ważniejsze niż ewentualna kara dyscyplinarna.

Do szpitala na szczęście dotarli bez przeszkód. Daniel ani na chwilę nie odzyskał przytomności. Na miejscu od razu go gdzieś zabrano. Weroniki już tam nie dopuszczono. Mogła więc tylko czekać.

Minuty zdawały się przeciągać w godziny. Była przerażona. Nie chciała siedzieć sama. Wiera nie miała ani telefonu, ani samochodu, nie było jak ją zawiadomić, żeby tu przyjechała z Lipowa.

Wtedy Nowakowska pomyślała o Grześku. Przecież on był blisko. Został w Nowych Horyzontach. Pewnie jeszcze stamtąd nie odjechał i mógł zjawić się na Wiejskiej dosłownie w kilka minut. Z Wczasowej to był rzut beretem. Nawet na piechotę.

Weronika wykręciła numer Wilczyńskiego drżącą ręką. Bała się go, to prawda, ale w tamtej chwili było jej wszystko jedno, kto usiądzie obok. Byle nie być ani chwili dłużej sam na sam ze swoim lękiem o Daniela.

– Przepraszam – powiedział Grzesiek, przerywając jej rozmyślenia. – Rzeczywiście to było głupie pytanie.

Faktycznie nadal był w Nowych Horyzontach, kiedy Weronika do niego zadzwoniła. Zjawił się bardzo szybko. Od tamtej pory siedzieli we dwoje na szpitalnym korytarzu. Początkowo bez słowa, co Nowakowskiej odpowiadało. Dopiero teraz Grzesiek rozpoczął próby opiekuńczego pocieszania. Tego zdecydowanie nie chciała. Choć i tak wolała to niż samotne czekanie na werdykt lekarzy.

– Chciałeś dobrze – mruknęła. – To ja przepraszam. Po prostu jestem zdenerwowana.

– Jasne. Daj spokój. Nie przepraszaaj. Nie ma o czym mówić – zapewnił, machając ręką dla podkreślenia, że faktycznie nic się nie stało. – Trzeba być dobrej myśli.

Weronika nie odpowiedziała.

– Przecież Pawłowscy testowali ten lek na kilku osobach – dodał Grzesiek. – Wiem, że zabrzmi to bezdusznie, ale zmarły tylko dwie. Ksenia i Lola. I fakt faktem, że naprawdę mogły w ich przypadku zadziałać różne czynniki. Wiek, interakcje z innymi lekami i tak dalej. A nie to, że lek jest zabójczy sam w sobie i dla wszystkich. Daniel jest młodym mężczyzną. Ile on ma lat?

– Trzydzieści sześć – odpowiedziała Nowakowska głucho.

– No właśnie. Jest w sile wieku. Poradzi sobie.

Grzesiek mówił rzeczowo. To działało uspokajająco. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– A co się dzieje w Nowych Horyzontach? – zapytała Weronika, kiedy cisza zaczęła robić się nieco kłopotliwa. – Pensjonariusze uspokoili się?

Wilczyński potwierdził.

– Tak. A w ogóle to naczelnik przejął tam śledztwo. Najpierw wysłał twoje znajome z powrotem na komendę. A potem szybko zwolnił swojego brata i matkę. Kazał im jechać do domu.

– Sienkiewicz pozwolił im odjechać? – zapytała Weronika, na chwilę zapominając o zmartwieniach. – Skąd wiesz?

– Widziałem. Jak odjechałaś z Danielem, nie miałem co robić, więc siedziałem tam w holu. Chciałem się zorientować, co się dzieje.

W jego słowach pobrzmiwała lekka przygana. Weronika znowu poczuła wyrzuty sumienia. Odkąd Grzesiek przyjechał do Brodnicy, cały czas jej pomagał, a ona traktowała go podejrzliwie i wypominała stare czasy. To było niesprawiedliwe. Najwyraźniej naprawdę nie był już tym samym człowiekiem co kiedyś. Poradził sobie ze swoimi demonami. Był na odpowiedzialnym stanowisku. Pomagał pacjentom w Świeciu. Pomagał jej.

– Przepraszam – powiedziała cicho. Miała nadzieję, że zrozumiał, że tym razem chodzi o całokształt.

Grzesiek uśmiechnął się miło.

– Nic się nie stało – zapewnił. – W każdym razie postępowanie tego faceta wydaje mi się podejrzane. Chroni swoich.

– Mówisz o Sienkiewiczu?

– No tak.

– Ale co? Uważasz, że jego matka i brat mają z tymi trupami coś wspólnego?

Grzesiek wzruszył ramionami.

– Ale przecież doktor Pawłowska i jej mąż... Skoro zabili te dwie kobiety, a właściwie trzy, licząc Zośkę...

– To nie oznacza, że zabili pozostałych – przerwał Weronice psychiatra. – Może, ale nie musi. Tak samo jak zachowanie Sienkiewicza może oznaczać, że jest w to jakoś zamieszany, ale też nie musi. Na razie mamy same niewiadome.

Weronika zobaczyła, że korytarzem idzie siwowłosy lekarz. Zerwała się z krzesła.

– To jeden z tych, którzy przyjmowali Daniela – rzuciła do Grzeska i pobiegła do doktora.

– Ten to umie się pakować w tarapaty – powiedział lekarz dobrotliwie na jej widok. – Dopiero co był na oddziale i teraz znowu.

– Co z nim? – zapytała Weronika gorączkowo.

Grzesiek stanął obok niej. Naprawdę cieszyła się, że tu jest. Miała wsparcie.

– Na razie jeszcze śpi, ale wyjdzie z tego – zapewnił lekarz. – Przepraszam. Mam kolejnego pacjenta. Z tego, co wiem, policja zabrała już tę lekarzkę. O to też nie muszą się państwo martwić. Nikogo już nie skrzywdzi.

Odszedł szybko. Weronika chciała za nim iść, ale właśnie w tym momencie na korytarz wbiegła Emilia Strzałkowska. Za nią statecznym krokiem podążała Klementyna Kopp. Musiały się dowiedzieć, co zaszło, i przyjechały do Podgórskiego.

– Daniel walczy o życie, a ty obściskujesz się z tym typem – zaatakowała nieoczekiwanie Emilia, wskazując Grześka. Wyglądała na zupełnie wyprowadzoną z równowagi. – Dziwka!

Kopp uniosła brwi do góry, ale nic nie powiedziała.

– Hola, hola! – zawołał za to Wilczyński. – Może by tak pani uważała na słowa.

Strzałkowska oddychała ciężko. Weronika poczuła, że też ogarnia ją wściekłość. A może to była tłumiona wcześniej zazdrość, że Daniel wołał Emilię, a nie ją? Bo dlaczego napisałby tego oschłego esemesa rano?

– Ty mnie tak nazywasz? – rzuciła prosto w twarz policjantki. – Ty? Jeszcze masz czelność? Zostawiłaś Daniela dla Gawrońskiego. I to wtedy, kiedy Daniel najbardziej potrzebował wsparcia! A teraz...

– Nikogo, kurwa, nie zostawiłam! – przerwała jej wściekle Emilia. – Chciałam mu pomóc! Poświęciłam się, żeby mu pomóc! Ja coś konstruktywnego robiłam, kiedy ty łażyłaś i udawałaś pieprzoną harcerkę! Dziwka!

Weronika poczuła, że krew dosłownie wrze jej w żyłach.

– Przespałaś się z Danielem miesiąc przed naszym ślubem i ty mnie nazywasz dziwka?! – krzyknęła. – Doprawdy zabawne! Złodziejka mężów!

– Sama ze sobą się nie przespałam! – odparowała Strzałkowska. Zrobiła się cała czerwona na twarzy. Rumieniec ostro kontrastował z rozjaśnionymi niemal na białło włosami. – Raczej go nie wpakowałam do łóżka siłą! Śmieszna jesteś! Jakby nie chciał, toby mnie kurwa nie pieprzył!

Weronika poczuła, że więcej nie znieśie. Ruszyła w stronę Emilii wściekle. Po raz pierwszy od bardzo dawna była tak rozsierdzona. Wokół zaczęli zatrzymywać się ludzie. Najwyraźniej zwabiły ich krzyki.

– Spokojnie – szepnął Wilczyński, przytrzymując Nowakowską za ramię. – Już dobrze.

– Ja jestem matką jego dzieci! – wrzasnęła Emilia.

Zupełnie się nie przejmowała, że wszyscy na nie patrzą. Szczerze mówiąc, Weronika też miała to gdzieś.

– I co z tego?! – krzyknęła równie głośno w odpowiedzi.

– Co z tego?! Dobrze! – zaśmiała się Strzałkowska. – To ze mną pierwszą był! Nie zapominaj o tym, kurwa! Jestem matką jego dzieci! A ty niby kim jesteś?! Nikim! Rozumiesz?! Nikim! Jesteś dla niego nikim.

Nikim... Nowakowska kolejny raz pomyślała o esemesie, który Podgórski wysłał jej rano. Gniew nagle gdzieś uleciał, pojawił się smutek. Może Emilia miała rację?

– Spokojnie, Weroniko – szepnął znowu Grzesiek, przytrzymując Nowakowską za ramię. – Zostaw to. To tylko emocje. Najważniejsze, że stan Daniela jest stabilny, prawda? Zawiozę cię do domu. Chodźmy.

– Tak, uciekaj stąd! – zaśmiała się Emilia histerycznie. Prawie płakała.

Wilczyński pociągnął Weronikę korytarzem.

– Już dobrze – pocieszał ją. – Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze.

SCENA 4

Dom numer 49 nad jeziorem Forbin.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 18.05.

Komisarz Jacek Sienkiewicz

Ostrzegam, że nie wygląda to najlepiej – oznajmił szef techników.

Prokurator Ligia Więcek zatrzymała się w pół kroku. Sienkiewicz niemal na nią wpadł. Przyjechali do Głębozka, żeby obejrzyć laboratorium Pawłowskich. Lekarzę zabrano razem z Danielem, ale na miejscu został jej mąż. Chrystian Pawłowski wskazał, gdzie znajdują ciała mieszkanek Nowych Horyzontów. Potem wybiegł na dwór, niemal wymiotując. Na zewnątrz było kilku funkcjonariuszy, więc naczelnik go nie zatrzymywał. Daleko raczej nie ucieknie.

– Poza tym opary mogą być niebezpieczne – dodał Ziółkowski. Uniósł niewielką maskę przeciwgazową. – Jeśli już mają państwo tam wejść, to trzeba się zabezpieczyć.

Stali przed drzwiami do piwnicy. Na dole znajdował się pokój relaksu. Tak przynajmniej określił to Chrystian Pawłowski.

– Co tam jest? – zapytał Sienkiewicz. – Facet mówi prawdę?

Szef techników skinął głową.

– Niestety tak.

– Gdzie jest doktor Koterski? – zapytała prokurator Więcek.

– Powinien zaraz być. Kilka minut temu dawał znać, że dojeżdżają na miejsce.

Jak na zawołanie od strony wejścia usłyszeli znajomy śmiech medyka sądowego. Witął się z kimś serdecznie. Wkrótce wyłonił się zza zakrętu korytarza.

– No i co my tu mamy? – zawołał jowialnie. Zupełnie nie zwracał uwagi na ich poważne miny.

– Z tego, co słyszałem, niezły bałagan, tak?

– Dwa ciała w kąpielni z ługu – przytaknął Ziółkowski. – W jacuzzi.

– No proszę. Próbowali je rozpuścić?

– Dość skutecznie. To znaczy jedno leży tam już dłużej. Prawdopodobnie to ta starsza kobieta znana jako Lola. Tak twierdzi Pawłowski. Niewiele z niej zostało. Głównie kości, zęby i takie tam.

– Ług kiepsko radzi sobie z kośćmi i zębami wbrew temu, co pokazują czasem w serialach – zaśmiał się znowu doktor Koterski. – Tym lepiej dla nas. Jest punkt zaczepienia. Łatwiej będzie potwierdzić tożsamość ofiary. Choć nie obejdzie się pewnie bez biegłego antropologa. Żeby mieć pewność co do identyfikacji. W jakim stanie jest drugie ciało?

– Druga to niejaka Zośka – kontynuował szef techników. – Ciało wrzucono do jacuzzi niedawno, więc jest w całkiem niezłym stanie. No ale trzeba szybko je wydobyć. Jeśli oczywiście mogą coś sugerować.

Ligia Więcek odchrząknęła głośno.

– No dobrze. To wy się tym zajmijcie – powiedziała, kiedy wszyscy spojrzeli na nią. – Całe życie kieruję się prostymi zasadami: po pierwsze, podczas śledztwa założyć, że wszyscy kłamią. A po drugie, oglądanie brei z roztopionych ciał to nie jest zajęcie dla starszych pań.

Zaśmiała się dobrotliwie. Mimo to Sienkiewicz był pewien, że zeszlaby na dół, gdyby było to konieczne. Stara wyga, podobnie jak Kopp, niewiele na niej mogło zrobić wrażenie.

– Chodźmy porozmawiać z Chrystianem Pawłowskim – zaproponował naczelnik.

Wyszli na podjazd przed domem. Stały tu dwa mercedesy. Większy srebrny i mniejszy w kolorze czerwonym. Własność Chrystiana i Patrycji Pawłowskich. Przed bramą nadal parkowało błękitne subaru Podgórskiego. Trzeba będzie poprosić któregoś z chłopaków, żeby podwieźli auto do Brodnicy.

– Podobno w Nowych Horyzontach były trzy trupy – dodał. – Ksenia, Lola i teraz Zośka. W jacuzzi najprawdopodobniej mamy dwa, więc trzeba by ustalić, gdzie jest trzeci.

– Oczywiście – zgodziła się prokurator Więcek. – Jutro przesłuchamy lekarkę, Pawłowskiego możemy przepyttać już dzisiaj, skoro tu jest. Dzień jeszcze młody.

Odetchnęła głęboko. Sienkiewicz zrobił to samo. W powietrzu czuć było przyjemny zapach rozgrzanego lasu, wody i żniw. Zapach lata. To była przyjemna odmiana po dusznej atmosferze tego domu. Mimo że nie zeszli na dół, budynek zdawał się wypełniony świdującym w nosie odorem chemikaliów.

Ruszyli w kierunku muru. Większa część podjazdu wyłożona była drobną kostką. Pozostałą część zalano betonem. Może planowano rozbudowę. Chrystian Pawłowski siedział na ławce w towarzystwie umundurowanego policjanta prewencji. Sienkiewicz znał go dobrze. Leszek pracował na komendzie już prawie dwadzieścia lat. Ignorował wszelkie propozycje przeniesienia go do innego pionu. Twierdził, że lubi pracę na pierwszej linii. Fakt, pasował tam. Potrafił podejmować szybkie decyzje. Nawet jeśli czasem narażały go na standardową pogadankę.

– Zabieramy go na dołek? – zapytał.

– Jeszcze nie. Najpierw z nim porozmawiamy razem z panią prokurator.

Policjant skinął głową i odszedł w kierunku domu, zostawiając ich samych z mężem lekarki. Pawłowski siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Ruda czupryna i pokaźna broda były w zupełnym nieładzie.

– Znaleźliśmy ciała – odezwał się naczelnik. – Tam, gdzie pan wskazał.

– Mówiłem, że nie kłamię – powiedział Chrystian, podnosząc głowę. Oczywiście miał czerwone, jakby płakał albo je tarł.

– Ale tylko dwa – dodała Ligia Więcek. – Gdzie jest trzecie?

– Zakopane pod podjazdem – oznajmił Chrystian bez najmniejszego zawahania. – Potem zalane betonem.

Pokazał palcem gdzie. Sienkiewicz westchnął. Ziółek i jego ekipa będą mieli trochę roboty. Trzeba będzie to skuć.

– Początkowo nie wiedzieliśmy, że będzie więcej trupów – dodał mąż lekarki histerycznie. – Moja żona uznała, że rozpuści tę Ksenię. I w ten sposób pozbędziemy się ciała.

– Skąd taki pomysł? – zapytał Sienkiewicz.

Sprawcy pozbywali się ciał w rozmaity sposób, ale rozpuszczanie ich nie należało do najczęstszych. Może naoglądali się serialu *Breaking Bad*. Kto nie zna tej słynnej sceny z wanną? Do niej nawiązał chyba przed chwilą Koterski.

– To Patrycja wymyśliła! – zawołał Chrystian Pawłowski. – Ja się na takich sprawach w ogóle nie znam. Ona jest lekarką. Na chemii też się zna. Miała sodę kaustyczną, bo używała jej do czyszczenia laboratorium. Można taką kupić normalnie w hurtowniach i sklepach chemicznych. Nie wiem, czy pan wie? Patrycja... ona wiedziała, jak zrobić odpowiedni roztwór. Żeby... żeby to zadziało. To nie jest jak w filmach. To... to jest straszne.

Chrystian Pawłowski zaczął łkać głośno.

– No już dobrze – powiedziała Ligia Więcek, jakby była jego matką i chciała go pocieszyć.

– Tylko że zostały kości i zęby – wydusił Pawłowski przez łzy. – Musieliśmy coś z tym zrobić. Wtedy Patrycja powiedziała, że zakopamy. A żeby nikt nie znalazł, zalejemy betonem. Przecież nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby tam szukać.

Sienkiewicz usiadł obok Chrystiana na ławce.

– Zacznijmy od początku, dobrze? – poprosił najspokojniej, jak umiał.

Pawłowski skinął głową. Sienkiewicz wyjął telefon i włączył nagrywanie. Nawet taka dokumentacja się przyda.

– To niech pan opowie, co dokładnie się tu stało.

– Moja żona... ona pracuje w takiej jednej firmie farmaceutycznej. Małej. Jest współwłaścicielką. Ale Patrycja ma duże aspiracje i chciała, żeby bardziej zaistnieli na rynku. A co jest

lepsze niż lek na raka? Co da ludziom więcej nadziei? Zapłacą każde pieniądze, jeśli będzie szansa, żeby oni sami albo ich bliscy przeżyli.

Sienkiewicz skinął powoli głową. Przed chwilą widział w laboratorium wielkie lodówki wypełnione fiolkami z przezroczystym płynem. Lek. Ciekawe, co to było? Oczywiście też trzeba będzie sprawdzić. Choć pewnie tym aspektem sprawy zajmie się Bydgoszcz.

– Ta substancja miała szansę zadziałać? – zapytał z ciekawości.

– Moja żona... ona jest dobrą lekarką... ona tylko się pogubiła. Naprawdę pracowała nad tym ze swoją ekipą. Tylko że to zabiera czas i pochłania wielkie fundusze. Patrycja chciała przyspieszyć procedury i wszystko poszło nie tak, jak trzeba.

– Czyli wiedział pan, że prowadzone tu badania są nielegalne? – zapytała Ligia Więcek.

– Ja... Ja nic nie zrobiłem! Ja tylko woziłem tu ludzi! Nic więcej.

– No i pomógł pan pozbyć się ciała, nieprawdaż? – zapytał Sienkiewicz. – Przywiózł pan tu też tę ostatnią ofiarę. Jeszcze żywą. W celu pozbycia się niewygodnego świadka. Tak?

Tego naczelnik dowiedział się od Jana Kowalskiego. Zapewne Emilia i Klementyna też już to wiedziały.

– Ja... Ja nie byłem pewien, co się stanie. Moja żona odurzyła ją morfiną jeszcze w przychodni w Nowych Horyzontach. Kazała mi ją tu przywieźć. Wtasczyliśmy ją z Janem do samochodu. Nie wiedziałem, że Patrycja chce ją zabić... Ja... przysięgam...

– Ale potem nie zrobił pan nic, żeby temu zapobiec – przerwała mu Ligia Więcek. Tym razem jej ton był chłodny i metaliczny. Pocieszająca nuta zniknęła.

– Jak to się stało, że zaczęliście pozyskiwać pacjentów w Nowych Horyzontach? – zapytał Sienkiewicz. Chciał sprawdzić, czy to, co powiedział Kowalski o Edwardzie i matce, było prawdą. Od tego przecież zależało, jakie środki będzie musiał przedsięwziąć.

– Ale potraktuj mnie państwo łagodniej za to, że współpracuję, prawda? – zapytał Chrystian Pawłowski. Znowu popłakiwał. – Prawda?

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Ligia Więcek, unikając odpowiedzi.

Chrystian nieco się uspokoił. Odwrócił się do Sienkiewicza.

– To przez tego księdza, pańskiego brata. A właściwie przez pańską matkę... My... Patrycja się z nią zgadła. My też mieszkamy w Bargowie. Pani Alicja opowiadała Patrycji, jak to ksiądz Edward spowiada teraz w Nowych Horyzontach. Wtedy Patrycji zaświtał pomysł, że ośrodek dla bezdomnych to idealne źródło obiektów badań. Przecież bezdomnymi nikt się nie przejmuje. Nawet takimi, którzy mieszkają w takich luksusach jak ci w Nowych Horyzontach. Bezdomni to bezdomni. Moja żona taka jest. Od razu kalkuluje!

– I co dalej? – zapytał Sienkiewicz ostrożnie. Nie chciał, żeby prokurator Więcek zwróciła uwagę, że to go najbardziej interesuje.

– No więc moja Patrycja najpierw przekonała panią Alicję. Wiedziała, że ona ma duży wpływ na księdza Edwarda. Przekonała ich, że lek właściwie jest już prawie gotowy. Że jest skuteczny. Że to zwykła biurokracja, że nie można go jeszcze wprowadzić na rynek. A mogłyby pomóc tylu chorym. Mówiła im, że potrzeba jeszcze kilka badań. I trzeba lek przetestować na kilku osobach.

– I mój brat w to uwierzył? – zapytał Sienkiewicz.

Matka może i uwierzyłaby w te brednie. Był jednak ciekawy, czy Edward dał się tak łatwo omamić, czy też może coś na tym wszystkim ugrał dla siebie.

– Nie wiem. Chyba postanowił umyć ręce i po prostu przedstawił Patrycję Janowi Kowalskiemu. Żeby sami się dogadali.

Sienkiewicz uśmiechnął się pod nosem. To też by było typowe dla Edwarda. Zrzucać decyzję na innych. A nuż trzeba będzie wziąć za coś odpowiedzialność. Nie, na to braciszek nigdy nie był gotowy. O nie, nie.

– No i, jak rozumiem, dogadali się? – podsunęła Ligia Więcek.

– Tak. Jan twardo negocjował – powiedział Pawłowski. – Uzyskał darmowe leki dla pensjonariuszy. Patrycja zdobywała dla nich takie, którym kończył się termin przydatności. Znała

odpowiednich ludzi, więc to nie był problem. Jan zażądał też niewielkich wynagrodzeń dla uczestników badania. Głównie chodziło o to, żeby siedzieli cicho, a pieniądze potrafią zamykać usta. Przynajmniej na jakiś czas. No i wynagrodzenie dla samego Jana Kowalskiego. Za fatygę.

Naczelnik znowu skinął głową. O tym, że sam też dostał pieniądze, jakoś Kowalski zapomniał wspomnieć.

– Na jakich zasadach działało laboratorium? – zapytała Ligia Więcek.

– Jeździłem do Nowych Horyzontów i przywoziłem stamtąd jednego pacjenta na raz. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, bo wtedy tam pracował inny lekarz. Niejaki Jastrzębski. Potem było dużo łatwiej, jak Patrycja zajęła jego miejsce.

– Jak dobierano uczestników do badania? – zapytał Sienkiewicz.

– Nijak – przyznał Pawłowski, szarpiąc nerwowo włosy. – Moja żona brała wszystkich, których proponował Jan. A on z kolei chyba wybierał takich, którzy umieli trzymać język za zębami.

– Czyli nie obowiązywał żaden klucz medyczny?

Chrystian pokręcił głową.

– Żaden! Patrycja brała wszystkich. Młodych, starych, zdrowych, chorych. Ja się nie znam, ale to pewnie przez to całe nieszczęście.

– Mówi pan o śmierci tej pierwszej kobiety? – upewniła się prokurator Więcek.

– Tak. Nazywali ją Ksenia. Oni tam wszyscy mają tylko imię. Nie używają nazwisk. No oprócz Jana. W każdym razie przywoziłem tę Ksenię, by żona jej dała dawkę leku. Zamknąłem ją w laboratorium, jak zwykle. Sam wyszedłem do domu. Jak wróciłem, to ona... ona nie żyła. Patrycja wpadła w szal. Powiedziała, że musimy natychmiast pozbyć się ciała, żeby nikt nas o nic nie oskarżył. Wtedy wpadła na pomysł z jacuzzi. Dopiero potem pojechała do Jana, żeby go o wszystkim poinformować. Nie było innego wyjścia. Przecież zorientowałby się, że jego podopieczna nie wróciła. Patrycja nie chciała ryzykować, że Jan zawiadomi policję, zanim ciało rozpuści się dostatecznie. Zaszantażowała go. Powiedziała, że będzie współwinny. Siedział cicho.

Chrystian przerwał monolog i oddychał ciężko.

– Dlaczego nie przerwaliście tego... badania?

– Ja chciałem! Patrycja nie chciała nawet o tym słyszeć. Uważała, że to był nieszczęśliwy zbieg okoliczności, więc kontynuowaliśmy pracę. Ale to samo stało się z tą łysą staruszką. Z tą Lolą. No i Jan już nie umiał opanować paniki wśród pensjonariuszy. I ta Zośka zaczęła gadać... i... No i resztę już państwo wiedzą. Przywoziłem ją tu...

Sienkiewicz skinął głową.

– Proszę opowiedzieć o tym, co tu stało się przed chwilą. O ataku na funkcjonariusza.

– On tu przyjechał z tą rudą kobietą. Zobaczyłem ich w kamerze naszego monitoringu, kiedy ja i Patrycja zajmowaliśmy się Zośką. Straciłem głowę. Pomyślałem, że wszystko wyjdzie na jaw, i zamierzałem się poddać. Patrycja nie chciała oczywiście o tym słyszeć. Chwyciła strzykawkę z lekiem i próbowała mnie zaatakować. Krzyczałem o pomoc. Udało mi się wcisnąć przycisk otwierania bramy i uciec na podjazd. Oni już wbiegli do środka. Poczuję się bezpieczniej, że nie jestem sam. Patrycja schowała strzykawkę do kieszeni. Próbowiła ich przekonać, że dostałem hysterii. No i potem sami zobaczyli, że nie! Wstrzyknęła ten lek policjantowi. Czy z nim wszystko w porządku? Przeżył?

Sienkiewicz nie miał jeszcze żadnych wieści ze szpitala. Zadzwoni do chłopaków i się dowie, co z Danielem, jak tylko skończą rozmawiać z Pawłowskim.

– Patrycja to potwór! – zawołał Chrystian. – Potwór! To wszystko jej wina!

– Valentine Blue w Świeciu też wy załatwiliście? – zapytał naczelnik.

Jan Kowalski twierdził, że ta dziewczyna ciągle podsłuchiwała. Skoro zabili Zośkę, prawdopodobnie pierwszego niewygodnego świadka też postanowili wyeliminować. Ciekawe tylko, jak to zrobili.

Pawłowski zaczął ochoczo kiwać głową.

– To też Patrycja!

Najwyraźniej Chrystian obrał strategię zrzucania winy na żonę. Później trzeba będzie oddzielić

ziarno od plew.

– Jak? – zapytał Sienkiewicz.

Pawłowski zawahał się.

– Zleciła to komuś – powiedział w końcu. – Nie znam szczegółów.

Kłamał. Sienkiewicz był tego pewien. Uznał jednak, że nie będzie się tym teraz zajmował.

Przyjdzie na to czas.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – powiedziała powoli prokurator Więcek. – Dlaczego zabili państwo Celinę Krawczyk, Harolda Dębowskiego, Berenikę Borkowską i Wojciecha Majewskiego?

Chrystian Pawłowski otworzył szeroko oczy.

– Co?! Nie! Nie, nie! Z tym nie mamy nic wspólnego. Ani ja, ani Patrycja. Ale na pewno potraktują mnie ulgowo za to, że poszedłem na współpracę?

– Zabiliście moją żonę? – zapytał Sienkiewicz ostro zamiast odpowiedzi.

Chrystian wyglądał, jakby nie rozumiał.

– Dwadzieścia lat temu – dodał więc naczelnik. – Zabiliście Eleonorę?

Na twarzy Pawłowskiego pojawił się błysk zrozumienia.

– Ależ oczywiście, że nie! – zawołał. – Nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Przecież już dawno uznano to za wypadek. Te insynuacje wobec nas... To niedorzeczne, że ktokolwiek w ogóle posłuchał wtedy tego dzieciaka.

Sienkiewicz miał ochotę powiedzieć, że niestety nikt tego dzieciaka nie posłuchał. I to był duży błąd. Gdyby ktokolwiek poświęcił więcej czasu na rozmowę z Wojtkiem Majewskim w dziewięćdziesiątym szóstym, może udałoby się uniknąć tragedii teraz.

– Nie zabiliśmy ani tych ludzi, ani pana żony! Naprawdę. Ale... – Chrystian zawahał się.

– Ale?

– Ale czy pan wie... Skoro już pan pytał o księdza Edwarda. Pański brat był tam wtedy na przyjęciu.

Sienkiewicz spojrzał na Chrystiana Pawłowskiego uważnie. O czym on mówił? Edward nigdy nie wspomniał, że był wtedy w Zbicznie. Nigdy.

– Na przyjęciu? – zapytał naczelnik powoli.

Mąż lekarki skinął głową.

– Tak. Tamtej nocy, kiedy zginęła Eleonora. Kłócili się! Słyszałem! Może to jego powinien pan zapytać, co się wtedy stało!

SCENA 5

Dworek Weroniki w Lipowie.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 20.00.

Weronika Nowakowska

Igor wyskoczył z samochodu i pobiegł radośnie w kierunku padoków. W drodze powrotnej ze szpitala odebrali psa od Wiery. Przyjaciółka nie czuła się najlepiej, więc nie zostali zbyt długo. Trzeba było dać jej odpocząć. Poza tym Weronika też nie była w nastroju na pogaduszki. To był dzień obfitujący w emocje, a awantura z Emilią jeszcze bardziej Nowakowską przygnębiła.

– Chodźmy do środka – zaproponował Grzesiek. – Zrobię kolację.

Na dworze było już prawie zupełnie ciemno. Letnie dni nadal były długie, ale słońce schowało się za ścianą drzew. Na obrzeżach lasu mrok zapadał teraz szybciej.

– Muszę sprowadzić konie do stajni – powiedziała Weronika.

Była zmęczona i nie miała na nic ochoty, ale Lancelot i Kofi cały dzień spędzili na padoku. Poskubali świeżej trawy, pora było dać im owsa.

– Pomogę ci – zaoferował się Grzesiek.

Zerknęła na niego. Zawsze nosił kowbojki, ale wątpiła, żeby kiedykolwiek zajmował się końmi. Mimo to nie miała siły oponować.

– Dzięki – rzuciła więc tylko.

– Przynieść te linki, żeby ich prowadzić?

– Uwiązy – zaśmiała się Weronika. – Tak to się nazywa.

– Niech będą uwiązy.

– Ja zaraz przyniosę i sprowadzimy konie do stajni. Poczekaj tu.

– Okej.

Zapaliła lampę wiszącą nad drewnianymi wrotami stajni. Z miejsca zaczęły wokół niej tańczyć ćmy. Igor wbiegł do środka w radosnych podskokach. Wpadł na poukładane przy boksach kostki siana i przewrócił widły.

– Ależ ty się ekscytujesz, piesku – zaśmiała się Weronika. Zwierzaki zawsze poprawiały jej nastrój. Może Grzesiek miał rację i wszystko jakoś się ułoży.

Podniosła widły. Oparła je o ścianę przy wejściu i wzięła dwa uwiązki z haka przy boksie. Wyszła z powrotem na dwór. Igor popędził za nią, merdając złotym ogonem.

– Ty weźmiesz Lancelota – powiedziała, podając jeden z uwiązków Grześkowi. – On jest starszy i spokojniejszy.

Wilczyński wziął od niej linkę. Pociągnął z dwóch stron, jakby próbował, czy sznur wytrzyma.

– Niezła lina – ocenił.

– Konia na pewno utrzyma – zażartowała Weronika. – Nie martw się. Jakby co, to po prostu puść uwiąz i tyle. Dobrze? Lancelotowi raczej nie w głowie teraz ucieczki. Kofiemu zresztą też. O tej porze interesuje ich tylko kolacja.

Konie ustawiły się przy wyjściu na padok. Czekały, żeby zaprowadzono je do stajni. Wieczorny rytuał. Jednak zamiast ruszyć na padok, Grzesiek zrobił krok w stronę Weroniki. Uśmiechnął się. Nowakowska poczuła, jak uśpiony na chwilę niepokój wraca. I to ze zdwojoną siłą.

– To co? – zapytała, starając się ukryć nerwowość. – Idziemy?

Kiwnęła głową w stronę tonącego w mroku trawiastego wybiegu. Grzesiek zrobił jeszcze jeden krok. Objął ją delikatnie i pocałował czule w policzek.

– Grzesiek... – zaczęła.

Znowu ją pocałował.

– Przestań. Proszę. Ja... Ja nadal kocham Daniela i...

Po twarzy Grześka przebiegł grymas. Jakby coś w nim ostatecznie pękło. Przyciągnął ją mocniej do siebie. Próbowła się wyrwać, ale nie puszczał.

– Ratunku! – krzyknęła najgłośniej, jak umiała. – Ratunku!

To oczywiście było bezcelowe. Jej dworek leżał spory kawał poza wsią. Jeśli ktoś akurat nie szedł szosą w kierunku jeziora, nikt wołania i tak nie usłyszy.

– Przestań krzyczeć – rozkazał Grzesiek. – I to już.

Zaczął pchać Weronikę do stajni. Próbowła się wyrwać, ale był silniejszy. Nagle do stajni wbiegł Igor. Warknął ostrzegawczo. To było tak niespodziewane, że Nowakowska przestała się wrywać. Chyba pierwszy raz w życiu słyszała, żeby jej poczciwy golden retriever warczał.

– Spierdalaj! – krzyknął psychiatra do psa. Nadal jej nie puszczał.

Igor odbił się tylnymi łapami i skoczył na Wilczyńskiego, kłapiąc zębami. Grzesiek pchnął Weronikę na ziemię. Upadła na tę samą rękę co wczoraj w Głębocku. Piekący ból buchnął z nową siłą. Przez chwilę nie mogła złapać tchu.

Jak przez mgłę widziała, że psychiatra chwytą oparte o ścianę widły.

SCENA 6

Bargowo.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 20.15.

Komisarz Jacek Sienkiewicz

Sienkiewicz otworzył drzwi plebanii i przepuścił prokurator Ligię Więcek. Skinęła mu głową w podzięcie. Tak naprawdę to on był jej wdzięczny. Przyjechała z nim przecież do Bargowa mimo późnej pory. Co więcej, w drodze z Głębozka nie zarzuciła mu, że stosuje taryfę ulgową wobec swojej rodziny.

Wcześniej naczelnik postanowił, że na razie nie przesłucha brata i matki. Po wysłuchaniu Chrystiana Pawłowskiego zmienił zdanie. Czuł, że musi się dowiedzieć, co zaszło w dziewięćdziesiątym szóstym i czy to ma jakiś związek z morderstwami, których sprawców usiłowali teraz ustalić.

Co więcej, chciał to załatwić oficjalnie. Żeby nikt, nie tylko Klementyna Kopp, nie mógł mu zarzucić, że gra jakąś komedię i wykorzystuje swoje stanowisko. Dlatego poprosił prokurator Więcek, żeby z nim pojechała. Zgodziła się, nie pytając o nic.

– Dobry wieczór – powiedziała matka. Pozornie przyjaznemu tonowi przeczył piorunujący Sienkiewicza wzrok. – Przyznam, że twój telefon mnie zaskoczył. Myślałam, że masz choć tyle serca, żeby dać nam odetchnąć po tych wszystkich przeżyciach. Nie jestem już pierwszej młodości.

– Cóż, to ja nalegałam na rozmowę jeszcze dzisiaj – skłamała gładko prokurator Ligia Więcek. – Bardzo mi przykro, że jest pani zmęczona, ale śledztwo dotyczy wielokrotnego morderstwa. Więc...

Nie dokończyła. Ligia również mówiła z pozorną grzecznością, ale w jej głosie pojawiła się delikatnie ostrzejsza nuta. Nie było wątpliwości, że to ostrzeżenie. Alicja najwyraźniej to zrozumiała, bo nic więcej nie powiedziała. Spojrzała tylko znowu na Sienkiewicza.

Naczelnik przełknął ślinę. Aż dziw, jak bardzo to nadal jest bolesne. Odrzucenie przez matkę. Był już w takim wieku i widział takie rzeczy, że nic nie powinno go wyprowadzać z równowagi. A jednak. Pełen nieskrywanej pogardy wzrok Alicji bolał równie mocno jak w dzieciństwie.

– No cóż... Zapraszam do salonu – odezwał się Edward.

Brat nie miał teraz na sobie ani sutanny, ani koloratki. Wyglądał jak najzwyczajniejszy sześćdziesięciolatek. Dotąd stał bez słowa, niemal ukryty za matką. Sienkiewicz poczuł złośliwą satysfakcję. Już za chwileczkę złoty synek mamusi będzie musiał wytłumaczyć się z kilku spraw.

– Bardzo pięknie się tu państwo urządzili – zauważyła Ligia Więcek, rozglądając się po pomieszczeniu.

Sienkiewicz zrobił to samo. Salon na plebanii zmienił się nie do poznania. Kiedy ostatnio tu był, w salonie stały ciężkie, stare meble. Teraz był urządzone według najnowszych trendów. Wolał chyba to, co było wcześniej. Obecne wnętrze niepokoiło nowoczesnym chłodem stali i chromów.

Usiedli na kanapie. Zapadło milczenie. Matka o dziwo nie zaproponowała nic do jedzenia ani do picia. Edward też się nie kwapił do okazania gościnności. Oboje zdawali się spięci. Pewnie marzyli o tym, żeby Sienkiewicz i prokurator Więcek jak najszybciej sobie poszli. Niedoczekanie.

– Co robiłeś na przyjęciu u Kołodzieja? – zapytał naczelnik, włączając nagrywanie w telefonie.

Pierwotnie planował zacząć od bieżących spraw. Teraz nie mógł się powstrzymać, żeby nie poruszyć najpierw najbardziej palącej kwestii.

– O czym ty mówisz? – mruknął Edward.

– Dobrze wiesz, o czym mówię.

Brat wpatrywał się w Sienkiewicza, milcząc, po czym odwrócił wzrok. Sięgnął nieco nerwowo do szyi. Jakby szukał koloratki. Naczelnik nie zamierzał mu niczego ułatwiać. Uznał, że go przetrzyma.

– Domyślam się, że chodzi ci o przyjęcie u Lecha Kołodzieja – skapitulował wreszcie Edward. –

W dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy zginęła Nora.

– Eleonora – poprawił go Sienkiewicz. – I tak, dobrze się domyślasz.

– Nie było mnie tam.

– Oczywiście, że Edwarda tam nie było – włączyła się do rozmowy matka. – Był tu na plebanii razem ze mną. Dopiero rano dowiedzieliśmy się o tym tragicznym wypadku.

Sienkiewicz zaśmiał się cicho. Matka zawsze broniła brata. Zawsze i za wszelką cenę.

– Tragicznym wypadku? – powiedział sarkastycznie. – Bo jeszcze uwierzę, że śmierć Eleonory nie była ci na rękę.

Ligia Więcek taktownie milczała, choć może pomyślała, że naczelnik niepotrzebnie daje się ponieść emocjom. W tej chwili niewiele go to obchodziło. W życiu każdego nawet najbardziej opanowanego człowieka zdarza się taki moment.

– Oskarżasz mnie o coś, Jacku? – syknęła Alicja.

Sienkiewicz postanowił nie odpowiadać. Teraz chodziło mu o Edwarda. Odwrócił się do brata.

– Chrystian Pawłowski cię widział – poinformował go. Pieprzyć tajemnice i co tam jeszcze. – Proszę więc, żebyś nie kłamał.

– Nie przyszło ci do głowy, że to Pawłowski może kłamać? – zapytał Edward. Głos lekko mu drżał, a więc naczelnik najwyraźniej trafił w samo sedno.

– I kłamał, że ty zapoznałeś jego żonę z Janem Kowalskim? I sprowadziłeś tę lekarzkę do Nowych Horyzontów.

– W tej sprawie nie kłamał – przyznał Edward nieoczekiwanie.

– Wiedział pan zatem o tym, że Patrycja Pawłowska testuje na pensjonariuszach niedopuszczone do obiegu leki? – wtrąciła się Ligia Więcek.

– Wiedziałem – przyznał znowu brat. – Przekonała mnie, że jej badania mogą pomóc ludziom. Że omija zwykłą biurokrację. Uwierzyłem jej. Patrycja jest lekarzem. Złożyła przysięgę. Dlatego uznałem, że leży jej na sercu tylko i wyłącznie dobro pacjentów. Być może byłem głupi. Zresztą ostateczna decyzja i tak należała do Jana. Nie do mnie.

Sienkiewicz zaśmiał się głośno. Edward oczywiście musiał zrzucić na kogoś winę. Nie byłby sobą, gdyby tego nie zrobił.

– I nie wiedziałeś nic o tym, że Ksenia umarła? A potem Lola?

Wyglądało na to, że Edward się waha.

– Ludzie coś mi wspomnieli – przyznał w końcu, wzdychając. – Tylko że to było podczas spowiedzi. Obowiązuje mnie tajemnica.

– Nawet jeśli chodzi o czyjeś życie? – zapytała Ligia Więcek.

– Któż nie błądzi – szepnął sentencjonalnie ksiądz.

– Dobrze powiedziane – rzucił naczelnik ironicznie. – Zwłaszcza ty powinieneś coś na ten temat wiedzieć, nieprawdaż?

Edward spojrzął na brata. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz.

– To prawda. Zdarzało mi się zbłądzić nieraz. Prawdą jest, że przedstawiłem Patrycję Pawłowską Janowi. Poleciłem ją. I Jan zgodził się z nią współpracować. Tak więc to moja wina. Przynajmniej do pewnego stopnia. Przyznaję. Prawdą jest też, że domyślałem się, że coś poszło nie tak, kiedy Ksenia zniknęła, i nic nie zrobiłem. Ale na przyjęciu tamtej nocy nie byłem. Chrystian Pawłowski kłamie.

Brat mówił pewnym tonem. Naczelnik skłonny był mu nawet uwierzyć. Wbrew sobie.

– Oczywiście, że Pawłowski kłamie – włączyła się matka. – Byłeś tu ze mną na plebanii. Nigdzie nie wychodziłeś.

– Choć chyba domyślałem się, co mogło rozpocząć ciąg tych wszystkich zdarzeń – dodał Edward, ignorując ją. – To znaczy tego, co się wydarzyło teraz.

SCENA 7

W drodze do Lipowa.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 20.00.

Klementyna Kopp

Jechały w milczeniu. Kopp wcale się temu nie dziwiła. Na miejscu Strzałkowskiej zapadłaby się ze wstydu pod ziemię. Miłość, pomyślała z lekką goryczą Klementyna. Miłość pozbawia człowieka wszelkiej dumy. Zostawia tylko czerwone uszy i piekący wstyd. A czasem coś jeszcze gorszego.

Zerknęła na Emilię. Mysia policjantka jakby zapadła się w siedzenie pasażera. Wyglądała uparcie przez okno. Pofarbowane na białą włosy były w zupełnym nieładzie. Zrobiony naprędce makijaż rozmyty. Mundur pomięty. Obraz nędzy i rozpacz.

Klementyna uśmiechnęła się do siebie. Sama miała przecież za sobą zenujący incydent z kwiecistą sukienką. To było kilka lat temu podczas dochodzenia w sprawie Mordercy Dziewic. Przez cały dzień chciała Strzałkowską przed czymś takim ostrzec. Ale! Jakoś ciągle nie było okazji.

Cóż. Były *kobiety-poneżne* i były takie jak one dwie. *Takie-jak-one-dwie* mogły próbować do woli udawać te pierwsze. Ale! To nigdy się nie udawało. Lepiej było to w porę zaakceptować niż wdawać się w bójki ze sobą ku uciesze gawiedzi.

– Dzięki, że mnie podwozisz – odezwała się nieoczekiwanie Emilia. – Wiem, że ci to zupełnie nie po drodze.

Nie-po-drodze. Oczywiście, że to było Klementynie nie po drodze. Mieszkała dziesięć minut od szpitala. Na piechotę. Ale! Co miała zrobić, co? Marek Zaręba przyjechał wprawdzie do szpitala odwiedzić Daniela. To było już po niezbyt fortunnym incydencie z Weroniką. Zaproponował, że odwiezie Strzałkowską do domu.

Kopp z miejsca uznała to za zły pomysł. Po takiej awanturze mysia policjantka zdecydowanie potrzebowała kobiecego towarzystwa. Nawet jeśli to mogła być tylko Klementyna. Dlatego Kopp postanowiła wziąć skodę i zawieźć Emilię do domu. Mimo że powinna wrócić do Dawida i Marty. Znowu nie poświęcała im czasu.

– Matko, zrobiłam z siebie kompletną debilkę – szepnęła Strzałkowska.

Kopp skręciła z szosy na Olsztyn w drogę prowadzącą obok ośrodka wypoczynkowego UMK. Uznała, że dojadą do Lipowa od strony lasu. Na miejscu Emilii wołałaby teraz nie jechać przez wieś. Nie ze śladami łez na policzkach.

– Kompletną debilkę – powtórzyła Emilia zrezygnowanym tonem. – Mam tego wszystkiego dosyć.

Klementyna westchnęła. Nie była dobra w te klocki. Najchętniej milczałaby do końca podróży. Przejechały w ciszy kolejne trzy kilometry, a ona nadal ze sobą walczyła.

Wjechały na leśną drogę, minęły zjazd do ośrodka wczasowego Słoneczna Dolina i dalej do Bropolu. Kopp zmagala się ze sobą. Naprawdę ciężko było powiedzieć to, co chciała.

– Słuchaj... – zaczęła powoli.

– Nie chodzi tylko o tę zenującą kłótnię w szpitalu – przerwała jej Strzałkowska, jakby tylko czekała, aż Klementyna się odezwie i przerwie milczenie. – Rano też zrobiłam z siebie idiotkę. Nie wiem, co ja myślałam! Wysłałam Weronice esemesa...

– Spoko. Ale! Niezbyt mnie interesuje, co dokładnie zrobiłaś – przerwała jej Klementyna. Naprawdę nie była gotowa na więcej wynurzeń. – Zresztą szczerze to to nie ma wielkiego znaczenia. Natomiast powiem ci jedno. Jak starsza koleżanka młodszej. Czasem warto powalczyć o uczucia. Nawet jeśli to oznacza, że ryzykujesz, że się zbłaźnisz albo poczujesz się zraniona. W przeciwnym razie

skończysz jak ja.

No i proszę. Powiedziała to. I nawet nie poszło źle.

– Pomarszczona i wydziarana? – próbowała chyba zażartować Strzałkowska.

– Samotna.

Samotna. Od śmierci Teresy Klementyna tak właśnie się czuła. Już zanim ją poznała, było tak samo. Może trochę na własne życzenie. Czasem miała wrażenie, że jest jak dzikie zwierzę, które z jednej strony chciałoby zostać udomowione, a z drugiej bardzo się tego boi.

Z przodu nadjeżdżał jakiś samochód. Oślepił Klementynę światłami. W lesie zapadał już zmrok, więc wydawały się mocne i ostre.

– To chyba był ten facet od Weroniki – powiedziała Emilia. Obie zdaje się odczuły ulgę, że nie muszą kontynuować poprzedniego wątku. Co za dużo, to nie zdrowo. – Pewnie ją odwiózł i teraz wraca. Bo jechał sam.

– Spoko.

– Wyszadziłabyś mnie pod dworkiem Weroniki? – zapytała nieoczekiwanie Strzałkowska. – Przeproszę ją za te głupoty w szpitalu i powiem, co zrobiłam rano. Nie chcę tego tak zostawić. To bez sensu.

– Spoko – powtórzyła Klementyna.

Były już prawie na skraju lasu. Kopp włączyła kierunkowskaz i skręciła w lewo, w gruntową drogę prowadzącą do dworku. Widać go już było na szczycie wzgórza. Światła były pogaszone. Palily się tylko lampy w stajni. Konie biegały po padoku w zwariowanym galopie, jakby je coś spłoszyło.

– Dziwne – mruknęła Emilia.

Kopp przytaknęła. Brama była otwarta, więc wjechały na teren gospodarstwa Weroniki.

– Tam w stajni – syknęła Emilia.

Wyskoczyły z samochodu i podbiegły w tamtą stronę. Na progu leżało ciało psa. Widły sterczały z jego boku jak w jakiejś makabrycznej inscenizacji.

SCENA 8

Bargowo.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 20.30.

Komisarz Jacek Sienkiewicz

Choć chyba domyślam się, co mogło rozpocząć ciąg tych wszystkich wydarzeń – powiedział Edward. – To znaczy tego, co się wydarzyło teraz.

– Doprawdy – mruknął Sienkiewicz. – Chcesz nam zaserwować jakąś wymyślną historyjkę, żeby odwrócić uwagę od siebie?

– Ale musiałbym zdradzić tajemnicę spowiedzi – powiedział Edward, ignorując słowa naczelnika. – To nie jest dla mnie łatwe. Przysięgałem, że tego robić nie będę, kiedy składałem...

– Doprawdy – zaśmiał się Sienkiewicz. – Ty i niełamanie przysięg.

To było chyba najmniej profesjonalnie przeprowadzone przesłuchanie w jego karierze. Prokurator Więcek nadal nie interweniowała. Może dlatego, że znali się od lat. Był jej wdzięczny za tę powściągliwość.

– Możesz się śmiać, Jacek, ale dla mnie to ważne. Ktoś mi zaufał, a ja to zaufanie zawiodę, mówiąc wam o tym.

Sienkiewicz znowu miał ochotę się zaśmiać. Powstrzymał się jednak. Chciał zachować chociaż pozory profesjonalizmu.

Matka podeszła do Edwarda i objęła go czule. Tak, tak. Jej biedny złoty chłopiec. Uosobienie wszelkich cnót.

– Jan Kowalski przez lata spotykał się z Haroldem Dębowskim – oznajmił ksiądz, odsuwając od siebie matkę.

Sienkiewicz nie krył zaskoczenia.

– Brat Eleonory? Z Janem Kowalskim z Nowych Horyzontów?

– Jo.

– Masz na myśli, że...

– Sypiali ze sobą – przerwał mu brat. – Byli parą. Przez lata.

– Jowita wiedziała? – zapytał Sienkiewicz. Podejrzewał, że to było nieuniknione, skoro romans jej męża mógł trwać tak długo. Takie rzeczy się czuje.

– Nie wiem. Być może się domyślała.

Homoseksualny romans męża. Dobry motyw zabójstwa, przebiegło Sienkiewiczowi przez myśl.

– Zdaje się, że twoi ludzie ustalili już, że żona i córka Harolda Dębowskiego miały alibi na czas jego śmierci, tak? – upewniła się Ligia Więcek. Być może pomyślała o tym samym.

Sienkiewicz skinął głową.

– Tak. Była z nimi Weronika Nowakowska i jej partner. Nie mogły zabić Harolda.

– Jan i Harold ukrywali swój związek latami – podjął opowieść Edward. Wyglądał na zamyślonego. Jakby zupełnie nie zauważył wymiany zdań pomiędzy Sienkiewiczem a prokuratorem Więcek. – Rodzina Dębowskich nigdy by takiego związku nie zaakceptowała. Pamiętasz, jacy byli konserwatywni. Zwłaszcza stary Dębowski.

– Ojciec Nory był przykładowym parafianinem – wtrąciła się Alicja. – Oczywiście, że by czegoś takiego nie zaakceptował. To wbrew naturze.

Sienkiewicz zerknął na matkę. Miał ochotę przypomnieć jej, że żyją w dwudziestym pierwszym wieku, a nie w średniowieczu. Zrobiła się czerwona na twarzy, jakby głęboko całą sprawę przeżywała. Postanowił więc nie wchodzić z nią w polemikę w kwestii orientacji seksualnych. To zupełnie nie miało

sensu. Mogło tylko spowolnić ustalenie najważniejszych faktów. Co takiego wiedział Edward?

– To jak w Sodomie – szepnęła jeszcze matka nadal wyraźnie rozemocjonowana. – Wbrew Biblii.

Może chodziło jej nie tylko o homoseksualizm, ale i o zdradę? Może brała to tak bardzo do siebie, bo znowu pomyślała o Edwardzie i Norze? Całe życie odsuwała tę niewygodną prawdę. Nawet kiedy Sienkiewicz postanowił wziąć na siebie wychowanie Michałka. Chyba nie mieściło jej się w głowie, że jej złoty chłopiec mógł popełnić taki grzech. Wolała wmawiać sobie, że wnuk jest synem Jacka.

– I to ma jakiś związek ze śmiercią Harolda teraz? – zapytał naczelnik, żeby skierować rozmowę z powrotem na interesujące go tory. – I pozostałej trójki?

Edward wzruszył ramionami. Niby niedbale, ale czaiło się w tym zdenerwowanie.

– Może.

– Mógłby pan rozwinąć myśl? – poprosiła uprzejmie prokurator Więcek.

– Ta nastolatka, która była wolontariuszką w Nowych Horyzontach, podsłuchiwała ich kłótnię. A właściwie kłótnię podsłuchiwała niejaka Valentine Blue i powiedziała jej o tym. Valentine ciągle podsłuchiwała.

– Nastolatka? Mówi pan o Berenice Borkowskiej? – uściśliła Ligia. – Zwanej również BiBi?

– Tak. Myślę, że właśnie od tej kłótni mogło się zacząć. I od tego, że Berenika się od niej dowiedziała. Ta Valentine Blue nie była w Nowych Horyzontach długo. Nie uważała Jana za boga, jak wielu, którzy tam mieszkają. Kowalski był guru dla Bereniki, mimo że dziewczyna przeciwko wszystkim się buntowała. Valentine ciągle jej dogadywała, że on nie taki znowu święty. Wyszukiwała wady u Jana. Jak podsłuchiwała tę kłótnię, od razu o niej Berenice doniosła. Berenika mocno to przeżyła. Wydaje mi się, że się trochę w Janie podkochiwała. Jak to nastolatka.

Sienkiewicz nie zamierzał prostować, że Berenika była związana z Cezarym Zarębą. Tak naprawdę to się przecież nie wykluczało. Młode dziewczyny często przeżywają rozmaite miłostki.

– Co to była za kłótnia? – zapytał, porzucając te rozważania. Być może wreszcie zbliżali się do sedna całej sprawy.

– Stary Dębowski, ojciec Harolda i Nory, zmarł w tym roku. Jakies dwa tygodnie temu – wyjaśnił Edward. – Wiedziałeś?

Sienkiewicz skinął głową. Owszem, wiedział. Pogrzeb odbył się piętnastego lipca. Harold go poinformował. Naczelnik nie czuł wielkiego przywiązania do rodziny zmarłej żony. Wydawało mu się jednak, że nie wypada nie pójść. Mimo że nie widział teścia od śmierci Nory i Michałka w dziewięćdziesiątym szóstym.

– Jaki to ma związek z morderstwami?

– Nie przerywaj mi ciągle, to ci powiem.

Przez chwilę Sienkiewicz i Edward mierzyli się wzrokiem. Spojrzenie brata było trudne do rozszyfrowania.

– Mów – poprosił w końcu naczelnik. Za starzy byli na pojedynki spojrzeń.

– No więc w tym roku stary Dębowski zmarł. Na Harolda wreszcie przeszedł cały majątek. Nie musiał już obawiać się wydziedziczenia. Mógł robić, co chce i z kim chce. A chciał zostawić Jowitę i oficjalnie związać się z Janem.

– To wbrew Biblii – syknęła Alicja.

– No więc dzień po pogrzebie – podjął Edward, ignorując słowa matki – Harold przyszedł do Nowych Horyzontów w radosnym nastroju. Chciał oznajmić Janowi, że nadszedł koniec ukrywania się, że teraz będą razem. Tyle że Jan poznał kogoś innego. Kobietę. Nie chciał być z Haroldem. Może nigdy go nie kochał, a chodziło mu tylko o pieniądze, które od niego latami dostawał na Nowe Horyzonty? Gadki o tym, że liczni bogaci sponsorzy wspierają ośrodek, to fikcja. Ośrodek utrzymuje się głównie dzięki pieniądząm Dębowskich. Reszta darczyńców wpłaca datki okazjonalnie. Harold oczywiście poczuł się zraniony i zdradzony reakcją Jana. Padło wiele przykrych słów. Między innymi to, że Janowi chodziło wyłącznie o pieniądze. Harold zarzucił mu nawet, że zabił Norę, żeby nie odziedziczyła majątku. Harold miał być jedynym dziedzicem, by mógł otwierać chętnie kiesę dla Jana.

Edward przerwał monolog, rozprostował palce. Strzeliło mu głośno w stawach.

– Valentine Blue powiedziała Berenice o tych oskarżeniach. Przedstawiła Jana jako chciwego mordercę. Jak wspomniałem, Berenika bardzo to przeżyła. Uważała Jana za człowieka bez skazy. Może jedyne w jej życiu. Chciała rozwikłać tę sprawę. Udowodnić, że to oszczerstwa.

– Kiedy to było? – zapytał Sienkiewicz.

– Ta kłótnia?

– Tak.

– W sobotę. Już wspomniałem, że Harold poszedł do Jana następnego dnia po pogrzebie. Czyli to było nie w ten weekend, ale w zeszły.

Sienkiewicz podrapał się w zamyśleniu po brodzie. Zaledwie kilka dni przed feralną środą dwudziestego lipca, kiedy zginęły Celina Krawczyk i Berenika Borkowska.

– Skąd ksiądz o tym wie? – zapytała Ligia Więcek.

– Już mówiłem. Usłyszałem to podczas spowiedzi Jana i Harolda. No i połączyłem fakty w całość.

– A te informacje o Berenice Borkowskiej? – dopytywała się prokurator Więcek. – Ona też się u księdza spowiadała?

Edward odwrócił się do Alicji.

– Mamo, zaschło mi w gardle od tego mówienia. Przyniosłabyś mi trochę wody?

– Oczywiście.

– Nie. Berenika się u mnie nie spowiadała – podjął Edward, kiedy matka już wyszła z saloniku.

– Ale... Cóż, jej wersję wydarzeń znam akurat od Celiny Krawczyk.

Sienkiewicz spojrzął na brata zaskoczony.

– Od Celiny Krawczyk? Jak to? Myślałem, że jesteście skłóceni.

Edward westchnął głośno.

– Niezupełnie.

SCENA 9

Szosa w lesie.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 20.30.

Weronika Nowakowska

Samochód podskoczył na wyboju. Przez poobijane ciało Weroniki przebiegł dreszcz piekącego bólu. Leżała z podkulonymi kolanami na tylnej kanapie samochodu Grześka. Ręce i nogi miała skrzepowane końskimi uwiązami. W usta psychiatra wepchnął jej starą szmatę znalezionej gdzieś na podłodze w stajni. Czuła na języku mdławego posmak smaru, którym czyściła wczoraj rano siodła. Próbowwała krzyczeć, jednak knebel sprawiał, że brzmiało to jak niewyraźny szept.

Ale nie to było wcale najgorsze. Nie mogła przestać płakać. Nie ze strachu o siebie, nie z bólu, który przeszywał jej ciało przy każdym ruchu. Przed oczami miała moment, kiedy Grzesiek chwycił widły i zabił Igora. Pies próbował jej bronić i...

Załkała. Golden był najbardziej niewinną, kochającą istotą pod słońcem. Nigdy jej nie zawiódł. Nigdy. A w momencie ostatecznej próby stanął w jej obronie. A Grzesiek wbił w niego widły. Tak po prostu. Weronika nie mogła znieść tej myśli. Obraz śmierci czworonożnego przyjaciela ciągle powracał i powracał.

– Jak się czujesz? – zapytał Grzesiek, ścisząc nieco radio.

Mówił spokojnym, troskliwym tonem. Jakby przed chwilą nie zabił Igora. Jakby Weronika nie leżała z tyłu związana. Głowę miała za siedzeniem pasażera, więc pomiędzy zagłówkami przednich foteli widziała profil psychiatry. Na jego twarzy malował się pełen samozadowolenia uśmiešek. To było przerażające.

– O – zaśmiał się Wilczyński. – Właśnie minęliśmy te twoje dwie znajome. Tę wytatuowaną i tę zwariowaną policjantkę blondynę.

Klementyna i Emilia? Weronika znowu próbowała krzyczeć. Ręce miała za plecami. Zrobiły się bezużyteczne. Spróbowała za to unieść nogi i kopnąć w szybę. Jej ciało znowu przeszył niewyobrażalny ból.

– Ups, za późno – zadrwił Grzesiek. – Już je minęliśmy. Wątpię, żeby cię zauważyły. Dobrze, że mam przyciemniane szyby z tyłu. Wiedziałem, że to się kiedyś przyda.

Weronika załkała bezsilnie. Klementyna i Emilia na pewno jej nie widziały. Szyby były przyciemnione, w lesie zapadł zmrok. Samochody minęły się i w ciągu kilku chwil było po wszystkim.

– No już dobrze. Wszystko będzie dobrze – zapewnił Grzesiek uspokajającym tonem. Zupełnie jak kilka godzin temu w szpitalu. Weronika poczuła, że robi jej się niedobrze. – Bo obetrzesz sobie usta od tej szmaty. Ale nie martw się. Kupimy maść i ci posmaruję, żeby nie bolało. Zobaczysz. Zajmę się tobą. Najlepiej, jak potrafię. Nie powinnaś była nigdy się ze mną rozstawać. Po co był ci ten policjant w Warszawie? I potem ten Daniel tu? No po co? Jeden chuj z drugim nie są cię warci. Mam nadzieję, że ten lek go wykończy. Byłoby pięknie. Tego mu życzę. Ze szczerego serca. Bo inaczej sam go zabiję. Za to, jak źle cię potraktował. Nikt nie może traktować źle kobiety, którą kocham!

Na wspomnienie Podgórskiego w głosie Grześka pojawił się gniew. Odetchnął głębiej, jakby chciał się uspokoić.

– Po co ci on, skoro masz mnie? – zapytał znowu łagodnie. – Cały czas czekałem na odpowiedni moment. Cierpliwie. Teraz już bez przeszkód będziemy razem. Zobaczysz. Wszystko się ułoży.

Jesteś chory – próbowała krzyknąć Weronika, ale z jej ust wydobył się tylko pomruk.

– *Za sto metrów skręć łagodnie w lewo* – poinformowała nawigacja.

Grzesiek włączył kierunkowskaz.

– My tu sobie skręcimy w prawo – poinformował Weronikę. – GPS chce nas poprowadzić szosą, ale wolę boczne drogi. Tu widzę jest skręt na leśniczówkę. Mapa wskazuje, że tędy też da się przejechać i w końcu wyskoczmy na Brodnicę. A potem prosto do mnie do domu, do Świecia.

Najwyraźniej byli blisko miejsca, gdzie leśna szosa zakręcała. W lewo prowadziła do ośrodka Słoneczna Dolina i dalej polami do szosy na Olsztyn. W prawo jechało się do leśniczówki. Wilczyński miał rację, tędy też można było dojechać do miasta, przejeżdżając obok pomnika rozstrzelanych przez mostek nad rzeczką łączącą Bachotek i Strażym.

– Nie wiem, czy ci wspomniałem, ale to nie moja pierwsza wizyta w tych okolicach – podjął psychiatra. – Ale nie byłem tu od wielu lat. Będzie ze dwadzieścia.

Koła samochodu podskoczyły na wybojach, kiedy zjechali z asfaltu. Weronika znowu poczuła, że ból przeszywa jej ciało.

– Będziemy szczęśliwi – mówił Grzesiek, wracając do poprzedniego tematu. – Zobaczysz. Tylko ty i ja. Jak mnie przepytawali w Głębocku, nawet nie sprostowałem, że nie jesteś moją żoną. Po co? To i tak tylko kwestia czasu. Ty i ja.

Odwrócił się do Weroniki. Jego twarz oświetlały kontrolki tablicy rozdzielczej. Nowakowska zadrżała. W jego uśmiechu było coś przerażającego. Ale nie to było najgorsze. Na czole miał ciemne krople krwi. Nie zauważyła ich wcześniej. Krew Igora.

Znowu ogarnęła ją rozpacz, ale tym razem żal podszyty był gniewem. Musi coś zrobić. Chociażby nie wiem jak bolało! Miała już nawet pewien plan. Tylko poczeka, aż znajdą się w odpowiednim miejscu. Już niedaleko. A potem?

Wolała się nie zastanawiać, co będzie, jeśli jej plan się nie powiedzie.

SCENA 10

Dworek Weroniki.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 20.37.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Przebite widłami ciało psa robiło przejmujące wrażenie. Rozedrgane rzenie galopujących po padoku koni pogłębiało to uczucie. Emilia nie miała zwierząt, ale nigdy nie potrafiła znieść bezsensownego okrucieństwa wobec nich. Budziło jej wściekłość.

– Weronika! – zawołała.

Kopp wybiegła ze stajni.

– Tam jej nie ma – powiedziała, oddychając ciężko. – Sprawdzamy dom i resztę obejścia, czy...

– Jedziemy – zdecydowała Emilia.

Popędziła z powrotem do skody Klementyny. Kopp też ruszyła biegiem. Słowa były zbędne. Wyjaśnienie tego, co tu się stało, nasuwało się samo. Przed chwilą minęły samochód Grzegorza Wilczyńskiego. Musiał jechać właśnie stąd. Przecież nie miał innych znajomych w Lipowie. Ciało psa było jeszcze ciepłe, więc Igor zapewne zginął dosłownie kilka minut przed ich przyjazdem. To z kolei musiało oznaczać, że facet Weroniki coś o tym wie.

Wprawdzie wyglądało na to, że jedzie sam, ale Nowakowska nie pozwoliłaby, żeby ktoś skrzywdził jej zwierzęta. Strzałkowska знаła ją na tyle, że była tego absolutnie pewna. To z kolei oznaczało, że również Weronika mogła się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Miały do wyboru dwie opcje. Zostać tu i szukać Nowakowskiej. Pomóc jej, jeśli jest ranna, albo gonić tamten samochód i poszukać odpowiedzi u faceta w kowbojkach. Mogłyby oczywiście się rozdzielić, ale jeśli był niebezpieczny, lepiej, żeby stawiły mu czoła we dwie.

– Zadzwoń do Marka, żeby tu przyjechał i się rozejrzył – powiedziała Emilia, wyciągając telefon.

Kopp nie odpowiedziała. Ruszyła z piskiem opon. To było do niej niepodobne. Zawsze jeździła irytująco ostrożnie. Samochodem zarzuciło, kiedy Klementyna wykonała ostry skręt, wjeżdżając na leśną szosę. Emilia pospiesznie tłumaczyła Markowi, co zastały w dworku. Obiecał, że zaraz tu przyjedzie. Miał wziąć Pawła Kamińskiego, żeby przeszukanie przebiegło zgodnie z procedurami.

– W prawo czy w lewo? – rzuciła Kopp.

Dojechały do zakrętu. W lewo szosa prowadziła do ośrodka Słoneczna Dolina. W prawo do leśniczówki. W prawo czy w lewo? To było dobre pytanie.

SCENA 11

Bargowo.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 20.37.

Komisarz Jacek Sienkiewicz

Myślałem, że ty i Celina Krawczyk jesteście skłóceni – powiedział Sienkiewicz.

Edward westchnął głośno.

– Niezupełnie – mruknął wymijająco.

– To znaczy?

Ksiądz machnął ręką.

– Tamtej soboty, kiedy Harold i Jan się pokłócili, Celina też była w Nowych Horyzontach – podjął swoją opowieść, unikając odpowiedzi na pytanie. – Załatwiła coś dla Harolda. Ona kłótni nie słyszała, ale Berenika jej wszystko powtórzyła.

– Dlaczego właśnie jej? – zapytała Ligia Więcek. – Przyjaźniły się?

– Nie. To był przypadek. Berenika właśnie kończyła wolontariat na ten dzień i tak się złożyło, że wychodziły z willi w tym samym momencie. Wspomniała Celinie, że spieszy się na spotkanie z koleżankami. Wtedy Celina zaproponowała, że ją podwiezie na rynek.

Sienkiewicz przypomniał sobie, że tak zdaje się zeznały koleżanki BiBi.

– Pewnie w ogóle by nie zeszło na te tematy – mówił dalej Edward – ale kiedy jechały Wczasową, zobaczyły Jana i Karinę, jego kobietę.

– Dlaczego to było takie ważne? – zapytał Sienkiewicz. Czuł się zmęczony. Opowieść zdawała mu się niepotrzebnie aż tak szczegółowa.

– Dlatego że wtedy właśnie Celina zorientowała się, że Jan oszukuje Harolda. Że za jego plecami spotyka się z kimś innym. Bardzo się tym przejęła, bo Harold był jej szefem, a przede wszystkim jednym z najbliższych przyjaciół. Nie chciała, żeby Jan go ranił. Zadzwoiła do mnie, żeby mi to powiedzieć, mimo że w samochodzie była Berenika. To z kolei sprowokowało BiBi, żeby opowiedzieć Celinie o kłótni Jana i Harolda. O tym, co podsłuchiwała Valentine Blue. Że Harold oskarżył Jana o zabicie Eleonory. Bo jak się okazało, akurat o tym, że Harold spotyka się z Janem, wiedziała już od jakiegoś czasu. Nie zdążyły zbyt dokładnie tego wszystkiego przedyskutować. Droga z Nowych Horyzontów na rynek nie jest przecież daleka. Wynikało jednak z tego, że BiBi jest zdeterminowana, żeby wykryć prawdę. Planowała dowiedzieć się więcej o sprawie z dziewięćdziesiątego szóstego i pogadać sobie z Haroldem.

Naczelnik pomyślał o esemesie, który Berenika wysłała w dniu swojej śmierci do Harolda Dębowskiego. Chodziło o spotkanie w sprawie Jana. Harold tłumaczył Danielowi i Emilii, że nastolatce chodziło o wybór prezentu urodzinowego dla Kowalskiego. Teraz okazało się, że raczej chciała zapytać, jaką rolę odegrał w śmierci Eleonory i Michałka.

Harold Dębowski to przemilczał. Dlaczego? Tego samego dnia BiBi została uduszona. To by znaczyło, że ma coś na sumieniu. Zabił ją, bo była wścibska? Nie, to nie miało sensu. Przecież teraz sam zginął. Harold i jeszcze dwie osoby, Celina Krawczyk i Wojtek Majewski. Co się za tym kryło?

Jeszcze jedna sprawa nie dawała naczelnikowi spokoju. A zwłaszcza fakt, że brat wykręcał się od odpowiedzi.

– Powiedziałeś przed chwilą, że niezupełnie byliście z Celiną skłóceni. Mogę wiedzieć, co miałeś na myśli?

W tym momencie do saloniku wróciła matka. Niosła szklanek z wodą. Edward się zawahał. Jakby

nie chciał mówić przy niej. W końcu jednak odetchnął głęboko. Wyglądało na to, że podjął decyzję.

– Kochałem Celinę – oznajmił z mocą.

Rozległ się brzęk pękającego szkła. Szklanka z wodą upadła na podłogę. Alicja wpatrywała się w swoje dłonie, jakby była zdziwiona, że to ona spowodowała ten hałas.

– Miał pan romans z Celiną Krawczyk? – zapytała prokurator Więcek.

Ligia nie kryła zdumienia. Sienkiewicz z kolei wcale nie był zaskoczony wyznaniem brata. Nie pierwszy raz Edward złamał kapłańską przysięgę.

Ksiądz skinął głową.

– Tak. Udawaliśmy tylko, że się kłócimy. Że spieramy się o ten nieszczęsny pomnik. O krzyże w szkole. I tak dalej. Żeby nikt się nie zorientował, jak jest naprawdę.

Alicja wciągnęła gwałtownie powietrze. Edward odwrócił się do niej.

– Ale domyślam się, że ty wiedziałaś, mamó. Dlatego chciałaś Celinę nastraszyć i postanowiłaś przeciąć hamulce w jej samochodzie, prawda? Dlatego poszłaś do Chrystiana Pawłowskiego, żeby ci pomógł?

Matka nie odpowiedziała.

– Prawda? – dopytywał się ksiądz.

Alicja ukucnęła i zaczęła bez słowa zbierać rozbite szkło.

– Nie musisz odpowiadać. I tak wiem, że tak było – powiedział ksiądz zrezygnowanym tonem. Odwrócił się do Sienkiewicza. – I wiem, co ty myślisz. Ale tym razem było inaczej. Chciałem załatwić to porządnie. To znaczy tym razem naprawdę chciałem być w porządku. Wobec Celiny. Nie tak, jak to było z Norą. Chciałem wystąpić z Kościoła. Nie chciałem powtórzyć drugi raz tego samego błędu. Nie nadaję się na księdza.

Szkło znowu trzasnęło. Ręce matki zaczęły krwawić. Zaciskała pokruszone odłamki w dłoniach.

– Nigdy bym na to nie pozwoliła – powiedziała zduszonym szeptem. – Nigdy. Wiesz, co by ludzie powiedzieli?!

– Cóż... teraz Celina nie żyje i nie musisz się już martwić. Prawda, mamó?

Aż trudno uwierzyć, ile jadu udało się Edwardowi zawrzeć w jednym krótkim pytaniu. Jakby tłumione przez lata emocje nareszcie znalazły ujście.

– Trzeba opatrzyć dłonie – powiedziała prokurator Więcek i odchrząknęła głośno. – Bardzo pani krwawi.

– Takie rzeczy nie mogą się dziać w mojej parafii – szepnęła znowu Alicja. – Nie w mojej parafii. Sienkiewicz musiał przyznać, że determinacja w jej głosie była niepokojąca.

SCENA 12

Grobla obok kamiennego mostku.

Piątek, 29 lipca 2016. Godzina 20.37.

Weronika Nowakowska

Grzesiek dawno już odwrócił głowę i patrzył przed siebie na drogę, ale Weronika nie mogła przestać myśleć o zaschniętej krwi Igora na jego czole. Przepelniała ją nienawiść. Nie знаła dotąd tego uczucia. Dziś podczas kłótni z Emilią wydawało jej się, że rozumiała, co to gniew. Jednak to było nic w porównaniu z tym, co przepelniało ją teraz. Zupełnie nic.

Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek będzie czuła taką chęć odwetu. Uważała się za osobę spokojną i zrównoważoną. Zawsze starała się być do wszystkich pozytywnie nastawiona. Do dzisiaj. Dla wielu ludzi pies to tylko zwierzę. Dla niej Igor był przyjacielem. Kimś najbliższym. Jedyne, czego pragnęła teraz, to zemścić się za jego śmierć.

– Nie robisz tam nic głupiego, co? – zapytał Grzesiek, jakby wyczuł, o czym właśnie myślała.

Nie, przebiegło Weronice przez myśl. To znaczy jeszcze nie. Ale już niedaleko. Las tonął w ciemności i trudno było zorientować się, gdzie się teraz znajdowali, wydawało jej się jednak, że las rzednie. To z kolei oznaczało, że są już blisko grobli prowadzącej do mostku nad rzeką łączącą Bachotek i Strażym. Idealne miejsce, żeby zaatakować.

Ręce miała związane z tyłu, więc nie na wiele mogły się przydać. Nogi też miała skrupowane. Chciała jednak powtórzyć manewr, który próbowała wykonać wcześniej. Podkulić je i zamachnąć się mocno. Z tą różnicą, że nie zamierzała tym razem celować w szybę. Chciała przerzucić stopy pomiędzy oparciami siedzeń i kopnąć z całej siły Grzeska w głowę.

Weronika nie liczyła wprawdzie, że go w ten sposób zabije albo unieszkodliwi. Miała raczej nadzieję, że zmusi go do wykonania nagłego manewru samochodem. Jeśli psychiatra za mocno skręci kierownicę, być może wrangler zjedzie z grobli. Prosto w mokradła rozlanej rzeki. W ten sposób zostanie unieruchomiony.

Nawet jeśli plan nie do końca się powiedzie i wrangler pozostanie na drodze, Grzesiek prawdopodobnie i tak będzie musiał się zatrzymać w obawie, że Weronika znowu zaatakuje. Tak czy inaczej ona zyska możliwość dalszego ruchu. Jakiego, jeszcze nie wiedziała.

Napięła wszystkie mięśnie i podciągnęła kolana niemal pod szyję. Ból w związanych za plecami rękach był nie do zniesienia, ale nie zrezygnowała. Uderzyła nogami z całej siły. Najpierw trafiła Grzeska w ramię.

– Co do... – wrzasnął, skręcając kierownicę.

Kopnęła kolejny raz. Uderzenie było słabsze niż pierwsze, ale tym razem trafiła go w głowę. Na chwilę stracił panowanie nad samochodem. Koło wranglera zahaczyło o krawędź grobli. Grzesiek zahamował gwałtownie. Tylko dzięki temu nie wylądowali w wodzie.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął, odwracając się. Oddychał szybko. – Chcesz nas zabić? Dotąd byłem cierpliwy, ale zdenerwowałaś mnie. Zaraz się przekonasz, że nie warto mnie denerwować.

Wygramolił się z trudem z samochodu. Dzielili go od wody tylko odrobina suchego gruntu. Najwyraźniej chciał przejść tamtędy na drogę. Usłyszała plusk, kiedy noga zsunęła mu się do wody.

– Kurwa! – wrzasnął.

Słyszała, jak gramoli się z wody, przeklinając. Świetnie. Zyskała kilka dodatkowych minut. Tylko co mogła teraz zrobić? Grzesiek zaraz wydostanie się z mokradła i otworzy drzwi od strony drogi, czyli tam, gdzie miała teraz głowę. Jak go zaatakować z tej pozycji? Głową? Weronika wątpiła, żeby to cokolwiek dało.

– Naprawdę tego pożałujesz, suko – warknął Wilczyński, kiedy udało mu się wyjść z powrotem na brzeg.

Okrążył samochód i otworzył drzwi pasażera. Weronika próbowała się szamotać, ale i tak wyciągnął ją bez większego trudu na zewnątrz. Związanymi kończynami niezbyt umiała zamortyzować upadek. Uderzyła o ziemię bezwładnie jak worek z ziemniakami. Palący ból znowu przebiegł po całym jej ciele.

– No i co teraz? – zaśmiał się Grzesiek głośno.

ANTRAKT

SCENA 1

Dom Sienkiewiczów w Sumowie.

Piątek, 12 lipca 1996. Godzina 10.00.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Mamooo! – zawołał Michaś. Zawsze przeciągał ostatnią samogłoskę. Z jakiegoś powodu Eleonorę wruszało to za każdym razem. – Wszystko dobrze?

– Jasne, synku – skłamała.

Niestety nic nie było dobrze. Dziś będzie jeden z najważniejszych wieczorów w jej życiu, a nie miała z kim zostawić syna. Przecież nie zjawi się u Lecha z Michasiem pod pachą! Nie w takim dniu. Nie podczas oficjalnego przyjęcia!

Była tak zdesperowana, że wyjęła kartkę, którą dostała od matki w środę. Kartkę z wykaligrafowanymi numerami telefonów i adresami. Znak, że powróciła na łono rodziny Dębowskich. Uznała, że zadzwoni do Harolda. Miała nadzieję, że brat pomoże jej w potrzebie i popilnuje Michasia, mimo że się pokłócili.

Tymczasem Harold z miejsca odmówił. Niech twój Jacuś pilnuje chłopaka albo Edward, powiedział i odłożył słuchawkę. Eleonora nie zdążyła nawet wyjaśnić sytuacji. Chciała jej się płakać, ale musiała być silna. Jakoś sobie poradzi.

– Mogę się jeszcze pobawić w ogrodzie? – zapytał Michaś.

Stali we dwoje przy rabacie z różami. Pięknie zakwitła.

– Oczywiście.

Michaś uwielbiał przebywać na dworze wśród kwiatów. Było lato. Dlaczego miałaby mu na to nie pozwolić. Sama musiała iść do domu, wybrać sukienkę na wieczór. Chciała wyglądać jak najlepiej. To był naprawdę ważny moment. Nie tylko ze względu na możliwość awansu.

Już miała ruszyć do domu, kiedy na podjazd wjechał srebrny samochód. Wyglądał na drogi.

– A to kto? – zapytał Michaś.

– Nie wiem.

Drzwi auta otworzyły się. Eleonora nie mogła uwierzyć własnym oczom. Czyżby go wywołała z dawnej przeszłości, kiedy wczoraj postraszyła tego nauczyciela, tego Zarębę, zniszczeniem mu reputacji? Jak ją znalazł?

– No proszę. Całkiem nieźle się tu urządziłaś, Nora – powiedział bez przywitania. – To twój dzieciak?

Mścisław Grabowski. Wyglądał tak samo jak kiedyś. Chudy, niepozorny, w grubych okularach. Teraz Eleonora widziała w jego oczach coś, co kazało jej się bać. Jeszcze bardziej niż kiedyś.

– Michaś, pędź do domu – rozkazała synowi.

– Ale mamooo...

– Już!

Michaś pobiegł posłusznie do domu. Zawsze był dobrym chłopcem. Bezproblemowym.

– Co ty tu robisz? – zapytała Mścislawa, kiedy zostali sami.

Chciała, żeby zabrzmiało ostro, ale osiągnęła chyba wręcz przeciwny efekt. Naprawdę się bała. I on chyba to wyczuwał, bo uśmiechnął się zadowolony.

– Przyjechałem do ośrodka wczasowego nad jeziorem Bachotek. Przyjaciel mi polecił. Chyba go kojarzysz. Nazywa się Cezary Zaręba. Z tego, co wiem, spotkaliście się wczoraj. W dość niefortunnych okolicznościach.

Serce zabiło jej szybciej. Ten nauczyciel nasłał na nią Mścislawa? Ten damski bokser?

– Miło zobaczyć się po latach, co? – zadrwił Grabowski. – Pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałem?
Nie odpowiedziała.

– Pamiętasz? – powtórzył z naciskiem.

– Że nigdy nie zapominasz.

– Dokładnie tak. Wiesz, tak naprawdę to wyświadczyłaś mi wtedy przysługę – zaśmiał się. – Gdyby nie twoje kłamstwa, pewnie nadal bym siedział w tej nieszczęsnej Poziomce. A tak wiedzie mi się doskonale. Pieniądzy mi nie brakuje. Odnoszę sukcesy w handlu samochodami. Nawet rozważam kupienie ośrodka Bropolu. Zobaczymy. Myślę, że będę tu regularnie przyjeżdżać.

Eleonora nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to groźba.

– No więc może i nawet bym się jeszcze wstrzymał z zaglądaniem do ciebie i przypominaniem o sobie, ale nie lubię, jak ktoś straszy moich przyjaciół.

– Czego chcesz?

– Pojechałem do tej twojej restauracji w Nowym Mieście.

– Po co?

– Podpytać o ciebie, oczywiście. Sprawdzić twój adres. I takie tam.

– Kto ci dał mój adres? – syknęła. Ta osoba na pewno wyleci. I to na zbity pysk. Może to ta kelnerka idiotka.

Mścisław zaśmiał się głośno.

– A to już moja sprawa. Mam swoje sposoby. No i byłem też w Bargowie – dodał. – Porozmawiałem sobie trochę o tobie. Dzień się dopiero zaczął, a zobacz, ile ja zdążyłem już zrobić. Nieźle, co?

Eleonora nie odpowiedziała.

– W restauracji powiedzieli mi, że dziś masz jakąś ważną imprezę u Lecha Kołodzieja. Że może dostaniesz awans. Proszę, proszę. Daleka droga od Poziomki do bycia dyrektorem. Opłacało się iść po trupach, co?

Eleonora zadrżała. Znowu nie odpowiedziała.

– Opłacało?

– Tak – przyznała posłusznie, bo najwyraźniej jakiejś odpowiedzi oczekiwał.

– No – powiedział Mścisław zadowolony. – To fajnie, że odnowiliśmy znajomość i zdajesz sobie sprawę, że jestem w pobliżu. Bałem się, że mogłaś mnie zapomnieć. Ale ja, jak wiesz, nigdy nie zapominam. Nigdy.

SCENA 2

Dom Sienkiewiczów w Sumowie.

Piątek, 12 lipca 1996. Godzina 15.30.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Zupa pomidorowa zupełnie jej nie wyszła. Wylała pomarańczową breję do zlewu. Będzie musiała zrobić Michasiowi naleśniki i już. Zawsze się udają. Denerwowała się. Nie tylko z powodu niespodziewanej wizyty Mścislawa.

Mniej więcej godzinę temu kolejna niespodzianka. Oddzwonił Harold. Powiedział, że załatwił jakąś dziewczynę, żeby popilnowała Michasia wieczorem. To była córka jego znajomej. Piętnastolatka, ale podobno nad wiek dojrzała. Koleżanka kiedyś zaręczyła się z Kenijczykiem, który do Polski przyjechał na studia. Owocem tego związku była właśnie Karina.

Eleonora nie wiedziała, po co Harold jej to wszystko opowiedział. Wydawało jej się, że brat jest zestresowany. Że jego ton jest zbyt słodki. Wiadomości niby były dobre, ale miała złe przeczucia.

To jakaś podpucha? Kara za kłótnię pod domem rodziców? Cóż, wkrótce się przekona, bo potencjalna opiekunka miała zajrzeć do Sumowa koło piętnastej trzydzieści, żeby się przedstawić. Przecież Eleonora nie mogła zostawić syna z zupełnie obcą osobą.

Spojrzała na zegarek. Było kilka minut po wpół do. Nienawidziła spóźnialskich. Gdyby Karina starała się o stanowisko w jej restauracji, odrzuciłaby jej kandydaturę. Ale dziewczyna miała być opiekunką na jedną noc. Załatwioną w kilka chwil. Czegóż wymagać od kogoś takiego?

Nagle usłyszała dźwięk silnika. Wyjrzała na podjazd. Stał tam niewielki biały samochód. Chyba jakiś ford. Drzwi się otworzyły. Jan Kowalski. Zrozumiała, skąd się wziął słodki ton Harolda. Brat naślał na nią swojego kochanka. Ciekawe po co?

Kowalskiemu towarzyszyła ubrana kolorowo Mulatka. Pewnie ta Karina. Dziewczyna była naprawdę piękna. Eleonora poczuła zazdrość.

Podeszła do drzwi, jeszcze zanim zadzwonili.

– Dzień dobry – powiedział Jan na jej widok. Zawsze był uprzejmy.

– Co tu robisz? – zapytała. Przywiózł Karinę, to oczywiste. Chciała jednak mieć jasność co do jego prawdziwych intencji. – Pewnie chodzi o pieniądze ojca, tak?

– To Karina Stępień – przedstawił dziewczynę Jan, unikając odpowiedzi na pytanie. – Harold poprosił mnie, żebym ją przywiózł. Niech pozna twojego syna. Zobaczymy, czy się dogadają.

– Michaś jest w salonie. Drugie drzwi po lewej – rzuciła do dziewczyny Eleonora. Nadal wpatrywała się w Jana. Niech nie myśli, że ten uprzejmy ton ją zmyli.

Karina ruszyła do środka.

– Harold cię naślał? – zapytała znowu, kiedy dziewczyna zniknęła w salonie. – Już mu mówiłam, że ja na was nie doniosłam. To ta jego Jowita. Niech pilnuje swojej żony, a jeszcze lepiej po prostu robi jej dzieciaka, jak chce ojciec, a mnie zostawcie w spokoju!

Mówiła ostrym tonem, ale miała ochotę się rozplakać. Dużo ją kosztowały te ostatnie dni. A wizyta Mścislawa zupełnie ją rozstroiła.

– I zabierz tę ślicznotkę – dodała jeszcze.

Nie chciała ich pomocy. Nie chciała im niczego zawdzięczać. W najgorszym razie zabierze Michałka ze sobą na przyjęcie.

– Hola! – zawołała Karina, wychodząc z salonu. Widocznie cały czas podsłuchiwała. – To co z tą robotą na dziś? Miałam to obiecać. Musisz zapłacić!

Eleonora odwróciła się do niej.

– Po pierwsze, to dla ciebie jestem „pani”, po drugie, ja nic ci nie obiecywałam. Może mój brat albo ten tu – wskazała Jana – ale ja nie. Spadaj. I tak jesteś za młoda, żeby zostawić z tobą dziecko.

Karina Stępień rzuciła jej mordercze spojrzenie.

– Odwołałam wszystkie plany na dziś, bo miałam pilnować dzieciaka! – fuknęła. – Co ty sobie wyobrażasz!

Poszła do samochodu. Zamknęła drzwi z głośnym trzaskiem. Jan Kowalski nie wyglądał na poruszonego tym spektaklem.

– Chcę założyć ośrodek dla bezdomnych – poinformował Eleonorę rzeczowo. – Nie jakąś norę.

Eleonora była prawie pewna, że Jan specjalnie użył właśnie tego słowa, żeby jej dokuczyć. Harold na pewno mu powiedział, że nienawidzi, jak ktoś ją tak nazywa.

– Nie jakąś norę, tylko dom – uściślił. – Dom, gdzie oni będą mogli dobrze się czuć. Dom. Prawdziwy dom. Harold obiecał mi pomoc. Wolałbym, żeby nic nam w tym nie przeszkodziło. Rozumiemy się? Nie możesz dostać tego spadku. On musi go odziedziczyć.

SCENA 3

Dom Kołodziejów w Zbicznie.

Piątek, 12 lipca 1996. Godzina 21.40.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Eleonora wzięła jeszcze kieliszek wina. Czowała, że alkohol zaczyna uderzać jej do głowy. Bardzo dobrze. Tego właśnie potrzebowała, żeby jakoś przetrzymać tę noc. Nie sądziła nawet, że tak trudno będzie patrzeć na Lecha przechadzającego się w towarzystwie Danuty. Tak naprawdę rzadko ich razem widywała. No ale teraz nie było wyjścia. Przyjęcie odbywało się u nich w domu. Nie można było tak po prostu wyprosić żony szefa.

– A więc pani jest jedną z kandydatek? – zapytał jej rozmówca.

Na chwilę w ogóle zapomniała, że Gustaw Urbański stoi tuż obok niej. Podskoczyła niemal przestraszona.

– Wprosił się pan tu czy co? – odparła. Chyba była już lekko podchmielona. – Nie spodziewałam się pana.

Naprawdę dziwiła się, że Lech zaprosił go na przyjęcie. Szczerze go przecież nie cierpiał. Głównie dlatego, że Urbański miał w sobie potencjał. W jakimś momencie być może Kołodzieja wyprzedzi. W tej kwestii Lech miał podobne podejście jak ona. Konkurencję należało zniszczyć. I to najlepiej w zarodku.

Pomyślała o Mścisławie. Jak widać, czasem takie zniszczenie mogło źle się skończyć. Grabowski jej dziś groził. Nie miała co do tego wątpliwości. Ale co zamierzał? Zrobi coś tu na przyjęciu? A może to był błąd?

Gustaw Urbański zaśmiał się głośno.

– Coś w tym rodzaju. Chciałem tylko rzucić okiem, co i jak – wyjaśnił. Nie wyglądał na ani odrobinę zakłopotanego, że wszedł na przyjęcie bez zaproszenia. – Ale już się zbieram. Niech się pani nie martwi. Nie sądzę, żeby ktoś zauważył, że tu byłem.

Uniósł kieliszek z winem w pozdrowieniu i jakby rozplynął się pomiędzy gośćmi. Eleonora stała zdezorientowana. Nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją za sukienkę. To była czarna mini, która może niezupełnie pasowała do okazji, ale czasem warto zaryzykować.

– Mamooo.

Głos Michałka był piskliwy. Zdawał się przewiercać uszy na wylot. Miała wrażenie, że wszyscy teraz na nią patrzą. Nic dziwnego. Była jedyną osobą, która przyprowadziła na przyjęcie małe dziecko. Lech się zgodził, choć oczywiście nie był zachwycony. Ale przecież też chciał ją zobaczyć. Tak jak ona jego.

– Michaś! – szepnęła, odciągając syna na bok. – Miałeś siedzieć w pokoju na górze.

– Ale pozwoliłaś mi pobawić się w ogrodzie. Dopiero potem miałem iść spać.

Eleonora kiwnęła głową. Już nie pamiętała, że tak powiedziała, ale to możliwe.

– Dobrze, ale teraz idź już na górę spać.

– Ale mamooo...

– Tak? – zapytała ostro. Rzadko mówiła do Michasia takim tonem, ale tym razem naprawdę traciła cierpliwość. Za dużo wypila.

– Taki jeden ksiądz chciałby się z tobą zobaczyć. Mówi, że jest bratem tatusia.

Edward? Co on tu robił?

– O czym ty mówisz, Michasiu? – zapytała szeptem. Odciągnęła syna jeszcze dalej na bok.

– No przyszedł tu. Był za płotem i mnie zawołał. Powiedział, że jest bratem tatusia.

Michaś nie znał Edwarda, bo Jacek nie utrzymywał kontaktu z Sienkiewiczami. Ona też nie. Brała tylko pieniądze. Należały się jej synowi.

– Pójdę z nim pomówić, a ty idź już spać na górę, dobrze?

Michaś pokiwał głową.

– Pamiętasz, który pokój pokazywał ci wuj Lech?

Wuj Lech. Przez chwilę napawała się tymi słowami.

– Tak.

– To leć, synku.

Poczekwała, aż Michaś wbiegnie po schodach na górę. Zerknęła na zegarek. Niecały kwadrans do dziesiątej. Wtedy Lech miał oficjalnie ogłosić, że ona i Chrystian Pawłowski są kandydatami na stanowisko dyrektora regionalnego. Pod koniec przyjęcia z kolei miał zdradzić, kto został wybrany. Lech lubił tego typu spektakle. Zawsze robił wokół takich rzeczy widowisko.

Wymknęła się ukradkiem do ogrodu. Miała kilka minut, żeby pogadać z Edwardem. Czegokolwiek chciał, szybko go splewi. I tyle. Lepiej, żeby się tu nie kręcił.

– Nora!

W pierwszym momencie go nie zauważyła. Letni dzień był długi, ale teraz zrobiło się już zupełnie ciemno. Co więcej, chmury zasnuły szczelnie niebo. Mroku nie rozpraszało nawet światło księżycy. Dopiero po chwili, kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, rozpoznała sylwetkę Edwarda. Stał przyczajony za płotem. Podeszła tam szybko.

– Co ty tu robisz, jeśli można wiedzieć? I czemu wysyłasz swoją matkę do Jacka? Aż taki z ciebie tchórz, że nie możesz sam mi powiedzieć, że już nie będziesz płacił? Znowu wysługujesz się mamusią?

– Nora, proszę, posłuchaj mnie.

Wzruszyła gniewnie ramionami.

– Czego chcesz?

– Przemyslałem to – szepnął Edward. – Wystąpię z Kościoła. Powiem wszystkim prawdę. Że Michałek to mój syn. Że ja i ty się kochamy.

– Ja i ty się kochamy?

Zaśmiała się głośno, zapominając o ostrożności. Naprawdę to powiedział? Czy tylko jej się wydawało, bo była podchmielona? Miał czelność coś takiego mówić?! Po tych wszystkich latach? Po tym, jak siedział w kuchni Alicji i wpatrywał się w ceratę?

– Tak. Przemyslałem wszystko i...

– Chyba sobie żartujesz! – przerwała mu natychmiast. – Teraz jest już za późno, wiesz? Trzeba było tak mówić sześć lat temu. Sześć lat temu! Wybacz, ale nie jestem już zainteresowana żadnym związkiem z tobą. Powiem więcej. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Edward sapnął głośno. Wyglądał na urażonego. Niech sobie będzie nawet najbardziej naburmuszony. Tym to już zupełnie nie zamierzała się przejmować. To była jej noc.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę domu.

– Nora! – zawołał za nią Edward, ale się nie zatrzymała. – Nie waż się odchodzić!

Eleonora zaśmiała się pod nosem. Nie waż się odchodzić? Naprawdę? Nie bała się go ani trochę. Za dużo osób w ostatnich dniach jej groziło, żeby teraz tchórzliwy Edward mógł zrobić na niej jakiegokolwiek wrażenie.

Przy drzwiach domu minęła rudobrodego mężczyznę. To był Chrystian Pawłowski.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Wszedłem się przewietrzyć i chyba słyszałem kłótnię.

– Oczywiście, że w porządku – zapewniła.

Posłał jej dziwne spojrzenie. Była wściekła, że zobaczył Edwarda. To była jej słabość, a dobry przeciwnik potrafi taką słabość wykorzystać do swoich celów.

SCENA 4

Dom Kołodziejów w Zbicznie.

Piątek, 12 lipca 1996. Godzina 22.15.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Oficjalne ogłoszenie kandydatów przebiegło szybko. Lech wyszedł na środek sali. Popukał widelcem w kieliszek. Właściwie stuknął raz i wszyscy ucichli. Kołodziej miał w sobie coś takiego, że ludzie go słuchali. Dlaczego mieliby nie słuchać? Salon pełen był jego pracowników. Wszyscy chcieli mu się podlizać.

Eleonora słuchała jego przemówienia jak urzeczona. Było tam o startowaniu od zera i o tym, jak trzeba piąć się po szczeblach, bo tylko tak poznaje się firmę najlepiej. Potem Lech przedstawił zebranym ją i Chrystiana Pawłowskiego. Rozległy się owacje. Całe szczęście nie musiała nic mówić. Nie była tak elokwentna jak Lech.

– Gratulacje – powiedziała pulchna, długowłosa kobieta. Żona Pawłowskiego. Chyba przedstawiła się jako Patrycja, ale Eleonora nie była pewna.

Po przemówieniu przyjęcie rozkręciło się na dobre. Ludzie dyskutowali w podgrupach. Ktoś tańczył. Ktoś chyba nawet śpiewał. Eleonora stała koło Pawłowskich podczas wystąpienia Lecha. Musiała jakoś się z tego wywinąć, bo wcale nie miała ochoty z nimi rozmawiać. Chciała znaleźć Lecha. Tymczasem Kołodziej zniknął gdzieś wśród ludzi. Jakby jej unikał.

– Ale chyba nie przyjmie pani tej posady, gdyby Lech oczywiście wybrał panią? – zapytała Patrycja Pawłowska z pozorną troską. Eleonora dostrzegła chłód w jej spojrzeniu. – Mając dziecko, trudno być dyrektorem czegokolwiek. Co najwyżej można zarządzać własnym domem.

– Ależ kochanie – zaśmiał się Chrystian. Zrobił się cały czerwony na twarzy. Czy to od wypitego alkoholu, czy przez to, że wstydził się słów żony. Całe szczęście nie nawiązywał w żaden sposób do Edwarda. Dobrze i to.

– Michaś w niczym mi nie przeszkadza – zapewniła Eleonora.

– Doprawdy – odparła z uśmiechem lekarka. Bo Patrycja, jak można było wywnioskować z wcześniejszej rozmowy, zaczynała prowadzić jakieś własne badania.

Przez chwilę stali w milczeniu, aż podszedł do nich na oko dwudziestokilkuletni mężczyzna. Miał kucyk i skórzane buty.

– To Grzesiek. Asystent mojego męża – przedstawiła go z zadowoleniem Pawłowska. – Każdy dyrektor musi mieć asystenta. A pani ma?

Chrystian zaśmiał się nerwowo i poprawił rude włosy.

– Grzesiek, co ty tu właściwie robisz? – zapytał młodego mężczyznę.

– Ja go zaprosiłam – wyjaśniła lekarka.

– Mówiłem ci, że nie wolno – syknął Chrystian do żony.

Patrycja nie wyglądała na szczególnie przejętą. Chyba to ona nosiła spodnie w tym związku. Przez chwilę Pawłowscy przerzucali się wymianianiem za i przeciw obecności asystenta na przyjęciu. Jakby zupełnie zapomnieli o obecności Eleonory i chłopaka.

– Grzesiek Wilczyński – przedstawił się młody tymczasem, wyciągając rękę do Eleonory. – Moi rodzice to znajomi Chrystiana, a ja po tej znajomości jestem zatrudniony na czarno. Dlatego Chrystian się boi. On to w ogóle jest strachajło. Nie to co Patrycja. No ale jestem mu wdzięczny, że mnie wyciągnął z kłopotów i dał robotę. Takich rzeczy się nie zapomina.

Eleonora spojrzała na kłócących się Pawłowskich i doszła do wniosku, że prawdziwą przeciwniczką jest lekarka, a nie Chrystian. To ona była silniejsza i bardziej zdeterminowana.

Może warto wspomnieć Lechowi o tym asystencie, przebiegło Eleonorze przez myśl. Na pewno nie będzie zadowolony, że ktokolwiek pracuje w jego sieci na czarno. Idealny sposób, żeby utrzyć nosa lekarce.

Nagle Pawłowska odwróciła się do niej.

– Nic pani nie powie Lechowi – szepnęła, jakby słyszała myśli Eleonory.

A może Eleonora powiedziała to na głos? Wszystko możliwe. Naprawdę była wstawiona. Chyba powinna wyjść na powietrze.

SCENA 5

Dom Kołodziejów w Zbicznie.

Piątek, 12 lipca 1996. Godzina 23.25.

Eleonora „Nora” Dębowska-Sienkiewicz

Jego ciężar na jej ciele. Nareszcie. Nie zamierzała się przejmować tym, że Danuta była na dole.

– Kocham cię – powiedział Lech cicho.

Naprawdę to powiedział? Emocje były tak duże, że Eleonora przez chwilę nie mogła nawet odpowiedzieć.

– Ja ciebie też – wydusiła w końcu.

Po rozmowie z Pawłowskimi wyszła do ogrodu, żeby trochę wytrzeźwieć. Siedziała tam i wpatrywała się w ciemność. Czowała się przygnębiona. Może dlatego, że już trochę trzeźwiała i nagle wydawało jej się, że nic z jej planów nie będzie.

Wtedy właśnie Lech wyszedł do ogrodu. Musiał zorientować się, że Eleonora siedzi tam od dłuższego czasu sama. Był zaprawionym w bojach biznesmenem, ale wydawał się zestresowany jak uczeń.

– Sara właśnie przyjechała – poinformował.

Eleonora spojrzała na niego pytająco.

– To przyjaciółka Danuty. Plotkują.

Albo jej się wydawało, albo zabrzmiało to jak sugestia.

– Rozumiem – odpowiedziała szybko.

– Michał już śpi?

– Chyba tak.

– Może pójdziemy na górę i sprawdzimy?

Serce zabiło jej szybciej na to wyraźne zaproszenie.

– Oczywiście.

Weszli z powrotem do domu we dwoje. Goście zajęci byli sobą albo na tyle pijani, że nikt nie zwracał na nich uwagi, kiedy szli na górę. Lech zaprowadził ją do pokoju w końcu korytarza. Oczywiście nie tam, gdzie spał Michał.

Zamknął za nimi drzwi. Przez chwilę stali w milczącym bezruchu. Jakby żadne z nich nie wiedziało, co robić. Jedynym mężczyzną, z którym Eleonora dotychczas się kochała, był Edward. Z Jackiem spróbowali raz, ale żadne z nich nie miało większej ochoty, żeby to powtarzać.

No i teraz Lech. Podeszła do łóżka. Było szerokie, dwuosobowe. Lech zaprowadził ją do głównej sypialni. Tu zapewne sypiał z Danutą. W jakiś sposób Eleonorę to podniecało. Zsunęła ramiączko sukienki. Chciała dać mu jakiś znak, że zależy jej na tym samym co jemu.

Podszedł natychmiast, ale potem znowu stali przez chwilę bez ruchu. Zmienił zdanie? W końcu jakby coś w nim pękło. Zaczął ją szybko rozbierać. W kilka minut było po wszystkim. Później leżeli przytuleni do siebie, słuchając odgłosów przyjęcia na dole.

Wtedy właśnie powiedział to, na czym najbardziej jej zależało.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Nie sądziła, że tak to się potoczy. Chciała Lecha uwieść. To oczywiste. Po to, żeby zapewnić sobie awans. Wszystkie chwytaki przecież dozwolone. Tylko że potem sprawy wyrwały się spod kontroli i Eleonora poczuła to samo, co wtedy z Edwardem. Albo jeszcze bardziej. To było, jakby jej lodowate serce nagle stopniało. Chciała spędzić z Lechem resztę życia. Nosić jego nazwisko. Urodzić mu dzieci.

Dzielić z nim każdy dzień.

– Co teraz? – zapytała cicho.

Zanim Lech zdążył odpowiedzieć, drzwi sypialni otworzyły się szeroko. Na tle oświetlonego korytarza Eleonora widziała tylko burzę włosów. To musiała być Danuta. Kołodziej błyskawicznie zerwał się z łóżka.

– Czyli jednak miałaś rację!

Za plecami Danuty stała długowłosa kobieta w kwiecistej hipisowskiej sukience. To pewnie była Sara. Przyjaciółka. Eleonora sięgnęła po sukienkę i zasłoniła nagie piersi.

– Oczywiście, że miałam rację – syknęła Danuta. – Znam go doskonale.

Obie weszły do sypialni. Żona Lecha zatrzasnęła za sobą drzwi.

– To nie tak... – zaczął mówić Kołodziej.

Eleonora spojrzała na niego zaskoczona. Miała nieprzyjemne uczucie déjà vu. Znowu będzie jak tamtej nocy, kiedy Edward się jej wyparł w kuchni na plebanii?

– A jak? – zaatakowała Danuta. – Leżysz tu sobie z fiutem na wierzchu i gołą babą obok siebie. To jak to jest?

– Kochamy się! – zawołała Eleonora. Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała. To było do niej zupełnie niepodobne.

Na te słowa Danuta zaśmiała się głośno.

– To prawda? – zapytała męża.

Lech nie odpowiedział. Danuta odwróciła się z powrotem do Eleonory.

– Wypierdalaj stąd, suko, bo pożałujesz – rzuciła.

Eleonora spojrzała na Lecha. Kołodziej wkładał spodnie, nie patrzył na żadną z nich. Nie stanął w jej obronie. Nie powiedział nic. Zupełnie jak Edward. Nie mogła powstrzymać łez.

– Obawiam się, że musisz opuścić imprezę – dodała jeszcze Sara. – Dopilnuję tego. To koniec.

Eleonora nie miała nawet siły protestować. Włożyła sukienkę i poszła do pokoju obok po Michasia. Syn był zaspany. Nie chciał iść. Musiała wziąć go na ręce.

– Wychodzimy – ponagliła ją Sara.

Jakby Eleonora jeszcze chciała tu zostać. Ile razy mogła przechodzić przez to samo? Ułożyła Michasia na tylnym siedzeniu samochodu, a sama zajęła miejsce kierowcy. Jak przez sen słyszała, że ktoś odpala auto obok. Ona zaraz zrobi to samo.

To nic, że tyle wypięła. Do Sumowa było naprawdę blisko. Dojedzie spokojnie do domu i popłacze sobie w spokoju. To miała być jej noc. Tymczasem przyjaciółka Danuty miała rację. To był koniec.

Eleonora przekręciła kluczyk w stacyjce. Teraz łzy płynęły jej nieprzerwanym strumieniem. Nie mogła ich powstrzymać.

Do Sumowa niedaleko, powtarzała sobie.

Pojedzie drogą przez las.

Wzdłuż jeziora Sosno.

Zaraz będzie w domu.

Za chwilę.

AKT VI

SCENA 1

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.05.

Weronika Nowakowska

Weronika szła powolnym krokiem do pokoju przesłuchań. Nie tylko dlatego, że po wczorajszych wydarzeniach bolało ją całe ciało. Fizyczne cierpienie to było nic w porównaniu z tym, co działo się teraz w jej głowie. Natłok myśli. Smutek. Gniew. Rozpacz. Wreszcie wyrzuty sumienia. Pałace wyrzuty sumienia.

– Pomóc ci? – zapytał Marek Zaręba.

Bała się spojrzeć mu w oczy. Nie po tym, co stało się wczoraj w nocy.

– Poradzę sobie – powiedziała cicho.

Miała wrażenie, że wszyscy jej się przyglądają. Zadrżała. Naprawdę chciała dojść na miejsce sama. To była sprawa honoru. Cieszyła się mimo wszystko, że Zaręba i Strzałkowska jej towarzyszą. Dodawali jej odwagi.

– Zaraz zacznie się przesłuchanie – poinformowała Emilia.

Okno na korytarzu było uchylone. Z ulicy doleciał głośny ryk silnika. Widocznie Zamkową przejechał jakiś motocykl. Weronika pomyślała o tym, jak wczoraj wieczorną ciszę na grobli przerwał odgłos samochodu. Wydawał się równie głośny. A może nawet bardziej.

– No i co teraz? – zaśmiał się Grzesiek.

Przed chwilą wyszarpał ją z samochodu. Upadła na ziemię. Obolałe ciało znowu zaprotestowało. Zdawało się, że koniec jest blisko. Widziała to w jego twarzy.

– Jesteśmy tu tylko ty i ja – szydził dalej psychiatra. – Nie wiem, jaki miałas plan, atakując mnie, ale na dobre ci to nie wyjdzie.

Właśnie w tym momencie usłyszała warkot silnika. Dochodził ze szczytu wzniesienia. Stamtąd przyjechali. Weronika spojrzała w tamtą stronę. Ktoś nadjeżdżał. Widać już było światła reflektorów. Zaraz auto zjedzie na groble. Była uratowana!

Grzesiek przeklął głośno. Przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar rzucić się do ucieczki. Potem najwyraźniej zmienił zdanie. Chwytał Weronikę i zaczął ciągnąć ją do wody. Pchnął ją w mokradła. Nabrała powietrza nosem, usta nadal miała przecież zakneblowane. Związane ciało zanurzyło się w gęstej od rzęsy wodzie.

Teraz poczuła, że ktoś ją chwyta. To Grzesiek wskoczył za nią do wody i wyciągnął na powierzchnię.

– Masz siedzieć cicho – rozkazał. Mówił prosto do jej ucha. Czowała jego oddech na swojej twarzy.

– Jeden fałszywy ruch i zwyczajnie cię utopię.

Jakby dla potwierdzenia swoich słów pchnął ją z powrotem pod wodę. Znowu próbowała walczyć, ale przytrzymał ją mocno. W końcu pozwolił jej się wynurzyć. Szmata w ustach uniemożliwiała jej wyplucie wody. Krztusiła się.

– Cicho! Rozumiemy się? – szepnął. Objął ją przy tym z całych sił, żeby nie mogła się ruszać. – Jeżeli zrobisz coś głupiego i ci ludzie, co tu jadą, nas zobaczą, to się nie zawaham. Wtedy nie będzie mnie nawet obchodziło, że zabiję cię na ich oczach. Jeżeli będziesz miała szczęście, to po prostu nas miną i pojadą dalej. Jest ciemno, więc jeżeli nie będą się przyglądać, to nie zorientują się, że tu jesteśmy. Może uznają, że dżip jest tu po prostu zaparkowany i tyle. Na twoim miejscu bym się o to modlił.

Warkot silnika. Samochód był już całkiem blisko. Opony chrzęściły na gruntowej drodze. Weronika nie była pewna, na co właściwie liczy. Serce biło jej szybko. Lepiej, żeby ci ludzie się

zatrzymali czy pojechali dalej? Jeśli pojedą, to nie będzie żadnej szansy na ratunek. Jeśli się zatrzymają, Grzesiek będzie gotowy spełnić swoją groźbę i ją utopić. Ile czasu wytrzyma zanurzona w wodzie? Czy tamci ludzie wskoczą do mokradła, żeby ją ratować?

Nagle silnik samochodu ucichł. Znowu słychać było tylko plusk wody i kumkanie żab. Auto najwyraźniej się zatrzymało. Trzasnęły drzwi. Kroki. Ktoś ostrożnie podchodził do wranglera i zaglądał do środka. Błysnęła latarka.

Weronika znowu pomyślała o Igorze przebitym widłami. Strach zniknął, wróciły gniew i chęć zemsty. W tym momencie było jej wszystko jedno, czym straszyl ją Grzesiek. Zaczęła z całej siły się miotać. Związane ręce i nogi na nic się zdały, ale miała nadzieję, że plusk wody zwróci uwagę osób na grobli. Krzyczała. Choć spod knebla wydobywał się tylko bełkot.

– Tam! – zawołał znajomy głos.

W jednej chwili światło skierowało się w ich stronę. To nie była latarka, tylko lampa błyskowa telefonu. Klementyna ścisnęła go w ręce. Obok stała Emilia. Nadal była w mundurze. W dłoniach trzymała służbowy pistolet. Celowała prosto w ich stronę. Weronika przestała się szamotać, by nie przeszkodzić w oddaniu strzału.

– Puść ją! – krzyknęła policjantka.

– Dobrze bym radziła – dodała Kopp lekkim tonem. Poświeciła w stronę Emilii. – Ta tu raczej nie waha się przed strzelaniem. Powiem więcej, w pewnych kręgach jest nawet z tego znana...

Reszty Weronika nie słyszała, bo Grzesiek pchnął ją pod wodę. Naprawdę gotów był ją zabić. Kiedy wynurzyła się, padał właśnie strzał. Przeszył wieczorną ciszę jak wybuch. Poczula, że Grzesiek ją puszcza.

Znowu zanurzyła się w wodzie. Próbowwała wypłynąć na powierzchnię, ale związane kończyny skutecznie jej to utrudniały. Chwilę później ktoś znów ją chwycił. Tym razem to była Klementyna. Pociągnęła ją w stronę brzegu. Weronika twarz miała całą w rześiu i wodorostach.

Emilia nadal stała na grobli na szeroko rozstawionych nogach. Ciągle trzymała na celowniku Grześka. Gramolił się właśnie powoli na górę.

– Wyjdź spokojnie z wody – instruowała psychiatrę policjantka. – I nie rób nic głupiego.

Teraz przełożyła broń do prawej ręki. Drugą wyciągnęła kajdanki. Kiedy Grzesiek wydostał się na brzeg, skuła go sprawnie. Nie odzywał się. Nie próbował się wyrwać. Jakby uznał, że sprawa jest już przegrana.

Kopp zaśmiała się pod nosem.

– Troszkę go ta mysza nastraszyła – rzuciła do Weroniki. – Od razu cię puścił. Życie mu widać jeszcze mile.

Najwyraźniej Emilia oddała tylko ostrzegawczy strzał. Szkoda, że Grześka nie zabiła, przebiegło Weronice przez myśl. Naprawdę żałowała, że do tego nie doszło. Gniew wcale nie zmalął. Chęć zemsty też.

– Pomogę ci – dodała Kopp, sadzając ją na na wpół zanurzonego w wodzie pieńku. Zaczęła rozwiązywać Weronice nogi. – Przynajmniej wyjdiesz o własnych siłach, bo ja cię na ten brzeg sama nie wciągnę.

– Stój grzecznie – rozkazała Grześkowi Emilia i podeszła do nich. – Bo nadal mam to, więc...

Nie dokończyła. Pomachała lufą pistoletu. Psychiatra stał bez ruchu.

– Pomogę ci z rękami – powiedziała do Weroniki.

W prawej dłoni nadal trzymała pistolet. Nowakowska wpatrywała się w niego jak urzeczona, kiedy Strzałkowska próbowała rozwiązać mokry uwiąz lewą ręką. Nie szło to najsprawniej, więc policjantka wsunęła broń z powrotem do kabury na pasie.

– Przepraszam za to, co się stało w szpitalu... – zaczęła mówić.

Weroniki zupełnie nie obchodziła bzdurna kłótnia. Bezsensowna, okrutna śmierć Igora. Krew psa na czole Grześka. Trzy dni zamknięcia wiele lat temu. Tylko o tym teraz myślała.

Nie spuszczała oczu z kabury pistoletu. W tym momencie marzyła jedynie o zemście. Czy uda jej się wyrwać Emilii broń? Jest chyba szansa. Strzałkowska przecież się tego nie spodziewała. Grzesiek

stał niedaleko. Bez trudu powinna trafić. Mimo że nie była strzelcem wyborowym.

Byle tylko udało się wyrwać broń Emilii.

Weronika potrzebowała tylko chwili.

Śmierć to tylko chwila, pomyślała Weronika, idąc za Markiem i Emilią do pokoju przesłuchań.
Śmierć to tylko chwila.

SCENA 2

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.05.

Klementyna Kopp

Karina Stępień postawiła szklankę z colą na stole. Zrobiła to niezbyt delikatnie. Trochę napoju wylało się na drewniany blat stołu.

– Spoko. Ale! Może troszkę uważaj, co? – rzuciła do niej Klementyna ze słodkim uśmiechem.

Kelnerka postawiła drugą szklankę z przesadną wręcz ostrożnością. Nie uroniła ani kropli.

– Tak dobrze? – zapytała.

Kopp wzruszyła ramionami. Do pewnego stopnia podobała jej się zadziorność Stępień.

– Co jej odbiło? – zapytała Marta, kiedy kelnerka się oddaliła.

Dziewczyna Dawida zrobiła się bardziej rozmowna. Klementyna uznała to za dobry znak.

– Takie tam – burknęła Klementyna, wzruszając ramionami.

Nie chciało jej się teraz opowiadać o poprzednich wizytach w klubokawiarni. Zabrała tu Dawida i Martę na śniadanie. Po pierwsze dlatego, że miała wyrzuty sumienia za wczoraj. Była tak zajęta dochodzeniem, że znowu nie poświęciła im zbyt wiele czasu. Wspólny posiłek podobno doskonale leczy takie rany. Tak przynajmniej powtarzała Teresa.

Ale! Klementyna miała jeszcze drugi powód, żeby tu dziś zajrzeć. Wszyscy byli skupieni na wczorajszych wydarzeniach. Sienkiewicz zaprosił Kopp nawet na poranne przesłuchania. Odmówiła. I tak siedzieli tam wszyscy na kupie. Jedna para oczu mniej nie robi różnicy. Tym bardziej że ta para oczu nawet nie pierwszej młodości mogła przydać się w klubokawiarni.

Kopp obudziła się rano z palącym poczuciem, że nie powinni jeszcze zapominać o Lechu Kołodziejcu i jego pracownikach. Za wcześnie było na to. W końcu sekator, który posłużył za narzędzie zbrodni, mógł być wzięty stąd. Chociażby to nie dawało jej spokoju. Dlatego zamierzała upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Najeść się w towarzystwie młodzieży i co nieco rozejrzeć.

– To zamawiamy, co? – zapytała. – Ja bym zjadła pizzę.

– Na śniadanie? – zapytał Dawid z niedowierzaniem.

– Na pizzę zawsze jest dobra pora – odpowiedziała Kopp. – Takie jest moje zdanie.

Syn Teresy wzruszył wytatuowanymi ramionami.

– To wy wybierzcie, a ja pójdę na dwór na papierosa.

– Dlaczego tu przyjechaliśmy? – zapytała Marta, kiedy chłopak wyszedł z głównej sali do ogródka na tyłach. W jej głosie pobrzmiwała ciekawość. To był też dobry znak.

Kopp uznała, że nie będzie tłumić jej entuzjazmu i owijać w bawełnę.

– Chcę sprawdzić, czy przypadkiem ktoś stąd nie jest mordercą – oznajmiła. – No i mam ochotę na pizzę.

Mówiła na tyle głośno, żeby Karol Zakrzewski i Karina Stępień stojący przy barze na pewno ją usłyszeli. Mieli szczęście, że lokal dopiero został otwarty i nie było jeszcze innych klientów. Na pewno już by wyciągali ciekawsko szyje.

– A mordercą nie jest ten psychiatra? – zdziwiła się Marta.

Klementyna opowiedziała młodym trochę o wczorajszych wydarzeniach. Oczywiście nie o wszystkim. Nie wspomniała na przykład o tym, co zrobiła Weronika. Uznały z myślą policjantką, że nie ma potrzeby mówić o tym komukolwiek. Tego się trzymała. Przecież, koniec końców, mogło być gorzej.

SCENA 3

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.10.

Aspirant Daniel Podgórski

To co, panie Grzegorzu, zaczynamy? – zapytała prokurator Ligia Więcek.

Panie Grzegorzu. Daniel miał ochotę nazwać tego typu nieco dosadniej. Skurwysyn na przykład. Albo kutas. Chuj. Ewentualnie pierdolony cwel. Może jebany złamas. Takie tam różne określenia nasuwały się Podgórskiemu na poczekaniu. A jeszcze się nawet nie rozkręcił.

Wypił kilka sporych łyków wody i połuźnił kołnierzyk koszuli. Chciał się uspokoić i mimo wszystko podejść do tego przesłuchania profesjonalnie. W tym przypadku nie było to wcale łatwe. Chodziło przecież o Weronikę. Poza tym Danielowi kręciło się w głowie i szczerze powiedziawszy, nie czuł się jeszcze najlepiej. Mimo to wołał być tu i działać niż tkwić w szpitalu.

Obudził się w środku nocy. Zupełnie przytomny. Lekarz dyżurny zdawał się zaskoczony, że ocknął się tak szybko. Znali się. Daniel nieraz przywoził mu rozmaitych delikwentów na oddział. Może dlatego Podgórskiemu udało się przekonać Bogdana, żeby go wypisał.

Lekarz nie wyglądał co prawda na zachwyconego tym pomysłem. Przyciśnięty obiecał jednak, że Podgórski wyjdzie z samego rana. Jeśli tylko podpisze kilka kwitów o odpowiedzialności własnej i tak dalej. Daniel machnął swoje imię i nazwisko na wszystkim, co Bogdan mu podsuwał. Nie zwracał sobie głowy czytaniem papierzyk. Drobny druk skakał mu przed oczami.

Resztę nocy przegadali. Ela, pielęgniarka, która miała dyżur, z lubością opowiedziała Danielowi o kłótni pomiędzy Weroniką a Emilią. Kiedy był nieprzytomny, rozpętała się tu niezła awantura. Podobno wszyscy w szpitalu o tym plotkowali.

Daniel zauważył, że zarówno Bogdan, jak i Ela przyglądali mu się z ciekawością, jakby zastanawiali się, którą z kobiet wybrał. Przez szacunek dla Emilii i Weroniki Daniel nie zamierzał komentować wydarzenia, chociaż sytuacja dodała mu otuchy. Skoro Nowakowska dała się wciągnąć w kłótnię, to znaczy, że jej zależało. Jej wczorajszy esemes może nie miał takiego znaczenia, jak mu się wydawało.

Nad ranem przyjechał patrol z pobitym nurkiem⁶. Policjanci zajrzeli do Daniela, czekając, aż lekarz skończy oględziny. Najpierw nazwali Daniela casanovą i trochę z niego po sztubacku pożartowali. Najwyraźniej wieść o kłótni rozeszła się też po komendzie.

Dopiero potem opowiedzieli Podgórskiemu, że w nocy przywieziono na dółek Grzegorza Wilczyńskiego. Jak się okazało, psychiatra zaatakował Weronikę i zabił jej psa. Kiedy Daniel to usłyszał, chciał wyjść ze szpitala natychmiast i jechać do Lipowa. Bogdan stanowczo mu zakazał.

Podgórski zignorował lekarza i zadzwonił do Marka Zaręby. Chciał prosić Młodego, żeby po niego przyjechał.

Zaręba odebrał telefon.

– Co z Weroniką? – zapytał Daniel bez wstępów.

Jeśli Marek był zaskoczony nocnym telefonem i tym, że Podgórski już odzyskał przytomność, to nie pokazał tego po sobie.

– Jestem u niej – wyjaśnił. – Pochowaliśmy przed chwilą Igora. Weronika już się położyła. Chyba zasnęła.

Daniel wziął głęboki oddech. A więc była bezpieczna. To najważniejsze.

– Co się dokładnie stało?

Podgórski usłyszał delikatne skrzypnięcie drzwi. Wyglądało na to, że Marek wyszedł z dworku na ganek.

– Pies próbował jej bronić, kiedy Wilczyński ją zaatakował. Zresztą to nie był pierwszy raz.

Podobno kiedyś ją więził przez kilka dni.

– Co?!

Daniel nie mógł opanować zaskoczenia. Nowakowska nigdy mu o tym nie wspomniała. Gdyby wiedział, na pewno nie prosiłby, żeby się kontaktowała z Wilczyńskim podczas śledztwa dotyczącego czarnych narcyzów.

– Kiedy jeszcze była na studiach – uściślił Marek.

Potem opowiedział Danielowi o tym, jak Emilia i Klementyna znalazły martwego Igora, a potem ruszyły w pogoń za Wilczyńskim. Zaręba i Kamiński pojechali z kolei do dworku, żeby tam się rozejrzeć. Niedługo później odebrali telefon od Strzałkowskiej. Udało się obezwładnić psychiatrę. Między innymi dzięki temu, że Weronika nie zachowywała się biernie i wzięła sprawy w swoje ręce.

– A właściwie w nogi – zakończył zartobliwie Zaręba. – Nieźle mu przywaliła. I całe szczęście. Gdyby nie to, że samochód się zatrzymał, Emilia i Klementyna być może by ich nie dogoniły. Szczęście, że wybrały tę drogę, a nie pojechały w stronę Słonecznej Doliny. No a najważniejsze, że wszystko się dobrze skończyło.

Podgórski skinął głową, mimo że Młody nie mógł tego widzieć.

– Wilczyński jest w areszcie i rano będą go przesłuchiwać – dodał Marek. – Jego i tę lekarkę, która ciebie zaatakowała. Pawłowską. Zaczynają od niego. Na drugi ogień idzie Pawłowska, bo ona czeka na przyjazd swojego adwokata.

– Będę tam – oznajmił Daniel. Postanowił, że zadzwoni do Sienkiewicza i powie, że stawi się na służbie.

– A ty nie powinieneś leżeć?

– Nie – odparł krótko Daniel. Nie zamierzał przejmować się szczegółami, które zaserwował mu lekarz. – Mój samochód został nad Forbinem. Przyjedziesz po mnie rano?

– Jasne. Tylko że będę wiozł Emilię. No i Weronikę. Bo naczelnik chciał, żeby była podczas przesłuchania Grześka. Na wypadek gdyby kłamał. Bo ona zeznawała już wieczorem. Więc nie wiem, czy chcesz. Bo może jeszcze nie słyszałeś, ale one...

– Słyszałem – uciął Daniel.

– No więc czy chcesz, żebym po ciebie z nimi przyjechał...

Marek zawiesił głos. Najwyraźniej czekał, co Daniel powie. Podgórski zastanowił się. Chciał porozmawiać. Z obiema. Ale takie spotkanie na szczycie nie było chyba najlepszym wyjściem. Lepiej to było zrobić z każdą oddzielnie.

– Przejdę się pieszo – zdecydował. – To blisko.

– Taaa – mruknął Marek.

– Co?

– Stary, nie chcę się wtrącać, ale wiesz... To trzeba jakoś załatwić. I zrób to jak najszybciej. Ja rozumiem, że nie jest łatwo wybierać, ale nie każ im obu tego przeżywać. Po tym, co wydarzyło się wczoraj, jakoś się chyba pogodziły. Przynajmniej tak to wygląda, jednak wiesz...

– Wiem.

Daniel wypił jeszcze trochę wody i odstawił szklankę na stół, porzucając wspomnienia minionej nocy. Spojrzał na lustro weneckie po lewej stronie salki przesłuchań. Widział tam swoje odbicie, ale wiedział, że w pomieszczeniu po drugiej stronie są tam obie, Weronika i Emilia.

– Może nam pan opowiedzieć o tym, co się wydarzyło wczorajszego wieczoru? – poprosiła Ligia Więcek, przyglądając się Grzegorzowi Wilczyńskiemu.

Daniel też na niego spojrzał. Tak, miał zamiar przeprowadzić to przesłuchanie profesjonalnie. Potem porozmawia też z doktor Pawłowską. A wieczorem...

Dłoń sama powędrowała do kieszeni. Prezent od Eli, pielęgniarki z nocnego dyżuru, nadal tam był. Dała mu go rano, kiedy Daniel właśnie wychodził. Nie chciał go przyjąć, ale starsza pani upierała się, żeby zrobił z podarku dobry użytek.

I tak właśnie zamierzał uczynić.

6 Nurek (slang) – bezdomny, menel.

SCENA 4

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.15.

Klementyna Kopp

A mordercą nie jest ten psychiatra? – zdziwiła się Marta.

Klementyna opowiedziała młodym o wczorajszych wydarzeniach. Oczywiście nie o wszystkim. Nie wspomniała na przykład o tym, co zrobiła Weronika. Uznały z mysią policjantką, że nie ma potrzeby mówić o tym komukolwiek. Tego się trzymała. Przecież, koniec końców, nic złego się nie stało.

Ot drobny incydent. Niewart nawet wspomnienia. Nowakowska próbowała wyrwać Emilii gnata z kabury. Zrobiła to dosyć niezręcznie. Ręce musiała mieć zdrętwiałe. Przecież dłuższy czas była związana. A mysia policjantka nie z jednego pieca chleb jadła. Nie tak łatwo było jej odebrać klamkę.

Potem nastąpił oczekiwany w takich sytuacjach płacz i zgrzytanie zębów. Kopp wcale się nie dziwiła burzy emocji u Weroniki, zwłaszcza że dzień i tak w nie obfitował. W końcu Nowakowska uspokoiła się na tyle, że Strzałkowska mogła wezwać wsparcie bez ryzykowania, że ruda będzie na prawo i lewo opowiadać, że jest morderczynią. Zamiary zamiarami. Ale! Przecież ostatecznie doktorce od czubków włosów z głowy nie spadł.

Niewiele później przyjechali policjanci z Lipowa. Z dworku Weroniki nie mieli przecież daleko. Do ich przyjazdu psychiatra stał jak słup soli. Ale! Kiedy przyjechał młody Zaręba z Kamińskim, zaczął gadać jak najęty. Głównie o tym, że Weronika chciała go kropnąć. Klementyna i Emilia oczywiście zaprzeczyły, a Weronika siedziała już na szczęście cicho. Na nic się więc zdało Wilczyńskiemu zawołanie. Pożalowania godny incydent z próbą wyrwania broni miał pozostać zapomniany.

– Chłop nabroił. To prawda – przyznała Klementyna enigmatycznie. – Ale! Nie jestem pewna, czy akurat doktorce od głowy jest winny śmierci tej czwórki, która nas interesuje. Nadal uważam, że Celinę Krawczyk, Berenikę Borkowską, Harolda Dębowskiego i Wojtka Majewskiego mógł zabić ktoś stąd. To znaczy z klubokawiarni.

Klementyna specjalnie wymieniała wszystkie nazwiska głośno i wyraźnie. Bawił ją wyraz wściekłości widoczny na twarzy Kariny Stępień, który pogłębiał się z każdą kolejną wymienianą osobą. Kelnerka ruszyła do ich stolika szybkim krokiem.

– Zwariowała pani? – syknęła.

Kopp uśmiechnęła się słodko.

– Niektórzy tak twierdzą – przyznała. – Byłam nawet w psychiatryku!

Karina Stępień przewróciła oczami na tę przechwałkę.

– Proszę przestać nas bezpodstawnie oskarżać – zażądała.

– Proszę podać nam naszą pizzę – odparowała Kopp.

Kelnerka już miała coś odpowiedzieć, kiedy rozległo się głośne trzaśnięcie drzwi wejściowych. Od rynku schodziło się do klubokawiarni wąskimi stromymi schodkami. Teraz słychać było stamtąd stukot obcasów i wkrótce w głównej sali pojawiła się Danuta Kołodziej. Żonka właściciela restauracji wyglądała na niezłe rozeźloną. Od razu podbiegła do baru.

– Musimy porozmawiać – rzuciła do Karola Zakrzewskiego. Nadal piszczała tym swoim falsetem.

– Ale... – wydusił barman.

– Żadnego ale – przerwała mu Danuta Kołodziej. – Chodź natychmiast za mną.

Pociągnęła Zakrzewskiego na zaplecze. Kopp popatrzyła za nimi, westchnęła i wstała. Chyba trzeba się było ruszyć i posłuchać, o czym mają zamiar mówić. W drzwiach minęła się z Dawidem.

Najwyraźniej syn Teresy skończył właśnie palić papierosa.

– Nie wiem, czy to cię interesuje, ale oni tam rozmawiają o mordowaniu – oznajmił na jej widok.

– Słyszałem.

Danuśka i barman rozmawiają o mordowaniu? No to robiło się ciekawie. Kopp błyskawicznie wyskoczyła do ogródka, ale nikogo tam już nie było. Kątem oka zauważyła drzwi z boku. Właśnie się zamknęły. Tam musieli pójść. Do gabinetu Kołodzieja. Podbiegła w tamtą stronę i nacisnęła klamkę. Zamknięte.

W tym momencie ze środka usłyszała krzyk. Klementyna zakłęła pod nosem. Pozostawało tylko wrócić do oszklonych drzwi ogrodowych i dostać się do gabinetu z korytarza.

Znowu rozległ się krzyk.

I trzeba to było zrobić szybko.

SCENA 5

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.15.

Weronika Nowakowska

Weronika nie do końca zdawała sobie sprawę, czego właściwie się boi. Strach był uogólniony. Ból w poobijanym ciele tylko go potęgował. To, że była tu z Emilią, Markiem i ludźmi z komendy, wcale nie dodawał animuszu. Po doznaniu początkowej ulgi, że nie jest tu sama, przyszło uczucie, że wszyscy ją oceniają. Choć tylko Strzałkowska i Kopp znały prawdę.

Spojrzała w weneckie lustro do sali przesłuchań. No i Grzesiek. On też znał prawdę.

– Może nam pan wyjaśnić, jak doszło do wydarzeń wczorajszego wieczoru? – poprosiła Ligia Więcek. Głośniki zniekształcały jej głos.

– Weronika Nowakowska chciała mnie zabić! – powiedział psychiatra zamiast odpowiedzi. – Próbowала wyrwać broń policjantce i mnie zastrzelić! Z zimną krwią. To nie było w afekcie. Nie mogła się czuć zagrożona. Byłem skuty. W kajdankach! A ona chciała mnie z zimną krwią zastrzelić.

Weronika zerknęła na Emilię. Strzałkowska nawet nie drgnęła. Nie dawała po sobie niczego poznać.

– Zeznania młodszej aspirant Emilii Strzałkowskiej oraz towarzyszącej jej Klementyny Kopp nie potwierdzają pańskich oskarżeń – odparła spokojnie prokurator Więcek. – Wróćmy więc do mojego pytania, dobrze?

– Zdaję sobie sprawę, że to stawia mnie w niekorzystnym świetle – powiedział Wilczyński po chwili.

Daniel upił łyk wody i odstawił szklankę na metalowy stół. W głośnikach zabrzmiało to jak huk grzmotów podczas burzy.

– Niekorzystnym? – powtórzył za Grześkiem powoli. – Mówimy o porwaniu, usiłowaniu zabójstwa oraz zabiciu psa. Że nie wspomnę o wydarzeniach sprzed kilku lat.

– Na tamto nie macie dowodów.

– Ale na to, co wydarzyło się wczoraj, jak najbardziej – powiedziała prokurator Więcek.

– Ten pies mnie zaatakował. Musiałem się bronić. Miałem pozwolić, żeby mnie pogryzł?

Teraz ton Grześka by rzeczowy. Wydawał się pewny swego. Gdyby Weronika nie wiedziała, jaka jest prawda, może by mu nawet uwierzyła. Zerknęła na pozostałych. Wpatrywali się w weneckie lustro. Nie dało się stwierdzić, co o tym myślą.

– Sam z siebie Igor by nigdy nie... – szepnęła.

Marek Zaręba uśmiechnął się pocieszająco.

– Nie radzę kłamać – ostrzegł Daniel. – Mamy cztery trupy w Lipowie... i ciebie. To znaczy pana. Osobę, która uśmierciła psa widłami, porwała Weronikę Nowakowską i próbowała ją zabić. Tym razem poprzez utopienie. Wnioski nasuwają się same.

Z twarzy Grześka zniknął wystudiowany spokój.

– Tym razem? To ma być groźba? Chcecie mi przypisać te morderstwa? Doprawdy zenujące zagranie. To dopiero jest sprawa karna. I sądzę, że pan nie powinien prowadzić tej sprawy. Raczej nie jest pan obiektywny, o ile dobrze wiem. Odmawiam zeznań.

Prokurator Więcek odchrząknęła.

– Proszę w takim razie opowiedzieć o śmierci pacjentki znanej jako Valentine Blue – powiedziała, nie przyjmując do wiadomości słów psychiatry. – Prawdziwe nazwisko Ilona Urbanowicz.

Weronice wydawało się, że Grzesiek zbladł.

– Nie rozumiem.

– A ja myślę, że doskonale pan rozumie.

SCENA 6

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.20.

Klementyna Kopp

Klementyna wpadła z powrotem do głównej sali.

– Słyszeliście krzyki? – rzuciła w stronę Dawida i Marty.

Zanim ktokolwiek zdążył jej odpowiedzieć, drzwi wejściowe trzasnęły. Zupełnie jak przed chwilą, kiedy do klubokawiarni wpadła Danuta Kołodziej. Kopp odwróciła się. Tym razem na dół zbiegała Sara Dębicka. Dziś historyczka nie była ubrana na hipisowską modłę jak wtedy, kiedy przesłuchiwali ją w czwartek w pizzerii obok komendy. Teraz miała na sobie czarny dres. Długie siwe włosy związała gumką. Pojedyncze kosmyki przylepiły się do spoconej twarzy. Wcześniej była chyba na treningu.

– Gdzie Lech? – zapytała bez wstępów.

– A pani to kto? – zdziwiła się Karina Stępień.

– Pytam, gdzie jest Lech Kołodziej!

Kelnerka rzuciła pytające spojrzenie w stronę Kopp, jakby nieoczekiwanie u niej szukała wsparcia.

– Spoko. Ja właśnie do niego idę – odparła Klementyna. Krzyki krzykami. Ale! Równie dobrze mogła tam Sarę zabrać i zobaczyć, co tu się kroi. – Pokażę ci.

Ruszyły korytarzem na zaplecze. Drzwi do gabinetu były uchylone. Słysząc było rozgorączkowany falset Danuty Kołodziej i nieco spokojniejszy głos jej męża. Sara Dębicka wpadła do środka. Kopp przyspieszyła kroku, żeby ją dogonić.

W gabinecie restauratora nic się nie zmieniło. Głowy wypchanych zwierząt nadal straszyły szklanymi oczami.

– Ty suko! – wrzasnęła wściekle Danuta.

– Ja? – zapytała Kopp. Bywało już co prawda, że tak ją nazywano. Dawniej nawet dość często. Tym razem czuła się co najmniej zdezorientowana. Nawet się jeszcze nie rozkręciła.

Danuta Kołodziej pokręciła głową. Fryzura trochę jej się przekrzywiła. Teraz można było z łatwością dostrzec, że bujne kasztanowe pukle to peruka.

– Nie ty! – wrzasnęła. – Mówię do Sary!

Karol Zakrzewski zaśmiał się głupkowato. Klementyna dopiero teraz go zauważyła. Stał blisko drzwi prowadzących na dwór, jakby chciał ukryć się za zasłoną, która je maskowała. Lech Kołodziej siedział za ciężkim biurkiem. Łypał to na barmana, to na żonę. Na Klementynę i Sarę Dębicką ani spojrział.

– Ja cię miałam za przyjaciółkę! – krzyczała dalej Danuta. – A ty chciałaś mi ukraść męża?

– Ja ci chciałam ukraść męża? – zachnęła się Sara Dębicka. – Ja? To on cię nie chce. Nic dziwnego! Z tą napompowaną botoksem gębą! I tą idiotyczną peruką! Co ty myślisz, że Violetta Villas jesteś czy jak?

– Jak długo to trwa?! Latami?! Od czasu tej suki Nory?

– Skoro już pytasz, to spiknęliśmy się dopiero w tym roku! Na wyjeździe integracyjnym, na który nie chciałaś jechać. Sama mnie namawiałaś, żebym za ciebie pojechała. Zadowolona jesteś?

Klementyna znowu miała uczucie déjà vu.

– Czekaj. Stop – zareagowała. – Wszystko pięknie. Ale! Nie dalej jak wczoraj musiałam wysłuchiwać niemal identycznej kłótni. Darujcie mi, co? Ten jeden raz wczoraj mi stanowczo wystarczy.

Czy wy wszystkie baby nie możecie się trochę wziąć w garść? Każda ma kochanka na prawo i lewo? I wszystkie jeszcze się o tych chłopów tłuką. Jakby jeszcze było o co.

No, pomyślała Klementyna z zadowoleniem. Ta przemowa była przynajmniej jakąś przeciwwagą po łzawych pocieszeniach, jakie zaserwowała wczoraj mysiej policjantce. Równowaga w przyrodzie zachowana.

W gabinecie Kołodzieja zapadła martwa cisza.

– Świetnie – mruknęła Kopp.

Podeszła do drzwi. Klucz tkwił w zamku od środka. Tym lepiej. Zamknęła drzwi i schowała go do kieszeni. Chciała zapewnić sobie spokój. Jeszcze by teraz brakowało, żeby przybiegła tu ta kelnereczka. Albo co gorsza Dawid czy Marta. Najpierw Klementyna musiała wyniuchać, o co chodzi.

– Okej. No dobra. To teraz porozmawiamy spokojnie, co? – zarządziła, rozglądając się po gabinecie Kołodzieja. – Skoro poziom hormonów troszeczkę opadł.

Słowa te zostały wypowiedziane chyba nie w porę. Danuta Kołodziej w milczeniu zaczęła otwierać torebkę. Klementyna westchnęła. Mina żony restauratora nie wróżyła niczego dobrego.

SCENA 7

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.25.

Aspirant Daniel Podgórski

Proszę w takim razie opowiedzieć o śmierci pacjentki znanej jako Valentine Blue – powiedziała prokurator Więcek. – Prawdziwe nazwisko Ilona Urbanowicz.

– Nie rozumiem – odparł Grzegorz Wilczyński.

Daniel spojrział na Ligię zaskoczony. Przyjechał niedługo przed rozpoczęciem przesłuchania, może dlatego prokurator Więcek nie zdążyła powiedzieć mu, co miała w zanadrzu. Bo że ukrywała w rękawie jakiegoś asa, tego Podgórski był pewien. Uśmiech zadowolenia na twarzy starszej pani dobitnie o tym świadczył.

– A ja myślę, że doskonale pan rozumie – oznajmiła.

– Myli się pani.

Psychiatra starał się chyba mówić spokojnie, ale widać było, że zbladł.

– Dziś rano, przygotowując się do tej naszej rozmowy, zadzwoniłam do kolegów w Świeciu – wyjaśniła tonem pogawędki prokurator Więcek. – Chciałam zasięgnąć języka. Tam nadal trwa śledztwo na pańskim oddziale. Zapewne pan dobrze o tym wie.

– Oczywiście, że wiem. Stało się wielkie nieszczęście. Splot naprawdę niefortunnych zdarzeń. Na oddziale była niedoświadczona pielęgniarka i...

– Ano właśnie – przerwała mu prokurator Więcek. – Skoro już mowa o tej pielęgniarce. Jak ustalono, to pan zmienił grafik, żeby właśnie Kinga Madejska miała tamtego wieczoru dyżur.

– Tak, ja. Nie ukrywam. Ale to był czysty przypadek. Po prostu chciałem jej dać nocną zmianę, bo jest wtedy spokojniej na oddziale.

Daniel odwrócił się w stronę Ligii w oczekiwaniu na to, co powie. Nie wiedział, co ustaliła, więc tylko to mu pozostało.

– Doprawdy? Ona zeznała, że zrobił to pan w ostatniej chwili. Musiała odwołać randkę z chłopakiem. I nawet prosiła pana, żeby nic pan nie zmieniał, bo w dzień jej się lepiej pracuje. Ale na tym nie koniec. Jak się okazało, pacjent, który pobił obie kobiety, miał trafić na zupełnie inny oddział. Podobno przyjechał pan do szpitala i bardzo dyskretnie się postarał, że on trafił jednak na pana oddział. Prosto do biednej niedoświadczonej Kingi, która stanowiła tamtej nocy słabe ogniwo zespołu.

Grzesiek otworzył usta, jakby chciał zaprotestować. Ostatecznie sięgnął po szklankę z wodą, którą dla niego przygotowano.

– Zawsze mnie bawi, jak tacy ludzie jak pan myślą, że wszystkich przechytrzą – mówiła dalej prokurator Więcek. – A potem okazuje się, że popełniają głupie błędy. Oczywiście tym lepiej dla wymiaru sprawiedliwości, jak powtarzał mój ojciec. Długoletni pracownik tegoż. W pana przypadku to były pieniądze, które dał pan nieodpowiedniej osobie. Domyślam się, że chciał pan w ten sposób kupić milczenie. A spowodował pan tylko, że zaczęły mnożyć się pytania. Być może gdyby nie próbował pan przekupstwa, nikt by nie wspomniał o tym prokuratorowi prowadzącemu czynności.

– Wystarczy – przerwał jej psychiatra. – Ma pani rację. To ja wprowadziłem tego pacjenta na oddział i to ja ustaliłem grafik tak, żeby na dyżurze była akurat Kinga. Ale nie przypuszczałem, że to się tak skończy. Nigdy bym tego nie zrobił, gdybym wiedział, co oni kombinują.

O dziwo, tym razem Daniel miał wrażenie, że Grzegorz Wilczyński mówi prawdę.

– Oni? – zapytał.

– Właściwie Chrystian Pawłowski – uściślił psychiatra. – To on mnie o to poprosił.

– Nie pytał pan o powody tej prośby? – chciała wiedzieć Ligia Więcek.

Wilczyński wzruszył ramionami.

– Nie. Miałem wobec Chrystiana dług wdzięczności.

– To znaczy? – docisnął Daniel.

– Jesteśmy starymi znajomymi. To znaczy Chrystian jest znajomym moich rodziców. Kiedyś mi pomógł. Jak jeszcze byłem na studiach. Wpakowałem się w długi i musiałem szybko trochę zarobić. On miał awansować na dyrektora regionalnego sieci restauracji Kołodziej. Wziął mnie na asystenta. Uratował mi tyłek, że pozwolę sobie wyrazić się kolokwialnie. Dlatego teraz, kiedy do mnie zadzwonił, nie wahałem się i zrobiłem to, o co poprosił. Tyle że, jak już powiedziałem przed chwilą, nie wiedziałem, że stanie się coś takiego. Szczerze mówiąc, wściekłem się, że mnie wmieszał w taką aferę. A o rzekomym badaniu klinicznym nic nie wiedziałem! To było dla mnie zupełne zaskoczenie. Nie uważam się za mistrza zbrodni, jak pani sugeruje. – Wilczyński kiwnął w stronę prokurator Więcek. – Wręcz przeciwnie – zakończył. – Od wszelkich przekrętów trzymam się z daleka.

– Po co tu przyjechałeś? – zapytał Daniel.

– Zdawałem sobie sprawę, że pewnie ktoś w końcu odkryje, że to ja przyjąłem tego pacjenta na oddział. Dlatego wziąłem wolne i postanowiłem rozeznąć się, co tu jest grane. Tym bardziej że dowiedziałem się, że Valentine Blue wysłała wiadomość do Weroniki.

Daniel poczuł, że znowu ogarnia go gniew.

– Od początku planowałaś jej to zrobić? – zapytał, siląc się na spokój.

– Uwierz mi, chcę dla niej tylko dobrze.

Podgórski zacisnął pięści. Zerknął znowu w stronę weneckiego lustra. Weronika tam była. Zresztą nie tylko ona. Sienkiewicz, Fijałkowska, Strzałkowska i Zaręba też. A na korytarzu inni pracownicy komendy. Nie mówiąc już o siedzącej obok prokurator Więcek. Nie mógł tak po prostu wstać i uderzyć Wilczyńskiego. A na to miał największą ochotę.

– Weronika sama do mnie zadzwoniła – ciągnął psychiatra. – Uznałem to za znak. Dlatego tu przyjechałem. Postanowiłem sprawdzić, co wie. I przy okazji dowiedzieć się, czy nadal mnie kocha. Oczywiście, nadal tak jest. Jęczała z rozkoszy, kiedy ją pieprzyłem. Wiesz, jak słodko smakuje jej cipka?

Wilczyński spojrzał na Podgórskiego ze złośliwą satysfakcją. Policjant zerwał się z krzesła.

– Daniel – rzuciła ostrzegawczo Ligia Więcek.

Podgórski usiadł z powrotem i sięgnął po szklanekę z wodą. Upił kilka długich łyków. Wilczyński uśmiechał się z zadowoleniem.

– A pana proszę o liczenie się ze słowami – upomniała Ligia Wilczyńskiego.

– Cipka to nieodpowiednie słowo? – zapytał psychiatra z uśmiechem. – Może i racja. Jest takie dziecinne. Jakbyśmy bali się nazywać rzeczy po imieniu. Dobrze. Niech więc pani będzie. Wagina. Choć to z kolei brzmi nad wyraz naukowo. Nie uważają państwo?

– Wróćmy do rzeczy – zarządziła prokurator Więcek chłodno.

Ton jej głosu sugerował, że nie zamierzała tolerować chamstwa. Wilczyński chyba to wyczuł.

– Wracając do rzeczy – powiedział spokojnie. – Byłem pewien, że tropy zaprowadzą nas do Pawłowskich. Przecież to oni prosili o wprowadzenie na oddział tego pacjenta. Proszę mi wierzyć, że byłem nie mniej zaskoczony niż Weronika, kiedy zobaczyłem Chrystiana i Patrycję w tamtym zamkniętym domu nad jeziorem Forbin. Naprawdę nie miałem pojęcia, że prowadzą jakieś badania. Nie utrzymywałem z nimi bliższego kontaktu po tamtym lecie w dziewięćdziesiątym szóstym. Wiedziałem, że Patrycja jest lekarzem, ale nie wiedziałem, że ma swoją firmę i tak dalej. Mierzi mnie, kiedy lekarze wykorzystują swoje stanowisko. Dlatego postanowiłem zasięgnąć informacji. Zadzwoniłem więc tu i tam i dowiedziałem się, że ona robi to wszystko nielegalnie. Powinniście się tym zająć.

– Nie omieszkamy – zapewniła go Ligia.

– Mnie interesuje jedno – powiedział Daniel powoli. – Powiedziałeś przed chwilą, że byłeś asystentem Pawłowskiego. W dziewięćdziesiątym szóstym.

– Już nie pan? Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na „ty”.

Daniel upił jeszcze łyk wody. Chciał zadać pytanie, które mogło być kluczowe dla sprawy śmierci

Bereniki Borkowskiej, Celiny Krawczyk, Harolda Dębowskiego i Wojtka Majewskiego.

– Czy był pan na przyjęciu u Lecha Kołodzieja? Na którym Kołodziej miał ogłosić, kto zostanie dyrektorem regionalnym?

Wilczyński spojrział na niego spod oka. Jego oczy zdawały się puste.

SCENA 8

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.30.

Klementyna Kopp

Danuta Kołodziej zaczęła bez słowa otwierać torebkę. Klementyna westchnęła. Mina żony restauratora nie wróżyła nic dobrego.

– Co tam masz, co?

Kołodziejowa wyciągnęła z torebki spory śrubokręt.

– Pożałujesz, suko – warknęła, patrząc na Sarę.

Nie rzuciła się na Dębicką chyba tylko dlatego, że pomiędzy nimi stała Klementyna. Karol Zakrzewski znowu zaśmiał się nerwowo.

– No proszę – mruknęła Kopp do siebie. – Znajome słowa.

Pożałujesz suko. Bez przecinka. O ile dobrze pamiętała, dokładnie te słowa były wydrapane na samochodzie Celiny Krawczyk. Klementyna zerknęła na dłoń Danuty. Może nawet tym śrubokrętem, który teraz tak kurczowo Kołodziejowa zaciskała w palcach.

Nagle Lech wstał. Gwałtownie odsunięty fotel upadł do tyłu i uderzył o ziemię z głośnym hukiem. Właściciel restauracji otworzył gniewnie szufladę. Na jego twarzy malował się teraz niemal niebezpieczny grymas. Cudownie. Doprawdy cudownie. Histeryk o poranku. O niczym innym Kopp nie marzyła, kiedy wstawała dziś rano.

Lech Kołodziej wyciągnął z szuflady pistolet. O ile Klementyna dobrze widziała, to była beretta. Jeszcze lepiej, pomyślała z irytacją. *Histeryk-z-bronią-w-ręku.*

– Powinienem był to skończyć wiele lat temu! – wrzasnął restaurator. – Wiele lat temu!

SCENA 9

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.40.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Emilia odetchnęła głęboko gorącym letnim powietrzem. Pokój przy salce przesłuchań był niewielki. Zebrało się w nim sporo osób, więc zrobiło się duszno. Za mało powietrza jak na jej standardy. Ledwo dotrwała do końca przesłuchania Grzeška Wilczyńskiego.

A właściwie nie dotrwała. Wyszła, kiedy Daniel pytał właśnie psychiatrę, czy ten uczestniczył w przyjęciu u Kołodzieja w dziewięćdziesiątym szóstym. Chciała oczywiście poznać odpowiedź, ale atak klaustrofobii był zbyt silny, żeby Strzałkowska wytrzymała w dusznym pokoju choć minutę dłużej.

Wyszła na korytarz. Potem uznała, że i to nie wystarczy. Tym bardziej że przechodzący holem funkcjonariusze zerkali w jej stronę, uśmiechając się. Pewnie wiedzieli o nieszczęsnej kłótni w szpitalu. Nie ma bardziej rozplatkowanego zawodu niż policjanci. I to wcale nie kobiety. Mężczyźni mieliłi ozorami dużo więcej.

Zeszła po chodach na dół i wyszła na plac z tyłu komendy. Całe szczęście nikogo tu nie było. Tylko przewodnik psa ćwiczył z nim jakieś komendy koło wybiegu i nie zwracał na Emilię najmniejszej uwagi.

Stała obok zaparkowanego z boku radiowozu. To była suka. Duże auto przewencji. Kiedyś sama takim jeździła. W czasach, kiedy wszystko wydawało się zdecydowanie mniej skomplikowane. Dotknęła fiata z nostalgiczną czułością. Karoseria była rozgrzana od słońca. Oparła się o samochód plecami. Zamknęła oczy i skierowała twarz w stronę słońca. To było przyjemnie rozluźniające.

– Wszystko w porządku?

Otworzyła oczy. Zamrugła. Nie była pewna, ile tak trwała w jakimś dziwnym stanie medytacji czy innego odlotu. W każdym razie czuła się zupełnie oderwana od rzeczywistości. Moment zajęło jej zrozumienie, że stał przed nią Daniel. W dłoni trzymał paczkę papierosów. Uniósł ją, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– Przerwa na fajkę – powiedział. – Potem bierzemy się za Pawłowską. Podobno chce zeznawać już teraz. Odmieniło jej się i nie czeka na tego swojego superhiperzajebistego adwokata.

– Skończyliście z Wilczyńskim?

– Jo.

– Co powiedział? Był na tamtym przyjęciu u Kołodzieja?

– Tak. Ale twierdził, że nic nie wie o śmierci Eleonory i Michałka, bo wyszedł wcześniej. To znaczy wie, że był wypadek, ale nie ma pojęcia, czy spowodowali go Pawłowscy. Sam oczywiście jest niewinny.

– Oczywiście. Kłamie?

– Trudno powiedzieć.

– Gdzie Weronika i Marek?

Musiała o to zapytać.

– Młody zabrał Weronikę do domu – wyjaśnił Podgórski. – Jest zmęczona po tym, co się stało wczoraj.

Emilia spojrzała na Daniela. Ciekawe, co by powiedział, gdyby widział wczoraj Nowakowską. Strzałkowska była pewna, że Weronika zabiłaby Grzeška, gdyby tylko mogła. Na chwilę zniknął gdzieś ten jej irytująco przyjazny stosunek do całego świata. Pozostała tylko chłodna determinacja.

– Sienkiewicz uznał, że nie ma sensu jej tu dłużej trzymać, skoro przesłuchaliśmy Wilczyńskiego

– dodał Daniel. – Marek potem po ciebie przyjedzie. Albo ja cię odwiozę, bo chłopaki mają mi sprowadzić samochód z Głębocka. Wczoraj tam został. Dasz znać, jak będziesz wołała.

– Yhy.

– Dzięki za to, co zrobiłaś dla Weroniki wczoraj.

Strzałkowska machnęła ręką.

– Dobrze, że pojechałyśmy tą drogą, co trzeba. To było szczęście, że skręciłyśmy w stronę leśniczówki, a nie do Słonecznej Doliny.

Przez chwilę stali w milczeniu. Przewodnik psa przechodził do coraz bardziej skomplikowanych ćwiczeń. Zwierzę wykonywało wszystkie polecenia bez najmniejszego zawahania. Nic dziwnego, że kilka dni temu byli najlepsi podczas wojewódzkich eliminacji do Kynologicznych Mistrzostw Policji.

– Jak się czujesz? – zapytał znowu Daniel, zapalając papierosa.

W jego głosie slychać było troskę. A może się denerwował. Emilia zerknęła na niego. Faktycznie wyglądał na spiętego. Uśmiechnął się do niej nieznacznie. Spuściła wzrok. Na pewno już słyszał o tej idiotycznej kłótni w szpitalu. Nie było innej możliwości. Oczywiście, że chciał z nią porozmawiać. Bez sensu było to odwlekać.

– Jak się czuję? – powtórzyła za nim. – Szczerze mówiąc, czuję się jak idiotka.

– Niepotrzebnie.

Zaśmiała się.

– Niepotrzebnie? Jak pewnie wiesz, zrobiłam żenująco głupią awanturę. I to przy wszystkich. Poza tym... – zawahała się. Co tam. Równie dobrze może powiedzieć mu prawdę teraz. Byle szybciej. – Wzięłam twój telefon i wysłałam esemesa do Weroniki. Wtedy kiedy przyszedłeś nachlany i zasnąłeś. Potem wykasowałam, żebyś nie wiedział. Przepraszam.

Nie zapytał, co było w tej wiadomości. Przez chwilę nic nie mówił.

– Uważasz mnie za idiotkę? – zapytała cicho, przerywając milczenie.

– Jasne, że nie. I to ja powinienem cię przeprosić. To ja się zachowałem jak idiota. I to nie raz.

Zaciągnął się głęboko papierosem i wydmuchał dym przed siebie. Wyglądało, że chciał coś jeszcze dodać, ale się wahał.

– Chcę się oświadczyć Weronice – powiedział w końcu.

Wzięła od niego papierosa. Teraz ona zaciągnęła się głęboko. Dym był nieprzyjemny i duszący. Zakrztusiła się. Palenie było przereklamowane. Wcale nie czuła się uspokojona. Nikotyna widocznie na nią nie działała. A może za mało dotarło do jej płuc. Spróbowała jeszcze raz.

Palili tak w milczeniu. Przekazywali sobie papierosa z rąk do rąk, jak uczniowie na przerwie. W końcu Podgórski rzucił niedopałek na ziemię. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pierścionek. Był staromodny. Ze sporym ciemnobłękitnym kamieniem.

– Pielęgniarka w szpitalu mi go dała – wyjaśnił. – Żeby wreszcie zrobił coś jak należy.

Emilia poczuła nieprzyjemne ukłucie żalu. Pomyślała, że powinna się cieszyć, że on sam powiedział jej o swoich planach. Oszczędził jej w ten sposób dowiadywania się o oświadczeniach z przygnębiająco radosnych nowin krążących po wsi. Ale oglądanie pierścionka to już było za wiele. Stanowczo za wiele.

– Chodźmy – powiedziała. – Pewnie Pawłowska jest już w sali przesłuchań.

Ruszyła do budynku komendy, nie oglądając się na Daniela.

SCENA 10

Klubokawiarnia Przy Rynku.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 9.40.

Klementyna Kopp

Powinienem był to skończyć wiele lat temu! – wrzasnął Lech Kołodziej. – Wiele lat temu!

Nie sprecyzował, co dokładnie. Ścisnął pistolet w dłoni. Mimo historycznego tonu ręce mu nie drżały. Wyglądał na wprawnego strzelca. Tym gorzej. Trafi tam, gdzie będzie chciał, mimo emocji. Albo w kogo będzie chciał, poprawiła się w duchu Klementyna. Czas coś zrobić. A najlepiej odebrać mu tę berettę.

Rozejrzała się po gabinecie w poszukiwaniu inspiracji, jak to skutecznie przeprowadzić. Karol Zakrzewski nadal stał w kącie, kryjąc się niemal za zasłoną. Chichotał nerwowo. Danuta Kołodziej zaciskała w dłoni śrubokręt. Tak mocno, że aż palce jej od tego białeły. Sara Dębicka oparła dłonie na biodrach i oddychała ciężko.

Nie wyglądało na to, żeby którekolwiek z nich nadawało się na partnera do konstruktywnego obezwładnienia restauratora. Kopp postanowiła zyskać na czasie. Najlepiej rozpocząć jakąś pogawędkę. To z reguły pomagało. Z jakiegoś nieznanego jej bliżej powodu ludzie wprost uwielbiali się uzewnętrzniać.

– Okej. No dobra. Skoro już jesteśmy w tak miłym gronie. To teraz po kolei – zaproponowała ze słodkim uśmiechem. – Co wy tu wszyscy wyprawiacie, co?

– Karol do mnie zadzwonił – oznajmiła Danuta Kołodziej. Pokazała śrubokrętem na barmana. – Przyjechałam od razu.

Zakrzewski wzdygnął się i przytulił mocniej do ciężkiej kotary maskującej drzwi do ogródka.

– On do mnie napisał – warknęła Sara Dębicka. Machnęła ręką na Lecha Kołodzieja. – Myślałeś, że możesz po prostu tak to wszystko skończyć? Jakbym była nikim?

– Czekaj. Stop. Nie wszyscy naraz – powiedziała Kopp stanowczo. Pokazała palcem barmana. – Najpierw ty. Zostaw tę zasłonę i gadaj lepiej, po co zadzwoniłeś do Danuśki, co?

Karol Zakrzewski znowu zaśmiał się nerwowo.

– Żeby jej powiedzieć o Dębickiej – oznajmił. – Bo ona jest kochanką szefa.

Na te słowa Danuta Kołodziej wydała jakiś trudny do zinterpretowania jęk. Za to historyczka stanęła bardziej wyprostowana. Cała jej postać mówiła teraz butnie *i co mi zrobisz?*

– Spoko. Ale! To już wiemy.

– Nie trzeba było mnie zwalniać! – syknął Karol do Lecha Kołodzieja, ignorując Klementynę.

Prychnęła. To zdecydowanie nie najlepszy manewr denerwować jedyną osobę, która miała w ręku broń.

– Sukinsynu jeden! – warknął właściciel restauracji. Pistolet powędrował powoli w stronę barmana.

Zakrzewski puścił kotarę i uniósł ręce do góry.

– Obiecałeś, że mnie nie zwolnisz – pisnął.

– Nienawidzę, kiedy ktoś próbuje mnie szantażować! – odpowiedział ze złością Lech Kołodziej.

– Czekaj. Stop! Po kolei – rozkazała Kopp. – Po kolei!

Trzeba było natychmiast opanować sytuację. Niestety nadal nie miała pomysłu, jak podejść Kołodzieja i odebrać mu berettę. Woląla nie skończyć z kulką w głowie.

– Ten typ zobaczył mojego esemesa do Sary – oznajmił restaurator, kiwając głową w stronę Zakrzewskiego. – Miał czelność grzebać w moim telefonie.

Barman zaśmiał się głośno.

– Nie musiałem grzebać. Byłem u ciebie na pogadance. Chciałeś mnie wywalić na zbity pysk!

– Opierdalas się. Już mówiłem sto razy, że nie toleruję czegoś takiego.

– Ja tylko chciałem mieć więcej wolnego dla dzieciaka!

– Już ja znam takie wymówki.

Karol Zakrzewski odwrócił się do Klementyny.

– Byłem u niego we wtorek tydzień temu. Tu w gabinecie. Wyszedł na chwilę, ale zostawił telefon na biurku. Przyszedł esemes. Postanowiłem sprawdzić, co to. Normalnie bym tego nie zrobił, bo mam szacunek dla prywatności. Ale byłem rozeźlony. Nawet nie musiałem odblokowywać klawiatury. Na ekranie było powiadomienie o esemesie. Razem z widoczną treścią i nadawcą. Ja też mam tak w ustawieniach. Wygodne, kiedy szybko się sprawdza.

– Spoko. Ale! Do rzeczy – przywołała go do porządku Kopp.

– Przeczytałem sobie tego eska. Treść była jednoznaczna. O seksie i takie tam. Nadawca zapisany jako Sara Dębicka – zwrócił głowę w stronę historyczki. – Od razu pomyślałem, że mogę to jakoś wykorzystać. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to wyjąć swój telefon i zrobić zdjęcie tego esemesa, żeby mieć dowód. Nie chciałem grzebać w telefonie szefa, żeby się nie zorientował. To było najlepsze wyjście na szybko. Jak szef wrócił, nie dałem po sobie nic poznać. Musiałem przemyśleć, co z tym zrobię. Potem w środę przyszła ta dziewczyna, ta Berenika. Chciała się widzieć z szefem, by porozmawiać o Dębickiej. Już mówiłem. Więc najwyraźniej wieść się rozniosła. Byłem tym trochę zawiedziony. No ale ostatecznie wczoraj uznałem, że nie ma co się zniechęcać. Koniec miesiąca się zbliża i trzeba przynajmniej spróbować coś ugrać. Powiedziałem szefowi, że powiem wszystko o Dębickiej pani szefowej. No chyba że mnie nie zwolni i da podwyżkę. Zgodził się. A dziś dał mi wypowiedzenie! Wściekłem się, że mnie oszukał. I z miejsca powiadomiłem panią Danutę.

– I bardzo dobrze – pisnęła dziewczęcym falsetem Kołodziejowa. Z godnością poprawiła przekrzywioną perukę.

Lech Kołodziej zaśmiał się głośno.

– Uwierzyłeś mi, że się ciebie przestraszyłem? Jesteś śmieszny, Karol. Jak już mówiłem, nienawidzę szantażów. Szantażysta zawsze chce więcej i więcej. To nigdy nie ma końca. Lepiej zdusić to w zarodku. Nawet jeśli ryzykowałem, że Danusia mogła się dowiedzieć.

– I dlatego wysłałeś do mnie tego esemesa? – zaśmiała się Sara Dębicka z wściekłością.

– Czekaj. Stop. Jakiego esemesa, co? – zapytała Klementyna.

Zaczęła przechadzać się po gabinecie, jakby oglądała trofea myśliwskie Kołodzieja. Zmierzała w stronę biurka. Póki wszyscy skupieni byli na rozmowie, może tego nie zauważą.

– Wysłał mi wiadomość, że ze mną zrywa. Domyślam się, że chciałeś mieć argument do rozmowy z Danką. Że już po wszystkim. Tak było? – Po raz pierwszy w głosie Dębickiej naprawdę słyhać było gniew. – Potraktowałeś mnie jak podlotka. Jakby nic między nami nie było.

– Bo nie było – oznajmił Lech Kołodziej chłodno. – Danuta jest dla mnie najważniejsza.

Danuta Kołodziej zaczęła się śmiać z wyraźną satysfakcją. Skierowała końcówkę śrubokręta w stronę Dębickiej.

– Oczywiście, że jestem dla niego najważniejsza. Cokolwiek by zrobił z inną. A ty głupia myślałaś, że co? Że Lech zostawi mnie dla ciebie? Zapomniałaś już, co było dwadzieścia lat temu?

Wszyscy wpatrywali się teraz w Sarę, czekając na jej odpowiedź. Kopp uznała, że to idealny moment, żeby podjąć próbę odebrania broni restauratorowi. Zrobiła kilka szybkich kroków w stronę biurka. Nie było co się dłużej czaić. Może nie zdąży w nią wycelować. Raz kozie śmierć. Albo Klementynie.

W tym momencie Dębicka zrobiła dokładnie to samo. Stała bliżej Kołodzieja. Wyciągnęła rękę, chcąc mu wyrwać berettę.

W pozbawionym okien gabinecie huk wystrzału poniósł się głośnym echem.

SCENA 11

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 10.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Jak rozumiem, zrezygnowała pani z zeznawania w obecności swojego adwokata? – upewniła się Ligia Więcek.

Znowu siedzieli w pokoju przesłuchań. Daniel sięgnął po szklankę. W międzyczasie ktoś dołał do niej wody i postawił na stole dwie plastikowe butelki. Dobrze, był zapas. Znowu strasznie chciało mu się pić.

– Tak. Tak – zapewniła Patrycja Pawłowska. – Przemyślałam wszystko i nie chcę czekać ani chwili dłużej.

Nadal robiła przyjazne wrażenie. Pulchna twarz i uśmiechnięte oczy sprawiały, że łatwo można było zapomnieć o tym, jak wczoraj bez najmniejszego wahania wstrzyknęła Danielowi lek. Najpewniej mając nadzieję, że go zabije. To, że on sam popełnił głupi błąd i zlekceważył ją, to była już zupełnie inna sprawa.

– Skąd ten nagły pośpiech? – zapytał Podgórski.

– Muszę wrócić do moich badań, bo to najważniejsze – powiedziała z całym przekonaniem Patrycja Pawłowska. – Nie możemy tracić czasu. Dziś musimy podać kolejną dawkę niektórym pacjentom. W tym pani Wierze, a ona jest naprawdę w kiepskim stanie. Załatwię to szybko, jeśli tylko mnie wypuścicie.

– Proszę zatem potwierdzić nam kilka rzeczy – powiedziała Ligia Więcek.

– Oczywiście. Proszę pytać. Oby jak najszybciej!

Prokurator Więcek odchrząknęła i upiła łyk wody, potem sięgnęła po notatki.

– Czy potwierdza pani, że stosowała niezatwierdzone przez urząd rejestracji produktów leczniczych leki? Że spowodowała pani śmierć trzech pensjonariuszek ośrodka pomocy Nowe Horyzonty? Czy potwierdza pani, że dogadała się z Grzegorzem Wilczyńskim w sprawie wprowadzenia na oddział człowieka, który miał zabić Ilonę Urbanowicz, pseudonim Valentine Blue? Czy potwierdza pani, że rozpuściła ciała dwóch swoich ofiar, a potem próbowała to zrobić z trzecią? Czy potwierdza pani wreszcie, że zaatakowała funkcjonariusza pełniącego obowiązki służbowe?

Prokurator Więcek pokazała głową Daniela, przerywając długą litanie przewinień Patrycji Pawłowskiej.

– Nie chciałam mu zaszkodzić. Tylko go obezwładnić – powiedziała lekarka, jakby wyjaśniała coś małemu dziecku. – Zresztą potem, jak państwo wiedzą, współpracowałam z lekarzami, żeby mu pomóc. A dziś pan policjant jest cały i zdrowy. Nic mu nie zrobiłam. Mój lek nie zabija. Mój lek pomaga ludziom. Potwierdzam wszystkie zarzuty i miejmy już to za sobą. Nie podoba mi się tylko uparte nazywanie moich badań nielegalnymi, nieusankcjonowanymi i tak dalej. One są nowatorskie. Albo lepiej: przełomowe. Tak bym to nazwała.

– A jednak Ksenia i Lola zginęły.

– Nikt nie stwierdził, że w wyniku działania mojego leku. Musiałaby zostać przeprowadzona autopsja, która by to potwierdziła.

– Tylko że nie można jej wykonać, ponieważ pozbyła się pani ciał – włączył się do przesłuchania Podgórski. – Wygląda więc na to, że obawiała się pani, co autopsja by wykazała.

Patrycja Pawłowska wzruszyła ramionami.

– Jasne, że się obawiałam. Przyznaję. Ale przeprowadziłam próby na wielu osobach. Wszystkie

żyją i mają się dobrze. Mój lek może zrewolucjonizować medycynę. Nie rozumieją państwo?!

Teraz lekarka zrobiła się cała czerwona na twarzy. Oddychała ciężko.

– Nie możecie wstrzymać badań nad moim lekiem! – zawołała. – On może pomóc milionom ludzi chorych na raka! Czy to nie jest ważniejsze niż jakieś bezdomne?! Spójrzcie na to szerzej! Błagam was! To jest coś ważniejszego niż pojedynczy człowiek. Opamiętajcie się!

Pawłowska najwyraźniej wierzyła w swoje słowa. Zniknął gdzieś cały wczorajszy spokój. Wyglądała teraz na kobietę opętaną swoją ideą. Daniel zerknął na prokurator Więcek. Ligia poprawiła grube okulary i odchrząknęła.

– Czy pani sama lub we współpracy z kimś, na przykład swoim mężem, zabiła Berenikę Borkowską, Celinę Krawczyk, Harolda Dębowskiego i Wojciecha Majewskiego?

– Co?! Oczywiście, że nie. Jestem lekarzem. Nikogo nie uśmiercam. Ja walczę ze śmiercią! Nic nie rozumiecie.

Pawłowska wyglądała teraz na zupełnie niepo czytelną. Daniel zerknął zaniepokojony na Ligę Więcek. Zastanawiał się, czy nie powinni przerwać przesłuchania i nie wezwać karetki.

– Czy uczestniczyła pani w przyjęciu u Lecha Kołodzieja w dziewięćdziesiątym szóstym roku?
– zapytała prokurator Więcek. – Kiedy pani mąż miał zostać dyrektorem regionalnym sieci restauracji?

– Tak – odpowiedziała lekarka, ciężko dysząc.

– Może się pani napije wody – zaproponował Podgórski.

Pawłowska bez słowa sięgnęła po szklankę i upiła kilka łyków.

– Czy razem z mężem zabili państwo Eleonorę Sienkiewicz? – zaatakowała Ligia Więcek.

– Oczywiście, że nie. To śmieszne! Już w dziewięćdziesiątym szóstym wszyscy uznali, że to jakieś brednie. Nawet nas nie przesłuchiowano. Mieli więcej oleju w głowach niż wy.

– Czyli nie zajechali jej państwo drogi ani nie zepchnęli jej auta z szosy swoim samochodem?

– Nie! Nawet nie jechaliśmy tamtędy. Pojechaliśmy inną drogą.

– Doprawdy?

– Tak. Gdyby mnie wtedy ktoś w ogóle zapytał, tobym powiedziała, że to ktoś inny pojechał tamtej nocy za Eleonorą.

ANTRAKT

SCENA 1

Cichy Lasek.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 19.10.

Wojtek Majewski

Zmysły chyba odmawiały mu posłuszeństwa. Wojtek nie czuł już nawet smrodu, który przedtem zdawał się nie do wytrzymania tu w głębi przerażającej wyschniętej studni.

Zamknął oczy.

Zrobiło się ciemno.

Tak samo ciemno jak tamtej nocy dwadzieścia lat temu. Wtedy, kiedy zdarzył się wypadek.

Miał jedenaście lat i dopiero co dostał rower. Ojciec mu go kupił. Składak miał cienkie opony i niebieską ramę. Wojtek uwielbiał wymykać się z domu, żeby sobie na nim pojeździć. Mimo że matka i ojciec zakazywali. Zwłaszcza matka. Powtarzała mu ciągle, że jak tak dużo będzie jeździł, to rower w końcu się zepsuje. Nie powstrzymywało to Wojtka. O nie. Uśmiechnął się na samo wspomnienie, mimo że zmasakrowane ciało bolało przy najmniejszym ruchu.

Tamtej nocy też wziął rower. Począł, aż rodzice położą się spać. Nie trwało to długo. Zawsze kładli się z kurami. Czasem nawet jeszcze przed zmierzchem. Pokręcił się trochę po Zbicznie. Potem podjechał pod dom Lecha Kołodzieja.

Zwabiły go odgłosy muzyki. Trwało tam przyjęcie i dom był przepięknie oświetlony. Widać go było z oddali w ciemności letniej nocy. Na podjeździe stały samochody. Wojtek przyglądał im się z zainteresowaniem. Dostrzegł polonezy, fiaty, daewoo, opla, renault, mercedesa, a nawet garbusa. Uwielbiał auta. Nawet bardziej niż swój rower. Kiedyś będzie dużo jeździł. Może nawet zostanie zawodowym kierowcą. Tak sobie wtedy obiecał.

Nagle z domu wyszły dwie osoby. Chyba małżeństwo, bo pulchna kobieta trzymała rudego brodacza pod rękę. Poszli do srebrnego mercedesa. Ci to musieli być bogaci! Siedzieli tak jakiś czas, nie odjeżdżając. Rozmawiali o czymś? Wojtek oczywiście nie mógł ich usłyszeć. Był za daleko, a muzyka skutecznie wszystko zagłuszała.

Po chwili z domu wyszły jeszcze dwie osoby. Właściwie trzy, bo jedna z kobiet ciągnęła za sobą dziecko. Chłopiec marudził. Teraz Wojtek już wiedział, że to była Eleonora Sienkiewicz i jej syn Michał. Wtedy nie znał ich nazwiska. Eleonora wpakowała syna do fiata cinquecento i sama zajęła miejsce za kierownicą.

Ta druga kobieta miała długie włosy i powłóczystą suknię w kwiaty. Poszła do białego garbusa zaparkowanego kawałek dalej. Przez chwilę szukała kluczyków w workowatej torebce. Kiedy je znalazła, wsiadła do samochodu.

Przez pewien czas nic się nie działo. Trzy samochody miały już swoich kierowców, ale żaden nie ruszał. Potem pierwsze odpaliło cinquecento i wyjechało na drogę, skręcając w lewo. W stronę lasu i Sumowa.

Jak na zawołanie zagrały silniki mercedesa i garbusa. Mercedes wyjechał na szosę i skręcił w prawo, do wsi. Garbus z piskiem pomknął w lewo.

W tym samym kierunku co cinquecento.

Teraz, w głębi studni, ten obraz wydawał się Wojtkowi nawet bardziej realny niż wtedy.

Jakby po dwudziestu długich latach przeżywał to wszystko raz jeszcze.

AKT VII

SCENA 1

Dom Marka Zaręby w Lipowie.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 12.50.

Weronika Nowakowska

Masz ochotę na jeszcze trochę sałatki? – zapytała Ewelina Zaręba. Fryzjerka jak zwykle miała lśniące włosy i perfekcyjny makijaż.

Weronika pokręciła głową. Nie chciała urazić żony Marka, ale naprawdę nie była ani trochę głodna.

– Nie, dziękuję bardzo. Chyba już będę się zbierała.

Po przesłuchaniu Grzeška naczelnik Sienkiewicz uznał, że powinna wracać do domu. Tak naprawdę jej przyjazd na komendę nie miał chyba sensu. Przecież nic nie wniosła do przesłuchania. Nie wiedziała nawet, że Grzesiek znał Pawłowskich! Nie protestowała więc, kiedy naczelnik zasugerował, że nie ma powodu, by uczestniczyła w kolejnym przesłuchaniu. Czuła się zmęczona i przybita. Potrzebowała czasu, żeby przemyśleć wszystko, co się stało.

Cieszyła się, że Marek zawiezie ją z powrotem do Lipowa, chociaż wcale nie chciała wracać do pustego domu, ale dzięki temu mogła uniknąć wracania z Emilią. I wcale nie chodziło o Daniela, ale o Grzeška oczywiście. Po raz pierwszy w życiu Nowakowska naprawdę wstydziła się komuś spojrzeć w oczy.

W drodze powrotnej do Zaręby zadzwoniła żona. Ewelina nie chciała słyszeć o tym, żeby Weronika została teraz sama. Od razu zaproponowała, żeby Marek przywiózł Nowakowską na wczesny obiad, i w ten sposób Weronika wylądowała w domu Zarębów. Co gorsza, została zagoniona do wspólnego gotowania i zachęcona do uczestnictwa w wesołych rozmowach.

Wiedziała, że zarówno Marek, jak i Ewelina mieli dobre intencje, ale nie czuła się na siłach, żeby prowadzić jakąkolwiek konwersację. Nie po tym, co się stało z Igorem. Nie po historii z Grzeškiem. Nie kiedy nadal nie wiedziała, czy coś jeszcze łączy ją z Danielem. Nie kiedy nie była pewna, jak się czuje Wiera. Tego wszystkiego było trochę za dużo.

– Odwiozę cię do domu – zaproponował Marek, pomagając żonie zebrać talerze ze stołu.

Nie trzeba, chciała już odpowiedzieć Nowakowska, ale w spojrzeniu młodego policjanta zobaczyła niemą prośbę. Tak jej się przynajmniej wydawało.

– Dobrze – zgodziła się więc szybko.

Wyszli na dwór. Powietrze zdawało się aż skwierczeć od upału. Słońce oślepiało. Lato było w pełni. Niestety Weronika nie potrafiła się już nim cieszyć.

– Pięknie, co nie? – zagadał Marek, kiedy wsiadali do samochodu.

Zdawał się mówić wesoło, ale Weronika miała wrażenie, że coś go trapi. Odczekała chwilę, aż policjant zechce coś powiedzieć, ale milczał.

– Dziękuję, że pomogłeś mi z... z Igorem – mruknęła.

Nie mogła jakoś wydusić: *z pochowaniem Igora*. Śmierć psa nadal wydawała się zupełnie nierealna. Tak jak i nocny pochówek, który mu urządzili na tyłach gospodarstwa. Polne kwiaty, które zerwała rano i tam ułożyła, zapewne zwiędły już w tym upale.

– Nie ma o czym mówić.

Zaręba przekręcił kluczyk. Silnik podrasowanej hondy civic warknął głośno. Marek, tak jak Daniel, lubił szybkie samochody i wieczorne wyścigi po lasach.

– Wszystko w porządku?

Nie za bardzo wiedziała, jak sprecyzować pytanie, ale czuła, że jeśli ona nie zrobi pierwszego

kroku, Marek nic jej nie powie.

Młody policjant westchnął głośno.

– Dostałem wiadomość od ojca – przyznał.

– Co napisał?

– Że chce się spotkać w Słonecznej Dolinie. Że będzie tam od trzynastej. Nie powiedział po co. Zastanawiam się, czy iść. Nawet nie wiem, czy on nadal jest jednym z podejrzanych, czy już nie.

Weronika miała nieodparte wrażenie, że Marek potrzebuje wsparcia. Czuli się jego dłużniczką. Poza tym sama myśl o powrocie do pustego dworku wydawała się nie do wytrzymania. A konieczność zajęcia się Lancelotem i Kofim też nie dodawała otuchy. Zdecydowanie wolą sprawdzić razem z Markiem, czego chce Cezary Zaręba.

– Chcesz, żebym z tobą poszła? – zapytała.

SCENA 2

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 12.50.

Aspirant Daniel Podgórski

Uczestniczysz w tej odprawie w drodze wyjątku – oznajmił Sienkiewicz Kopp. – Znowu. Tylko pamiętaj, że to nie oznacza, że...

Klementyna wzruszyła ramionami.

– Spoko. Pamiętam, że jestem cywilem. Zresztą co się boczysz. Jeszcze rano mnie tu zapraszałeś, o ile dobrze sobie przypominam, a teraz co?

Naczelnik zwołał odprawę na wpół do pierwszej. Zaczęli punktualnie, mimo że w klubokawiarni spędzili trochę czasu. Kiedy Daniel i Ligia Więcek kończyli przesłuchiwać doktor Pawłowską, dyżurny dał znać o strzelaninie. Policję zawiadomiła Karina Stępień. Jak się okazało, na miejscu była Klementyna.

– Znowu jesteś w centrum wydarzeń – powiedział Sienkiewicz z półuśmiechem.

– Tak już mam – odparła Kopp, wzruszając ramionami.

Daniel i Emilia pojechali do klubokawiarni od razu, kiedy okazało się, że jest tam Sara Dębicka. Doktor Patrycja Pawłowska twierdziła przecież, że to właśnie historyczka pojechała za Eleonorą Sienkiewicz dwadzieścia lat temu.

Wszyscy byli tym zeznaniem zaskoczeni. Nawet Sienkiewicz nie wiedział, że Dębicka brała udział w przyjęciu. Laura Fijałkowska kilkakrotnie przejrzała akta i też nie znalazła na ten temat żadnej wzmianki.

– Rozumiem, że przepytaliście Dębicką? – zapytał Sienkiewicz.

– Jo – potwierdził Daniel. – Najwyraźniej Patrycja Pawłowska nie kłamała. Przynajmniej nie w tej sprawie.

– Dębicka przyznała, że była na przyjęciu – włączyła się do rozmowy Emilia. – Nie ukrywała też, że miała białego garbusa. A o takim aucie mówił Wojtek Majewski. Nie zaprzeczała również, że pojechała w tę samą stronę co Eleonora.

Od czasu rozmowy na parkingu nie wrócili do tematu ich wzajemnych relacji ani razu. Daniel był Strzałkowskiej za to wdzięczny. Wystarczyło już tych emocji na dziś. Choć cieszył się oczywiście, że udało im się pogadać. Poczul ulgę. Chyba nie tylko on.

Powinien jeszcze pogadać z synem, a rozmowa z Łukaszem może okazać się dużo trudniejsza. Łukasz naprawdę czuł się zraniony. Dlatego Podgórski zamierzał dać synowi i sobie czas. Nie spieszyć się.

– Dębicka nie zaprzeczała, że pojechała za Eleonorą? – upewniła się Laura Fijałkowska.

– Nie. Twierdziła, że Eleonora jechała dosyć wolno, więc w pewnym momencie po prostu ją wyprzedziła – wyjaśnił Daniel. – Dębicka nie wie, co stało się potem. Bo pojechała dalej i tyle.

Tak naprawdę to było słowo przeciwko słowu. Nie mieli żadnych dowodów przeciwko Sarze Dębickiej, więc ani prokurator Więcek, ani Sienkiewicz nie naciskali na to, żeby ją zatrzymać. Tym bardziej że w areszcie zrobił się tłok. Pawłowscy i Grzesiek Wilczyński mieli tam zostać na co najmniej czterdzieści osiem godzin.

Prokurator Więcek zdecydowała tylko, że klubokawiarnia zostanie dziś zamknięta. Aleksander Ziółkowski uczestniczył w odprawie, ale potem on i jego ludzie mieli wrócić do restauracji i przyjrzeć się śladom strzelaniny. Kopp zeznała co prawda, jak to wszystko przebiegło, ale konieczne było oficjalne potwierdzenie przez techników.

Klementyna chciała odebrać broń Kołodziejowi. Sara Dębicka wykonała w tym samym momencie podobny gest. Wtedy Lech strzelił w sufit. Twierdził potem, że chciał je obie przestraszyć. Miał pozwolenie na broń, więc Ligia Więcek również i na niego spojrzała łaskawszym okiem i wypuściła do domu razem z Danutą. Śrubokręt żony restauratora skonfiskowano w celu sprawdzenia, czy nie posłużył jako narzędzie do wydrapania napisu na samochodzie Celine Krawczyk.

– Dobrze. Podsumujmy, co wiemy, bo wkurwia mnie, że sprawca, kimkolwiek jest, sobie z nami pogrywa – powiedział Sienkiewicz. Wydawał się naprawdę zdenerwowany. – Mamy cztery trupy w Lipowie: Celinę Krawczyk, Berenikę „BiBi” Borkowską, Wojtkę Majewskiego i Harolda Dębowskiego. Do tego trzy kobiety z Nowych Horyzontów: Ksenię, Lolę i Zośkę. No i jeszcze Valentine Blue w Świeciu. A w dziewięćdziesiątym szóstym dwie osoby: moją żonę i Michałkę. Pomysły. Słucham.

– Wydaje mi się, że sprawa śmierci kobiet z Nowych Horyzontów oraz Valentine Blue nie łączy się ze śmiercią czwórki z Lipowa – odezwała się Emilia. – Moim zdaniem to dwie odrębne sprawy.

Daniel zgadzał się ze Strzałkowską.

– Jestem podobnego zdania – odezwała się Ligia Więcek. – Proponuję zatem, żeby potem wyznaczyć grupę do przeprowadzenia śledztwa w sprawie tych nielegalnych eksperymentów medycznych Pawłowskich oraz ich ofiar, Loli, Kseni, Zośki i Valentine Blue. My skupmy się teraz na śmierci czwórki z Lipowa i poszukajmy powiązań z zabójstwem sprzed dwudziestu lat.

– Spoko. Ale! To nie znaczy, że możemy od razu wykluczyć Pawłowskich z naszej sprawy – wtrąciła się Klementyna. – Mogli zabić i jednych, i drugich. Tylko z różnych powodów. Kobiety z Nowych Horyzontów podczas eksperymentu, a czwórkę z Lipowa w związku ze starą sprawą. Motyw do pozbycia się Eleonory mieli. To znaczy Chrystian Pawłowski miał.

– Ja bym ich mimo wszystko roboczo na chwilę wykluczył – zasugerował Daniel. – Sara Dębicka potwierdziła nam, że tylko ona pojechała za Eleonorą. Pawłowscy skęcili spod domu Kołodziejów w drugą stronę. Jeśli przyjmujemy, że historyczka mówi prawdę i że czwórka z Lipowa zginęła, bo łączyło ich coś ze starą sprawą, to Pawłowscy raczej tu nie pasują. Nie zabili Eleonory.

Klementyna mruknęła coś o tym, że skoro Sara Dębicka wyprzedziła Eleonorę, to nie widziała przecież, co się stało potem, a Pawłowscy mogli zawrócić. Zrobiła to jednak bez szczególnego przekonania. Daniel uznał więc, że Kopp chyba się z nim zgadza. A marudziła tylko pro forma, jak to ona.

– Z zeznania mojego brata – odezwał się Sienkiewicz – wiemy, dlaczego Berenika Borkowska zaczęła interesować się przyczyną śmierci mojej żony.

Naczelnik zreferował pokrótce, jak BiBi dowiedziała się o kłótni Harolda Dębowskiego z Janem Kowalskim. A potem razem z Celiną Krawczyk, która ją podwiozła na spotkanie z przyjaciółkami, przyłapały Kowalskiego na spotkaniu z Kariną Stępień. Co z kolei rozsierdziło Celinę i sprawiło, że obie panie stały się na tyle rozmowne, że wymieniły uwagi na temat Jana.

– To by się zgadzało. Doris Sawicka faktycznie wspomniała nam o tej podwózce. Że Celina przywiozła BiBi na rynek z Nowych Horyzontów – powiedział Daniel. – Natomiast zastanawiam się, jak to zdarzyło się w czasie. Celina i Berenika spotkały się w sobotę szesnastego lipca. Potem mamy kilka dni przerwy, a w środę dwudziestego lipca obie giną. W czwartek tydzień później, dwudziestego ósmego lipca, umierają Harold i Wojtek.

Laura Fijałkowska odchrząknęła głośno. Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

– Kiedy wy byliście zajęci w klubokawiarni, ja przycisnęłam trochę operatora sieci komórkowej, w której Wojtek Majewski miał zarejestrowany telefon. Zdobyłam jego billingi. Tak jak prosił pan naczelnik.

Fijałkowska rzuciła okiem na Sienkiewicza. Najwyraźniej oczekiwała pochwały za ekspresowe tempo pracy. Naczelnik skinął głową.

– Przejrzałaś to?

– Tak.

– Coś interesującego?

– Tak mi się wydaje. A propos tych przedziałów czasowych, o których mówi Daniel. W środę dwudziestego lipca Harold Dębowski zadzwonił do Wojtka. Dokładnie o piętnastej czterdzieści dwie. Następnego dnia, w czwartek dwudziestego pierwszego, z kolei Wojtek zadzwonił do Harolda. O godzinie ósmej rano. Czyli Harold i Wojtek komunikowali się w czasie, który nas interesuje.

– BiBi wysłała esemesa do Harolda w środę około dziesiątej – wtrąciła się Emilia. – Potem się spotkali. Harold to potwierdził. To było mniej więcej w południe, o ile dobrze pamiętam jego zeznanie. Czyli Dębowski zadzwonił do Wojtka już po spotkaniu z Bereniką. Jeżeli założymy, że BiBi pytała Harolda nie o prezent dla Jana, tylko o ich kłótnię, to telefon Harolda do Wojtka ma sens. Dębowski chciał porozmawiać o starej sprawie z jedyną osobą, która była wtedy świadkiem tego, co naprawdę zaszło.

– Też o tym pomyślałam – wtrąciła się szybko Fijałkowska.

– Podobno podczas tej kłótni Harold oskarżył Jana, że ten zabił jego siostrę. Po to, żeby Harold został jedynym dziedzicem fortuny – kontynuowała Strzałkowska, ignorując Laurę. – Te słowa mogły paść w gniewie, tak jak to bywa w kłótniach. Może Harold nawet tak nie myślał. Ale potem zjawiała się BiBi i zaczęła wypytywać. Wtedy uznał, że sam się upewni. Zadzwonił do Wojtka. Tak ja to widzę.

– Może nawet obiecał Berenice, że to zrobi i potem spotkają się znowu – zastanawiał się głośno Daniel. – Omówią resztę i...

– Czekaj. Stop. A klubokawiarnia, co? – rzuciła Klementyna.

– Co masz na myśli? – zapytał Sienkiewicz.

– BiBi spotyka się w ciągu dnia z Haroldem. Zakładamy, że rozmawiają o śmierci Eleonory. Potem Harold dzwoni do Wojtka. A Berenika i tak idzie do klubokawiarni wieczorem.

Kopp rozejrzała się po wszystkich, jakby oczekiwała jakiejś reakcji z ich strony.

– Czyli do miejsca pracy Wojtka – dodała, uznając najwyraźniej, że nie zrozumieli, co chciała im przekazać.

– Tak, ale to nie z nim chciała się spotkać – przypomniał Daniel. – Może zostawiła to do wyjaśnienia Haroldowi? Pamiętaj, że BiBi chciała się widzieć z Lechem Kołodziejem, żeby rozmawiać o Sarze Dębickiej. To by się z kolei zgadzało z naszymi podejrzeniami wobec niej.

– Tylko skąd BiBi wiedziałaby, że Dębicka była na tym przyjęciu? – zapytała Laura Fijałkowska.

– Przecież o tym nie było wzmianki w żadnych aktach. Nawet pan naczelnik nie wiedział. Dowiedzieliśmy się dopiero od Pawłowskiej.

– Nie mam pojęcia. Mówię tylko, co zeznał barman. A Karol Zakrzewski cały czas powtarzał, że BiBi chciała widzieć się z Lechem Kołodziejem w sprawie Dębickiej.

Klementyna spojrzała na Daniela spod oka.

– A jesteś pewien, że możemy mu ufać, co? Pamiętajcie chociażby o narzędziu zbrodni. O sekatorze. Zarówno Karol, jak i Karina Stępień, no i Kołodziejowie mogli mieć do niego dostęp.

SCENA 3

Przed domem Krawczyków w Bargowie.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 12.50.

Karol Zakrzewski

Karol Zakrzewski zaparkował swojego starego escorta tuż za samochodem Celiny. Trudno było mu uwierzyć, że już jej nie ma. Była suką. To prawda. Zalaźła mu wiele razy za skórę. Chciała mu odebrać syna. Ale i tak ją kochał. Człowiek nie ma wpływu na takie rzeczy.

Wysiadł z samochodu. Firanka w jednym z okien poruszyła się nieznacznie. Pewnie teściowa usłyszała silnik samochodu i chciała sprawdzić, kto przyjechał. Ciekawe, czy Krawczykowie wpuszczą go do domu, żeby mógł zobaczyć się z Witkiem.

A może to syn nie będzie chciał? Celina skutecznie nastawiła chłopca przeciwko Karolowi. A przecież Zakrzewski kochał syna. Naprawdę go kochał. I nienawidził tego, że dziecko stało się przedmiotem sporu podczas rozwodu. Przedmiotem. Do tego przecież nie chciał nigdy dopuścić, bo to najgorszy błąd rozwodzących się rodziców.

– A niech tam – mruknął Karol do siebie.

Musiał spróbować. Nie, nie musiał. Chciał. Teraz będzie miał więcej czasu. Strzelanina w gabinecie nie zmieniła faktu, że nie będzie już pracownikiem Kołodzieja. I bardzo dobrze. To kutas, który usiłuje sprawiać wrażenie twardego, a jak przyjdzie co do czego, to jaj nie ma. Śmieszne, jak postąpił z tą kochanką. Zerwanie esemesem? To było zwyczajne tchórzostwo.

Zakrzewski zatrzymał się przed furką i odetchnął głębiej, żeby dodać sobie odwagi i samemu nie okazać się tchórzem. Nie mógł przecież nie spróbować. Przyjechał do Bargowa od razu po aferze w klubokawiarni. Policja trochę go na miejscu wypytywała, ale nie został zatrzymany. Nic dziwnego. W gruncie rzeczy Karol nic nie zrobił. Tyle że doniósł Danucie o romansie Kołodzieja. I to ją rozsierdziło. Ot cała wina Zakrzewskiego. Za takie rzeczy do więzienia się nie chodzi.

Dzisiejsze przesłuchanie sprawiło, że Karol znowu zaczął myśleć o tym, jak wypytywali go po raz pierwszy o Berenikę. Powiedział im, że chciała rozmawiać z szefem o Dębickiej. Teraz już wcale nie był tego pewien. Przecież dopiero co odkrył romans szefa i nazwisko wydawało się znajome. Teraz, kiedy o tym myślał, to chyba chodziło jej jednak o Dębowską. Imienia zdaje się Berenika nie wymieniła. Dębicka i Dębowska. Nazwiska podobne. Łatwo przekręcić.

Drzwi domu teściów otworzyły się. Syn stał pomiędzy Krawczykami. Karol Zakrzewski znowu westchnął. Zaraz się przekona. Jeśli Witek podejdzie do niego, to może istnieje jeszcze szansa, żeby coś tu budować. Jeśli nie...

Zakrzewski poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, kiedy chłopiec zrobił krok do przodu. Nie myślał już o przekręconym nazwisku. Jakie to miało znaczenie?

SCENA 4

Ośrodek Pomocy Bezdomnym „Nowe Horyzonty”.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 12.50.

Jan Kowalski

O matko! Gdybyś mógł zobaczyć, co się dzisiaj działo w klubokawiarni – ekscytowała się Karina Stępień, siadając na drewnianym krześle.

Jan zaprosił ją do swojego gabinetu w willi. Spotkanie na ulicy nie było konieczne, bo nie musieli się ukrywać. Harold nie żył. Nie będzie już datków z jego hojnej kiesy, ale Nowe Horyzonty też kończyły działalność. Wszystkich pensjonariuszy przeniesiono do innych ośrodków. Dzieło życia zniszczone. Przez to, że Jan za bardzo się spieszył. Przez nią!

Spojrzał na Karinę z wściekłością. Po pierwsze, nie powinien był zdradzić Haroldowi, że jest z Kariną! Powinien był wymyślić jakiś inny powód zwłoki w rozpoczęciu wspólnego życia. Po drugie, to dla niej Jan zdecydował się wziąć udział w eksperymentalnym projekcie Pawłowskiej. Chciał mieć pieniądze. Dla siebie i dla Stępień. Wszystko poświęcił Nowym Horyzontom. Nie miał dosłownie nic swojego.

Karina uśmiechnęła się nieświadoma tego, o czym Jan właśnie myślał. Szczerze powiedziawszy, nie mógł teraz znieść jej obecności. Miał ochotę ją stąd wyprosić. A przecież mimo znacznej różnicy wieku byli właściwie nierozłączni przez te wszystkie lata. Odkąd Harold poprosił go, żeby ją zawiózł do Eleonory. Miała pilnować Michałka, a wyszło, jak wyszło.

Zanim Jan zdążył cokolwiek powiedzieć, skrzypnęły drzwi w holu.

– Chyba ktoś przyszedł – zauważyła Karina.

Wstał zza drewnianego biurka i bez słowa ruszył na korytarz. Słyszał dwa damskie głosy. Jeden z nich rozpoznał od razu, mimo że nie widzieli się od dłuższego czasu. Jowita Dębowska. Żona Harolda. A ta druga?

Wyłoniły się zza rogu. Jowita miała teraz krótkie włosy. Pamiętał ją z długimi. Pazurki grzywki niezbyt mu się podobały. Towarzyszyła jej wychudzona nastolatka. Serce zabiło Janowi szybciej na jej widok. Renata Dębowska. Przez lata powtarzał sobie to imię i nazwisko tuż po obudzeniu i potem przed zaśnięciem. Jak mantrę. To nieprawda, że nie ma nic własnego, przebiegło mu przez myśl. Miał ją. Swoją córkę.

Harold brzydził się kobietami. Ożenił się z Jowitą tylko dlatego, że ojciec nie pozostawił mu wyboru. Małżeństwo i dziecko albo wydziedziczenie. A przecież potrzebowali pieniędzy na rozwijające się dopiero Nowe Horyzonty. Dlatego Jan musiał zrobić to, co trzeba. Innego wyjścia nie było.

W tamtym czasie Jowita była dosłownie opętana myślą o dziecku. Pewnie dlatego zaakceptowała ten pomysł. Poza tym machnęła już chyba ręką na miłość małżeńską. Nie obchodziło jej, kto ją zapłodni. Byle do tego doszło.

– Kto to? – zapytała Karina Stępień, wychodząc z gabinetu.

Jan nie spojrzał nawet w jej stronę. Przyglądał się Renacie. Jej twarz go dosłownie hipnotyzowała. Twarz jego córki. Za każdym razem miał wrażenie, że patrzy w lustro. Zastanawiał się, czy inni też widzieli, jak bardzo są do siebie podobni.

Spotykali się oczywiście wielokrotnie, kiedy Renata była dzieckiem. Potem Jowita ograniczyła te kontakty. Udawała chyba sama przed sobą, że do tego, co się stało, wcale nie doszło. Dopiero w tym roku zobaczył Renatę znowu.

To Harold przyprowadził ją do Nowych Horyzontów. Twierdził, że chce ją namówić na wolontariat. Nie była chętna. Podobno od dawna nie chciała robić nic, o co ją poprosił. Ich stosunki nie były najlepsze. Poza tym Jan widział doskonale, że Harold się boi Renaty.

Nic dziwnego. Jeśli Renata była podobna do Jana nie tylko fizycznie, to można było wkrótce oczekiwać sporych kłopotów. Zanim Kowalski schował się za pospolitym bezosobowym imieniem i nazwiskiem, wiódł zupełnie inne życie. Być może przekazał to córce w genach.

U niego zaczęło się od niewielkich zwierząt. Lubił patrzeć na cierpienie. Ona podobno zabiła swojego ukochanego kota, kiedy była jeszcze dzieckiem. Nie mrugnęła nawet okiem. Jowita nie chciała zabrać jej do psychologa. Uważała, że córka zostanie uznana za wariatkę. Harold uległ. Gdyby Jan wiedział o tym wcześniej, namawiałby go, żeby się przeciwstawił żonie i natychmiast zabrał Renatę gdzie trzeba. Póki czas.

– Możemy porozmawiać? – zapytała Jowita, wrywając Kowalskiego z zamyślenia. – Sami. W cztery oczy.

– Jan nie ma przede mną tajemnic – oburzyła się Karina Stępień.

– Spokojnie. Niech idą – powiedziała Renata natychmiast. – Pogadamy sobie. Będzie fajnie.

Jan zerknął na nią. Na ustach córki majaczył chłodny uśmiech.

– Chodźmy do gabinetu – mruknął do Jowity.

Wziął ją pod ramię i poprowadził korytarzem.

– Wiem, że to zabrmi idiotycznie – powiedziała, kiedy zamknął już za nimi drzwi. – Ja... Pomyślałam, że przyjdę do ciebie, bo Harold chyba już z tobą kiedyś o tym rozmawiał. Nie wiem, do kogo innego mogłabym się jeszcze zwrócić. Ja... Czy to normalne, że boję się własnej córki? Co ja mówię! Oczywiście, że to nie jest normalne! Cały czas udaję przed ludźmi, jak się kochamy. A nienawidzę zostawać z nią sama. Dobrze przynajmniej, że policja zabrała jej te maczety od razu po śmierci Harolda. Nawet nie wiesz, jak się cieszyłam.

Kowalski położył rękę na jej ramieniu w kojącym geście.

– To się z czasem ułoży – pocieszył ją, choć sam nie był tego pewien.

On znalazł ukojenie w działalności charytatywnej. Oddał się temu całym sobą, chcąc zagłuszyć instynkty, które nim szarpały. Dlatego tak kurczowo się tego trzymał. Renata nie chciała pomagać. Brzydziła się ludźmi.

– Zostałam z tym sama. Boję się.

Jan odetchnął głębiej. Pomyślał o pustych korytarzach białej willi. Nowych Horyzontów już nie było. Dzieła jego życia nie było. Ale nadal miał córkę.

– Pomogę ci, Jowita – obiecał. – Cokolwiek ona zrobiła. Cokolwiek zrobi. Pomogę.

SCENA 5

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.05.

Aspirant Daniel Podgórski

Pamiętajcie chociażby o narzędziu zbrodni. O sekatorze – sprecyzowała Kopp. – Zarówno Karol, jak Karina Stępień, no i Kołodziejowie mogli mieć do niego dostęp.

– Jeśli oczywiście założymy, że sekator został wzięty z klubokawiarni – powiedział Daniel. Tym razem uznał, że jemu przypadła rola adwokata diabła. – Ziólek mówił, że może być skądkolwiek.

Szef techników skinął głową.

– A to mi przypomina o maczetach Renaty Dębowskiej – wtrąciła się Laura Fijałkowska. – Doktor Koterski właściwie je wykluczył jako narzędzie zbrodni, ale chyba je sprawdziliście?

Ziółkowski westchnął.

– Jest trochę pracy, jak państwo się orientują. Wiemy jednak, że nie ma na nich krwi. To już ustaliliśmy.

– Może zostały oczyszczone? – zapytała Laura.

– Sama pani dobrze wie, że krwi nie można tak łatwo się pozbyć. Owszem. Można ją zmyć z narzędzia i nie zobaczymy nic gołym okiem. Ale ślady pozostaną i my możemy je wykryć. Tu nic nie wykryliśmy. Zresztą, jak pani przed chwilą wspomniała, już właściwie jesteśmy pewni, że sprawca użył sekatora, który znaleźliśmy w studni. Na nim była krew. Nie ma w tej kwestii wątpliwości. No i sekator spowodowałby takie rany u ofiar.

– Z tego, co pamiętam, obie Dębowskie mają alibi na czas śmierci Harolda, tak? – upewnił się Sienkiewicz.

– Tak. Potwierdziła je Weronika Nowakowska.

– W takim razie możemy wykluczyć chyba żonę i córkę Harolda. Przynajmniej na razie – dodał, zerkając na Kopp. – Kogo mamy dalej? Może wróćmy do początku. Co myślicie o Cezarym Zarębie? Był pierwszym podejrzanym. I to on znalazł ciała.

– Uważam, że trzeba będzie przesłuchać tych młodych, Adriana Lisa i Gabrielę Wójcik, na okoliczność sprzedaży części do samochodu. Już do tego wyznaczyłam ludzi – powiedziała Ligia Więcek. – Jeśli Cezary Zaręba zeznał prawdę, to możemy mieć do czynienia z przestępstwem. To jest jedno. Drugie to kwestia morderstw. Cezary Zaręba mógłby zabić Berenikę Borkowską. Wiemy, że był wobec niej agresywny. Ale pozostała trójka? Po co miałby zabić Harolda, Celinę i Wojtkę? Jak rozumiem, Cezary Zaręba nie uczestniczył w przyjęciu u Kołodzieja w dziewięćdziesiątym szóstym?

– W dokumentacji nic na ten temat nie było – odpowiedziała usłużnie Fijałkowska.

– Z tego, co wiem, nie – potwierdził Sienkiewicz. Westchnął głośno. – Ale pamiętajmy, że nie wiedzieliśmy na przykład o tym, że była tam Sara Dębicka. Możemy nie mieć pełnego obrazu sytuacji. Chrystian Pawłowski twierdzi, że mój brat był na przyjęciu. Edward temu zaprzecza. Mamy słowo przeciwko słowu. Nie mogę też wykluczyć mojej matki. Ona bywa... radykalna w swoich osądach. A już zwłaszcza jeśli uznałaby, że cokolwiek mogłoby zaszkodzić mojemu bratu. Myślę, że wtedy by się nie wahała.

W głosie Sienkiewicza pobrzmiewał smutek.

– Spoko. Ale! Czy możemy w ogóle wykluczyć ciebie, co? – zapytała Kopp z krzywym uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

SCENA 6

Dom Kołodziejów w Zbicznie.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.05.

Lech Kołodziej

Podjechali pod dom. Lech Kołodziej nacisnął hamulec. Samochód niemal zatrzymał się w miejscu. Zero płynności. Nienawidził tego zastępczego wozu, ale jego lexus nie był jeszcze naprawiony po lakierniczych ekscesach Danuty i Celiny Krawczyk. Kobiety zawsze reagują ekstremalnie, przebiegło mu przez myśl. Zawsze. Drapanie samochodów, bo jedna drugiej odebrała termin wizyty u fryzjera? Śmieszne.

– Mam nadzieję, że to nie był ten sam śrubokręt – powiedział. Czuł się zmęczony jak nigdy dotąd.

– Zabawny jesteś – mruknęła Danuta.

Odetchnął. Właściwie można było być pewnym, że żona od razu pozbyła się śrubokrętu, którym podrapała samochód Celiny. Może i Danuta była nad wyraz emocjonalna, ale nie popełniała głupich błędów. Nie ona.

Nacisnął guzik pilota otwierającego bramę.

– Dobrze, że nas nie trzymali za długo – mruknął.

Policja popytała ich trochę, a potem zamknęła klubokawiarnię. Technicy mieli jeszcze wrócić i wszystkiemu się przyjrzeć. Lech miał nadzieję, że uporają się z tym szybko i będzie mógł jutro otworzyć lokal. Na litość, przecież był szczyt sezonu! A nikt nie został ranny. To była mała sprzeczka.

Co za bałagan. Był wściekły na siebie, że w ogóle wyciągnął pistolet, ale w tamtej chwili to wydawało się jedyną logiczną reakcją, żeby zapanować nad chaosem, który powstał w gabinecie. Ludzie czuli przed bronią respekt. Nie musieli wiedzieć, dlaczego trzymał tam berettę.

– Nie uważasz? – dodał, kiedy Danuta nic nie odpowiedziała. – Dobrze, że mam pozwolenie na broń. Nic mi nie mogą zrobić.

Żona nadal milczała. Miała zaciśnięte usta i wyraz wściekłości na twarzy. Nawet wypełniacze i botoks nie pomogły. Brwi zaczęły się marszczyć. Oczywiście Lech nie zamierzał jej o tym wspominać. To zdecydowanie nie był dobry moment na taką szczerość.

Westchnął. Wiedział doskonale, skąd ta wściekłość.

– Wiesz przecież, że pomiędzy mną a Sarą to jest nic. Wielkie nic – powiedział zrezygnowanym tonem. – Ty nigdy nie lubiłaś seksu. Ja mam swoje potrzeby. Nie kocham jej. To było czysto fizyczne przeżycie. Wtedy z Eleonorą też. Kocham i kochałem zawsze tylko ciebie. Doskonale o tym wiesz.

Danuta spojrzała na niego i zaśmiała się głośno.

– Doprawdy? – wycedziła. – A ja myślę, że kłamiesz.

Cóż. Miała rację. Kłamał. Nigdy jej nie kochał, ale razem stanowili dobrze funkcjonującą maszynę. Danuta pomagała mu prowadzić restaurację i robiła to doskonale. Miłość to głupota. Seks to owszem. Można się rozładować i rozluźnić. Ale miłość? Przeszkadza w efektywnej pracy. Lech kochał tylko raz. I nie zamierzał popełniać tego błędu nigdy więcej.

Eleonora. Zależało mu na niej. Uwielbiał jej zapach, jej uśmiech, determinację, seks z nią. Wkurzył się, kiedy powiedziała mu, że Jacek Sienkiewicz ją uderzył kilka dni przed przyjęciem, że był dla niej zły. Ba! Kołodziej miał ochotę interweniować w tej sprawie. Nie ufał Sienkiewiczowi. Niby policjant, a jednak zdolny do wszystkiego. Dobrze, że nie przyjechał dziś do klubokawiarni. Kto wie, jak by się to skończyło.

Miłość, prychnął znowu w duchu Lech. Przeżywał śmierć Eleonory bardzo długo. Myślał nawet, żeby skończyć ze sobą. On! Do czego to doszło. Wtedy zaczął trzymać berettę w biurku wszędzie tam,

gdzie aktualnie pracował. Nie zmienił zwyczaju od dwudziestu lat.

Kiedy doszedł wreszcie jako tako do siebie, uznał, że najważniejsza jest praca. I tak pozostało do dziś. Samobójstwo odkładał na jutro, a pracą zajmował się na bieżąco. Dlatego osiągał sukcesy. Dlatego sieć jego restauracji stała się niemal monopolistą na rynku w województwie. No może jeszcze nie, ale byli blisko.

Wysiedli z samochodu.

– Daj kluczyki – rozkazała nieoczekiwanie Danuta.

Rzucił je w jej stronę. Złapała je w locie.

– Po co ci?

– Muszę coś załatwić – oznajmiła, zajmując miejsce za kierownicą. – Nie czekaj na mnie.

– Co chcesz załatwić?

– Coś, co powinnam była zrobić już dawno – mruknęła, odnosząc się chyba do jego słów w klubokawiarni. Drwiła z niego? Ciekawe, czy wiedziała, dlaczego trzymał beretkę w szufladzie biurka.

– Dokąd jedziesz?

Nie odpowiedziała. Zatrzasnęła drzwi i odjechała z piskiem opon.

SCENA 7

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.10.

Aspirant Daniel Podgórski

Pan naczelnik nie był ani przez moment podejrzany w tej sprawie – odezwała się z godnością Laura Fijałkowska. – Już mówiłam wcześniej.

– Tak. Tak. Wiemy, że lubisz szefusiowi się troszeczkę podlizać, co? – zadrwiła Kopp. – Ale! Mąż zawsze jest pierwszym podejrzanym, co?

– Byłem na szkoleniu. Nic jej nie zrobiłem. Ani razu nie podniosłem na nią ręki – powiedział Sienkiewicz. – Skupmy się na kolejnych podejrzanych. Propozycje.

– Lech i Danuta Kołodziejowie – podsunął Daniel, przyglądając się naczelnikowi.

Teraz miał dziwne wrażenie, że Sienkiewicz nie powiedział im wszystkiego. Dotąd Daniel myślał, że Sienkiewicza i jego żonę łączyło wielkie uczucie. Teraz okazało się, że Eleonora miała kochanka. Ten fakt na pewno nie był Sienkiewiczowi obojętny.

Podgórski odegnał te myśli. Znał naczelnika od dawna. To był dobry glina. Z zasadami. Trudno było wyobrazić sobie, żeby zamordował żonę. A na pewno nie w ten sposób. Przecież w jej samochodzie był też Michałek.

Chyba że naczelnik o tym nie wiedział.

– Danuśka zdecydowanie miałyby motyw, żeby zabić Eleonorę – rzuciła Kopp. Najwyraźniej pomyślała o tym samym. Wycelowała palec w Sienkiewicza. – Ty zresztą też. Oboje zostaliście zdradzeni.

– Nic jej nie zrobiłem – powtórzył Sienkiewicz twardo.

Laura Fijałkowska pokręciła głową z niesmakiem.

– Mówiliśmy wcześniej o Cezarym Zarębie – przypomniała, jakby chciała koniecznie zmienić temat rozmowy. – A nie możemy też zapominać o jego przyjacielu.

– Masz na myśli Mćcisława Grabowskiego, co?

– Tak. On akurat pojawił się w dokumentacji. Nie wiemy tylko, czy był na przyjęciu w dziewięćdziesiątym szóstym. Nic na to nie wskazuje. Ale wiemy o jego dawnej kłótni z Eleonorą, a pierwsze ciało znalazło się na terenie jego ośrodka.

SCENA 8

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.10.

Cezary Zaręba

Cezary Zaręba szedł szybkim krokiem w stronę domku, który Mścisław wynajmował w Słonecznej Dolinie. Gwizdał sobie pod nosem jak zwykle. Tym razem Budkę Suflera. *Jest taki samotny dom*. Ta piosenka, a zwłaszcza refren śpiewany przez chórek, z reguły dodawała mu otuchy. Tym razem nie.

Znał Mścisława od lat. Jeszcze z wojska. Znał go doskonale. I właśnie dlatego się bał. Grabowski był wiernym przyjacielem. Skoczyłby w ogień, gdyby trzeba było, ale jeśli uznał, że ktoś go zdradził, potrafił być okrutny.

A Cezary poniekąd to zrobił. Zeznał przeciw policji, że poszedł do Cichego Lasku spotkać się z Adrianem Lisem i z Gabi. Powiedział, że odbierał część samochodową dla Mścisława. Grabowski na pewno już o tym wie i nie jest zachwycony. Cezary był na siebie wściekły, że tak się rozgadał podczas przesłuchania. Ale co miał zrobić? Miał jakikolwiek inny wybór?

Mścisław stał na niewielkiej werandzie drewnianego domku. Najwyraźniej czekał na Cezarego. Nie było mowy, żeby się teraz wycofać. Zresztą co Zaręba mógłby zrobić? Uciekać przed przyjacielem w nieskończoność?

Nauczyciel poprawił kamizelkę. Może nie będzie tak źle, powiedział sobie w duchu. Przecież do pewnego stopnia się zabezpieczył. Jak tylko Mścisław poprosił go o przyjazd, Cezary wysłał esemesa do syna. Poprosił o spotkanie w ośrodku. Miał nadzieję, że Marek się zjawi na wypadek, gdyby miało się zrobić gorąco.

– Spóźniłeś się – powiedział spokojnie Mścisław i poprawił okulary.

Cezary odetchnął. Może w ogóle nie było powodu do niepokoju? Może Grabowski był pod obserwacją policji? Poza tym był środek dnia. Sobota. Słoneczna Dolina tętniła życiem. Pełna turystów i ludzi, którzy przyjechali tu z Brodnicy, żeby zażywać kąpieli. Co mogło się stać?

– Przepraszam – mruknął, wspinając się po drewnianych schodkach na ganek. – Straszny tu tłok o tej porze. Szukałem miejsca do zaparkowania dłużej, niż mi się wydawało, że to zajmie.

– Oczywiście nie powiedziałaś nikomu, że się do mnie wybierasz? – zapytał Grabowski z uśmiechem.

– Oczywiście, że nie – zapewnił Cezary. Czuł niepokój, kłamiąc Grabowskiemu prosto w oczy. Choć przecież Mścisław nie mógł wiedzieć o esemesie do Marka. Niby skąd?

Przez chwilę panowała cisza. Grabowski popatrzył na Cezarego wymownie.

– Przepraszam – wydusił Zaręba. Nie mógł dłużej wytrzymać tego spojrzenia. – Naprawdę nie miałem wyjścia. Musiałem coś im powiedzieć. Oskarżyliby mnie, że zamordowałem tę czwórkę. Musiałem powiedzieć, dlaczego byłem w Cichym Lasku.

Grabowski zaśmiał się głośno.

– I ty, chłopie, myślisz, że niebiescy i tak ci tych morderstw nie przyklepią? – zapytał, poważniejąc.

Cezary Zaręba spojrział na przyjaciela nerwowo.

– Ale...

– Z psami nie ma ale, mój drogi – przerwał mu Mścisław. – Uwierz mi. Przyklepią ci, co tam będą chcieli, jeśli nie znajdą innego kozła ofiarnego. Ja w każdym razie nie zamierzam tu czekać bezczynnie. Moje wtyczki dają mi znać, że niebiescy chcą tych truposzy powiązać ze śmiercią Eleonory

Dębowskiej w dziewięćdziesiątym szóstym. Zapewne odkryją wkrótce, że widziałem się z nią tamtego dnia. Jak już zaczną grzebać. Może dowiedzą się również, że ty miałeś z nią małe spięcie. W restauracji w Nowym Mieście na pewno ktoś to widział.

Cezary Zaręba poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Najchętniej zapomniałby w ogóle o dziewięćdziesiątym szóstym roku. Zupełnie się wtedy pogubił.

– No ale na wszystko jest sposób – powiedział Mścisław. Zarębie zdecydowanie nie podobał się jego pozornie wesoły ton.

– Co masz na myśli?

– Spójrz tam.

Grabowski kiwnął w stronę brzegu jeziora. Zacumowana tam była drewniana łódka. Obok niej stał rosły młody mężczyzna. Opierał się o wiosło. Mięśnie wyraźnie rysowały się pod skórą. Bicepsy ledwie mieściły się w rękawkach czarnej koszulki.

– To jeden z moich pracowników – wyjaśnił Mścisław. – Po drugiej stronie jeziora na brzegu czeka inny. Z samochodem. Zabiorą nas stąd w bezpieczne miejsce. Ale musimy się rozdzielić. Najpierw pojedziesz ty.

Cezary Zaręba spojrział na mężczyznę przy łódce niepewnie. Grabowski to zauważył. Kąciki jego ust powędrowały do góry nieznacznie, ale oczy się nie uśmiechały.

– Ja... – zająknął się nauczyciel. – Chyba wolałbym jednak zostać tu. Jakoś sobie poradzę.

Mścisław Grabowski poprawił okulary i uśmiechnął się chłodno.

– Czy ja cię pytam o zdanie, Czarek? Czy ja cię pytam o zdanie? Bardzo nie lubię, kiedy ktoś mnie zawodzi. Bardzo.

SCENA 9

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.15.

Aspirant Daniel Podgórski

To już wszyscy podejrzani, których braliście pod uwagę? – zapytał Sienkiewicz.

– Zostają nam jeszcze przyjaciółki Bereniki – powiedział Daniel. – Nie są całkiem czyste. Gabi Wójcik miała scysję z BiBi dotyczącą wykradzenia testu i niezdanej matury. Doris Sawicka z kolei była zazdrosna o to, że BiBi związała się z Cezarym Zarębą. Doris trochę kręciła podczas pierwszej rozmowy z nami.

– Nie brałabym ich poważnie pod uwagę – wtrąciła się Emilia. – Nawet jeśli były wściekle na Berenikę, to jaki miałyby motyw, żeby zabić Celinę, Harolda i Wojtka? W dziewięćdziesiątym szóstym nie było ich jeszcze na świecie. Mają po dziewiętnaście lat. Urodziły się rok później.

– A co z ich rodzicami? – zapytał naczelnik.

– Wójcikowie to elita wśród naszych pseudokibiców, ale poza tym nie wydają się związani ze sprawą – powiedział Daniel. – Sawiccy współpracowali z Haroldem. Chcieli razem z nim budować park rozrywki w Bropolu. Czyli znali i Harolda, i Celinę. W trakcie naszych poszukiwań nie ustaliliśmy żadnych innych powiązań.

Sienkiewicz skinął głową.

– Ja też nie kojarzę ich nazwiska ze sprawą śmierci mojej żony.

– Są jeszcze Hanna i Gustaw Urbańscy – przypomniał Podgórski. Matka i ojczym Bereniki Borkowskiej nie podobali mu się od samego początku. – Zarówno Cezary Zaręba, jak i przyjaciółki Bereniki wyrażali się o nich niechętnie. Podobno BiBi twierdziła, że matka chce ją otruć.

– I że przedtem podtruła swojego pierwszego męża – odezwała się Emilia. – Który potem zginął w wypadku.

– Była mowa o lemoniadzie cytrynowej, o słodyczy, która zabija gorycz trucizny – podrzuciła usłużnie Kopp. – BiBi mnie też o tym wspomniała. Jak jej szukałam z zupełnie innego powodu.

– Już mówiłem, że nie będziemy nikogo ekshumować, chyba że znajdziecie poważniejsze dowody niż tylko słowa tej dziewczyny – oświadczył Sienkiewicz. – A co do Gustawa Urbańskiego... Tak się teraz zastanawiam. Jest przedsiębiorcą od dawna. Wydaje mi się, że Eleonora wspominała o tym, że Lech Kołodziej z nim rywalizował. Ciekaw jestem, czy Urbański był wtedy na przyjęciu?

SCENA 10

Dom Urbańskich.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.15.

Dagmara „Doris” Sawicka

Doris poprawiła różowy kosmyk włosów. Dziś miała je rozpuszczone, ale oczywiście podkreśliła je na wałkach. Nie włożyła sukienki, tylko wyprasowane w kant spodnie trzy czwarte i obcisłą bluzeczkę w stylu lat pięćdziesiątych. Czowała się w tym stroju jak wojownik, który idzie rozprawić się z arcywrogiem. Bardzo uroczy i kobiecy wojownik, oczywiście.

Zerknęła na Gabi. Przyjaciółka jak zwykle była w dresie i kusym topie. Zdecydowanie lepiej byłoby jej w zwiewnych, romantycznych etnosukienkach, ale co zrobić. Dziś Doris na pewno nie zamierzała jej prawić kazań na ten temat.

Cieszyła się, że są tu we dwie. Pomiędzy ich trójką zdarzały się kłótnie, ale się przyjaźniły. Ona, Gabi i BiBi. Te bransoletki nie były fanaberią, tylko symbolem, że są ze sobą na dobre i na złe. W końcu przetrwały razem tę szaloną pralnię mózgow, SuperSzkolę. Zerknęła na Gabi raz jeszcze. Co za paradoks, że jedyna z nich, która naprawdę miała jakiś talent, nie zdała tam matury.

Śmierci Bereniki nie można było pozostawić ot tak sobie. Dlatego właśnie poszły z Gabi do Urbańskich. W samą paszczę lwa.

– Jak to miło, że przyszłyście – przywitała je Hanna.

Matka BiBi i jej ojczym przyjęli dziewczyny w salonie. Doris doskonale wiedziała, że BiBi nienawidziła tego miejsca. Nie chciała tu mieszkać, wołała już, żeby profesor ją tłukł. Nienawidziła matki i ojczyma. Wbrew temu, co Gustaw opowiadał, nie chciała brać jego pieniędzy. Ani prezentów. Ciągle używała starego telefonu, który Doris jej kiedyś oddała. Jeszcze w gimnazjum. Nie tknęła nawet najnowszego samsunga od ojczyma. Mimo że tam był megaaparatus! To musiało coś znaczyć!

– Niech pani nie wali ściemy – odezwała się Gabi.

Doris spojrzała na nią zaskoczona tym nagłym przejęciem inicjatywy. Tego zdecydowanie się po przyjaciółce nie spodziewała. Może jednak Adrian miał na nią dobry wpływ. Gabi dostawała przy nim skrzydeł. Szkoda, że pewnie go wsadzą, jak tylko się zorientują, że kradnie samochody. Naprawdę wielka szkoda. Z drugiej strony to nie jedyny facet na ziemi. Doris znajdzie dla Gabi kogoś innego.

– Słucham? – zdziwiła się Hanna Urbańska.

Wyglądała na zaskoczoną. Gustaw też. Naprawdę? Co za cholerni hipokryci!

– Nie udawajcie już – warknęła Doris.

Nie zamierzała zachowywać żadnych form grzecznościowych. Bez przesady. Chcieli zabić BiBi. Im więcej Doris o tym myślała, tym bardziej była pewna, że Berenika tym razem nie histeryzowała.

– Nie udawajcie? – powtórzył za nią Gustaw Urbański.

Doris zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Co do jego udziału w sprawie nie miała pewności. Berenika nigdy nie wyrażała się w kwestii ojczyma jasno. Chyba mówiła tylko o matce. Że to Hanna otruła ojca, bo chciała go zamienić na lepszy, bogatszy model – Urbańskiego. I że chciała się jej pozbyć. Nie można było wykluczyć, że Gustaw Hannie w tym pomagał.

– Truła ją pani – włączyła się z powrotem do rozmowy Gabi.

– Dokładnie tak – poparła przyjaciółkę Doris. – I wie pani co? Policja może to wykryć. Widziała pani kiedyś CSI? Wykopią ojca BiBi i sprawdzą! BiBi może i pani nie zdążyła otruć, ale jego tak. I... BiBi zostawiła mi na to dowód, więc przekażę go policji. BiBi nie chciała pokazać tego dowodu wcześniej, bo... bo jednak jest pani jej matką i tak dalej. Ale ja zamierzam ją pomścić.

Gabi zerknęła na Doris pytająco. Doris wzruszyła ramionami. No co? Ten dowód to wymyśliła

teraz. W nagłym przypiływie inwencji twórczej. To była oczywiście ściema. BiBi nie zostawiła żadnych dowodów. Ale dobrze to brzmiało. Trochę jak w filmach.

Doris spojrzała na Urbańskich. Chyba łyknęli haczyk, mimo że ta gadka była zupełnie bez sensu. Przecież gdyby miała dowód, to nie siedziałaby w ich salonie, tylko od razu biegła na komendę, żeby o wszystkim donieść policji.

Hanna Urbańska zerknęła na męża. Ojczym Bereniki lekko skinął głową.

– Porozmawiajmy spokojnie – poprosiła matka Bereniki. – Napijemy się czegoś, dobrze? Zrobiłam lemoniadę cytrynową. BiBi ją uwielbiała.

SCENA 11

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.20.

Aspirant Daniel Podgórski

To wszyscy podejrzani? – upewnił się Sienkiewicz. – Pełna lista? Patrycja i Chrystian Pawłowscy, mój brat i matka, Sara Dębicka, Cezary Zaręba, Mściśław Grabowski, Jan Kowalski, Jowita i Renata Dębowskie, Lech i Danuta Kołodziejowie, Karol Zakrzewski, Karina Stępień, Hanna i Gustaw Urbańscy oraz ewentualnie przyjaciółki Bereniki?

– Jo – potwierdził Daniel. – Mniej więcej.

– Tego psychiatry nie bierzemy pod uwagę, bo to już zupełnie oddzielne wydarzenie, prawda?

– Tak – potwierdził znowu Daniel, choć równie chętnie przypisałby Wilczyńskiemu wszystkie winy świata. – Ale nadal pozostaje jeszcze wiele pytań. Nie tylko dotyczących samych podejrzanych. Na niektóre znamy już odpowiedź. Zastanawialiśmy się na przykład, dlaczego właśnie teraz, po dwudziestu latach, sprawca się uaktywnił. Teraz już wiemy, że przestraszył się, kiedy BiBi zaczęła rozpytywać o Jana i wypadek z przeszłości.

– Tak przynajmniej twierdzi mój brat – uściślił naczelnik.

Podgórski skinął głową.

– Nadal zastanawiam się nad rolą BiBi w tym wszystkim – powiedział w zamyśleniu.

– Mimo wszystko uważasz, że nie jest tylko i wyłącznie ofiarą? – zapytała Emilia. – To znaczy jest, bo nie żyje, ale wiecie, o co mi chodzi.

– Mniej więcej – potwierdził Podgórski. – Nadal nie wiemy przecież, gdzie BiBi poszła po awanturze z Karolem Zakrzewskim ani dlaczego szukała u Lecha Kołodzieja Sary Dębickiej. Skąd mogła o niej wiedzieć? Ktoś jej powiedział? Jeśli tak, to kto? Wiemy natomiast, że jej komórka została znaleziona w Tamie Brodzkiej. Skąd tam się wziął jej telefon? Tama Brodzka niby jest po drodze z Brodnicy do Lipowa, ale dlaczego Berenika miałaby tam wysiadać z autobusu? Czy też z samochodu, jeśli z kimś jechała.

– Wiemy, że to niedaleko bunkra z czasów drugiej wojny światowej, co by mogło sugerować związek z Dębicką – podsunęła Emilia. – Choć to odrobinę naciągana teoria. Ważniejsze chyba, że obok jest zajazd, który obecnie należy do Lecha Kołodzieja. Tylko po co tam jechała, skoro Lech był w klubokawiarni?

– A w zajeździe nie znalazłam nikogo, kto mógłby być związany ze sprawą – przypomniała Laura Fijałkowska.

– Czekaj. Stop. I skąd się wzięła bransoletka BiBi przy bramie Bropolu, co? – włączyła się do rozmowy Klementyna.

– BiBi i Celina zginęły tej samej nocy – powiedział Daniel, drapiąc się po brodzie. – W środę dwudziestego lipca. Celina została zabita w Bropolu. Być może ktoś podrzucił tam bransoletkę BiBi albo Berenika też tam była tamtej nocy. Dlaczego? Czy widziała śmierć Celiny? Uczestniczyła w niej? Jeśli zakładamy, że porzuciła telefon, żeby nie można jej było namierzyć, to mogła starać się ukryć swoją obecność w Bropolu. To by z kolei mogło oznaczać, że była jakoś zamieszana w atak na Celinę.

– Czekaj. Stop. Chyba że BiBi też tam zginęła, jak Celina – wtrąciła się Kopp. – Wiemy, że jej ciało wrzucono do studni, kiedy już nie żyła. Mogła zostać zabita gdziekolwiek.

– Ale dlaczego sprawca zostawiłby ciało Celiny na miejscu, a Berenikę przenosiłby do Cichego Lasku? – zapytał Podgórski. – Poza tym nadal nie ustaliliśmy, jaki związek ze sprawą ma Cichy Lasek.

Co tam robili Harold i Wojtek? Tydzień po śmierci Bereniki i Celiny. Dlaczego jedna osoba została uduszona, dwie zostały dźgnięte sekatorem, a jedna nim pocięta.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– A wracając jeszcze do Bropolu, może spójrzmy na to z drugiej strony. Może Berenika nie miała złych intencji i po prostu spotkała się tam z Celiną Krawczyk? – zastanawiała się prokurator Więcek. – Przecież teraz wiemy już, że w sobotę szesnastego lipca po raz pierwszy rozmawiały o Janie. Może chciały to jeszcze raz omówić? Zwłaszcza że tego dnia Berenika spotkała się już z Haroldem i wpadła do klubokawiarni.

– I co, umówiłyby się w Bropolu? – zapytała Laura Fijałkowska. – Nie lepiej gdzieś w Brodnicy?

– Pamiętajmy, że Celina ruszała tego dnia na wyprawę – powiedział Daniel. – Może chciały to omówić jeszcze przed jej wyruszeniem dalej.

– Sprawdzalam billingi Celiny Krawczyk – przypomniała Fijałkowska. – Nie było tam nic interesującego. W każdym razie żadnych połączeń z Bereniką. Jeśli miałyby się spotkać w Bropolu, to by oznaczało, że były umówione na to spotkanie już wcześniej.

– Mogły się przecież umówić już w sobotę – powiedziała Ligia Więcek, poprawiając okulary. – Celina wiedziała, że będzie tam nocować. Może ustaliły, że po spotkaniach w środę Berenika tam podjedzie. Może nawet dlatego wyszła z pubu i poszła do klubokawiarni właśnie o dwudziestej trzeciej, żeby zdążyć na ostatni pekaes. Sama pani mówiła, o ile dobrze sobie przypominam, że zdążyłaby bez problemu.

– Tylko że to mimo wszystko sporo zachodu – mruknęła Laura.

– To prawda – zgodził się Daniel. – Krawczykowie zeznali co prawda, że Celina chciała się zupełnie wyluzować i dlatego nie dziwili się, że nie dzwoni do nich, ale myślę, że jednak dla BiBi zrobiłaby wyjątek. Pogadałyby po prostu przez telefon. Kazać dziewczynie jechać w nocy autobusem? Skoro to ostatni kurs, to BiBi nie mogłaby już tej nocy wrócić do miasta.

– No chyba że planowała wracać autostopem – wtrąciła się Emilia. – Albo ktoś ją tam zawiózł. Tylko ciężko będzie ustalić kto, jeśli na monitoringu nie widać nawet, gdzie poszła. Mogła się z tym kimś spotkać gdziekolwiek.

Nagle Klementyna wstała, odsuwając krzesło z głośnym skrzypnięciem.

– Czekaj. Stop. Jest jedna osoba, która mogła ją tam zabrać. Łatwo i wygodnie. Nie widzicie, co?

SCENA 12

Dom Sary Dębickiej.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.30.

Sara Dębicka

Sara Dębicka związała długie siwe włosy w kucyk. Po wydarzeniach, które miały miejsce dzisiaj w klubokawiarni, czuła się zupełnie wyprana z emocji. Sama nie wiedziała, czemu esemes od Lecha aż tak ją rozsierdził. Przecież to od początku było oczywiste, że romans, który wybuchł nagle na wyjeździe integracyjnym, nie miał szansy trwać wiecznie.

Tym bardziej że Sara była przyjaciółką jego żony. Nawet nie chciała, żeby to trwało długo. Nadal pamiętała sytuację z dziewięćdziesiątego szóstego roku, kiedy razem z Danką nakryły Lecha w towarzystwie Nory. To było straszne. Upokarzające dla obu stron.

Ale esemes? Zerwanie w kilku krótkich słowach? Tylko tyle? Żadnej rozmowy? Chyba właśnie to najbardziej ją zabolalo. Bardziej niż sam fakt zerwania. Dlatego przerwała poranny trening i pobięła prosto do klubokawiarni.

Chciała powiedzieć Lechowi kilka gorzkich słów prawdy. Zupełnie nie spodziewała się, że zastanie tam całe zbiorowisko. Że Danuta będzie jej grozić śrubokrętem. Jak w jakimś filmie grozy klasy C. Ani tym bardziej że Lech wyciągnie pistolet. Kiedy wydawało się, że nie da się rozładować sytuacji, Sara uznała, że to samo postanowiła wytatuowana policjantka.

Na szczęście nic straszego się nie stało, pomyślała Dębicka. Dobrze, że nie wyciągnięto wobec niej jakichś konsekwencji. Za dziś. Albo za to, że była na przyjęciu w dziewięćdziesiątym szóstym. Musiała się przyznać. W obecności Kołodziejów zaprzeczanie nie miało sensu. Danuta zapewne zaraz by ją wydała. Zupełnie inaczej niż w dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy nikomu nawet nie wspomniała o obecności Sary na przyjęciu.

Dębicka wzięła pomarańczę z półmiska i włączyła sokowirówkę. Zaczęła wyciskać sok. Chciała wzmocnić się porcją witamin po dniu pełnym wrażeń. Potem się wykąpie. Nadal była przecież w przepeconym po porannym treningu dresie. Zdecydowanie nieodpowiednim na letnią aurę. Ale nigdy nie chciało jej się kupować jakichś specjalnych strojów do ćwiczeń. Wcześniej czy później i tak brakowało jej zapału do treningów.

Nagle usłyszała dzwonek do drzwi. Kogo tu niesie? Sara nie miała ochoty na żadne rozmowy. Postanowiła nie reagować na dzwonienie. Powtórzyło się jednak znowu.

I znowu.

I znowu.

Komuś naprawdę zależało. Dębicka westchnęła i odłożyła pomarańczę. Poszła do holu. Zerknęła na siebie krytycznie w lustrze wiszącym przy drzwiach. Najlepsze czasy miała za sobą. Może gdyby zdecydowała się farbować włosy, wyglądałaby młodziej? Prawdopodobnie. Niestety zawsze chciała być naturalna. Zupełnie inaczej niż Danuta, która ciągle inwestowała w jakieś ulepszanie urody.

Otworzyła drzwi.

– Danko? – wyrwało jej się na widok przyjaciółki.

Zupełnie się nie spodziewała Kołodziejowej. Zwłaszcza po tym, co się stało dzisiaj.

– Możemy porozmawiać? – zapytała żona Lecha, ściskając torebkę w wymanikiurowanych palcach.

W pierwszym momencie Dębicka chciała odmówić. Przyjaciółka miała rację, że się wściekła. W końcu Sara sypiała z jej mężem. O czym tu rozmawiać?

– Wejdz – zaprosiła ją mimo to. Odprawianie Danuty wydawało się nieludzkie.

Kiedy Sara zamknęła drzwi i stanęły w wąskim holu, zapadła nieprzyjemna cisza. Może Danuta oczekiwała przeprosin? Dębicka poczuła, że nie ma wcale ochoty dać Kołodziejowej tej satysfakcji. Czuli się dziwnie dobrze jako kochanka. Jakby była jakąś *femme fatale* z dawnych filmów. Jakby znowu była piękna i młoda. Jak tamta Eleonora. Z nagimi piersiami przysłoniętymi tylko czarną sukienką.

Stały tak, patrząc na siebie. W końcu Danuta otworzyła torebkę. To był szybki ruch. Sara zupełnie się go nie spodziewała.

Tak jak ukłucia bólu potem.

I następnego.

I następnego.

I następnego.

Dębicka jak przez mgłę widziała zakrwawiony śrubokręt w dłoni Danuty. Pewnie nowy. Przecież tamten, który miała w gabinecie, odebrali jej policjanci.

Kolejne dźgnięcie.

Sara zakrztusiła się krwią. Danucie ujdzie to chyba na sucho, przebiegło jej przez myśl. Dębicka nie miała rodziny. Zapewne przez długi czas nikt nawet nie zauważy, że nie wychodzi z domu. Zamknęła oczy. Nie chciała już widzieć rozwścieczonej twarzy przyjaciółki.

– Przepraszam – szepnęła tylko. Nie była pewna, czy Danuta ją usłyszała.

SCENA 13

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Spoko. Ale! Jest jedna osoba, która mogła Berenikę zabrać do Lipowa. Łatwo i wygodnie. Nie widzicie, co? Teraz wpadło mi to do głowy. Zupełnie nie braliśmy go pod uwagę. A może powinniśmy. Nawet jeśli to trochę dziwnie zabrzmiało.

Kopp rozejrzała się po zebranych w salce konferencyjnej wyczekująco.

– Kogo właściwie masz na myśli? – zapytał Sienkiewicz.

– Wojtka Majewskiego oczywiście – odparła. – Już przecież mówiłam, że on też był w klubokawiarni tamtej nocy.

– Ale Wojtek wyjechał z klubokawiarni, zanim kłótnia Bereniki i Karola Zakrzewskiego się skończyła – przypomniała Strzałkowska. – Dlatego nie wiedział, gdzie pobiegła BiBi, uciekając przed barmanem.

Kopp spojrzała na Emilię z krzywym uśmiechem.

– Nie słyszałaś o tym, że ludzie czasem kłamią, co? Zwłaszcza jak mają coś do ukrycia.

Zapadło milczenie.

– Chwileczkę, bo nie wiem, czy dobrze rozumiem. Sugerujesz teraz, że to Wojtek zabijał? – zapytał Daniel powoli, bo do tego chyba zmierzała Klementyna. – Przecież on też został znaleziony martwy.

– Sugeruję, że Wojtuś tkwi w środku tego wszystkiego. Na przykład równie dobrze mógł być w klubokawiarni dłużej, niż twierdził. Mógł zabrać Berenikę ze sobą do Lipowa. Tym samochodem dostawczym. Sprawdźcie na kamerach.

– Monitoring nie obejmuje zaplecza klubokawiarni – przypomniała Laura Fijałkowska. – Jedyne, co mogłabym sprawdzić, to o której jego van wyjechał z ulicy Świętego Jakuba.

– To niewiele nam daje. Nadal nie będziemy wiedzieli, czy wyjechał stamtąd przed, czy po kłótni Bereniki i Karola Zakrzewskiego – powiedziała Emilia. – Przecież nie wiemy dokładnie, co do minuty, o której oni wyszli do ogródka na tyłach.

– A nawet jeśli to właśnie Wojtek podwiózł BiBi na spotkanie z Celiną w Bropolu, to nie znaczy jeszcze, że kogokolwiek zabił – odezwał się Sienkiewicz. – Klementyna, z całym szacunkiem, ale to nie ma sensu. On jest jedną z ofiar. Nie zapędzajmy się w jakieś fantazje, dobrze?

– Spoko. Ale! Wiemy, że tkwi w środku tego wszystkiego – upierała się Kopp.

– Tkwi w środku tego wszystkiego, bo jest jedynym świadkiem z dziewięćdziesiątego szóstego. Jako jedyny widział, co się tam wtedy naprawdę stało. Pozostali szukali u niego tej informacji.

– A co, jeśli nie podobało mu się, że oni go tak wypytują, co? – zapytała Klementyna, cedząc słowa. Najwyraźniej naprawdę nie chciała zrezygnować ze swojej nowej teorii. – I się ich pozbył?

– Niby dlaczego?

– Widzę jeden powód.

– Jaki?

– Na przykład to on wtedy zabił.

Sienkiewicz zaśmiał się głośno.

– Wojtek miał wtedy jedenaście lat. Nie znał mojej żony i Michałka. Nie miał żadnego motywu. Zostawmy te szalone teorie i skupmy się na całej liście realnych podejrzanych. A nie jest przecież krótka.

– Spoko. Ale! Nie chcesz chociaż sprawdzić, czy przypadkiem nie mam racji, co?

– Chyba wszyscy jesteśmy zmęczeni – powiedział naczelnik. Tym razem raczej rozbawiony niż zły. – Może pora zrobić przerwę i wystartować ze świeżą głową jutro z samego rana?

– Warto by przesłuchać tego sąsiada starucha – upierała się Klementyna. – Może on coś ciekawego widział. Potem oczywiście sprawdzić odciski na sekatorze, sprawdzić plecak Wojtka, który znaleźliśmy w lasu, jego dom, samochód i...

Naczelnik zerknął na nią spod oka.

– Pogadamy o tym jutro – przerwał jej z uśmiechem. – Nie lubię fantastyki.

ANTRAKT

SCENA 1

Cichy Lasek.

Czwartek, 28 lipca 2016. Godzina 19.15.

Wojtek Majewski

Wojtek zamknął oczy. Nie miał już siły patrzeć w górę. Na krąg światła u wylotu studni. Umierał. Był tego pewny. Umierał i nic już nie dało się zrobić.

Tu na dole ciemność.

Niczym niezmacona ciemność.

Jak tamtej nocy.

Dwadzieścia lat temu.

Tak, Wojtek doskonale pamiętał tę noc. Noc, która zaważyła na całym jego późniejszym życiu. Zmieniła je w piekło. W nieustanne wrażenie, że jest obserwowany i prześwietlany na wylot.

Jakby non stop stał na scenie w jakimś teatrze.

Jakby padały na niego światła reflektorów, a on nie widział publiki. Ale wiedział, że tam jest. Wiedział, że patrzą.

Dwadzieścia długich lat męki. Uważania na każde słowo i gest.

Jakby brał udział w wiecznym spektaklu. Bez końca odgrywając tę samą scenę. Wciąż i wciąż.

Tamta noc.

Ciepłe lato.

Dziecięca niewinność.

Rower.

Radość.

A potem światło samochodowych reflektorów, które zmieniło wszystko.

Jedenastoletni Wojtek pojechał do Kołodziejów, żeby popatrzeć na pięknie oświetlony dom i auta gości zaparkowane na podjeździe.

Obserwował, jak granatowe cinquecento Eleonory wyjeżdża z podjazdu. Potem srebrny mercedes Pawłowskich. Oni pojechali w drugą stronę. Na koniec odpalił biały garbus. Dębicka pojechała w tę samą stronę co Eleonora. W stronę wijącej się serpentyny szosy prowadzącej wzdłuż jeziora Sosno do Sumowa.

Kawałek dalej, już za najgorszymi zakrętami, w lesie było wzniesienie. Wojtek zaczął się zastanawiać, który z samochodów dotrze tam pierwszy. Cinquecento ruszyło pierwsze, ale garbus jechał szybciej. To było jak wyścig. A Wojtek mógł łatwo sprawdzić, kto go wygra. Na przełaj pomiędzy drzewami prowadziła wąska dróżka. Jeśli nią pojedzie, powinien dotrzeć na metę pierwszy i przekonać się, kto wygrał.

Pedałował ile sił w nogach. Dróżka była piaszczysta, a niewidoczne w ciemnościach korzenie utrudniały jazdę. Kiedy dotarł na szczyt wzniesienia, jeden z samochodów właśnie go minął. Wojtek miał ochotę przeklinać, choć ojciec pewnie przetrzepałby mu za to skórę. Cały wysiłek na nic! Po pierwsze, nie zdążył nawet zauważyć, czy minął go garbus, czy fiat. Po drugie, nie był nawet pewny, czy minął go właśnie zwycięzca, czy może już przegrany.

Wojtek wskoczył z powrotem na rower i wjechał na środek szosy. Otaczała go całkowita ciemność. Pomiędzy koronami drzew nie widział ani księżycy, ani gwiazd. Noc była pochmurna. Zdawał się zawieszony w czerni.

Wtedy zobaczył światła samochodu.

Reflektory go oślepiły. Zastygł w bezruchu, jak sarna naprzeciw pędzącego auta. To było

cinquecento, a więc to garbus przejechał pierwszy. Musiał wyprzedzić fiata, przebiegło Wojtkowi przez myśl, choć zamiast rozważać to wszystko, powinien był uciekać.

Ale stał.

Bez ruchu.

Na środku leśnej szosy.

Głośny pisk opon.

Nagle reflektory skierowały się w inną stronę. Eleonora musiała go zauważyć. Pewnie chciała go ominąć. Uniknąć zderzenia. Jej samochód odbił w prawo.

Prosto w kierunku jeziora.

A Wojtek nadal stał bez ruchu.

Jak sparaliżowany.

Dłonie zaciśnięte na kierownicy roweru.

Patrzył, jak samochód zjeżdża z drogi. Koziółkuje. Spada. Leci.

W stronę jeziora.

Głośny plusk wody obudził Wojtka z letargu. To i jakieś kroki w ciemności. Gdzieś z tyłu. W oddali. Wszystkie zmysły miał wyczulone. Może dlatego je usłyszał. Wsiadł na rower i co sił pojechał z powrotem leśną dróżką. Niemal na oślep. Byle dalej. Byle dalej.

Bezładne myśli kołatały mu się w głowie. Ale najważniejsze: nikt nie może się dowiedzieć. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu był. Rodzice by go zabili, gdyby wiedzieli, że znowu się wymknął na rower. Że wyjechał na środek szosy. Że tamten samochód spadł w dół. Zakażą mu jeździć na rowerze. Albo jeszcze coś gorszego. Miał jedenaście lat. Tak wtedy myślał. Ani razu nie przeszło mu przez myśl, że w samochodzie przecież ktoś był i zginął. Teraz, dwie dekady później, to wydawało się śmieszne i nawet trochę przerażające.

Wojtek wrócił tamtej nocy do domu, modląc się, żeby rodzice go nie zauważyli. Całe szczęście spali mocno. Schował rower i zakradł się do łóżka. Nie mógł zasnąć. Ani tej nocy. Ani w kolejne. Przez dwadzieścia długich lat. Kiedy tylko zamykał oczy, od razu widział reflektory samochodu.

Jak samotny aktor na scenie. Oświetlony. A dookoła ciemność.

Potem policja.

Chodzili po domach. Pytali.

Szybko uznano śmierć Eleonory za wypadek. Oczywiście nikomu nie przyszło do głowy, aby jego pytać. Bo niby czemu?

Potem matka.

Nie to, żeby robiła to celowo. Przecież nawet nie wiedziała, że tam był.

– Mój syn ciągle się kręci po wsi – powiedziała jednemu z policjantów. – W nocy też. Może coś widział.

– Widziałeś coś, chłopcze?

Wojtek miał jedenaście lat, ale już wtedy wiedział, że musi coś wymyślić. To się stało przypadkiem, miał ochotę krzyknąć. Ale nie mógł. Nie chciał iść do więzienia. Przecież to nie jego wina! Nie jego wina! On chciał tylko zobaczyć, kto wygra wyścig.

Samochody.

To było pierwsze, co przyszło mu wtedy do głowy.

Ten srebrny mercedes i ten biały garbus.

Jedyny ratunek.

Powiedział policjantowi, że widział, jak Eleonorze ktoś zajechał drogę. Potem znowu go pytali. Był tak zdenerwowany, że się pomylił. Ktoś ją ścigał, powtarzał. Nieoczekiwanie pomyłka zadziałała na jego korzyść. Policjanci uznali, że jest tylko dzieckiem. Że mu się fakty płaczą. Że zmyśla. Że chce zaistnieć. Nikomu nie przyszło do głowy, że był tam.

W świetle reflektorów.

Na środku szosy.

Można by przypuszczać, że Wojtek odetchnie z ulgą, kiedy wypytywanie się skończyło i policja

ostatecznie uznała, że to był wypadek. Że będzie mógł dalej żyć. Ale nie. Nigdy nie mógł. Te reflektory zostały z nim na zawsze.

Jak w teatrze.

Ten strach, że ktoś pozna prawdę.

Wyrzuty sumienia, że to przez niego.

Ale radził sobie.

Jakoś.

Skończył technikum. Na studia nigdy nie miał ochoty. Imał się różnych prac. W końcu dostał po znajomości robotę w sieci restauracji Lecha Kołodzieja. Wszelka logika wskazywałaby, że powinien się trzymać z daleka. Przecież każde wspomnienie tamtej sprawy bolało. Ale miał zostać dostawcą. Kierowcą. Tak jak obiecał sobie tamtej nocy. Miał dobrze zarabiać. Może to pozwoli zapomnieć.

Teraz myślał o tym z goryczą. Mimo że właśnie dzięki pracy u Kołodzieja kupił stareńki dom na obrzeżach Lipowa. Za sąsiada miał zrzedliwego starca. Idealnie dla kogoś takiego jak Wojtek. Samotność zawsze stanowiła ulgę. Jakby w tym jednym jedynym miejscu nikt go nie obserwował. Jakby nie był na scenie.

Wszystko zdawało się toczyć.

Jakoś.

Aż do środy tydzień temu.

To było straszne.

Straszne!

Wczesnym popołudniem zadzwonił do niego Harold Dębowski. Kiedyś Wojtek robił u niego jakąś fuchę. Pewnie facet zachował numer.

– Miałbyś czas się spotkać i porozmawiać?

– O czym?

I wtedy te słowa.

– O śmierci mojej siostry w dziewięćdziesiątym szóstym.

Te słowa. Słowa, których Wojtek obsesyjnie się bał. Od dwudziestu długich lat.

Bał się.

Że ktoś znowu zacznie grzebać.

Serce biło mu jak oszalałe. Harold znał prawdę? Jak się dowiedział? Co teraz? Co teraz?!

– Dlaczego akurat teraz? – wyrwało się Wojtkowi. Nie wiedział, co ma mówić. Tylko że musi uważać na słowa. Jak wtedy.

Znowu był w świetle reflektorów. Znowu.

– Powiedzmy, że skłoniły mnie do tego zaistniałe okoliczności – powiedział basem Harold. – Rozmawiałem z taką jedną dziewczyną i pomyślałem, że do ciebie zadzwonię. Nie będę tego odkładać. Skoro ona walczy o prawdę, to ja tym bardziej powinienem. To dotyczy osoby, którą kocham. Kochałem. Chcę mieć pewność.

Z jaką dziewczyną Harold rozmawiał? Co ona wiedziała? Skąd wiedziała?! Kim jest?!

Co teraz?

Co teraz?

Co teraz?

Wojtek z całych sił zmuszał się, żeby nie panikować. Skoro Harold dzwonił do niego, to nie rozmawiał jeszcze z policją. To wydawało się oczywiste.

– Co to za dziewczyna?

Musiał wiedzieć. Musiał.

– Taka jedna Berenika. Ale to nieważne. Miałbyś czas się spotkać? Powiedzmy w czwartek za tydzień. Wiozę żonę i córkę na wakacje do Głębocka. Bez nich porozmawialibyśmy spokojnie.

– Dobrze – zgodził się Wojtek. Bo co miał zrobić?

– Świetnie. Będziemy w kontakcie.

Przez resztę środowego popołudnia Wojtek rozwoził towary po restauracjach Lecha Kołodzieja.

Nie mógł się skupić na niczym. Wszystkie czynności zajmowały mu więcej czasu niż normalnie. W klubokawiarni Przy Rynku wylądował dopiero przed zamknięciem. Była już noc.

Rozpakowywał właśnie towary przy barze, kiedy weszła. Nie wiedział jeszcze, że to ona.

– Szukam Lecha Kołodzieja – rzuciła do niego. – Podobno jest tu szefem. Właściciele pubu narzekali, że chcecie ich wygryźć. Sikałam, a oni smęcili pod drzwiami. Wszystko usłyszałam. Dobrze się stało, bo właśnie jego mi było trzeba!

– Dlaczego? – zapytał Wojtek.

– Muszę porozmawiać o Dębowskiej.

O Dębowskiej? O Eleonorze? Wojtek poczuł, że mięśnie mu tężeją. Czy to możliwe, że to ona?

– Jak się nazywasz? – zapytał powoli.

– Berenika – oznajmiła.

Berenika.

Berenika!

To ona.

Wojtek już wiedział, że jej nienawidzi.

Dziewczyna zaśmiała się perliście. Kilka ostatnich gości odwróciło się w ich stronę, choć dotychczas nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi. Ubrana była cała na czarno. Tylko kolorowa bransoletka na nadgarstku. Miała poszarpanego irokeza i zdecydowanie zbyt mocny makijaż oczu, ale i tak wydawała się piękna.

Karol Zakrzewski oczywiście też to zauważył. Podeszedł do nich z drugiego końca sali i od razu zaczął się do niej ślinić.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Szukam Lecha Kołodzieja – wyjaśniła Berenika.

– Zaprowadzę cię – zaoferował od razu Karol.

Dziewczyna rzuciła Wojtkowi spojrzenie, tego był absolutnie pewien, i dopiero wtedy ruszyła za barmanem.

Wojtek odczekał chwilę i poszedł do magazynku. To było jego miejsce. Nikt tam nie zwracał na niego uwagi. Znajdowało się na tyle blisko gabinetu, że mógł usłyszeć stamtąd, co się dzieje. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Karol i Berenika czekali pod drzwiami. Flirtowali. Powiedziała Zakrzewskiemu, że szuka Dębowskiej, ale on zaraz przekreślił nazwisko na Dębicka. Ona tylko chichotała. Nie poprawiła go. Chyba była za bardzo skupiona na flircie.

Po chwili Karol zaproponował, żeby wyszli na zewnątrz i tam poczekali. Wyłączył kamerkę monitoringu, kiedy mijał magazynek. Byli tak zajęci sobą, że przyczajonego w magazynku Wojtka nawet nie zauważyli.

Poszedł za nimi. Minął ich, idąc do samochodu. Zaparkował tuż przy bramie. Mógł ich stamtąd obserwować, udając, że sprawdza jeszcze towary. Całowali się namiętnie i znowu nie zwracali na niego uwagi.

Do czasu.

Niewiele później Berenika wybiegła na ulicę. Wojtek zupełnie się tego nie spodziewał. Niemał wpadł przez otwarte tylne drzwi do vana. Wskoczyła za nim do samochodu. Z głośnym, nerwowym chichotem.

– Jedziemy – rozkazała.

Wojtek popatrzył na nią zdezorientowany.

– Tamten chciał mnie zgwałcić. Jedziemy stąd!

Teraz jej głos był rozkazujący, choć również pełen emocji. Niewiele myśląc, Wojtek zatrzasnął za nią tylne drzwi vana i pobiegł na miejsce kierowcy.

– Dokąd jedziemy? – zapytał drżącym głosem.

– Wszystko jedno. Byle dalej. Wbiłam mu palec do oka. Pewnie nie jest zachwycony.

Wojtek zjechał z chodnika i ruszył w stronę ulicy Zamkowej. Pierwsze, co przyszło mu do głowy,

to jechać do domu. To było jedyne miejsce, gdzie czuł się bezpiecznie.

– Matko, tu z tyłu jest jak w trumnie – powiedziała Berenika. – Żadnych okien.

– To samochód dostawczy.

– I jeszcze ten sekator. – Zauważyła narzędzia, których miał użyć do pracy w ogródku klubokawiarni. – Ciach, ciach. Jak w horrorze.

Znowu się zaśmiała.

Dlaczego z nim tak igrała?

Dlaczego nie przechodziła do rzeczy?

Berenika.

Wojtek nie mógł tego znieść. Po prostu nie mógł! Te wszystkie lata czekania. Te wszystkie lata, kiedy ciągle miał przed oczami reflektory samochodu Eleonory.

Nie mógł już.

Nie mógł!

– Chciałaś rozmawiać o Dębowskiej – przypomniał. Musiał wiedzieć. – Dlaczego z Kołodziejem?

– Już mówiłam, że to przypadek. Po prostu usłyszałam w kiblu, że on ma tu restaurację. Zbieram teraz wszystkie informacje o tej Dębowskiej. Od soboty przeszukiwałam Internet. Poczytałam. Poszperałam. I dziś miałam po prostu szczęście.

– Dlaczego chciałaś rozmawiać z nim, a nie ze mną? – zapytał Wojtek cicho.

Nie mógł nie spytać. Nie mógł.

– Z tobą? – zaśmiała się znowu perliście.

Tak z nim igrała. To było okrutne. Nie zasłużył sobie na to!

– Tak naprawdę to chciałaś mówić ze mną?! Prawda?!

– Słucham?

– Znasz prawdę!!! Wiem! Najpierw gadałaś z Haroldem, a teraz przychodzisz tu!

Docisnęła pedał gazu. Byli już na Sikorskiego. Z reguły nie przekraczał tu prędkości. Głównie dlatego, że często czatowała tu policja. Ale dziś nie widział żadnego radiowozu.

Byle wyjechać z miasta.

Prawie płakał.

Byle wyjechać z miasta.

– Skąd wiesz, że gadałam z Haroldem?! – zapytała Berenika.

Niby że zdziwiona!

Doskonale grała swoją rolę!

Co za aktorka!

– Powiedział mi! – zawołał Wojtek. Nie mógł już powstrzymać emocji.

Przez chwilę nic nie mówiła.

– Wszystko z tobą w porządku? – zapytała w końcu powoli.

– Nic nie jest w porządku!

– Słuchaj, może byś mnie wysadził – poprosiła ostrożnie. – Jak wyjedziemy z miasta, to nie będę miała jak potem wrócić.

Wyjeżdżali właśnie z Brodnicy.

Chciała wysiadać?

Teraz?

Nie będzie miała jak wrócić? Chyba żartowała! Wojtek nie zamierzał pozwolić jej wrócić. O nie! Siedziała z tyłu. Nie było okien. Kiedy jechali przez miasto, nikt jej nie widział. Przy odrobinie szczęścia Karol i Karina myśleli, że już odjechał. Na Świętego Jakuba nikogo nie było. To mogło się udać.

Co za ulga.

Ależ to byłaby ulga się jej pozbyć!

– Wysadź mnie! – rozkazała.

– Jeszcze kawałek – odparł spokojnie.

– Wysadź mnie! – krzyknęła rozpaczliwie. – Ratunku!

– Cicho!

Nie mógł tego dłużej znieść!!!

Po prostu nie mógł!!!

Mijali właśnie zajazd w Tamie Brodzkiej. Skręcił w lewo. W leśną drogę wzdłuż jeziora Bachotek. To nie było idealne miejsce. To nie było bezpieczne miejsce. Ale już nie mógł.

Nie mógł dłużej.

– Gdzie ty mnie wieszysz?! – zapytała Berenika.

Teraz wydawała się przerażona. I dobrze! Nie trzeba z nim było pogrywać! Jej błąd!

Ale teraz potrzebował, żeby była spokojna. Żeby nie spodziewała się, co planował właśnie zrobić.

– No przecież chciałaś wysiąść – powiedział, udając spokój. Też potrafił grać. Był aktorem w świetle reflektorów. Całe życie. Znał się na tym. – Ja tu skręcam. Nie chciałem się zatrzymywać na szosie. Tam jest za duży ruch. Przy zajeździe masz przystanek pekaesu. Wrócisz do miasta bez problemu. Poczekaj. Wsiądę i otworzę ci z tyłu drzwi. Dobrze?

– Tak.

Berenika wyglądała teraz na nieco uspokojoną. I bardzo dobrze.

Wojtek włożył bluzę i sięgnął po robocze rękawice. Leżały obok na siedzeniu. Czasem je zakładał, kiedy nosił paczki. Podniósł z podłogi rolkę plastikowych worków na śmieci. Były wzmacniane. Miał w nich wywozić gruz z wyburzanego murku na tyłach klubokawiarni. Doskonale się składało. Teraz posłużą do zupełnie innego celu.

Wyciągnął worek ze środka rolki. Na zewnętrznym mogły być przecież jego odciski. Nie znał się na tym za dobrze, ale każdy wiedział, że tego należy unikać. Kiedy już zdecydował, co chce zrobić, ogarnęła go determinacja, żeby przeprowadzić to dobrze.

– Co ty tam robisz? – zapytała z tyłu.

– Nic. Już idę.

Wysiadł z samochodu.

Teraz musi działać szybko.

Otworzyć drzwi z tyłu.

Pchnąć ją do środka.

Przygnieść kolanami do podłogi.

Zarzucić jej torbę na głowę.

Trzymać.

Trzymać, aż przestanie oddychać.

Walczyła.

Wierzała.

Ale w końcu spokój.

Nie żyła.

W ciemności letniej nocy słychać było tylko jego oddech.

Ulga.

Niesamowita, niewysłowiona ulga.

Wojtek delektował się przez chwilę tym uczuciem.

Dopiero po kilku minutach wyjął jej z kieszeni telefon. Nie tylko odciski palców mogą go przecież zdradzić. Komórkę można namierzać. O tym było w każdym filmie sensacyjnym. Rzucił telefon w leśne runo. To wystarczy. Niech sobie namierzają.

Jego już tu nie będzie.

Zamknął drzwi części bagażowej i wrócił na miejsce kierowcy. Rękawice położył obok siebie. Będzie musiał je spalić. Tym się zajmie później. Na razie musi pozbyć się ciała.

Tylko jak?

Na pewno trzeba zrobić to jeszcze tej nocy. Nie może przecież trzymać Bereniki w domu.

Martwej. Nareszcie niemej.

Jechał ciemnym lasem, rozmyślając gorączkowo. Przejechał przez mostek nad rzeczką łączącą jeziora i nadal nie miał pomysłu. Zupełna pustka w głowie.

Gdyby tylko miał czas się przygotować.

Przemyśleć to wszystko.

Na pewno wpadłby mu do głowy jakiś plan. A tak?

Wjechał na leśną szosę. Nie pozostawało nic innego, jak pojechać do domu i tam się zastanowić. Wtedy światła jego samochodu padły na tablicę pokazującą drogę do Słonecznej Doliny. A przecież obok...

Bropol!

To była nagła myśl. Bropol. Opuszczony ośrodek. Czy może być lepsze miejsce, żeby porzucić ciało?

Wojtek skręcił natychmiast. Chwilę później znalazł się przed zardzewiałą bramą. Była na wpół uchylona, robiła ponure wrażenie. Nie szkodzi. Nie przyjechał tu przecież, żeby dobrze się bawić, tylko ukryć ciało. Skoro do tej pory sobie radził, teraz też musi.

Wykręcił tak, żeby samochód stanął tyłem do bramy. Łatwiej będzie wyjąć ciało. Wysiadł i obszedł auto. Drzewa szumiały na wietrze. Trzaskały gałązki w ciemności. Jakby las wiedział, po co tu przyjechał.

Zabobony. Tak Wojtek starał się pocieszać. Choć na całym ciele miał gęsią skórę ze strachu.

Za dużo emocji.

Za dużo.

Chciał już do domu.

Do domu.

Tam, gdzie było bezpiecznie.

Otworzył drzwi części bagażowej. Leżała tam. Nadal z workiem na twarzy. I bardzo dobrze. Nie musiał na nią patrzeć. Spróbował wyciągnąć ją powoli z samochodu. Za nogi. Stopy opadły na ziemię, jakby zaraz miała stanąć o własnych siłach.

Uniósł ją. Była cięższa, niż mu się wydawało. Co gorsza, zaczepiła o coś ręką. Pociągnął. Kolorowa bransoletka chyba się rozerwała. Nieważne.

Wtedy to usłyszał.

– Hej, co ty z nią robisz?!

Głos dochodził od strony bramy. Odwrócił się błyskawicznie. W ciemności majaczyła kobieca sylwetka. Nieznajoma miała dwa grube warkoczki. Tyle mógł dojrzeć w ciemności. Skądś chyba ją znał, ale w mroku ciężko było to stwierdzić.

– Wszystko w porządku? – zapytała, wychodząc zza bramy. – Proszę pani! Co on pani robi? Pomóc jakoś?

Najwyraźniej w ciemności nie dostrzegła, że Berenika nie żyje.

Jeszcze!

Musiał działać szybko. Rzucił ciało Bereniki z powrotem do bagażnika vana.

Chwycił sekator.

Czy Berenika nie powiedziała przed chwilą, że tym da się zabić?

Odwrócił się. Tamta zauważyła chyba, że coś jest nie tak, bo zaczęła uciekać w głąb ośrodka. Potknęła się o coś. Upadła na ziemię. Potem wstała i popędziła dalej. On za nią.

Przy bramie leżał drut kolczasty. Zapewne ktoś oderwał go od płotu. To o niego musiała się potknąć. Księżyc wyszedł zza chmur. Wojtkowi wydawało się, że widzi czerwone plamy. Chyba krwawiła. Zacisnął ręce mocniej na rączkach sekatora. Zaraz będzie krwawić jeszcze bardziej. Musi tylko ją dopaść.

Pędził przez opuszczony ośrodek.

Domki z ciemnymi oknami.

Mogła kryć się wszędzie. W każdym z nich.

Z prawej strony usłyszał jakiś dźwięk. Coś jakby szuranie. Poszedł ostrożnie w tamtą stronę.

Karuzela. Obok niej drzewo. Gałęzie zahaczały o stary mechanizm. Rozejrzał się po placu, kryjąc się za jednym z domków.

Wtedy ją zauważył.

Przystanąła za drzewem. Przyłgnęła do pnia, jakby chciała zlać się z nim w jedną całość. Zaczął powoli iść w tamtym kierunku. Trzymał się obrzeży placu, kryjąc się w ciemności. Chciał ją okrążyć. Nadejść od strony, z której się go nie spodziewała.

Powoli.

Ostrożnie.

Przecież nie mogła nikomu powiedzieć, co właśnie zobaczyła. Musiała zginąć.

Powoli.

Starał się stawiać kroki wtedy, kiedy gałąź drzewa ocierała się o karuzelę. Ten dźwięk mógł zagłuszyć wszystko. Usłyszała go w ostatniej chwili. Odwróciła się, ale było już za późno. Dla niej. Nie zdążył co prawda otworzyć sekatora, ale to nie szkodzi. Natarł na nią, wbijając narzędzie prosto w jej brzuch. Uskoczył przed strumieniem krwi, zostawiając narzędzie w jej ciele.

Upadła na ziemię.

Chyba nie żyła.

Podszedł ostrożnie. Starał się ominąć rosnącą kałużę krwi. I tak miał jej trochę na ubraniu. To było nieuniknione. Ale z tym sobie poradzi. Spali. Nawet nie w domu. Gdzieś indziej. Ważne, żeby nie pozostawić śladów butów.

Ostrożnie zrobił kilka kroków w jej stronę. Musiał zabrać sekator. Tym razem był bez rękawiczek. Nie mógł zostawić tu narzędzia. Nie ze swoimi odciskami. Dotarł ostrożnie do ciała. Teraz był już pewien, że ją zna. To była żona barmana. Celina.

Trudno. Stało się. Zresztą Zakrzewski cały czas powtarzał, jaka to z niej suka.

Wojtek chwycił sekator za rączki. W przypiływie nagłego impulsu pokręcił narzędziem kilka razy. Chciał mieć pewność, że Celina nie żyje.

Było po wszystkim.

Zdjął ostrożnie buty. Na wypadek gdyby na podszewkach jednak była krew. Ruszył boso do wyjścia. Unikał głównej alejki. Tam było szkło ze zbitych okien domków. Nie chciał poranić sobie stóp. Ostrożna wędrówka zdawała się trwać w nieskończoność.

Kiedy wreszcie dotarł do samochodu, miał już wszystkiego dosyć. Nie wyobrażał sobie wracania na plac z Bereniką na ramieniu. Nie. Nie robi tego. Nie da rady. Znowu chciało mu się płakać.

Zamknął ciało z powrotem w części towarowej. Sekator wrzucił do jednej z plastikowych toreb na gruz. Zakrwawione ubranie też. Był środek nocy. Nikt nie zwróci uwagi na nagiego kierowcę, a nie mógł ryzykować, że zabrudzi vana krwią Celiny.

Odpalił silnik.

Zaraz będzie w domu.

Jeszcze tylko chwila.

Zaraz będzie w domu.

Tylko co z Bereniką?

Głos rozsądku dobijał się do niego, starając się przekrzyczeć lęk.

Co z Bereniką?

Nie może jej zabrać do domu!

Nie może.

Nie może.

Nie może.

Nie wyobrażał sobie powrotu do Bropolu. To naprawdę było ponad jego siły. Gdzie w takim razie porzucić jej ciało?

Gdzie? Gdzie? Gdzie?

Gdzie?!

Wtedy pomyślał o jeszcze innym opuszczonym miejscu. Tam nikt nie zaglądał. W Lipowie

wszyscy uważali, że Cichy Lasek jest nawiedzony. Idealnie. Wojtek chodził tamtędy na zakupy. Tak było szybciej, choć i jemu włos jeżył się na głowie, kiedy wchodził do milczącego zagajnika.

Studnia!

W Cichym Lasku była kiedyś osada sekty. Na obrzeżach od strony pola Wojtek widział studnię. Studnia! To była odpowiedź na jego problemy. Mógł podjechać polną drogą prawie pod Cichy Lasek. Zatrzyma się przy miedzy i dalej przeniesie ciało Bereniki. W nocy nikt go nie zauważy. To było samotne miejsce.

Ból mięśni.

Ostrożne kroki.

Jeszcze więcej bólu.

Ulga, kiedy dotarł do zagajnika.

Cisza. Zupełna cisza.

Jeszcze tylko kawałek. Przenieść jej ciało i wrzucić do studni. A potem może jechać do domu.

Nareszcie odpocząć.

Zdjął worek z jej głowy. Na wszelki wypadek, gdyby jednak były tam jakieś ślady. Spali go z resztą rzeczy.

Głuche uderzenie, kiedy upadła na dno studni.

Oczekiwał raczej plusku. Studnia musiała być wyschnięta. Nie szkodzi. Nie szkodzi.

Z powrotem do domu. Odpocząć. Spalić ubrania, worek, wszystko, co miało jakikolwiek kontakt z ciałami tych kobiet. Ale najpierw odpocząć.

Sekator! Może powinien był wrzucić go do studni razem z ciałem? Nie. Dobrze, że tego nie zrobił. Przecież go dotykał. Trzeba go umyć w wybielaczu. To powinno usunąć krew i wszelkie jego ślady. Tak na wszelki wypadek.

Poza tym jest jeszcze Harold.

Kiedy Wojtek jechał przez ciemny las z powrotem do domu, plan zaczął klarować mu się w głowie. Musiał pozbyć się Harolda i wiedział już, jak to zrobić.

W czwartek zadzwonił do Dębowskiego. Punkt ósma rano. Jeszcze przed pracą. Starał się sprawiać wrażenie rozluźnionego. Nie budzić podejrzeń.

– Ja w sprawie naszego spotkania za tydzień – powiedział.

– Tak? – zapytał Harold dudniącym basem. – Coś się stało?

Nawet nie wiesz, ile się stało! Oj, nie wiesz. Bereniki pewnie będą szukać. Celiny też. Ale przy odrobinie szczęścia nikt nie powiąże ich z Wojtkiem. Tak się przynajmniej Majewski pocieszał. Bo niby czemu ktoś miałby go podejrzewać. Został tylko Harold! Jego trzeba się pozbyć jak najszybciej.

– Może spotkalibyśmy się wcześniej? Na przykład dzisiaj?

Nie chciał za bardzo nalegać. Nie chciał, żeby tamten zaczął coś podejrzewać. Ale bardzo chciał mieć to już za sobą.

– Nie. Nie – odpowiedział Dębowski. – Teraz mam na głowie kłopoty z żoną i córką. Już mówiłem, że mogę dopiero za tydzień.

– Dobrze, dobrze – zapewnił Wojtek. Nie chciał Harolda denerwować. Jeśli Dębowski był zajęty innymi sprawami, to może nie będzie wnikał w to, co stało się z Bereniką. – Pomyślałem, że możemy się spotkać w Lipowie. Mieszkam w okolicy. Podjechałby pan?

– Jasne. To nie problem. Gdzie?

– Tu jest taki las. Mam go po drodze. Byłoby mi łatwo tam przyjść. Mówimy na niego Cichy Lasek.

– Kojarzę coś. Niby nawiedzone miejsce?

– Kto by się tam przejmował – spróbował zażartować Wojtek. – Tam jest spokojnie. Porozmawiamy o wszystkim. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Niech będzie – odparł Harold. Nie wyglądało na to, żeby cokolwiek podejrzewał. – Czyli w czwartek za tydzień. O szesnastej trzydzieści? Siedemnastej? Powinienem być już wtedy wolny.

– Dobrze. Do zobaczenia.

Tak, do zobaczenia. Trzeba było tylko jakoś wytrzymać ten tydzień. Potem Wojtek zaskoczy Harolda w Cichym Lasku. Pójdą pod studnię. Tam wbije mu sekator. Tak jak Celinie w Bropolu. Ciało wrzuci do studni.

I będzie po wszystkim.

No i wszystko szło dobrze.

Przez tydzień.

To znaczy aż do wczoraj.

Policja.

Zjawili się w klubokawiarni około pierwszej. Szukali Bereniki. Choć nie wyglądało na to, żeby podejrzewali Wojtkę. Już raczej Lecha Kołodzieja.

Co lepsze, Karina Stępień nieświadomie Wojtkowi pomogła. Znowu miał szczęście. Jak dwadzieścia lat temu. Kiedy policja już poszła, zagadała do Majewskiego na temat Karola. Mówiła, że widziała, jak barman kłócił się z tą zaginioną dziewczyną, i chyba powinni powiedzieć o tym policji. Choć głupio tak donosić na kolegę.

Wojtek delikatnie jej zasugerował, że powinni. Przecież chodzi o czyjeś życie. Tak jej mówił. Chciał oczywiście odsunąć podejrzenia od siebie. Tylko to miał na uwadze.

Karina złapała się na haczyk. Zadzwoiła do Podgórskiego i opowiedziała mu o tym w ich imieniu. Policja znowu skupiła się na kimś innym. Wszystko szło dobrze. A przynajmniej nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek podejrzewał Wojtkę.

Może właśnie dlatego stracił czujność?

Otworzył oczy. Wszystko mu się mieszało. Nie wiedział, czy jest wtedy, czy teraz. Przed oczami miał okrągły wylot studni. Zakrztusił się krwią. Znowu czuł smród. To musiało być ciało Bereniki. Leżało tu od tygodnia.

Rozkładało się.

Wojtek poruszył się niespokojnie. Była gdzieś pod nim.

Pod Haroldem.

Z miejsca opanowały go mdłości. Leżał na dwóch trupach. Znowu zakrztusił się krwią. A wszystko przez to, że stracił czujność.

Przetrwiał tydzień we względnym spokoju. Starał się nie myśleć o dzisiejszym spotkaniu z Haroldem. Był pewien, że jakoś się uda.

Umówiona godzina.

Wojtek chowa sekator do plecaka.

Mówi sąsiadowi, że idzie na zakupy.

Rusza przez kukurydzę, jak zwykle.

Harold przyjeżdża na czas. Czeką już w Cichym Lasku, kiedy nadchodzi Wojtek.

Przywitania.

– Chodźmy tam do tyłu – proponuje Wojtek, siląc się na spokój. – Tam jest gdzie usiąść.

Musi przecież zwabić Harolda w okolice studni.

Rozmawiają o niczym. Głównie o sekcie, która tu kiedyś mieszkała. To bezpieczny temat. Tak jak pogoda. Najwyraźniej Dębowski jest zdenerwowany i nie wie, jak zacząć. I bardzo dobrze. Tym lepiej. Żaden z nich nie wspomina o smrodzie, który wydobywa się ze studni.

Wojtek zdejmuje plecak. Wyjmuje sekator, kiedy tamten ogląda jeden z domów należących kiedyś do sekty. Chce zaatakować od tyłu, gdy Harold nie patrzy. Przecież jest większy niż Celina. Po co ryzykować, że odeprze atak.

Niestety Harold się odwraca. Jakby wyczuł, co się święci.

Wojtek zamyka oczy i wbija sekator z całej siły.

Harold pada na ziemię.

Ulga.

Już po wszystkim.

Wtedy rozochocony kolejnym sukcesem Wojtek postanowił zrobić to, co dwadzieścia lat temu

sprawdziło się tak doskonale. Porozmawiać z policją w charakterze świadka.

Najciemniej pod latarnią.

Nadal miał wizytówkę tego Podgórskiego. Zadzwoń i naopowiada, jak to oni wszyscy wypytywali go o starą sprawę. Zasugeruje, że morderca sprzed dwudziestu lat atakuje znowu. Podkreśli, jak to wtedy mu nie uwierzono. Przedstawi siebie jako ofiarę.

Odwrócił się od Harolda i zadowolony z pomysłu wyciągnął telefon.

To go zgubiło. Nie powinien był tego robić, póki nie pozbył się ciała.

Nie upewnił się, że brat Eleonory nie żyje.

Czemu nie przekręcił sekatora kilka razy, jak to zrobił Celinie w Bropolu? Dlaczego był tak pewny siebie?

Kiedy powinien był najbardziej uważać.

Wybrał numer do policjanta. Bał się. Jednak się bał, że nie odegra swojej roli wiarygodnie. Był na tym strachu tak skupiony, że nie zwracał uwagi na nic. Powinien był usłyszeć, jak tamten wstaje. Przecież Harold był ranny. Na pewno przyszło mu to z trudem.

Ale nie!

Zamiast tego Wojtek skupiał się na rozmowie z Podgórskim. Na odgrywaniu swojej roli.

Jak aktor na scenie.

Jak zawsze.

Usłyszał go w ostatniej chwili.

Ból.

Okropny ból.

Telefon upada na ziemię.

Wojtek odwraca się gwałtownie.

Harold cały we krwi. Jak postać z horroru.

W drżących dłoniach sekator. Otwarty jak wielkie nożyce.

Wojtek czuje lekkość krwi na swoim ciele. I ból. Więcej bólu.

Harold go zaatakował!

Żył! Nadal żył!

Zaczęli się szamotać. Obaj słabi. Nagle Wojtek stracił równowagę. Murek wokół studni był bardzo niski i zmurzały. Spadał. I ciągnął za sobą Dębowskiego.

A może na odwrót?

Może to Harold spadł pierwszy i pociągnął go za sobą? Który z nich trzymał wtedy sekator?

Wojtek znowu zamknął oczy. Powieki mu ciążyły. W ustach czuł metaliczny posmak krwi. Jakie to miało teraz znaczenie, kto spadł pierwszy? Jakie to wszystko miało znaczenie?

Oddychał z trudem. Miał wrażenie, że koniec jest blisko.

Nagle znowu był w ciemnym lesie.

Smród zniknął.

Ból zniknął.

Strach zniknął.

Znowu był jedenastoletnim chłopcem i patrzył w światła reflektorów nadjeżdżającego samochodu.

Gotów, by odejść.

AKT VIII. (EPILOG)

SCENA 1

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.30.

Weronika Nowakowska

Granatowy rodzinny van wyjechał z parkingu obok stróżówki. Marek szybko wjechał na jego miejsce.

– Dziś sobota – mruknął. Głos mu lekko drżał. Chyba denerwował się przed spotkaniem z Cezarym. – W ośrodku pewnie nie będzie już nic wolnego. Ojciec napisał, że to domek tuż przy jeziorze. Da pani radę, pani Wiero?

Kiedy Marek powiedział Weronice o wiadomości od ojca, od razu zaproponowała mu, że z nim pojedzie. Czowała, że Młody potrzebuje jakiegoś wsparcia. Nie chciała jeszcze wracać do dworku. Nie, kiedy nie było tam Igora. Po drodze wpadli do sklepu po Wierę. Nowakowska nie chciała zostawiać przyjaciółki cały dzień samej. Trochę im tam zeszło i byli już nieco spóźnieni na spotkanie. Zrobiło się wpół do drugiej.

Wiera zakaszła głośno.

– Nie ma problemu, kochanieńki – zapewniła Marka.

Dziś wyglądała jeszcze słabiej niż w ostatnich dniach. Prawie cały czas kaszłała. Weronika niemal żałowała, że doktor Pawłowska nie da już sklepikarce kolejnej dawki leku. Może faktycznie coś pomagał? A może tylko pogarsza jej stan, przebiegło Nowakowskiej przez myśl. Przecież ten lek to była pełna samowola.

Marek pomógł Wierze wysiąść z samochodu. Ruszyli drogą pomiędzy domkami.

– Tam jest mój ojciec! – rzucił Marek zaskoczony.

Weronika spojrzała we wskazanym kierunku. Ubrany w kraciatą kamizelkę mężczyzna właśnie wsiadał do drewnianej łodzi. Obok niego stał wysoki mięśniak w opiętej czarnej koszulce.

– Marek! – zawołał Cezary Zaręba rozpaczliwie, kiedy ich zobaczył. – Pomocy!

SCENA 2

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.45.

Młodsza aspirant Emilia Strzałkowska

Emilia, Daniel i Klementyna wyszli z komendy. Podgórski od razu zapalił papierosa. Strzałkowska nie miała siły tego komentować. Zresztą po co. Wszystko już sobie wyjaśnili. Co Daniel robi ze swoim zdrowiem, to nie była już jej sprawa. Im szybciej ona się z tym pogodzi, tym lepiej.

– Naprawdę uważasz, że to mógł być Wojtek Majewski? – zapytała Klementyny.

Kopp wzruszyła ramionami.

– Pogadamy o tym jutro – rzuciła, naśladowując głos Sienkiewicza. Potem ruszyła bez słowa w kierunku swojego domu. Nawet się nie pożegnała.

– Chłopaki zaraz będą z moim samochodem – powiedział Daniel, kiedy zostali sami. – Wracasz ze mną czy dzwoniemy po Marka?

Zanim Strzałkowska zdążyła odpowiedzieć, z budynku wyszła Laura Fijałkowska. Podeszła do nich szybkim krokiem.

– Emilia, mogę z tobą pomówić? – zapytała nieoczekiwanie. – A właściwie chciałam zabrać cię w jedno miejsce.

Strzałkowska zerknęła na Podgórskiego.

– Mieliliśmy jechać do Lipowa – powiedziała. Naprawdę ostatnią rzeczą, na którą miała teraz ochotę, była rozmowa z Laurą. Już wolała milczący powrót samochodem z Danielem.

– Podwożę cię potem – zaproponowała Fijałkowska. – To ważne.

Strzałkowska znowu spojrzała na Podgórskiego pytająco. W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Kiedy twarz mu się rozjaśniła, od razu wywnioskowała, że to Weronika.

– Chodźmy – rzuciła więc do Fijałkowskiej.

Poszły do samochodu Laury. To był wysłużony ciemnozielony volkswagen polo.

– Gdzie jedziemy? – zapytała Strzałkowska, kiedy wsiedły do auta. Może i dobrze się stało, że Fijałkowska do niej zagadała. Emilia nie musiała myśleć o Danielu i Weronice. Mogła skupić się na tu i teraz.

– Do mnie do domu – wyjaśniła Laura. – Dosłownie na chwilę. Nie będę cię zatrzymywać. Chcę ci tylko kogoś przedstawić.

Okazało się, że Fijałkowska mieszkała w kamienicy na ulicy Przykop. Właściwie to mogłyby przebyć tę trasę na piechotę. Gdyby Strzałkowska była na jej miejscu, na pewno nie korzystałaby z samochodu.

Wspięły się po stromych schodach na piętro.

– Wiem, co o mnie mówią – mruknęła Laura, kiedy otwierała zamek w drzwiach. – Że dostałam się do krymu przez łóżko.

Emilia wzruszyła ramionami. Co miała powiedzieć.

– Czasem człowiek nie ma wyboru – ciągnęła cicho Laura. Teraz wydawała się zupełnie inna niż w pracy. Przygaszona. – Zapraszam.

Emilia weszła do mieszkania i rozejrzała się zaciekawiona. Prawie nie było tu mebli. Zapadnięta sofa z wielką dziurą po prawej stronie. Może wygryzioną przez psa? Komoda z obłazącym fornirem. Pochłapany farbą stołek. Na podłodze przy kontakcie radio, które pamiętało lepsze czasy. To wszystko sprawiało mocno przygnębiające wrażenie.

– Mówiłaś, że mam kogoś poznać? – zagadnęła Emilia. Komplementowanie wnętrza nie

wchodziło przecież w grę. Właścicielka zapewne boleśnie zdawała sobie sprawę, jak wygląda jej dom.

– Jest tam.

Laura poprowadziła Emilię wąskim ciemnym korytarzem. Otworzyła drzwi. Znalazły się w pokoju dzieciennym. Na podłodze leżały zabawki. Było zdecydowanie bardziej kolorowo niż w salonie, ale równie biednie.

W łóżku leżał chłopiec. Wpatrywał się w sufit. Na jego twarzy zobaczyła wyraz całkowitej pustki.

– To mój syn – poinformowała Laura. – Adaś.

Strzałkowska przełknęła ślinę.

– Czasem opiekunka mi nawala i spóźniam się do pracy. Jak na odprawę w środę. A czasem w ogóle nie mam go z kim zostawiać. Leży tu wtedy sam – wyjaśniała Laura. – Choć co to za różnica, on i tak się nie rusza. No i tak jest lepiej, niż kiedy pracowałam w patrolach. Ustabilizowany grafik. Mniej godzin.

Głos miała pełen rezygnacji. Nawet nie smutku. Całkowitej rezygnacji. Emilia przełknęła ślinę.

– Dlaczego chciałaś, żebym go poznała? – zapytała cicho.

Dopiero kiedy skończyła mówić, poczuła, że zabrzmiało to nieco obcesowo. Chciała cofnąć te słowa, ale przecież to nie było możliwe.

– Naczelnik chce ci dać pracę w krymie – powiedziała zamiast odpowiedzi Laura. – Tylko że ja wtedy wylecę. Jestem sama. Tylko ja utrzymuję mojego syna. Rozumiesz? Nie mogę stracić tej pracy! Nie mogę wrócić do prewencji na patrole. Nie mogę być ciągle poza domem! Nie aż tyle godzin. Proszę cię! Co to dla ciebie? Możesz wrócić po prostu do Lipowa na posterunek. Albo gdzie tam chcesz. Zrezygnuj z tego krymu. Proszę!

Emilia spojrzała na chłopca. Potem na Laurę. Po twarzy Fijałkowskiej płynęły łzy. Strzałkowska przymknęła oczy. Pomyślała o tym, jak poświęciła się dla Daniela i była z Gawrońskim. Co z tego miała? Nic. Zawsze robiła coś dla kogoś. Marzyła o posadzie w wydziale kryminalnym. Zapracowała sobie na to przez te wszystkie lata. Miała teraz zrezygnować? Poświęcić się dla kogoś zupełnie obcego?

– Proszę – powiedziała znowu Laura.

Strzałkowska westchnęła. Trzeba było mieć serce z kamienia, żeby odmówić.

– Nie – powiedziała krótko.

Odwróciła się i wyszła z mieszkania bez słowa. W dupie miała pogadankę, którą wygłosiła wczoraj Kopp w samochodzie. Czasem człowiek nie ma siły, żeby dłużej walczyć.

SCENA 3

Mieszkanie Klementyny.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.55.

Klementyna Kopp

Kopp weszła do mieszkania. Otoczył ją przyjemny zapach domowego jedzenia. Nie takiego z mikrofalówki. Nie zupki z proszku. Ruszyła do kuchni. Dawid wyciągał właśnie z pieca żaroodporne naczynie z jakąś potrawą. Marta rozkładała sztuce na stole.

– O, jesteś! – powiedział syn Teresy. Policzki miał zaczerwienione. Może od żaru, który buchał z pieca. – Nie myśleliśmy, że wrócisz tak wcześnie.

Znowu poczuła wyrzuty sumienia. Powinna poświęcać im więcej czasu.

– Spoko. Ale! Jestem.

Dawid i Marta wymienili znaczące spojrzenia. A może tylko tak jej się zdawało.

– Zrobiłem lazanie ze szpinakiem. Mieliśmy właśnie siadać do stołu. Zjesz z nami?

– A masz coś, co?

Chłopak uśmiechnął się i wyciągnął butelkę z lodówki.

– Proszę bardzo. Chłodna.

Klementyna spojrzała na niego spod oka. Miała dziwne wrażenie, że ta dwójka coś kombinuje. Sięgnęła po butelkę i upiła długi łyk.

– Okej. No dobra. Mów, co nabroiłeś – rozkazała. Nie miała teraz głowy do owijania w bawełnę. Irytowało ją, że nikt nie traktuje poważnie jej teorii na temat Wojtka Majewskiego.

Marta uśmiechnęła się. Dawid zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy.

– Chodzi o Mściśława, co? – indagowała Kopp. – Może wreszcie z łaski swojej powiesz mi, co i jak?

– Byłem jakiś czas w jego gangu – oznajmił syn Teresy. O dziwo, wyglądał, jakby mu ulżyło, że może mówić na ten temat. – Zanim poszedłem dalej. To znaczy do konkurencji. Grabowski bardzo nie lubi takich rzeczy.

– Gangu – zaśmiała się pod nosem Klementyna. Dawid lubował się w takich pompatycznych określeniach. – Czyli naprawdę kradnie samochody do tych swoich komisów, co?

– Raczej części. Chociaż samochody też – przyznał Dawid. – Spaliłem mu jedną akcję. Nie dostałem za swoje tylko dlatego, że przeszedłem do konkurencji i od nich dostałem ochronę. Trochę się zesrałem, jak go teraz zobaczyłem w ośrodku. Myślałem, że przyjechał po mnie.

– Trochę się zesrałeś, co? – przedrzeźniała go Kopp. – Chyba raczej bardzo.

– Mściśław Grabowski potrafi zaleźć człowiekowi za skórę – odparł z godnością Dawid. – W każdym razie teraz z tym koniec. I zdecydowałem, że pójdę na współpracę z policją. Tak jak mówiłaś. W tej poprzedniej sprawie. No i o Grabowskim też mogę niejedno im opowiedzieć.

Kopp popatrzyła na syna Teresy zaskoczona. Już w czasie śledztwa w sprawie czarnych narcyzów namawiała go do zeznań. Nie chciał. Dlaczego zmienił zdanie, co? Znowu spojrzała na niego podejrzliwie.

– Przedtem nie byłeś taki chętny do rozmów. Co się stało teraz, co?

Dawid znowu się zaczerwienił.

– Wiesz, że możesz pójść siedzieć za tamto, co? Może nie na długo. Ale! Jednak.

– Wiem.

Klementyna spojrzała na niego jeszcze bardziej zaskoczona. Dawid powiedział to bez cienia przekory. Spokojnie i normalnie. Dojrzałe. Zupełnie jak nie on. Teresa pewnie byłaby teraz z syna

dumna.

– Koniec z tym wszystkim – dodał Dawid znowu. – Odpowiem za to, co zrobiłem. Nie chcę, żeby moje dziecko miało ojca kryminalistę.

Kopp zakrztusiła się całą.

– Twoje dziecko?

– Jestem w ciąży – oznajmiła Marta z szerokim uśmiechem. Położyła delikatnie dłoń na brzuchu.

– Ale... – wykrztusiła Klementyna.

Więcej nie dała rady powiedzieć. Nie mogła złapać powietrza. Myśli kłębiły jej się w głowie. Kilka dni temu Marta została brutalnie zgwałcona. Przecież nie mogła wiedzieć tak szybko, że zostanie matką. A po badaniu w szpitalu nie było mowy, że jest ciężarna. Przynajmniej Klementynie nic nie powiedziano. Ale! Dlaczego ktoś jej miałby mówić? Przecież nie była matką Marty ani nic. Była dla niej zupełnie obcą osobą.

– W szpitalu zasugerowali mi, że mogę być we wczesnej ciąży – oznajmiła Marta, jakby słyszała myśli Klementyny. – Nie wzięłam tabletki po...

Nie dokończyła. Pogładziła się po brzuchu. Dawid uśmiechnął się do niej czule.

– Dziś zrobiłam test – dodała dziewczyna.

– Chcieliśmy tobie powiedzieć pierwszej – oznajmił Dawid.

– Mnie? – wydusiła Kopp. Serce biło jej jak oszalałe.

Syn Teresy pokiwał głową.

– No tak. W końcu właściwie to jesteśmy rodziną, chociaż nie miałyście z mamą ślubu ani nic. No i nie ukrywam, że żeśmy tak się trochę zastanawiali... Jakby mnie zamknęli w pierdlu, to czy Marta z dzieckiem mogłaby tu zostać? Bo tak w ogóle to nie bardzo mamy gdzie pójść.

Rodzina. Jak dawno Klementyna nie myślała, że kiedykolwiek może mieć rodzinę, co? Na pewno nie od śmierci Teresy. Rodzina. Rodzina. Kopp skinęła głową bardzo powoli.

Rodzina.

SCENA 4

Plebania w Bargowie.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 13.55.

Komisarz Jacek Sienkiewicz

Sienkiewicz zatrzymał samochód przed budynkiem plebanii. Długo unikał Bargowa, jak tylko mógł. Z niczym dobrym mu się nie kojarzyło. Mimo to chciał spróbować. Czego? Może dowiedzieć się prawdy? Sam nie wiedział. A może chodziło o pojednanie?

Spojrzał na budynek. Firanki były odsunięte. Widział przez okno niewyraźne sylwetki matki i brata. Nie mógł przestać myśleć o tym, że być może to oni zabijali. Pomyślał o szalonej teorii Kopp na temat Wojtka Majewskiego. Bardzo by chciał, żeby była prawdziwa. To by oznaczało, że Alicja i Edward byli niewinni. Mimo wszystko poczułby pewną ulgę.

Westchnął. Nie było sensu dłużej zwlekać. Wysiadł z samochodu i ruszył do drzwi plebanii. Zapukał stanowczo. Czekał. Wydawało się, że całą wieczność. W końcu drzwi się otworzyły. Stał w nich Edward. Znów bez sutanny i koloratki.

– Jacek – powiedział brat.

Sienkiewicz kiwnął głową na przywitanie.

– Kto to? – zawołała matka ze środka.

– To ja – poinformował Sienkiewicz, zanim Edward zdążył go zaanonsować.

Alicja wyszła z saloniku na korytarz. Na jej twarzy pojawił się przelotny grymas. Trudno powiedzieć, czy na widok Sienkiewicza, czy z bólu. Poranione szkłem dłoń nadal miała owinięte bandażem.

– Muszę wam coś powiedzieć – oznajmiła nieoczekiwanie. – Skoro jesteśmy tu wszyscy... Nie chcę tego dłużej ukrywać.

Załkała.

– Ja też tam byłam – dodała, z trudem wyduszając z siebie ciche słowa.

– Gdzie? – zapytał brat, choć Sienkiewicz osobiście nie miał wątpliwości, że matka mówi o nocy śmierci Nory. Bo o czym by innym?

– To znaczy nie na przyjęciu – uściśliła Alicja cicho. – Ale poszłam za tobą.

– A więc jednak tam byłeś – zaśmiał się Sienkiewicz gorzko. – Czyli kłamałeś, kiedy byliśmy tu wczoraj.

Brat spojrzał mu prosto w oczy.

– Tak, skłamałem. Przyjechałeś z tą prokuratorką. Nie chciałem o tym rozmawiać przy niej. Nie chciałem, żeby wyciągnęła jakieś mylne wnioski. Tak, byłem tam. Ale Nory nie zabiłem. Nie wiem, kto to zrobił. Pojechałem do Zbiczna, bo wiedziałem, że Nora tam będzie. Chciałem z nią porozmawiać. Pokłóciliśmy się i odszedłem. Nie wróciłem od razu do domu. Nie byłem w stanie. Jeździłem bez celu.

– Ja... – szepnęła matka. – Ja poszłam za tobą na piechotę. Długo cię nie było. Martwiłam się. Poszłam przez las. Ja... ja tam byłam, kiedy ona zjechała z drogi...

– Widziałaś, co się stało? – zapytał ostro Sienkiewicz. Może widziała Wojtka. Wiedzieliby wtedy, czy szalona teoria Kopp jest prawdziwa. Ale to oczywiście byłoby zbyt piękne.

Pokręciła głową.

– Już było po. Samochód tonął. Choć wydawało mi się, że ktoś tam był. W lesie. Na ścieżce z boku. Pomiędzy drzewami.

– Nie pomogłaś im? – zapytał Edward bardzo powoli, zanim Sienkiewicz zdążył się odezwać. – Eleonorze i Michałkowi?

Naczelnik miał wrażenie, że słyszy wyraźnie każdą literę.

– Co miałam zrobić? – zapytała gniewnie Alicja. Cała uległość zniknęła. – Skakać do wody?!

Wiesz, że nie umiem pływać!

– Mogłaś przynajmniej wezwać pomoc! – warknął brat. – Może Nora by przeżyła! I dziecko!

Sienkiewicz patrzył, jak Edward podchodzi do matki. Nie miał siły interweniować. A może nie chciał?

SCENA 5

Ośrodek wczasowy Słoneczna Dolina.

Sobota, 30 lipca 2016. Godzina 14.25.

Wiera Rosłońska

Wiera siedziała na ławce przed wypożyczalnią kajaków. Nie czuła się najlepiej. Wszystko jej się mieszało. A może to w ośrodku panowało takie poruszenie? Pamiętała tylko, że schodzili drogą na dół. Marek zauważył swojego ojca wsiadającego do łodzi. Obok stał jakiś drab. Cezary Zaręba zawołał o pomoc. Młody policjant rzucił się w tamtą stronę. Wywiązała się bójka. Na szczęście wokół było sporo ludzi. Pomogli.

W międzyczasie ulotnił się gdzieś chudy okularnik. Jak oni go nazywali? Chyba Mścisław. Wszyscy zdawali się tym przejęci, ale do Wiery niewiele z tego docierało. Wiedziała, że Marek zadzwonił po Pawła Kamińskiego i na komendę. Weronika z kolei do Daniela. Chyba Podgórski miał niedługo przyjechać.

Potem Wiera prawie zemdląła. Weronika usadziła ją tu na ławce, żeby odpoczęła. Tak to było. A może nie. Sklepiarka zakaszła głośno. Miała wrażenie, że ból rozsadza jej płuca. Dziś powinna dostać kolejną dawkę leku doktor Pawłowskiej, ale go nie dostanie. Choć i tak wiedziała, że już by nie pomógł.

– Jak się czujesz? – zapytała Weronika z troską. – Wezwać pogotowie?

– Wszystko w porządku, kochanieńka – zapewniła ją Wiera szybko. Starła się mówić wyraźnie. Nie chciała, żeby ją stąd zabrano. Tu była u siebie. W lesie. Nad jeziorem. A nie zamknięta w nieprzychylnych ścianach szpitala. – Nie trzeba nikogo wzywać. Naprawdę.

Przymknęła oczy. Nie była pewna, na jak długo. Kiedy je otworzyła, zobaczyła, że od drewnianych domków nadchodzi Daniel. Weronika zdawała się promienieć na jego widok. Wiera uśmiechnęła się.

Mówili coś do siebie. Chyba o tym, że Grzesiek nie wyjdzie na razie na wolność. A może Wiera i to sobie dopowiedziała.

Znowu przymknęła oczy. Kiedy je uchyliła, stali kawałek dalej. Tuż przy linii wody. Jezioro zdawało się błyszczeć w świetle słońca. A może już była noc? Nie wiedziała. Przytulali się. Ponownie się uśmiechnęła. Poradzą sobie, pomyślała z ulgą. Weronika i Daniel. Poradzą sobie.

Kaszlnęła. Przypomniała sobie o czymś. Powinna powiedzieć im o liście! O dziwnym liście, który zapowiadał śmierć całej wioski. Nie miała już siły. Może sami go znajdą, jak będą porządkować jej rzeczy? Może jeszcze nie będzie za późno.

Zamknęła oczy.

OD AUTORKI

Warszawa, 2018

Drodzy Czytelnicy, serdecznie dziękuję, że kolejny raz odbyliśmy tę wspólną podróż po Lipowie. Dziewiąty raz! Kto by pomyślał! Dziękuję Wam za wszystkie wyrazy sympatii i wsparcia. Dziękuję, że przychodzicie na spotkania ze mną, komunikujecie się ze mną przez media społecznościowe i wiadomości e-mail. To wszystko bardzo wiele dla mnie znaczy!

Jak zwykle dziękuję z całego serca Krzyškowi (nie byłabym tu, gdzie jestem, gdyby nie Ty!), mojej Mamie i całej Rodzinie oraz najbliższej przyjaciółce (właściwie siostrze!) Magdzie.

Dziękuję też następującym osobom: Annie Derengowskiej, Agnieszce Obrzut-Budzowskiej i całemu działowi promocji, Elżbiecie Kwiatkowskiej oraz reszcie naprawdę fantastycznej ekipy wydawnictwa Prószyński Media; dziękuję też Gregowi Messinie (*Thank you, Greg!*), Małgorzacie Grudnik-Zwolińskiej, Maciejowi Korbasińskiemu oraz Mariuszowi Banachowiczowi.

Dziękuję również wszystkim recenzentom, redaktorom portali internetowych dotyczących literatury oraz blogerom książkowym, którzy aktywnie uczestniczą w popularyzowaniu polskiej literatury. Dziękuję moim patronom medialnym oraz pisarzom, którzy mnie wspierają.

Dziękuję funkcjonariuszom z Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy za ich codzienną wymagającą służbę. W szczególności zaś, jak zwykle, dziękuję starszemu sierżantowi Maciejowi Rosińskiemu za to, że poświęcił dużo czasu, rzetelnie odpowiadając na moje pytania i wątpliwości. Muszę podkreślić, że jeżeli gdzieś wkraść się błąd, to jest to tylko moja wina. Troszkę też sobie pozmyślałam w kwestiach rozmaitych procedur. Ale!, jak powiedziałyby Kopp, taka w końcu rola pisarza.

Szczególnie serdecznie chciałabym tym razem podziękować również Małgorzacie Wierzbowskiej, Rafałowi Wierzbowskiemu, Mirosławie Karpowicz, Maciejowi Zielińskiemu, Tomaszowi Piotrowskiemu oraz Lucynie Kaczyńskiej, czyli organizatorom Pierwszego Zlotu Czytelników w Lipowie. Spełniście moje marzenie o pokazaniu Czytelnikom Lipowa nie tylko na kartach książek, ale także na żywo. Dziękuję z całego serca wszystkim, którzy na zlot przyjechali. Nie dam rady Was tu wszystkich wymienić, ale przecież wiecie, że to odnosi się do Was! To był wspaniały czas. I pamiętajmy, co dzieje się przy ognisku, zostaje przy ognisku!

Dziękuję też pracownikom Głęboček Vine Resort & Spa za cierpliwe oprowadzenie mnie po hotelu, który przecież odegrał niemałą rolę w tej opowieści!

Teraz pozostaje mi, jak za każdym razem, nadmienić, że wszystkie wydarzenia i osoby opisane w tej książce są całkowicie fikcyjne i powstały w mojej wyobraźni jedynie na potrzeby tej opowieści. Wszelkie ewentualne podobieństwo personaliów i zdarzeń jest przypadkowe. Zdecydowanie nie było na przykład opisanego tu morderstwa w szpitalu w Świeciu, choć sam szpital istnieje. Nie ma Bargowa. Nie ma też sieci restauracji Kołodziej (nie istnieje chociażby Poziomka czy restauracja w Nowym Mieście), choć dla lokali gastronomicznych Lecha pożyczyłam sobie lokalizacje kilku prawdziwych miejsc – w tym klubokawiarni Starówka, pubu Texas czy Zajazdu w Tamie Brodzkiej, a Pizzeria Zamkowa naprawdę wygląda nieco inaczej, niż to tu opisałam. Jak powiedziałam, istnieje też hotel Głęboček Vine Resort & Spa, ale i w tym przypadku trochę pozmieniałam jego wygląd. Pamiętajcie jednak, że właściciele i pracownicy tych miejsc nie mają nic wspólnego z wydarzeniami opisanymi tutaj.

A Lipowo? Jak wiecie, jest to miejscowość fikcyjna, choć tworząc ją, inspirowałam się wsią, która istnieje naprawdę (nie dlatego, że ktoś tam kogoś morduje, to trzeba zdecydowanie podkreślić!). Do tej pory nie zdradzałam jej nazwy. Ponieważ jednak w 2017 odbył się tam wspomniany Zlot Czytelników, mogę chyba już powiedzieć, że chodzi o moje absolutnie ukochane Pokrzydowo, położone w gminie Zbiczno (nad jeziorami Bachotek i Strazym). Jeżeli kiedyś będziecie w okolicy, zajrzyjcie koniecznie, by przekonać się, jak tam pięknie!

Trudno byłoby mi wymienić wszystkie osoby, które mnie wspierają i pomagają spełnić marzenie o snuciu kolejnych historii. Na koniec powiem więc tylko raz jeszcze: Dziękuję Wam wszystkim serdecznie. I do zobaczenia przy okazji kolejnej historii!

Kasia Puzyńska